Sangharakszita

Tęczowa droga

Z Tooting Broadway do Kalimpongu.
Wspomnienia angielskiego buddysty.

COPYRIGHT © Sangharakshita, 1997

Copyright for Polish Edition © Fundacja Przyjaciele Buddyzmu, 2019
www.buddyzm.info.pl

Tytuł oryginału: *The Rainbow Road.*
(From Tooting Broadway to Kalimpong. Memoirs of an English Buddhist.)

Przekład:
Anna Martyniak

Korekta i redakcja:
Nityabandhu (Michał Balik)

ISBN: 978-83-65395-02-3

PODZIĘKOWANIA REDAKCJI POLSKIEJ

Redakcja pragnie podziękować za wsparcie finansowe w formie granta ze środków Funduszu Tłumaczeń (Translation Fund) udzielone przez Ośrodki Triratny w Europie (Triratna European Chairs Assembly). Niniejsza książka ukazała się częściowo dzięki niemu. Fundusz Tłumaczeń istnieje dzięki dobrowolnym składkom ośrodków Triratny w całej Europie.
Dziękujemy wszystkim darczyńcom!

We wish to thank the Triratna European Chairs Assembly for making possible the translation and electronic publication of this book with a grant from their Translation Fund. A big thank you!



Chcieliśmy również podziękować Wydawnictwu *Windhorse Publications* z Birmingham w Anglii za pozwolenie na bezpłatne udostępnienie polskiego tłumaczenia tej i innych książek w internecie. Dziękujemy także pani Annie Martyniak za wspaniałe tłumaczenie.

This translation of *The Rainbow Road. From Tooting Broadway to Kalimpong. Memoirs of an English Buddhist.* is published by arrangement with Windhorse Publications.

O autorze

Sangharakszita urodził się w 1925 roku, w południowym Londynie, jako Dennis Lingwood. Ponieważ był w dużej mierze samoukiem, bardzo wcześnie zainteresował się kulturami i filozofiami Dalekiego Wschodu i już w wieku lat 16 uświadomił sobie, że jest buddystą.

W czasie drugiej wojny światowej znalazł się w Indiach jako żołnierz poborowy. Po wojnie pozostał w tym kraju na dłużej i po pewnym czasie został buddyjskim mnichem o imieniu Sangharakszita (co oznacza ‘chroniony przez duchową wspólnotę’). Po kilku latach studiów pod kierunkiem wiodących nauczycieli z głównych buddyjskich tradycji sam zaczął uczyć i dużo pisać. Odegrał też kluczową rolę w odrodzeniu buddyzmu w Indiach, zwłaszcza dzięki pracy w środowisku byłych niedotykalnych.

Po 20 latach pobytu w Indiach powrócił do Anglii, gdzie w 1967 roku założył Społeczność Buddyjską Triratna, a w 1968 Wspólnotę Buddyjską Triratna. Jako pośrednik i tłumacz między Wschodem i Zachodem, między światem tradycyjnym i współczesnym, między zasadami i praktyką, Sangharakszita ze swym głębokim doświadczeniem i jasnym stylem myślenia jest ceniony na całym świecie. Zawsze kładł szczególny nacisk na decydujące znaczenie poświęcenia i oddania w życiu duchowym, podkreślał nadrzędną wartość duchowej przyjaźni i duchowej społeczności, wskazywał na związek między religią i sztuką oraz na potrzebę „nowego społeczeństwa”, które wspierałoby duchowe dążenia i ideały.

Wspólnota Triratna jest obecnie międzynarodowym ruchem buddyjskim z ośrodkami w szesnastu krajach na całym świecie. W ostatnich latach Sangharakszita przekazał większość swych obowiązków we Wspólnocie swoim najstarszym rangą uczniom. Mieszka w ośrodku buddyjskim Adhisthana w zachodniej Anglii, koncentrując się na pisaniu oraz osobistym kontakcie z ludźmi.

Zapytałeś – „Czym jest ten przemijający wzór?”
Jeśli powiemy o nim prawdę, będzie to długa historia;
To wzór, który wyłonił się z oceanu
i w jednej chwili powrócił w głębiny oceanu.

Omar Khajjam
(?1050 – ?1123)

Rozdział 1

Olbrzymy i smoki

W niedzielne poranki, kiedy była ładna pogoda, Ojciec zwykle zabierał mnie z wizytą do babci, pchając dziecięcy osłonięty kremowym jedwabnym daszkiem wózek przez dwie lub trzy mile ulicami południowo-zachodniego Londynu.

Jak tylko zamaszyście otworzył bramę, biegłem ścieżką do dużych zielonych drzwi frontowych, gdzie gorliwie usiłowałem zajrzeć do środka przez kolorowe szybki i stukałem w miedzianą skrzynkę na listy tak długo, aż ktoś zjawiał się, by nas wpuścić. Hol wejściowy nigdy nie przestawał mnie fascynować i zawsze się w nim zatrzymywałem, aby popatrzeć na zakrzywione nepalskie noże, zwane kukri, oraz chińskie miecze i komplety pałeczek, którymi były udekorowane ściany. Nie mogłem się też powstrzymać, by nie zadzwonić rytualnym tybetańskim dzwoneczkiem stojącym w rogu za drzwiami.

Jednak najbardziej interesował mnie ogromny chiński obraz wiszący na lewej ścianie. Od moich najwcześniejszych lat Ojciec podnosił mnie, abym mógł dokładnie mu się przyjrzeć, dlatego obraz ten stał się jednym z najbardziej znanych mi przedmiotów w dzieciństwie. Kształtu niemal kwadratowego przedstawiał dostojną i tajemniczą personę, siedzącą ze skrzyżowanymi nogami na czymś w rodzaju tronu i odzianą w luźno spływającą szatę. Głowę tego człowieka otaczała aureola, rysy twarzy były wyraźnie orientalne, a skośne migdałowe oczy, które wpatrywały się w dal, emanowały niezwykłym połączeniem łagodności i siły. Wokół tej enigmatycznej istoty znajdowało się pół tuzina postaci, z których część składała mu dary, a część grała na jakichś instrumentach. Żadna z nich nie była większa rozmiarem niż jedna dziesiąta ich mistrza, dlatego nazywałem go Olbrzymem.

Potem biegłem do salonu, gdzie znajdywałem następne przedmioty, którym mogłem się z zachwytem przypatrywać, a nawet brać je do ręki, i które niczym nie ustępowały cudownością tym w holu. Chińskie wazy *cloisonne* były równie piękne jak te, które wiele lat później widywałem w tybetańskich świątyniach i domach zamożnych chińskich przyjaciół, a kunsztowne kształty niektórych z nich były moim zdaniem unikalne. Jedna wspaniała para dzbanów z uchwytami w kształcie złotych smoków ozdobiona była malowidłami domów, ogrodów i ludzkich postaci. Nawet teraz, po z górą czterdziestu latach, nadal mam przed oczami ulubioną postać w niebieskiej szacie i czarnej czapce, stojącą w zadumie między miniaturowymi wzgórzami.

Wokół każdej z pozostałych waz – wszystkie miały głęboki niebieski kolor – wił się imperialny smok z pięcioma szponami, białą brodą i kłami, oraz czerwonymi rogami. Miał też czarne oczy, fioletową grzywę i złote łuski. Każdy smok posiadał swój klejnot i ział ogniem w obronie przed wrogami. Nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby bać się tych tajemniczych bestii, i oczywiście nigdy nie były dla mnie symbolem zła, jakim są dla tradycji chrześcijańskiej. Dlatego w późniejszych latach bez zdumienia dowiedziałem się, że dla Chińczyków smok od tysięcy lat jest symbolem ‘jang’ – jasnej, męskiej i twórczej zasady wszechświata; natomiast feniks, którego nie znałem, jest symbolem ‘jin’ – zasady ciemnej, żeńskiej i destrukcyjnej.

Na gzymsie kominka znajdowała się mała siedząca figurka z brązu, którą, kiedy nauczyłem się mówić, nazywałem Cesarzową Wdową. Gdy nią potrząsałem, grzechotała. Teraz wiem, że ta postać, której rysy pamiętam tak samo dobrze jak rysy żyjących twarzy, nie reprezentowała ostatniej władczyni imperialnych Chin z dynastii Manczu, tylko ‘boginię łaski’, Kuan Yin, sfeminizowaną chińską wersję bodhisatwy Awalokiteświary, jedną z najbardziej popularnych postaci w panteonie indyjskich buddystów. Źródłem grzechotania prawdopodobnie nie był, jak wtedy przypuszczałem, kamyk, ale jedna z tych świętych relikwii, które buddyści chińscy, podobnie jak tybetańscy, często umieszczali w środku figurek.

W babcinej kuchni, na przeciwległych ścianach wisiały portrety dwóch mężczyzn, jeden w stroju oficera marynarki, a drugi w mundurze wojskowym. Mężczyzna na pierwszym, znacznie większym portrecie, miał sumiaste wąsy i musiał mieć około trzydziestu lat. Mężczyzna na drugim,

trochę pożółkłym obrazie nosił małe przycięte wąsiki i wyglądał na dwadzieścia kilka lat. W owym czasie było to dla mnie bardzo zagadkowe, kiedy mówiono mi, że obaj panowie byli moimi dziadkami, ponieważ Nana – jak nazywaliśmy babcię – dwa razy wychodziła za mąż i dwa razy owdowiała. Z każdego małżeństwa miała dwójkę dzieci – chłopca i dziewczynkę – mój Ojciec był najstarszy z rodzeństwa. To jej drugi mąż przywiózł do domu opisaną tu kolekcję egzotycznych przedmiotów. Był częściowo pochodzenia portugalskiego, bardzo dużo podróżował i przez jakiś czas służył w marynarce handlowej. W czasach powstania bokserów pracował dla Imperialnego Rządu Chin i zatrudniony był przy budowie kolei. Miał manię na punkcie zbierania różnych osobliwości, więc skorzystał nieco na grabieży Letniego Pałacu w Pekinie i powiększył swoją kolekcję.

Wydaje się, że dziadek parał się też fotografią, ponieważ w domu był album pełen zdjęć zrobionych w czasie powstania. Widać było na nich szeregi nagich klęczących na ziemi rebeliantów z rękami związanymi na plecach. U stóp egzekutorów leżały odcięte głowy buntowników. Razem z siostrą spędziliśmy wiele przyjemnych godzin na oglądaniu tych obrazków, dopóki Nana któregoś dnia nie uprzytomniła sobie, że nie są to zdjęcia odpowiednie dla małych dzieci.

O moim dziadku, pierwszym mężu Nany, wiedziałem jeszcze mniej niż o jej drugim mężu. Częściowo dlatego, że zmarł tak młodo, iż mój Ojciec w ogóle go nie pamiętał, więc niewiele mógł mi o nim opowiedzieć. Dowiedziałem się tylko, że pochodził z dobrej rodziny z hrabstwa Suffolk i był najmłodszym z ośmiu braci. Ożenił się z Naną, córką małorolnego chłopa z hrabstwa Norfolk. Po ślubie młoda para przeprowadziła się do Woolwich, gdzie przyszedł na świat mój Ojciec. Dziadek pracował wtedy w Ministerstwie Wojny, gdzie z powodu jego pięknego kaligraficznego pisma przydzielono mu obowiązek wypisywania nominacji, które później podpisywała królowa. Po jego nagłej śmierci na zapalenie płuc Nana została z dwójką małych dzieci – jedno nadal w wieku niemowlęcym – i musiała radzić sobie sama. Jako że odznaczała się dużą siłą charakteru, odważnie stawiła czoło tej trudnej sytuacji i z jej późniejszych wspomnień zorientowałem się, że wykonywała najróżniejsze prace – była sprzątaczką, pokojówką i gosposią. Po pięciu czy sześciu latach ciężkiej pracy ponownie wyszła za mąż i przeprowadziła się do Tooting.

Między Ojcem i jego siostrą, która była też moją chrzestną matką, istniało bardzo silne podobieństwo. Oprócz tego, że odziedziczyli po Nanie gęste brwi, szaroniebieskie oczy i orli nos, oboje, tak jak ich matka, byli szczerzy aż do bólu w wygłaszaniu swoich opinii i bardzo stanowczo trzymali się zasad. Jednak w przeciwieństwie do cioci Noni, która była wyjątkowo opanowana i najbardziej zjadliwe uwagi wygłaszała z niewzruszonym spokojem, Ojciec miał niezmiernie wybuchowy charakter i wręcz chorobliwie szybko się obrażał. Jednak jego gniew nigdy nie trwał długo, gdyż z natury był wielkoduszny i wybaczający. Zanim ja się urodziłem, nauczył się już trochę panować nad swoim temperamentem. W rzeczywistości był niezwykle dobrym człowiekiem, zupełnie pozbawionym egoizmu i dużo czasu upłynęło zanim spotkałem drugą osobę, która by z równą konsekwencją i radością stawiała szczęście innych osób przed swoim. Ciocia Noni, która nie wyszła za mąż, ubóstwiała brata, co chyba było całkiem naturalne. Niestety miała też nawyk wychwalania go przed moją mamą i nigdy nie przepuściła żadnej okazji, by jej nie przypomnieć, jakim Ojciec jest wspaniałym człowiekiem, i jakie miała szczęście, że za niego wyszła. Ta ostatnia uwaga zawsze była wygłaszana tonem jawnie sugerującym, że posiadanie takiego męża było cudem, za który mama, całkowicie go niegodna, powinna paść na kolana i dziękować niebiosom.

W przeciwieństwie do mamy, zarówno Ojciec, jak i ciocia Noni, mieli ogromne poczucie humoru i byli znakomitymi gawędziarzami. Tato opowiadał mi różne historie ze swego życia, kiedy już leżałem wieczorem w łóżku – dotyczyły głównie lat szkolnych i jego przeżyć w okopach pierwszej wojny światowej. W ten sposób dowiedziałem się, że ukrył swój prawdziwy wiek, aby zaciągnąć się do wojska, usłyszałem, jak wyglądało życie pod ostrzałem, kiedy widział kolegów rozrywanych pociskami na kawałki, oraz jak sam został ciężko ranny i ocknął się w namiocie polowego szpitala z bezwładną prawą ręką, nieodwracalnie uszkodzoną. Poznał mamę w trakcie rekonwalescencji w szpitalu na Church Lane w Upper Tooting, gdzie pracowała jako pielęgniarka wolontariuszka. Jedna z zabawniejszych historii mówiła o tym, jak będąc kiedyś na przepustce nie wrócił do szpitala przed wyznaczoną porą i mama pomagała mu w nocy przełazić przez mur.

Pobrali się w 1919 roku, kiedy Tato miał lat dziewiętnaście, a mama chyba dwadzieścia. Urodziłem się sześć lat później w prywatnej klinice położniczej w Stockwell, bardzo blisko miejsca, gdzie dwa lata wcześniej zmarł angielski mnich buddyjski Ananda Majtreja.

W okresie moich narodzin rodzice mieszkali w Tooting w domu należącym do Nany, gdzie zajmowali mieszkanie na pięterku. Przeprowadzili się tam kilka miesięcy wcześniej, gdy Nana, dowiedziawszy się, że moja mama jest w ciąży, przeniosła się do Southfields. Był to skromny szeregowy ceglany dom, z dachem krytym łupkami, otoczony przykurzonym żywopłotem z ligustru, z firankami w oknach i frontowymi drzwiami na wysoki połysk – jeden z setek tysięcy domów stojących obok siebie w nieskończonych rzędach w tym olbrzymim labiryncie krzyżujących się ulic, jakim są przedmieścia Londynu.

Moje najwcześniejsze wspomnienie związane jest z przebywaniem w środku domu, a nie na zewnątrz. Leżałem nocą w sypialni rodziców, w wielkim podwójnym łóżku, gdzie układano mnie do snu, i wpatrywałem się w sufit ozdobiony roślinną sztukaterią w kształcie i rozmiarze koła od wozu – z jego środka zwisał niezapalony kinkiet gazowy. Kiedy główną drogą u wylotu naszej uliczki przejeżdżały samochody, światła reflektorów kręciły się po sztukaterii na suficie jak wielkie jasne szprychy wokół ciemnej piasty. Gdy samochody jechały na południe w stronę wybrzeża, szprychy przesuwały się zgodnie z ruchem wskazówek zegara; gdy jechały na północ, do centrum miasta, kręciły się w przeciwnym kierunku. Leżałem w ciemnościach, a do moich uszu docierały odległe dźwięki dzwoniących tramwajów i niski pomruk pozostałych pojazdów; obserwowałem tańczące na suficie świetlne szprychy kręcące się to w jedną, to w drugą stronę, a czasami w obie strony jednocześnie, kiedy mijały się dwa samochody – aż wreszcie zasypiałem ukołysany do snu świetlnymi refleksami.

W miarę jak dorastałem, naturalnie nie wystarczała mi już bierna kontemplacja, więc bez przerwy wołałem – „Mamo, czy mogę wyjść się pobawić?" Codziennym placem zabaw londyńskiego dziecka jest oczywiście ulica, ale nie pozwalano mi wychodzić, dopóki nie osiągnąłem wieku szkolnego. Do tego czasu bawiłem się na ganku wyłożonym białymi i czarnymi płytkami lub przed domem, pod osłoną przykurzonego żywopłotu. Towarzyszkami tych zabaw była moja młodsza o piętnaście miesięcy siostra, Joan, oraz dziewczynka w moim wieku, która mieszkała w sąsiedztwie, trochę dalej na tej samej ulicy. Czasami robiliśmy tyle hałasu, że 'pani z dołu' musiała delikatnie pukać w szybę swojego frontowego pokoju, żeby nas uciszyć. Kiedy padał deszcz lub z innych powodów nie pozwalano mi wyjść przed dom, zawsze prosiłem – „Mamo, czy Frances może przyjść się ze mną pobawić?" Zazwyczaj mogła. Naszą ulubioną zabawą były przebieranki – potrafiliśmy przetrząsnąć cały dom w poszukiwaniu starych firanek. Wyjątkową przyjemnością były sytuacje, kiedy pozwalano nam pożyczyć haftowaną chustę, w której Ojciec i ja byliśmy chrzczeni. Nasza radość nie miała wtedy granic, gdyż zamiast bawić się jak zwykle w mamę i tatę, mogliśmy urządzać ślub. W moim przypadku to upodobanie do przebierania się trwało znacznie dłużej niż u dziewczynek – jeszcze w wieku ośmiu lat potrafiłem spędzać całe godziny stojąc przed lustrem wiszącym na drzwiach szafy i eksperymentując z różnymi strojami. Miałem poczucie, że sweter i pumpy to nie było moje prawdziwe ubranie, więc desperacko owijałem się zwojami materiałów, drapując je na sobie i na próżno szukając właściwej dla siebie szaty. Czułem satysfakcję tylko wtedy, kiedy z pomocą czerwonej flagi marynarki handlowej udawało mi się osiągnąć efekt togi, która, choć nie do końca idealna, do pewnego stopnia była celem moich dążeń. Z powagą dzierżąc w dłoni oprawioną w srebro bursztynową laskę dziadka, stałem przed lustrem gapiąc się w swoje odbicie z niebywałą przyjemnością.

W połowie ulicy, po drugiej stronie drogi, stała szkoła, do której uczęszczał mój Ojciec jako mały chłopiec, i do której mnie również posłano, kiedy skończyłem cztery lata. Jak pamięcią sięgam, zawsze widziałem jej turkusowo-zielone wieżyczki na tle nieba i słyszałem dzwonek rozbrzmiewający dwa razy dziennie. Mimo to, w pierwszym dniu szkoły byłem tak przerażony, że uciekłem do domu przy pierwszej nadarzającej się okazji. Moja niechęć do nauki nie trwała długo i spędziłem w dziale przedszkolnym cztery bardzo szczęśliwe lata – najdłuższy okres nieprzerwanej edukacji w całym moim życiu.

W dni powszednie po podwieczorku, w soboty przez cały dzień (choć zwykle nie w niedzielę)

i praktycznie każdego dnia w czasie wakacji pozwalano nam bawić się na ulicy. Chociaż znaliśmy wiele dzieci, Frances, Joan i ja tworzyliśmy małą zamkniętą grupkę i nadal bawiliśmy się głównie razem, gdyż czuliśmy się najszczęśliwsi we własnym gronie. Nigdy nie organizowaliśmy sobie wszystkich rodzajów zabaw w jeden dzień. Patrząc wstecz, wydaje mi się, że nasze gry miały swoje cykle – zabawy w rozbijanie kasztanów na sznurku, gra w kulki, puszczanie wirujących bączków, gra w klasy – przychodziły i odchodziły zgodnie z prawami równie niewzruszalnymi co prawa fizyki lub chemii. Na przykład, w konkretny sierpniowy dzień każde dziecko w sąsiedztwie zaczynało budować swoją grotę i jakakolwiek próba stworzenia jej wcześniej, lub przedłużenia jej egzystencji ponad trzy tygodnie, uważana była za wysoce naganną. Te groty zawsze były budowane na chodniku pod ścianą i składały się z muszelek lub małych kamieni ułożonych w kształcie kwadratu, wewnątrz którego układaliśmy kwiaty, małe naczynia stołowe i jakiekolwiek błyszczące lub interesujące przedmioty. Po ich skonstruowaniu mieliśmy prawo siedzieć obok i żądać od przechodniów miedziaków.

Wielkim wydarzeniem każdego roku był dzień Derby – wyścigi konne w Epsom – kiedy przez całe popołudnie, wieczór aż do późna w nocy główną ulicą u wylotu naszej uliczki, prowadzącą z Londynu do Epsom, płynął nieprzerwany strumień samochodów, autobusów oraz zaprzężonych w konie powozów i karet wypełnionych tłumem szczęśliwych i rozemocjonowanych bywalców wyścigów. Gromady podekscytowanych dzieciaków stały na chodnikach i wymachiwały czerwonymi, białymi i niebieskimi chorągiewkami – za nimi tłoczyli się rodzice, przede wszystkim pilnując, żeby ich pociechy nie wpadły pod koła pojazdów. Nasze podniecenie osiągało szczyt po zakończeniu wyścigów, kiedy po wszystkich wygranych i przegranych zakładach rzeka pojazdów sunęła z powrotem do domów. Każdy jasno oświetlony powóz, który nas wolno mijał, witany był głośnym okrzykiem – „Rzućcie drobne!" – na to hasło podchmieleni pasażerowie radośnie sypali w naszą stronę garście miedzianych pieniążków, które rzucaliśmy się zbierać, zaciekle o nie walcząc, aż pojawił się następny pojazd. Od czasu do czasu przy dźwiękach strzelającego bata i dzwoneczków wiszących na przystrojonych wstążkami końskich uprzężach, w całej glorii niezliczonych błyszczących perłowych guzików, przejeżdżał jakiś perłowy król i perłowa królowa[1]. Zawsze byli tędzy i podstarzali, a królowa, zwykle bardziej korpulentna i śmiejąca się jeszcze serdeczniej niż król, nieodmiennie nosiła na głowie wielki czarny kapelusz z olbrzymim strusim piórem, podrygującym i tańczącym przy każdym kroku ciągnącego powóz kuca.

Innym corocznym wydarzeniem był Dzień Guy'a Fawkes'a. Jak tylko się ściemniło, Joan, ja, mama i Ojciec, a czasami również Nana i ciocia Noni, schodziliśmy rządkiem w dół na nasze maleńkie tylne podwórko, gdzie na środku betonu stała już przygotowana kukła Guy'a. Tato polewał ją parafiną i potem podpalał. Kiedy płomienie zwolna obejmowały całą postać i dym wił się kłębami, ciemność ustępowała jaskrawemu czerwonawemu światłu, w którym nasze twarze świeciły szkarłatnie, a głosy rozbrzmiewały bardzo dziwnie, zupełnie inaczej niż zwykle. Wtedy zapalaliśmy zimne ognie, z którymi mogliśmy swobodnie biegać dokoła, trzymając je w dłoniach, oraz fajerwerki w rodzaju ogni rzymskich i złotego deszczu, które musiały być jednak ustawione na ziemi w bezpiecznej odległości. Koła ogniste wirowały ze świstem, tryskając pióropuszami tęczowych iskier, a czerwone i zielone rakiety z głośnym sykiem wylatywały wysoko w niebo. Petardy wybuchały tuż obok nas, prawie pod naszymi nogami. W niecałe pół godzinki nasz Guy Fawkes buchał wesoło płomieniami. Po kolejnych dziesięciu minutach jego zwęglona, nierozpoznawalna już głowa zapadała się w płomienie, strzelając deszczem pomarańczowo-złotych iskier. W ciągu godziny ognisko wypalało się, płomienie znikały i zostawała tylko masa dogasającego żaru. Kiedy ucichły nasze okrzyki i śmiech, staliśmy w ciemnościach w milczeniu, spoglądając w górę i obserwując przez zadymione powietrze, jak na zimnym listopadowym niebie

---

1

„Pearly queen" i „pearly king" kramarz i kramarka ze wschodniego Londynu w tradycyjnym stroju z guzikami z masy perłowej. [przyp. tłum.]

pojawiają się gwiazdy.

Nie wiem, w jakim stopniu londyńskie dzieci zachowują stare zwyczaje i czy znają tradycyjne widoki i dźwięki. Może nadal słyszą w oddali dzwonek sprzedawcy ciepłych bułeczek, widzą wędrownego szlifierza pchającego tarczę do ostrzenia wąskimi uliczkami przedmieść, lub tandeciarza proponującego żółwie i złote rybki na wymianę za złom, stare ubrania, stare gazety i obtłuczone naczynia stołowe. Jestem jednak pewien, że żadne z nich nigdy nie widziało ulicznego latarnika na obchodzie, zapalającego gazowe lampy. Jeszcze zanim wyprowadziliśmy się z domu w Tooting, oświetlenie elektryczne zastąpiło stare gazowe latarnie uliczne, które w deszczowe dni odbijały się na mokrych chodnikach dziwnym opalizującym światłem. O ósmej wieczorem w szczycie lata, a już o czwartej po południu w środku zimy, na ulicy zjawiał się stary latarnik. Oparłszy drabinę o poziome ramię latarni, wspinał się na nią, otwierał okienko w szklanym kloszu, zapalał koszulkę żarową, regulował płomień, po czym schodził. Unosząc drabinę na ramieniu, szedł do następnej lampy. Jestem przekonany, że nie ma bardziej odludnego widoku na świecie niż opustoszała ulica w wielkim mieście, w paru miejscach słabo oświetlona gazowymi latarniami.

Oczywiście ani mnie, ani Joan nigdy nie wolno było wychodzić samemu z domu po zmierzchu. Ale czasami latem, kiedy o szóstej było jeszcze zupełnie widno, mama wysyłała nas do stacji metra na Broadwayu na spotkanie Taty. Tooting Broadway, gdzie posąg Edwarda VII odzianego w królewskie szaty i stojącego na marmurowym piedestale górował nad publiczną toaletą, i gdzie pociągi przetaczały się z okropnym zgrzytem kół i piskiem hamulców, był dla nas prawdziwym pępkiem świata. Było to wtedy rzeczywiście jedno z największych skrzyżowań komunikacyjnych i centrów handlowych w południowym Londynie, choć Ojciec pamiętał czasy z początku wieku, kiedy High Street była jeszcze wiejską drogą z zielonymi polami po obu stronach. Stojąc w przedsionku metra, oboje z Joan syciliśmy oczy widokiem pozłacanych koszy, wypełnionych kolorowymi szklarniowymi owocami, wiszących na wystawie sklepu owocowego Walton's. Za każdym razem, kiedy uderzał w nas podmuch gorącego powietrza płynącego z szybu ruchomych schodów, co było znakiem, że przyjechał pociąg, wyciągaliśmy gorączkowo szyje, wypatrując Ojca w tłumie wylewającym się z bramki metra. Jak tylko go zobaczyliśmy, z gołą głową i dyplomatką w ręku, idącego w naszym kierunku kołyszącym się marynarskim krokiem, rzucaliśmy się w jego stronę, oboje chwytaliśmy go za ręce, każde za jedną, i triumfalnie prowadziliśmy do domu.

Kiedy już znaleźliśmy się w kuchni, otwierałem jego teczkę i wyciągałem gazetę, którą był niezmiennie *Daily Herald*, ponieważ w przeciwieństwie do reszty rodziny Ojciec był zagorzałym zwolennikiem Partii Pracy. Jego jedynym ustępstwem na rzecz konserwatyzmu było kupowanie *Sunday Express*, gazety czytanej także przez Nanę. Później przerzucił się na *People*, ale nie wiem z jakiego powodu. Moje zainteresowanie *Daily Herald*, którą czytałem rozłożoną na podłodze, gdyż była dla mnie za duża, abym mógł ją trzymać w wyciągniętych rękach, zdecydowanie nie miało natury politycznej. Interesowało mnie śledzenie przygód niedźwiadka Bobby. Dopiero po zapoznaniu się z najnowszymi wyczynami tego bohatera, przystępowałem do czytania wiadomości. Myślę, że nauczyłem się czytać z gazety Ojca, a nie z jakiegoś szkolnego elementarza.

Pierwszą prawdziwą książką, jaką miałem w ręku, była rodzinna Biblia w wytłaczanej skórzanej okładce i z podniszczonym pozłacanym zapięciem, tak ciężka i duża, że ledwie mogłem ją unieść. Naśladując Ojca nazywałem ją „Biblią babci", gdyż tom należał przedtem do matki Nany, która nadal żyła, ale widziałem ją tylko raz w życiu. Od dawna doskonale znałem bogate ilustracje, przedstawiające niebieskim, czerwonym i żółtym kolorem sceny takie jak Daniel klęczący pośród czaszek i żeber w legowisku lwa lub Samson trzymający w ręku kość szczęki osła. Pewnego deszczowego dnia, kiedy miałem może pięć albo sześć lat, przyszło mi do głowy, że zamiast samego oglądania obrazków, mógłbym też czytać tekst, po czym bezzwłocznie przesylabizowałem pierwsze dwa rozdziały księgi Genesis.

Jeśli Biblia dała mi pierwsze doświadczenia z prozą, to pierwszy smak poezji zawdzięczam modlitewnikowi. W wieku sześciu lub siedmiu lat, w biblioteczce stojącej w salonie odkryłem wśród innych książek Ojca tom zatytułowany *Prayer and Praise at Eventide* (Wieczorne modlitwy i hymny). Z napisu na wyklejce dowiedziałem się, że był to prezent, który mój dziadek ze strony

Ojca dostał od swojej matki. Otwierając książkę, natknąłem się na dwa wersy:

Pozostań, pielgrzymie, pozostań!
Noc depcze już światłu po piętach.

Było to moje pierwsze w życiu zetknięcie z metaforą i nadal pamiętam pełen zachwytu wstrząs, jakiego wtedy doznałem. Chociaż przeczytałem cały tom, łącznie z modlitwami, nic nie miało w sobie takiej magii jak te dwie linijki.

Nana odwiedzała nas raz w tygodniu w dniu, kiedy przychodziła z Southfields do Tooting zobaczyć starych przyjaciół, zebrać czynsze od lokatorów i zrobić małe zakupy. Ciocia Noni zjawiała się rzadziej. Z wyjątkiem przyjaciół Ojca i ich żon prawie wszyscy nasi goście byli krewnymi mamy. Najczęściej i najregularniej odwiedzały nas ciocia Kate i ciocia Jessie.

Tylko pisarka[2], która stworzyła ciotki w *Młynie nad Flossą* mogłaby oddać im sprawiedliwość, choć żadna z nich nie była tak onieśmielająca jak powieściowa ciotka Glegg, ani się nie pyszniła i nie puszyła jak ciotka Dean. Ciocia Kate, niezbyt korpulentna, z błyskiem w łzawiącym niebieskim oku, czesała się w kok, który trzymał się na głowie dzięki wielkim szpilkom do włosów. Jej bardzo typowy w rodzinie nos, czyli długi, był na czubku czerwony i świecący, ponieważ nie zważając na wymówki mojej mamy i cioci Jessi nigdy nie chciała go przypudrować. Obie określały ją epitetem ‘staroświecka’, czemu trudno się dziwić, gdyż jako najstarsza ze wszystkich sióstr była już mężatką i zdążyła urodzić syna, kiedy najmłodsza siostra, czyli moja mama, leżała dopiero w kołysce. Ciocia Kate w gruncie rzeczy była staromodna pod wieloma względami. Nawet słodycze, które nam przynosiła, były z gatunku sprzedawanego chyba za czasów Dickensa. Poczucie humoru też miała dziewiętnastowieczne i kiedy przebywała nad morzem na wakacjach, zwykle przysyłała wszystkim przyjaciółkom i krewnym zabawne pocztówki przedstawiające okropnie grube kobiety z nienaturalnie sterczącymi pośladkami ubrane w kostiumy kąpielowe. Jednak ciocia Kate cierpiała na melancholię i w późniejszych latach spędzała wieczory samotnie na czytaniu *Kuby Rozpruwacza*, a potem gasiła światło i siedziała sama w ciemnościach.

Ciocia Jessie otrzymała epitet ‘dostojna’, w przeciwieństwie do mojej mamy, która była ‘żwawa’. Ciocia miała wydatny biust, łagodne brązowe oczy, muzykalny głos i zawsze pachniała perfumami i pudrem. Była cicha i delikatna, a z wyrazu jej twarzy przebijał lekki smutek. W przeciwieństwie do cioci Kate lubiła sprośne żarty na tyle, żeby się z nich śmiać, ale nie na tyle, żeby je opowiadać, a kiedy się śmiała, zawsze zakrywała usta dłonią, jakby chciała ukryć rumieniec, a może rzucające się w oczy sztuczne zęby.

W dniach wizyt obie ciotki przybywały zwykle wczesnym popołudniem, ale bywało, że zjawiały się o jedenastej rano, i w te dni ciocia Kate, ku zgorszeniu mamy i cioci Jessie, wyciągała z brązowej papierowej torebki własny lunch – wędliny i marynowane cebulki. Po przedyskutowaniu tematów pasmanteryjnych oraz związanych z mężami i wypiciu niezliczonych filiżanek herbaty trzy siostry zaczynały przymierzać swoje kapelusze, a ponieważ bardzo często kupowały sobie nowe, na każdym spotkaniu obecny był co najmniej jeden kapelusz, którego nie widziała co najmniej jedna siostra. Po odbyciu tego rytuału ciocia Kate i ciocia Jessie wciągały na dłonie rękawiczki, brały swoje torebki i ucałowawszy wszystkich naokoło wychodziły, aby powrócić tramwajem do domu.

W tamtym okresie ciocia Kate mieszkała, jak zawsze zresztą, w dzielnicy Fulham, gdzie razem z Mamą odwiedzaliśmy ją dwa lub trzy razy w roku. Po przejściu przez most Wandsworth, mijaliśmy po drodze rzędy sympatycznych choć ubogich domków, gdzie w zimny grudniowy wieczór, około godziny szóstej miało się ochotę zanucić:

Zapada zimowy wieczór,
a na uliczkach unoszą się zapachy steków[3],

2 Mary Ann Evans, która publikowała powieści pod męskim pseudonimem George Eliot. [przyp.tłum.]
3 T.S. Eliot, Prufrock and Other Observations [przyp. red.]

Mama pokazywała mi jeden z domów, większy od pozostałych, do którego żywiła szczególne uczucia, ponieważ był to dom, gdzie się urodziła. Czasem widok starego budynku budził wspomnienia i zaczynała mi opowiadać o swoim urodzonym na Węgrzech dziadku, który znał zaledwie kilka angielskich słów, i był właścicielem sklepu ze słodyczami, gdzie pomagała mu jako mała dziewczynka; oraz o swoim Ojcu, klarneciście, któremu czasami akompaniowała w czasie recitali w kontynentalnej Europie. Mówiła też o swoich braciach i siostrach, których było w sumie trzynaścioro, ale nie widziałem wszystkich. Najmłodszy z nich, wujek Dick, który poszedł w ślady Ojca i został klarnecistą, w wieku lat szesnastu wyjechał do Indii, gdzie został przyjęty do orkiestry gubernatora Bengalu. Ten brat był zupełnie nieświadomie powodem jednego z najokrutniejszych rozczarowań mojego dzieciństwa. Kiedy miałem sześć lat, przyjechał do Anglii na urlop. Wiadomość o jego przyjeździe wprawiła mnie w stan gorączkowej ekscytacji, gdyż przypuszczałem, że będzie otoczony wielką świtą hinduskich służących, a ponieważ nigdy wcześniej nie widziałem żadnego Hindusa, wyczekiwałem wizyty wuja w naszym domu z ogromną niecierpliwością. Kiedy wreszcie otworzyły się drzwi do kuchni i gorączkowo wyciągnąłem szyję, by ujrzeć

śniade twarze spowite białymi jedwabnymi turbanami[4]

które miałem nadzieję, że będą się promiennie uśmiechały zza pleców wuja, jedyne, co zobaczyłem, to bardzo europejskie rysy wujka Dicka, cioci Dolly i moich dwóch małych kuzynów.

Na święta Bożego Narodzenia zapraszano do domu przedstawicieli obu rodzin – Mamy i Taty – choć Mama często narzekała, że ‘jej strona’ jest zaniedbywana. Przygotowania do świąt zaczynały się od zakupienia dużej ilości ostrokrzewu i jemioły ze straganiarskiego wózka na Tooting Broadway, gdzie jasno oświetlone wystawy sklepowe mieniły się lametami, i gdzie w trakcie świątecznego tygodnia wolno przesuwające się gromady rozradowanych kupujących z każdym dniem coraz bardziej tłoczyły się na chodnikach. Szczyt przygotowań przypadał na ostatnią sobotę przed Bożym Narodzeniem, kiedy z pomocą czujnego i fachowego oka Nany kupowaliśmy indyka i dodawaliśmy ostatni składnik do puddingu bożonarodzeniowego. W kuchni i w salonie Ojciec rozwieszał papierowe łańcuchy, które czasem robiliśmy własnoręcznie z kolorowych pasków papieru, a także chińskie lampki, pęki balonów i papierowe dzwonki. Była też choinka dekorowana przez nas opalizującymi bombkami z kolorowego szkła przechowywanymi z roku na rok, świeczkami z czerwonego, niebieskiego, zielonego i żółtego wosku oraz pasmami lamety. Na niższych gałęziach wisiały prezenty, a na czubku drzewka błyszczała wielka srebrna gwiazda.

W dniu Bożego Narodzenia pierwsze, co robiłem, to opróżniałem pończochę z prezentami wiszącą u stóp łóżka i otwierałem stos paczek leżący obok na krześle. Na samym dnie pończochy zawsze była mandarynka. Resztę poranka spędzaliśmy w salonie, gdzie stały talerze z orzechami, paczki fig oraz daktyli, i gdzie w południe Joan i ja dostawaliśmy kieliszek wina porto do naszych babeczek bakaliowych. Ponieważ indyk musiał się piec kilka godzin, świąteczny obiad podawano dość późno. Promieniejąca Mama triumfalnie wyłaniała się z przykuchennej spiżarni w kłębach pary, niosąc przed sobą na dużym owalnym półmisku indyka z gałązką ostrokrzewu zatkniętą w pieczeń. Po obiedzie odwiązywano prezenty z choinki i rozdzielano je między wszystkich. Wieczorem Ojciec czasami puszczał swoje ulubione płyty gramofonowe. Pamiętam, że była wśród nich operowa aria śpiewana przez Caruso, którego bardzo lubił, i *Błękitna Rapsodia* Gershwina. Z powodu sposobu, w jaki klarnet wspinał się po muzycznej skali w początkowych taktach, nazywałem ten drugi utwór ‘samolotem’.

Urodziny świętowaliśmy mniej więcej tak samo, tylko na znacznie mniejszą skalę. W miejsce indyka i puddingu pojawiał się tort urodzinowy z odpowiednią liczbą świeczek, a zamiast dużego grona dorosłych przychodziła mała grupka dzieci. Jednak dla mnie zarówno święta, jak i urodziny, zawsze kończyły się katastrofą, ponieważ byłem tak maksymalnie podekscytowany, że mimo ogromnego zmęczenia nie mogłem znieść myśli o pójściu do łóżka. Skutek był taki, że Ojciec

4 Thomas De Quincey, Autobiographical Sketches [przyp. red.]

musiał odwoływać się do swej rodzicielskiej władzy i byłem odsyłany do mojego pokoju cały we łzach. A więc już w tak wczesnym okresie życia musiałem się nauczyć, że

Każda słodycz goryczą jest stale zaprawiana[5].

5 Edmund Spenser, Sonet XXVI [przyp. red.]

Rozdział 2

Encyklopedia dla dzieci

Kiedy miałem osiem lat, któregoś dnia w grudniu, w jasny zimowy poranek stałem na krześle przy oknie z rozpiętą piżamą i podkoszulkiem podciągniętym pod samą brodę, żeby lekarz mógł się dokładniej przyjrzeć mojej klatce piersiowej. Byłem obsypany matowymi czerwonymi krostami. Kazał mi się odwrócić i dokładnie zbadał plecy – takie same czerwone krosty! „Szkarlatyna – stwierdził krótko – będzie musiał iść do szpitala".

Choć chorowałem wcześniej na odrę, koklusz i grypę, pierwszy raz zaszła konieczność, żeby umieścić mnie w szpitalu – ogarnął mnie lęk. Poza tym, został już tylko tydzień do Bożego Narodzenia i byłem głęboko zaniepokojony perspektywą, że ominą mnie wszystkie świąteczne atrakcje. Aby uśmierzyć mój strach, wyciągnięto schowaną w szafie książkę – *Alicję w Krainie Czarów* – i wręczono mi ją przed terminem z zapewnieniem, że jeśli będę grzecznym chłopcem i pójdę do szpitala bez awantur, na pewno wrócę do domu przed świętami, żeby samemu otworzyć resztę prezentów w bożonarodzeniowy poranek. Dlatego, kiedy przyjechał ambulans, wsiadłem do niego w całkiem wesołym nastroju, ściskając w ręku *Alicję w Krainie Czarów* i głośno oznajmiając, że za cztery, pięć dni będę z powrotem.

Pewnie nie szedłbym tak spokojnie, gdybym wiedział, że pobyt w szpitalu potrwa pięć tygodni, że nawet kiedy wrócę, będzie mnie czekało życie zupełnie inne od tego, do którego byłem przyzwyczajony, i że przez kilka następnych lat nie będę mógł brać udziału w żadnych świątecznych uroczystościach.

Godzinę później leżałem w łóżku na oddziale szpitalnym, gdzie znajdowało się około czterdziestu chłopców w różnym wieku – wszyscy ze szkarlatyną. Początkowo całym moim schronieniem była *Alicja w Krainie Czarów* – jedyna rzecz łącząca mnie z domem. Ale wkrótce zdenerwowanie zmalało, przyzwyczaiłem się do zdyscyplinowanej szpitalnej rutyny i zaprzyjaźniłem z kilkoma chłopcami. Nasz dzień zaczynał się bardzo wcześnie. Na długo przed świtem krótkiego zimowego dnia, z brzękiem wiader i mopami w rękach wkraczały do sali dwie wesołe sprzątaczki ubrane w różowe sukienki osłonięte białymi fartuchami i zaczynały wyciągać nasze przesuwane na kółkach łóżka na środek sali jednym ruchem krzepkich ramion. Kiedy zamiotły, wyszorowały, odkurzyły i wypolerowały każdy cal kwadratowy drewna i metalu tak, że drewno lśniło jak szkło, a metal błyszczał jak srebro i złoto, ponownie ustawiały łóżka pod ścianami, a potem pacjentom przynoszono śniadanie. Nigdy nie interesowało mnie jedzenie, więc ze szpitalnych posiłków pamiętam tylko nieprzyjemnie grube kubki, z których piliśmy mocno rozrzedzone mleko. Po śniadaniu był czas na mycie twarzy i rąk oraz czyszczenie uszu i nosa. Na końcu odbywało się ścielenie łóżek – sztywne białe prześcieradła składano na pół w dolnej części łóżka i podwijano pod materac tak ciasno, że aż wyginał się w łuk.

Rankiem w dniu Bożego Narodzenia gorączkowo odwijałem paczkę, którą Ojciec zostawił dla mnie w szpitalu poprzedniego wieczora. Choć zawierała dużo różnych ładnych rzeczy, wśród których były książki i zabawki, to najlepiej pamiętam wciśnięte w róg pudełka dwie kwaśne czerwone śliwki. Mimo naszych protestów, a nawet łez, nie pozwolono nam zatrzymać prezentów – wszystkie wylądowały w pudle wspólnych zabawek w łazience.

Chociaż w mojej pamięci ciągle stoją jak żywe wesołe twarze i przyjazne głosy dwóch sprzątaczek, to z wyjątkiem siostry oddziałowej w ogóle nie pamiętam żadnych pielęgniarek. Były maszynami do mierzenia temperatury i podawania lekarstw – bez wątpienia właśnie do tego je wyszkolono – ale gdzieś tam pod sztywno wykrochmalonymi fartuchami na pewno biły ludzkie serca. Pielęgniarka oddziałowa była bardzo ładna, lecz tak sroga, że aż złośliwa. Każdego wieczoru, zanim poszliśmy spać, to właśnie ona z ołówkiem w ręku i z twarzą jak u Meduzy robiła obchód, przeprowadzając śledztwo na temat pracy naszych jelit w minionym dniu. Jeśli było wypróżnienie, stawiała ptaszka w rejestrze, jeśli nie było, stawiała zero i dostawało się szklankę syropu z senesu. Dawano nam do zrozumienia, że zatwardzenie jest kryminalnym przestępstwem. Pewnego razu, kiedy trzęsąc się ze strachu przyznałem, że trzeci dzień z rzędu nic się w tym względzie nie działo,

zostałem bardzo surowo złajany i posłany do ubikacji z poleceniem siedzenia tam tak długo, aż moje krnąbrne jelita spełnią swój obowiązek.

Na szczęście nie wszystkie szpitalne doświadczenia były równie nieprzyjemne. Po powrocie z izolatki, gdzie razem z trzema czy czterema innymi chłopcami leżałem przez cały tydzień z powodu ospy wietrznej, pozwalano mi spędzać większość dnia poza łóżkiem. Któregoś ranka razem z kilkoma innym rekonwalescentami mogłem zejść na dół i przez godzinę pobawić się na podwórku w bladym świetle zimowego słońca pod opieką najstarszego z pacjentów, czyli chłopaka dwunastoletniego. Kiedy byliśmy zamknięci na oddziale, zabawialiśmy się ślizganiem po wypolerowanej podłodze w samych skarpetach. Ale najprzyjemniej wspominam godziny spędzone na wspólnym śpiewaniu *Underneath the Arches*, *Shanty Town* i pozostałych piosenek Flanagana i Allena, będących wówczas u szczytu popularności.

W czasie mojego pobytu w szpitalu zmarł tylko jeden chłopiec. Od kilku dni byliśmy świadomi, że jest o wiele bardziej chory od pozostałych pacjentów, ponieważ kiedy przyszli lekarze, jego łóżko obstawiono parawanami, a raz ze zgrozą ujrzeliśmy kilka metrów gumowych rur wiodących za zielone zasłonki. Pewnego dnia przyszły do niego dwie postacie okutane w czerwone peleryny i kaptury i siedziały z nim przez godzinę. Tej nocy, kiedy na oddziale paliło się tylko przyćmione niebieskie światło, a nocna pielęgniarka siedziała pisząc coś przy stole, widziałem zagadkowe postacie przemykające między łóżkiem tego chłopca i drzwiami. Wydawało mi się, że niosą coś ciężkiego. Rano, kiedy usunięto parawany, zobaczyliśmy, że chłopca nie ma.

W dniu kiedy wypuszczano mnie ze szpitala, jedna z pielęgniarek wzięła Mamę na stronę i powiedziała jej, że wyjątkowo wysokie tętno, które zawsze uważano za objaw mojego powszechnie znanego lęku przed lekarzami, ma prawdopodobnie inną przyczynę. Radziła zgłosić się do rodzinnego lekarza, żeby dokładnie przebadał mi serce. Zaalarmowani rodzice niezwłocznie zaprowadzili mnie do niego i wkrótce odkryto, że mam chore zastawki serca. Wiele lat później istniały wśród lekarzy duże kontrowersje co do przyczyny mojego schorzenia. Część z nich uważała, że powodem była gorączka reumatyczna w bardzo wczesnym dzieciństwie. Jednak nasz domowy lekarz, który zajmował się każdym moim katarem i kaszlem od dnia mego urodzenia, utrzymywał, że nigdy nie miałem gorączki reumatycznej. Moim zdaniem było to zaburzenie czynnościowe, to znaczy miało przyczynę natury psychicznej. Kiedy pojechałem do Indii i zacząłem praktykować medytację buddyjską, która uspokaja umysł i pomaga pozbyć się kompleksów, mój stan znacznie się poprawił.

Bez względu na to, co było przyczyną choroby, lekarz domowy w tamtych czasach nie miał żadnych wątpliwości co do sposobu, w jaki należy ją leczyć. Kazano mi cały czas leżeć w łóżku, zupełnie płasko na plecach. Od tego czasu przez dwa lata oglądałem tylko malowane nasturcje na ścianach mojego pokoju i całymi godzinami obserwowałem ścienny zegar w kształcie sowy i sowie oczy, które przy akompaniamencie głośnego tykania poruszały się w lewo i w prawo razem z rytmicznie kołyszącym się wahadłem.

Ponieważ mój stan wymagał absolutnego spokoju, nikomu nie pozwalano mnie odwiedzać. Widywałem tylko lekarza, który początkowo przychodził trzy razy dziennie, pielęgniarkę dzielnicową i rodziców. Raz kiedyś Joan, widząc, że drzwi do pokoju zostawiono otwarte, zerknęła do środka z widocznym strachem na buzi. Na kilka miesięcy przed złapaniem szkarlatyny przeszedłem w szkole do oddziału juniorów i moja nauczycielka, mała, rumiana, bardzo życzliwa kobieta, niechętnie patrząc na przerwę w mojej edukacji, zaproponowała, że w wolnym czasie będzie mnie uczyć literowania i arytmetyki. Okazało się jednak, że lekcje wywoływały we mnie zbyt duże poruszenie, zostały więc przerwane.

Przez cały ten czas, kiedy byłem przykuty do łóżka, moich rodziców nieustannie zajmowały dwie sprawy – jak mnie uspokoić i czym mnie zająć. Z pierwszym problemem, którego rozwiązanie było znacznie pilniejsze, ponieważ uważano, że zależało od niego moje życie, poradzono sobie w ten sposób, że nie pozwalano mi nawet usiąść w łóżku o własnych siłach, wykluczono wszystkich gości i wyeliminowano wszelkie hałasy. Jeśli chodzi o drugi, szybko odkryto, że najlepszym rozwiązaniem jest dostarczenie mi książek i czasopism, dzięki czemu błyskawicznie nabrałem nawyku namiętnego i nieustannego czytania, którego już nigdy się nie pozbyłem.

Wkrótce po tym, jak rozpoczęło się moje uwięzienie, Ojciec przyniósł mi do pokoju naręcze książek ze swojej biblioteki i ustawił je w małej wiszącej na ścianie biblioteczce – na jej górnej półce stał model jachtu *White Eagle*, który dostałem od Nany na siódme urodziny. Niektóre z tych książek przeczytałem już wcześniej. Oprócz *An Outline of English Church History* i kieszonkowego *Johnson's Dictionary*, z których obie, tak jak *Prayer and Praise at Eventide*, należały do mojego dziadka, były tam *The Tower of London* Harrisona Ainswortha, *Raffles* E.W. Hornunga, *The World Went Very Well Then*, *Peter the Whaler*, *Tom Brown's Schooldays* Waltera Besanta, *Hypatia* Kingsleya, *Jane Eyre* Charlotty Bronte oraz ilustrowany *English Reader*. Były jeszcze inne, ale już ich nie pamiętam. Ta oryginalna kolekcja książek – każdą z nich przeczytałem wielokrotnie – była fundamentem mojej edukacji, ponieważ ani przed, ani po mojej chorobie nie nauczyłem się w szkole niczego, co uznałbym za pożyteczne lub interesujące.

Jak kukułcze pisklę, które zmusza swoich przybranych wróblich rodziców do latania przez cały dzień w tę i z powrotem z pożywieniem dla jego nienasyconego dzioba, tak i ja nie dawałem rodzicom chwili wytchnienia od poszukiwania dla mnie coraz to nowych materiałów do czytania. Natychmiast po śniadaniu Ojciec pędził do kiosku na rogu i przynosił mi cotygodniowe serie czasopism dla chłopców – codziennie ukazywał się inny tytuł w serii. Moim ulubionym był *Wizard*, publikowany w poniedziałki, a zaraz za nim *Adventurer*, *Hotspur* i *Rover*. Bardzo niskie zdanie miałem o czwartkowym *Championie*, ponieważ opisywał głównie historie o tematyce sportowej. Natomiast słynne *Gem* i *Magnet*, które zawierały wyłącznie niemądre historyjki o ubranych w marynarki chłopcach z Eton i o ich nauczycielach w powiewających togach (w tych opowiastkach togi zawsze „powiewały") uważałem za kompletnie nie warte czytania. Wolałem rzeczy egzotyczne. Niezmordowani pisarze, którzy tydzień w tydzień wymyślali nowe pasjonujące odcinki seryjnych opowieści, śledzone przeze mnie z tak wielkim zainteresowaniem, zaspokajali naturalne chłopięce pragnienie przygody, eksploatując trzy odległe od siebie części globu – Czarną Afrykę (tam-tamy i kanibalizm), Dziki Zachód (kradzieże bydła i skalpowanie) oraz Tajemniczy Wschód (chińskie gangi, nałogowi palacze opium, sześciocalowe paznokcie i rzucanie toporami). Bohaterem jednej z tych odcinkowych opowieści był Djak – łowca głów. A w innej historii, do Anglii przyjechali tybetańscy lamowie w spiczastych kapturach i z zaszytymi w szwach ubrań termitami pożerającymi stal, i przy pomocy hipnozy uzyskali kontrolę nad mistrzem drużyny piłkarskiej, aby tym sposobem zdobyć pieniądze dla swojego rządu.

Spośród wszystkich tych historii moje największe zainteresowanie wzbudzały opowieści o Tajemniczym Wschodzie, stymulujące moją wyobraźnię do tego stopnia, że minęło zaledwie kilka miesięcy spędzonych w łóżku, a już sam napisałem przesyconą atmosferą opium historię o wojujących gangach i kręgach międzynarodowych przemytników, gdzie śmiercionośne toporki ukryte w jedwabnych rękawach nagle wylatywały w powietrze, a mężczyźni, którzy za dużo mówili, wyciągani byli potem przez policję z rzeki. Opowieść ta była moją pierwszą próbą literacką. Ojciec oczywiście ją przeczytał i chyba pomyślał, że takie ucieczki przed nagłą i gwałtowną śmiercią, choć nie bezpośrednie, nie są najlepszym zajęciem dla chłopca z chorymi zastawkami serca, więc już nic więcej nie napisałem.

Z około tuzina książek, które od niego dostałem, najbardziej podobały mi się *Jane Eyre* i *Hypatia*. Ciągle mam przed oczami chudą czarną postać pana Brocklehursta, stojącego w rozkroku na dywaniku przed kominkiem pani Reeds, a w moich uszach nadal brzmi jego rozkaz ścięcia naturalnie kręconych włosów Jane jako kara za próżność. A w chwilę po tym strasznym wyroku jego żona i córki (znakomita satyra!) wkraczają do pokoju w splendorze szeleszczących jedwabnych i satynowych sukni, oraz glorii falujących wokół twarzy sztucznych i naturalnych loczków. Równie żywo pamiętam wyniosłą pannę Blanche przy pianinie, pana Rochestera z jego niekonwencjonalnym wyznaniem i szaloną żonę uciekającą o północy ze swej izby, aby podrzeć ślubny welon Jane. W rzeczywistości, prawie każde wydarzenie z tej nadzwyczajnej powieści, którą potrafiłem dziesięć lat później czytać z niesłabnącym zainteresowaniem, na zawsze wyryło się w mojej pamięci.

Hypatię pamiętam trochę słabiej, gdyż pod względem literackim ta książka jest zaledwie trzepotaniem skrzydełek – w porównaniu z *Jane Eyre* unoszącej się wspaniałym lotem orła – ale

ona też wywarła na mnie silne wrażenie jako opowieść o jaskrawym konflikcie między tym, co najlepsze w pogaństwie, i tym, co najgorsze w chrześcijaństwie. Moja sympatia leżała po stronie ostatniej przedstawicielki neoplatonistów i doznałem nieopisanego szoku, kiedy podburzony przez arcybiskupa Cyryla chrześcijański motłoch rozszarpał ją żywcem na schodach prowadzących do ołtarza wielkiej bazyliki, dosłownie na oczach wiszącego na krzyżu Chrystusa. Ale jeszcze głębsze wrażenie niż ten tragiczny wypadek wywarły na mnie – przemowa Hypatii do jej uczniów, w trakcie której po raz pierwszy doświadczyłem przetaczającego się grzmotu pioruna, jakim jest wers Homerowy, oraz opis, kiedy leżała sztywna na sofie, a jej dusza uleciała samotna do Jedynego. Było to moje pierwsze i nigdy nie zapomniane zetknięcie z religią mistyczną.

W gruncie rzeczy, religia w jakiejkolwiek formie nie zajmowała znaczącego miejsca we wczesnym okresie mego życia. Chociaż zaraz po narodzinach ochrzczono mnie w kościele anglikańskim, do którego należała rodzina Ojca, nigdy nie byłem zmuszany do przestrzegania jakichkolwiek praktyk religijnych. Przez krótki czas chodziłem razem z Joan do niedzielnej szkółki w pobliskim kościele kongregacjonalistów – siedzieliśmy tam w najniższej klasie, na twardej ławce pod ścianą i potwornie się nudziliśmy. Trochę ciekawsze było pierwsze nabożeństwo – po powrocie z niego oświadczyłem rodzicom, że widziałem Ducha Świętego. Bliższe dochodzenie wykazało, że zjawą był pastor, który pojawił się na mszy ubrany w białą komżę.

Myślę, że obojętność moich rodziców wobec obrzędów religijnych nie tyle wynikała z deficytu religijnego instynktu z ich strony, co z bezdusznego formalizmu, jaki zaatakował wszystkie kościoły, kaplice, zbory i domy modlitewne w Tooting. Jedynym dostrzegalnym w naszej dzielnicy znakiem życia duchowego były siwowłose niewiasty z Armii Zbawienia, które w przekrzywionych czepkach na głowach i z transparentami głoszącymi legendy w stylu „Jezus umarł za ciebie", w każdą niedzielę rano stały przed pubem na placu Trafalgar i pod wodzą swego podstarzałego kapitana łamiącymi się ze wzruszenia głosami śpiewały smętne hymny przy wtórze piszczącej koncertiny i grzechotania tamburynów. Ojciec zawsze dawał im miedziaka, mimo że, jak większość mieszkańców Londynu, nie zgadzał się z ich religijnymi poglądami, to jednak szanował je za uczciwość i szlachetność ich pracy społecznej.

Pamiętam, że tylko raz widziałem na ulicy duchownego – pastora kongregacjonalistów, który, tak jak pan Chadband, był grubym mężczyzną o żółtawej cerze, ubranym na czarno i wyglądającym, jakby miał mnóstwo wielorybiego tranu w organizmie. Prawdopodobnie ta nieuchwytność kleryków przyczyniła się do mojego wrażenia, obecnie dość powszechnego w krajach protestanckich, że religia jest zajęciem wyłącznie duchownych, i że jej przejawy są pod względem miejsca ograniczone do kościołów, a pod względem czasu do niedzielnych poranków i wieczorów. W każdym razie, żaden duchowny nigdy nie odwiedzał nas w domu i dopiero po przeprowadzce do innej części Tooting staliśmy się obiektem troski ze strony pastora.

Kiedy ortodoksja upada, rozkwita heterodoksja, więc z braku solidniejszej strawy duchowej, Ojciec zwrócił się w stronę starożytnego i mistycznego zakonu Druidów, do którego wstąpił jako członek, oraz do Nowej Myśli doktora Coue, natomiast Mama przystała do Rechabitów. Moje pierwsze doświadczenie udziału w zgromadzeniu religijnym odbyło się pod auspicjami tej mało znanej sekty, której najważniejszym założeniem była całkowita abstynencja. Mama zabrała mnie na ich zebranie za radą jednej ze swoich przyjaciółek, mamy mojego kolegi z klasy, która stwierdziła – „Och, Gerald po prostu **uwielbia** Rechabitów!" Mnie się nie podobali. Jedyne, co robili, to siedzieli w posępnej atmosferze wokół stołu w małym pokoju w Balham, słuchając jak starszy mężczyzna głośno czyta z czarnej Biblii, a potem pili bardzo mocną herbatę. Możliwe, że odmawiali również modlitwy, ale tego nie pamiętam. Mama prawdopodobnie była tak samo niezadowolona jak ja, bo wkrótce przestała do nich chodzić. Kiedy byłem starszy, zajmowała się trochę spirytyzmem i razem z przyjaciółką brała udział w seansach spirytystycznych. Później chodziła do kościoła Baptystów w Streatham, który przez jakiś czas zajmował ważne miejsce w moim życiu duchowym. A jeszcze później, pod przewodnictwem własnego syna, umiarkowanie zainteresowała się buddyzmem.

Mimo tych częstych zmian w przynależności do różnych grup religijnych, jej zasadnicze podejście do ludzi i świata pozostało niezmienione. Kiedy mówiono o kimś, że zrobił lub

powiedział coś złego, nawet jeśli był to bardzo niegodziwy uczynek, nigdy się nie oburzała i nawet jeśli to ona doznała krzywdy, zawsze miała poczucie, że wymierzanie kary innym ludziom nie leży w gestii człowieka. Jej zdaniem konsekwencje naszych działań są nieuniknione, a ten, kto uczynił zło, niewątpliwie cierpiał. Jednocześnie nigdy nie sugerowała, że to Bóg powinien karać za zło i nagradzać za dobro, czego można by się spodziewać po osobie urodzonej i wychowanej w wierze chrześcijańskiej – wnioskuję z tego, że wierzyła w zasadę podobną do buddyjskiej karmy, według której przyjemne i bolesne doznania pojawiają się w sposób naturalny w zależności od odpowiednio czystych lub zanieczyszczonych stanów umysłu, bez pośrednictwa jakiegokolwiek zewnętrznego autorytetu.

Nie mając absolutnie nic do robienia poza czytaniem, nabrałem zatrważającej szybkości w pochłanianiu kolejnych książek. Pod tym względem pobiłem chyba rekord świata dla chłopców w moim wieku. Nie przypominam sobie, ile słów zawierało jedno wydanie *Wizarda* lub *Hotspura*, ale pamiętam, jak chwaliłem się Ojcu, który naiwnie wyobrażał sobie, że jedna gazeta wystarczy mi na cały dzień, że przeczytałem ją w dwadzieścia pięć minut, dokładnie według sowiego zegara. Zamiast cieszyć się z mego wczesnego rozwoju, wyglądał na przerażonego. Byłem jak kukułcze pisklę, które pożarłszy wyjątkowo soczystego i grubego robaka dostarczonego przez przepracowanych przybranych rodziców z nadzieją, że zaspokoi jego potrzeby na cały dzień, natychmiast ponownie otwierało dzioba, deklarując, że jest nadal głodne. Na szczęście problem rozwiązali najbliżsi sąsiedzi. Była to bardzo życzliwa para – drukarz i jego żona, którzy od wielu lat co tydzień podawali nam przez płot swój egzemplarz czasopisma *Everybody*. Teraz podarowali mi pełen komplet, składający się z sześćdziesięciu jeden tomów, *Children's Encyclopaedia* Harmsworth'a. Był to pokaźny kąsek nawet dla tak nienasyconego apetytu jak mój, więc miałem zapewnione zajęcie aż do końca mojego dwuletniego pobytu w łóżku.

Alfred Harmsworth, późniejszy lord Northcliffe, czasami był wyśmiewany z powodu swego entuzjazmu dla popularyzowania wiedzy, ale ja go żarliwie błogosławiłem za tę encyklopedię dla dzieci. Wszystkie sześćdziesiąt jeden tomów, łącznie z indeksem, leżało przy moim łóżku dzień i noc i rzadko widziano mnie bez któregoś z tych tomów w ręku. Dzięki panu Harmsworthowi nie byłem już sam w moim małym pokoju z tapetami w nasturcje, z sowim zegarem, modelem jachtu i tuzinem doszczętnie sczytanych książek. Teraz mogłem rozmawiać z mędrcami wszystkich epok, mogłem śledzić przyrodę w jej najgłębszych zakamarkach i badać wszystkie jej sekrety począwszy od mapy nieba aż po strukturę kryształu. Przed moimi oczami rozwijało się wielkie historyczne widowisko, w którym od zarania dziejów w Egipcie, Chinach i Babilonii kroczyli wszyscy królowie i książęta, kapłani, szlachta i prości ludzie. Koturnowi i niekoturnowi bohaterowie starożytnych i współczesnych tragedii wchodzili na scenę przechodząc po moim dywaniku przy łóżku. Na moich oczach Perseusz zabijał gorgonę Meduzę, Herkules wykonywał dwanaście prac, a Jazon wyruszał na poszukiwania złotego runa. Lśniące marmurowe i brązowe posągi mężczyzn o idealnych helleńskich proporcjach wyłaniały się, jakby zrodzone z muzyki, i stały przede mną w całej swej nagiej glorii. Uśmiechały się do mnie zadumane włoskie madonny. Krzyż, na którym umęczono Chrystusa, i drzewo pod którym Budda osiągnął Oświecenie, wyrastały z podłogi mojego pokoju, w którym jak w spichlerzu zgromadzone były plony wszystkich wieków będące teraz chlebem, którym żywiła się moja dusza. Ciało uległo zapomnieniu i moja wyobraźnia zawładnięta przez 'nieskończone bogactwa w małym pokoju' radowała się wolnością wszystkich duchowych niebios.

Chociaż nie opuściłem ani jednej strony z tych sześćdziesięciu jeden tomów, było oczywiste, że niektóre tematy interesowały mnie bardziej od innych. Moje ulubione działy, do których wracałem najczęściej i którym poświęciłem najwięcej czasu, dotyczyły sztuki, historii i literatury, czy też raczej historii literatury, ponieważ encyklopedia dla dzieci nie będąc tezaurusem wybranej klasyki, tylko zarysem wiedzy ze wszystkich dziedzin, w rzeczywistości prezentowała tylko jeden gatunek literacki – poezję, której poświęciła oddzielny rozdział.

Może się to wydać dziwne, ale dział filozofii, omawiający tak abstrakcyjne idee jak prawda, piękno, dobro i sprawiedliwość, które wydawca wytrwale pisał dużą literą, jakoś nie rozbudził we mnie miłości do mądrości, choć z zainteresowaniem studiowałem żywoty wielkich filozofów oraz takich postaci jak Budda, Mahomet, Zaratustra, Konfucjusz i Lao-tsy.

Fascynowała mnie archeologia, zwłaszcza starożytnego Egiptu, i nigdy nie znużyło mnie oglądanie obrazka faraona z ukazaną z profilu czerwono-brązową twarzą i włosami splecionymi w cienkie warkoczyki. Na głowie miał podwójną koronę Górnego i Dolnego Egiptu, a na odzianej w lniane płótno piersi trzymał skrzyżowane – pastorał (symbol ochrony) i kiścień (symbol kary). Wielokrotnie przyglądałem się też stronom z *The Book of the Dead*, na których widniał zielony Ozyrys i czarnogłowy Anubis, oraz wpatrywałem się we fresk ze znieruchomiałym ptasznikiem z procą w ręku, stojącym na małej łódce pośród trzcin i lotosów, nad którego głową przelatywały kaczki.

Najmniej pociągał mnie dział nauki popularnej, może dlatego, że nie miałem żadnych możliwości, aby przeprowadzić choćby najprostszy z opisanych eksperymentów. Nie byłem też specjalnie zainteresowany krążeniem krwi ani silnikiem spalinowym wewnętrznego spalania. W owym czasie piękno pociągało mnie chyba bardziej niż prawda lub dobro. I z całą pewnością nigdy nie zmęczyłem się oglądaniem tego, co było dla mnie najcenniejsze w całej encyklopedii – licznych wkładek z ilustracjami (niektóre były kolorowe) przedstawiających historię sztuki, przede wszystkim malarstwo i rzeźbę starożytnej Grecji i Rzymu, Włoch, Francji, Anglii, Niemiec, Hiszpanii i Holandii. Chociaż każdy obraz sprawiał mi przyjemność, najbardziej podziwiałem prace artystów Renesansu, zwłaszcza nieziemską wzniosłość Michała Anioła i taneczną subtelność Botticellego.

Pod koniec drugiego roku mojego unieruchomienia rodzice zaczęli się jeszcze poważniej zastanawiać nad moim zdrowiem niż poprzednio. Co prawda mój stan się nie pogarszał, ale nie było też widać żadnych oznak poprawy, więc na pewno się martwili, czy nie jestem skazany na inwalidztwo do końca życia, tak jak bledziutka ciocia Fanny w Besthorpe, która nie opuszczała swojego pokoju od dwudziestu lat. W tych okolicznościach było całkiem naturalne, że rozważali celowość uzyskania drugiej opinii medycznej. Wezwano innego lekarza, który po zbadaniu mnie potwierdził diagnozę naszego lekarza domowego i zalecił kontynuację zastosowanego reżimu. Nadal niezadowolony Ojciec załatwił mi wizytę u słynnego specjalisty od chorób serca, doktora Mackenzie. Kiedy wniósł mnie do jego gabinetu, dr Mackenzie zapytał – „Dlaczego pan go niesie? Proszę pozwolić mu chodzić!"

„On nie może chodzić," – wyjaśnił Ojciec, ponieważ straciłem siłę w nogach do takiego stopnia, że nie mogłem nawet stać.

„Nie może chodzić! – ryknął lekarz – To trzeba go **zmusić** do chodzenia! Proszę go postawić! Proszę go postawić!"

Nie mam pojęcia, czy jego diagnoza była taka sama jak poprzednich lekarzy. Wiem tylko, że powiedział Ojcu najdobitniej, jak można było, że powinien mnie natychmiast wyrzucić z łóżka i pozwolić mi biegać. Dwadzieścia lat później spotkałem w Kalkucie bengalskiego lekarza, również specjalistę od chorób serca, który studiował pod kierunkiem dr Mackenzie. Usłyszawszy moją historię, powiedział mi, że ten wielki kardiolog zrewolucjonizował metody leczenia chorób serca, i że po początkowym bardzo silnym oporze, jego odkrycia zyskały powszechną akceptację. Na prośbę tego bengalskiego przyjaciela pozwoliłem mu zbadać moje serce – stwierdził, że jest idealnie zdrowe.

Kiedy dr Mackenzie ogłaszał swój niespodziewany werdykt, był w owym czasie uważany za śmiałego, a nawet niebezpiecznego heretyka przez większość przedstawicieli swojej profesji, którzy wykazywali się taką samą ortodoksją w przywiązaniu do swoich zasad jak najżarliwsi dewoci religijni. W obliczu tak rażącego konfliktu opinii ekspertów Ojciec nie miał żadnej możliwości osądzenia, kto miał rację, a kto się mylił. W końcu po pełnych niepokoju przemyśleniach wziął odpowiedzialność w swoje ręce i zdecydował, że wybierze drogę środka. Była to niewątpliwie bardzo trudna decyzja, wymagająca nie tylko zdrowego rozsądku, lecz także odwagi – Ojcu jednak nigdy nie brakowało żadnej z tych dwóch cech. Mama w rozpaczy udała się na konsultację do okultysty. Wpatrując się w kryształową kulę powiedział jej, że widzi mnie, jak wstępuję po złotych schodach i znikam u ich szczytu.

Rozdział 3

Nauka chodzenia

Była późna wiosna, kiedy owinięty w koc i trzymany przez Ojca w ramionach wyjrzałem przez kuchenne okno na jego malutki ogródek. Chociaż nie zobaczyłem Primavery we własnej osobie w otoczeniu Wenus, Kupida, Flory, Zefira i Trzech Gracji, jak na słynnym obrazie Botticellego „Wiosna", to nawet gdybym ich wszystkich ujrzał, pewnie by mnie nie zachwycili tak mocno jak widok z okna. Bratki i nagietki, lewkonie i lwie paszcze spoglądały na mnie z urządzonej na końcu podwórka grządki. Po prawej stronie, na drucianej siatce ogrodzenia wisiały czerwone i żółte nasturcje oraz małe gwiazdki dzikiego wina. Po lewej znajdowało się oczko wodne otoczone płytami chodnikowymi o nieregularnych kształtach – jego ciemną wodę co jakiś czas rozjaśniał czerwono-złoty błysk wypływającej na powierzchnię złotej rybki. Z ptaszarni dochodziło świergotanie i ćwierkanie zielonych papużek falistych.

Od tej pory, zamiast leżeć w łóżku spędzałem dzień wylegując się na rozkładanym fotelu w kuchni, gdzie znów mogłem ujrzeć Nanę, trzy ciocie – Noni, Kate i Jessie – oraz innych gości.

Następnym etapem było postawienie mnie na nogi, żebym mógł znów chodzić. Ponieważ dwóch lekarzy twierdziło, że jeśli spróbuję stanąć, natychmiast zemdleję, a niewykluczone, że od razu umrę, sprawa wymagała maksymalnej ostrożności. Jednak kiedy w końcu udało mi się wstać na nogi, nie umarłem, tylko skręciłem obie kostki, ponieważ okazały się zbyt słabe, aby mnie utrzymać. Z powodu tej kontuzji minęły trzy tygodnie, zanim znów mogłem podjąć próbę. Ale spróbowałem ponownie i w końcu udało mi się stanąć, choć trochę chwiejnie, obok fotela. Wydawało się, że eksperyment nie pogorszył mego stanu, więc pozwolono mi zrobić kilka kroków, co uczyniłem czepiając się mebli. Po paru tygodniach praktyki potrafiłem bez większych trudności przejść powoli przez pokój.

Ojciec widząc, jak bardzo zbladłem podczas mojego długiego uwięzienia, i będąc samemu miłośnikiem świeżego powietrza, kupił mi wózek inwalidzki i zaczął zabierać mnie na spacery, gdy tylko była ładna pogoda. Czasami dochodziliśmy aż do Mitcham Common. Na jednej z takich wycieczek, kiedy trochę się oddalił zrywając jaskry i bławatki, dojrzałem pod krzewem kolcolistu wygrzewającą się w gęstej trawie jaszczurkę. Zawsze kochałem te małe gady i przed chorobą raz czy dwa udało mi się je nawet złapać na Wimbledon Common. Teraz widok smukłej jaszczurki o brązowo-czekoladowym ciele, z przekrzywionym łepkiem i świdrującymi oczkami, od czasu do czasu zasłanianymi cienką podwójną powieką, wzbudził we mnie ogromne podniecenie. Zapominając o swoim kalectwie, skoczyłem na równe nogi i pobiegłem w jej kierunku. Ojciec krzyknął ostrzegawczo i rzucił się pędem w moją stronę, ale zanim dobiegł, leżałem nieprzytomny na trawie. Ten nieszczęśliwy wypadek zmusił mnie do powrotu na kilka miesięcy do mojego pokoju i kiedy wreszcie znów z niego wychynąłem, trzeba było powtarzać całą procedurę nauki stawania i chodzenia. Chociaż wycieczki były kontynuowane i pozwalano mi chodzić po domu, to od tego czasu nie mogłem nawet ręki szybko podnieść, żeby nie usłyszeć czyjegoś przerażonego głosu mówiącego – „Uważaj!" albo „Idź powoli!"

Jak było do przewidzenia, intensywna miłość do sztuk pięknych, którą chłonąłem z działu o sztuce w encyklopedii dla dzieci, w naturalny sposób przemieniła się z pasywnego uwielbienia w aktywne tworzenie, i kiedy nie byłym pchany w wózku po Mitcham Common przez jednego rodzica, ani po Tooting Broadway przez drugiego, zajmowałem się rysowaniem lub malowaniem. Moim pierwszym rysunkiem była wyobrażona głowa Kleopatry ozdobiona symboliczną kobrą – oznaką władzy królewskiej. Drugim – król Jerzy V w szatach koronacyjnych. Potem były portrety królowej Elżbiety I, jednej z moich ulubionych postaci historycznych, którą rysowałem bardzo często, a także Marii, królowej Szkocji – oba zdradzały niewprawną rękę początkującego w rysunku twarzy, ale były niezwykle starannie wykonane, jeśli chodzi o kryzy i bawety, korony i klejnoty. Moje wczesne malowidła przedstawiały między innymi starego przyjaciela z dzieciństwa – chińskiego smoka, stojącego na tylnych łapach w splendorze fioletowej grzywy i purpurowych pazurów. Był także egipski krajobraz z palmami na tle zachodzącego słońca, na który nie

szczędziłem czerwieni, pomarańczy i żółci z mojego pudełka z wodnymi farbami, oraz portrety króla Henryka VIII i jego matki, Elżbiety z Yorku. Te i inne efekty mojej połączonej miłości do sztuki i historii były pokazywane gościom, należycie przez nich podziwiane i generalnie wszyscy uważali, że zostanę artystą.

Mimo swoich obaw, żebym się nadmiernie nie zmęczył, Ojciec nie tracił nadziei, że któregoś dnia będę mógł, nawet jeśli nie skakać i biegać, to przynajmniej normalnie chodzić jak inni chłopcy. Po kilku miesiącach dzielenia aktywności między przyrodę i sztukę, pozwalano mi coraz więcej czasu spędzać na własnych nogach, a coraz mniej w wózku inwalidzkim, który w końcu poszedł całkiem w odstawkę. Mogłem się nawet bawić na ulicy. Ta mile widziana poprawa stanu mego zdrowia znacznie odmieniła nie tylko moje życie, ale też całej rodziny. W niedzielne popołudnia mogliśmy wszyscy jeździć do Southfields. Mogłem kontynuować z Mamą nasze przerwane na tak długo wycieczki do Fulham, gdzie podczas mojej choroby ciocia Kate i ciocia Jessie urządziły się razem w nowym domu. Nana i ciocia Noni przyłączyły się do nas podczas wypraw do ogrodu zoologicznego. I co najlepsze, moje wyzwolenie pozwoliło nam wznowić rodzinny zwyczaj spędzania niedziel na Wimbledon Common.

Kiedy wysiedliśmy z autobusu, leniwym spacerkiem szliśmy około jednej mili przez łąkę porośniętą fioletowymi wrzosami do naszego ulubionego miejsca na piknik. Była to niewielka kępa brzóz oddalona o jakieś pół mili od wiatraka, którego znajomy kształt majaczył za drzewami. Naokoło nas widniały podobne brzozowe zagajniki, w których tu i ówdzie rosły pojedyncze dęby. Z tyłu rósł niewielki ciemny lasek, gdzie drzewa rozpościerały gałęzie nad gęstym podszyciem składającym się z różnego gatunku chłodnych zielonych paproci, i gdzie śpiew ptaków brzmiał w tej ciszy zupełnie niesamowicie. Rozkładaliśmy wodoodporną matę i siedząc na niej lub leżąc, wygrzewaliśmy się w gorącym słońcu wdychając zapach trawy i koniczyny przy akompaniamencie brzęczenia pszczół. Oprócz włóczenia się po lesie, gdzie spod zwalonych, butwiejących pni wyciągałem ślimaki w ślicznych kolorowych skorupkach, odnawiałem znajomość z moimi starymi przyjaciółmi – jaszczurkami. Na każdej wycieczce łapałem dwie lub trzy. Niektóre były ciemnozielone z czarnymi plamkami i żółtozielonym podbrzuszem; inne koloru płowego z brązowymi cętkami i cynobrowym brzuszkiem, a jeszcze inne czarne z brązowymi i białymi plamkami oraz kremowym spodem. Ojciec skonstruował mi dla nich specjalny pojemnik z przesuwanymi szklanymi bokami, który nazwałem jaszczurkarnią.

Ponieważ karmiłem je kilka razy dziennie, szybko przestały się mnie bać. Okazało się, że bardzo łatwo można je oswoić. Jak większość gadów lubiły być głaskane po łepkach i z rozkoszą zamykały oczy, kiedy dostarczałem im tej przyjemności. Fascynowały mnie też ropuchy. Moja ulubiona, którą wydobywałem patykiem z jej kryjówki w pniu starego drzewa, kiedy tylko dostrzegłem w ciemności jej świecące oczy, nauczyła się rozpoznawać mój głos i wkrótce sama wyłaziła spod pnia zawsze, kiedy ją wołałem.

Teraz, kiedy już swobodnie chodziłem, rodzice naturalnie zaczęli myśleć, że nadszedł czas, abym powrócił do szkoły. A więc po ponad dwuletniej przerwie znów wędrowałem dwa razy dziennie do ogromnego budynku z cegły, stojącego trochę dalej na tej samej ulicy. Dzięki specjalnemu pozwoleniu od dyrektorki szkoły przychodziłem na lekcje pięć minut później niż pozostałe dzieci i wychodziłem pięć minut wcześniej. Chodziło o to, żeby ochronić mnie przed innych chłopcami, którzy mogliby ulec pokusie dokuczania słabszemu i bezbronnemu dziecku. Chociaż początkowo zakładano, że będę daleko w tyle za innymi uczniami pod względem materiału nauczania, to jednak zostałem przyjęty do najwyższej klasy w oddziale juniorów, gdzie była już większość chłopców i dziewcząt, z którymi zaczynałem w pierwszej klasie. Wkrótce po moim powrocie odbyły się egzaminy na koniec półrocza. Ku ogólnemu zdumieniu, chłopiec, który tak długo nie chodził do szkoły, zajął w klasyfikacji dwudzieste pierwsze miejsce na około czterdziestu uczniów. Po następnym egzaminie byłem szósty, a po kolejnym znalazłem się na szczycie listy i już tam pozostałem do końca mojej szkolnej kariery. Z powodu tak szybkiego przedwczesnego rozwoju błyskawicznie stałem się ulubieńcem dyrektorki, wysokiej, tęgiej kobiety z małymi siwymi loczkami. Pozwoliła mi dołączyć do małej grupki dzieci, która siedziała w korytarzu przy stole i robiła dywaniki.

Jeszcze bardziej zaprzyjaźniłem się z wychowawczynią mojej klasy. Podobnie jak jej mąż, nauczyciel w klasach seniorów znajdujących się na piętrze, uczyła kiedyś mojego Ojca. Choć była starsza od dyrektorki, jej błyszczące włosy miały piękny kasztanowy kolor i nosiła ciemnoniebieskie lub brązowe suknie z jedwabiu z dużymi dekoltami w szpic. Kiedy traciła panowanie nad sobą, co zdarzało się bardzo często, jej twarz i szyja pąsowiały aż do samych piersi. To dzięki niej nabawiłem się takiego wstrętu do Tennysona, że całe lata minęły, zanim znów mogłem się nim delektować. Każde dziecko w klasie musiało nauczyć się na pamięć jednej zwrotki z poematu *Pani na Szalott*. Moja zaczynała się od słów „Krosno rzuciła, trud przerwała." Nie przeszkadzało mi, że mam się uczyć poezji na pamięć, ale bolał mnie sposób, w jaki musieliśmy recytować wersety chórem, przesadnie akcentując wybrane słowa.

Krosno rzuciła, trud przerwała,
Z SALI wybieeeegła wreszcie śmiaaaała6.

Nazywało się to czytaniem poematu z ekspresją. A jeszcze gorzej było, kiedy ta zacna kobieta objaśniała każdą linijkę.

„**Kto** rzucił krosno?" – żądała odpowiedzi głosem tak donośnym, aż w uszach dzwoniło, i wiodła po klasie srogim wzrokiem.

„Pani na Szalott, proszę pani." – posłusznie odpowiadał cichym głosikiem któryś z bystrzejszych uczniów.

„I **co** wtedy zrobiła?" – … brak odpowiedzi.

„**CO** zrobiła?" – dekolt niebezpiecznie czerwieniał. Po chwili ciszy czyjaś ręka podnosiła się do góry i nieśmiały głos mówił – „Wybiegła."

„Tak – grzmiała nasza nauczycielka z ponurą satysfakcją – wybiegła z SALI. A kiedy wybiegła z SALI, to co zrobiła?"

To pytanie zbijało nas z tropu i znów pojawiał się szkarłatny sygnał niebezpieczeństwa.

„Wyjrzała przez okno," – ktoś wreszcie ośmielił się zaryzykować.

„NIE wyjrzała przez okno, ty tumanie! Nie umiesz przeczytać wiersza? SPOJRZAŁA W STRONĘ CAMELOT!"

I tak kontynuowaliśmy tę katechezę. W ten sposób przerabialiśmy cały poemat przez prawie pół semestru. Prawdopodobnie większość uczniów inaczej nigdy by go nie przeczytała do końca, ale czasami czułem, że chyba lepiej byłoby w ogóle nie uczyć poezji, niż uczyć jej w ten sposób.

Jednak dawno już wybaczyłem pani Ainsworth jej grzechy w związku z *Panią na Szalott*. Jak wszyscy pozostali nauczyciele, mimo swego gorącego temperamentu, była bardzo życzliwą kobietą, która poświęciła prawie czterdzieści lat na wykonywanie profesji, w której pracy jest mnóstwo, a nagród niewiele. Zawsze gorliwie interesowała się moimi postępami i troszczyła o moje dobro. Znakiem szczególnej przychylności było obdarowanie mnie przywilejem robienia nauczycielom herbaty w czasie porannej i popołudniowej przerwy, co miało mi wynagrodzić zakaz biegania po boisku razem z innymi chłopcami, przez który i tak nie miałem co robić w tym czasie. Kilku nauczycieli przeznaczało część swej skromnej pensji na zapewnienie południowego posiłku, jak również odzieży i butów, dla około tuzina najbiedniejszych chłopców w szkole, więc czasami pilnowałem też gotującej się dla nich fasolki i ziemniaków.

W ten przyjemny sposób minął mi rok, po którym przeszedłem z oddziału juniorów do seniorów, gdzie, mimo że klasy nadal były koedukacyjne, wychowawcami byli teraz mężczyźni zamiast kobiet. Bez wątpienia zakładano, że wymagamy silniejszej ręki.

Tak samo jak pani Ainsworth z parteru oraz jej mąż, mój nowy wychowawca uczył dawniej Ojca i nadal go pamiętał. Dymiący Joe – jak go czule nazywała klasa – miał falujące szpakowate włosy, miłą szczupłą twarz z ogorzałymi policzkami i zabawne usta. Najbardziej uderzającym aspektem jego wyglądu były marynarki, które można określić tylko jako wyzywające. Jedna była jaskrawo

---

6 Tłumaczenie z Internetu, ale bez informacji o tłumaczu [przyp. tłum.]

ruda, inna intensywnie fioletowo-różowa. Zmiany kolorów budziły żywe zainteresowanie uczniów, więc kiedy wchodził do klasy w nowej marynarce, jeszcze bardziej wyzywającej od poprzednich, prawie wiwatowaliśmy na jego cześć. Jego metoda uczenia była moim zdaniem bardzo dobra. Przynajmniej traktował nas jak istoty inteligentne, zdolne do zrozumienia, a nie jak kretynów, których można co najwyżej zmusić do wykucia materiału na pamięć. Od czasu do czasu podnosił na nas głos, ale nigdy się poważnie nie rozgniewał i nie używał trzciny ani nie korzystał z rejestru kar częściej niż raz lub dwa razy w semestrze. Chociaż uczył mnie tylko przez rok, zajmuje honorowe miejsce w historii mojej edukacji, ponieważ nigdy wcześniej nie spotkałem osoby, która tak bardzo by mnie zachęcała do interesowania się sztuką i literaturą. To jemu przynosiłem teraz swoje rysunki i obrazki, które nadal pracowicie produkowałem. Ponieważ uczył sztuki we wszystkich klasach oddziału seniorów, mógł mi zaofiarować nie tylko uznanie, którego i tak nigdy mi nie brakowało, ale także wskazówki dotyczące techniki, w której faktycznie byłem bardzo słaby. Pozwolił mi też na swobodny dostęp do swojej szafki, z której w czasie przerw pożyczałem sobie książki, zachęcał mnie do pisania esejów i dał mi okazję do pierwszego publicznego występu.

Mniej więcej w tym samym czasie pokochałem muzykę. Nasz nauczyciel muzyki, zażywny Niemiec o dobrym głosie tenora z zapałem zabrał się do uczenia nas piosenek Purcellego, Sullivana i innych kompozytorów, jedną ręką grając na pianinie, a drugą dyrygując z wielka werwą. Muzykę graną przez całą orkiestrę po raz pierwszy usłyszałem, kiedy wszystkich uczniów z oddziału seniorów zabrano na specjalny koncert dla dzieci w Głównej Sali Metodystów na Tooting Broadway. Przed rozpoczęciem koncertu dyrygent wyjaśnił nam, jak się nazywa każdy instrument, a potem opowiedział o utworach, które mieliśmy za chwilę usłyszeć. Głębokie wrażenie zrobiła na mnie uwertura do *Fingal's Cave* i od owego popołudnia w moim mózgu w pewnym sensie cały czas grała orkiestra. Między utworami orkiestrowymi dostojna sopranistka w wieczorowej sukni wyśpiewywała swoje arie. Po ukończeniu każdej pieśni z wielką godnością schodziła po około dwunastu stopniach z podwyższenia na estradzie i lekkim krokiem znikała w bocznych drzwiach sceny. Dziękując za nasze niemilknące brawa, pojawiała się ponownie, wchodziła na podest, kłaniała się, znów schodziła i znikała. Ponieważ nasz aplauz nie ustawał, ten mały ceremoniał powtórzył się trzy lub cztery razy. Jestem pewien, że nigdy wcześniej nie wywoływano jej na scenę aż tyle razy. Ale to nie arie były powodem naszej radości, tylko chcieliśmy ciągle oglądać, jak wchodzi i schodzi z podestu. Zanim skończyło się popołudnie wszystkie dzieci, z których żadne nigdy wcześniej nie było na koncercie, ogarnięte były dzikim entuzjazmem.

Niemiecki nauczyciel muzyki, który odegrał ważną rolę w organizacji tego koncertu i przyczynił się do jego sukcesu, był żarliwym zwolennikiem nazistów i z tego powodu odbył wiele zajadłych dyskusji z Dymiącym Joe, równie zaciekłym antynazistą. Wielokrotnie dochodziły do naszych uszu ich gniewne kłótnie w pokoju nauczycielskim, tak głośne, że słychać je było nie tylko na korytarzu, ale nawet w holu. Był to dla mnie pierwszy pomruk nadchodzącej burzy.

Choć bardzo przydatna w czasie przerw, szafka Dymiącego Joe nie była dla mnie jedynym źródłem książek. Jeszcze zanim powróciłem do szkoły po chorobie, pożyczałem książki z biblioteki publicznej w Tooting, korzystając z karty bibliotecznej Ojca, dopóki byłem za mały, żeby się samemu zapisać. Jedną z pierwszych książek, które przyniosłem z biblioteki była *Atlantis* Donelly'ego – otworzyła przede mną jeszcze inny rodzaj świata. Jednak nadal interesowała mnie przede wszystkim sztuka, archeologia i historia, więc przez pewien czas nie rozstawałem się z *The Renaissance in Italy* Johna Addingtona Symondsa oraz *History of the Papacy* Mandella Creightona – obie książki miały po sześć lub siedem tomów – jak również z opasłymi tomami Mommsena i Maspera. Starożytny Egipt i Renesansowe Włochy najwyraźniej rzuciły na mnie urok i przez wiele miesięcy nie miałem czasu na żadne inne okresy historyczne ani miejsca.

Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy pożyczałem w ten sposób książki, zacząłem je też kupować. Od kiedy wyzdrowiałem, Ojciec regularnie zabierał mnie do sklepu ze starociami w Clapham Common, niedaleko miejsca, gdzie się urodziłem, i czasem kupował jakieś osobliwości do małej kolekcji, którą zacząłem gromadzić z pomocą Nany. Po drodze przechodziliśmy obok antykwariatu. Wkrótce pudła i półki z wszelkiego rodzaju książkami, w różnym stanie, stały się dla mnie o wiele większą atrakcją niż zbroje i porcelana, zacząłem więc odwiedzać tę księgarnię

samodzielnie. Nie było wtedy dla mnie większej przygody niż wycieczka do Clapham Common ze schowanym w kieszeni szylingiem lub dwoma, przeznaczonymi na używane książki.

Oprócz tego, że moje wyzwolenie od łóżka i wózka inwalidzkiego pozwalało nam spędzać niedziele na Wimbledon Common, znów mogliśmy pojechać na wakacje nad morzem. Naszym ulubionym kurortem była miejscowość Shoreham – dawna wioska rybacka na południowym wybrzeżu, gdzie zawsze zatrzymywaliśmy się u białowłosej osiemdziesięcioletniej wdowy po kapitanie statku. Jadalnia pani Bareham, ustrojona ciężkimi obrusami z zielonego pluszu i firanami z grubej koronki, wyglądała prawie tak samo staroświecko jak u cioci Kate. Na wszystkich czterech ścianach znajdowały się fotografie statków, portrety zmarłego kapitana i jego syna, oraz wielkie oprawione w ramy certyfikaty przynależności do Zakonu Buffaloe. Kapitan był też wielokrotnie przewodniczącym Shoreham Lodge, jak informowało jeszcze inne świadectwo. Każdy cal powierzchni na pianinie, niskim kredensie, bocznych stolikach, jak również na wszystkich małych półeczkach kilkupoziomowego bambusowego gzymsu nad kominkiem wypełniały porcelanowe bibeloty. W kącie, pod szklanym dzwonem stały obok siebie duża wypchana mewa i dziecięca lalka.

W pogodne poranki wyruszaliśmy wszyscy razem po śniadaniu – Joan i ja uzbrojeni w swoje wiaderka i szpadelki. Za płatnym mostem szliśmy przez przybrzeżne równiny błotne, na których stały olśniewająco białe łabędzie czyszcząc się pomarańczowymi dziobami, potem przechodziliśmy obok Bungalow Town i jego kamiennych ogródków, gdzie pośród kamyków rosły morskie osty i czerwone maki, następnie wzdłuż podwójnego rzędu kabin plażowych, przed którymi na odwróconych do góry dnem łodziach siedzieli leciwi marynarze żując tytoń, i wreszcie w dół po kamienistym, chrzęszczącym pod nogami zboczu, które prowadziło do plaży. W miarę jak zbliżaliśmy się do celu, morska bryza silniej uderzała w twarz, coraz wyraźniej było czuć zapach ozonu, szum morza stawał się coraz głośniejszy, aż wreszcie, jakieś ćwierć mili za łagodnie opadającą łachą lśniącego szarego piasku widać było długą srebrzystą linię brzegu morza. Popołudnia zawsze spędzaliśmy na wapiennych wzgórzach. Ale miejscem, w którym bywałem najczęściej i z największym zachwytem, był normański kościół z kwadratowymi wieżami – na przykościelnym cmentarzu całymi godzinami odcyfrowywałem ledwo czytelne napisy na płytach nagrobkowych.

Nie wiem, co sobie myśleli rodzice o moim entuzjazmie dla starych kościołów, ale miał on swoje korzenie w czymś więcej niż tylko zainteresowaniu archeologią. Stojąc wśród starożytnych ścian w miejscu, gdzie od wieków wznosiły się serca i głosy modlitwami i wdzięcznością do Najwyższego, i widząc światło padające ukośnie przez czerwone, niebieskie, żółte i zielone szybki witraży nad ołtarzem, czułem, że oddycham atmosferą świętości, czystości i pokoju, która była dla mnie równie dotykalna jak kamienie, z których zbudowano to miejsce. Czy to w Shoreham, czy w Chichester, Norwich czy Westminsterze, od tamtej pory nigdy nie przegapiłem żadnej okazji, aby odwiedzić angielskie sanktuaria.

Rozdział 4

„Oto nadchodzi Chłopięca Brygada”

Kilka tygodni po wakacjach w Shoreham, skąd wróciliśmy szczęśliwi i spaleni słońcem, wyprowadziliśmy się z naszego starego domu, gdzie spędziłem pierwsze jedenaście lat mego życia, do czynszowego bliźniaka – nadal w Tooting, ale w rejonie Streatham.

Przeprowadzka odbyła się wczesną jesienią. Teren za domem, który później stał się ogrodem Ojca – z trawnikiem, kwietnikami i grządkami warzywnymi – teraz był całkowicie zarośnięty i zdziczały, z chwastami sięgającymi do ramion i ziemią usłaną dużymi żółto-zielonymi liśćmi z drzewa figowego rosnącego zaraz za domem. W połowie ogrodu, długiego na ponad 30 metrów, stał rząd zaniedbanych krzewów czarnej porzeczki, gdzie Joan i ja wkrótce bawiliśmy się w kowbojów i Indian. Na samym końcu, pod tylnym płotem była grządka z rabarbarem. Wzdłuż lewego płotu rosły krzaki malino-jeżyn nie przycinane od wielu lat. Ale najlepiej ze wszystkiego pamiętam czerwone, żółte i brązowe chryzantemy, które rosły dosłownie wszędzie, w całym ogrodzie. Było ich tak dużo, że przez całą jesień w powietrzu unosił się ich cierpki zapach. W rzeczywistości, te ścięte przymrozkami kwiaty tak bujnie rosnące w zaniedbanym ogrodzie były źródłem jednego z większych przeżyć emocjonalnych w moim życiu. Może dlatego, że nigdy wcześniej nie widziałem ich w takiej obfitości, może dlatego, że istnieje subtelny związek między zapachami i nastrojem, a może dlatego, że symbolizowały coś, co czułem, lecz nie potrafiłem wyrazić.

Pewnego popołudnia, niedługo po naszej przeprowadzce, Joan i ja usłyszeliśmy wołanie podekscytowanej Mamy stojącej przy frontowej furtce. Dziwna czerwona poświata rozpościerała się na całym południowo-wschodnim horyzoncie, odbijając się na niebie nad szczytami dachów i stopniowo przechodząc we wściekły różowy kolor. Od czasu do czasu widać było, jak płomień strzela w górę i czarna smuga dymu unosi się na purpurowym tle. Kiedy obserwowaliśmy ten blask, który z pewnością nie pochodził ze zwykłego pożaru małego domu, przez moment poczuliśmy w sercach lodowate ukłucie strachu. Tego wieczoru dowiedzieliśmy się, że doszczętnie spłonął Kryształowy Pałac w południowym Londynie.

Wiosną zacząłem pisać swoje pierwsze poezje. Nie przypominam sobie wyraźnie samego pisania, ale dokładnie pamiętam pewien czerwony zeszyt, który podawałem przez płot mieszkającej w sąsiedztwie pulchnej dziewczynce z warkoczami, której powiedziałem o moich wierszach. Z tą dziewczynką, a także z jej starszą siostrą i młodszym bratem, zaprzyjaźniłem się w zimie, po tym, jak moi rodzice zawarli znajomość z jej rodzicami. Mama Nory, pochodząca z hrabstwa Somerset, była ucieleśnieniem przyzwoitości. W niedzielne poranki widzieliśmy ją, jak wystrojona w najlepsze odświętne ubranie statecznie wyrusza do domu modlitewnego metodystów, gdzie uczęszczała także w dni powszednie, odgrywając wiodącą rolę na spotkaniach modlitewnych i wystawach kwiatów. Nora i Piotr zazwyczaj jej towarzyszyli. W domu dzieciom wolno było grać na pianinie wyłącznie hymny religijne. Były bardzo często karane i nierzadko dochodził nas zza drugiej strony płotu świst trzciny do bicia i krzyk. Ojcu Nory, pracującemu w policji, wcale nie wiodło się lepiej. Ciężki, niezdarny mężczyzna o czerwonej twarzy był zawsze wypędzany z domu miotłą, którą okładała go jego gruba pobożna żona obrzucając przy tym dobrze przez nas słyszanymi ‘czułymi’ epitetami. Kiedy cofała się do domu, z hukiem zatrzaskując za sobą drzwi, sąsiad siadał obok uwiązanego na łańcuchu psa, który jako że sam był regularnie bity, w milczeniu i współczująco machał ogonem. W tej domowej wojnie dzieci się podzieliły – Nora i Piotr brali stronę matki, a najstarsza Phyllis stronę ojca. Już wtedy Phyllis gorzko nienawidziła matki, a w miarę dorastania robiła, co mogła, aby obronić bojaźliwego policjanta przed atakami bojowniczki metodystów, czasami przenosząc wojnę na teren obozu wroga. Joan i ja byliśmy z całą trójką dzieci w dobrych stosunkach, dlatego więc owej wiosny dałem moje wiersze do przeczytania Norze, najbliższej mi wiekiem.

Nie wiem, co czytałem w tamtym okresie. Chyba większość czasu spędzałem na malowaniu.

Na pewno w trakcie tego właśnie roku moi rodzice, po raz pierwszy i ostatni, dyskutowali nad celowością posłania mnie do szkoły plastycznej. Siedemnastoletnia córka jednej z przyjaciółek mamy studiowała w *The Slade School of Fine Art* i któregoś dnia przysłała mi przez Mamę swoją teczkę z rysunkami z natury. Były to same akty męskie i żeńskie z drobiazgowo narysowanymi szczegółami genitaliów. Wygląda na to, że Mama i Ojciec zdecydowali wtedy, że tego typu studia mogłyby zaszkodzić mojej moralności, gdyż nigdy więcej nie było mowy o posłaniu mnie do szkoły artystycznej, mimo że nadal rysowałem i malowałem pracowicie jak zawsze.

W Boże Narodzenie zetknąłem się z książką, która gwałtownie zawróciła mnie ze świata sztuki do świata literatury. Wśród prezentów znalezionych rano obok łóżka był oprawiony na niebiesko egzemplarz *Raju utraconego* – tytuł, który znajdował się bardzo wysoko na mojej liście książek do przeczytania. Tego ranka przeżyłem najsilniejsze doświadczenie poetyckie mego życia. Jeśli lektura Edmunda Spensera uczyniła poetę z Johna Keatsa, to od tego dnia apokalipsa Miltonowskiej wzniosłości zrobiła ze mnie nawet jeśli jeszcze nie poetę, to skromnego adepta sztuki wierszowania. Nie zaznałem spokoju, póki nie zaplanowałem własnego poematu epickiego. Nie wiem, co było jego tematem, ale pamiętam, że był pisany białym wierszem i podzielony na podobne do zwrotek części składające się z dziewięciu linijek każda, i że zaczynał się od pojawienia się w mojej sypialni samego Miltonowskiego anioła. Inni poeci, których czytałem, podziwiałem i naśladowałem, obejmowali Keatsa, Elizabeth Barret Browning i A.E. Housmana. Pierwszego poznawałem z podarowanego mi małego, oprawionego na różowo i pozłacanego tomiku z wierszami wybranymi, z których najbardziej zachwycałem się sonetami oraz opisami Circe z *Endymiona* i zdetronizowanego Saturna w *Hyperionie*. Jeśli chodzi o twórczość Browning, niezmiernie podziwiałem *A Drama of Exile* oraz *The Lay of the Brown Rosary* – tę drugą z zachwytem recytując na głos do czterech ścian mego pokoju. Wiele wierszy ze zbioru *A Shropshire Lad* Housmana również bardzo mi się podobało, zwłaszcza ten zaczynający się od słów:

Najczarowniejsze z drzew, czereśnia,
kwieciem się teraz ucieleśnia,[7]

który wydawał mi się omalże szczytem doskonałego piękna w wyrażaniu uczuć. Wiersze Christiny Rossetti znałem wówczas tylko z cytatów zamieszczonych w opracowaniu Williama Sharpe'a na temat tej poetki, ale nawet w tej wątłej dawce emanowały one taką zmysłowością i mistycyzmem, że odurzyły mnie jak subtelne i niebezpieczne perfumy. Przez wiele lat Milton i Rossetti byli moimi ulubionymi poetami.

Zaraz po epopei, w której stworzyłem tylko 900 linijek, pojawił się średniowieczny dramat ze 'śpiewakami' (zapożyczonymi od Thomasa Hardy'ego?) oraz cała seria liryków. Prozy też nie zaniedbywałem. W tym samym okresie, na dwudziestu czy trzydziestu arkuszach papieru kancelaryjnego napisałem początek „Historii panowania królowej Elżbiety", nowelę o starożytnym Egipcie w stylu *Winged Pharaoh* autorstwa Joan Grant, oraz „Życie Siddharthy Gautamy Buddy", które po skończeniu przepisałem fioletowym atramentem na czysto, na najlepszym papierze, jaki miałem.

W międzyczasie nadal chodziłem do szkoły, choć był to teraz znacznie dłuższy codzienny spacer. Program nauczania został zakłócony kilkoma interesującymi wydarzeniami – pierwsze z nich zmieniło mnie w pirata. W oddziale dla seniorów, z okazji świąt Bożego Narodzenia przewidziano wystawienie w szkole *The Pirates of Penzance* Gilberta i Sullivana – próby do tej sztuki zajęły nam kilka miesięcy. Chociaż grałem już Sir Waltera Raleigha w krótkiej sztuce *Empire Day*, kiedy byłem w oddziale juniorów, oraz występowałem jako Shylock, otrzymując

---

7

W tłumaczeniu Stanisława Barańczaka.

wielkie brawa za sposób, w jaki ostrzyłem nóż o podeszwę, deklarując „Już ja odbiorę, co do mnie należy," to piratem byłem po raz pierwszy. Mama i Ojciec obawiali się, że podniecenie występem zaszkodzi mojemu sercu, zwłaszcza, że w jednej ze scen chór piratów musiał tańczyć, kopiąc przy tym nogami wysoko w górę. Poza tym, w dzień występu, na który zaproszono wszystkich rodziców, poszedłem spać dopiero o pierwszej w nocy – jednak ten piracki eksperyment w niczym mi nie zaszkodził.

Przyczyną następnego zamieszania było świętowanie złotego jubileuszu LCC – Rady Miejskiej Londynu8, w którym oczywiście wzięły udział wszystkie londyńskie szkoły. Naszym wkładem była topografia południowo-zachodniej części Londynu – temat, który Dymiący Joe przebadał niezwykle dokładnie. Cała topografia była strona po stronie wypisana na czarnej tablicy i wszystkie dzieci w klasie pieczołowicie ją przepisywały, ponieważ, jak dowiedzieliśmy się od nauczyciela, najładniej napisany egzemplarz miał być umieszczony na wystawie jubileuszowej w miejskim ratuszu. Wśród wielu innych ciekawostek topograficznych dowiedziałem się między innymi, że nazwa Tooting pochodzi od imienia Tuta – anglosaskiego wodza, który płynąc w górę rzeki Wandle (stąd nazwa naszej dzielnicy Wandsworth) założył tu osadę; że Tooting Bec wzięło nazwę od opactwa Bec w Normandii, któremu te ziemie zostały podarowane wkrótce po Podboju Normandzkim w 1066 roku; że admirał Nelson urodził się w Merton, i że Daniel Defoe modlił się w Dissenting Chapel (kaplicy dysydentów) w Clapham. Później zaprowadzono nas na tę wystawę, gdzie ujrzałem swój egzemplarz topografii pięknie oprawiony i wystawiony na honorowym miejscu na środku sali.

Ostatnie z tych zakłócających normalny tok nauczania wydarzeń nie dorównywało skalą poprzednim, jednak spowodowało ważne dla mnie konsekwencje. Częściowo był za to odpowiedzialny Dymiący Joe. Kiedy w piątkowe popołudnia poprawiał uczniowskie zeszyty, moim zadaniem było zająć klasę jakimś opowiadaniem. Któregoś razu mówiłem o „Mojej kolekcji osobliwości", która w owym czasie obejmowała jedwabną, niebieską chińską szatę, haftowaną w karpie i kwiaty lotosu; parę pałeczek z kości słoniowej w komplecie z nożem i srebrnymi wykałaczkami umieszczonymi w oprawionej w srebro szkatułce z kości słoniowej; bambusowe ozdoby na nos pochodzące z Borneo; piorun; kawałki eukaliptusa (wszystko prezenty od Nany); chińską małpkę z torbą na grzbiecie; małą figurkę starej kobiety niosącej bagaże; rakietkę z drzewa tekowego z wyrzeźbionymi pawiami; dwie halabardy z Twierdzy w Londynie; dwa chińskie miecze egzekucyjne w zielonych skórzanych pochwach; szesnastowieczną płytkę ceramiczną z Holandii z obrazkiem drabiny Jakubowej; marokański sztylet; miseczkę z czasów dynastii Sung; szlachetne i półszlachetne kamienie (wszystko prezenty od Ojca); drucianą bransoletkę z Indii; różaniec; oraz rozmaite monety zagraniczne (z innych źródeł). Była wśród nich także mała mosiężna kadzielnica w kształcie słynnego Buddy z Kamakury, kupiona w sklepie z bibelotami w Brighton za własne pieniądze, w której regularnie paliłem kadzidełka o bardzo słodkim zapachu – mój pierwszy akt buddyjskich praktyk. Dymiący Joe poprosił mnie, abym skróconą treść mojego opowiadania zawarł w eseju. To właśnie ten esej, pokazany inspektorowi szkolnemu w czasie wizytacji, spowodował, że przeniesiono mnie do lepszej szkoły.

Instytucja, w której się teraz znalazłem, była oczywiście lepsza od mojej starej szkoły – takie było zdanie moich rodziców, nauczycieli i generalnie całego świata, ale niekoniecznie moje. Prawdziwym źródłem mojej edukacji nadal była biblioteka publiczna w Tooting. Jednak bez protestu ubierałem się w obowiązujący w nowej szkole mundurek – zieloną czapkę i marynarkę oraz szare flanelowe spodnie – i codziennie szedłem do szkoły w trochę dalej położonej, bardziej ekskluzywnej dzielnicy.

W pierwszym dniu w nowej szkole dyrektor posłał mnie do klasy, w której akurat trwała lekcja historii. We wszystkich ławkach siedziało po dwoje uczniów z wyjątkiem dwóch ławek – w jednej była blondynka z jasnoróżową cerą i porcelanowo-niebieskimi oczami, a w drugiej siedziała smagła dziewczyna z czarnymi włosami i brązowymi oczami. Jak się później dowiedziałem, były to dwie klasowe piękności i nierozłączne przyjaciółki. Widząc, że się waham, nauczyciel

8 LCC – London County Council [przyp. tłum.]

dobrodusznie zawołał – „Wybierz sobie! Obok której młodej damy wolałbyś usiąść?" Klasa zachichotała, blondynka oblała się rumieńcem, a ta ciemniejsza uśmiechnęła się.

„Jeśli one usiądą razem, będę miał ławkę tylko dla siebie," – odpowiedziałem. Takie rozwiązanie całkowicie usatysfakcjonowało obie piękności, które przed moim wejściem właśnie zostały rozdzielone za rozmawianie na lekcji. Blondynka szybko się przeniosła do przyjaciółki, a ja zająłem jej miejsce w opróżnionej ławce.

Mimo że byłem dwa lata do tyłu z materiałem, dyrektor zdecydował przydzielić mnie do klasy wyższej niż ta, do której powinienem chodzić z racji wieku. Z przedmiotów, które mnie najbardziej interesowały – historii, angielskiego i sztuki – od razu znalazłem się w czołówce. W matematyce, której nienawidziłem, wylądowałem wśród najgorszych. Przedmioty takie jak fizyka, francuski, stenografia, pisanie na maszynie i księgowość były dla mnie nowością, ale szybko dogoniłem resztę klasy. Chemii – która też była nowa – nie lubiłem, ale stary zrzędliwy chemik, który mistrzowsko bił linijką po kostkach rąk, na szczęście miał bzika na punkcie pisma kaligraficznego i porządnych rysunków do eksperymentów, ceniąc je bardziej niż wiedzę chemiczną, więc zawsze dawał mi dobre stopnie.

Ponieważ nadal byłem zwolniony z zajęć wychowania fizycznego, spędzałem te godziny w pracowni plastycznej. Nauczyciel plastyki, drobny siwy pan w swetrze i sandałach, flirtujący z dziewczętami i klnący na chłopaków, nie był zwykłym nauczycielem, który 'wziął lekcje plastyki', tylko prawdziwym artystą, pierwszym, jakiego poznałem osobiście. „Na rany Chrystusa! – mamrotał, kiedy jakiś uczeń oddawał mu swoją pracę – Niby co to jest, twoim zdaniem?" Wkrótce byłem z nim w bardzo dobrej komitywie i za jego cichym przyzwoleniem udawało mi się czasem rysować w pracowni w tym czasie, kiedy powinienem być na lekcji geometrii. Był na tyle dobry, aby poprawiać moje rysunki, pokazując mi dokładnie, jak oddać błysk oka lub miękkość płatka kwiatu, czego nawet Dymiący Joe mnie nie nauczył.

Jeszcze ciekawszy okazał się nauczyciel, który dołączył do grona nauczycielskiego już po moim przyjściu do tej szkoły, a odszedł przed naszą ewakuacją z powodu wojny. Był dość młody, niski, dobrze zbudowany, z płomienną rudą czupryną oraz brodą i wąsami tego samego koloru. Najwyraźniej w życiu interesowały go tylko trzy rzeczy, do których żywił prawdziwy entuzjazm – George Bernard Shaw, ateizm i szachy. Dzięki niemu przeczytaliśmy, to znaczy wysłuchaliśmy około tuzina sztuk Shawa'a. W trakcie historii czytał nam *Cezara i Kleopatrę* albo *Świętą Joannę*, w trakcie geografii *Ucznia diabła*, przypuszczalnie dlatego, że akcja sztuki dzieje się na dzikich równinach Ameryki, a resztę dzieł Shawa na lekcjach angielskiego oraz w piątki po południu. W moim przypadku ta nieortodoksyjna metoda nauczania okazała się pełnym sukcesem. Chociaż dawno już zapomniałem wszystkiego, czego nauczyłem się tamtego roku, nadal żywo pamiętam czytelnicze maratony, kiedy w gorące letnie popołudnie mieliśmy tylko siedzieć i słuchać, jak nauczyciel po kolei czyta nam sztuki wydane w dwóch grubych tomach *Dzieł zebranych*. Ateizm zwykle był nam wpajany w trakcie porannych lekcji religii, które nauczyciel, będąc nominalnie członkiem Kościoła Anglikańskiego, miał obowiązek prowadzić. Po południu, w trakcie ostatniej godziny przychodziła pora na szachy i ta nauka zwykle trwała jeszcze długo po tym, jak reszta szkoły poszła do domu na obiad. Grał symultanicznie z dwudziestoma, a nawet i trzydziestoma chłopcami na raz, co parę sekund przechodząc od jednej planszy do drugiej i oczywiście nieodmiennie nas wszystkich pokonywał. Niestety, po kilku miesiącach przeniesiono go do innej szkoły, ale czy stało się tak z powodu lekcji religii, czy dlatego, że miał tymczasowy angaż, nigdy się nie dowiedzieliśmy.

Z kolegami z klasy miałem niewielki kontakt. Z wyjątkiem mojego najlepszego przyjaciela, Clementa, starszego ode mnie tylko o sześć miesięcy, wszyscy inni chłopcy z tej klasy byli starsi o dwa lata i sprośność ich pustych rozmów budziła we mnie obrzydzenie. Poza tym, wkrótce po przeprowadzce do nowego domu wstąpiłem do Chłopięcej Brygady i przez następne cztery lata członkostwo w tej organizacji całkowicie zaspokajało moje instynkty towarzyskie.

Pewnego zimnego listopadowego dnia, o godzinie szóstej wieczorem, kiedy już od prawie godziny było ciemno, stałem z Mamą na chodniku patrząc na drugą stronę ulicy, gdzie znajdowała się nieoświetlona jeszcze sala, w której odbywały się zebrania Brygady. Widząc nasze wahanie,

szesnastoletni sierżant w biało-niebieskim mundurku gwardzisty odłączył się od grupy chłopców rozmawiających przed bramą i podszedł do nas, pytając, czy mógłby w czymś pomóc. Nie minęło wiele tygodni, a już byłem równie zapalonym członkiem Brygady jak wszyscy pozostali w tym towarzystwie. Spotkania odbywały się kilka razy w tygodniu i nigdy żadnego nie opuściłem. W piątki miały miejsce cotygodniowe musztry – zanim się zaczęły, trzeba było wypolerować elementy mosiężne, wyczyścić skórzane i pobielić lamówki. Po inspekcji odbywała się musztra, w trakcie której ćwiczyliśmy proste manewry, takie jak maszerowanie w tę i z powrotem po sali, zwroty, zatrzymywanie się i formowanie czwórek. Wszystkie spotkania rozpoczynały się i kończyły modlitwą.

Grupa ‘oficerów’ prowadzących musztrę składała się z kapitana drużyny, porucznika i dwóch oficerów sztabowych. Kapitan, na którego zwykli członkowie mówili ‘Szyper’, był drobnym dziarskim mężczyzną o niskim wzroście i lnianych włosach. Pracował dla znanej linii żeglugowej, którą od czasu do czasu reprezentował na konferencjach żeglugowych w Rzymie, Amsterdamie i innych miastach. Oprócz tego, że był naszym kapitanem, był też kierownikiem niedzielnej szkółki i pełnił różne funkcje w kościele baptystów, do którego należeliśmy. Porucznik, na którego mówiliśmy Reg, oraz dwaj młodzi oficerowie sztabowi, bracia o imieniu Roland i Olivier – wszyscy byli nauczycielami w szkółce niedzielnej, a Reg dodatkowo był kościelnym. W odpowiednim czasie zacząłem uczęszczać nie tylko na musztry, ale także w niedziele rano na lekcje o Biblii, w środy wieczorem na spotkania modlitewne, w czwartki wieczorem na lekcje Morse’a i semafora, a w poniedziałki na próby orkiestry, w której waliłem w werble.

Drużyna była niewielka, nigdy nie liczyła więcej niż sześćdziesięciu członków. Jak w podobnych grupach na całym świecie, było w niej wąskie grono zagorzałych entuzjastów, na których można było zawsze polegać, że pojawią się na wszystkich spotkaniach punktualnie jak w zegarku. Jednym z powodów, dla których należałem do tej grupki piętnastu czy dwudziestu wiernych zwolenników, których niesłabnące poświęcenie wraz z zapałem kapitana i oficerów podtrzymywało istnienie drużyny, był fakt, że zaspokajało to moje naturalne ludzkie pragnienie przynależności do grupy. Innym powodem był silny etyczny ton BB9, jak czule nazywaliśmy naszą organizację, z jej naciskiem na uczciwe życie, ducha zespołu, poczucie odpowiedzialności, służbę i bojaźń Boga – wszystko to uderzało w jakieś struny w moim sercu, których do tej pory nie zdołały poruszyć ani poezja, ani malarstwo. Tym bardziej, że nie tylko Szyper i oficerowie, ale też w trochę mniejszym stopniu wielu z tych chłopców było żywym przykładem cech, które tak wysoko ceniła BB. Jeśli chodzi o przyjaciół z Brygady, żywiłem wobec nich o wiele silniejsze uczucie braterstwa niż wobec moich ordynarnych kolegów ze szkoły.

Jednak najsilniejszym powodem niemal fanatycznej skrupulatności, z jaką wywiązywałem się z obowiązków członka Brygady, był ten, z którego najmniej zdawałem sobie wtedy sprawę. Jednym z gwardzistów był bardzo ładny, przyjacielski i życzliwy chłopiec, starszy ode mnie mniej więcej dwa lata, do którego natychmiast zapałałem żarliwym uczuciem. Ta wczesna miłość, której pozostałem wierny przez cały czas mojej przynależności do BB i jeszcze przez jakiś czas potem, była jednym z tych nigdy nie wypowiedzianych młodzieńczych afektów, których nikt nie zauważa, a najmniej ich obiekt. Jeśli w nieprzyjemne zimowe wieczory, kiedy przeważnie padał deszcz, a czasami śnieg, biegłem z mocno bijącym sercem przez słabo oświetlone ulice, to nie tylko z myślą o tym, że usłyszę wesołe głosy witające mnie po wejściu do jasnej sali, ale też z nadzieją, że ujrzę, i ze strachem, że nie ujrzę tej najdroższej ze wszystkich twarzy. Ponieważ Sid był tak samo wiernym członkiem jak ja, rzadko doświadczałem bolesnego rozczarowania. Ale chociaż widywaliśmy się kilka razy w tygodniu i byliśmy w najlepszych stosunkach, to nigdy nie staliśmy się bliskimi przyjaciółmi. To dziwne, ale nigdy nie miałem poczucia, że brakuje mi jego przyjaźni. Byłem całkowicie szczęśliwy widząc jego twarz i słysząc jego głos, i nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby pragnąć bardziej intymnej relacji.

Zgodnie ze statutem tego ruchu, który powstał z myślą o zachęcaniu chłopców i młodych mężczyzn do prowadzenia chrześcijańskiego życia, każda drużyna BB była pod opieką jakiegoś

9 BB – Boys’ Brigade (Chłopięca Brygada) [przyp. tłum.]

kościoła, którego główny ksiądz lub pastor stawał się honorowym ‘pułkownikiem’. Kościół baptystów, do którego należał mój oddział, był względnie nowym budynkiem z czerwonej cegły i z iglicą – stał frontem do Mitcham Lane, około pół mili od końca ulicy, przy której mieszkałem. Na przeciwległym rogu, również przodem do Mitcham Lane, stał parafialny kościół anglikański. Kongregacja, która wypełniała ten ceglany budynek w niedzielne poranki i wieczory, składała się głównie z zamożnych rzemieślników, drobnych sklepikarzy, urzędników i innych przedstawicieli drobnomieszczaństwa z okolic Lower Streatham. W latach, kiedy byłem członkiem BB, pastorem był tam człowiek odznaczający się głęboką i żarliwą pobożnością oraz wielkimi zdolnościami kaznodziejskimi. Dzięki jego staraniom oraz aktywności tych bardziej oddanych świeckich wiernych kongregacja stale powiększała się i kościół rozkwitał.

Bliskie związki, jakie istniały między BB i kościołami, do których przydzielano poszczególne oddziały, zachęcały (w rzeczywistości taka była ich intencja) członków Brygady do bardziej aktywnego uczestnictwa w zorganizowanym życiu religijnym. W moim przypadku, przejście z sali parafialnej, w której organizowano nasze piątkowe wieczorne musztry, do samego kościoła, odbyło się w dość naturalny sposób. W niedzielny poranek lekcja religii zaczynała się o dziesiątej i trwała godzinę. Śpiewaliśmy hymny z gatunku dynamicznych, takie jak „Naprzód żołnierze Chrystusa,” siedzieliśmy z pochylonymi głowami w trakcie improwizowanych modlitw i słuchaliśmy żartobliwych i pełnych wigoru wywodów Szypra. Kiedy kończyły się te zajęcia, automatycznie przechodziłem spacerkiem razem z innymi chłopcami do kościoła, zajmując razem z nimi miejsce w galerii na balkonie, gdzie siadałem obok Sida.

Poniżej, w przeciwległym końcu kościoła znajdowała się olbrzymia ambona, rozmiarów małego pokoju, z której pastor nie tylko wygłaszał kazania, ale też prowadził nabożeństwo. Po obu stronach tej struktury znajdowały się stalle chóru, przed nią był Stół Pański, na którym zawsze stał wazon z kwiatami, a za nią były organy. Z tylnych rzędów balkonu, gdzie zwykle siadali chłopcy z BB, widoczne były tylko pierwsze dwa rzędy kościelnych ławek. Chociaż czasami ziewaliśmy i wierciliśmy się w trakcie długiego kazania, to młodzi gwardziści zawsze zachowywali się w kościele z należytym szacunkiem.

Na galerii poznałem pana Younga, starszego kamieniarza w bardzo sztywnym białym kołnierzyku, który był pomocnikiem kościelnego i „opiekował się” tą częścią kościoła. Kiedy każdemu z nas podawał rękę na powitanie i wręczał książeczkę z hymnami, jego poorana głębokimi zmarszczkami twarz rozjaśniała się ciepłym uśmiechem. Obaj z Szyprem, który też był członkiem chóru, mocno wierzyli w konieczność robienia radosnego hałasu przed panem Bogiem, więc w trakcie śpiewania hymnów ich dwa gromkie głosy mocno wzbijały się ponad donośne głosy reszty uczestników zgromadzenia, zupełnie jakby brali udział w jakimś konkursie. Pan Young zawsze przeciągał każdą ostatnią nutę każdego wersu o wiele dłużej niż pozostali śpiewający, często kończąc ją piskiem – dość denerwującym dla nowych członków.

Wydaje mi się, że to on mnie zaprosił, abym uczęszczał do szkółki niedzielnej, gdzie dołączyłem do jego klasy, której członkiem już był Sid i kilku innych chłopców. Z jakiegoś powodu wyjątkowo gorliwie zatroszczył się o moje duchowe dobro i z wielkim przekonaniem oznajmił reszcie klasy, że Bóg wybrał mnie do dokonania wielkiego dzieła. Ponieważ był typem chrześcijanina fundamentalisty, głównie studiującego Biblię, jego zainteresowanie przybrało formę intensywnego zachęcania mnie do modlitw i studiowania Słowa Bożego. Co kwartał dawał mi małą książeczkę z wersetami biblijnymi na każdy dzień, z której niestety robiłem mniejszy użytek niż tego po mnie oczekiwał. Od czasu do czasu odwiedzał mnie w domu, gdzie poznał Mamę i Ojca, którzy bardzo go szanowali za jego surową, niezłomną, niemal ascetyczną pobożność. W czasie wojny, po mojej ewakuacji przysyłał mi czytanki z Biblii pocztą.

Innym członkiem kościoła, który pracował nad moją wiarą w Boga, choć przez krótszy czas, był pulchny, przysadzisty młodzieniec o imieniu Ben – miał około osiemnastu, może dziewiętnastu lat, mocno kręcone włosy i bardzo delikatny, ujmujący sposób bycia. Jego aktywność w kwestii mojego zbawienia nie była jednak aż tak bezpośrednia jak mego starszego preceptora. Najpierw zorganizował klub dla chłopców, gdzie w środy wieczorami graliśmy w tenisa stołowego, a potem zapraszał dwóch lub trzech spośród tych bardziej obiecujących członków klubu do swojego domu

na podwieczorek. Po obfitym posiłku, podczas którego jego matka czyniła honory domu, jeden po drugim klękaliśmy w salonie, a obok nas Ben, również na kolanach, głośno się modlił. Kiedy kończył swoją modlitwę, w której ofiarowywał Jezusowi nasze grzeszne dusze, przychodziła kolej na nas, abyśmy zrobili to samo we własnym imieniu. W ten fachowy sposób nawrócił kilku chłopców, ponieważ po zjedzeniu tak wyśmienitego poczęstunku czuliśmy, że niegrzecznie byłoby odmówić bycia zbawionym.

Oprócz uczęszczania do szkółki niedzielnej i klubu Bena, przez jakiś czas chodziłem też na cotygodniowe spotkania modlitewne dla młodych mężczyzn, odbywające się w radzie parafialnej. Był to rodzaj ewangelicznego odpowiednika klas przygotowujących do bierzmowania, tylko że mniejszy nacisk kładziono na doktrynę, a większy na wiarę i oddanie w nadziei, że przynajmniej kilku spośród uczestników stanie się aktywnymi członkami kościoła.

Jedną z głównych funkcji tych spotkań było zachęcanie nas do praktykowania modlitwy improwizowanej, do której baptyści, jak większość kościołów dysydenckich, przywiązywali wielką wagę. Klęcząc na ziemi, każdy przed swoim krzesłem i opierając się łokciami o jego siedzenie, po kolei głośno się modliliśmy takimi słowami, jakie byliśmy w stanie z siebie wydobyć. Większość chłopców, jeśli nie wszyscy, zapożyczała pobożną frazeologię od starszych i po krótkiej praktyce potrafiła wygłaszać swoje modlitwy z taką samą bezduszną łatwością, z jaką pisała szkolne wypracowania.

Hymny śpiewaliśmy przy akompaniamencie bardzo starej fisharmonii – Sid zawsze był bardzo zadowolony, kiedy miał okazję na niej zagrać – a potem odbywało się czytanie z Biblii. Zazwyczaj przemawiał Reg albo pan Young, ale kiedyś przez kilka tygodni z rzędu studiowaliśmy *Holy War* Bunyana pod kierunkiem mówcy z innego kościoła. Raz nawet przemawiał do nas nasz pastor na temat bliskości Powtórnego Nadejścia Chrystusa i Sądu Ostatecznego. Biła z niego tak elokwentna żarliwość, że nie mogłem się powstrzymać od zerkania przez otwarte okno na spokojne, wieczorne, letnie niebo na wpół spodziewając się, że za chwilę ujrzę na nim anioły zlatujące na ziemię jako straż przednia Pana.

A jednak, mimo członkostwa w BB, regularnego chodzenia do kościoła i szkółki niedzielnej oraz częstych spotkań modlitewnych, rozwój moich przekonań religijnych w ogóle nie podlegał żadnym wpływom. Częściowo działo się tak z powodu samej natury chrześcijaństwa w interpretacji baptystów, dla których celem oddziaływania nie był rozum, tylko emocje, a częściowo z powodu faktu, że już wcześniej zacząłem myśleć samodzielnie w kwestiach dotyczących religii. Tylko raz wdałem się w poważną dyskusję. Zdarzyło się to na spotkaniu modlitewnym w radzie parafialnej, kiedy chłopiec w moim wieku utrzymywał, że zbawienie dokonuje się wyłącznie poprzez wiarę, a ja twierdziłem, że przez wiarę i uczynki. Zazwyczaj satysfakcjonowało mnie tymczasowe emocjonalne uniesienie, w jakim znajdowałem się po powrocie do domu, wysłuchawszy szczególnie poruszającego kazania, które rozpalało moje serce oddaniem dla osoby Chrystusa. Ale kiedy wieczorem odmawiałem swoje modlitwy, nadal kierowałem je – jak miałem wtedy we zwyczaju – po kolei do Buddy, Chrystusa i Mahometa w naiwnym przekonaniu, że w ten sposób na pewno dotrą do uszu tego z nich, który okazał się prawdziwym zbawicielem.

Rozdział 5

Ewakuacja

3 września 1939 roku przypadał w niedzielę. Jak zwykle rano, w niedzielnej szkółce śpiewaliśmy hymny i słuchaliśmy modlitw, a potem udaliśmy się do kościoła, gdzie po wymianie kilku słów z panem Youngiem zajęliśmy nasze stałe miejsca na balkonie. Wydaje mi się, że zdążyliśmy odśpiewać tylko jeden hymn, kiedy kościelny wszedł po schodkach na ambonę i wręczył pastorowi świstek papieru. Wolno podnosząc się z krzesła pastor ogłosił nie numer kolejnego hymnu, tylko wiadomość, że nasz kraj jest w stanie wojny z Niemcami. Dodając, że uczestnicy tego zgromadzenia bez wątpienia pragną jak najszybciej wrócić do swoich domów, po krótkiej modlitwie i błogosławieństwie pozwolił nam odejść. Kiedy wychodziliśmy z kościoła, w powietrzu rozległy się syreny pierwszego alarmu przeciwlotniczego.

Emocją, która wypełniała moje serce, kiedy pędziłem do domu, nie był strach, ani smutek, tylko radosne podniecenie. Teraz, kiedy najgorsze już się stało, skończyło się cierpienie bardzo stresującej niepewności. Miałem poczucie, że moje nic nie znaczące życie zostało, jak słomka przez wodę, porwane przez niepowstrzymany prąd wydarzeń w kraju i rzucone nie wiadomo dokąd – towarzyszyło temu coś w rodzaju euforii.

Przez cały rok Ojciec i mężczyźni z jego pokolenia przyzwyczajali się do myśli, że poprzednia wojna, w której walczyli, aby zakończyć wszystkie wojny i już na zawsze zapewnić pokój swoim synom i wnukom, nie przyniosła spodziewanych rezultatów. Po raz drugi w całej Europie gasły światła.

W naszym domu, w Southfields oraz w Ewell, gdzie mieszkał teraz przyrodni brat Ojca, wujek Charles z żoną, ciocią Kath, odbywały się niespokojne rodzinne narady. W trakcie kryzysu we wrześniu 1938 roku napięcie było nie do zniesienia. Kiedy jednak Chamberlain ze zmęczonym uśmiechem zszedł po schodkach z samolotu w Hendon, wymachując kartką papieru, generalną reakcją, przynajmniej w naszej rodzinie, była nie tylko ulga, ale też uczucie zwycięstwa. Jak wiele innych kobiet, ciocia Kath napisała do Chamberlaina list z podziękowaniami i histerycznymi pochlebstwami, otrzymując w stosownym czasie grzeczną odpowiedź. Z upływem miesięcy zaczęto jednak wydawać maski przeciwgazowe. W ogrodach za domami kopano schrony Andersona, przed drzwiami i oknami budynków publicznych układano worki z piaskiem. BB zorganizowała kurs pierwszej pomocy. Ojciec wstąpił do ARP10 jako noszowy, a moja siostra Joan została ewakuowana na farmę koło Chichester.

Przez pierwsze kilka tygodni wojny wszędzie panowało zamieszanie. Kiedy jednak mijały tygodnie, a potem miesiące i nic się nie działo, życie narodu zwolna powracało ze stanu wyjątkowego do jakiej takiej normalności i początkowe uczucie euforii zaczynało ustępować nudzie. Maski przeciwgazowe, które na początku skrupulatnie wszędzie ze sobą nosiliśmy, kupując na nie specjalne wymyślne torby zamiast oryginalnych tekturowych pudełek, zostawialiśmy w szafie w domu. Ojciec narzekał, że w kwaterze głównej ARP, gdzie miał całodobowe dyżury, nie było nic do roboty oprócz grania w karty na stołówce. Jeśli chodzi o mnie, to ponieważ większość szkoły została ewakuowana w bezpieczniejsze regiony kraju w marcu i sierpniu, miałem tylko jakieś szczątkowe lekcje dwa lub trzy razy w tygodniu. Uczono na nich wyłącznie algebry i trygonometrii, więc wkrótce przestałem na nie chodzić i z pomocą Kardynała Newmana, Dr Johnsona, Sir Francisa Bacona, Heinego i greckich poetów tragicznych oddałem się poważniej niż kiedykolwiek edukacji samodzielnej.

Latem 1940 roku wojna weszła w drugą fazę i stało się jasne, że Londyn wkrótce pozna horror

---

10

ARP – Air Raid Precautions, oddziały zabezpieczenia obrony przeciwlotniczej. [przyp. tłum.]

lotniczych bombardowań. Zaczęto ponownie organizować ewakuację szkół i Ojciec uparł się, że tym razem muszę wyjechać.

Po siedmiu godzinach podróży pociąg zatrzymał się około trzeciej po południu w Barnstaple, małym miasteczku w północnym Devon. Clement i ja postanowiliśmy, że będziemy się trzymać razem, więc skierowano nas na plebanię – był to duży dom w najlepszej części miasta. Z tego, co dosłyszeliśmy z rozmowy oficerów zakwaterowania, kiedy dyskutowano o przydziale ewakuowanych, zorientowaliśmy się, że najtrudniejszym zadaniem tego popołudnia było dla nich znalezienie pary chłopców, którą będzie w stanie zaakceptować pani Smith, ciotka pastora. Ich wybór padł na nas – Clementa i mnie – gdyż wyglądaliśmy na takich, którzy najprawdopodobniej będą jej sprawiali najmniej kłopotu. W obliczu tego, co do nas dotarło z rozmowy, szliśmy za kierowniczką zakwaterowania nie bez pewnych skrupułów. Przeszliśmy przez żelazną bramę i dalej ścieżką prowadzącą przez bardzo zaniedbany ogród do biało-niebieskiego budynku, który miał być naszym domem.

Nie minęło wiele dni i rozgościliśmy się na plebanii, gdzie traktowano nas prawie jak członków rodziny – bardzo małej jak na tak wielki dom. Pastor, który w czasach studiów grał w rugby, był wysokim, potężnie zbudowanym mężczyzną z przerzedzającymi się szpakowatymi włosami i opuchniętą bladą twarzą, która w kontraście z czarnym garniturem była prawie tak biała jak jego koloratka. Kiedyś poradził sobie z zadziornym żebrakiem w ten sposób, że złapał go jedną ręką za portki, drugą za kark, podniósł całego i przerzucił przez frontową bramę. Pani Smith, jego siedemdziesięciodwuletnia ciotka, była bardzo drobną kobietą o ostrym języku, która – jak twierdziła – żyła tylko z jednym płucem. Niezwykle dowcipna, uwielbiała błyskotliwą wymianę zdań i szybko mnie polubiła, ponieważ w przeciwieństwie do pastora, który po prostu słuchał jej z uśmiechem, nie tylko przyjmowałem jej cięte uwagi, ale też potrafiłem szybko odparować. Natomiast niezbyt lubiła biednego Clementa, szczerego, uczciwego i serdecznego młodzieńca, który łatwo się czerwienił, i chociaż odznaczał się bardzo dobrymi manierami, to był wyjątkowo niezdarny i kiedy zwracała się do niego z jakimś dowcipnym powiedzonkiem, czuł się speszony i zakłopotany. W rzeczywistości potrafiła go doprowadzić do takiego zaplątania się we własne słowa, że raz kiedyś, gdy musiał jej coś zakomunikować, napisał to sobie wcześniej na kartce i odczytał jej w kuchni jak przemówienie, co sprawiło, że oczy tego starego złośliwego babska aż skrzyły się rozbawieniem.

Pan Smith, wuj pastora, był niewysokim mężczyzną o cholerycznym usposobieniu, prawie zupełnie łysym, który poruszał się z największą trudnością, mimo że pomagał sobie laską. Lubił opowiadać o swoich przeżyciach z czasów Wielkiej Wojny, kiedy był policjantem do zadań specjalnych w londyńskiej dzielnicy East End. Jeśli choć połowa jego opowieści była prawdą, chodzenie po ulicach Bermondsey po zapadnięciu zmroku było o wiele bardziej niebezpieczne od samotnej podróży przez najdziksżą Afrykę. W każdym razie był tak silnie przekonany o zaciekłości kobiet z East Endu, że chichocząc twierdził, iż najlepszym sposobem egzekucji Hitlera byłoby oddanie go w ręce pół tuzina mieszkanek tej dzielnicy, żeby go rozszarpały na kawałki gołymi rękami – sugestia, której roztropny pastor ani nie ganił, ani nie pochwalał.

Ostatnim członkiem tej rodziny była kucharka, pani Levy, pulchna Żydówka z kruczoczarnymi włosami, której mąż, z zawodu architekt, zginął w nazistowskim obozie koncentracyjnym. Była bardzo kulturalną kobietą – rozmawiała ze mną o literaturze niemieckiej. Czasem ze łzami w oczach opowiadała o zamordowanym mężu i o swoim pięknym domu, z którego wypędziło ich Gestapo. Clement bardzo lubił dzieci, więc często bawił się z jej pięcioletnią córeczką o imieniu Sybil, która szybko się do niego przywiązała. Niestety, któregoś dnia wybuchowy temperament i ostry język pani Smith przekroczyły granice wytrzymałości pani Levy i po bolesnej awanturze przepracowana uciekinierka z oburzeniem odjechała razem z Sybil taksówką, zabierając swoje rzeczy spakowane w siedemnastu walizkach. Sam fakt wzięcia taksówki w połączeniu z liczbą walizek bardzo zgorszył panią Smith, która najwyraźniej była przyzwyczajona do tego, że służące odchodzą na piechotę i z małymi tobołkami za cały bagaż. „Siedemnaście walizek! – wykrzykiwała potrząsając siwą głową z pełnym grozy zdumieniem – Kto to słyszał, żeby służąca miała siedemnaście walizek!”

Oprócz rozlokowania na kwaterach ewakuowane dzieci były też przydzielane do szkół w Barnstaple, gdzie w zatłoczonych klasach kontynuowaliśmy naszą edukację. Częściowo z powodu obcości środowiska, a częściowo dlatego, że moje oczytanie znacznie wyprzedzało poziom programu nauczania, serdecznie nie znosiłem szkoły, do której chodziliśmy z Clementem. Jedynym nauczycielem (kobiety w ogóle tam nie uczyły), którego uznałem za przynajmniej życzliwego, był pan od sztuki. Na jego lekcjach, gdzie nauczyłem się również oprawiania książek, czułem się najszczęśliwszy. Wykonałem wtedy rysunek tuszem – który okazał się moim ostatnim dziełem – przedstawiający Heroda na tronie i klęczącą przed nim Salome z głową Jana Chrzciciela na tacy. Fakt, że bardzo wyraźnie narysowałem sutki na piersiach Salome, był powodem obscenicznych komentarzy ze strony chłopców z Barnstaple, ale nauczyciel, który niewątpliwie widział już podobne rzeczy, nie zwrócił na nie ani większej, ani mniejszej uwagi niż na resztę rysunku i bardzo moje dzieło pochwalił.

Życie na plebanii, choć z pewnością ani ascetyczne, ani purytańskie, było naturalnie dość tradycyjne. Oferowało niewiele rozrywek, chociaż któregoś dnia pani Smith, ogarnięta chwilową pasją, zaproponowała nam wspólną grę w krokieta na trawniku. O piątej popołudniu, kiedy skończyła się już szkoła i zjedliśmy podwieczorek, Clement i ja – teraz nierozłączni – zwykle uciekaliśmy z domu na łąki i pola za miasteczkiem. W niedzielne poranki towarzyszyliśmy pani Smith do kościoła, gdzie pastor prowadził mszę i wygłaszał kazanie. Być może z powodu skromności szat liturgicznych lub cichego śpiewu chorałów gregoriańskich, a może dlatego że pastor był wyświęcony jako sukcesor w Starym Kościele Apostolskim – w tym małym anglikańskim kościółku panowała atmosfera świętości, jakiej nigdy nie czułem w kościele baptystów mimo całej jego radosnej pobożności.

W pierwszym tygodniu naszego pobytu na plebani Clementowi i mnie pozwalano słuchać radiowych wiadomości, ponieważ mieliśmy rodzinę w Londynie i naturalnie niepokoiliśmy się, czy nie grozi im jakieś niebezpieczeństwo. Kiedy jednak wiadomości z dnia na dzień stawały się coraz bardziej złowieszcze, kazano nam wychodzić z jadalni na kilka minut przed rozpoczęciem programu. Państwo Smith prawdopodobnie chcieli nam oszczędzić szoku ewentualnej nowiny o nagłej klęsce. Ale pewnego dnia, jak tylko skończyły się wiadomości nadawane o ósmej, wezwali nas z powrotem do jadalni, gdzie z niezwykle poważną twarzą i grobowym głosem, jakby chodziło o śmierć bliskiego krewnego, poinformowali nas o upadku Francji.

Następny śmiertelny cios!
Zburzone następne potężne mocarstwo!
Zostaliśmy sami i pozostaniemy samotni;
ostatni, którzy ośmielają się walczyć z wrogiem.
Tak musi być![11]

Nie mogliśmy z Clementem dokładnie śledzić zmiennych losów wojny, ponieważ państwo Smith zakazali nam gazet tak samo jak wiadomości radiowych, ale zrozumieliśmy, że to, co się wydarzyło, było niesłychaną katastrofą. Nawet gdyby nie udało nam się tego pojąć, to wygłoszona przez Churchila kilka dni później jego słynna radiowa mowa o „krwi, znoju, łzach i pocie" uświadomiłaby nam, że sytuacja naszego kraju jest jeszcze tragiczniejsza niż ta z listopada 1806 roku w czasie wojen napoleońskich, kiedy Wordsworth pisał swój sonet – bardziej katastrofalna nie była od tysiąca lat.

Niemniej jednak, ponieważ żyłem zarówno w wyobraźni, jak i w rzeczywistości, równie mocno jak tą, w którą byłem zaangażowany osobiście, przejmowałem się wtedy wojną, którą prowadzono trzy tysiące lat wcześniej. Odkryliśmy z Clementem sklep papierniczy, który nie tylko miał w sprzedaży nowe książki, ale też wystawiał przed drzwiami skrzynkę wypełnioną egzemplarzami używanymi. Moim pierwszym okazyjnym zakupem była *Iliada* Homera w tłumaczeniu Chapmana. Chociaż od dawna znałem ten poemat w wersji prozą i żaden jego rozdział

11 Z wiersza pt. *November, 1806* Williama Wordswortha [przyp. red.]

nie był mi obcy, to wersja poetycka tłumaczona wspaniałym tradycyjnym czternastozgłoskowcem okazała się nowością, która mnie całkowicie olśniła, kiedy czytałem ją w zalanym słońcem ogrodzie, siedząc w cieniu wierzby. Drugi udany zakup to pierwsza część *Fausta* Goethego, która wywarła na mnie wrażenie tak niesamowite i obudziła we mnie uczucia tak głębokie, że nie byłem w stanie przeanalizować ich natury i stwierdzić, na czym właściwie polegały.

Mieszkaliśmy na plebanii dokładnie miesiąc i zaczynałem się tam czuć jak w domu, kiedy pani Smith bardzo delikatnie oznajmiła nam nowinę, że będziemy przeniesieni na inną kwaterę. Tydzień wcześniej miał miejsce pewien incydent, który być może miał coś wspólnego z tą niespodziewaną zmianą. Pewnego ranka, w porze, o której zwykle wychodziliśmy do szkoły, lało tak strasznie, że zdecydowaliśmy z Clementem, iż lepiej będzie pozostać w domu, ponieważ nie mieliśmy ani płaszczy przeciwdeszczowych, ani parasoli. Jakiś czas później pan Smith, odkrywszy, że nadal jesteśmy w domu, wściekł się okropnie i wygonił nas laską na tę ulewę, obrzucając w dodatku niewybrednymi przekleństwami za to, że „boimy się odrobiny deszczu". Pół godziny później dotarliśmy do szkoły kompletnie przemoczeni przez burzę i zgłosiliśmy sprawę dyrektorowi. Widząc, jak ociekamy wodą, odesłał nas z powrotem do domu. Niezależnie od tego czy ten niemiły wypadek był, czy nie był prawdziwym powodem konieczności wyprowadzenia się z plebanii – jedyne, co usłyszeliśmy od pani Smith, to że ponieważ nie mają teraz służącej, muszą sami wykonywać wszystkie prace domowe (nawet pastor pomaga przy wycieraniu naczyń) i poza tym, jak dobrze wiemy, ona ma tylko jedno płuco, stało się niemożliwe, aby się nami dłużej opiekowali.

Moje pierwsze wspomnienie z nowej kwatery to jedzenie w kuchni jajek na bekonie i słowa naszej gospodyni, chudej czterdziestoletniej kobiety o ostrych rysach twarzy i cienkich, prostych, czarnych włosach – „Ręczę, że to lepsze od tego, co wam dawali na plebanii," – jako porządna Wesleyanka12 i nonkonformistka żywiła do anglikanów dużą niechęć. Clement, który od dawna nie czuł się tak swobodnie, chcąc jej sprawić przyjemność gorąco przytaknął, czym zasłużył na ponury uśmiech. Ja milczałem, gdyż nie chciałem w ten sposób dokładać się do oskarżeń pod adresem naszych byłych gospodarzy, kwestionując ich gościnność wobec nas. Niezbyt się to spodobało pani Williams, więc powtórzyła swoją uwagę i tym razem usłyszała wymijającą odpowiedź.

Czteropokojowy dom, w którym spędzałem teraz drugi miesiąc ewakuacji, położony był w dzielnicy robotniczej na przedmieściach. Na końcu małej uliczki, za hałdą żużlu rozciągały się dwa lub trzy zielone pola – czubek wąskiego pasma terenu wiejskiego, który wciskał się w miasto. Codziennie szliśmy przez te pola do szkoły, stojącej tyłem do tego zielonego obszaru, przez środek którego płynął kręty strumień z brzegami porośniętymi wysokim sitowiem i żółtymi irysami. Zawsze zatrzymywałem się nad jego ciemną wodą, wypatrując dużych brązowych ryb – czasami można było dostrzec, jak delikatnie poruszają płetwami nad błotnistym dnem.

Ponieważ dom był mały i nie miał ani frontowego, ani tylnego ogrodu, cieszyliśmy się tam większą swobodą niż na plebanii, jeśli chodzi o wyjścia. W soboty cały dzień spędzałem zwykle z Clementem w Bideford, dużym mieście położonym o dwanaście mil od Barnstaple. Ponieważ oszczędzałem moje kieszonkowe na kupowanie książek, a Clement wszystkie swoje pieniądze już wydał na lody dla dwóch małych chłopców naszej gospodyni – czym zyskał więcej ponurych uśmiechów oraz uwagę, że przynajmniej on nie jest skąpy – całą drogę do miasta pokonywaliśmy na piechotę. W czasie naszej pierwszej wizyty, która miała miejsce jeszcze w okresie pobytu na plebanii, znalazłem w Bideford antykwariat. Za każdym razem spędzaliśmy w nim cały dzień, choć Clement niewątpliwie wolałby pójść na mecz piłki nożnej lub połazić po mieście. Co mnie w tym antykwariacie zachwycało najbardziej, to liczba oprawionych w cielęcą skórę osiemnastowiecznych kwarto i folio, zwłaszcza folio Szekspira w kilkunastu tomach. Zdezorientowany i podniecony obfitością tych bogactw rzucałem się od półki do półki i z pokoju do pokoju, niezdolny do zatrzymania się dłużej przy jednej książce, gdyż natychmiast zwracała moją uwagę jakaś inna. Kiedy o piątej trzeba było wychodzić, pośpiesznie robiłem zakupy, ledwo zdając sobie sprawę z tego, co kupuję.

---

12 Tzn. zwolenniczka doktryny Johna Wesleya, twórcy metodyzmu. [przyp. tłum.]

Zapisałem się też do biblioteki publicznej w Barnstaple, która, sądząc po ilości wydań z osiemnastego wieku, początkowo była chyba kolekcją prywatną. Znalazłem w niej *Dzieła* Johnsona, wydane przez Arthura Murphy'ego w dwunastu czy trzynastu oprawionych w skórę tomach, na które rzuciłem się z chciwością. Byłem tak oddany mojemu bohaterowi, że przeczytałem nie tylko *The Rambler* oraz *The Adventurer*, które niezmiernie podziwiałem, ale też nawet jego tragedię *Irene*, której wersy dosłownie się do mnie przykleiły. Ponieważ z łatwością pochłaniałem teraz dzieła zebrane oraz wydania wielotomowe, zabrałem się za *Orlando Furioso* Hoole'a, czytając jeden tom dziennie, dopóki nie skończyłem całości. Mój intelektualny apetyt był w tym czasie tak nienasycony, że pewnej niedzieli, oprócz codziennej porcji Hoole'a, przeczytałem jeszcze *Memoirs of a Nun* Diderota i wszystkie siedem tragedii Ajschylosa. W tamtym czasie nie dokonywałem żadnego świadomego wyboru lektur. Ekscytowała mnie i fascynowała każda przeczytana książka i każda pozostawiała niezatarte wrażenie w umyśle.

Pewnego dnia pani Williams zabrała nas autobusem do nadmorskiego miasteczka Ilfracombe, gdzie kiedyś mieszkała ze swoim pierwszym mężem, olbrzymem o wzroście 213 cm, który popełnił samobójstwo. Po spacerze wąskimi uliczkami biegnącymi w górę i w dół na powierzchni klifu dałem nura do najbliższego antykwariatu, skąd wyłoniłem się po kilku godzinach, dzierżąc *Life of Johnson* Boswell'a, ilustrowaną książkę o Dante Gabrielu Rossettim jako malarzu oraz oprawiony w skórę tom duodecimo z 1723 roku, w języku łacińskim i angielskim, zatytułowany *The Secret Instructions of the Jesuits*. To chyba właśnie w Ilfracombe kupiłem też *Religio Medici* oraz *Hydriotaphię*, które podziwiałem tak bardzo, że naśladując tę drugą napisałem esej pod tytułem „Of Tombs and Sepultures". Był on, oprócz nieudanej próby naśladowania Hardy'ego, jedynym produktem literackim z okresu mojej bytności w Barnstaple, która wkrótce miała się zakończyć.

Niechęć pani Williams do mnie, która zapłonęła po raz pierwszy przy incydencie z jajkami na bekonie i wzmocniła przez kwestię lodów, z każdym tygodniem nabierała większej zawziętości. Nie podobało jej się, że ciągle czytam, co uważała za nienaturalne; nie znosiła mojego sposobu mówienia, który szyderczo określiła jako typowy dla czterdziestolatka, a nie czternastolatka; i irytował ją mój nawyk nie wydawania pieniędzy na nic innego oprócz książek, co w jej mniemaniu było równie złe, jak nie wydawanie ich w ogóle. Sama myśl o tym, że chociaż mam w portmonetce dziesięć szylingów, nie wydam nawet jednego pensa na słodycze lub lody, ani dla siebie, ani dla innych, doprowadzała ją do wściekłości. Któregoś dnia jej niechęć rozgorzała jawną urazą. W czasie kolacji jej starszy syn, Reggie, chłopak jedenastoletni, który naturalnie wzorował się na matce, odezwał się do mnie tak bezczelnie i grubiańsko, że nie mogąc znieść afrontu, ostro zripostowałem. Oczy pani Williams zaiskrzyły – „Żaden ewakuant nie będzie się w ten sposób odzywał do mojego syna," – oświadczyła, powiedziawszy najpierw dokładnie, co myśli na mój temat. To nie jej zimny i ostry gniew tak bardzo mnie zabolał, tylko sposób, w jaki wycedziła słowo 'ewakuant', jakby było ono najbardziej obraźliwym epitetem. Od tego dnia zaczęła się między nami otwarta wojna. Z mojej strony było to albo pogardliwe milczenie, albo zjadliwa riposta; z jej strony – nieustanne zaciekłe i szydercze obrażanie mnie. Sytuację pogarszała jej sympatia do Clementa, która z powodu nieobecności jej młodego męża żołnierza stała się o wiele cieplejsza niż być powinna.

Ponieważ moje ciało było chude i słabe, wstydziłem się zdejmować koszulę w obecności innych osób i zawsze myłem się w łazience. Ale Clement, który miał już prawie szesnaście lat, był bardzo dobrze zbudowany, więc zawsze rozbierał się do pasa i mył w kuchni. Często widziałem, jak pani Williams obserwowała go twardym wzrokiem z oczami błyszczącymi od pożądania. Wiedząc, że kilku starszych ewakuowanych chłopców sypia ze swoimi gospodyniami, których mężowie też byli w wojsku, nie miałem żadnych trudności z właściwą interpretacją takich znaków.

Ostatecznie moje życie w domu pani Williams zrobiło się tak nieznośne, że poprosiłem kobietę, która eskortowała nas z Londynu i była oficerem zakwaterowania na tej ulicy, żeby znalazła mi inną kwaterę. Wysłuchała mnie ze współczuciem, ale nic w tej sprawie nie zrobiła, dlatego zdecydowałem się zadzwonić do Mamy. Na początku wojny wuj Charles wraz z rodziną został ewakuowany do Torquay, w południowym Devon, gdzie jego firma wykonywała jakieś bardzo ważne zadania związane z wojną. Mama niedawno pojechała do nich, żeby tam zamieszkać,

ponieważ zaczął się Blitz i Ojciec nie pozwolił jej dłużej przebywać w Londynie. Kiedy powiedziałem jej przez telefon, że czuję się nieszczęśliwy, obiecała natychmiast przyjechać do Barnstaple.

Nigdy się nie dowiedziałem, co zaszło między Mamą i panią Williams, oraz jak następnego dnia przebiegała rozmowa Mamy z kierowniczką zakwaterowania, ale sądząc po wyrazie twarzy, z jakim wyszła po zakończeniu każdej rozmowy, nie oszczędziła żadnej z pań. Po przyjeździe stwierdziła, że stres, jakiego doświadczałem jako niechciany, a w gruncie rzeczy znienawidzony ‘ewakuant’, bardzo poważnie odbił się na moim zdrowiu. Chociaż telefonowałem do niej tylko z nadzieją na pomoc przy zmianie kwatery, zdecydowała, że zabierze mnie ze sobą do Torquay. Nie kwestionowałem tej decyzji i wyjeżdżając z Barnstaple żałowałem tylko, że nie zdążyłem przeczytać ostatnich dwóch tomów dzieł Johnsona.

Rozdział 6

Zasłona Izydy

Torquay – jak informowały swoich gości ilustrowane broszury licznych hoteli tego miasta –było Angielską Riwierą. Tylko tutaj w całej Anglii rosły tropikalne palmy na świeżym powietrzu. Tylko tutaj można było zamknąć oczy przed oślepiającym blaskiem słońca i wyobrażać sobie, że jest się na południu Francji, Włoch lub nawet Indii. Barnstaple i Bideford były staroświeckimi miasteczkami na południowym zachodzie – miasteczkami, w których mężczyźni rozmawiali o Drake'u tak, jakby Armadę pokonano wczoraj. Ich atmosfera nie za bardzo mi odpowiadała, ale Torquay było inne – kosmopolityczne. Przy nim Barnstaple i Bideford to prowincjonalne miejscowości, stojące na szarych skałach i spoglądające na zachód w stronę szarego Atlantyku. Ono było zbudowane na czerwonej skale i patrzyło na południe w stronę

> *Błękitu Śródziemnego Morza, gdzie leżał*
> *ukołysany do snu szumem jego krystalicznych wód.*

Być może nie przypadkiem po raz pierwszy zetknąłem się z mądrością Wschodu i po raz pierwszy stanąłem przed Zasłoną Izydy właśnie w Torquay.

Na drugi dzień po moim przybyciu Mama od razu zapisała mnie do najbliższej szkoły. Tej decyzji nie zaakceptowałem tak spokojnie jak poprzedniej, dzięki której w ogóle znalazłem się w Torquay. W rzeczywistości, kiedy dotarliśmy do bramy szkoły, nadal się targowałem. Mając już piętnaście lat, chciałem wejść w dorosły świat, znaleźć sobie płatne zajęcie i pracować. Ale Mama była niewzruszona w swej decyzji i na tyle mądra, że nie dyskutowała ze mną, tylko na wszystkie moje protesty odpowiadała spokojnie – „Najpierw musisz skończyć szkołę."

Moja ostatnia szkoła – z gatunku tych, które dawały uczniom sporo swobody – była wesołym i przyjaznym miejscem, gdzie pobłażliwość, z jaką zwalniano mnie z lekcji, których nie lubiłem, wkrótce przekonała mnie do zaakceptowania następnego okresu babilońskiej niewoli. Chociaż pracowali w niej zarówno nauczyciele, jak i nauczycielki – a ich szaty 'powiewały' prawdziwie w stylu opowiastek z *Gem* i *Magnet* – to miałem do czynienia głównie z kobietami. Przydzielono mnie do klasy, której wychowawczynią była nauczycielka angielskiego wykazująca ogromne zrozumienie dla moich ambicji literackich. Uczyła bardzo dobrze, ale zupełnie nie potrafiła utrzymać dyscypliny wśród uczniów – a oni wykorzystywali to bezlitośnie. Czasami hałas na lekcji był tak wielki, że z klasy znajdującej się za ścianą przybiegała nauczycielka historii (była tak niska i gruba, jak anglistka chuda i wysoka), aby pomóc przyjaciółce i przywołać rozrabiających do porządku.

Albo dlatego, że dobrze się zachowywałem i nie sprawiałem kłopotu, albo dlatego, że odkryła we mnie namiętność do literatury, jakiej nigdy wcześniej nie spotkała u żadnego ucznia, ta blada, umęczona kobieta stała się wkrótce dla mnie nie tylko dobrym krytykiem, ale też prawie przyjaciółką. Przy wypracowaniu na temat „Rozdział Kościoła od Państwa w Kościele Anglikańskim," – którego temat dał mi okazję do wykazania się znajomością słowa *antidisestablishmentarianism*[13] podobno najdłuższego w całym słowniku, a którego nauczyłem się od Dymiącego Joe – napisała: „Twoja umiejętność posługiwania się językiem angielskim jest znakomita, ale masz tendencję do używania długich słów tylko dlatego, że są długie. Pamiętaj, że najlepszym słowem jest to, które przekazuje znaczenie najjaśniej i najprościej." Mimo jej rozsądnej rady, minęło jednak ładnych parę lat, zanim zdołałem poświęcić *antidisestablishmentarianism* i jego 'dumnych kolegów' na ołtarzu czystości stylu.

Zachęcony przez nią zacząłem pisać – na wzór *Tales from Shakespeare* Lamba – dokładne streszczenie *The Spanish Tragedy*. Jednak po trzydziestu stronach groziło mi, że streszczenie okaże

---

13 Doktryna przeciwników rozdziału Kościoła od Państwa [przyp. tłum.]

się dłuższe od samej sztuki, więc zrezygnowałem. Kiedy odchodziłem ze szkoły, podarowała mi na pożegnanie egzemplarz *Complete Poems* Tennysona, co przełamało moje uprzedzenie do tego poety, jakiego nabawiłem się przez pełne najlepszych intencji usiłowania pani Ainsworth, aby 'nauczyć' nas *The Lady of Shalott*, i utorowało drogę do przyjemności obcowania z tak długo zaniedbywanym artystą.

Ponieważ w domu wuja Charlesa, gdzie mieszkała również Nana, nie było już dla mnie miejsca, Mama znalazła mi kwaterę na sąsiedniej ulicy. Moja gospodyni, pani Baker, była starszą kobietą tak niskiego wzrostu i tak szerokiej postury, że wyglądała jak spłaszczona jakimś gigantycznym kciukiem. Mówiła bardzo głośno i z wyjątkowo silnym akcentem Devonshire, powtarzając każde zdanie dwa lub trzy razy, zanim przeszła do następnego, jakby była przekonana, iż każdy kąsek jej konwersacji jest tak cenny, że słuchacz powinien mieć tyle okazji, ile tylko możliwe, aby go sobie przyswoić. Gotowała bardzo dobrze, ale była szaleńczo dumna ze swego domu i niestrudzona w zwracaniu mojej uwagi na wspaniałość wszystkiego, co w nim posiadała. Odnosząc się do dowolnego przedmiotu w domu, nigdy nie użyła przedimka określonego 'the', tylko zawsze mówiła – „**mój** salonik, **mój** stół, **mój** obiad, **moje** światło elektryczne, **moje** radio, **moje** zasłony." Jej mąż, którego dręczyła i nieustannie sztorcowała, był emerytowanym latarnikiem. Łagodny i dobroduszny mężczyzna z wesołą poczerwieniałą twarzą często puszczał do mnie oko zza pleców małżonki, kiedy ta wytaczała się z powrotem do swojej kuchni po jakimś bardziej niż zwykle gwałtownym wybuchu.

Codziennie po południu jadłem podwieczorek w domu wuja Charlesa, stojącym zaraz za rogiem ulicy, gdzie mieszkała pani Baker, a w niedziele chodziłem do nich na lunch i zostawałem tam na resztę dnia. Chociaż w dniu mojego przyjazdu ciotka i wuj przyjęli mnie bardzo zimno, to szybko zaczęli odnosić się do mnie bardziej życzliwie, i kiedy już wybaczyli Mamie jej „głupotę" w kwestii przywiezienia mnie ze sobą, wszystko było między nami dobrze. W rzeczywistości zawsze miałem dobry kontakt z ciocią Kath, starszą od wuja o sześć czy siedem lat – inteligentną kobietą o czarujących manierach, która pracowała dawniej jako główna bibliotekarka u Mudie'go. Była niezwykle chuda, miała wielkie oczy, policzki pokryte różem i masę ciemnych, kędzierzawych włosów. W Torquay zawsze nosiła spodnie. Mama i Nana kiwały z dezaprobatą głowami nad jej gospodarowaniem; chodziły słuchy, że nie umie gotować. Poza tym miała nienormalnie olbrzymi apetyt i konsumowała potężne ilości jedzenia. „Och, jak ja lubię dobrze sobie podjeść!" – wykrzykiwała, z błyszczącymi oczami siadając do posiłku i często rzucając się na potrawę, zanim ktokolwiek inny zdążył usiąść przy stole. W czasie naszych wizyt w Ewell, Joan i ja lubiliśmy ją mimo wszystko za jej małe grzeszki, a w Torquay, gdzie czasami dyskutowała ze mną o współczesnej literaturze i religii, jej towarzystwo zawsze sprawiało mi przyjemność.

Wuj Charles, który już w wieku trzydziestu lat był na pół łysy, pracował jako główny księgowy w znanej brytyjskiej firmie. Nieustanne przepracowanie powodowało jego ciągłą irytację i nierzadko między nim a ciocią Kath miały miejsce bardzo złośliwe sprzeczki. Chociaż był w tym samym stopniu skąpy, co ona ekstrawagancka, a w dodatku miał skłonności sadystyczne, to zawsze go lubiłem, ponieważ był jedynym wujkiem na tyle młodym, żeby ze mną baraszkować i bawić się, kiedy byłem małym chłopaczkiem.

W niedzielne popołudnia wszyscy szliśmy na spacer do lasu niedaleko Babbacombe Downs, gdzie brodziliśmy po kostki w warstwie wilgotnych opadłych liści i zbieraliśmy suche patyki na wieczorne ognisko. Jesień zawitała już do południowego Devon. Czasami czyste, rześkie powietrze tak nam dodawało energii, że robiliśmy dalekie wycieczki wzdłuż wybrzeża ścieżkami biegnącymi po urwistym klifie, zatrzymując się w miejscach, gdzie w wolno czerwieniejącym lesie były przerwy, przez które mogliśmy popatrzeć na niebiesko-czarne morze przelewające się daleko w dole. Od czasu do czasu nad szczyt klifu nadciągały pasma wilgotnej białej mgiełki. Kiedy jesień z wolna ustępowała zimie, owoce dzikiej róży i głogu odznaczały się coraz żywszym szkarłatem na bezlistnych krzakach.

Upłynęło zaledwie kilka miesięcy mojego pobytu w Torquay, a wujek Charles musiał coraz więcej czasu spędzać w niedzielne popołudnia nad swoimi dokumentami z pracy. Ponieważ mama wróciła do Londynu wczesną jesienią, a Nana uważała, że to nie w porządku zostawiać wuja

Charlesa w domu samego, żeby musiał sobie robić herbatę, czasami ciocia Kath i ja szliśmy na spacer tylko we dwoje.

Pierwszą rzeczą, jaką zrobiłem po wyjeździe Mamy, było rzucenie szkoły. Wyruszyłem na poszukiwania jakiejś pracy i wkrótce znalazłem posadę w Firmie Węglowej Parkes'a, której biuro znajdowało się na głównej ulicy Torquay. Była to niewielka spółka handlująca węglem, koksem i antracytem. Mimo wojennych niedoborów paliwa, interes szedł dobrze, ponieważ Torquay było miastem pełnym hoteli i wszystkie miały problem z zapewnieniem gościom ciepłych pokoi w zimie. W ciągu następnych dwóch miesięcy miałem wielokrotnie podnosić słuchawkę telefonu, by usłyszeć głos zagniewanego hotelarza żądającego wyjaśnień, dlaczego jeszcze nie przywieziono obiecanych dwudziestu ton czegoś tam, czym akurat palono w jego piecach. Kilku właścicieli hotelowych miało tak totalnie niedorzeczne oczekiwania w tej kwestii, że kiedy tylko w słuchawce rozlegał się ich wrzask, całe biuro wydawało z siebie jęk. Najgorszy z nich był pewien ekscentryczny baronet, który niedługo po tym, jak osiedliłem się w Kalimpongu, przysyłał mi chaotyczne listy na temat buddyzmu, nie mając pojęcia, że pisze do osoby, na którą kiedyś wydzierał się przez telefon za niedostarczenie na czas cotygodniowej porcji koksu. Ostatnią strzałą w kołczanie obrażonego klienta zawsze była groźba, że przestanie u nas kupować i przeniesie się do konkurencji po drugiej stronie ulicy. Była to firma, z którą Parkes zaciekle rywalizował, tym bardziej, że partner senior w naszej spółce był kiedyś ich menedżerem. Ich klienci prawdopodobnie rzucali tymi samymi groźbami, ponieważ w ciągu tej zimy kilka dużych hoteli przeszło od nich do nas.

Biuro Parkes'a mieściło się nad sklepem ze słodyczami. Szybko zaprzyjaźniłem się z pracującymi tam ekspedientkami, gdyż często zdarzały się trudności z zakupem czekolady i cukierków, mimo że nie były wtedy racjonowane. Biuro składało się z trzech pomieszczeń – dużego pokoju ogólnego, gdzie siedział główny urzędnik wraz z resztą personelu; pokoju dla partnera spółki – pełnego kurzu i szaf z dokumentami archiwalnymi – gdzie robiliśmy sobie herbatę; oraz z klitki znajdującej się piętro wyżej, do której dwa razy w tygodniu po południu przychodził bardzo wiekowy urzędnik zupełnie jak z epoki Dickensa, w sztywnym kołnierzyku, z łzawiącymi oczami i wieczną kroplą zwisającą mu z nosa, który przygotowywał miesięczne raporty finansowe.

Kiedy zatrudniano mnie w tej firmie, personel w dużym pokoju składał się z głównego urzędnika, czyli pana Williamsa – radosnego łysielca w okularach; z jego asystenta – młodzieńca z kategorią C314, czekającego na wezwanie do wojska, który łagodnie przeklinał partnerów, klientów, wojnę i generalnie cały świat, kiedy wystukiwał zlecenia dostaw na specjalnie do tego przystosowanej maszynie do pisania; oraz z dwóch czy trzech młodych chłopców, trochę tylko starszych ode mnie, z których wszyscy odeszli z firmy przede mną. Partner senior był małym uśmiechniętym i bardzo zadowolonym z siebie mężczyzną z południowo-zachodniej Anglii – miał sześćdziesiąt lat i wiecznie zacierał ręce. Partner junior był zwalistym młodym Szkotem o różowej cerze, noszącym nazwisko identyczne z nazwą sławnego gatunku whisky.

Moje obowiązki były na początku bardzo proste. Odbierałem telefony, robiłem herbatę i zanosiłem rachunki do pobliskich hoteli. Ponieważ w londyńskiej szkole nie zdołałem się nauczyć pisania na maszynie metodą bezwzrokową, teraz zastosowałem metodę dwóch palców i wkrótce całkiem biegle przepisywałem na maszynie liczne pisma, które partner senior miał zwyczaj pisać odręcznie tuż przed porą mojego wyjścia do domu. Normalnie, w biurze praca trwała od dziewiątej do szóstej, z godzinną przerwą na lunch, ale ja zwykle musiałem siedzieć tam do ósmej. Otrzymywałem dziesięć szylingów tygodniowo.

Niedługo po rozpoczęciu pracy u Parkes'a zaznaczyłem moją nowo zdobytą niezależność (raczej pozorną niż prawdziwą, ponieważ Ojciec nadal łożył na moje utrzymanie, pozwalając mi wydawać wszystkie tygodniówki na książki) przeprowadzając się do bardziej sympatycznych gospodarzy. Po dwóch czy trzech miesiącach pobytu na obecnej kwaterze, pani Baker uznała mnie za członka rodziny do tego stopnia, że zaczęła mnie dręczyć i łajać tak samo jak swego męża, który znosił to już od dawna. Sam ten fakt niespecjalnie mi przeszkadzał, ale niestety nie pozwalała

14 C3 = najniższa kategoria wojskowa (najwyższa to A1) dla mężczyzn całkowicie niezdolnych do odbycia przeszkolenia bojowego, nadających się jedynie do prac administracyjnych i innych siedzących [przyp. red.]

włączyć światła elektrycznego wcześniej niż co najmniej godzinę po zapadnięciu ciemności – a to była poważniejsza sprawa. Chociaż dobrze wiedziała, że jej mąż bardzo chce przeczytać gazetę, i że ja się niecierpliwię, gdyż chcę zapisać wiersze, które układałem w głowie jadąc autobusem z pracy, to siedziała na krześle chichocząc i wykrzykując co jakiś czas, jak to przyjemnie jest posiedzieć sobie w ciemności, i jaka szkoda, że tak szybko trzeba będzie włączyć jej elektryczność. Przypuszczam, że nie było jej przykro, kiedy się wyprowadziłem, ponieważ od dnia, kiedy rankiem znalazła pod moją poduszką egzemplarz *Heaven and Hell* Swedenborga, patrzyła na mnie wzrokiem, w którym czaiła się groza.

Chociaż ponury termin 'kwatera' bardzo był odpowiedni w stosunku do mojego pomieszczenia u pani Baker, to zupełnie nie miał zastosowania do pokoju, w którym spędziłem resztę mego pobytu w Torquay. Płaciłem oczywiście (to znaczy Ojciec płacił) co tydzień niewielką sumę za mieszkanie z wyżywieniem, lecz serdeczność i troska, z jaką mnie tam traktowano, oraz życzliwość ze strony każdego członka tej rodziny sprawiały, że czułem się u nich jak we własnym domu. Głowę rodziny, pana Frencha, który był przysadzistym, małomównym mężczyzną w wieku czterdziestu lat, widywałem – z wyjątkiem weekendów – bardzo rzadko. Dzielił swój czas między sklep nabiałowy w dzielnicy St Marychurch, gdzie mieszkałem, i farmę, która zaopatrywała sklep w mleko, masło i jajka. W trakcie naszej jedynej poważnej rozmowy uroczyście mnie zapewnił, że wierzy w dosłowne historyczne istnienie Adama i Ewy, i wydawał się zdumiony, że nie podzielam jego wiary. Jego żona była spokojną, dość korpulentną kobietą z siwiejącymi włosami i pięknym szerokim uśmiechem – kiedyś pracowała jako nauczycielka. Gwen – niezamężna siostra pani French – w wieku około trzydziestu dwóch lat wyglądała na kilka lat młodszą. Miała jasnobrązowe włosy ze złotawym połyskiem, szare oczy, przyjemny niski, lekko zachrypnięty głos i znacznie weselszy i radośniejszy temperament niż jej poważna siostra. Mary, jedyne dziecko państwa French, była małą jasnowłosą, pięcioletnią dziewczynką, która z jakichś niejasnych powodów bardzo mnie polubiła niemal od pierwszego wejrzenia. Chociaż nigdy nie przepadałem za dziećmi, trudno mi było nie odwzajemnić jej uczucia i moja antypatia do małych dzieci złagodniała do tego stopnia, że pozwalałem jej siadać mi na kolanach. Ze względu na jakąś wadę wymowy dziewczynka nie potrafiła wypowiedzieć tego, co do mnie czuła, ale wyrażała to śmiejąc się bardzo serdecznie zawsze, kiedy się widzieliśmy. Wkrótce byłem z panią French i jej siostrą na tak poufałej stopie, jak nie byłem dotąd z nikim wyjąwszy osoby z kręgu najbliższej rodziny. Do Gwen naprawdę bardzo głęboko się przywiązałem – a co dziwniejsze, ona mnie też niezwykle polubiła.

W dni powszednie moja praca do późnych godzin w Firmie Węglowej Parkes'a, a w niedzielne popołudnia spacery z ciocią Kath sprawiały, że miałem o wiele mniej czasu na czytanie niż wcześniej – w Londynie lub Barnstaple. Ale nadal czytałem w ciągu tygodnia więcej niż przeciętny chłopiec w moim wieku przez cały rok. Niektóre poznane w tym okresie książki wywarły decydujący wpływ na całe moje życie i światopogląd. Wśród moich odkryć znalazł się Schopenhauer, w którym od razu rozpoznałem pokrewną duszę. Klasyczni autorzy obejmowali Platona (w tłumaczeniu dzieł wszystkich Bohna), Arystotelesa, Teokritusa, Longinusa, Demetriusza, Tyrteusza i Lucjusza, lecz największy podziw wzbudzili we mnie Seneka i cesarz Julian. Etyczne piękno moralistów starożytnego Rzymu poruszyło we mnie po raz pierwszy jakąś strunę, która już nigdy nie przestała wibrować. Może to zabrzmi dziwnie, lecz to nie Biblia, ani *The Holy War*, tylko *De Beneficia* oraz *De Consolatione* nauczyły mnie nie tylko kochać etyczne życie, ale też i świadomie do niego dążyć. Sam nie wiem, dlaczego podziwiałem pisma cesarza Juliana. Może pociągał mnie 'archetypowy', na wpół orientalny charakter jego religii, ponieważ coraz bardziej podobała mi się w literaturze egzotyka.

Ani w bibliotece publicznej w Torquay, ani w Barnstaple, nie było działu poświęconego literaturom Wschodu. Ale w Torquay, po kilku pozycjach z literatury rosyjskiej i mniejszych literatur europejskich, pół tuzina książek znakomicie zaprezentowało niezmierzone bogactwa prozy i poezji oraz filozofii i religii chińskiej, japońskiej, sanskryckiej, perskiej i arabskiej. Jak tylko ujrzałem te dzieła, błysnęła mi w głowie myśl jak jakieś objawienie – „Dlaczego miałbym się ograniczać wyłącznie do Europy?"

Z działu orientalnego w bibliotece publicznej w Torquay, w którym przeczytałem chyba

wszystkie pozycje, teraz pamiętam tylko *The Yoga of the Bhagavat Gita* autorstwa Szri Kriszny Prema, angielskiego wajsznawy, z którym później korespondowałem; *Noh Plays of Japan* oraz *Dabistan*. Jednak od tamtego dnia stale rosło we mnie przekonanie, które na stałe zagnieździło się w mojej świadomości, że regionalizm i nacjonalizm w literaturze lub sztuce oraz w filozofii lub religii jest anachronizmem. Dlaczego kulturalny Anglik nie miałby znać tłumaczenia dzieł Li Po równie dobrze, jak zna Szekspira w oryginale, lub dlaczego niemiecki filozof nie miałby znać doktryn Nagardżuny tak samo dobrze, jak zna Kanta? Dlaczego Zachód w dwudziestym wieku nie mógłby być tak otwarty na kultury Wschodu, jak był otwarty w wieku piętnastym na sztukę i literaturę starożytnych Greków i Rzymian? Prawdziwy obywatel świata – niezależnie od tego, czy urodził się w Europie, Azji, Afryce, Ameryce czy Australii, czy jest buddystą, chrześcijaninem, muzułmaninem, hinduistą, żydem, konfucjanistą, taoistą, szintoistą, animistą czy ateistą – powinien postawić sobie za cel jak najszersze zapoznanie się ze wszystkim, co najlepsze, z całego kulturalnego i duchowego dziedzictwa ludzkości.

Wyczerpawszy zasoby literatury orientalnej w bibliotece w Torquay, zwróciłem się do sklepów papierniczych i księgarń naprzeciwko Firmy Parkes'a. Tutaj, w serii *Everyman*, znalazłem *Hindu Scriptures* oraz *Siakuntalę* Kalidasy. W pierwszym tomie, który był wyborem z hinduskiej literatury religijnej, spodobały mi się przede wszystkim hymny wedyjskie, zwłaszcza te adresowane do bogini Uszasy, czyli Świtu. *Upaniszady* były dla mnie niejasne. W porównaniu ze sztukami Marlowe'a i Bena Johnsona, które przeczytałem wszystkie jeszcze w czasie pobytu u pani Baker, *Siakuntala* wydawała mi się dość kiepska – nawet przy uwzględnieniu różnicy, nie tak znów wielkiej, w konwencji dramatycznej. W Indiach Kalidasę zawsze porównuje się z Szekspirem, lecz kiedy siedemnaście lat później, pragnąc zrewidować mój wczesny osąd, przeczytałem *Siakuntalę* ponownie, tylko się w swej opinii utwierdziłem. Jednak przepiękna metaforyka *Meghaduty*, czyli 'Posłańca Chmur', długiego poematu lirycznego, naprawdę wzbudziła we mnie ogromny zachwyt. Wkrótce potem w tej samej księgarni znalazłem *The Song Celestial* – słynne tłumaczenie wierszem *Bhagawad Gity* dokonane przez Sir Edwina Arnolda. Przyniosło mi ono jeszcze większą satysfakcję. W rzeczywistości, księgę jedenastą, „*The Vision of the Universal Form*", czytałem zawsze w stanie graniczącym z ekstazą.

Wtedy, o królu, Bóg mówiąc w ten sposób,
stanął przed synem Prithy ukazując mu
cały splendor, cudowność i grozę
swej przeogromnej, wszechpotężnej postaci.
Nieskończenie wiele patrzących oczu,
nieskończenie wiele rozkazujących ust,
nieskończenie wiele mistycznych form
składało się na jedną Formę stojącą ponad wszystkim,
przystrojoną niezliczonymi wspaniałymi szatami,
dzierżącą niezliczone boskie bronie,
ukoronowaną girlandami gwiazd,
odzianą w połyskujący strój.
Oddychając z głębi swej idealnej Obecności,
rozsiewał subtelne tchnienia
pełne wszelakich boskich wonności.
Jego wszechobejmujące twarze
emanowały oślepiającym blaskiem.
Był cudowny, nieograniczony
i wypełniał sobą bezkresne przestrzenie.
Takim oto ukazał się! I gdyby
nagle na niebie rozbłysło
tysiąc słońc oblewając ziemię swymi promieniami,
może dałyby one blask podobny światłości

Świętego Majestatu!

Trudno powiedzieć, czy tego typu teksty zachwycał mnie bardziej jako poezja, czy jako religia. Czasami, kiedy wydawało mi się, że rozkoszuję się poematem, w rzeczywistości reagowałem na naukę religijną, a kiedy myślałem, że reaguję na treści religijne, to w gruncie rzeczy zachwycałem się wierszem. Nie ulega jednak żadnej wątpliwości, że mocno przeżyłem dzieło, które postawiło mnie w obliczu Zasłony Izydy.

Pewnego sobotniego popołudnia, kiedy wymieniałem książki w bibliotece, zauważyłem na znajdujących się w czytelni drzwiach napis „Zbiór Moyse'a". Na moją prośbę bibliotekarz otworzył drzwi kluczem i znalazłem się w samym środku największej i najbogatszej kolekcji książek, z jaką się do tej pory zetknąłem. Opierając się bardzo silnej pokusie szczegółowego opisania moich wycieczek w świat greckich i łacińskich klasyków, średniowiecznych tekstów angielskich i dramatów elżbietańskich, które od tego dnia odbywałem w soboty popołudniu (ponieważ książki należące do tego zbioru wolno było czytać tylko na miejscu), ograniczę się do dwóch pozycji, będących moją odskocznią do rzeczywistości wyższej. Pierwszą z nich był *Paracelsus* Hartmanna. Chociaż książka wywołała moje żywe zainteresowanie, to jeszcze bardziej zaintrygowały mnie jej nieustanne odniesienia, przeważnie w przypisach, do *Buddyzmu ezoterycznego* A.P. Sinnetta, o którym nigdy wcześniej nie słyszałem. Któregoś popołudnia natknąłem się na to dzieło, stojące na półce trochę dalej za *Paracelsusem*, i szybko je przeczytałem. Dało mi ono niejasne poczucie poszerzenia horyzontów, ale znacznie żywiej pamiętam z niego liczne wzmianki, również w przypisach, o kolejnej książce, o której nigdy nie słyszałem – *Isis Unveiled* (*Izyda odsłonięta*). Nie była dostępna w Kolekcji Moyse'a, ale wkrótce odkryłem, że znajduje się w zbiorze do wypożyczania i zabrałem dwa opasłe tomy do domu w St Marychurch.

Jak mam opisać wrażenie, które na mnie wywarły? Choć w swej istocie miało ono charakter prawie całkowicie negujący, to okazało się, że jego konsekwencje sięgały o wiele dalej niż jakakolwiek książka, którą dotąd poznałem. W ciągu dwóch tygodni przeczytałem oba tomy dwukrotnie od początku do końca. Chociaż znalazłem w nich oszałamiające, niezmierzone bogactwo informacji (Maeterlinck nazywał je 'wagony pełne niewyczerpanych zasobów') dotyczących każdego możliwego aspektu filozofii, religii komparatywnej, okultyzmu, mistycyzmu, nauki i setki innych tematów – co wywarło na mnie ogromne wrażenie, zdumiało mnie, podekscytowało i wprawiło w uniesienie – to jednak najważniejszym skutkiem tej lektury było jasne uświadomienie sobie faktu (który w momencie gdy skończyłem czytać, tkwił na pierwszym planie mojej świadomości jako coś oślepiająco oczywistego), że **nie jestem chrześcijaninem**, nigdy nim nie byłem i nigdy nie będę, i że cała struktura doktryny chrześcijańskiej od początku do końca napawała mnie totalną odrazą. To objawienie wywołało poczucie ulgi i wyzwolenia jakby od jakiegoś przytłaczającego ciężaru – tak wielkie, że chciało mi się tańczyć i śpiewać z radości. Nie wiedziałem, kim jestem, i w co wierzę, ale z całą pewnością wiedziałem, kim nie jestem, i w co nie wierzę – i wiedza ta, choć ze swej natury wtedy jeszcze negująca, dała mi przedsmak owej wolności, która pojawia się, gdy zostają usunięte wszelkie przeszkody, przełamane wszelkie bariery i przekroczone wszelkie ograniczenia.

Skutki tej wielkiej emancypacji na razie były niewielkie. Próbując zapełnić pustą przestrzeń pozytywną treścią, zagłębiłem się w *Arcana Celestae* Swedenborga, zająłem się studiowaniem literatury hebrajskiej, pism różokrzyżowców oraz *The Key to Teosophy* – jednak dopiero rok później w Londynie rzeczywiście znalazłem to, czego szukałem. *Izyda odsłonięta* nie mogła mi pomóc. W rzeczywistości, oryginalny tytuł tej pozycji, wybrany przez autorkę, brzmiał „Zasłona Izydy", jednak wydawcy, wyczuleni na reklamową wartość sugestii o ujawnionych sekretach, zmienili go na ten, pod którym książka ostatecznie stała się sławna. Ciekawostką jest też fakt, że choć początkowo zakładałem, że jej autorem jest mężczyzna, H.P. Blavatsky, to zanim skończyłem ją czytać, intuicyjnie wiedziałem, że *Izydę odsłoniętą* napisała kobieta. Mimo że Zasłonę Izydy podniosła dla mnie Ręka nieporównanie większa, to Helena Bławatska ma moją dozgonną wdzięczność za to, że doprowadziła mnie do miejsca, gdzie stanąłem twarzą w twarz z Zasłoną.

Moja pozycja w Firmie Węglowej Parkes'a stopniowo się umacniała. Kiedy inni pracownicy

jeden po drugim opuszczali firmę, ja przejmowałem ich obowiązki – najpierw po tych dwóch czy trzech młodych chłopcach, potem po przeklinającym młodzieńcu z C3, a w końcu po panu Williamsie. Ostatni w biurze stał się pierwszym. Zamiast oddawać słuchawkę bardziej doświadczonym członkom personelu, teraz sam przyjmowałem zamówienia, uspokajałem rozzłoszczonych hotelarzy i wyjaśniałem bieżącą sytuację na rynku węglowym. Kiedy klienci przychodzili do biura, przyjmowałem płatności, wydawałem pokwitowania i zapewniałem ich, że następna partia towaru dotrze bez opóźnienia. Między innymi przychodziła też klientka Agata Christie, która w księgach firmy figurowała pod swoim prawdziwym nazwiskiem. Dwa lub trzy razy w tygodniu udawałem się do naszego składu paliwa, od którego klucze miałem teraz pod swoją pieczą, obserwowałem jak kierowcy napełniają baki swoich ciężarówek i mierzyłem pozostałą ilość paliwa przy pomocy metalowej, karbowanej wagi przesuwnikowej. W piątki po południu w składzie węgla, znajdującym się przy stacji kolejowej Torquay, wypłacałem tygodniówki brygadziście, kierowcom i dostawcom.

Jednak moim głównym zajęciem było codzienne wypisywanie zleceń dostawy na specjalnej maszynie do pisania, której zawiłości już udało mi się rozgryźć. W ruchliwe dni ciężko nad tym pracowałem od drugiej do szóstej po południu. Napisane na maszynie zlecenia musiały być sprawdzone przez partnera seniora. Ponieważ biuro było teoretycznie zamykane o szóstej, a sprawdzanie czasami trwało dwie godziny, powinno się ono rozpoczynać o czwartej. W czasach, kiedy maszynę okupował młodzieniec z kategorią C3, partner senior miał miły zwyczaj marnowania całego popołudnia na plotkowanie, po czym z radosnym uśmiechem zabierał się do sprawdzania zleceń dopiero o szóstej. Fakt, że stałem się w biurze osobą niezbędną, umożliwił mi ukrócenie tego procederu. O czwartej po południu spoglądałem na zegar wiszący nad kominkiem i oznajmiałem, że chciałbym dziś wieczorem wyjść ‘wcześnie’, co w biurowym żargonie oznaczało ‘nie później niż o wpół do siódmej’. Za trzecim czy czwartym razem uwaga została zrozumiana i sprawdzanie zaczynało się czasami już o trzeciej.

Nasze niedobory w personelu zredukował partner junior, który włożywszy w biznes więcej pieniędzy niż inni, musiał utrzymać większy prestiż, co doprowadziło go do praktykowania jakichś dziwacznych wybiegów. Byłem świadkiem jednego z nich kilka razy, zanim pojąłem jego znaczenie. Zawsze kiedy odbierał telefon osobiście, ponieważ ja byłem zajęty pisaniem na maszynie, delikatnie odkładał słuchawkę, cicho podnosił się z krzesła, przechodził na palcach w najdalszy kąt pokoju i stał tam przez minutę, jakby był głęboko pogrążony w myślach. Następnie gwałtownie wracając do rzeczywistości, szedł do telefonu szybkim krokiem, głośno waląc piętami o podłogę i podnosząc słuchawkę krzyczał w nią radosnym tonem – „Halo, halo! Tak, przy telefonie!”

Chociaż harowałem w biurze bardzo ciężko przez ostatnie dwa czy trzy miesiące pracy, to czułem się całkiem szczęśliwy, i mimo że w gruncie rzeczy nie za bardzo lubiłem moje zajęcie, to interesowałem się nim i starałem się wykonywać je najlepiej, jak potrafiłem. Wysokość mojej tygodniówki urosła ponad dwukrotnie, ponieważ po odejściu młodzieńca z C3 poprosiłem o podwyżkę, a kiedy opuścił nas pan Williams, partnerzy dali mi następną już z własnej woli. Wyższe zarobki oznaczały oczywiście więcej książek. Na skutek moich uwag o chęci wyjścia ‘wcześnie’, dość często mogłem opuścić biuro już o szóstej zamiast o ósmej, jak bywało przedtem, co pozwalało mi spędzać więcej czasu w miłym towarzystwie pani French i Gwen. Miałem też więcej czasu na studiowanie literatury różokrzyżowców, którą przysyłano mi teraz co dwa tygodnie z San Jose w Kalifornii.

Ogłoszenia reklamowe Starożytnego i Mistycznego Zakonu Różokrzyżowców (AMORC15) są dobrze znane czytelnikom periodyków z gatunku okultystycznych, spirytystycznych lub uniwersalistycznych. Pojawiają się nawet w zwykłych gazetach i czasopismach. Zupełnie nie pamiętam, gdzie po raz pierwszy wpadło w mi w oko takie ogłoszenie, ale widocznie spodobała mi się perspektywa inicjacji w starożytne tajemnice, bo wkrótce znaczną część tygodniówek wydawałem na różne członkowskie składki. Pozostały mi dość mgliste, lecz piękne wspomnienia,

15 The Ancient and Mystical Order Rosae Crucis.

jeśli chodzi o mało sprecyzowaną treść zielonych folderów, które przychodziły co dwa tygodnie w niezadrukowanych okładkach, wielce intrygując panią French i Gwen, które zastanawiały się, kim też może być mój tajemniczy korespondent z Ameryki. Natomiast żywo pamiętam pewną ‘inicjację’, ponieważ przy jej okazji niechcący zraniłem uczucia moich dwóch przyjaciółek.

Ta ‘inicjacja’ polegała – o ile dobrze pamiętam – na zapaleniu przed lustrem szeregu świeczek i na skupionym wpatrywaniu się w lustro tak długo, aż pojawi się w nim Różany Krzyż. Ponieważ w moim pokoju nie było elektryczności, dostawałem świeczki, w świetle których czytałem po nocach. Nie chciałem prosić o dodatkowe, gdyż ceremonia musiała być zachowana w tajemnicy, więc kupiłem paczkę świec w drodze powrotnej z biura do domu. Następnego dnia przy obiedzie obie siostry, które zobaczyły resztki tej paczki w niedomkniętej szufladzie, kiedy sprzątały mój pokój, delikatnie robiły mi wyrzuty, że sam kupowałem świece zamiast o nie poprosić.

Kiedy wiosna zmieniła się w lato, ciocia Kath, wuj Charles, Nana i ja zaczęliśmy spędzać niedzielne ranki albo popołudnia na plaży Babbacombe. Nigdy – w Anglii – nie doświadczyłem tak pięknej pogody w tak pięknej okolicy. Za nami stały czerwone klify piaskowca wyrastające stromo w górę na wysokość dobrych stu metrów. Przed nami leżało połyskujące, intensywnie niebieskie morze, mieniące się w słońcu złotymi iskierkami. Pomiędzy nimi rozciągała się wstęga olśniewająco białej plaży, a nad naszymi głowami na całym horyzoncie rozpościerał się drżący błękit nieba.

Jednak kiedy Ojciec, który w czasie Blitzu pracował jako noszowy dzień i noc, przyjechał do Torquay na krótki urlop, poczułem, że rodzi się we mnie ogromna tęsknota za domem. Złożyłem wypowiedzenie w firmie, gdzie partnerzy w trakcie moich ostatnich dni w biurze ponuro przyzwyczajali się do myśli, że będą mieli teraz do pomocy dziewczynę, bardzo serdecznie pożegnałem się z panią French i z Gwen i po rocznej nieobecności powróciłem do Londynu.

Rozdział 7

Nagła zmiana

Okres dwóch i pół lat po powrocie z Torquay był jednym z najważniejszych w moim obecnym życiu. Każdy aspekt mego istnienia, od najniższego do najwyższego, żarliwie domagał się jak najpełniejszego rozwoju i wyrazu – w rezultacie moje życie w całym tym okresie było pogrążone w chaosie sprzecznych impulsów. Miłość do sztuki, literatury i muzyki – i tak już żarliwa – zmieniła się w bezwzględną namiętność. Książki, których nigdy nie czytałem zwyczajnie i pobieżnie, były teraz bezkrytycznie i na oślep połykane w całości, w daremnej próbie zaspokojenia wilczego apetytu, wręcz przerażającego swą łapczywością. Moje zmysły, praktycznie do tej pory uśpione, nagle się przebudziły i głośno domagały się satysfakcji. Po raz pierwszy w życiu miałem doświadczenia mistyczne i parapsychiczne. Chociaż sięgałem wyżyn, egzystencja nie polegała na spokojnym robieniu postępów, tylko na nieustannej gwałtownej oscylacji między skrajnościami. Nic dziwnego, że moimi bohaterami w tym okresie były postacie zbolałe, udręczone i demoniczne – Strindberg, Nietzsche, Beethoven.

Londyn w roku 1941 tak samo różnił się od Londynu z roku 1940, jak młodzieniec, który powrócił z Torquay, różnił się od chłopca ewakuowanego do Barnstaple. Dzielił ich Blitz. Niemal na każdej ulicy wielkie dziury w rzędach domów ziały pustką jak ubytki zębów widoczne w ludzkiej twarzy. Ludzie, choć w swej masie nadal byli pogodni, pewni siebie i zdeterminowani, to jednak teraz, kiedy potworność uczyniła, co najgorsze i osłabła, wyraźnie dawało się zauważyć u poszczególnych osób oznaki wyczerpania.

Jak wielkim testem odporności okazał się Blitz, jasno było widać z opowieści Ojca o tym okresie, kiedy każdej nocy on i reszta jego drużyny ratowali z gruzów uwięzionych i rannych, usuwali martwe ciała z ruin schronów, a czasami z płonących budynków, podczas gdy bomby nadal spadały na inne rejony miasta, ziemia pod nogami kołysała się i trzęsła, a działa przeciwlotnicze grzmiały ogniem w stronę czarnego nieba, po którym śmigały w tę i z powrotem smugi reflektorów w poszukiwaniu małych ciemnych sylwetek bombowców. Jednak najgorsze doświadczenie przytrafiło mu się nie w trakcie nalotu, tylko po nim, gdy jego oddział pomagał usuwać ciała trzech tysięcy16 osób, głównie kobiet i dzieci, które utopiły się tej nocy, kiedy bomba trafiła w główną rurę z wodą uszkadzając ją tak, że została zalana stacja metra, gdzie ludzie schronili się przed nalotami.

Ale nawet Blitz nie był pozbawiony akcentów humorystycznych. Któregoś dnia, w trakcie wyjątkowo ciężkiego bombardowania, kiedy w powietrzu rozległ się świst szrapneli, Ojciec wybiegł z domu w takim pośpiechu, że zapomniał założyć swój stalowy hełm. Minutę później Mama, zauważywszy w przedpokoju hełm wiszący na kołku, złapała go i nie zważając na lecące pociski pobiegła ulicą z gołą głową, krzycząc – „Phil, Phil, zapomniałeś o hełmie!”

W tym czasie, kiedy wróciłem do Londynu, Blitz jeszcze nie całkiem dobiegł końca, więc w trakcie kilku nalotów, których doświadczyłem, mogłem sobie wyobrazić, jak to było w szczytowym okresie bombardowania. Nie znaczy to, że nigdy wcześniej nie słyszałem spadających bomb. Którejś nocy na Torquay spadło ich sześć czy siedem jedna za drugą – pierwsza niecałe 100 metrów od domu, gdzie mieszkałem, a ostatnia w szczerym polu pięć mil dalej. Każdy kolejny gwizd wydawał się bardziej przenikliwy i uderzenie bardziej ogłuszające, ale zamiast spadać coraz bliżej nas, jak myślałem, w rzeczywistości bomby spadały coraz dalej. Miałem jednak wrażenie, że ta ostatnia, największa i najgłośniejsza, była najbliżej i że eksplodowała mi tuż nad głową. Rano

---

16

Oficjalne źródła historyczne podają, że w tragedii na stacji metra Balham w Londynie 19 X 1940 roku zginęło 68 osób, głównie przywalonych gruzami, i że opowieści o tysiącach utopionych są tzw. ‘miejską legendą’. [przyp. tłum.]

poszliśmy z Gwen obejrzeć zniszczenia wyrządzone przez tę najbliższą (i najmniejszą) bombę – zrujnowała dwa domy i zraniła kilka osób.

Oczywiście w Londynie świst i huk bomb były tylko częścią tego, co się działo. Znacznie gorszy był przeraźliwy hałas, jaki czyniły pobliskie działa artylerii przeciwlotniczej, strzelające czterema lub pięcioma pociskami na raz i to bardzo szybko – zwłaszcza z jednostki mobilnej, która czasami operowała u wylotu naszej ulicy. Nieustanna praktyka uczyniła z artylerzystów prawdziwych ekspertów, więc wiele razy widziałem, stojąc z Ojcem w ogrodzie, jak płonące samoloty wroga spadają na ziemię. Przy tak silnym ogniu artyleryjskim niebezpieczeństwo ze strony lecącego pocisku wcale nie było mniejsze niż ze strony spadających bomb, ale długie doświadczenie Blitzu tylko wzmocniło nutę anglosaskiego fatalizmu w charakterze Anglików. Chociaż niewiele osób podejmowało niepotrzebne ryzyko, to generalne podejście wyrażało się w opinii – „Jeśli dziś przyszła twoja kolej, to umrzesz, jeśli nie, to przeżyjesz." Po kilku tygodniach stałem się równie flegmatyczny jak pozostali mieszkańcy Londynu. Rano przy śniadaniu, po szczególnie hałaśliwych nocnych nalotach, Ojciec opowiadał, jak podejrzewając, że się boję, zaglądał w nocy do mojego pokoju i zastawał mnie pogrążonego w głębokim śnie.

Najgorsze doświadczenie, które czekało mnie w Londynie, nie miało nic wspólnego z Blitzem. Któregoś dnia, czytając gazetę, uświadomiłem sobie, że moi rodzice rozmawiają ze sobą w sposób, jakiego jeszcze nigdy u nich nie słyszałem. Jak wszystkie małżeństwa, od czasu do czasu się kłócili, ale nigdy nie padały między nimi słowa tak gorzkie. Słuchałem ich zza gazety przerażony.

„Tak, i przywiozłeś syna z Torquay, żeby mnie szpiegował!" – wykrzyknęła ogarnięta furią Mama.

„Synu, powiedz matce, czy ja cię tu przywiozłem, czy przyjechałeś z własnej woli," – rzekł Ojciec zranionym i pełnym smutku głosem. Nie opuszczając gazety sprzed oczu, rozpłakałem się. Ojciec poczekał, aż przestałem szlochać, zabrał gazetę i łagodnie powtórzył pytanie. Wyglądał na zmartwionego i nieszczęśliwego. Odwrócona twarz Mamy była spięta i zimna.

„Przyjechałem z własnej woli," – wykrztusiłem wśród łez.

Chociaż ten incydent boleśnie zranił wtedy moje uczucia, to wkrótce przestałem o nim myśleć. Burza chyba oczyściła atmosferę, ponieważ relacje między Mamą i Ojcem znów były harmonijne, a ja zajmowałem się odnawianiem starych znajomości i robieniem nowych.

Kiedy wyczerpały się interesujące mnie zasoby biblioteki publicznej w Tooting, udałem się do jej odpowiednika w Streatham. Oprócz studiowania nauk gnostyków, różokrzyżowców i neoplatonistów, zająłem się zgłębianiem historii i kultury Chin, czytaniem biografii wielkich kompozytorów, zacząłem też samodzielnie uczyć się języka arabskiego i starogreckiego (tego, którym napisano Nowy Testament) i przypuściłem szturm na filozofię, atakując dwie spośród jej najmocniejszych cytadeli – *Krytykę czystego rozumu* Kanta, którą przeczytałem trzykrotnie, oraz *Filozofię religii* Hegla.

Mniej udane okazały się próby odnowienia znajomości z BB. W miejscu, gdzie kiedyś stała nasza sala spotkań, teraz była wielka pusta przestrzeń z kilkoma stosami gruzów. Przez dwa tygodnie chodziłem na musztry i lekcje o Biblii do sali kościoła anglikańskiego po drugiej stronie ulicy, ponieważ nasze drużyny zostały połączone, ale większości znajomych twarzy już tam nie było i panowała zupełnie inna atmosfera. Poza tym, po uświadomieniu sobie w Torquay, że nigdy nie wierzyłem w chrześcijaństwo, hymny i modlitwy wydawały mi się teraz puste i nieprawdziwe. Może Szyper wyczuł we mnie zmianę, a może ja zbyt niecierpliwie chciałem podzielić się moim nowym zrozumieniem. Wszystko jedno, jaki był powód – niejasno pamiętam, że próbowałem przekonać go o konieczności bezstronnego studiowania wszystkich religii, i że na zakończenie tej dyskusji obaj czuliśmy, że dzieli nas ogromna przestrzeń.

Kiedy alarmy przeciwlotnicze stały się rzadsze, zaczęliśmy z Mamą wychodzić razem, robiąc wycieczki do Galerii Narodowej, gdzie wystawiano tylko jedno arcydzieło na raz, oraz do Opactwa Westminster. Któregoś dnia poszliśmy do Katedry Westminsterskiej razem z ciocią Kate, która zapaliła świeczki i zaczęła odmawiać modlitwy, podczas gdy Mama i ja obserwowaliśmy księży celebrujących przy ołtarzu. Odwiedziliśmy również najstarszego brata Mamy, którego nigdy

wcześniej nie widziałem. Ale od kościołów i muzeów, które stanowiły raczej moją pasję, Mama bardziej kochała sklepy i restauracje. Jej najpoważniejsza skarga na Ojca dotyczyła faktu, że przez cały rok nigdy nie zabierał jej do żadnego miejsca, gdzie mogliby się wieczorem rozerwać. Choć z natury towarzyski, Ojciec wolał jednak siedzieć wieczorami w domu przy kominku, ewentualnie wyskoczyć do pubu z kilkoma kolegami na godzinkę spokojnej pogawędki, niż spędzać czas w modnych restauracjach West Endu, pełnych sztucznego blasku i pustej wesołości, lub chodzić do lokalnego kina z jego kiczowatym pseudogotyckim splendorem.

Ponieważ Mama nie miała już dzieci w wieku szkolnym, a jeszcze nie skończyła 45 lat, musiała się zarejestrować do pracy na pół etatu w służbie państwowej. Krótko przed moim powrotem z Torquay, a może wkrótce po nim, ona i jej przyjaciółka Margaret zaczęły pracować w Wydziale Edukacji LCC (Rady Miejskiej Londynu). Ich oddział, bardzo wygodnie ulokowany w opustoszałych budynkach pobliskiego przedszkola, odpowiadał za dostawy sprzętu do ewakuowanych szkół. Mama tak bardzo polubiła tę pracę i okazała się tak zdolnym administratorem, że w ciągu kilku miesięcy przeniesiono ją z pół etatu na cały i awansowano na zastępcę kierownika oddziału. Oznaczało to, że nie miała już czasu na gotowanie lunchu, więc codziennie o dwunastej w południe ona, ja i Margaret szliśmy do restauracji w Tooting Brodway. Dołączał do nas szef Mamy, kierownik oddziału – mały, skromny i uprzejmy mężczyzna w wieku około pięćdziesięciu pięciu lat.

Wieczory przeważnie spędzaliśmy z Mamą sami, ponieważ Ojciec miał dyżury w ARP. Kiedy tak siedziała w milczeniu, godzinami cerując skarpetki i koszule, czasami wydawała z siebie westchnienie ogromnego znużenia, które choć przeszywało mi serce, ignorowałem, kontynuując swoje lektury. Kiedy ośmieliła się wypowiedzieć jakąś uwagę, odpowiadałem burknięciem. Później, po wyjeździe z Anglii, gorzko żałowałem swego egoistycznego zachowania, którego wspomnienie napełniało mnie smutkiem i wstydem. Nigdy w moim życiu estetyka nie była wtedy tak nieprzyjazna etyce. Kiedy Mama chciała posłuchać programu nadawanego przez siły zbrojne, szorstko mówiłem, że to mi przeszkadza, ale kiedy ja chciałem posłuchać Beethovena lub Bacha, których muzyka przyprawiała ją o ból głowy, włączałem radio nie dbając o jej uczucia. W późniejszym okresie zawsze się kłóciłem z Joan o radio, które zabierałem do saloniku (gdzie było dodatkowe gniazdko), kiedy tylko chciałem posłuchać koncertów promenadowych. Joan była z natury łagodna, a ja gwałtowny, więc zwykle mi ustępowała, ale kiedy nadawano któregoś z jej ulubionych piosenkarzy, upierała się, żeby skorzystać ze swoich praw. W takich sytuacjach czasami się na to godziłem, ale robiłem to z wielkiej łaski. Kiedy jednak w tym samym czasie nadawano na innych falach symfonię lub koncert, na których bardzo mi zależało, potrafiłem być gburowaty i wpaść w gniew, aby tylko postawić na swoim. Mama ze mną nie dyskutowała – po pierwsze była przyzwyczajona, że dostaję wszystko, czego chcę, a po drugie miała z natury usposobienie łagodne i cierpliwe. Kiedyś ze złością krzyknęła – „Jesteś taki sam jak twój ojciec – uparty jak osioł!" – ale takie wybuchy zdarzały się rzadko. Znosiła więc te nudne dla niej wieczory bez słowa skargi, cerując skarpetki oraz nicując mankiety i kołnierzyki w ramach wojennych oszczędności, podczas gdy ja czytałem o filozofii i religii lub słuchałem przez radio muzyki klasycznej.

Chociaż lubiłem muzykę klasyczną od czasów owego popołudnia w sali metodystów, kiedy usłyszałem *Fingal's Cave*, to nałogiem stała się dopiero po moim powrocie z Torquay. *Tokata i fuga d-moll* Bacha, która ewidentnie eksploruje szczyty i głębiny uniwersum, w moich doświadczeniach muzycznych zajmuje miejsce analogiczne do *Raju utraconego* w dziedzinie poezji. Oszołomiony, obezwładniony i unicestwiony tymi majestatycznymi akordami, przez kilka dni z rzędu chodziłem jak w transie. Kiedy oprzytomniałem, próbowałem przełożyć moje doświadczenie muzyki na język poezji. Później, naśladując '*Les Phares'* Baudelaire'a, faktycznie napisałem poemat o wszystkich wielkich kompozytorach od Bacha do Deliusa oraz sielankę dramatyczną o Beethovenie.

Radość, jaką wywoływała we mnie muzyka, była o wiele intensywniejsza od tego, co kiedykolwiek ofiarowała mi poezja. Było to częściowo spowodowane przez samą naturę muzyki, która w przeciwieństwie do poezji jest odczuwaniem czystym i wolnym od wszelkich treści kognitywnych, a częściowo przez fakt, że w tamtym okresie nieustannie pragnąłem być w stanie

emocjonalnego odurzenia. Moimi ulubionymi kompozytorami, to znaczy tymi, którzy mnie najsilniej stymulowali byli Beethoven i Czajkowski. Kiedy gwałtowność moich odczuć trochę zmalała, wolałem Mozarta i Haydna – jednak Bach pozostał niezmiennym faworytem.

Nie potrafię powiedzieć, czy to intensywność przeżywania muzyki przyczyniła się do mego pierwszego doświadczenia mistycznego, które przydarzyło mi się mniej więcej w tamtym czasie, ale uwertura Beethovena lub symfonia Mozarta wywierała na mnie tak potężny wpływ, że muzyka zazwyczaj dźwięczała mi w uszach przez kilka dni z rzędu. Koncentrowałem się na tych wewnętrznych dźwiękach tak mocno, że nie tylko słyszałem je równie głośno i wyraźnie, jakbym odbierał je fizycznie uszami, prosto z radia, ale też prawie traciłem przez nie świadomość własnego ciała. Wydawało mi się, że ten stan pół-transu, w który czasami wprawiała mnie muzyka, był tego samego rodzaju, co dwa doświadczenia, które – stosując do nich wygodny, bo mało precyzyjny termin – nazwałem mistycznymi.

Oba zdarzyły się kilkakrotnie. Pierwszy, niezbyt intensywny, pojawił się jeszcze w okresie przed ewakuacją. Jak większość moich pozostałych doświadczeń mistycznych, kojarzę go w pamięci z miejscem, gdzie mi się przytrafił. Pewnego dnia w drodze do biblioteki publicznej w Tooting musiałem jak zwykle przejść na drugą stronę ulicy przy rogu Amen – jego nazwa pochodzi z zamierzchłych czasów, kiedy chór kościelny odbywał doroczną ceremonię obchodzenia granic swojej parafii. Kończyli obchód i rozchodzili się w tym właśnie miejscu, będącym granicą parafii, z głośnym ‘Amen’. Kiedy przechodziłem z jednej strony ulicy na drugą, nagle obudziło się we mnie poczucie całkowitej absurdalności faktu, że umysł związany jest tylko z jednym ciałem fizycznym. Dlaczego nie mogę widzieć świata oczami człowieka stojącego na przeciwległym chodniku? Dlaczego nie mogę poznać jego myśli z taką samą łatwością, z jaką znam własne? Kiedy takie pytania przelatywały mi przez głowę, poczułem, że moja świadomość desperacko próbuje uwolnić się z ciała i przenieść do wszystkich innych ciał przechodzących koło rogu Amen. Choć jej wysiłki okazały się daremne i opadła wyczerpana, miałem potem uczucie, że jestem uwięziony. Kiedy wiele lat później czytałem *Surangama Sutrę* – słynny tekst buddyzmu idealistycznego, dialog, w którym Budda krok po kroku uświadamia swego ucznia Anandę, że jego świadomość ani nie jest wewnątrz ciała, ani na zewnątrz, ani nawet nigdzie pomiędzy, ponieważ ze swej natury jest uniwersalna – poczułem, że poruszam się po znajomym gruncie.

Drugie doświadczenie było bardziej wstrząsające. Kiedy szedłem główną drogą w kierunku Tooting Broadway, nagle wydało mi się, że poruszam się w świecie duchów. Cała ulica z domami, sklepami i ludźmi niespodziewanie odsunęła się ode mnie na nieskończenie dużą odległość. Gwar ruchu ulicznego zmienił się w intensywną ciszę. Moje ciało stało się lekkie, zwiewne, niematerialne i wydawało mi się, że już nie idę po twardym chodniku, tylko płynę z pełną świadomością w wielkiej próżni. Ta próżnia była wspólna z moją świadomością, co powodowało wrażenie, że płynę również przez samego siebie. Chociaż doświadczenie to, znacznie żywsze niż pierwsze, trwało tyle czasu, ile zajęło mi mniej więcej przejście około stu metrów, jego następstwa utrzymywały się znacznie dłużej. Jeszcze przez około godzinę świat obiektywny, mimo że znów widoczny, wydawał mi się przedziwnie nierealny, jakby nie miał prawa tam istnieć i mógł w każdej chwili zniknąć. Moje późniejsze studia nad literaturą buddyjską potwierdziły również i to doświadczenie. Kiedy przeczytałem w *Lankawatara Sutrze* i innych dziełach, że powinniśmy medytować nad światem tak, jakby w rzeczywistości był snem, od razu zrozumiałem, o co chodzi.

Po dwóch czy trzech miesiącach w domu poczułem, że powinienem znów pójść do pracy. Tym razem Mama się nie sprzeciwiała. Za sugestią Sida, jej szefa, złożyłem podanie o posadę urzędnika w Wydziale Zdrowia Publicznego LCC i po dość symbolicznej rozmowie kwalifikacyjnej zacząłem pracować w służbie największego samorządu miejskiego na świecie.

Rozdział 8

Buddyzm i Rada Miejska Londynu

Nie pamiętam, z ilu pięter składa się gmach główny Ratusza Miejskiego, ale mieszczą one 600 pokoi a ich korytarze mają łącznie 12 mil długości. Gmachy północny i południowy, pomiędzy którymi przechodzi się idąc do gmachu głównego, zajmują znacznie mniejszą powierzchnię, mimo że mają tyle samo pięter. Wydział Zdrowia Publicznego okupował całe czwarte piętro. Oddział, do którego mnie przydzielono i gdzie pracowałem przez dwa lata i cztery miesiące, był głęboko schowany w północno-wschodnim narożniku budynku i sąsiadował z biurem Medical Officer of Health17, który był szefem całego Wydziału. Nasze biuro składało się z czterech pomieszczeń – małego pokoju, z widokiem na wewnętrzny dziedziniec, dla kierownika oddziału, jego zastępcy oraz jego osobistego sekretarza (czyli mnie); dużego głównego pokoju, gdzie pracowała jedna kobieta i kilka dziewcząt, asystentek biurowych, których liczba wahała się od sześciu do ośmiu; pokoju dla trzech pielęgniarek oraz z poczekalni dla petentów.

Nasz kierownik był niskim, wesołym i łatwym w obejściu mężczyzną w wieku czterdziestu kilku lat. W przeciwieństwie do większości pozostałych równych mu rangą osób pochodził z klasy robotniczej, więc zamiast otrzymać tę posadę prosto po uniwersytecie, dopracował się jej zaczynając od niższych stanowisk i stopniowo awansując. Za zastępcę miał nudnego bezbarwnego faceta, zbliżającego się do czterdziestki, o bladej niezdrowej cerze i zdumiewająco niskim basowym głosie. Spośród kobiet i dziewcząt w pokoju głównym wszystkie z wyjątkiem dwóch albo odeszły po moim przyjściu, albo przyszły, zanim ja odszedłem.

Te dwa wyjątki to Thelma oraz panna Cook. Thelma, która przez cały okres naszej znajomości miała nieustająco dwadzieścia dziewięć lat, mimo że kilka razy obchodziła w tym czasie urodziny, była czarnowłosą dziewoją o śmiałym wzroku, która przyciemniała swoją naturalnie śniadą cerę szczodrze pudrując ją dużą ilością czerwonawo-brązowego pudru. W moich wspomnieniach nieodmiennie nosi kostium w kolorze kapuścianej zieleni, choć przypuszczam, że od czasu do czasu musiała wkładać na siebie coś innego. Początkowo obsługiwała maszynę perforującą i formalnie nadal należała do pionu technicznego, ale dzięki intrygom udało jej się załatwić sobie przeniesienie do wyższego rangą pionu biurowego. Pomiędzy nią i cierpiącą w milczeniu panną Cook toczył się śmiertelny spór.

Panna Cook, kuzynka słynnego adwokata, była najstarszym członkiem personelu w pokoju głównym, gdyż zaczęła tu pracować jeszcze zanim większość dziewcząt z biura się urodziła. Ponieważ jej twarz miała cechy lekko żydowskie, lubiła opowiadać, jak to jej przyjaciółki nazywają ją starą żydowską matroną. Z masą siwych włosów kłębiących się wokół twarzy przyglądała się dokumentom badawczo znad okularów krótkowidza. Zawsze ubierała się o wiele lepiej niż te młode dziewczyny, a w soboty czasem pojawiała się w suto marszczonym stroju z czarnej tafty, głośno szeleszczącym przy każdym ruchu.

Moja relacje z nią były serdeczne. Kiedyś, gdy zachowałem się bezczelnie, walnęła mnie po głowie teczką z dokumentami, ale ten akt irytacji tylko scementował naszą przyjaźń. W trakcie przerwy na lunch, kiedy szef wychodził, siadywała na brzegu mojego biurka i rozmawiała ze mną. Jej ulubionymi tematami były Kabała, poezja Swinburne'a oraz doświadczenia z okresu pracy w Wydziale Opieki Społecznej. Chociaż ja miałem lat szesnaście, a ona sześćdziesiąt pięć, ta bardzo wiktoriańska starsza pani nigdy nie wahała się opisywać najciemniejszych aspektów życia w dzielnicy East End, które rzeczywiście znała wyjątkowo dobrze. Ze względu na bardzo rzeczowy i

---

17

MOH – Medical Officer of Health – stanowisko w rodzaju Dyrektora Służby Zdrowia [przyp. tłum.]

obojętny sposób, w jaki mówiła o gwałtach, kazirodztwie, prostytucji i chorobach wenerycznych, od tamtej pory potrafiłem rozmawiać na te tematy bez uczucia zażenowania.

Panna Gretton, naczelna pielęgniarka, była w wieku co najmniej pięćdziesięciu pięciu lat, a niewykluczone, że dużo starsza. Jej włosy, które czasem u nasady zdradzały siwiznę, miały kolor marchewkowo-brązowy i były przewiązane zieloną aksamitną wstążką. Twarz była maską stworzoną z grubych warstw pudru, różu, szminki i tuszu. Na palcach zakończonych długimi paznokciami, pomalowanymi na jaskrawy czerwony kolor, nosiła niezliczone pierścionki – najbardziej rzucał się w oczy ten, który miał przymocowaną grubą srebrną płytkę wielkości około dwóch cali kwadratowych, wygrawerowaną jakimiś znakami – hebrajskimi, jak twierdziła. Ubierała się w stosunkowo krótkie suknie w kolorach jaskrawych czerwieni, zieleni i fioletów. W biurze nigdy nie wsuwała ramion w rękawy płaszcza, tylko siedziała owinięta nim jak peleryną, a na jej szyi wisiało kilka sznurów sztucznych pereł. Kiedy stała, miała tak zaokrąglone plecy, że wyglądała prawie jakby była garbata. Nikt nic nie wiedział o jej pochodzeniu, ale na podstawie faktu, że jej prywatny dom spokojnej starości został kupiony przez członka rodziny królewskiej, najwyraźniej uważała się za osobę należącą do arystokracji. Wobec kobiet z klasy robotniczej, które przychodziły na rozmowy kwalifikacyjne, bywała niegrzeczna wręcz nie do opisania. Kobiety z klasy średniej traktowała z wyniosłą protekcjonalnością, a dla utytułowanych arystokratek była ucieleśnieniem uprzejmości.

Dwie pozostałe pielęgniarki, które miały pod swoją opieką duże londyńskie szpitale, były w wieku między sześćdziesiąt pięć i siedemdziesiąt lat. Obie siwowłose, ubierały się skromnie, bez ozdób i nie nosiły makijażu. Mimo surowego sposobu bycia, były spokojne, wytworne i uprzejme.

Nasz oddział nazywał się Civil Nursing Reserve (CNR)18 i został utworzony przez ministra zdrowia dla zabezpieczenia personelu pielęgniarskiego w szpitalach w Londynie i w hrabstwach wokół Londynu, gdzie liczba ofiar nalotów spowodowała zwiększone zapotrzebowanie na wszelkiego rodzaju środki we wszystkich tego typu instytucjach. Naszym zadaniem była rekrutacja personelu, jego szkolenie i przydzielanie miejsc pracy. Realizacja tych prostych funkcji przebiegała jednak w atmosferze silnych tarć między różnymi agencjami zaangażowanymi w ten proces, jak również między osobami zatrudnionymi w każdej z tych agencji. W CNR starcia miały miejsce głównie między szefem i panną Gretton, ale były one tylko odbiciem antagonizmu panującego w całym wydziale.

W przeciwieństwie do niektórych innych wydziałów, w Wydziale Zdrowia Publicznego istniała czterostopniowa hierarchia ustalona tak sztywno i tak się wzajemnie wykluczająca jak cztery kasty społeczne w Indiach. Był pion techniczny, biurowy, administracyjny i medyczny – jedyny wyjątek stanowił MOH, który miał wykształcenie medyczne, ale pełnił funkcję administracyjną. Pomiędzy pielęgniarkami (należącymi do kasty medycznej) i kierownikami oddziałów (z kasty administracyjnej) toczyła się nieustająca zimna wojna. Pielęgniarki, zazdrośnie strzegące swej wyjątkowej władzy we wszystkich kwestiach medycznych, stale próbowały uzurpować sobie funkcje, które należały do sfery czysto administracyjnej, co powodowało ostry sprzeciw personelu z tego pionu. Te potyczki zwykle kończyły się zwycięstwem po stronie ludzi z administracji, którzy lepiej rozumieli linię demarkacyjną leżącą między tymi dwiema sferami jurysdykcji i pilnowali jej znacznie skrupulatniej.

Kiedy sporna kwestia była zanoszona przed oblicze MOH-a i rozstrzygnięta na korzyść administracji, pokonana pielęgniarka wyniośle oznajmiała – „Sądziłam, że to sprawa natury medycznej," a kiedy naruszenie praw było wyjątkowo jaskrawe, twierdziła – „Nie wiem, czy robi to komuś różnicę, jeśli załatwiam tak drobną sprawą, nawet jeśli leży ona w gestii administracji." Czasami oczywiście zdarzały się sytuacje, że nawet mądrość Salomona nie wystarczyłaby do rozstrzygnięcia, czy kontrowersyjny problem ma charakter administracyjny czy medyczny.

Ponieważ CNR był jednym z głównych pól bitewnych w tej wydziałowej wojnie żab z myszami,19 niewiele czasu minęło i ja też zacząłem odgrywać swoją małą rolę w tej strategii. Jednak w ciągu kilku pierwszych tygodni mojej pracy ważniejsze były dla mnie dwa zupełnie

18 Do spraw pielęgniarek w szpitalach cywilnych.

19 Odniesienie do starożytnej Batrachomyomachii czyli Wojny Żabo-Mysiej [przyp. red.]

nieoficjalne zdarzenia, które barwnie wysuwają się na plan pierwszy moich wspomnień na tle obrazów burych i zawalonych papierami biurek, wysokich szaf na dokumenty i słabo oświetlonych korytarzy.

Potrzebna mi była koperta, więc udałem się do pokoju głównego po drugiej stronie korytarza. Znalazłem się tam po raz pierwszy, a że siedziało w nim pełno kobiet i dziewcząt, poczułem się trochę niepewnie. Podchodząc do najbliższego biurka zapytałem – „Czy mógłbym otrzymać kopertę?" (Wymówiłem pierwszą sylabę z krótkim „o", tak jak w 'kot').

„Ach, pewnie ci chodzi o *kołpertę*!" – roześmiała się ruda dziewczyna za biurkiem, radośnie wręczając mi kontrowersyjny element papeterii. Wycofałem się mocno zmieszany.

Drugie wydarzenie miało miejsce jakiś czas później. W trakcie przerwy na lunch chciałem sprawdzić indeks pracowników CNR. Tym razem ruda dziewczyna siedziała w biurze sama i czytała książkę. Serce zatłukło mi się boleśnie. „Co czytasz?" – zapytałem, żeby jakoś zacząć rozmowę. Zamiast odpowiedzieć mocno się zaczerwieniła i zakryła otwarte strony obiema rękami. „Pokaż," – nalegałem, podchodząc bliżej. Czerwieniąc się jeszcze bardziej, zabrała ręce i spojrzała na mnie z zażenowanym uśmiechem, kiedy sprawdzałem, co to za książka. Był to *Egotism in German Philosophy* Santayany. Podbiła mnie tym całkowicie.

Sonia – jak wkrótce mogłem się do niej zwracać – miała dwadzieścia dwa lata, średni wzrost i jasnorude włosy. Nie była chuda, ale lekkiej budowy ciała, z małymi, niezbyt rozwiniętymi piersiami. Miała twarz w kształcie serduszka, jasną cerę, fioletowe oczy, idealnie zgrabny, trochę piegowaty nos i szerokie, lecz niezbyt pełne usta. Oprócz głosu – najczystszego i najbardziej melodyjnego, jaki w życiu słyszałem – jej najbardziej uderzającą cechą był szczery i otwarty wyraz twarzy, na której nigdy nie dostrzegłem najmniejszego nawet śladu złego humoru.

Jednak w jej charakterze widać było wyraźną tendencję do niedbałości, być może odziedziczoną po angielsko-irlandzkim ojcu, a może po matce pochodzenia francusko-rosyjskiego. Nosiła pończochy z lecącymi oczkami, brudne buty i płaszcz, który prosił się o wyszczotkowanie. W książce spóźnień podpisywała się częściej niż jakikolwiek inny członek personelu. Później, kiedy nasza relacja nabrała poufałości, powiedziała mi ze zwykłą dla siebie wesołą szczerością – „Nigdy nie wyszłabym za faceta z dochodem mniejszym niż pięć tysięcy funtów rocznie. Kiedy jeszcze tato żył, mama dysponowała taką sumą i **nigdy** nie udawało jej się związać końca z końcem." To wyznanie nie było odrzuceniem mojej małżeńskiej propozycji. Oświadczył jej się adorator, który niestety zarabiał tylko dwa tysiące rocznie. W okresie naszej znajomości miała aż pięciu zalotników – jeden z nich proponował jej małżeństwo prawie za każdym razem, kiedy ją widział. Ale nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby czuć się zazdrosnym. Wydawało mi się, że nie podoba jej się żaden z tych nijakich amantów, gdyż opowiadała o nich tylko ze współczującym rozbawieniem.

To wyznanie, o którym wspomniałem, miało miejsce znacznie później niż incydent z książką. W międzyczasie prowadziłem z nią kameralne pogawędki za jedną z dużych szaf na dokumenty, gdzie pomagałem jej szykować poranną kawę lub popołudniową herbatę zawsze, kiedy przypadała jej kolej na ten obowiązek. Żadna z pozostałych dziewcząt – a wkrótce z wszystkimi byłem po imieniu – nigdy nie komentowała w mojej obecności tego, co musiało być dla nich wszystkich oczywiste. Tylko Thelma wiecznie wodziła za nami (tzn. Sonią i mną) zazdrosnym wzrokiem i wytrwale próbowała zmusić mnie do flirtowania z nią.

Moim stałym obowiązkiem było otwieranie listów, dostarczanych dwa razy dziennie przez wydziałowego posłańca, który wkładał je do mojego koszyka na pocztę przychodzącą. Nie było to takie proste zadanie, jak mogłoby się wydawać, ponieważ po kilku tygodniach szef polecił mi samodzielnie decydować, które listy mają być załatwiane przez personel w głównym pokoju, a którymi powinien zająć się osobiście. W tym drugim przypadku musiałem przynieść mu wszystkie papiery związane z daną sprawą. A to często prowadziło do starcia między panną Cook i Thelmą.

Panna Cook, która miała nos prawdziwego psa tropiciela, jeśli chodzi o zagubione papiery, po bezskutecznym przeszukaniu wszystkich kartotek, spoglądała znad okularów na pokój, nie koncentrując się na żadnej konkretnej osobie, i oświadczała – „One muszą być na czyimś biurku." Dziewczyny pobieżnie przeszukiwały swoje biurka rozglądając się za zgubionymi dokumentami.

„Nie ma żadnych papierów, panno Cook," – oświadczała w końcu Thelma – Ta kobieta to nowa sprawa."

„O nie, nie! – wykrzykiwała w podnieceniu panna Cook – Ja znam to nazwisko. R.L.V. Smith była tu siedem miesięcy temu w związku ze sprawą Nicholsona. Te papiery **muszą** tu gdzieś być."

„Mówię pani, że nie ma żadnych papierów, panno Cook – Thelma odpowiadała z gniewem. Ona jest nowa. Proszę mi dać ten list od niej."

Jednak kiedy panna Cook była przekonana, że istniały wcześniej jakieś dokumenty w danej sprawie, nigdy nie zrezygnowała z poszukiwań, dopóki ich nie odnalazła. Przez resztę dnia chodziła mamrocząc pod nosem – „R.L.V. Smith, R.L.V. Smith – gdzież mogły się podziać te jej papiery?" Kilka godzin później, spokojną atmosferę pokoju rozdzierał triumfalny okrzyk – „Tu są! To ona je miała przez cały czas!"

„Panno Cook! Jak pani śmie grzebać w moim biurku!" – wykrzykiwała Thelma, odrywając się od prywatnej rozmowy telefonicznej, którą prowadziła już półtorej godziny. Ale panna Cook z pucołowatą twarzą całą w uśmiechach już była za drzwiami i mknęła przez korytarz do pokoju szefa.

Niechęć Thelmy do współpracy była częścią jej celowej polityki. Tak jak panna Gretton (z którą była w najlepszych stosunkach) nieustannie próbowała uzurpować sobie funkcje administracyjne, tak i Thelma robiła, co w jej mocy, aby mieć kontrolę nad wszystkim, co się działo w głównym pokoju. Obie kobiety współpracowały ze sobą i ich celem było zastawienie pułapki na szefa. Gdyby list od R.L.V. Smith od samego początku trafił do Thelmy, to spokojnie dołączyłaby go do dokumentów tej sprawy schowanych na jej biurku i wręczyła całą korespondencję pannie Gretton. Rozstrzygnęłyby tę sprawę we dwie, nawet gdyby wymagała ona decyzji administracyjnej lub dotyczyła kwestii zasadniczej.

Jeśli panna Cook zmęczona poszukiwaniami lub przekonana, że popełniła błąd, zwracała mi list z adnotacją, że nie było żadnych papierów dotyczących tego przypadku, szef rozpatrywał sprawę tylko na podstawie tego jednego listu. Tymczasem panna Gretton i Thelma, doskonale wiedząc, że sprawa nie jest nowa, podejmowały dokładnie takie działanie, jakiemu list miał zapobiec. Później, kiedy bałagan wychodził na jaw, szefa oskarżano o załatwienie sprawy bez odwołania się do poprzedniej korespondencji, a pannę Cook obwiniano o niedostateczne poszukiwanie dokumentacji danego przypadku. Tak więc tylko nieustępliwość panny Cook stała między szefem a katastrofą.

Kiedyś szukała dokumentów przez trzy tygodnie. Nawet kiedy szef, przekonany, że nie mogło być żadnej wcześniejszej korespondencji, kazał jej oddać list, który naprowadził ją na trop, odmówiła i dalej prowadziła swoje poszukiwania. W końcu odkryła zaginione papiery, kiedy po raz czwarty przetrząsnęła biurko Thelmy. Gdzie się podziewały wcześniej, nikt się nigdy nie dowiedział.

Czasami Thelma próbowała podłożyć fałszywy ślad do tropienia. Zabierała ważniejsze listy, zwracając resztę korespondencji do teczki danej sprawy – ale pannę Cook rzadko można było oszukać, ponieważ najwyraźniej pamiętała nie tylko każdy przypadek, ale też każdy pojedynczy list, jaki przeszedł przez jej ręce. Innym podstępem Thelmy było układanie teczek według złej kolejności alfabetycznej, czemu panna Cook przeciwdziałała sprawdzając całą zawartość wszystkich pudeł, których było kilkaset, przynajmniej raz w tygodniu.

Kiedy poranna poczta została już otwarta i panna Cook tropiła potrzebne dokumenty, szef i ja po prostu rozmawialiśmy. Oprócz spraw zawodowych, które zajmowały nam tylko część czasu pracy, dyskutowaliśmy o filozofii, religii i literaturze. W tamtym okresie nastąpiło wielkie odrodzenie Trollope'a, którego książki masowo czytano, i szef należał do jego najżarliwszych czytelników. Rzadko wychodził na lunch bez jakiejś mniejszej powieści swego ulubionego autora pod pachą. Ponieważ beletrystyka była tą gałęzią literatury, którą kultywowałem najmniej, i odnosiłem się do tego entuzjazmu z lekką pogardą, toczyliśmy z szefem ożywione dyskusje na temat wszystkich wad i zalet Trollope'a. Próbując przekonać go o prawdzie mojego systemu, którym był wówczas neoheglizm, zacząłem pisać serię tez w stylu *On the One* Proclus'a, jednak po dziewięćdziesiątej tezie zrezygnowałem, bo zaplątałem się we własne pomysły.

O dziesiątej zwykle zaczynało się miłe interludium za szafą z dokumentami w głównym pokoju, na zakończenie którego wyłaniałem się z trzema filiżankami kawy. Szef, jak tylko wypił swoją, zakasywał rękawy i z wesołym komentarzem na ustach energicznie zabierał się do swojego koszyka z korespondencją. Ja szedłem w jego ślady. Godzinną przerwę na lunch zwykle spędzałem na poszukiwaniu używanych książek. Po pośpiesznym posiłku w taniej włoskiej restauracji pędziłem wzdłuż York Road do mojego ulubionego antykwariatu, którego właściciel zawsze witał mnie bardzo serdecznie jako swego najlepszego klienta. Byłem też stałym klientem straganu na targu o nazwie Dip – mocno podejrzanego rejonu, do którego docierało się z York Road przez długi, ciemny tunel śmierdzący stęchłym piwem. Między browarnianymi platformami można było czasem dostrzec 'ludzkie śmieci' w postaci zniedołężniałych prostytutek i pijaków – niektórzy z nich ochrypłym głosem prosili o miedziaka. Rzadko wracałem z tych wypraw w porze lunchu bez jednej czy dwóch nowo zakupionych książek, więc wkrótce Ojciec musiał zamówić dla mnie kolejny regał na książki.

W chwili, gdy wkraczałem do biura, szef zrywał się, pośpiesznie zakładał płaszcz oraz kapelusz i wychodząc z najnowszym Trollopem rzucał mi na odchodnym napomnienie – „Pilnuj gospodarstwa." Ledwo jego kroki ucichły na korytarzu, drzwi się otwierały i wchodziła panna Cook, której przerwa na posiłek pokrywała się godzinowo z moją. „I co o tym **sądzisz**? – wykrzykiwała – Znalazłam te zaginione papiery pod…" – po czym musiałem wysłuchać opowieści o jej najnowszych przygodach w szafach z dokumentacją. Od czasu do czasu zaszczycała mnie swoją wizytą panna Gretton, która raz czy dwa przysiadła na brzegu mojego biurka i dyndając nogami usiłowała wyglądać jak nimfa Lorelai na skale. Była niższa od panny Cook, a celem jej wizyt było upewnienie się, czy szef nie przedłuża swojej przerwy obiadowej, więc kiedy na zegarze zbliżała się trzecia, musiałem uważać i koniecznie napomknąć, że nie wyszedł z biura przed drugą. W ten sposób spalał na panewce jej plan, żeby w obecności MOH-a rzucić zdawkową uwagę o tym, jak to nasz szef nigdy nie wraca ze swojego lunchu przed czwartą.

Druga część popołudnia poświęcana była na dyktowanie listów. Kiedy szef był gotowy, dzwoniłem do zespołu maszynistek, żeby którąś do nas przysłali. Jeśli stenografistka, która pojawiała się parę minut później, miała lat około sześćdziesięciu, szef odpowiadał na jej przywitanie grymasem niezadowolenia i burknięciem, po czym natychmiast przystępował do dyktowania. Jeśli zdarzyło się, że miała lat szesnaście (innych grup wiekowych w tym dziale nie było), wykrzykiwał – „Witamy! Dawno u nas nie byłaś! Jak się masz?" Kiedy zapłoniona panienka stwierdziła, że czuje się bardzo dobrze i dziękuje, a potem odpowiedziała na następne pytania natury osobistej, była indagowana, czy na pewno jest jej wygodnie, czy krzesło nie jest zbyt twarde albo stolik za niski, i czy światło nie jest za ciemne. Dopiero po tych wszystkich ceremoniach, wśród wielu radosnych uśmiechów zaczynało się codzienne dyktowanie.

W soboty po południu przechodziłem przez most Westminster a potem przez Whitehall i plac Trafalgar odbywając cotygodniową pielgrzymkę do księgarń na Charing Cross Road. Choć moją uwagę przyciągały przede wszystkim stragany z używanymi książkami, gdzie nadal można było trafić na tomik poetycki za sześć pensów, a filozoficzny za szylinga, to penetrowałem również bardziej wytworne sklepy, gdzie długowłose istoty w welwetowych spodniach, o bliżej niesprecyzowanej płci i wieku sprzedawały Marksa i Freuda, Dylana Thomasa i D.H. Lawrence'a po znacznie wyższych cenach.

Charing Cross Road było moją bazą, z której wyruszałem także eksplorować Soho, Strand, Leicester Square, Shaftesbury Avenue i Piccadilly Circus. Cały ten obszar roił się w tym czasie od amerykańskich żołnierzy, którzy wystawali na rogach ulic, podpierali ściany budynków publicznych, przesiadywali na poręczach okalających uliczne latryny i rytmicznie podrygiwali lub przechadzali się po ulicach. Było ich tak dużo, że przewyższali liczbowo cywilów pięć do jednego. Pulchni i dobrze odżywieni, czasem otyli, stali lub spacerowali z rękami w kieszeniach, w krzywo założonych czapkach i porozpinanych mundurach. Kiedy przechodził jakiś oficer, salutowali mu nonszalanckim ruchem ręki i poufałą odzywką „Siemasz, Joe!" Większość z nich miała po bokach uwieszone dwie lub nawet trzy młodziutkie mocno umalowane nierządnice – nie były to zawodowe prostytutki, tylko 'entuzjastyczne amatorki' w wieku czternastu lub piętnastu lat, chętne sprzedać

swoje wychudzone nastoletnie ciała każdemu amerykańskiemu żołnierzowi, który zapewni im ‘dobrą zabawę’. Na wszystkich ulicach widać było ubranych w białe hełmy i obwieszonych bronią policjantów wojskowych, którzy ponuro obserwowali szalejącą i kipiącą wokół nich korupcję.

Młodsi członkowie Związku Pracowników LCC czasami organizowali w sobotnie popołudnia wykłady i debaty. Chociaż imprezy te były dla mnie o wiele mniej atrakcyjne od księgarń na Charing Cross Road, to poszedłem na dwa czy trzy takie spotkania, ulegając namowom młodego chłopaka, który pracował kilka pokoi dalej w tym samym korytarzu. Był to żarliwy komunista, który już wcześniej pożyczył mi książkę o materializmie dialektycznym. „No i co o tym myślisz?” – dopytywał się niecierpliwie, kiedy oddawałem mu książkę. Jednak moje poglądy neoheglisty zostały urażone dogmatycznym stwierdzeniem autora, że Marks widząc, jak Hegel stoi na głowie, postawił go z powrotem na nogi. Dlatego odparłem – „Uważam, że to właśnie Marks stoi na głowie, nie Hegel.”

Uczestnicząc w mojej pierwszej debacie w Związku, poświęconej tematowi „Indie powinny natychmiast uzyskać niepodległość,” momentalnie poczułem niechęć do prowadzącej dyskusję młodej kobiety o wysokim czole i kościstej, męskiej figurze, która najwyraźniej sądziła, że jest na najlepszej drodze do zostania dyrektorem LCC. Kiedy wkrótce potem próbowano wciągnąć mnie głębiej w tego typu działalność, zapraszając do wygłoszenia referatu, wybrałem sobie temat „O niższości kobiet”, gęsto szpikując wywód obszernymi fragmentami moich ulubionych tyrad Schopenhauera skierowanych przeciwko ‘słabszej’ płci. Kiedy skończyłem, zapadła oszałamiająca cisza. Nie ulegało wątpliwości, że ci młodzi, mocno lewicujący członkowie Związku Pracowników nigdy wcześniej nie słyszeli czegoś tak bezwstydnie reakcyjnego. Ale nie mieli do powiedzenia nic, co obaliłoby moje argumenty. Następnego dnia przeczytałem ten referat Sonii, która mimo moich usilnych próśb nie przyszła na zebranie. Roześmiała się tylko i wykrzyknęła – „Jesteś szalony, kompletnie zwariowany!”

Tego lata pojechałem na tydzień do Besthorpe, malutkiej wioski w hrabstwie Norfolk, gdzie urodziła się Nana i gdzie Ojciec spędził kilka lat swego dzieciństwa. Była to moja trzecia wizyta i zatrzymałem się w krytej strzechą chacie mojej prababci, w której teraz mieszkali wuj Arthur, ciocia Dolly i kuzynka Ezalda. Pojechałem co prawda na wycieczkę do Norwich, gdzie zwiedziłem katedrę, Muzeum Zamkowe i grobowiec sir Thomasa Browne’a, jednak większość mego pobytu spędziłem na pisaniu listów do Sonii. Były to pierwsze i ostatnie listy miłosne w moim życiu – długie, literackie i idealistyczne. W jednym z nich porównywałem moją miłość do miłości, jaką Dante obdarzał Beatrycze. Zarówno ciocia, jak i kuzynka, były niezmiernie ciekawe przyczyny mojej szalonej aktywności epistolarnej, ponieważ pisałem dwa listy dziennie, ale mimo że bardzo mi z tego powodu dokuczały, nie wyjawiłem swojego sekretu.

Nigdy się nie dowiedziałem, co Sonia myślała o moich wyznaniach. Odwaga, którą czułem oddalony od ukochanej na bezpieczny dystans stu mil, całkowicie wyparowała w jej obecności. Wyglądało na to, że Sonia boi się zrobić choćby najmniejszą aluzję do tego tematu. Choć była wesoła, przyjacielska i czarująca jak zawsze, to kiedy byliśmy sami, sprawiała wrażenie podenerwowanej, jakby obawiała się nagłego wybuchu gwałtownej namiętności z mojej strony. Czasami patrzyła na mnie z błagalnym wyrazem twarzy, jaki pewnie ma królik zafascynowany widokiem węża. Na wszystkie inne tematy – z wyjątkiem tego jednego, którego oboje unikaliśmy – rozmawiałem z nią ze szczerym egoizmem kochanka – opowiadałem jej o moich pomysłach i ideałach, ambicjach i aspiracjach. Słuchała mnie lekko uśmiechnięta, a śmiała się w głos, kiedy tylko powiedziałem coś jeszcze bardziej ekstrawaganckiego niż zwykle, ale zawsze miała dziwny, trochę przestraszony wyraz oczu. Jej zwykłym komentarzem było – „Jesteś bez wątpienia geniuszem, ale absolutnie szalonym.”

Powrót do Londynu oznaczał, prawie w tym samym stopniu co powrót do Sonii, odnowienie znajomości z księgarniami na Charing Cross Road. Rozszerzając sferę mojej ekspansji, zacząłem penetrować dwa lub trzy małe podwórka, na które wchodziło się po prawej stronie tej ulicy. Na jednym z nich odkryłem księgarnię orientalną, która choć dobrze znana wszystkim angielskim studentom poważnie zajmującym się filozofią i religią Wschodu, mnie była do tej pory nieznana. W przeciwieństwie do pozostałych księgarni, z ich pudłami książek za pensy i szylingi wystawionymi

po obu stronach szeroko otwartych drzwi, ta była miejscem na uboczu, ukrytym i trochę tajemniczym. Pojedyncze pudło postawione przed pustym oknem wystawowym po lewej stronie zawierało tylko uszkodzone egzemplarze literatury teozoficznej lżejszego sortu. W oknie po prawej stały bardzo drogie książki z dziedziny nauk okultystycznych. Drzwi między tymi oknami były porządnie zamknięte. Kilka razy zatrzymywałem się, aby przekartkować te wystawione uszkodzone książki, zanim wreszcie ośmieliłem się wejść do środka. Wnętrze sklepu jeszcze mniej przypominało księgarnię niż jego wygląd zewnętrzny. Przez otwarte drzwi w tylnej ścianie widać było siedzącego za biurkiem osiemdziesięcioletniego dżentelmena w bardzo silnych okularach. Nad znajdującym się za nim kominkiem wisiała naturalnej wielkości fotografia Heleny Bławatskiej.

U Johna Watkinsa, którego księgarnię odwiedzałem potem bardzo często, kupiłem dwie książki, które wywarły na mnie największy wpływ. Były to – *Diamentowa Sutra*, przeczytana najpierw w tłumaczeniu Gemmell'a, a potem Maxa Mullera, oraz *Sutra Wei Langa* (*Hui Nenga*). Jeśli po lekturze *Izydy odsłoniętej* wiedziałem, że nie jestem chrześcijaninem, to po przeczytaniu *Diamentowej Sutry* wiedziałem, że jestem buddystą. Chociaż sutra ta streszcza nauki tak niezwykle wzniosłe i majestatyczne, że podobno nawet arahanci (osoby święte, które osiągnęły indywidualną Nirwanę) czują strach i pomieszanie, kiedy czytają ją po raz pierwszy, to ja wchłonąłem ją radośnie i z bezwarunkową akceptacją oraz aprobatą. Dla mnie *Diamentowa Sutra* nie była czymś nowym. Poznałem ją, wierzyłem w nią i zrozumiałem ją całe wieki wcześniej i przeczytanie jej teraz niejako mnie obudziło, przypominając mi istnienie czegoś, o czym zapomniałem. Kiedy już uświadomiłem sobie, że jestem buddystą, wydawało mi się, że byłem nim od zawsze, że jest to najnaturalniejsza rzecz na świecie, i że nigdy nie byłem nikim innym. Moje doświadczenie *Sutry Wei Langa*, którą poznałem z oryginalnego wydania szanghajskiego w tłumaczeniu Wong Mou Lama, chociaż miało miejsce na trochę niższym poziomie, powtarzało się ze znacznie większą częstotliwością. Zawsze przy czytaniu tego tekstu wpadałem w pewnego rodzaju ekstazę. Oczywiście nauki obu sutr są w zasadzie takie same, choć nie da się zaprzeczyć, że doktryna Wei Langa o tożsamości *pradźni* i *samadhi*, czyli mądrości i medytacji, spowodowała wielkie zamieszanie nie tylko w kręgach dalekowschodniego zenu, ale też wśród ich współczesnych zachodnich odpowiedników.

Uświadomienie sobie, że jestem buddystą, nastąpiło późnym latem lub wczesną jesienią 1942 roku. Mniej więcej w tym samym czasie po raz pierwszy miałem doświadczenia uznawane powszechnie za stany jasnowidzenia. Czy przydarzyły mi się one przed, czy po przeczytaniu *Diamentowej Sutry*, tego nie pamiętam. Bardziej prawdopodobna jest opcja druga, ponieważ często się zdarza, że doświadczenie duchowe (po pewnym krótszym lub dłuższym czasie) niejako odbija się echem na niższych planach – intelektualnym, emocjonalnym, psychicznym lub nawet fizycznym. Wszystkie te doświadczenia – było ich w sumie siedem lub osiem – miały miejsce w biurze Ratusza Miejskiego, przeważnie wtedy, kiedy byłem sam. Bez żadnego ostrzeżenia, nagle przed moimi oczami rozwijała się seria wydarzeń z przyszłości, zupełnie jak na ekranie kinowym. Te wydarzenia – których nie widziałem fizycznymi oczami, tylko tym, co w tradycji buddyjskiej nazywane jest 'boskim okiem' – pojawiały się tak jasne, żywe i wyraźne jak wszystkie inne postrzegane w normalny sposób. Były to zawsze przeczucia tego, co miało się wydarzyć w moim bezpośrednim otoczeniu w ciągu najbliższej pół godziny lub godziny. Wiedziałem z góry, kto wejdzie do biura, jak stanie i co powie. Wszystko zawsze się sprawdzało. Później, kiedy byłem w Indiach i innych krajach, spotkałem wiele osób, w tym Europejczyków, którzy usilnie próbowali rozwijać swoje zdolności paranormalne. Chociaż nie ulega wątpliwości, że te moce może rozwinąć w sobie każdy, kto jest gotów poddać się odpowiedniemu treningowi i dyscyplinie, to buddyjska tradycja jednogłośnie twierdzi, że lepiej jest skierować całą swoją energię na osiągnięcie Oświecenia i pozwolić mocom psychicznym pojawić się, jeśli się rzeczywiście pojawią, w swoim czasie.

Wychodząc z biura, często szedłem teraz prosto do teatru, ponieważ pod opieką szefa rozwinąłem w sobie miłość do sceny, jakiej nigdy, w najmniejszym nawet stopniu, nie czułem do kina. Wśród wielu sztuk obejrzałem między innymi – *Ghosts*, *Heddę Gabler* i *The Way of the World* w teatrze Duke of York's; *The Master Builder* oraz *An Ideal Husband* w teatrze Westminster, *Othella* w Wimbledonie, a *Twelfth Night* i *Lady Precious Stream* w The Open Air

Theatre w Regent's Park. Ale znacznie głębiej niż którykolwiek z tych dramatów poruszył mnie balet *Everyman* Leslie French. Chociaż przeczytałem ten stary moralitet kilka lat wcześniej, razem z *The Fall of Lucifer* i *The Harrowing of Hell*, teraz uderzył we mnie z siłą pioruna. Chyba po raz pierwszy w życiu naprawdę dotarło do mnie, że musimy zostawić za sobą przyjaciół i rodzinę, bogactwo i wszystko, co posiadamy, i że kiedy śmierć wezwie nas w ostatnią podróż, jedynym bagażem, który ze sobą zabierzemy, będą nasze dobre uczynki. Wrażenie było tak głębokie, że kiedy spróbowałem napisać analizę *Everymana*, moje odczucia okazały się zbyt silne, aby dało się je wyrazić słowami. Jakiż efekt musiał wywoływać ten dramat na niewykształconej publiczności Epoki Wiary, dla której wystawiano go na scenie nie jako wieczorną rozrywkę, tylko jako część religijnego rytuału! Tylko w buddyjskiej literaturze tybetańskiej ponownie usłyszałem ten sam przejmujący ton intensywnego smutku, bezpośredni ton czystego i szczerego aktu religijnego, który rozbrzmiewa w *Everymanie*, i który tak bardzo różni się od świętoszkowatych tonów konwencjonalnej pobożności.

Wraz z rosnącym zainteresowaniem mądrością Wschodu, moje wizyty i zakupy w księgarni Johna Watkinsa stawały się coraz częstsze. Oprócz studiowania buddyzmu zająłem się taoizmem i konfucjanizmem, hinduizmem i islamem, sufizmem i mistyką chrześcijańską. Przyjemność czytania literatury została wzbogacona o odkrycie poezji chińskiej i perskiej, które poznawałem tak intensywnie, jak tylko pozwalała na to moja zależność od przekładów. Po buddyzmie najbardziej zachwycałem się taoizmem, a wśród klasyków taoistycznych, największy podziw wzbudziło we mnie dzieło *Tao Te King*. Tę cudowną esencję skoncentrowanej mądrości duchowej przeczytałem w sześciu, a może w ośmiu różnych tłumaczeniach, a każde kolejne odsłaniało przede mną nowe aspekty niewyczerpanego bogactwa jego znaczeń. Według mnie najlepszego tłumaczenia dokonał Czu Ta Kao. Dodatkowo zaprowadziło mnie ono – dzięki ogłoszeniu na tylnej okładce – prosto do czasopisma *The Middle Way*, a potem do Londyńskiego Towarzystwa Buddyjskiego (The London Buddhist Society).

Zaprenumerowałem to czasopismo, czytałem je namiętnie i wkrótce napisałem dwa artykuły na temat buddyzmu. Biorąc pod uwagę sposób, w jaki później podkreślałem, że nasza elementarna lojalność powinna dotyczyć nie tej czy innej szkoły, ale całej buddyjskiej tradycji, znamienne jest, że pierwszy z tych artykułów był zatytułowany „Jedność buddyzmu". Drugi, zbyt długi, aby go opublikować, zajmował się trzema cechami egzystencji, znanymi również jako Trzy Sygnaty, którymi również intensywnie się zajmowałem w późniejszych latach. Clare Cameron, redaktorka *The Middle Way*, napisała do mnie list z miłym powitaniem nowego prenumeratora, który tak dobrze zna się na buddyzmie. Nie całkiem zasługiwałem na te uprzejme słowa, ale właśnie dlatego do niej wysłałem swoje artykuły. List, który do nich dołączyłem, dał początek naszej wieloletniej korespondencji, mimo że od czasu do czasu przerywanej.

Na wiosnę Sonia dostała powołanie do wojska. Rozstaliśmy się tam, gdzie się poznaliśmy – w głównym pokoju. Po skończeniu dnia pracy, zanim poszedłem do biura po drugiej stronie korytarza, odczekałem kilka minut, dając wszystkim czas, żeby poszli do domu. Chciałem spędzić nasze ostatnie minuty z Sonią tylko we dwoje. Ku mojemu przerażeniu Thelma nadal siedziała przy biurku. Jakby chciała zadrwić z rozczarowania, które musiało być widoczne na mojej twarzy, zawołała ze sztuczną figlarnością – „Jeśli chcesz, żebym opuściła pokój, będziesz musiał mnie wziąć na ręce i wynieść!" Nigdy w życiu nie czułem takiej nienawiści do kobiety. Ignorując ją, zwróciłem się do Sonii i po kilku minutach zwyczajnej rozmowy, w trakcie której moje oczy wyrażały całą miłość, desperację i cierpienie, których język nie mógł wypowiedzieć, pożegnaliśmy się konwencjonalnie podając sobie dłonie i życząc wzajemnie wszystkiego najlepszego. Thelma z zazdrością w oczach pilnie nas obserwowała znad swoich koszyków na listy i patrzyła za mną, kiedy wychodziłem.

Ledwo zdając sobie sprawę z tego, co robię, przy moście Westminster wsiadłem do tramwaju jadącego w stronę domu i siedziałem na górnym pokładzie owładnięty tak dotkliwym i ściskającym serce smutkiem, jakiego jeszcze nigdy nie czułem. W Clapham Common nagle zdecydowałem się wysiąść. Od kilku miesięcy obserwowałem rosnącą separację między rodzicami i teraz, pogrążony w czarnym i gorzkim żalu, instynktownie cofałem się przed powrotem do domu, gdzie już nie

znajdywałem tak potrzebnego mi spokoju i pocieszenia. Zamiast tego, jak jakieś ranne zwierzę powracające do swej nory, aby umrzeć, schroniłem się w dobrze mi znanym miejscu, jakim był antykwariat.

Wyłoniłem się z niego – według zegara na wieży przy przystanku tramwajowym – dokładnie dwie godziny później. Wsiadając do tramwaju jadącego na Tooting Broadway, uświadomiłem sobie, zszokowany i zdumiony, że przez cały ten czas nawet raz nie pomyślałem o Sonii. A mimo to, choć najwyraźniej Natura nie przeznaczyła mnie do roli kochanka, nigdy o niej nie zapomniałem. Z listów, które przychodziły z obozu szkoleniowego ATS,20 gdzie ją wysłano, dowiedziałem się, że była zdrowa, ale nie czuła się szczęśliwa. Jednak nigdy nie dała mi powodu wierzyć, że jej zgryzota miała to samo źródło, co moja.

Lato minęło bardzo szybko a razem z nim dobiegło końca moje życie w cywilu. Po powrocie z wakacji w Torquay, gdzie byłem z Joan, która uzyskała świadectwo ukończenia szkoły i mieszkała teraz w domu, zostałem wezwany na ostateczne badania lekarskie. Ku mojemu zdumieniu dostałem kategorię B2. W związku z historią mojej choroby z okresu dzieciństwa, komisja wojskowa wysłała mnie do kardiologa, który oświadczył – „Pańskie serce jest w najzupełniejszym porządku."

„Ależ ja spędziłem dwa lata w łóżku!" – zaprotestowałem oburzony. Lekko zmarszczył brwi i ponownie przyłożył stetoskop do moich piersi i pleców. „Absolutnie w porządku," – powtórzył po badaniu, które wydawało mi się jeszcze bardziej powierzchowne niż pierwsze – „Pana serce jest idealnie zdrowe."

Wyszedłem ze szpitala bezgranicznie zdumiony, nie bardzo wiedząc, czy powinienem czuć się zachwycony tą nagłą rewelacją, że nie jestem pół inwalidą, tylko zdrowym młodym człowiekiem, czy też odczuwać przerażenie w związku z perspektywą pójścia do wojska. Ojciec początkowo był równie zaskoczony, ale po przedyskutowaniu takiego obrotu sytuacji, uznaliśmy, że trwała korzyść płynąca z dobrego zdrowia stanowczo przewyższa tymczasową niedogodność spędzenia roku lub dwóch w wojsku. W rezultacie poszliśmy do pubu, gdzie Ojciec spędzał teraz większość swoich wieczorów, i uczciliśmy nowinę kilkoma kolejkami drinków.

Moim jedynym zmartwieniem była teraz myśl, że prawdopodobnie nie zdążę ukończyć powieści, nad którą pracowałem od połowy września. Zrezygnowałem więc z innych zainteresowań i spędzałem wszystkie wieczory i weekendy zamknięty w swoim pokoju, gdzie w pośpiechu zapisywałem jeden zeszyt za drugim. Poezji oczywiście nie udało mi się porzucić równie łatwo. Od chwili rozpoczęcia pracy w LCC komponowałem wiersze w tramwaju i metrze w drodze między Tooting Broadway i Westminsterem. Te, które stworzyłem w czasie porannej podróży, zapisywałem natychmiast po wejściu do biura; te z wieczornej podróży, jak tylko dotarłem do domu.

Pewnego październikowego wieczora, kiedy wieszałem płaszcz i kapelusz w przedpokoju, usłyszałem Ojca wołającego mnie z salonu. Zaalarmowany niezwykłym napięciem w jego głosie pośpieszyłem w stronę otwartych drzwi. Ojciec stał na środku dywanu z wyrazem twarzy bliskim furii, Mama siedziała cicho płacząc, a obok niej siedział przygnębiony i zmieszany Sid. Joan szlochała z głową opartą o kominek.

„Twoja matka chce od nas odejść!" – wybuchnął Ojciec, zanim zdążyłem uświadomić sobie straszne znaczenie tej sceny. Teraz, kiedy stało się najgorsze, wiedziałem, że spodziewałem się tego już od dłuższego czasu, ale nie miałem pojęcia, co powiedzieć.

„Czy nadal chcesz widywać swoją matkę?" – Ojciec zwrócił się do Joan, żądając odpowiedzi z wyjątkową brutalnością.

„Nie, nie, już nigdy nie chcę jej więcej widzieć!" – odpowiedziała moja biedna siostra wśród nowych, mocniejszych szlochów. Przebywała w domu dopiero od dwóch miesięcy i ten cios spadł na nią bez ostrzeżenia.

Mama zaczęła tak płakać, jakby jej serce pękło, wołając żałośnie – „Och, nie mów w ten sposób, kochanie!" Ale Joan tylko powtarzała swoje słowa z coraz większą gwałtownością.

---

20 Auxiliary Territorial Services (Terytorialna Służba Pomocnicza) – kobiece oddziały w armii brytyjskiej podczas II w. św. [przyp. red.]

Ojciec odwrócił się w moją stronę, pytając – „A czy **ty** chcesz widywać swoją matkę?" W jego głosie słychać było sugestię, że moja odpowiedź powinna być taka sama jak u Joan. Zwilżając wargi językiem, odparłem – „Tak, oczywiście, że chcę." Na te słowa zarówno Mama, jak i Joan, rozbeczały się już na całego.

„No cóż, – powiedział Ojciec, lekko zaskoczony – Nie będę ci w tym przeszkadzał." Nawet w gniewie pozostał człowiekiem sprawiedliwym.

Nie pamiętam, jak się skończyła ta ponura scena. Sid, który poznał Ojca, kiedy przyszedł do nas kilka razy z wizytą, próbował przy wyjściu jakoś załagodzić sytuację mówiąc – „Jest mi naprawdę niewymownie przykro, że to się stało," ale te uprzejme słowa odniosły tyle skutku, co kropla wody spadająca na rozpaloną do czerwoności żelazną płytę.

Przez resztę wieczoru siedzieliśmy w koszmarnym milczeniu. O dziewiątej Joan pocałowała Ojca z serdecznym „Dobranoc, tato!" i wyszła z pokoju mijając Mamę bez słowa. Widok pobladłej twarzy Mamy, bardziej nieszczęśliwej niż kiedykolwiek w życiu, był dla mnie ciosem w samo serce. Dlatego, po życzeniu Ojcu dobrej nocy, podszedłem do niej i pocałowałem ją mówiąc jak zwykle – „Dobranoc mamo!"

Kilka następnych tygodni było gorsze od wszystkiego, co znałem. Mama próbowała odejść trzy razy – i trzy razy w ostatniej chwili się załamywała i nie potrafiła tego zrobić. Więzi stworzonych przez dwadzieścia cztery lata nie dawało się tak łatwo zerwać. Przerwy między tymi próbami były dla nas wszystkich okresami niesłychanego napięcia. Mamę ogarniało przerażenie na myśl, że Ojciec mógłby popełnić samobójstwo. Kiedyś po powrocie z biura zastałem ją siedzącą u dołu schodów, prawie odchodzącą od zmysłów ze strachu. W kuchni słychać było kroki Ojca, który miotał się w tę i z powrotem jak szaleniec.

„Co się dzieje?" – zapytałem, ale Mama na granicy histerii powtarzała tylko szeptem – „Idź tam do niego, idź tam do niego", w sposób, który mroził mi krew w żyłach.

Delikatnie otworzyłem drzwi i zapytałem – „Czy wszystko w porządku, tato?" Przestał chodzić i usiadł zmęczony, przesuwając ręką po czole. „Tak, synu, już wszystko w porządku," – odpowiedział cicho.

Towarzyszyłem Ojcu, gdziekolwiek wychodził, ponieważ Mama błagała mnie – „Nie zostawiaj go samego. On może zrobić sobie krzywdę." Zazwyczaj szliśmy do pubu, gdzie Ojciec ostro popijał, więc żeby dotrzymać mu towarzystwa, ja również dużo piłem. W nocy leżałem w łóżku, z niepokojem nasłuchując głosów rodziców, kiedy rozmawiali na dole. Jeśli tylko któryś głos się podnosił, nawet lekko, serce zaczynało mi walić ze strachu. Byłem w stanie usnąć dopiero wtedy, kiedy słyszałem jak Mama wraca o świcie do swego pokoju na górze. Jednak z upływem kolejnych tygodni rozmawiali coraz spokojniej, jak gdyby to, co się wydarzyło, było ciężarem, który musieli unieść oboje. A potem, pewnego sobotniego popołudnia, kiedy wróciłem do domu, dowiedziałem się, że Mama odeszła.

Pod koniec listopada, kilka dni po skończeniu powieści, przyszły papiery wzywające mnie do wojska.

Rozdział 9

Odmieniec

Leatherhead, gdzie stacjonował oddział łączności, do którego polecono mi się zgłosić, było niewielkim prowincjonalnym, staroświeckim miasteczkiem w sercu hrabstwa Surrey. Kiedy doszliśmy do skrzyżowania na skraju tej mieściny, światła uliczne nagle zmieniły się z zielonych na czerwone. Ernie, rudowłosy Cockney21, który przyjechał tu razem ze mną, zwrócił uwagę na dziwaczność faktu, że miejscowość, w której nie ma żadnego ruchu ulicznego, ma zainstalowane światła sygnalizacyjne. Obaj byliśmy mocno zdenerwowani. Zgodnie ze wskazówkami uprzejmego policjanta skręciliśmy w lewo za kinem i przeszliśmy obok pola i rzędu małych domków. Za nimi znajdował się szpital, rozpoznany przeze mnie jako jeden z tych, do którego CNR przysyłał pielęgniarki. Nim dotarliśmy do końca drogi, listopadowy deszcz, wiszący w powietrzu od samego rana, wreszcie zaczął miarowo padać. Niechętnie przyśpieszyliśmy kroku i mijając pozostałe wille skręciliśmy za nimi w prawo na podmiejską drogę. Po kilkunastu metrach zmieniła się ona w drogę polną i brnęliśmy przez błoto po kostki. Wydawało nam się, że zabłądziliśmy, ale po niespokojnej wymianie zdań zdecydowaliśmy iść dalej między wysokim żywopłotami, aż wreszcie za zakrętem ujrzeliśmy ubraną w mundur khaki postać strażnika przy bramie.

Godzinę później, czując, że bardzo się wyróżniamy naszym cywilnym ubiorem, siedzieliśmy w jadalni przy wyszorowanym drewnianym stole, razem z około czterdziestką innych mężczyzn, jedząc kiełbaski z tłuczonymi ziemniakami, a na deser jabłecznik ze słodkim sosem. „Całkiem niezłe żarcie jest w tej dziurze," – wymamrotał Ernie nakładając sobie na talerz drugą porcję ciasta. Ale widok i zapach wystawionych na zewnątrz pojemników z tłustą wodą, w której potem myliśmy swoje talerze, przyprawił mnie niemal o wymioty.

Obóz był mały i nowy. Składał się z ośmiopokojowego budynku, oczywiście zarekwirowanego, i dwóch rzędów wojskowych baraków – niektóre z nich nadal były w budowie – ustawionych na terenie po jednej stronie tego domu, wzdłuż którego zbudowano jadalnię z oknami wychodzącymi na baraki, połączoną z tylnymi drzwiami kuchni. Na lewo od baraków, widoczna od bramy stała konstrukcja, którą wkrótce nauczyliśmy się nazywać 'sanitariatami'. Wojskowe buciory tak zadeptały ogród, że żaden ślad po nim nie pozostał i wszystkie ścieżki między barakami oraz domem zamieniły się w błotniste alejki. Cały obóz ogrodzony był prawie dwumetrowym płotem z kolczastego drutu.

Po południu Erniemu i mnie wydano mundury, które na nas nie pasowały, buty, które były za duże, karabiny, które wydawały się zbyt ciężkie, żeby je podnieść, i masę rozmaitych innych rzeczy, o których myśleliśmy, że do niczego się nam nie przydadzą. Moje włosy – za długie według wojskowych standardów – zostały obcięte. Potem zaprowadzono nas do baraku, gdzie stało dwanaście polowych łóżek, dwa z nich były wolne, powiedziano, że należymy do oddziału „C" i mamy wykonywać rozkazy naszego kaprala.

Przez następne trzy tygodnie czułem się tak, jakby moja dusza uległa petryfikacji. Myśli, emocje i wola uległy zawieszeniu. Spełniałem swoje obowiązki i wykonywałem rozkazy czysto mechanicznie, bez jakiejkolwiek reakcji mentalnej. Zupełnie jakby integralność mojej wewnętrznej istoty mogła być chroniona wyłącznie za pomocą tymczasowego paraliżu, który nie tylko zapobiegł reagowaniu na życie w wojsku, ale też udaremnił jakikolwiek wpływ wojskowego stylu życia na moją osobę. Gdyby nie zadziałał ten mechanizm obronny, to pustka egzystencji, do której zostałem tak gwałtownie wtrącony, chyba doprowadziłaby mnie do szaleństwa.

Nasz dzień zaczynał się o piątej rano. Nadal na wpół śpiący wytaczaliśmy się z baraków i

---

21 Mieszkaniec robotniczej dzielnicy we wschodnim Londynie [przyp. tłum.]

szliśmy w ciemnościach w kierunku światła padającego z otwartych drzwi ‘sanitariatów’. Jeśli nie przyszło się tam bardzo wcześnie, trzeba było potem stać w kolejce do mycia i golenia, bo liczba umywalek była ograniczona. O świcie zjadaliśmy owsiankę i gotowane jajka. Resztę czasu aż do musztry spędzaliśmy ścieląc łóżka przed inspekcją, polerując mosiężne części, nacierając pasy zieloną pastą i czyszcząc karabiny. O ósmej była zbiórka w szeregu przed domem. Kiedy RSM22 powiódł wzrokiem po naszym niezbyt równym szeregu, wydawał rozkazy dwóm kapralom, którzy zmieniając nagle głos ze służalczego w brutalny, szybko odwracali się od sierżanta w stronę swoich plutonów i wywrzaskując komendy kazali nam maszerować na pas świeżo wyasfaltowanej drogi, będącej terenem naszej musztry.

Te musztry były koszmarem. Gdyby pozwolono nam po prostu maszerować, to piesza musztra, od której zaczynaliśmy, nie byłaby taka trudna do nauczenia się. Jednak armia najwyraźniej lubiła stosować metodę poniżania. Wydzierano się na nas za to, że nie trzymaliśmy głowy wystarczająco wysoko, nie machaliśmy rękami do odpowiedniego poziomu lub nie wypinaliśmy piersi do przodu jak należy. Wyglądało na to, że główną zasadą musztry było uznawanie, że wszystko, co pluton robi, zawsze jest zrobione źle. Któregoś ranka, pewnego starszego rekruta, nauczyciela z zawodu, ogarnęła taka desperacja z powodu nieustannej napastliwości kaprala, że warknął na niego – „Człowieku, nie ma sensu, żebyś tak na mnie wrzeszczał. Staram się jak mogę!” Choć już piesza musztra szła nam kiepsko, to musztra z bronią, którą zaczęliśmy tydzień później, okazała się znacznie gorsza, a nasz nowy instruktor był demonem w porównaniu z kapralem Smithem, niskim facetem o jasnej cerze.

Kapral Halford był małym, podobnym do małpy Walijczykiem, który każdego wieczoru przed pójściem spać miał zwyczaj masturbowania się na oczach żołnierzy ze swojego baraku. Jego sposób zachowania był jednocześnie wazeliniarski i brutalny, a wyraz twarzy oscylował między chytrością i opryskliwością. Jego stałą praktyką było grożenie ludziom z plutonu aresztem, musztrą w pełnym rynsztunku, dodatkową służbą np. w kuchni i innymi karami, które to groźby wygłaszał niskim, złowieszczym tonem, aby niespodziewanie przestraszyć wszystkich nagłym rozkazem, który rozlegał się jak świst bicza. Celem gróźb było doprowadzenie nas do stanu takiej nerwowości, że kiedy padała komenda, wszyscy aż podskakiwali. Dzięki tej metodzie z pewnością poprawił trochę jakość naszej musztry pieszej. Lecz jego wysiłki, aby nauczyć nas musztry z bronią, doprowadzały odział do napadów z trudem tłumionego śmiechu, a jego do stanu dzikiej wściekłości. Jednym z rekrutów był łysy biznesmen, który nadal chodził ubrany w czarną marynarkę i prążkowane spodnie, ponieważ nie znaleziono munduru, który by na niego pasował. Pewnego ranka chichocząc stwierdził – „Tak mi przykro, kapralu, ale chyba nie daję sobie rady z tym cholernym karabinem.”

Powiedział to w imieniu większości z nas. Karabiny były nie tylko duże i ciężkie, ale też niezwykle trudne w obsłudze. Najmniejszy rekrut zapytał nawet RSM, czy nie mógłby otrzymać krótszej broni. Trudno powiedzieć, czyje zdumienie było większe – sierżanta, kiedy usłyszał tę dziwną prośbę, czy rekruta, kiedy dowiedział się, że wszystkie karabiny mają jednakowy rozmiar. „To w stylu wojska, – gderał – równie dobrze mogliby nam wszystkim dać buty tego samego rozmiaru.”

Wszystkim w oddziale kiepsko szło na musztrze z bronią, ale Ernie i ja byliśmy zdecydowanie najgorsi. Często mówiliśmy między sobą, że talent do obchodzenia się z bronią jest chyba odwrotnie proporcjonalny do ilorazu inteligencji.

Po południu kapral Smith, który odpowiadał za nasz barak, uczył nas „nazywania części karabinu”. Pech chciał, że nie potrafił wymawiać niektórych głosek. Na przykład zamiast ‘lufa’ i ‘kolba’ zawsze mówił ‘rufa’ i ‘korba’. Początkowo bardzo starannie powtarzaliśmy jego błędy. Uczył nas także, jak rozłożyć karabin do czyszczenia, jak używać wyciora, jak załadować i rozładować broń. Zrozumieliśmy też, że najpoważniejszym przestępstwem, jakie można popełnić w wojsku – zaraz po uderzeniu oficera – jest zgubienie karabinu.

Co drugi dzień po południu mieliśmy godzinne ćwiczenia fizyczne na trawniku za domem. Wkrótce udało mi się tych zajęć uniknąć. Stary i szorstki oficer medyczny, który nas szczepił,

22 RSM – Regimental Sergeant Major – starszy sierżant sztabowy.

powiedział po prostu – „Jeśli zasłabniesz w trakcie ćwiczeń, wystąp z szeregu i zgłoś, że jesteś chory.” Pomyślałem jednak, że bezpieczniej będzie wystąpić, zanim zasłabnę, i powiedziałem kapralowi, że jestem zwolniony z ćwiczeń ze względów medycznych.

Kiedy nie było nic innego do roboty, kazano nam założyć robocze kombinezony i wysyłano do różnych dodatkowych prac. To lubiliśmy najbardziej. Ernie i ja szybko odkryliśmy, że jeśli tylko przechodząc obok podoficera coś niesiemy w ręku z dziarską i pewną siebie miną, nikt się nam nie naprzykrza. Niejedno popołudnie spędziliśmy obchodząc cały obóz z tym samym kawałkiem drewna lub pustym wiadrem.

Jeśli nie kazano nam akurat przebywać w barakach, wieczory należały do nas. Razem z Ernie’m uciekaliśmy z obozu najszybciej jak się dało. Zwykle natychmiast po kolacji wychodziliśmy do Leatherhead i spędzaliśmy wieczór w wojskowej kantynie. W drodze powrotnej do obozu czasami dzwoniłem do Mamy, która mieszkała wtedy w Clapham.

Ale najlepsza część dnia to godzina lub dwie przed zgaszeniem świateł. Z rozścielonymi łóżkami i w czerwonym świetle płonącego w piecyku ognia ponury i nędzny barak wyglądał niemal swojsko. Jego mieszkańcy wracali dwójkami lub trójkami, większość z nich z czerwieńszą twarzą, bardziej podniesionym głosem i bardziej chwiejnym krokiem, niż kiedy wychodzili. Leżąc lub siedząc na łóżku swoim lub sąsiada, rozmawialiśmy i śmialiśmy się w ciepłej, przyjaznej i swobodnej atmosferze barakowej sali, dopóki nasze ‘osobowości’, tłamszone przez cały dzień kapralskimi butami, nie zaczęły odżywać, a nasze cechy idiosynkratyczne nie zaczęły rozkwitać jak egzotyczne kwiaty.

Ernie, który od początku zajmował łóżko sąsiadujące z moim, naturalnie został moim najlepszym przyjacielem. Młodszy ode mnie tylko o miesiąc nie wyglądał na więcej niż czternaście lat. Mimo ostrych rysów twarzy, biła z niego taka prostolinijność, że miękły nawet serca podoficerów. Był jednak zdecydowanie najsprytniejszą osobą w całym obozie i niejeden raz oszołomiła mnie jego omal nadnaturalna przebiegłość. W baraku szybko odkryto, że ma nadmiernie rozwinięte obie piersi – ich sława rozeszła się po całym obozie i dotarła nawet do uszu pułkownika. Ernie początkowo bardzo się ich wstydził i gniewał, kiedy je komentowano. Ale szybko zorientował się, że ich posiadanie może obrócić na swoją korzyść. Niejeden z naszych żonatych przyjaciół był głęboko poruszony, widząc jak Ernie siedząc w nogach łóżka bawi się swoimi kształtnymi, białymi piersiami. Nie robił tego z najmniejszym nawet zamiarem obdarzania kogokolwiek swoimi względami. „Nie odchodź – mamrotał do mnie kącikiem ust, kiedy któryś z jego wielbicieli okazywał się zbyt nachalny – ten brudny pedał znów na mnie leci.”

Czterech spośród współlokatorów z naszego baraku było w tym samym wieku co my. Laurie – spokojny, uśmiechnięty chłopak z lekkim zezem wolał trzymać się samotnie na uboczu. Alice, który dostał imię po sławnej aktorce noszącej to samo nazwisko co on, wyróżniał się zdolnością natychmiastowego zaśnięcia o dowolnej porze i w dowolnej pozycji ciała. Był gruby, wyglądał jak sowa i miał tętno trzydzieści trzy, najniższe o jakim w życiu słyszałem. Mike – przystojny, o zgrabnych i proporcjonalnych kończynach, nie był w stanie przystosować się do życia w wojsku. Na początku arogancki i nieposłuszny, stopniowo zmieniał się w jawnego buntownika i w końcu wpadł w bardzo poważne kłopoty. Był z gatunku tych, których armia niszczy. Smeed, który przyjechał później, i do którego nigdy nie zwracaliśmy się po imieniu, był powolnym chłopakiem o twarzy jak księżyc w pełni. Bardzo interesował się lokomotywami i ani go lubiliśmy, ani nie lubiliśmy.

Osobliwości charakterologiczne starszych kolegów, które w niektórych przypadkach miały dwa razy więcej czasu, żeby się rozwinąć, były naturalnie o wiele wyraźniejsze. Pinkie, nauczyciel, który warknął na kaprala Smitha, nie rozstawał się z fajką – za wyjątkiem musztry oczywiście. Miał hobby polegające na kolekcjonowaniu tras tramwajowych i autobusowych, więc jego ulubioną lekturą były rozkłady jazdy. Dokładnie znał przystanek po przystanku trasę każdego tramwaju i każdego autobusu w Londynie i hrabstwach okalających Londyn. Dla niego wolny dzień oznaczał przejażdżkę jakąś dłuższą i mniej znaną trasą.

Batty Tatty, lub Tat – niewyrośnięty, chuderlawy i pryszczaty – miał donośny głos i bardzo melodyjny akcent z Lancashire. Codziennie spędzał cały wieczór głęboko pochłonięty wielkim

albumem, w którym znajdowały się wyłącznie jego zdjęcia od dnia, kiedy miał dwa miesiące aż do czasów obecnych. Był przedziwną kombinacją prostoty i przebiegłości. Wszyscy z niego żartowali, ale z nikim się nie zaprzyjaźnił. Harry „Tykacz", który prosił sierżanta o mniejszy karabin, dostał ten przydomek z powodu ciągłego wesołego gderania, tak nieustannego, że przypominało regularne tykanie zegara. On i Alice najwyraźniej odczuwali do siebie jakąś niewymuszoną sympatię, bo wszędzie chodzili razem.

Fish był Żydem w bliżej nieokreślonym wieku, który traktował siebie tak poważnie, że stał się pośmiewiskiem. Najbardziej bał się, że będzie musiał ściąć na krótko swoje czarne falujące włosy, mocno przerzedzone na czubku głowy i ufarbowane. A jego największym zmartwieniem była konieczność oddania szynela, który krawiec dopiero co mu przerobił. Pete oraz Eddie to kolejna para, jeszcze bardziej nierozłączna niż większość kumpli. Pierwszy był najgrubszym a drugi najwyższym i najchudszym lokatorem w baraku. Choć było dla wszystkich najzupełniej oczywiste, że Eddie jest Anglikiem pochodzenia hinduskiego, zawsze wyrażał się o 'cholernych czarnuchach' z pogardą i odrazą. Na reszcie baraku nie robiło to wrażenia i za jego plecami chichotaliśmy – „On sam jest cholernym czarnuchem."

Głównym tematem rozmów całego baraku był seks. Ernie, ja i reszta młodzieży, która nie miała się czym chwalić w tym temacie, słuchaliśmy, jak starsi mężczyźni dyskutowali o rozmiarach, kształtach i mechanice odpowiednich narządów ciała, o swoich doświadczeniach seksualnych, różnych sposobach kopulacji i fizjologii seksualnej kobiet – wszystko z bardzo wyczerpującymi szczegółami. Kiedy jednak zaspokoiliśmy naturalną ciekawość, to ich nieustanne gadanie o seksie stało się nudne i odrażające, więc odwracaliśmy się od nich i zaczynaliśmy rozmawiać między sobą na tematy bardziej nas interesujące.

W czwartym tygodniu pobytu w obozie mój odrętwiały umysł zaczął budzić się do życia. Przez kilka dni komponowałem czterowiersze w perskim stylu, kiedy maszerowaliśmy w tę i z powrotem po terenie musztry. Te wiersze, których w końcu zapisałem około trzystu, przebijały się przez skorupę rozpaczy otaczającą moje serce jak krokusy przez twardą ziemię. Prąd wewnętrznego życia, zamarznięty na lód od dnia wstąpienia do armii, tajał i zaczynał płynąć na nowo. Tak jak górski strumień odkrywa drogę wokół głazu, którego nie ma siły przesunąć, tak i ja uświadomiłem sobie, że chociaż życie w wojsku może na jakiś czas skierować główny strumień mego istnienia na inne tory, to jednak nie może trwale zmienić jego kierunku. Mimo że jest marnowaniem mego czasu, to nie zniszczy moich zainteresowań. Postanowiłem, że nie pozwolę, aby armia mnie ukształtowała, ani żeby mnie zniszczyła. Ponieważ jest silniejsza ode mnie, będę przestrzegał jej niedorzecznych regulaminów i wykonywał rozkazy jej pachołków-idiotów, ale z całej siły i z głębi duszy będę wojsko nienawidził, pogardzał nim i odrzucał wszystko, co sobą reprezentuje.

Charakter naszego oddziału ostatecznie ułatwił mi nie tylko zrealizowanie tego postanowienia, ale też aktywne kontynuowanie moich zainteresowań. Pełnowymiarowe szkolenie wojskowe wkrótce zmniejszyło się godzinowo o połowę i od tej pory na porannych lub popołudniowych zajęciach zaczęto nas uczyć alfabetu Morse'a. Kaprale 'techniczni', którzy nas przejęli, byli znani z obojętności na kwestie dyscypliny, więc między nimi i kapralami 'wojskowymi' tliła się źle skrywana wrogość. Kapral Smith opuścił nasz barak, by zająć się grupą nowych rekrutów, a jego miejsce zajął Tom – przystojny młody olbrzym, instruktor techniczny, którego natychmiast urzekły piersi Ernie'go. Po powrocie z przepustki na święta Bożego Narodzenia, nie mieliśmy już musztry ani dodatkowej służby, a po zaciekłej bitwie stoczonej między podoficerami technicznymi i militarnymi, zwolniono nas nawet z pełnienia warty.

Przybycie sierżanta z regularnej armii początkowo zdawało się wróżyć kłopoty. Jakimś podstępem zdołał nakłonić naszego dowódcę – byłego menedżera bankowego – do zarządzenia musztry całej kompanii w pełnym rynsztunku bojowym do marszu. Ale kiedy stanęliśmy wszyscy na drodze za obozem, z krzywo założonymi plecakami i karabinami, z których każdy sterczał pod innym kątem, widok był tak groteskowy, że eksperymentu już więcej nie powtórzono. Poza tym, siły techniczne zostały wzmocnione przez przybycie grubego, przyjacielskiego starszego sierżanta oraz małego siwowłosego i bluźnierczego kwatermistrza, którzy obijali się po terenie w płóciennych butach, rozpiętych mundurach, bez czapek i z rękami w kieszeniach. Chociaż ich

nieformalny styl bycia był wyraźnym znakiem, że nasze obowiązki w ogóle nie będą miały charakteru militarnego w ścisłym znaczeniu tego słowa, to jednak przypadające na oddział niezbędne minimum podoficerów regularnej armii zrobiło co w ich mocy, żeby życie w obozie było podporządkowane modelowi tradycyjnemu.

Z punktu widzenia pracy, jaką mieliśmy później wykonywać, nasz pobyt w armii był pomyłką. Absolutnie nic z tego, czego nauczyli nas podoficerowie wojskowi, nie przydało się nam później w najmniejszym nawet stopniu. Plecaki i karabiny okazały się tylko utrudnieniem. Bezsensowne przejawy infantylizmu regularnego wojska, takie jak musztry kompanii, marnowały tylko nasz czas, który moglibyśmy poświęcić na doskonalenie wiedzy potrzebnej do wykonania pracy, której oczekiwał od nas nasz kraj. Oczywiście oficerowie i ludzie w sztabie wiedzieli o tym na długo przed nami, a pobieżny militarny dryl, który włączyli do programu szkolenia, był tylko symbolicznym uznaniem faktu, że oddział łączności jest częścią armii. Mimo to do końca byliśmy nękani przez małostkowych podoficerów regularnego wojska, którzy starali się nam utrudniać życie, jak tylko mogli.

Zachowanie kaprala Halforda w kwestii przepustek było dobrym tego przykładem. Po tym jak kilku z nas, między innymi Ernie i ja, dwa czy trzy razy wzięliśmy przepustkę i pojechaliśmy na weekend do domu, ostrzegł nas – niby w przyjacielskim zaufaniu – że RSM jest temu bardzo przeciwny, i że ci, którzy popełnią to wykroczenie w przyszłości, zostaną przeniesieni do składu łączności w Oswestry – a nazwa ta brzmiała dla naszych uszu równie strasznie jak imię Sheol dla starożytnych Hebrajczyków. Ta informacja głęboko nas poruszyła. Dla żonatych mężczyzn było to ograniczenie szansy na seks. Ernie, ja i reszta młodszych czuliśmy, że bez tej krótkiej przerwy na wolność nasza egzystencja będzie nie do zniesienia. Przez kilka dni mieszkańcy baraku omawiali temat w ponurym nastroju. Niektórzy uważali, że ostrzeżenie Halforda uchroniło nas od katastrofy; inni sądzili, że blefował; większość stwierdziła, że lepiej nie ryzykować i w najbliższy weekend prawie wszyscy zostali w obozie. Ernie i ja, choć z niepokojem, pojechaliśmy do domu jak zwykle.

Niedługo potem RSM zorganizował zebranie typu ‘pytania i odpowiedzi’ na którym miało nie być podoficerów. Jednak Halford uprzejmie nas ostrzegł, żebyśmy nie zadawali pytań o przepustki. Kiedy RSM odpowiedział na niewinne zapytania o awanse, wdowie emerytury i leczenie, pewien cierpiący i stęskniony małżonek zebrał się na wielką odwagę, podniósł z krzesła i z lekkim wahaniem zadał pytanie, o którym intensywnie myśleli wszyscy z nas – „Jak często możemy prosić o przepustki na weekend?”

„Tak często, jak tylko chcecie, – odparł sierżant i rzeczowo kontynuował – W gruncie rzeczy, jeśli tylko nie macie służby wartowniczej, radziłbym brać przepustki co tydzień. Teraz, kiedy zaczęliście szkolenie techniczne, będziecie się naturalnie czuli trochę przemęczeni. Jeden lub dwa dni w domu sprawią, że wrócicie do swoich obowiązków z nowymi siłami. Z wyjątkiem wartowników, nie ma potrzeby żeby ktokolwiek inny przebywał w obozie w weekend.

Szkolenie techniczne, które niedawno się zaczęło, rzeczywiście okazało się poważnym wysiłkiem dla prawie wszystkich starszych mężczyzn. Niektórym samo nauczenie się kodu Morse’a sprawiało poważne trudności. (Ernie opanował go w oddziale skautów, a ja w Gwardii Chłopięcej). A to był dopiero początek. W miarę jak stopniowo uczyliśmy się odczytywać sygnały z prędkością pięciu słów na minutę, potem dziesięciu i piętnastu na minutę, po drodze odpadło kilka osób niezdolnych do wytrzymania wzrastającego napięcia. Zostały przeniesione do innych bardziej ogólnych zajęć. Ernie i ja – w krótkim czasie najlepsi w zespole – później z wielkim żalem przyznaliśmy, że byłoby lepiej dla nas, gdybyśmy też odpadli, ponieważ ci wyrzuceni, pracując w biurze doczekali się awansu na podoficerów i chorążych, a my zostaliśmy na zawsze zwykłymi sygnalistami. Ale w tym wczesnym okresie, nie wiedząc, co nas czeka w przyszłości, z zapałem pracowaliśmy na własną zgubę.

Nasza szybkość – stymulowana zachętami Toma i oficerów – stale rosła i wkrótce znacznie wyprzedzaliśmy resztę klasy. Choć obaj staraliśmy się z całych sił wyprzedzić jeden drugiego, to niezmiennie zdawaliśmy testy szybkości z tym samym wynikiem. Nasz entuzjazm był w dużej mierze spowodowany świadomością zwiększonego prestiżu. Ostatni na placu musztry okazali się pierwszymi w sprawach technicznych. Źródło rozpaczy kaprali z regularnego wojska okazało się

źródłem zachwytu instruktorów Morse'a. Kiedy pewnego popołudnia obaj osiągnęliśmy prędkość trzydziestu jeden słów na minutę – nawet Tom nie potrafił transmitować szybciej – poczuliśmy, że słuszność naszej teorii, że im jesteś gorszy na musztrze, tym większa jest twoja inteligencja, została całkowicie dowiedziona.

W międzyczasie nadeszła wiosna. Złotokapy, które mijaliśmy idąc do miasteczka, buchnęły żółtymi płomieniami, a młode liście czerwonego buka na tle wczesnego wieczornego nieba ukazywały swoje czerwone listki usiane czekoladowymi żyłkami. Zawsze byłem wrażliwy na zmianę pór roku, ale nadejście wiosny poruszało mnie najbardziej, więc czułem się przepełniony dziwną radosną euforią. Od kiedy awansowaliśmy do Pokoju Radiowego, gdzie z powodów bezpieczeństwa nie wolno było wchodzić nikomu oprócz instruktorów i operatorów, dostawaliśmy więcej wolnych popołudni i przepustek na weekend niż kiedykolwiek. Ojciec, zawsze bardzo zadowolony, kiedy widział mnie znów w domu, żartobliwie komentował, że za **jego** czasów otrzymanie przepustki w wojsku nie było takie łatwe. Mama najwyraźniej spędzała sobotnie popołudnia wyczekując mnie w przedpokoju, bo drzwi zawsze się szeroko otwierały jeszcze zanim skończyłem dzwonić. Chociaż bardziej opanowana niż wcześniej, wydawała się szczęśliwa i zadowolona. Oboje z Ojcem uzgodnili, że wezmą rozwód. Moje stosunki z Sidem, który czasem wpadał na herbatę, były serdeczne, gdyż nie sposób było nie lubić tego spokojnego, przyjacielskiego i skromnego mężczyzny. Joan pogodziła się już z Mamą i często ją odwiedzała, a z Sidem też miała dobry kontakt. Była wysoka i dobrze rozwinięta – pracowała w banku, ale jej ambicją, którą ojciec przyjął z przerażeniem, było wstąpienie do ATS. Czasami odwiedzałem Nanę i ciocię Noni. Pewnego razu spędziłem całe popołudnie włócząc się z ciocią po Wimbledon Common, gdzie mila za milą ciągnęły się czarno-fioletowe pola wrzosów przetykane plamami młodej zieleni, a wzdłuż krawędzi lasu młode pędy paproci sterczały pośród zeszłorocznych żółto-brązowych liści jak zielone pastorały.

Wieczory Ernie i ja zwykle spędzaliśmy w zatłoczonym barze King's Head w towarzystwie Toma, który nauczył nas pić mieszankę *black-and-tan23*, ale starannie pilnował, żebyśmy nie wypili zbyt dużo kufli. Czasami pisaliśmy listy lub graliśmy w tenisa stołowego z ATS-owcami w świetlicy wojskowej na głównej ulicy miasteczka. Raz czy dwa zabrałem Erniego do Ewell, znajdującego się tylko dwie czy trzy stacje dalej na trasie kolejowej. Ciocia Kath, która po skończeniu się Blitza wróciła z Torquay razem z wujem Charlesem, była przyjacielska i elokwentna jak zawsze. Cala rodzina osłupiała, dowiedziawszy się, że osobiście przyrządziła nam jajecznicę z frytkami. „I nadawało się to do jedzenia?" – pytano mnie z jawnym niedowierzaniem.

W pewne sobotnie popołudnie Ernie i ja wspięliśmy się na szczyt wzgórza Box Hill. Patrzyliśmy z góry na maleńkie pola w różnych odcieniach zieleni i brązu, tworzące barwną mozaikę ciągnącą się aż po horyzont i stopniowo rozpływającą się w mgiełkę. Między polami były żywopłoty, drzewa i farmy. Tu i ówdzie jakiś staw błyszczał w słońcu jak płynne złoto. Tuż przy linii horyzontu widniało ciemne pasmo miasteczek. Kiedy tak leżeliśmy w rozgrzanej trawie i ziemia niejako unosiła nas prosto w objęcia słońca płynącego po wielkim błękitnym i bezchmurnym niebie, przeczytałem kilka rozdziałów z *Tako rzecze Zaratustra*. Odurzony żarliwymi słowami, miałem ochotę wykrzyczeć je do słońca, aby ich echo rozległo się od jednego krańca nieba do drugiego. Ale kiedy oślepiony blaskiem zamknąłem oczy na minutę, ujrzałem, że słowa te są już zapisane migotliwymi szkarłatnymi literami na błękitnym tle.

Moim ulubionym miejscem w Leatherhead był ogród w herbaciarni. Bystrookie kosy z żółtymi dzióbkami skakały po trawniku, a białe i różowe płatki spadały z kwitnących drzew owocowych prosto na stronice mojej książki. Czytałem wtedy z jednakowym zachwytem poezje Johna Donne i Roberta Herricka. Niezwykle trafna linijka potrafiła przeszyć mnie na wylot jak włócznia. Czasem, zamykając książkę pogrążałem się w zadumie i próbowałem ułożyć rytmy i obrazy kołaczące się w mojej głowie we własne wiersze. Jakiś czas później odkryłem na przedmieściach rzekę, obrośniętą na długości jednej czy dwóch mil wierzbami, gdzie roiło się od błyskających szkarłatem i błękitem zimorodków. Siedząc nad płytką, prześwietloną słońcem wodą,

23 Dwa rodzaje piwa w jednym kuflu, niewymieszane – na dnie jasne piwo, u góry ciemny Guinness [przyp. tłum.]

w której doskonale było widać leżące na dnie patyki i kamienie, czytałem *The Middle Way*, w którym kilka miesięcy wcześniej ukazał się mój artykuł „Jedność buddyzmu".

Kiedy dowiedziałem się o działalności Londyńskiego Towarzystwa Buddyjskiego, a potem zobaczyłem swoje nazwisko na stronach jego periodyku, naturalnie zapragnąłem nawiązać z nim bliższy kontakt. Dlatego w pewne ciepłe sobotnie popołudnie, znalazłem się w salach, które wtedy zajmowało, znajdujących się nad restauracją na Great Russel Street. Skończywszy oglądać książki, rozmawiałem z bibliotekarką, kiedy do pokoju weszła podobna do wróżki postać z równo przyciętą grzywką i w obszernej tweedowej pelerynie. Była to Clare Cameron. Kiedy się jej przedstawiłem, była zdumiona widząc młodego chłopaka zamiast mężczyzny w średnim wieku, jak sobie mnie wyobrażała. Ze swej strony rozpoznałem w niej jedną z tych rzadkich dusz, które według słów hinduskiego poety są delikatne jak kwiat i twarde jak diament. Polubiłem ją w jednej chwili. Przedstawiła mnie przewodniczącemu i założycielowi Towarzystwa, Christmasowi Humphreys, nobliwemu i dobrze wychowanemu dżentelmenowi w wizytowym garniturze. Potem puszczono nagranie utworu Bacha „*Sheep may safely graze*" i zaczęło się spotkanie.

Od tamtej pory chodziłem na spotkania tak często, jak tylko mogłem. Zwykle przychodziło nie więcej jak tuzin osób. Któregoś południa, akurat kiedy medytowaliśmy, w powietrzu rozległy się dźwięki syren alarmowych ostrzegających przed nalotem, ponieważ przed końcową klęską, w ostatniej desperackiej próbie odniesienia zwycięstwa Niemcy rozpoczęli ostrzeliwanie ludności cywilnej Londynu i otaczających go hrabstw rakietami V-1. Jednak powodowani albo buddyjskim spokojem, albo angielską flegmą, kontynuowaliśmy medytację i nikt nie drgnął, nawet kiedy kilka minut później okna zatrzęsły się od wybuchów.

Pośród członków Towarzystwa, których tam poznałem, był R.L. Jackson, niski, siwowłosy mężczyzna w sportowej marynarce i workowatych flanelowych spodniach, który najwyraźniej miał trudne życie, i którego konwersacje, podobnie jak teksty, naszpikowane były cytatami z angielskich poetów. Wydało mi się dziwne, że zwracał się do przewodniczącego z szacunkiem 'panie Humphreys', kiedy ten mówił do niego po prostu 'Jackson', traktując go bezceremonialnie i w sposób protekcjonalny. Pewnie zakładałem wtedy, że w Towarzystwie nie powinno się uznawać podziałów klasowych. Wśród osób bliższych mi wiekiem był Arnold Price, z którym mogłem dyskutować o buddyzmie znacznie swobodniej niż z kimkolwiek innym. Któregoś wieczoru, pogrążeni w dyskusji odwiedziliśmy każdy pub na trasie między Great Russell Street i dworcem Waterloo – chyba nie było to najbardziej stosowne zachowanie ani dla przyszłego tłumacza *Diamentowej sutry*, ani dla przyszłego mnicha.

Bardziej buddyjski charakter miała okazja, kiedy Humphreys zabrał nas wszystkich do wegetariańskiej restauracji na obiad, w trakcie którego zabawnie opowiadał, jak próbował przetłumaczyć jeden z własnych wierszy na francuski. Po zebraniu odprowadziłem na stację metra Clare Maison, która jak większość kobiet w Towarzystwie ogromnie podziwiała przewodniczącego. Kiedy staliśmy na pełnym przeciągów peronie, czekając na jej pociąg, opowiadała mi o swoich wysiłkach, aby zebrać materiały do biografii Anandy Maitreyi, pierwszego Anglika, który powrócił do Anglii jako mnich buddyjski.

W tym czasie przystosowałem się już do życia w oddziale łączności na tyle, że mogłem kontynuować moje studia nad buddyzmem i nie przeszkadzało mi w tym bardzo nie-buddyjskie otoczenie. Pożyczone z biblioteki Towarzystwa książki zwykle czytałem siedząc na cichym brzegu rzeki, gdzie napisałem również dwa lub trzy wiersze opublikowane później w *The Middle Way*. Wspomnienia dotyczące lektury *The Systems of Buddhistic Thought* oraz *Thirty Stanzas on Representation Only* – obie te książki głęboko na mnie wpłynęły – są nierozerwalnie związane ze wspomnieniami ważek o siateczkowatych skrzydłach i szafirowych ciałach delikatnie unoszących się nad powierzchnią wody, w której poruszały się odbicia i cienie liści wierzb. Chyba tak właśnie miało być. Czyż natura Buddy nie znajduje odzwierciedlenia w każdej naturalnie stworzonej rzeczy, w każdym kwiecie, kamieniu i źdźble trawy?

Siedząc ponownie w Pokoju Radiowym, rozmyślałem nad tymi nowymi i tak dziwnie znajomymi naukami, które stopniowo poznawałem coraz lepiej. Czasami zaniedbując moje zadanie przechwytywania niezidentyfikowanych transmisji, tkwiłem tam ze słuchawkami na uszach, dłońmi

opartymi na pokrętłach i po prostu gapiłem się przez okno na niebo. Pod koniec każdej godziny pisałem w leżącym przede mną dzienniku dyżuru – „Zero informacji do raportu.” Na trawniku przed budynkiem nowa grupa rekrutów praktykowała atakowanie bagnetem szarżując na kukłę z czerwonymi łatami znaczącymi obszary serca i brzucha. Sierżant był zadowolony z wykonania przez nich zadania dopiero wtedy, kiedy z twarzami wykrzywionymi wściekłością i z mrożącym krew w żyłach wrzaskiem atakowali manekin jak szaleńcy, patrosząc go z triumfującą brutalnością.

W maju, jak co roku, Towarzystwo Buddyjskie świętowało dzień pełni księżyca w indyjskim miesiącu *vesaka* – była to rocznica narodzin, Oświecenia i parinirwany Gautamy Buddy. Spotkanie najwyraźniej odbyło w sobotę lub niedzielę po południu, ponieważ mogłem w nim uczestniczyć. Mama, która od jakiegoś czasu studiowała podstawowe książki o buddyzmie, poszła ze mną. Kiedy siedzieliśmy na końcu sali, czekając na rozpoczęcie spotkania, wszedł do niej ubrany w ciemny garnitur niski korpulentny dżentelmen o mongolskich rysach, niosąc w ręku teczkę dyplomatkę. Zniknął w przylegającym do sali pokoju, a pięć minut później wyłonił się stamtąd odziany w pomarańczowe szaty. Był to U Thittila, pierwszy mnich buddyjski, jakiego zobaczyłem. W późniejszych czasach, kiedy sam już chodziłem ‘w szatach’, doszły mnie słuchy, że ściśle formalistyczni buddyści z Birmy ostro go krytykowali za rzekomo niestosowne zachowanie, polegające na noszeniu europejskiego ubrania, kiedy nie wykonywał religijnych obowiązków. Buddyści angielscy widzieli tę sprawę w zupełnie innym świetle. Przez cały okres Blitzu U Thittila pracował jako noszowy, kilka razy ryzykując życie dla ratowania ludzi uwięzionych pod gruzami. Widząc, że obszerne mnisie szaty krępują jego ruchy, rozsądnie zamienił je na strój bardziej praktyczny przy tym zajęciu. Ludzie, którzy go znali, twierdzili, że praktykował to, co głosił. Byłem zawsze bardzo zadowolony, że to od niego po raz pierwszy przyjąłem Trzy Schronienia i PięćWskazań, których recytacja rozpoczęła nasze spotkanie. U Thittila recytował je w języku palijskim, a Humphreys był głównym odpowiadającym. Pod koniec spotkania przedstawiłem Mamę Humphreys’owi i Clare Cameron – oboje uczestniczyli w tym wydarzeniu jako mówcy. U Thittila przebrany ponownie w garnitur szybko wyszedł. Rakiety V-1 nadal spadały na miasto, więc przypuszczalnie śpieszył się do swoich zajęć.

Kilka dni później Clare Cameron zaprosiła mnie na herbatę do swojego mieszkania w Bayswater. Wchodząc do jasnej sympatycznej kuchni, przelotnie zauważyłem jej męża, Thomasa Burke, jak pracował w swoim zapełnionym książkami gabinecie. Jeśli przy pierwszym spotkaniu Clare zrobiła na mnie wrażenie osoby jednocześnie delikatnej **oraz** twardej, to teraz wydała mi się nie tylko bardzo młoda, ale też bardzo stara – jak połączenie elfa i sybilli. Jej wiek fizyczny można by określić na dowolny w przedziale między trzydzieści a pięćdziesiąt lat. Ale najbardziej uderzył mnie sposób, w jaki jej twarz rozświetlała się przy uśmiechu – wewnętrzne światło biło spod delikatnej siateczki linii i zmarszczek świadczących o tym, że w jej przypadku zrozumienie nie przyszło bez cierpienia. Wydawała się tak krucha jak babie lato, ale wkrótce przekonałem się, że była jedyną osobą w Towarzystwie, która miała na tyle silny charakter, że nie ulegała dominacji Humphreysa.

W trakcie mojej pierwszej wizyty podarowała mi egzemplarz swojego tomiku poetyckiego *A Stranger Here*. Tydzień lub dwa później, zebrałem w sobie całą odwagę i pokazałem jej własne wiersze – te, które uważałem za najlepsze. Kiedy szliśmy przez Ogrody Kensington, przekazała mi sensowne uwagi krytyczne, na których moje następne wiersze bardzo skorzystały. Dziesięć lat później, publikując *Messengers from Tibet and Other Poems*, zadedykowałem jej ten zbiór wierszy w dowód wdzięczności i podziwu.

W czerwcu tamtego roku, kiedy siedziałem w Pokoju Radiowym kręcąc gałkami i pokrętłami, kilkakrotnie widziałem rakiety V-1, przypominające kształtem czarne cygaro, sunące po niebie w stronę Londynu. Kiedyś obserwując jeden z tych złowieszczych obiektów, usłyszałem, że jego silnik ucichł i zobaczyłem jak nagle spada dziobem w dół na pole. Od wybuchu aż zatrzęsły się okna w pokoju. Wiedziałem, że są bardzo niebezpieczne, ale nigdy nie pomyślałem, że jedna z nich spowoduje zniszczenie mojego domu.

W sobotę po południu wyszedłem z obozu jak zwykle o pierwszej, a o drugiej trzydzieści wysiadłem z tramwaju u wylotu naszej ulicy. Był to jeden z tych pięknych jasnych letnich dni, które

sprawiają, że katastrofa wydaje się prawem kontrastu jeszcze straszliwsza, jakby Natury zupełnie nie obchodziło cierpienie człowieka. Kiedy stanąłem na chodniku, zauważyłem, że na dachach kilku domów brakuje wielu dachówek i szyby w niektórych oknach są potłuczone. Najwyraźniej 'rakieta' spadła gdzieś w pobliżu. W miarę jak piąłem się ulicą pod górę, zniszczenia stawały się coraz gorsze – pozrywane były całe dachy i prawie żadna szyba nie pozostała nietknięta. Nadal nie widziałem mojego domu, gdyż stał za zakrętem u szczytu ulicy, ukryty przed moim wzrokiem. Strach ścisnął mi serce, ale nie przyśpieszyłem kroku. Dom stojący w niewielkiej odległości od naszego był w połowie zniszczony. Kilka osób gapiło się na mnie dziwnym wzrokiem, kiedy je mijałem. Skręcając za róg ujrzałem, ku mojej niezmiernej uldze, Ojca stojącego przed furtką i rozmawiającego z sąsiadem. Jego rower oparty był o krawężnik. Za nim stał nasz dom pozbawiony zupełnie frontowej ściany – sufit parteru niebezpiecznie zwisał.

„Wygląda na poważnie uszkodzony – odezwałem się – Kiedy to się stało?"

„Jakąś godzinę temu – odparł Ojciec całkiem niefrasobliwie – Kiedy się tu zjawiłem, kurz jeszcze opadał."

„A gdzie byłeś w tym czasie?"

„Po drodze z pracy zajrzałem do Jack'a i Hildy, zobaczyć czy wszystko u nich w porządku. Jak tylko usłyszałem eksplozję, wskoczyłem na rower i przyjechałem."

Gdyby Ojciec wrócił do domu o pierwszej – jak to zwykle robił w soboty – a nie o wpół do drugiej, zginąłby na pewno, ponieważ rakieta wybuchła dosłownie przed progiem naszego domu, później znaleźliśmy wgniecenie. Niepokój Ojca o bezpieczeństwo mojego wuja i ciotki uratował mu życie. Mama była oczywiście w Clapham, a Joan trzy tygodnie wcześniej pojechała do ATS. Gdyby Mama od nas nie odeszła, gdyby Ojciec nie wrócił później, gdyby Joan nie wstąpiła do ATS i gdybym ja przyjechał godzinę wcześniej – cała nasza rodzina zostałaby zabita podczas lunchu. Przyjaciele i krewni byli pod wielkim wrażeniem tego szczęśliwego zrządzenia opatrzności, które nas wszystkich ocaliło. Norah i Phyllis, które znajdowały się wtedy w domu, zostały poważnie ranne. Dwie lub trzy osoby z domu naprzeciwko naszego zginęły.

Tego popołudnia i cały następny dzień ratowaliśmy z Ojcem co się tylko dało z ruin domu. Kilka mebli i jeden lub dwa dywany nadal nadawały się do użycia, a zawartość szuflad i kredensów ocalała bez większych strat. Chociaż było to niebezpieczne, uparłem się, żeby po resztkach schodów wejść na górę i zobaczyć, co się stało z moimi książkami. Z tysiąca około czterystu uległo całkowitemu lub częściowemu zniszczeniu. Te nieuszkodzone, wśród których na szczęście znajdowała się większość najcenniejszych egzemplarzy, wyniosłem i poukładałem w stosy na trawniku obok reszty uratowanego dobytku. Niedługo potem podłoga mojego pokoju zawaliła się.

Ojcu udało się pożyczyć ciężarówkę, więc przewieźliśmy wszystko, co pozostało z naszego domu, do Ewell, gdyż Ojciec i wuj Charles od samego początku wojny uzgodnili między sobą, że w razie potrzeby dom każdego z nich będzie do dyspozycji drugiego. W niedzielę wieczorem powróciłem do obozu, a w poniedziałek rano udałem się do dowódcy i otrzymałem tygodniowy urlop okolicznościowy. Z Leatherhead skierowałem się prosto do obozu Joan, znajdującego się w pobliskim miasteczku. Ona również dostała taką samą przepustkę jak ja, więc razem, ubrani w mundury khaki, pojechaliśmy do Ewell. W pewien sposób czuliśmy się bardzo młodzi, a jednocześnie okropnie starzy. Joan, która przyjęła nowinę w spokojny i rzeczowy sposób, opowiadała mi teraz o swojej pracy. Mimo że dopiero co skończyła siedemnaście lat, regularnie jeździła dwutonową ciężarówką z południowego wybrzeża aż do Szkocji, podróżując nocą w konwoju i bez świateł. Ojciec oczywiście bardzo się ucieszył na jej widok i we troje spędziliśmy cały tydzień w Ewell w całkiem dobrych nastrojach. Firma wuja Charlesa znów ewakuowała swój personel, tym razem do Somerset, więc mieliśmy jego dom tylko dla siebie.

Niedługo po moim powrocie do obozu zaczęły krążyć plotki, że Oddział ma być wysłany za granicę. Żonaci mężczyźni mieli głęboką nadzieję, że są bezpodstawne, ale Ernie, ja i reszta młodszych poczuliśmy, że poruszyły w nas jakąś dziwną nomadyczną tęsknotę. Chociaż ze względów bezpieczeństwa nie ujawniano miejsca naszego przeznaczenia, to plotki zostały najpierw po cichu a potem otwarcie potwierdzone, wprowadzając cały obóz w nastrój niepokoju i podniecenia tak, że żadna rozmowa nie była wolna od tematu nieuchronnie zbliżającego się

wyjazdu. Tom, który bardzo dobrze znał jednego z oficerów, powiedział Ernie'mu i mnie, że z całą pewnością jedziemy do Indii. Trudno jednak było w to uwierzyć na sto procent, gdyż w gwarze spekulacji chodziły też słuchy o Gibraltarze, Singapurze, a niektórzy mówili nawet, że wyślą nas do Ameryki. Poza tym, informacja, że pojadę do Indii, ziemi na której żył i nauczał Budda, wydawała mi się zbyt piękna, żeby mogła być prawdziwa. Po raz pierwszy w moim życiu – ale w żadnym razie nie ostatni – miałem niejasne poczucie, że jakieś tajemnicze przeznaczenie kieruje moim życiem. Spodziewałem się, że wojsko oddali mnie od buddyzmu, a wyglądało na to, że stanie się ono środkiem, który przybliży mnie do niego o wiele bardziej niż kiedykolwiek mi się śniło, że będzie to możliwe.

Na początku sierpnia otrzymaliśmy tygodniowy urlop zawsze przyznawany przed wyjazdem do placówki zamorskiej. Większość tego czasu spędziłem porządkując to, co zostało z mojej biblioteki, i wiążąc rękopisy w paczki. Dwa czy trzy rzadkie tomy oraz gruby czarny zeszyt z moimi najnowszymi wierszami zostawiłem u Clare. Na dzień lub dwa pojechałem do Nany w Somerset, gdzie teraz mieszkała, niezbyt tym faktem uradowana, w tej samej wiosce co wuj Charles i ciocia Kath. Kiedy się z nią żegnałem, chwyciła mnie ze łzami w oczach tak mocno, jakby nie chciała mnie nigdy puścić. Oboje wiedzieliśmy, że już się nie zobaczymy. Wróciwszy do Londynu zabrałem Sonię na przedstawienie *Jeziora Łabędziego*, raz czy dwa zjadłem obiad z Mamą i kilka wieczorów spędziłem z Ojcem w lokalnym pubie. Ostatnie pożegnania były powściągliwe i zwyczajne.

Trzy lub cztery dni później wsadzono nas do pociągu jadącego na północ. Większość podróży spędziłem pisząc wiersze, ale co jakiś czas podnosiłem oczy znad zeszytu i patrzyłem przez okno zafascynowany smętnym północnym krajobrazem z jego gołymi polami i niskimi kamiennymi ogrodzeniami. Na drugi dzień późnym popołudniem pociąg zatrzymał się u stóp olbrzymiej skały, która pnąc się ostro na kilkadziesiąt metrów w górę zwężała się tworząc mury, flanki i wieżyczki starożytnego zamku. Kilka godzin później, z karabinami w dłoniach, plecakami na plecach i torbami wiszącymi na ramionach staliśmy na nabrzeżu w dokach portu Glasgow, czekając aż wejdziemy gęsiego po trapie do wnętrza olbrzymiego szarego transportowca.

Dwa dni później, kiedy konwój przepływał obok północnego wybrzeża Szkocji i kierował się w stronę Atlantyku, obchodziłem swoje dziewiętnaste urodziny. Zostawiałem Anglię za sobą, być może na zawsze. Ale dokąd się udawaliśmy? Pięć dni później na środku Atlantyku, w połowie drogi do Ameryki, nadal nie znaliśmy odpowiedzi na to pytanie.

Rozdział 10

Podróż do Indii

Pokład ‘D’, na którym zakwaterowano nasz oddział, znajdował się na czwartym poziomie schodząc w dół. Obaj z Erniem tłoczyliśmy się razem z dziesiątkami innych nagich i spoconych ciał w jaskrawym świetle elektrycznych żarówek, a wszystko wokół nas trzęsło się od nieustannego ciężkiego huku okrętowych silników. Praktycznie cała przestrzeń od pokrywy luku aż do grodzi zajęta była przez długie przymocowane do podłogi stoły, przy których jedliśmy w ciągu dnia, a w nocy niektórzy na nich spali. Torby podręczne upchnięte były po kątach, a plecaki i butelki z wodą schowane między dźwigarami a ścianą burty. Chociaż dusiliśmy się z gorąca, większość z nas była przeziębiona z powodu nawyku spania jak najbliżej wentylatorów. Potówki na skórze robiły się coraz gorsze, ponieważ musieliśmy się myć w lepkiej i ciepłej wodzie morskiej przy użyciu twardego żółtego mydła, które nie chciało się pienić. Podobnie jak reszta żołnierzy, obaj z Erniem spędzaliśmy większość czasu na pokładzie pasażerskim lub łodziowym, przepychając się łokciami na rufę przez ubrany w mundury khaki tłum, który powoli i bezładnie przemieszczał się po pokładach. W nocy, bardziej otępieni niż śpiący, leżeliśmy na stołach, ławach lub pokładach albo wisieliśmy jeden obok drugiego w hamakach pod pokładem. Głośne chrapanie i ciężkie oddechy wypełniały ciemność, w której żarzyły się tylko dwa lub trzy małe czerwone światełka. W gorączkowym śnie nadal czuliśmy, jak wstrząsa nami potężne dudnienie silników. Rano zmęczeni i lepcy od potu wstawaliśmy z ulgą i szliśmy umyć się i ogolić w morskiej niepieniącej się wodzie.

Nie wiedząc kiedy znów zobaczę bibliotekę lub księgarnię, wcisnąłem do mojej torby podręcznej *The Light of Asia, Selections from Hegel, The Penguin Book of English Verse* i kilka innych książek w wydaniu kieszonkowym wybranych głównie ze względu na ich wygodny rozmiar. Nasz oddział był zwolniony z obowiązku służby na okręcie, ponieważ mieliśmy dyżury w Pokoju Radiowym, umieszczonym na platformie w najwyższym miejscu na okręcie. Jednak zakłócenia atmosferyczne i okrętowa prądnica sprawiały, że odbiór sygnałów radiowych był niemożliwy. Jedynym obowiązkiem, jaki nam pozostał, była musztra alarmowa przy szalupach ratunkowych o godzinie dziesiątej, dlatego po niej byłem wolny i większość dnia spędzałem na czytaniu. Prawdopodobnie z powodu warunków, w jakich mieszkaliśmy, czytałem wiersze takie jak *Heaven-Haven, The Haystack in the Floods* oraz *Cynara*, o dziwnie niespokojnej intensywności emocjonalnej. Codziennie układałem w głowie dwa lub trzy wiersze, a potem je zapisywałem. Złożyły się one w końcu na rodzaj wierszowanych zapisków moich wrażeń z podróży.

Pewnego ranka po obudzeniu zobaczyliśmy, że okręt płynie po błękitnych wodach Morza Śródziemnego. Konwój zmienił kurs kilka dni wcześniej i w nocy przepłynęliśmy przez Gibraltar. Od tej pory moje wiersze zwykle opisywały mijany krajobraz. Aleksandria – odległa smuga lśniącej bieli między morzem i niebem – zainspirowała wiersz o Aleksandrze Wielkim. Widok pustyni zrodził wiersz zaczynający się od słów „Pierwszy ujrzany wielbłąd był biały,” i tak dalej. Kiedy okręt przepływał przez Port Said, do którego dotarliśmy o zmroku, wszyscy tłumnie cisnęli się przy relingu, aby po pięciu latach obowiązkowego zaciemnienia ujrzeć cudowny widok budynków rozświetlonych tysiącami żółtych świateł. Czerwone i niebieskie neony świeciły na tle nieba z nieziemskim przepychem – największy i najjaśniejszy z nich reklamował Dewar’s Whisky i wydawał się olśniewającym objawieniem innego świata. Ale najpiękniejsze były światła najbliżej nabrzeża, które odbijały się w ciemnej głębokiej wodzie portu, tworząc na niej pomarszczone odwrócone odbicie złotych pałaców.

Kiedy zwolna przeciskaliśmy się na południe przez Kanał Sueski, który w pewnych miejscach wydawał się niewiele szerszy od okrętu, nigdy nie znużyło mnie obserwowanie wielkiego węża spienionej wody stale towarzyszącego statkowi swym niecierpliwym falującym ruchem. Czasami wpatrywałem się w niego tak długo i intensywnie, że aż trudno mi było uwierzyć, że nie jest to prawdziwy smok dotrzymujący mi przyjaźnie towarzystwa jak wierny pies, tylko fala dziobowa uderzająca o brzeg kanału.

W Suezie pozwolono nam wyjść na brzeg. Chociaż nie cierpiałem na chorobę morską, ziemia

pod stopami wydawała mi się dziwnie stabilna. Po wizycie w lokalnej restauracji – niskiej drewnianej budzie, gdzie zjedliśmy jajka na bekonie rozkoszując się niezwykle dużą przestrzenią na łokcie – Ernie i ja spędziliśmy pół godziny zwiedzając teren doków, zanim w końcu wspięliśmy się ponownie na pokład. Aden, który ujrzeliśmy o zmierzchu, był olbrzymim stosem popiołu, u stóp którego maleńkie jak mrówki postacie poruszały się wśród rozżarzonych węgli. Ale kiedy ten ponury widok został za nami, dzień za dniem wokół nas był tylko pomarszczony niebiesko-czarny bezmiar Oceanu Indyjskiego z morświnami pluskającymi za rufą i latającymi rybami, które prześlizgiwały się nad falami jak srebrne strzały. W nocy fosforyzujący kilwater płynął przez ciemność za rufą zostawiając widmowy bladozielony ślad na wodzie.

Jakie okażą się Indie? Zacząłem zadawać sobie to pytanie na długo przedtem, zanim horyzont zgęstniał i zamienił się w ląd. Z *Encyklopedii dla dzieci* pozostały mi mgliste wspomnienia o marmurowych pałacach i brodatych książętach radżputach. Opowieści misjonarzy na urlopie, którzy zjawiali się w szkółce niedzielnej prosząc nas o miedziaki, wywoływały wrażenie, że jest to kraj z glinianymi chatami, gdzie chrześcijańscy zakonnicy żyli w nieustannym strachu przed martyrologiczną śmiercią z rąk dzikusów ubranych w spódniczki z trawy. Wuj Dick opowiadał o rikszach. Podoficerowie regularnego wojska, którzy kiedyś stacjonowali w Indiach, twierdzili, że jest to najgorętszy, najbiedniejszy i najbrudniejszy kraj na ziemi, a ‘czarnuchy’ są najgorszymi szumowinami społecznymi. Trudno mi było na tym tle umieścić Buddę i jego nauki.

Wreszcie, w mżawce późnego wrześniowego poranka (byliśmy w środku zmiany pór roku i zahaczyliśmy o końcówkę monsunu) naszym oczom ukazały się doki portowe Bombaju pod niskim szarym niebem. Kiedy powoli zbliżaliśmy się, sunąc po spłowiałej wodzie, bardziej przypominającej płynne błoto koloru ochry niż cokolwiek innego, niskie podłużne bloki stopniowo zmieniły się w magazyny z falistej blachy. Tu i ówdzie na niebie rysowało się nieruchome ramię dźwigu. Wydawało się, że rzadkie grupki niebiesko ubranych postaci kręcących się po nabrzeżu nie robiły nic szczególnego. Nie było żadnego hałasu. Całe miejsce sprawiało wrażenie na wpół wymarłego. Tylko latawce nad głowami, unoszące się i opadające nieustannym spiralnym ruchem, były jedynym mniej więcej żywym elementem.

Siedząc w ciężarówkach, które zabrały nas na dworzec, mogliśmy przelotnie dojrzeć obrośnięte drzewami ulice, wozy ciągnięte przez woły i chude ciemnoskóre postacie w łopoczącej biało-burej odzieży. W czasie podróży do Delhi, którą odbyliśmy w wagonikach z twardymi drewnianymi ławkami zamiast z tapicerowanymi siedzeniami, byliśmy świadkami koszmarnej biedy, która z lamentem i wyciem otaczała nas, kiedy tylko pociąg stanął. Wychudzone kobiety w brudnych szmatach wciskały przez okna zardzewiałe puszki uporczywie błagając o jałmużnę. Dzieci z kończynami jak patyki i ogromnymi wystającymi brzuszkami głośno domagały się monet i resztek jedzenia. Wymizerowani nadzy mężczyźni wskazywali na swoje zdeformowane lub brakujące kończyny, próbując wzbudzić naszą litość. Wydawało się, że połowa tych żebraków jest ślepa, chroma lub okaleczona. Jeden z nich, całkowicie nagi, chodził od wagonu do wagonu pokazując swoje spuchnięte jądra rozmiarów piłki futbolowej. Większość żołnierzy brytyjskich zszokowana widokiem niewyobrażalnej nędzy, której istnienia nawet nie podejrzewali, rozdawała drobne monety i jedzenie na każdej stacji. Żołnierze hinduscy, którzy jechali tym samym pociągiem kilka wagonów dalej, niewątpliwie bardziej przyzwyczajeni do takich widoków, wychylali się z uśmiechem przez okna i nie dawali nic. Jeszcze gorsza od biedy była widoczna na twarzach tych żebraków apatia – cierpliwa i beznadziejna rezygnacja. Ich opuszczone ramiona i pochylone głowy wyrażały akceptację swego losu bez słowa skargi. Taka była wola Boga, zdawali się mówić – niech się stanie wola Boga.

Nasz obóz ulokowany tuż za Delhi składał się z tuzina budynków z krytymi strzechą dachami i oślepiająco białymi ścianami. Otoczony był piaskiem oraz krzakami i przypiekany żarem słońca lejącym się z nieba o tak głębokim ciemnoniebieskim kolorze, jakiego jeszcze nie widziałem. Między barakami rosły drzewa *neem* (miodla indyjska), których gałęzie gęsto obrośnięte jasnozielonymi liśćmi rzucały cień na budynki chroniąc je przed spiekotą. Szaro-brązowe wiewiórki z trzema białymi paskami na grzbiecie skrzeczały i śmigały po gładkich pniach w górę i w dół, czasami zastygając na chwilę z uniesionym nieruchomo puszystym ogonem i przypatrując się nam

świdrującym wzrokiem. Wrony z perłowo-szarymi krawacikami przysiadały gromadnie na dachach, a wysoko w górze unosiło się jeszcze więcej latawców, które całymi godzinami swobodnie wznosiły się i opadały, zataczając wielkie łuki, kiedy ich szeroko rozpostarte skrzydła zostały pochwycone przez prąd powietrza.

W głównej mierze z powodu gorąca, tak intensywnego o tej porze roku, że krajobraz drżał w powietrzu, życie wojskowe w Indiach wypracowało swój własny rytm. Nie było żadnych obowiązków ogólnych – co w naszym przypadku oznaczało brak musztry i jakichkolwiek innych zajęć czysto militarnych. Wszystkie niewdzięczne prace w obozie wykonywali hinduscy tragarze. Operatorzy radiowi byli na służbie tylko przez pół dnia – w jednym tygodniu rano, w następnym po południu – i resztę czasu mieli dla siebie. W Pokoju Radiowym, gdzie większość z nas siedziała mając na sobie jedynie szorty i płócienne buty, panowała spokojna senna atmosfera. Tylko od czasu do czasu z czyichś słuchawek dochodził stłumiony okrzyk, zakłócając ciszę. Pracy było bardzo niewiele. Większość swojego dyżuru spędzałem gryzmoląc wiersze na skrawkach papieru. Czasami przyglądałem się łażącym po ścianach na wpół przezroczystym pomarańczowym gekonom o wystających oczach. Od czasu do czasu któryś z nich wydawał głośny klekoczący dźwięk. Któregoś razu na moim radiu wylądowała z trzepotem i przysiadła nieruchomo jaskrawozielona modliszka z twarzą jak główka od agrafki. O dziesiątej rano i o czwartej po południu zjawiał się koncesjonowany służący z ciastem. Sporą część naszych pensji wydawaliśmy co tydzień na słodkie ciasteczka polane różnokolorowym lukrem – zawsze zjadaliśmy trzy lub cztery takie ciastka do kubka ciemnej gorzkiej herbaty.

Baraki miały pokoje z wysokimi sufitami, dzięki czemu było w nich stosunkowo chłodno. W jednym pokoju stało siedem lub osiem łóżek ustawionych głowami do ściany. Były to łóżka w stylu indyjskim nazywane *charpoy* – z drewnianą ramą, ale zamiast sprężyn miały plecionkę z grubego włókna. Do nóg łóżka przytwierdzone były dwumetrowe bambusy podpierające moskitierę, pod którą spędzaliśmy większość wolnego czasu w tradycyjnej pozycji brytyjskiego żołnierza w Indiach – czyli leżącej. Drzwi, przez które widać było porośnięty żółtymi krzakami teren i intensywnie niebieskie niebo, wychodziły na werandę zbudowaną na całej długości budynku. Siadywali na niej przykucając na piętach nasi tragarze i służący od prania, oraz dostawcy ciastek, ubrani w zielone, brązowe i niebieskie lungi24, od czasu do czasu rzucając ukradkowe spojrzenia przez otwarte drzwi . Przez pierwszy tydzień całą moją uwagę pochłaniała trylogia Myersa *The Near and the Far*, którą pożyczyłem od współlokatora z pokoju. Ponieważ tłem akcji było wytworne życie dworskie w Agrze i Delhi w czasie panowania Cesarza Akbara, książka była świetnym wprowadzeniem do chwały i wspaniałości Indii za czasów dynastii Wielkich Mogołów.

Pół mili za obozem znajdował się mały bazar. Tutaj w maleńkiej restauracji, która wystawiła znak ‘in bounds’25 w niebieskim kółku, Ernie i ja czasami siedzieliśmy przy stole z marmurkowym blatem, wśród popękanych luster ściennych, pijąc przez podwójną słomkę tonik owocowy Vimto z lodem. Kiedy właściciel przychodził wziąć od nas zamówienie, z zapałem przecierał stół śmierdzącą ścierką. W sklepie sprzedającym czasopisma, materiały piśmienne i pocztówki odkryłem kilka półek z książkami. Jak zwykle w Indiach stoiska z wydawnictwami pornograficznymi i religijnymi stały tuż obok siebie. Angielskie tłumaczenie *Bhagawad Gity*, które kupiłem za kilka annów, sąsiadowało z *The Adventures of Erotic Edna* oraz z ilustrowanym wydaniem *Hindu Art of Love*. Później, zwłaszcza na południu Indii, często widziałem w czasopismach artykuły o urzeczywistnieniu Boga wydrukowane na tej samej stronie co jawnie sformułowane reklamy afrodyzjaków. Najwyraźniej Indie wierzyły w konieczność bezstronnego zaspokajania potrzeb wszelkiego rodzaju gustów.

Kiedy miałem poranny dyżur, popołudnia i wieczory zazwyczaj spędzałem w mieście. Drogą

24

Tradycyjny strój dla mężczyzn, przypominający długą spódnicę. [przyp. tłum.]

25 Informacja dla żołnierzy, że wolno im przebywać w tym miejscu. [przyp. tłum.]

prowadzącą z Delhi do Agry szedłem czasami nawet kilka mil, zanim złapałem okazję na powrót przejeżdżającą ciężarówką wojskową. Płaski, skalisty krajobraz, nagi za wyjątkiem miękkiej zieleni karłowatych drzew cierniowych miał w sobie delikatne ascetyczne piękno, które wzruszało mnie głębiej niż wszystko, co widziałem w Anglii. Bujne łąki i liściaste drzewa wydawały mi się wręcz wulgarne w porównaniu z tutejszym powściągliwym, arystokratycznym krajobrazem, który w pewien sposób sugerował wieki kultury i wytworności. Zwykle w zasięgu wzroku nie było ani domostwa, ani człowieka. Raz czy dwa widziałem postać pasterza jak ze Starego Testamentu, stojącą bez ruchu na skale, a wokół niej małe białe kozy z czarnymi i brązowymi łatkami i płaskimi pyszczkami, pasące się wzdłuż rowów i skubiące kępy szorstkiej trawy. Kontrast między zbudowanymi z czerwonego piaskowca murami Lal Khila, czyli Red Fortu, który był tak olbrzymi, że mógłby pomieścić miasto, a szeregiem białych budynków pałacowych z marmuru, zwróconych w stronę rzeki Jumny i stojących na tyłach murów obronnych, uderzył mnie swoją niesamowitą efektownością. Czyż to połączenie siły i wdzięku, ogromu i delikatności, nie stanowi jednego z największych uroków architektury Mogołów? Choć nie chciałbym wnosić osobistych preferencji do obiektywnego osądu estetycznego, to surowe piękno ich meczetów i grobowców, pałaców i fortów często przynosiło mi więcej zadowolenia niż rozrzutne bogactwo i niepohamowana bujność ich indyjskich odpowiedników. A prawdę rzekłszy, często dawały mi nawet większą i głębszą satysfakcję niż ich buddyjskie odpowiedniki w Indiach. Kiedy stałem w pełnej kolumn Diwan-i-Khas, czyli w sali audiencji prywatnych, gdzie u stóp cesarzy płynął dawniej strumień po srebrnym wysadzanym klejnotami dnie (ciągnący się przez całą długość budynku i wypływający na zewnątrz pod ażurowymi parawanami z marmuru do prywatnych apartamentów), czułem, jak prawdziwy jest perski dwuwiersz napisany nienagannym kaligraficznym pismem nad jednym z okien, z których widać było szczyty drzew, a w dole powolną, smutną rzekę. Napis głosił – „*Jeśli istnieje raj na tej ziemi, on jest tutaj, on jest tutaj*, *on jest tutaj*."

W meczecie Sher Shah, który również odwiedziłem, czerwony piaskowiec i biały marmur złączyły się tworząc budynek z całym majestatem fortu i pięknem pałacu. Kontrast między surową kwadratową fasadą i strzelistymi wygięciami wyniosłych łuków gotyckich, którymi poprzebijana była ta fasada, zachwycił mnie aż do stanu cudownie bolesnej rozkoszy.

Niedaleko znajdowały się porośnięte trawą ruiny Purana Khila, czyli Starego Fortu – ze szczytu ich starożytnych, zwietrzałych murów obronnych patrzyłem w dół na morze ciemnych, splątanych w jednolitą masę wierzchołków drzew. Zachodziło słońce i ciemne, miękkie zielenie oraz spalone czerwienie krajobrazu delikatnie płonęły zalane bladym złocistym światłem. Nagle nad drzewami przeleciało stadko papużek aleksandretek – małe plamki jasnej zieleni na tle ciemnej gęstwiny roślinności.

Czasami, kiedy z nieznanego mi powodu czułem się podenerwowany, spędzałem popołudnie włócząc się między arkadami Connaught Circus, gdzie uliczni sprzedawcy, siedząc w kucki na chodnikach, oferowali tanie i krzykliwe bibeloty po niebotycznych cenach. W oknach wystawowych sklepów z kością słoniową, obok przepięknie rzeźbionych pudełek i posążków leżały perskie dywany. Kiedyś przechodząc na drugą stronę drogi do następnego kwartału ulic, dostrzegłem w oddali trzy cebulaste kopuły Jamma Masjid, czyli Piątkowego Meczetu. W niedługim czasie znalazłem księgarnię. Jedną z pierwszych kupionych książek były wiersze Rimbaud'a, które zachwyciły mnie nawet bardziej niż poezje Baudelaire'a przeczytane krótko przed wyjazdem z Anglii. Może dlatego, że była w nich tropikalna bujność kolorów idealnie korespondująca z moim aktualnym otoczeniem. Z pewnością zdanie – „Widziałem świt wznoszący się jak stado gołębi," – było prawdziwsze w Indiach niż w Anglii. Wiersze zebrane Sarojini Naidu – nazywanej Słowikiem Indii – chociaż przeładowane retoryką, zainteresowały mnie tak bardzo, że napisałem na ich temat artykuł pod tytułem „Flet Kriszny", opublikowany w *Przeglądzie Poetyckim*. Bez wątpienia, pociągały mnie nie tyle ich walory poetyckie, co żywe obrazy Indii. Mimo całej swej nędzy i brudu ten wielki subkontynent zaczął rzucać na mnie – podobnie jak na wielu innych Anglików – swój subtelny urok niezrównanej fascynacji.

Późnym wieczorem, obolały po całym dniu podróżowania i trochę sfrustrowany, jadłem lody w mlecznym barze lub sterczałem na rogu czekając na kierowcę półotwartej ciężarówki typu

‘liberty wagon’, który zabierał nas z powrotem do obozu. Kiedy pędziliśmy w ciemności opustoszałą szosą, wiatr owiewał nam twarze świeżym podmuchem i niebo nad nami było gęste od iskrzących się gwiazd, zdawało się, że po spiekocie i oślepiającej jaskrawości dnia, życie nie mogło ofiarować większej radości. Wysiadałem u wylotu ulicy i wracałem do baraków, mijając starą salę gimnastyczną po lewej i odległe światła obozu KOYLI26 po prawej. W powietrzu słychać było warkot, piski i śpiewy milionów pochowanych w trawie cykad, a gdzieś z daleka dochodziło szczekanie i wycie szakali.

Wśród książek, które kupiłem w Connaught Circus, znajdowało się angielskie tłumaczenie *Aparokshanubhuti*, traktatu przypisywanego wielkiemu nie-dualistycznemu filozofowi hinduskiemu Adiemu Śankarze. Była w nim opisana metoda medytacji polegająca na sukcesywnym odłączaniu się od swojego ciała, umysłu i empirycznego ego. W nocy, kiedy moi koledzy z pokoju już spali, siedziałem ze skrzyżowanymi nogami pod moskitierą i praktykowałem zgodnie z instrukcjami podanymi w książce – „Nie jestem ciałem, nie jestem umysłem, – powtarzałem sobie – Jestem rzeczywistością nie-dualistyczną, brahmanem. Jestem absolutną egzystencją-wiedzą-szczęśliwością.” W miarę praktykowania, zanikała świadomość ciała i całe moje istnienie było przesycone ogromną spokojną radością. Którejś nocy pojawiła się przede mną, jakby zawieszona w powietrzu, głowa starego człowieka. Jego czaszkę i brodę pokrywała siwa szczecina, a pożółkła twarz była pełna głębokich linii i zmarszczek – jakby śladów po grzechach i występkach całego życia. „Marnujesz tylko czas, – wykrzyknął szyderczo – we wszechświecie nie ma nic oprócz materii. Nic oprócz materii.”

„Istnieje coś wyższego od materii, – odparłem szybko – Wiem o tym, ponieważ właśnie tego teraz doświadczam.” Po tych słowach zjawa zniknęła. Wiele lat później, podczas mojej drugiej wizyty w Nepalu, ujrzałem tego samego Marę. To musiał być on – poznałem go od razu i jestem pewien, że on też mnie rozpoznał.

Według książkowego przewodnika, Świątynia Lakszmi-Narajan była najważniejszą hinduską świątynią w New Delhi. Ale woźnica małego ciągniętego przez konia powoziku, zwanego ‘ekka’, którego wynająłem, żeby mnie tam zawiózł, zdawał się nie wiedzieć, gdzie ona jest. Być może znał ją pod popularną nazwą Birla Mandir, po multimilionerze, który ofiarował fundusze na jej budowę. A może chciał mnie zawieźć okrężną trasą, żeby policzyć mi za przejażdżkę trwającą całe popołudnie – była to sztuczka powszechnie stosowana przez woźniców ekki. Wszystko jedno, z którego powodu, po dwóch godzinach trzęsienia w małym dwukołowym wózku znalazłem się nie w świątyni w New Delhi, ale w dharmasali, pensjonacie dla pielgrzymów w Starym Delhi, około sześciu mil dalej. Tutaj wreszcie wyratował mnie przyjacielski młody Hindus wykształcony w Anglii, pierwszy, z jakim rozmawiałem, który nie tylko towarzyszył mi w drodze powrotnej do Delhi, ale też zadał sobie trud oprowadzenia mnie po terenie świątyni.

Świątynia Lakszmi-Narajan, imponujący budynek w neo-indyjskim stylu architektury, stała na ogromnym terenie, gdzie ścieżki z różowego cementu wiły się między małymi sztucznymi stawami. Wewnątrz znajdowała się olbrzymia ilość marmuru w najróżniejszych kolorach i oszałamiająca liczba bogów i bogiń – jeden z nich był pomalowany na jaskrawy niebieski kolor, a inny miał głowę słonia. Co dziwniejsze, była tam kaplica poświęcona Guru Nanak, założycielowi sikhizmu, o którym zawsze myślałem, że nie był hinduistą tylko sikhem. Za świątynią rozciągał się ogród, w którym hałaśliwe tłumy przechadzały się między różowymi słoniami z cementu i zaglądały do sztucznych grot, których wejścia pomalowano tak, aby przypominały otwarte szczęki mitologicznych bestii. Jaskrawe kolory cementu – różowe, zielone i żółte – przypominały mi małe lukrowane ciasteczka, które kupowaliśmy od służącego od ciast.

Idąc z powrotem, razem z moim hinduskim przyjacielem przeszliśmy między kolejnymi dwoma różowymi słoniami i znaleźliśmy się w bocznym ogrodzie. Frontem do drogi, za żelazną bramą stała świątynia o skromnych rozmiarach i w szczególnym stylu architektonicznym. Zdjąłem buty, wszedłem po kilku białych marmurowych stopniach i po raz pierwszy w życiu znalazłem się w świątyni buddyjskiej. W przeciwległym końcu od wejścia znajdował się naturalnej wielkości

26 KOYLI – King’s Own Yorkshire Light Infantry – Regiment Lekkiej Piechoty Królewskiej z Yorkshire. [przyp. tłum.]

wizerunek Buddy. Przed nim, na białym marmurowym ołtarzu paliły się świeczki ustawione pośród złożonych w darze kwiatów. W powietrzu unosił się zapach kadzideł i panował intensywny bezruch. Po zakupieniu egzemplarza *Dhammapady* i innej literatury na stoisku w przedsionku, zwiedziłem resztę tego odgrodzonego terenu. Obok świątyni stał mały parterowy pawilon, przed którym na trawniku rozłożono do wyschnięcia dwie lub trzy jasnożółte szaty. Moja romantyczna wyobraźnia ujrzała w nich złote płatki gigantycznego niebiańskiego kwiatu, które spadły z nieba na ziemię. W nadziei, że spotkam buddyjskiego mnicha spróbowałem wejść do domku, ale był zamknięty od środka. Okna zasłonięto okiennicami. Wydawało się, że w tym miejscu nie ma śladu życia.

Rozdział 11

Ze swaminami na Cejlonie

Chociaż kwatera główna oddziału łączności znajdowała się w Delhi, miała też filie w Kalkucie, Madrasie i nawet dalej. Krótko po mojej wycieczce do Birla Mandir dowiedziałem się, że planowano wysłać dwóch lub trzech operatorów do jednostki na Cejlonie27. Przypuszczalnie widok wizerunku Buddy w świątyni oraz żółtych szat schnących na słońcu wywołał we mnie nostalgię za buddyzmem, ponieważ natychmiast zgłosiłem się na ochotnika. Trzy dni później wraz z sierżantem technicznym i drugim operatorem byłem w drodze na Cejlon.

Kollupitija, gdzie ulokowano cejlońską jednostkę, była przedmieściem Kolombo. Od głównej biegnącej wzdłuż wybrzeża drogi, która łączyła miasto z miejscowością Mount Lavinia i z południowym krańcem wyspy, odchodziła dróżka z palmami kokosowymi po obu stronach, prowadząca do niewielkiego ogrodzonego terenu. Po prawej stał dom w stylu zachodnim, w którym pracowaliśmy i jedliśmy. Po lewej pawilon z liści palmowych, w którym mieszkaliśmy. Za ogrodzeniem biegła linia kolejowa, którą pędziły pociągi zatłoczone ubranymi na biało pasażerami uczepionymi drzwi i okien, a nawet siedzącymi na dachach. Po drugiej stronie torów był wąski pas kamienistej plaży, a za nią rozciągało się morze, z nad którego dzień i noc wiał silny wiatr.

Kolombo było mniejsze i bardziej w stylu zachodnim niż New Delhi. Po zaledwie kilku dniach orientowałem się w głównych ulicach miasta, regularnie odwiedzałem przestronną stołówkę wojskową i zbadałem dzielnicę syngaleską. Nigdy nie znużyło mnie oglądanie wystaw jubilerskich, na których szlachetne i półszlachetne kamienie występujące na Cejlonie w wielkiej obfitości mieniły się wszystkimi kolorami tęczy. Wydawało się, że połowa wszystkich sklepów w mieście należy do jubilerów, ale była przynajmniej jedna dobra księgarnia. Znalazłem tam i szybko kupiłem napisane przez Romain Rollanda biografie bengalskiego świętego Szri Ramakriszny i jego słynnego ucznia Swami Wiwekanandy. Lata później, kiedy mój entuzjazm do literatury Ramakriszny i Wiwekanandy osłabł, zastanawiałem się, dlaczego na początku tak bardzo mnie pociągali. Może dlatego, że demonstrowali swoim przykładem, iż życie duchowe nie jest czymś, co praktykowano w odległej przeszłości, ale może ono być (i w rzeczywistości jest) czymś żywym również w czasach współczesnych. A może dlatego, że pośrednio zachęcili mnie, abym nie tylko studiował, ale też praktykował nauki, którym już się poświęciłem, czyli nauki Buddy.

Jakkolwiek by nie było, ledwo zacząłem czytać obie biografie, kiedy pewnego dnia, szukając świątyń buddyjskich na upstrzonej muchami mapie Kolombo, wiszącej na ścianie w jednostce, zauważyłem obok jednej z czarnych kropek słowa ‘Stowarzyszenie Wiwekanandy’. Podekscytowany odkryciem nie spocząłem, dopóki – z wielkim trudem – nie zlokalizowałem jego miejsca. Był to niewielki budynek z biblioteką i czytelnią, gdzie nikt nie potrafił mi nic powiedzieć o Ramakrisznie i Wiwekanandzie. Jednak pewien korpulentny starszy człowiek o wyjątkowo czarnej karnacji dał mi adres klasztoru w Welawatta, gdzie znajdowała się filia Misji Ramakriszny, oraz podał nazwisko swamiego, czyli hinduskiego mnicha, który był tam przełożonym.

Wellawatta – dzielnica na przedmieściach, gdzie znajdował się aszram, czyli klasztor – leżała tylko dwie mile na południe od Kollupitiyi. Wzdłuż prawie całej wiodącej do niego ulicy rosły wielkie drzewa o nazwie ‘leśny płomień’28 – ich pomarańczowo-czerwone kwiaty zaścielały chodniki. Mijając po drodze duże podmiejskie wille, chińskie restauracje i syngaleskie sklepy z grogiem, a potem przechodząc przez most i dalej obok rzędów zbudowanych z liści palmowych sklepików oraz rozpadających się cementowych domków tak małych, że wydawały się jak

---

27

Obecnie Sri Lanka [przyp. tłum.]

28 Tłumaczenie nazwy angielskiej. W języku polskim używa się nazwy łacińskiej – butea (monosperma). [przyp. tłum.]

przeznaczone dla lalek, czułem się mocno podekscytowany. Jaki będzie ten swami? Czy mówi po angielsku? Czy zgodzi się ze mną spotkać? Uczyć mnie? Jedna z książek o filozofii indyjskiej, którą przeczytałem wcześniej, twierdziła, że nigdy nie należy przychodzić do świętego męża bez podarunku. Ale w sklepikach były tylko zielone banany (zwane na Wschodzie plantainami), które w swej ignorancji uważałem za niedojrzałe. Więc w końcu musiałem skręcić w boczną alejkę, przy której usytuowany był klasztor, z pustymi rękami.

Niepotrzebnie się martwiłem. Po kilku minutach oczekiwania na wewnętrznej werandzie, drzwi otworzyły się i wyłonił się zza nich wysoki, dość tęgi mężczyzna w szatach koloru łososiowego różu. Mówił znakomitym angielskim, choć z silnym akcentem. Zapytał, co mógłby dla mnie zrobić. Przyjazny wyraz jego pulchnej twarzy dodał mi pewności siebie, więc opowiedziałem mu o wydarzeniach, które doprowadziły mnie do Stowarzyszenia Wiwekanandy i w rezultacie do jego aszramu. Wyjaśniłem też, że wszystkie książki, które ostatnio przeczytałem, podkreślały fakt, że duchowy postęp nie jest możliwy bez nauczyciela. W związku z tym, czy mógłby mi pomóc? Nie pamiętam, co mi odpowiedział, ale zaprosił mnie do odwiedzania klasztoru, kiedy tylko będę miał ochotę. Zanim stamtąd wyszedłem, służący przyniósł tacę z pokrojonymi w maleńkie kostki owocami i z indyjskimi słodkimi przysmakami. Nie było mowy o tym, że nic nie przyniosłem w prezencie.

Od tego dnia prawie wszystkie wieczory spędzałem w aszramie – odkryłem, że tak nazywano klasztor. Było to możliwe częściowo z powodu bliskiego położenia mojej jednostki, a częściowo dzięki systemowi zmianowemu, w jakim pracowało około dwóch tuzinów operatorów łączności, tworzących jednostkę w Kolombo. Początkowo pracowaliśmy cztery godziny, po których mieliśmy osiem godzin wolnego – i tak na zmianę przez całą dobę i przez cały tydzień bez oddzielnych dni wolnych. Dzięki temu na cztery dni miałem trzy popołudnia i wieczory wolne. Później system zmieniono. Były cztery godziny pracy i cztery godziny wolnego na zmianę przez całą dobę, a potem doba wolnego. Czasami obsługiwałem połączenie z Delhi, ale poza tym moje obowiązki były takie same jak dotychczas. Ze słuchawkami na uszach i lewą dłonią na pokrętle silnego odbiornika fal radiowych, przeczesywałem eter w poszukiwaniu najsłabszych sygnałów, nasłuchując bardzo uważnie i zapisując wszystko, co brzmiało podejrzanie. Czasami pisałem poezje, kreśląc zwrotki wierszy, kiedy powinienem był przechwytywać sygnały. Jock, wysokiego wzrostu sierżant techniczny ze Szkocji, który był kierownikiem biura, nie interesował się w życiu niczym innym oprócz swojej pracy i dbał o wszystkich operatorów jak ojciec. Dowódcę w stopniu kapitana widywaliśmy tylko w dniu wypłaty, kiedy siedział przy stole z gołą głową, żebyśmy nie musieli mu salutować. W gruncie rzeczy, panująca tam atmosfera była daleka od wojskowej, ponieważ nie było ani musztr ani inspekcji. Kretynizmy regularnego wojska w tak niewielkim stopniu zakłócały moje studia i pracę literacką w tym okresie, że oprócz świętowania dnia zwycięstwa, które było bardzo spokojne, niewiele pamiętam z życia jednostki. W świetle koloru miedzianego, które co wieczór przesycało atmosferę, nadając roślinom głęboki zielony kolor, wydawało się, że znikają wszystkie ziemskie zajęcia.

Aszram Wellawatta usadowiony między palmami kokosowymi tylko o rzut kamieniem od plaży składał się z trzech części – holu, sanktuarium i kwater mieszkalnych, otaczających mały kwadratowy ogród. Weranda części mieszkalnej, stanowiącej dwa boki kwadratu, zwrócona była frontem do grządek z pięknie pachnącymi krzewami. Siadywałem tu w wieczornym chłodzie i dyskutowałem o indyjskiej filozofii, religii i kulturze z dwoma swaminami mieszkającymi w aszramie na stałe. Swami Siddhatmananda, przeor aszramu, który przyjął mnie podczas mojej pierwszej wizyty, był Bengalczykiem. Wstąpił do Misji Ramakriszny jako młody chłopak, przeszedł przez wszystkie zwyczajowe etapy, począwszy od okresu próbnego i nowicjatu, a potem, zgodnie ze zwyczajem panującym w Misji, po święceniach został wysłany do ośrodków w Indiach i w innych krajach. Oprócz kierowania aszramem nadzorował szkoły, które Misja prowadziła w różnych częściach Cejlonu. Swami Wipulananda był Tamilem, to znaczy pochodził z regionu na południu Indii, gdzie posługiwano się językiem tamilskim. Średniego wzrostu, miał tak ciemną skórę, że białka jego oczu aż świeciły z daleka. Mówił po angielsku z uroczym południowoindyjskim grasejowaniem. Był dość znanym naukowcem, specjalizującym się w historii

muzyki tamilskiej – i bardzo późno w życiu zdecydował się zostać swaminem. Mimo ewidentnie słabego zdrowia nadal pracował jako dyrektor Wydziału Tamilskiego na Uniwersytecie Cejlońskim. Mój kontakt z tymi dwoma swaminami, którzy pod wieloma względami się uzupełniali, miał dla mnie nieocenioną wartość i mam wobec nich wielki dług wdzięczności. Dzięki nim wchłonąłem w siebie nie tylko trochę ducha kultury Indii, ale też – co było o wiele ważniejsze – nabrałem entuzjazmu do życia duchowego.

Po kilku tygodniach stałem się niemalże mieszkańcem aszramu, z tą tylko różnicą, że w nim nie spałem. Swami Siddhatmananda – wiedząc, że zrozumienie kultury indyjskiej zależy częściowo od znajomości codziennego życia – nie tylko objaśniał mi Wedantę, ale też zapraszał na obiad. Zachęcany uprzejmymi słowami jego i Swamiego Wipulanandy, nauczyłem się siedzieć ze skrzyżowanymi nogami na małej drewnianej desce i jeść palcami ryż i curry podane na dużej, okrągłej, mosiężnej tacy postawionej bezpośrednio na kamiennej podłodze. Kucharz, który obserwował moje wysiłki z rozbawieniem, stwierdził, że jadłem jak wrona. Chodziło mu o to, że moje palce, zamiast nabierać porcje miękko i elastycznie, chwytały pożywienie ostrymi i nerwowymi ruchami zupełnie jak wrona dziobem. Później, mimo wielu lat praktyki, nadal słyszałem podobne uwagi w wielu rejonach Indii. Rzeczywiście często mówiłem swaminom, że jedzenie palcami jest dla mnie trudniejsze od zrozumienia metafizyki Śankary, wielkiego propagatora nie-dualistycznej Wedanty.

Jeden z nich jadał mięso, a drugi był wegetarianinem, i ponieważ jeden pochodził z północnego wschodu, gdzie lubi się słodkie jedzenie, a drugi z południa, gdzie preferowane jest pożywienie kwaśne, miałem okazję spróbować dań wszelkiego rodzaju. Co więcej, oprócz kuchni indyjskiej poznałem też syngaleską. Podobnie jak każdy kraj w Europie, każda prowincja w Indiach ma swoje odrębne zwyczaje żywieniowe. Bengalczycy mają słabość do słodkich przysmaków. Tamilowie garściami używają papryczki chilli. W Gudżaracie sypie się cukier do curry, a ostre przyprawy do herbaty. W Pendżabie uwielbiają zsiadłe mleko. W stanie Kerala na wybrzeżu Malabarskim kochają owoce tamaryndowca. Podczas gdy na północnym zachodzie podstawowym pożywieniem jest pszenica, to reszta kraju odżywia się ryżem. Docenienie różnorodności kulinarnej, jaką znajdujemy w Indiach, jest być może dobrą podstawą do zrozumienia bogactwa kulturowego i religijnego tego kraju.

Kolejnym dobrym punktem wyjścia do zrozumienia jest muzyka. W Delhi zdarzało mi się słuchać muzyki indyjskiej, zarówno popularnej, jak i klasycznej, ponieważ byłem przekonany, że to, co stworzył człowiek należący do jednej kultury, może być docenione przez osobę z innego kręgu kulturowego dzięki wspólnemu im humanizmowi. Początkowo zupełnie tych dźwięków nie rozumiałem, ale stopniowo udawało mi się rozpoznać coś w rodzaju melodii. W aszramie muzyka zajmowała ponad połowę programu wszystkich spotkań i uroczystości, na które tłumnie przychodzili głównie uwielbiający muzykę Tamilowie. Po przemówieniach, zawsze nadzwyczajnie długich, na podwyższenie wchodzili muzycy. Siadali na dywanie ze skrzyżowanymi nogami, opierając swoje dziwne instrumenty o udo, kładąc je na kolanach lub trzymając prosto przed sobą. Grali bardzo długo, całymi godzinami, a widownia najwyraźniej nigdy nie znużona śledziła instrumenty błyszczącymi oczami, od czasu do czasu dając upust swemu podziwowi okrzykami zachwytu nad fragmentem odegranym ze szczególną wirtuozerią. We mnie największe zainteresowanie wzbudzali skrzypkowie – starsi chudzi mężczyźni, którzy grali z zamkniętymi oczami i wyrazem błogiego szczęścia na twarzach, trzymając instrumenty wysoko w powietrzu, kręcąc i kołysząc ciałami w rytm muzyki. Pewnego razu była też kobieta grająca na szklanej harmonice, starożytnym instrumencie tamilskim, zręcznie uderzając weń dłońmi i wydobywając jasne, podobne do dzwonków dźwięki o zdumiewającej czystości.

Tak jak to robiłem w Delhi, najpierw usiłowałem dostrzec w dźwiękach melodię, lecz Swami Wipulananda, który był nie tylko muzykologiem, ale też koneserem, poradził mi wsłuchiwać się w małe okrągłe bębenki zwane tabla i podążać za ich rytmem. Chociaż nigdy nie zdołałem w pełni docenić wszystkich subtelności indyjskich rytmów – najbardziej rozwiniętych na świecie – to wkrótce przekonałem się, że ta metoda pozwoliła mi znacznie lepiej zrozumieć indyjską muzykę niż wcześniej.

Takie spotkania były również okazją, aby przedstawić mnie uczniom i przyjaciołom aszramu, z których kilku poznałem trochę wcześniej. Moim najlepszym przyjacielem został Czellia – chudy młody Tamil z sarnimi oczami, lekko już łysiejący. Swaminowie ganili go za restrykcyjną dietę wegetariańską, przez którą cierpiał na silną anemię. Kiedy jego pierwsze dziecko, chłopczyk, zmarło tuż po narodzeniu, Swami Wipulananda powiedział mu stanowczo – „Twoja tak zwana religia zabiła ci syna." Wysłuchał tego z lekkim przepraszającym uśmiechem i nic nie odrzekł.

Któregoś dnia zabrał mnie ze sobą do małej przydrożnej świątyni poświęconej bóstwu z głową słonia, zwanemu Ganeśa. Byłem zaszokowany kurzem, pajęczynami, starymi butelkami po piwie walającymi się przy ołtarzu i niedbałością, z jaką kapłan, brudny bramin, odprawiał rytuał. Kiedy powiedziałem o tym swaminom, obaj przyznali, że stan większości małych świątyń w Indiach jest równie fatalny. Jednak Czellia, który zupełnie nie zwracał uwagi na brud i nędzę, modlił się z wyraźnym oddaniem. Było to bardzo charakterystyczne dla jego rasy i religii. Niewielu Hindusów zgodziłoby się z twierdzeniem, że nieporządek w świątyni i niechlujstwo lub nawet niemoralne zachowanie kapłana będą przeszkodą dla tych, którzy szczerze pragną czcić Boga. W kaplicy aszramu, gdzie na honorowym miejscu stały portrety Ramakriszny, Wiwekanandy i Sardy Dewi, Świętej Matki, marmurowe płyty świeciły jak szkło, a mosiężne naczynia na ołtarzu błyszczały jak złote.

Chociaż do aszramu, który w rzeczywistości był kulturalnym i religijnym ośrodkiem dla bardziej wykształconej i zamożnej części społeczności indyjskiej, przychodziło wielu Tamilów, to nigdy nie spotkałem tam ani jednego Syngaleza. Któregoś dnia zapytałem Swami Siddhatmanandę dlaczego na wykładach nigdy nie pojawiają się bhikkhu, czyli mnisi buddyjscy. Odparł, że czasami przychodzą, ale zawsze stoją z tyłu sali, ponieważ na Cejlonie panuje zwyczaj, że mnisi nie siedzą razem z osobami świeckimi. Poza tym, nie wolno im cieszyć się muzyką, dlatego zawsze wychodzą, kiedy zaczyna się część muzyczna. W takich warunkach współpraca jest mocno utrudniona.

Zaprzyjaźnili się jednak z jednym syngaleskim mnichem. Był to Walpola Rahula – mnich, który wsławił się działalnością polityczną, będący wówczas u szczytu swojej sławy. Wiele słyszałem o jego działalności jeszcze zanim spotkałem go w aszramie, ponieważ buddyjska Sangha na Cejlonie rozpadła się przez niego na dwa odłamy, z których jeden entuzjastycznie go wspierał, a drugi gwałtownie mu się sprzeciwiał. *Dhammapada*, którą kupiłem sobie w Delhi, definiowała mnicha jako osobę, która kontroluje ruchy swoich rąk i nóg. Kiedy obserwowałem Walpola Rahulę rozmawiającego ze swaminami, którzy siedzieli spokojni i opanowani, trudno było nie zauważyć nieustannego niepokoju w całym jego ciele, a zwłaszcza ciągłego podrygiwania nogami, jak gdyby chciał przez to uwolnić silne nerwowe napięcie. Niewątpliwie był mężczyzną o nieprzeciętnej inteligencji, ale nie zdradzał najmniejszych oznak duchowości.

Czasami towarzyszyłem swaminom, kiedy odwiedzali swoich przyjaciół. Z jednym z nich, wybitnym adwokatem, dyskutowałem o tamilskiej poezji mistycznej. Swami Wipulananda zabrał mnie na Uniwersytet, gdzie poznałem kilku jego kolegów – niektórzy z nich przychodzili do aszramu wygłaszać wykłady. Któregoś dnia uczestniczyliśmy w spotkaniu o charakterze na wpół politycznym, na którym niski, podekscytowany Hindus z południa, o imieniu Ponnabalam, będący częstym gościem swaminów, przez ponad dwie godziny perorował w języku tamilskim. Był to język, który według opowiedzianej mi przez Swamiego Wipulanandę historyjki, brzmiał jak grzechot kamyków w mosiężnym garnku. Ponnabalam wsławił się później w świecie polityki na Cejlonie jako lider społeczności Tamilów.

Bardziej interesujące było zgromadzenie absolwentów słynnego buddyjskiego koledżu monastycznego, Widjalankara Priwena, położonego w odległości pięciu lub sześciu mil od Kolombo, gdzie miałem okazję usłyszeć, jak indyjski filozof i mąż stanu dr Radhakrisznan[29] wygłasza przemówienie otwierające. Kiedy podjechaliśmy pod bramę, zauważyłem, że duży ruch samochodowy – około setki aut – jest bardzo skutecznie kontrolowany kiwnięciami głowy i uśmiechami człowieka w żółtych szatach mnicha.

---

29 Późniejszy prezydent Indii w latach 1962 – 1967.

„Dlaczego nie poprosili o to policjanta?" – zapytałem.

„Och, jeden mnich robi to skuteczniej od tuzina policjantów, – usłyszałem w odpowiedzi – nikt nie ośmieliłby się sprzeciwić mnichowi."

Za bramą stała mała świątynia. Ku mojemu zdumieniu, w środku nie było wizerunku Buddy, jak oczekiwałem, tylko posążki różnych bóstw hinduistycznych. „One są dla świeckich – wyjaśnił z uśmiechem wyższości mnich, który nas przywitał – **my** ich nigdy nie czcimy." Kiedy przeciskaliśmy się do naszych krzeseł, jakiś tęgi, ciemny mnich siedzący na końcu rzędu przed nami odwrócił się i popatrzył na mnie z ciekawością. Był to Dżagdisz Kaszjap, który cztery lata później został moim nauczycielem języka palijskiego i filozofii buddyjskiej.

Dzień czy dwa później w aszramie ponownie ujrzałem dr Radhakrisznana. Szczupły, wyprostowany, w długim czarnym stroju i białym turbanie miał rysy twarzy cesarza Mogołów. Kiedy Swami Siddhatmananda powiedział mu, że bardzo interesuję się filozofią indyjską, obdarzył mnie przenikliwym i zdumionym spojrzeniem. Ale nie odważyłem się podejść i porozmawiać, ponieważ od kilku dni miałem fatalne zapalenie spojówek, powieki prawie sklejone i oczy tak mnie strasznie bolały, że z trudem widziałem świat.

Najbardziej interesującą osobą, jaką poznałem dzięki uprzejmości swaminów, był Jogaswami z Jaffny w północnej części Cejlonu. Swami Wipulananda zawsze wyrażał się o nim z najgłębszym szacunkiem i zdążył wzbudzić moje ogromne zainteresowanie dobrze poświadczonymi opowieściami o nadzwyczajnych mocach tego świętego człowieka. Dlatego wiadomość o jego niespodziewanym przybyciu do Kolombo przyjąłem z wielkim podnieceniem.

Pewnego wieczoru swaminowie zabrali mnie do niego z wizytą. Swami Wipulananda złożył pełen pokłon, z wielką pokorą kładąc się całym ciałem na podłodze przed Jogaswamim. Choć byłem przyzwyczajony do widoku ludzi kłaniających się w ten sposób obu swaminom, to jednak zdumiałem się, ponieważ nigdy do tej pory nie widziałem, żeby któryś z nich okazywał w ten sposób szacunek komukolwiek.

Jogaswami siedział wygodnie rozparty w fotelu. Idealna biel jego długich włosów i brody ostro kontrastowała z bardzo ciemnym, niskim i potężnie zbudowanym ciałem. Jednak najbardziej zauważalne były jego oczy – niezwykle ogromne i niezwykle bystre. Wyglądał na około osiemdziesiąt lat. Swami Wipulananda, który sam miał już powyżej sześćdziesiątki, powiedział mi później, że Jogaswami nic się nie zmienił od pół wieku, i że to samo słyszał od starych ludzi, kiedy był małym chłopcem. Choć nikt nie wiedział dokładnie, ile ma lat, powszechnie wierzono, że co najmniej sto sześćdziesiąt. Latem czy zimą nosił tylko krótką przepaskę owiniętą wokół bioder i był całkowicie obojętny na gorąco, zimno i deszcz.

Po krótkiej rozmowie ze Swamim Wipulanandą w języku tamilskim, Jogaswami zwrócił swe ogromne lśniące oczy w moją stronę i zaczął mówić łamanym angielskim. W trakcie naszej rozmowy miałem niesamowite uczycie, że zna każdą moją myśl, wzmocnione zwłaszcza wtedy, kiedy czasami odpowiadał na pytanie, którego nie wypowiedziałem na głos. Z całej rozmowy pamiętam tylko, jak powiedział, że urodził się w rodzinie chrześcijańskiej, otrzymując imię John, ale potem nawrócił się na hinduizm. Od czasu do czasu wodził ręką w górę i w dół po moim ramieniu, ściskając je jednocześnie i mamrocząc pod nosem na wpół do siebie samego – „Bardzo dobry chłopak, bardzo porządny chłopak" oraz „Bardzo dobre krzesło, mogę na nim siedzieć. Bardzo dobry chłopak, Bardzo dobre krzesło." Kiedy służący przyniósł pokrojone owoce, z powagą rozdzielił je między nas, mówiąc przy tym – „To jest moje ciało; weźcie, jedzcie."

Zainteresowanie, jakie czułem teraz do życia duchowego, było stymulowane nie tylko tym, co Hindusi nazywają *satsangh*, czyli osobistym spotkaniem z ludźmi świętymi, ale też intensywnym czytaniem. W ciągu siedmiu miesięcy, które spędziłem na Cejlonie, kupiłem lub wypożyczyłem z aszramu prawie wszystkie publikacje Misji Ramakriszny. Kiedyś, po przeczytaniu tomu ze szkicami biograficznymi około tuzina uczniów Szri Ramakriszny, reprezentujących prawie tyle samo różnych typów duchowości, zostałem zapytany przez Swamiego Siddhatmanandę, życie którego z tych uczniów najbardziej chciałbym naśladować.

„Swamiego Saradanandy." – odpowiedziałem bez wahania.

„Dlaczego?"

„Ponieważ łączył intensywną aktywność zewnętrzną z idealnym spokojem wewnętrznym."

Później zdałem sobie sprawę, że archetypem tego rodzaju ideału był mądry i współczujący bodhisatwa, o którym starożytny tekst buddyjski mówi:

Jego umysł niczym ogień nieustannie płonie dobrymi czynami dla innych;
a jednocześnie zawsze pozostaje złączony ze spokojem transów i bezforemnych osiągnięć.

Swami Siddhatmananda, z którym studiowałem niektóre dzieła Śankary linijka po linijce, zadał sobie również dużo trudu, aby zdobyć dla mnie rzadkie książki z południa Indii.

Jednak nie wszystkie moje lektury dotyczyły Wedanty. Krótko po przyjeździe zapisałem się do biblioteki publicznej w Kolombo. Dzieło Kierkegaarda *Bojaźń i drżenie*, którego lektura stanowiła mój wstęp do prac domniemanego ojca egzystencjalizmu, zrobiło na mnie duże wrażenie i zdumiało sposobem, w jaki zredukowało zarówno filozofię, jak i religię, do żywego doświadczenia. Poezję zaniedbywałem, choć nadal pisałem wiersze w trakcie moich dyżurów na służbie, ale lektura poematu filozoficznego *The Testament of Beauty* Roberta Bridgesa dała mi wgląd, podobnie jak wcześniej *Symposium*, w świat, gdzie prawda i piękno stanowiły jedność. W zapadłych kątach różnych małych sklepików z materiałami piśmienniczymi wygrzebywałem książki i broszury o buddyzmie publikowane na Cejlonie. W przeciwieństwie do literatury Misji Ramakriszny były one suche i nudne, a niejedna sugerowała, że buddyzm jest martwy duchowo od dwóch tysięcy lat. Jednak wykład pod tytułem 'Buddyzm jako religia osobista", wygłoszony na Cejlonie przez indyjskiego naukowca buddystę dr Beni Madhaba Baruę, wywarł trwały wpływ na moje rozumienie nauk Buddy.

Przy tak intensywnym studiowaniu literatury religijnej – gdzie każda książka, czy to indyjska, czy buddyjska – podkreślała ogromną rolę medytacji, naturalnie pragnąłem kontynuować swoje doświadczenia w tej dziedzinie. Zaczęły się one w Delhi, gdzie praktykowałem technikę 'oddzielania się' opisaną przez Śankarę w *Aparokszanubhuti*. Siedząc w siadzie skrzyżnym pod moskitierą koncentrowałem się na tym, że nie jestem ciałem, nie jestem umysłem i nie jestem empirycznym ego – powtarzałem sobie, że jestem samą nie-dualistyczną rzeczywistością i absolutną egzystencją-wiedzą-szczęściem. Teraz, po zrobieniu takich postępów, jakie były możliwe, zdecydowałem – nic o tym nie mówiąc swaminom – że zacznę praktykować *pranajamę*, czyli 'kontrolę oddechu', tak jak opisał ją Swami Wiwekananda w *Radża Jodze*. A więc znów w nocy, kiedy inni spali, siadałem ze skrzyżowanymi nogami pod moskitierą tym razem wdychając, zatrzymując i wydychając powietrze według podanych wskazówek.

Po kilku dniach zacząłem mieć nienormalne doświadczenia. Generalnie było tak, jakby jakaś potężna siła spływała na mnie z nieskończonej wysokości z okropnie dezintegrującym skutkiem dla całej mojej istoty. Czasem czułem, że jestem pomału unoszony w powietrze i następnie gwałtownie rzucany o ziemię. Ponieważ te doświadczenia nie przynosiły mi spokoju umysłu, szczęścia ani oświecenia, wkrótce przestałem praktykować *pranajamę*. Niestety te niemiłe odczucia trwały nadal. Prześladowały mnie jeszcze przez jakieś trzy tygodnie, czasami przerywając sen siedem lub osiem razy w ciągu jednej nocy. Miałem wrażenie, że doświadczam rażenia bardzo silnym prądem o wyjątkowo wysokim napięciu wytwarzanym przez jakąś potężną prądnicę duchowej elektryczności, będąc całkowicie bezsilnym wobec jej ataków. Szoki były tak gwałtowne, a towarzyszące im doświadczenia tak nadzwyczajne, że czasami modliłem się – sam nie wiedząc do kogo – „Panie, zabierz je ode mnie i daj mi odpocząć."

Indyjscy jogini, których spotkałem później, powiedzieli mi, że bez wysoko wykwalifikowanego nauczyciela praktykowanie *pranajamy* jest niezwykle niebezpieczne. Niektórzy twierdzili, że Wiwekananda pisząc na temat, którego nie zgłębił do końca, wyrządził ogromne szkody. Kilku z nich, a był wśród nich jogin o wyjątkowo wysokich osiągnięciach, podkreślało, że ta forma radża jogi nie ma absolutnie żadnej wartości duchowej.

Mimo że poświęcałem im dużo czasu i wysiłku, studia nad Wedantą i praktyki jogiczne nie zaszkodziły mojej zasadniczej lojalności, jaką czułem wobec buddyzmu. W towarzystwie kucharza z naszej jednostki, starego pobożnego Syngaleza buddysty, który czesał włosy w kok i ubierał się w

sarong z paskiem, koszulę i marynarkę, pojechałem do dużej nowej świątyni w Bambalapitija. W środku sanktuarium znajdowały się trzy olbrzymie wizerunki Buddy – jeden w pozycji stojącej, drugi leżącej i trzeci siedzącej. Chociaż nasycona kadzidłami atmosfera tego miejsca, z masą pachnących świątynnych kwiatów i grupkami migoczących świeczek ustawionych na długich stołach z marmurowymi blatami wywarła na mnie sympatyczniejsze wrażenie niż kaplica w aszramie, to jaskrawo pomalowane wizerunki zbyt przypominały gigantyczne lalki woskowe, by mogły zainspirować mnie do większego oddania.

W kwietniu 1945 roku poprosiłem o tygodniowy urlop i odbyłem pielgrzymkę do miasta Kandy, gdzie znajduje się Dalada Maligawa – świątynia z relikwią zęba Buddy. Pociąg wyruszył z Kolombo późnym popołudniem i wolno jechał pod górę do ostatniej stolicy cejlońskich królów trasą wijącą się w malowniczej górskiej scenerii. Gdy zapadła noc, maleńkie pomarańczowe ognie błyszczały w ciemnościach na porośniętych dżunglą zboczach. Niedługo po godzinie ósmej księżyc, który właśnie dochodził pełni, wyłonił się zza bocznej grani czarnej góry i cały krajobraz natychmiast rozświetliła srebrzysta poświata. Zanim dotarliśmy do Kandy, stał już wysoko na niebie. Skąpanymi w księżycowym świetle ulicami jechałem do schroniska koledżu buddyjskiego, gdzie miałem mieszkać. Wokół mojego krytego strzechą pawilonu rozciągał się piaszczysty teren oślepiający swoją białością. Odświeżony kąpielą udałem się na spacer, przeszedłem obok ogromnego pobielanego gmachu z relikwiarzem, który dziwnie nierealny błyszczał po prawej stronie ścieżki, i doszedłem aż do bramy w kolorze żółtej musztardy. Otaczała mnie niezwykła jasność i cisza nocy. Po drugiej stronie drogi spiczasty ośmiokątny dach świątynnej biblioteki rysował się na tle rozgwieżdżonego nieba.

Następnego ranka, nie bardzo wiedząc jak do tego doszło, znalazłem się w rękach przewodnika, starszego wychudzonego mężczyzny, który mówił takim samym łamanym angielskim i nosił takiego samego zatłuszczonego koka i dziwaczny strój jak kucharz w naszym oddziale. Poinformował mnie, że dzisiaj jest pełnia i jeśli się pośpieszymy, dotrzemy do świątyni przed tłumami. Po drodze spotkaliśmy małego pomarszczonego mnicha, wyglądającego na około dziewięćdziesiąt lat, który siedział w toczącej się ulicą rikszy. Mój przewodnik natychmiast przyklęknął na jedno kolano i złożył dłonie w geście pozdrowienia. Riksza zatrzymała się i wywiązała się krótka konwersacja, z której nie zrozumiałem ani jednego słowa, ale mnich spojrzał na mnie z przyjaznym uśmiechem i skinął głową.

„Główny Kapłan" – poinformował mnie mój przewodnik, kiedy riksza pojechała dalej. „On powiedzieć my iść boczne drzwi otwarte dziesiąta godzina". Zdaniem przewodnika, w podziękowaniu za tę przysługę, która oznaczała, że będzie mi wolno wejść do świątyni, zanim główna brama zostanie otwarta dla wiernych, koniecznie powinienem złożyć jakąś ofiarę.

„A jaki dar podobałby się Głównemu Kapłanowi?" zapytałem niepewnie.

„On bardzo lubić ciasto śliwkowe. Ty dać pół kilo angielskie ciasto śliwkowe, on być mnóstwo szczęśliwy. On lubić angielskie ciasto śliwkowe jak nic inne na świecie". Wręczyłem mu banknot – pierwszy z wielu, które otrzymał ode mnie w owym tygodniu.

Po obu stronach drogi prowadzącej do ogrodzonego terenu świątyni stały szeregi żebraków, jeszcze bardziej wynędzniałych i zdeformowanych niż ci, których widziałem w Indiach. Freski, równie okropne jak żywi nędzarze, przedstawiały grzeszników w piekle – nadzianych na pal, przypiekanych żywcem lub przecinanych piłą na pół. Piętrowa drewniana świątynia z pięknym spadzistym dachem stała na małym dziedzińcu wciśnięta między inne budynki. Ponieważ była dopiero godzina dziewiąta, staliśmy z boku, patrząc na wiernych kupujących kwiaty na straganach. Przed wejściem na dziedziniec ja również kupiłem tam girlandę z jaśminu. Spoglądając w górę, pod wystającymi okapami świątyni dostrzegłem na suficie galerię jaskrawo pomalowanych zawiłych wzorów lotosowych.

W czasie naszego półgodzinnego czekania brukowana przestrzeń podwórka zapełniła się biało odzianymi postaciami – wszyscy trzymali nad głowami małe tace z kwiatami. W miarę jak powiększał się skłębiony tłum wiernych, ci z przodu byli wpychani na świątynne schody i napierali na niskie mosiężne drzwi, których górne skrzydła ozdobione były płaskorzeźbami słońca i księżyca. Minuty mijały i uświadomiłem sobie narastającą w gęstniejącym tłumie coraz wyraźniejszą

atmosferę ekscytacji – ludzie stali tak ściśnięci, że ciemne połyskujące głowy całkiem zniknęły pod morzem trzymanych w górze kwiatów. Od czasu do czasu zbiorowisko biało ubranych kobiet i mężczyzn stojących na stopniach świątyni wydawało z siebie jęk jakiegoś niewysłowionego pragnienia. Miałem wrażenie, jakby ludzkość zgromadzona na progu boskości wołała o przyjęcie do nieba.

O wpół do dziesiątej uchyliły się boczne drzwi i ciemny palec kiwnął na nas. Weszliśmy do środka i poszliśmy na górę tak szybko, że nie miałem czasu na podziwianie wnętrza pięknie ozdobionego płaskorzeźbami i malowidłami. Hałas tłumu na dziedzińcu ścichł do przytłumionego gwaru. Za masywną stalową kratą stał relikwiarz w kształcie dzwonu, obwieszony grubymi złotymi łańcuchami i wyższy od człowieka. Nad ołtarzem, znajdującym się poza kratą, wisiał srebrny baldachim. Z sufitu, również srebrnego, zwisały małe diamentowe ozdoby, przypominające gwiazdy na niebie. Wokół relikwiarza, u jego podstawy stały błyszczące złote i srebrne obrazki, miniaturowe relikwiarze, niektóre nabijane rubinami, oraz bukiety kwiatów. Całe pomieszczenie aż jaśniało od złota, srebra i klejnotów. Ołtarza strzegła nieruchoma postać w żółtych szatach. Kiedy ofiarowałem moją girlandę i napatrzyłem się do syta na relikwiarz, mnich wskazał na srebrną grawerowaną tacę o prawie metrowej średnicy. Mój przewodnik szepnął, że to oznacza następną ofiarę. Gdy opuściliśmy to pomieszczenie, drzwi na dole otworzyły się i po chwili tłum z tacami kwiatów zaczął wchodzić na górę po schodach, przeciskając się obok nas.

W ośmiokątnej bibliotece – byłej sali tronowej władców królestwa Kandy – pokazano mi starożytne manuskrypty zapisane na liściach palmowych. Niektóre z nich były darem Sir Edwina Arnolda, słynnego wiktoriańskiego poety, orientalisty i wydawcy gazety, jak również autora *The Light of Asia*. Po wyskrobaniu nazwy świątyni żelaznym rylcem na skrawku liścia palmowego, posmarowanego uprzednio atramentem, aby widoczne były syngaleskie litery, następna imponująca żółta postać wysunęła szufladę i spojrzała na mnie z wyrazem twarzy podobnym do uśmiechu. Tym razem już bez żadnej zachęty ze strony przewodnika dorzuciłem banknot do małego stosika papierowych środków płatniczych, które się tam znajdowały. Mnichom na Cejlonie nie wolno dotykać pieniędzy.

Po tygodniu spędzonym na wzgórzach między świątyniami i klasztorami Kandy wróciłem do Kolombo, gdzie zastałem obu swamich przygotowujących się na przyjazd wysokiego rangą mnicha, który był przełożonym aszramu w Himalajach i członkiem ciała zarządzającego Misją. Poinformowano mnie, że jest on zwolennikiem surowej dyscypliny. Słowo ‘dyscyplina’ wywoływało we mnie dość nieprzyjemne skojarzenia, oczekiwałem więc przybycia gościa z zainteresowaniem pomieszanym z obawą.

Swami Pawitrananda był wysoki, chudy i niemal groteskowo kościsty. Jego głęboko osadzone oczy płonęły ciemno. Mówił niskim, intensywnym głosem, który był prawie szeptem, i brzmiał niezwykle żarliwie, co wywierało na słuchaczach duże wrażenie. Dwóch swamich emanowało łagodnym światłem duchowości, ale w porównaniu z nimi gość był żywym ogniem. Natychmiast poczułem, że ciągnie mnie do niego jak ćmę do płomienia, gdyż sam jego wygląd zdradzał, że jeśli rzeczywiście lubi surową dyscyplinę, to narzuca ją sobie, a nie innym. W rzeczywistości miał niezwykle uczuciowe usposobienie. Kilka miesięcy później w Kalkucie często słyszałem, jak inni członkowie Misji mówią o nim, że jest ‘bardzo kochającą duszą’ (Bengalczycy nigdy nie mówią ‘uczuciowy’). Od razu bardzo się mną zainteresował i odbyliśmy wiele interesujących konwersacji. W przeciwieństwie do pozostałych swamich, nie rozmawiał o filozofii, literaturze, czy muzyce, tylko wyłącznie o życiu duchowym. Jedyne tematy, jakie poruszał, to potrzeba prostoty, czystości, pokory i poświęcenia. Często mówił o konieczności wyrzeczeń i o szczęściu, jakim jest życie mnicha, i że w porównaniu z takim szczęściem, ziemskie radości nie są nic warte. Kiedy go słuchałem, jego słowa rozpalały moje serce. Nie pamiętam teraz, czy to on zapytał mnie, czy nie chciałbym zostać mnichem, czy też ja jego zapytałem, czy uważa za możliwe, żebym wiódł życie mnicha, ale od tej pory postanowiłem, że wyrzeknę się w życiu spraw ziemskich.

W następnych listach do domu poinformowałem rodziców, że myślę o pozostaniu w Indiach po demobilizacji, gdyż zastanawiam się, czy nie zostać mnichem. Ponieważ dobrze wiedzieli o moim zainteresowaniu religiami Wschodu, niewykluczone że ta wiadomość nie była dla nich

całkowitą niespodzianką. W każdym razie nie sprzeciwiali się. Ojciec odpisał, że moje życie należy do mnie i żebym robił z nim to, co uważam za najlepsze, a mama wyraziła nadzieję, że bycie mnichem nie uniemożliwi mi widywania jej od czasu do czasu.

Przed wyjazdem z Kolombo Swami Pawitrananda zaprosił mnie do siebie, do Almory w Himalajach, i poradził mi odwiedzić Belur Math – kwaterę główną Misji, znajdującą się niedaleko Kalkuty. Dlatego, jak tylko w aszramie zakończyły się celebracje Dnia Wajszakha Purnima (rocznicy Oświecenia Buddy) – jak zwykle pełne długich przemówień i muzycznych maratonów – poprosiłem o przeniesienie do Kalkuty z powodów osobistych, twierdząc, że mieszka tam mój wujek, którego chcę poznać.

Rozdział 12

Maitreja – budda przyszłości

W przeciwieństwie do Delhi i Kolombo, które są znacznie mniejsze, Kalkuta ma wyraźną osobowość, tak więc pomimo całej jej nędzy, rozkładu i zgnilizny można to miasto pokochać, a przynajmniej czuć się w nim swojsko. Moja jednostka zajmowała dwa obszerne domy w Ballygunge – ładnej dzielnicy mieszkaniowej na przedmieściach. Przy pobielanym murze ogrodu rosły drzewa pomarańczy olbrzymiej z wiszącymi pośród liści owocami prawie tak dużymi jak futbolowe piłki. Po drugiej stronie muru na długości pół mili rozciągały się miejskie błonia. U wylotu ulicy co 20 minut przejeżdżał z głośnym brzękiem tramwaj. Ponieważ nasze obowiązki były równie lekkie i dyscyplina tak samo rozluźniona jak w Kolombo, bardzo szybko nawiązałem kontakt z Instytutem Kulturalnym Misji Ramakriszny, którego adres dostałem od Swami Siddhatmanandy, a który znajdował się o pół godziny jazdy tramwajem.

Organizacja ta, zajmująca wówczas górną część budynku na placu Wellingtona, stała się centrum moich działań. Chociaż kierujący nią mnich – Bengalczyk o wyraźnych mongolskich rysach – przywitał mnie bardzo serdecznie, to zaprzyjaźniłem się z jego asystentem. Kantaradż (początkowo wyznawca religii dżninów) był drobnym Hindusem z południowych Indii, o ciemnej brodatej twarzy i zadziwiająco basowym głosie. Mimo że pracował dla Instytutu z wielkim poświęceniem, przejawiał doskonałą obojętność wobec kultury. Książek dotykał tylko wtedy, kiedy je odkurzał lub katalogował. Służenie stanowiło jego jedyną namiętność. Gotów był wykonać każdą posługę, dla każdej osoby, o każdej porze dnia i nocy, nawet wyjątkowo niewdzięczną i sprawiającą mu wiele kłopotu. Był tak znany z tej cechy, że starsi i niedołężni swamini zawsze woleli przebywać w Instytucie, a jeśli władze w Belur Math chciały, żeby coś zrobiono w Kalkucie, dzwoniły w tej sprawie do Kantaradża. Był ucieleśnieniem radosnego ascetyzmu. Podczas gdy większość pracujących w Kalkucie swaminów pozwalała sobie na drobne luksusy, Kantaradż odmawiał posiadania na własność czegokolwiek z wyjątkiem pary butów.

Z nim jako przewodnikiem odwiedziłem Belur Math – grupę budynków stojących 18 km za miastem na rozległym terenie nad brzegami rzeki Hooghly. Świątynia zbudowana z różowawego kamienia była przyjemną dla oka budowlą wzniesioną w kilku różnych stylach architektonicznych. Wewnątrz znajdował się naturalnej wielkości biały marmurowy posąg Szri Ramakriszny tak osobliwie naturalistyczny i pozbawiony jakiejkolwiek symboliki, że aż wydawał się nie pasować jako obiekt czci. W pobliżu, nad brzegiem rzeki usadowiły się trzy małe dziwaczne świątynie o pobielanych ścianach. Wkrótce poznałem wszystkich swaminów, którzy kierowali różnymi biurami i oddziałami. Choć byli kulturalni, inteligentni i bardzo przyjaźni, to wydawało mi się, że nieustanne zajmowanie się materialnymi sprawami Misji naznaczyło ich bardzo silnym piętnem przyziemności. Nowicjusze – bardzo sympatyczni młodzi ludzie – mieli większe ambicje, aby swoimi oratorskimi umiejętnościami podbić Amerykę, niż żeby ujarzmić swój umysł poddając go duchowym praktykom. Przypomniały mi się słowa Swamiego Wipulanandy – „Jesteśmy niczym w porównaniu ze starszym pokoleniem swaminów". Jedyną osobą, która sprawiła na mnie wrażenie człowieka całkowicie oddanego sprawom wyższym, był osiemdziesięcioletni prezydent Misji, w którego oczach dostrzegłem podobny blask, jakim promieniował Jogaswami. Kantaradż uważał go za swojego guru.

Któregoś dnia wybraliśmy się łódką z Math do Dakszineszwara – przewoźnik z wielkim wysiłkiem sterował łodzią pod prąd, odpychając się od dna długim drągiem. Kantaradż najpierw pokazał mi pokój, w którym Szri Ramakriszna spędził większość swego życia, a potem chciał mnie zabrać do wnętrza świątyni. Niestety podbiegł do nas bramiński kapłan oświadczając, że muzułmanie i chrześcijanie mogą co najwyżej wejść na wielki brukowany dziedziniec przed głównym budynkiem – bardzo brzydką ceglaną strukturą. Na ścianie faktycznie wisiała tabliczka z taką informacją. Na próżno Kantaradż z wyrzutem przypominał, że przecież Szri Ramakriszna nie uznawał podziałów na kasty i wyznania – kapłan pozostał nieugięty. Oczywiście w żaden sposób nie była to wina Misji, ponieważ nie miała ona żadnej kontroli nad kierownictwem świątyni, ale

było to interesujące spostrzeżenie, jak niewiele z nauk Szri Ramakriszny przeniknęło do serca ortodoksyjnego indyjskiego Bengalczyka.

Dopiero po zwiedzeniu nie tylko samego Belur i Dakszineszwara, ale też większości pozostałych ośrodków Misji znajdujących się w Kalkucie i okolicach, poszedłem z wizytą do wuja Dicka – najmłodszego brata mojej Mamy, który był członkiem Orkiestry Gubernatora Bengalu. Na przekór usiłowaniom riksiarza, próbującego zawieźć mnie okrężną drogą, łatwo znalazłem mieszkanie wuja, ponieważ usytuowane było przy alejce wiodącej do drogi, przy której stał budynek rządowy. Wkrótce spędzałem prawie tyle samo czasu z wujem Dickiem i jego rodziną, ile spędzałem go w Instytucie. Nim nadszedł wrzesień byłem z nimi w tak dobrych stosunkach, że kiedy Audrey, druga żona wuja, postanowiła pojechać z najmłodszą córeczką Gillian na kilka tygodni do Dardżelingu, wuj Dick zaproponował, żebym im towarzyszył.

Po upałach panujących na nizinach, w Dardżelingu znajdującym się na wysokości około 2500 metrów nad poziomem morza odczuwałem chwilami przenikliwe zimno. W willi wuja Dicka, usytuowanej na zboczu wzgórza poniżej mniejszego, bielszego i przykrytego lazurową kopułą Domu Gubernatora, było mimo płonącego w kominku ognia często tak chłodno, że aż dygotałem. Kiedy jednak niskie szare chmury rozproszyły się i słońce na niebie zajaśniało suchym gwałtownym blaskiem, na stromych pozbawionych ulicznego ruchu drogach było cieplej niż wewnątrz domu.

Codziennie rano, po późnym śniadaniu Audrey, Gillian i ja wybieraliśmy się na spacer po słynnej miejskiej promenadzie Chowrasta, gdzie Gillian odbywała przejażdżkę na kucyku. O jedenastej, kiedy rześkie górskie powietrze zaostrzyło nam apetyt, szliśmy na kawę i ciastka z kremem do Plievers – modnego miejsca spotkań dla obecnej i przyszłej elity Europejczyków. Wśród spotykanych tam, jak również na ulicy i na popołudniowych herbatkach, białych zamężnych dam z klas wyższych (nazywanych w Indiach przez Hindusów memsahib), mających surowy wyraz twarzy i mówiących podniesionym głosem, było kilka dawnych szkolnych koleżanek Audrey. Pod nieobecność mężów, pocących się pod wentylatorami w swoich biurach na nizinach, damy były bawione przez amerykańskich oficerów. Jedną z głównych ozdób tego płochego, rozplotkowanego i płytkiego towarzystwa była starsza korpulentna pani w niebieskich spodniach i czerwonej chustce, która przeszła na islam, aby móc wyjść za mąż po raz drugi, kiedy pierwszy mąż odmówił jej rozwodu, a teraz usiłowała zdobyć trzeciego męża – tym razem według rytuału buddyjskiego – aby wyemigrować z nim do Australii.

Punktem kulminacyjnym, a w zasadzie szczytowym rozczarowaniem, jeśli chodzi o moje próby uczestniczenia w kruchej wesołości życia tego towarzystwa w górach, był bal w siedzibie gubernatora, na który – niechętnie – eskortowałem Audrey i jej niewysoką przyjaciółkę o dużych piersiach, która próbowała nauczyć mnie tańczyć. Kiedy siedziałem w kącie sali balowej z czterema czy pięcioma paniami w kolorowych sukniach (był deficyt panów) i obserwowałem, jak Audrey wiruje na parkiecie w ramionach umundurowanego Amerykanina, a chuda, farbowana i mocno umalowana niewiasta mająca około 55 lat energicznie podryguje tańcząc coś w rodzaju rumby z innym Amerykaninem, nagle ogarnęło mnie przytłaczające poczucie nierealności, którego czasami doświadczałem w Anglii. Tancerze stali się duchami, sala balowa zniknęła, muzyka dochodziła z bardzo daleka i zostałem sam w wielkiej pustce z silnym uczuciem wstrętu i obrzydzenia.

Chociaż świat zjawisk wydawał się nierzeczywisty, to nie on sam wzbudził mój wstręt, tylko spektakl egzystencji tak całkowicie pozbawionej znaczenia, tak totalnie oderwanej od pierwotnej prostoty. Widok niskich, krzepkich górali z uśmiechniętymi, rumianymi twarzami o Mongolskich rysach, tak innymi od smutnych twarzy ludzi z nizin, nie wywoływał we mnie żadnych tego typu uczuć. Dla nich życie naprawdę miało sens, nawet jeśli sprowadzało się jedynie do faktu zarabiania na utrzymanie za pomocą szerokich koszy w kształcie stożka, które większość z nich, zarówno mężczyźni jak i kobiety, nosiła zawieszone na konopnej opasce opartej o czoło. Ale mocno umalowane kobiety, które tańczyły na parkiecie balowej sali, były kukłami pobudzanymi do spazmatycznych ruchów przez trywialne zainteresowania i mało szlachetne pragnienia. Były one okropnym udawaniem i życie nie miało dla nich żadnego znaczenia, a ich taniec był tańcem śmierci.

W dni, kiedy rano Audrey skarżyła się na ból głowy, szedłem na samotny spacer wokół wzgórza, na którym znajdowało się Obserwatorium, gdzie w porannej mgle stały bezlistne już drzewa. Ponieważ nigdy wcześniej nie widziałem łańcuchów górskich pokrytych śniegiem, gorliwie ich wypatrywałem za każdym razem, kiedy wydawało mi się, że już za chwilę białe masy chmur przepływające po stromym drugim zboczu głębokiej, otulonej niebieskawą mgłą doliny uniosą się i odsłonią czyste niebo. Po prawie godzinnym czekaniu i spoglądaniu w niebo przypadkiem podniosłem wzrok i oto były – góry zakrywające niemal pół nieba, bardziej wystrzępione i strome, bielsze, wspanialsze, większe i bliższe niż kiedykolwiek wydawało mi się że mogłyby być. Mimo swych potężnych rozmiarów wznosiły się ponad bastionem chmur z jakąś eteryczną lekkością, sprawiając wrażenie, jakby płynęły po niebie.

Krótko przed wyjazdem wynająłem kucyka i pojechałem brzegiem urwiska do pobliskiej wioski Ghoom. Mój wierzchowiec, pozornie łagodny i uległy, kiedy go wybierałem w punkcie wynajmu na skraju Chowrasty, jak tylko znaleźliśmy się spory kawałek drogi poza miasteczkiem zaczął robić co w jego mocy, aby mnie zrzucić z grzbietu – najpierw wściekle galopując, a potem napierając bokiem na barierkę oddzielającą ścieżkę od przepaści głębokiej na dobre sto metrów albo i więcej. Trzymałem się jednak jego grzbietu kurczowo i z ponurą miną, wkrótce więc znaleźliśmy się w Ghoom otoczeni gęstą białą mgłą, z której gdzieniegdzie sterczały podobne do cieni kształty sosen. Skręciłem z głównej ulicy, wzdłuż której biegły szyny małej kolejki, i mokry od siąpiącej mżawki pojechałem boczną ścieżką pomiędzy szeregami niskich sklepów z podniesionymi frontowymi ścianami, gdzie sprzedawano wyłącznie noże i sztylety. Ścieżką tą, wiodącą pod górę, owiewany lodowatymi podmuchami wiatru opuściłem wieś udając się w stronę, skąd poprzez mgłę dochodziły dziwnie przytłumione odgłosy bębnów i rogów. Niebawem przed moimi oczami z dominującej szarości otoczenia wyłoniły się niewyraźne zarysy białych ścian i zakrzywionego czerwonego dachu tybetańskiego klasztoru – celu mojej podróży.

W środku świątyni panował mrok, gdyż światło wpadało tylko przez otwarte drzwi z tyłu za mną oraz przez prześwit w dachu podobny do otworu studni. Kiedy moje oczy przyzwyczaiły się do ciemności, dojrzałem zwisające z sufitu i tworzące rodzaj nawy dwa rzędy wielkich cylindrów zrobionych z różnokolorowych jedwabnych falbanek. W przeciwległym końcu pomieszczenia migotała lampka nad rzędami mosiężnych i srebrnych miseczek. Powoli uświadomiłem sobie atmosferę tego miejsca – osobliwe połączenie spokoju i ożywienia, które od tej pory rozpoznawałem jako charakterystyczne dla świątyń tybetańskich.

Kiedy tak stałem i patrzyłem, pomału dostrzegłem nad miseczkami i lampą najpierw ogromną parę dłoni, płasko ułożonych jedna na drugiej, potem olbrzymi tułów ze swastyką na piersiach i wreszcie około siedem metrów nad ziemią szeroką łagodnie uśmiechniętą twarz posągu. Na jego czole lśnił wielki cenny klejnot. Był to Majtreja, budda przyszłości. Później dowiedziałem się, że założyciel klasztoru, wielki tybetański święty i jogin Tomo Gesze Rinpocze umieścił tam posąg Majtreji jako przepowiednię rychłego nadejścia nowego buddy oraz rozprzestrzenienia się buddyzmu po całym świecie. Dla mnie wielka postać zwiastowała poświęcenie mego życia w służbie Dharmy.

Wróciłem do Kalkuty, gdzie właśnie rozpoczynały się jesienne uroczystości religijne, zwane Pudżą, trwające cały miesiąc. Natychmiast uświadomiłem sobie, że oddycham religijną atmosferą diametralnie różną od tybetańskiej. Wysoki, bardzo ciemny Bengalczyk, którego poznałem w Instytucie jeszcze przed wyjazdem, zabrał mnie do Kalighatu, najsłynniejszej świątyni w Kalkucie. Z miejsca tego, przypominającego bardziej skrzyżowanie pobojowiska z targiem niż świątynię, wyszedłem ze szkarłatnym znakiem na czole i girlandą czerwonych kwiatów na szyi, oszołomiony przepychającym się tłumem, oparami krwi i smrodem gnijących kwiatów, zdeptanych pod nogami na miazgę. W nocy poszedłem z Kantaradżem na obchód po mieście, aby obejrzeć pięknie oświetlone żywe obrazy przedstawiające dziesięcioramienną boginię Durgę, która zabiła demona-bawołu, a z jego pozbawionego głowy tułowia wyłaniała się głowa człowieka. Pomalowane i ubrane w kolorowe szaty gliniane postacie naturalnej wielkości sprawiały bardzo realistyczne wrażenie. Różne organizacje i lokalne społeczności konkurowały między sobą o to, która z nich stworzy najlepszy obraz, i chociaż figury były czczone tylko przez trzy dni, a potem zanurzane w

rzece, to poziom kunsztu wykonania, jaki włożono w ich przygotowanie, był naprawdę ogromny. W Belur-Math widziałem Kumari-Pudżę – ceremonię ku czci Bogini Matki, reprezentowanej przez ośmioletnią córkę jakiegoś bramina. Kiedy przyglądałem się, jak kapłani wymachiwali lampkami przed małą tkwiącą bez ruchu postacią, Kantaradż wyszeptał mi do ucha, że ponieważ Bengalczycy wierzyli, że dziewczynka, którą w ten sposób czczono, umrze w młodym wieku, trzeba było znaleźć jakiegoś bramina bez grosza przy duszy i kupić jego zgodę za bardzo dużą sumę pieniędzy.

Po zakończeniu święta Pudży Instytut wznowił regularną działalność. Wśród inteligencji mieszkającej w owym czasie w Kalkucie było kilkanaście znakomitych postaci – niektóre z nich poznałem nie tylko po wykładach, ale też spotykałem się z nimi w ich domach. Większość z nich, jeśli nie wszyscy, przejawiała sympatię do buddyzmu, a przynajmniej dwóch było buddyjskimi naukowcami o międzynarodowej renomie. Dr Beni Madhab Barua, którego wykład pod tytułem 'Buddyzm jako osobista religia' podziwiałem w Kolombo, był drobnym, ubranym w czarny garnitur bengalskim buddystą z Chittagongu – miejscowości, która obecnie znajduje się w Bangladeszu, i której mieszkańcy twierdzą, że pochodzą bezpośrednio od pierwszej społeczności indyjskich buddystów. Dyskutowałem z nim o różnych aspektach buddyjskiej doktryny. Wspaniałomyślnie przymykając oko na moją ignorancję, rozmawiał ze mną nie tylko z wielką życzliwością, przekazując mi mnóstwo informacji, ale też z gruntownością, jaką do tej pory spotykałem jedynie w książkach. Dr Satkari Mookherdżi, autorytet w kwestii buddyjskiej logiki, był niewiarygodnie chudym bengalskim braminem z suchymi, przypominającymi szpony dłońmi, o powściągliwym i roztargnionym sposobie bycia. Poznałem też Benoja Kumara Sarkara, który, jak wielu bengalskich intelektualistów, ożenił się z Europejką; Dr Nalinakszę Dutta, wydawcę starożytnych buddyjskich manuskryptów odkrytych w Gilgit w Kaszmirze, oraz chudego długowłosego badacza tantryzmu, bardzo tradycyjnego w typie, który pracował z Sir Johnem Woodroffem. Trochę mniej uczony, lecz nieskończenie bardziej czarujący, okazał się siwowłosy Dr Kalidas Nag, który dzięki gotowości, z jaką zgadzał się przewodniczyć wszelkiego rodzaju zebraniom – od konferencji archeologicznych po rozdawanie nagród dzieciom w szkołach podstawowych – zyskał sobie przydomek 'wiecznego przewodniczącego Kalkuty'. Żaden inny mówca nie wzbudzał w publiczności takiego zachwytu jak Dr Nag, tyle że kiedy odprowadzany długimi brawami z uśmiechem zasiadał ponownie na swoim miejscu, nikt nigdy nie potrafił powiedzieć, o czym pan przewodniczący właściwie mówił. Wydawało się, że misją jego życia było tylko promieniowanie życzliwością.

Kantaradż był niestrudzonym przewodnikiem. Pokazawszy mi wszystkie ośrodki Misji, od świątyń po szpitale dla kobiet, zaczął zabierać mnie do wszystkich parków, sanktuariów, muzeów i placówek edukacyjnych w mieście. Któregoś wieczoru poszliśmy odwiedzić drugiego brata Swamiego Wiwekanandy, hipochondryka, który siedząc na drewnianej ramie łóżka w ciemnym i brudnym pokoju, w podupadłym domu przodków, wylewał gorzkie żale przeciwko Misji Ramakriszny. Z rozmowy zorientowałem się, że najmłodszy brat został komunistą. Złożyliśmy też wizytę w Wiharze Szri Dharmaradżika – głównej siedzibie Towarzystwa Maha Bodhi w Indiach, czołowej organizacji buddyjskiej w kraju. W sanktuarium nad salą wykładową spotkałem ubraną w żółte szaty postać z podejrzliwymi oczami i o szorstkim sposobie bycia, którą Kantardź przedstawił mi jako syngaleskiego administratora Wihary. W przeciwieństwie do ośrodków Misji, zarówno ta, jak i inne buddyjskie świątynie i klasztory, które odwiedziliśmy, wydawały się być pogrążone w jakiejś dziwnej inercji.

Oprócz Kantaradża, był też Phani Sanjal, chudy ascetyczny absolwent, mieszkający wówczas w Instytucie, któremu czasami towarzyszyłem w jego cotygodniowych wizytach w biurze Udbodhan. W ośrodku tym, który wydawał bengalskie publikacje Misji, przez wiele lat mieszkała żona Szri Ramakriszny, popularnie nazywana Świętą Matką. Jej pokój, zamieniony obecnie w sanktuarium, był najczystszym i najspokojniejszym miejscem w Kalkucie. Kiedy Sanjal medytował, ja po prostu zanurzyłem się w tej spokojnej ciszy jak w basenie z krystaliczną wodą.

Jedna z naszych wypraw jednak omal nie zakończyła się katastrofą. Przez kilka dni Kalkuta, zawsze politycznie burzliwa, była miejscem gniewnych demonstracji studenckich, ponieważ dwóch czy trzech młodych ludzi zginęło w policyjnej strzelaninie. Obawiając się dalszych kłopotów,

Kantaradż radził nam nie wychodzić tego wieczoru, ale Sanjal, który w ogóle nie interesował się polityką, był pewien, że w mieście już przywrócono spokój. Byliśmy dopiero w połowie College Street – najważniejszej arterii uniwersyteckiego życia – kiedy zobaczyliśmy, że ciała zabitych studentów są niesione w procesji wychodzącej z głównego szpitala w Kalkucie. Było za późno, żeby zawrócić. Tysiące demonstrantów ubranych w białe koszule i wykrzykujących anty-brytyjskie hasła szło w naszą stronę i ogarnęło nas jak fala wielkiego przypływu. Próbując wyglądać tak, jakbym nie zauważył procesji, mocno trzymałem się tyłu koszuli Sanjala i obaj, walcząc o utrzymanie równowagi, pomału przepychaliśmy się przez tłum w swoją stronę. Kiedy studenci nas mijali, pociemniałe od nienawiści twarze rzucały mi spojrzenia pełne dzikiego gniewu. Jeden z demonstrantów widząc, że jestem Anglikiem, złapał mnie brutalnie za ramię i próbował zepchnąć ze swojej drogi, tłum był jednak tak gęsty, że nawet się nie zachwiałem. Gdybyśmy zrobili coś więcej ponad zwykłe przejście przez procesję, bez wątpienia rozszarpano by mnie na kawałeczki, nic bowiem tak nie pobudza w bengalskim motłochu pragnienia rozlewu krwi jak jeden uciekający człowiek. Dopiero kiedy dotarliśmy do skrzyżowania na ulicy o trzy kilometry dalej, już niedaleko celu naszego spaceru, całkowicie zostawiliśmy procesję za sobą. Po powrocie do Instytutu późną nocą zastaliśmy swaminów prawie nieprzytomnych ze strachu o nasze bezpieczeństwo. Kantaradż, który był o wiele bardziej zatrwożony niż pozostali, srogo nas zgromił za nasze ryzykanctwo.

W listopadzie, kiedy zrzucenie bomb atomowych na Nagasaki i Hiroszimę zakończyło wojnę z Japonią, moja jednostka została skierowana do Singapuru. Przed wyjazdem ofiarowałem większość swoich książek bibliotece Instytutu. Mimo to nadal uginałem się pod wielkim ciężarem torby z przyborami, chlebaka i metalowej walizy, kiedy chwiejnym krokiem wspinałem się po pochyłym pomoście z nitowanej blachy stalowej do rozgrzanego wnętrza czekającej na nas amfibii.

Rozdział 13

Trzy Światy

Po trzech sztormowych dniach w Zatoce Bengalskiej, gdzie nasza mała łódź podskakiwała na falach w górę i w dół jak korek, wpłynęliśmy na spokojniejsze wody cieśniny Malakka, zmierzając w stronę Singapuru. Znajdowaliśmy się jeszcze około półtora kilometra od portu, kiedy dostrzegliśmy nabrzeże zatłoczone tysiącami malutkich jak mrówki postaci – byli to japońscy jeńcy wojenni. Niektórzy z nich, rozebrani do pasa, rozładowywali ładunki w porcie. Ale większość, ustawiona w szeregi jak do parady, najwyraźniej czekała, aby wejść na pokład parowców wysłanych do repatriacji pokonanej armii. Jadąc ulicami Singapuru, zobaczyliśmy więcej więźniów, tym razem w oddziałach po stu, maszerujących w stronę doków. Na rozkaz swoich podoficerów salutowali nam elegancko, kiedy mijaliśmy ich ciężarówką.

Pięć lub sześć podmiejskich willi przydzielonych naszej jednostce było poprzednio zajętych przez oficerów japońskich, po których odziedziczyliśmy nie tylko cały majątek gospodarstwa domowego, ale też służących – niskich szczupłych Malajów o karnacji koloru kawy z mlekiem, zawsze ubranych w podkoszulki i sarongi w kolorowe paski. Przypuszczalnie byli oni tam na stałe, służąc z tym samym uśmiechem raz jednym a raz drugim zwycięzcom od czasu, kiedy wywłaszczono ich pierwotnych panów – bogatych Chińczyków.

Doświadczony zespół mechaników radiowych już wcześniej urządził Pokój Radiowy w jednej z willi, więc w szybkim czasie podjęliśmy swoje obowiązki. Jednak wojna się skończyła, i nie było już więcej żadnych ‘niezidentyfikowanych transmisji’ do przechwytywania. Oficer dowodzący musiał o tym dobrze wiedzieć, gdyż pracowaliśmy tylko cztery godziny dziennie i nie było nocnej zmiany.

Wystarczyło pojechać autostopem do Singapuru najwyżej raz, czy dwa razy, by zorientować się, że jest to miasto Chińczyków. Wszystkie zbudowane w europejskim stylu sklepy i restauracje w centrum miasta były posiadane i zarządzane przez tych radośnie pracowitych ludzi. Szczupli i przystojni chłopcy o jasnozłotej cerze i czarnych skośnych oczach, którzy ubrani w białe podkoszulki i szorty pedałowali na trzykołowych rikszach z głośnym brzęczeniem dzwonków, byli Chińczykami. Ich przyjazny lecz niezależny sposób bycia ostro kontrastował z zachowaniem riksiarzy hinduskich, na przemian służalczym lub krzykliwym i pełnym przechwałek. Chińskie były też drobniutkie, ubrane w jedwabne spodnie prostytutki, które w nadziei na zarobek spacerowały na sztywnych nogach, stawiając na chodnikach małe, nierówne kroki. Nieliczni spotykani Malajowie byli portierami, domowymi służącymi lub kelnerami w restauracjach. Chińska dzielnica miasta ze swymi prostopadłymi szyldami sklepowymi i restauracjami, które wystawiały drewniane stołki na ulicę; pełna kobiet o gładkich przylizanych włosach, ubranych w czarne jedwabne spodnie i noszących drewniane chodaki; ze starymi siwobrodymi filozofami w długich czarnych szatach; oraz z mrowiem pulchnych żółtych dzieciaków była – jak wszystkie chińskie dzielnice na całym świecie – po prostu kawałkiem Chin. Nawet pachniała po chińsku.

Pomimo swojej komercjalizacji, a może właśnie dzięki niej, najbardziej chińskie z tego wszystkiego były w pewnym sensie trzy parki rozrywki zwane „Światami” – Nowy Świat, Wielki Świat i Szczęśliwy Świat. Kilka dni po przyjeździe siedziałem w jednym z tych parków razem z Erniem, który dołączył do nas, przyjeżdżając z Delhi. Jedyne, co było wtedy dostępne do picia i jedzenia, to butelka oranżady i trochę ziemnych orzeszków. Rachunek za nie wyniósł trzy dolary singapurskie. Jednak nie minął nawet miesiąc, kiedy wiecznie pomysłowi chińscy biznesmeni użyli wszystkich znanych sobie sposobów, aby zapełnić sklepy w każdym z trzech „Światów” luksusowymi towarami, a z restauracji dochodziły zapachy wszelkiego rodzaju potraw. Rozkwitły nocne kluby i kabarety. Ja zadowoliłem się kupnem chińskich pędzelków do pisania i kadzideł. Te drugie, ku niezadowoleniu kolegów z pokoju, paliłem co wieczór przed pójściem spać.

Kiedy życie w „Trzech Światach” osiągnęło swój przedwojenny poziom wesołości, można było w nich znaleźć wszystko, co zaspokajało wszelkiego rodzaju gusta – od najprymitywniejszych do najwybredniejszych. Raz czy dwa poszedłem obejrzeć przedstawienie w tradycyjnym teatrze

chińskim. Wyspecjalizowani w tragediach aktorzy w kostiumach uszytych z ozdobnego brokatu deklamowali i śpiewali nienaturalnie falsetowymi głosami. Każde poruszenie się aktorów na scenie zaznaczone było wściekłym brzękiem cymbałów, któremu dodatkowo towarzyszył głuchy lub przenikliwy odgłos mniej mi znanych instrumentów muzycznych. Przedstawienia ciągnęły się w nieskończoność – wydawało się, że trwają całe popołudnie i cały wieczór. Podobnie jak w teatrze elżbietańskim i jakobińskim role kobiet grali młodzi chłopcy.

Chociaż muzyka ta była dla mnie po prostu hałasem, to moje doświadczenia z klasyczną muzyką indyjską przekonały mnie, że po odpowiednich studiach z pewnością w końcu umiałbym się nią cieszyć nie mniej niż jej zachodnim odpowiednikiem. Skoro potrafiłem docenić chińską poezję i malarstwo, dlaczego nie miałbym docenić chińskiej muzyki? A jednocześnie, być może z powodu braku odpowiedniej wiedzy technicznej na ten temat, miałem nieodparte poczucie, że muzyka narodu bardziej odzwierciedla jego duszę niż jej siostrzane sztuki piękne, skutkiem czego jest bardziej zawiła i trudniejsza do zrozumienia.

Na przeciwległym krańcu spektrum rozrywek były zapasy w stylu wolnej amerykanki. Olbrzymi Sikhowie z długimi włosami związanymi na czubku głowy w węzeł, o gibkich ciałach błyszczących od olejku, oświetleni łukowymi lampami, z wielkim wysiłkiem walczyli z ciężkimi Chińczykami o potężnie rozwiniętych mięśniach. W zapasach brali udział wszyscy – Afrykańczycy, Malajowie i Europejczycy. Mój kolega z pokoju, Alf, były górnik, który namówił mnie, żeby z nim pójść na zawody, z ogromnym podnieceniem wychylał się ze swego miejsca w stronę ringu przy każdym chwycie i rzucie. Ja natomiast, nie potrafiąc docenić subtelniejszych aspektów tej sztuki walki, zwyczajnie się nudziłem. Większe zainteresowanie niż triki zapaśników budziły we mnie reakcje publiczności. Za każdym razem, kiedy dało się słyszeć trzask pękającego stawu, tłum wydawał z siebie syk satysfakcji, a na widok krwi po prostu wył z zachwytu. Na krzesłach najbliżej ringu żony wysokich rangą oficerów wojskowych z entuzjazmem biły brawo.

Dzielnica hinduska – mała wyspa w morzu chińskiego humanizmu – była najbrudniejszą i najbardziej nieprzyjemną częścią w całym mieście. Szyldy sklepowe były głównie w języku tamilskim, gdyż, mimo że nie brakowało tam przedstawicieli ze wszystkich części Indii, to większość singapurskich Hindusów wywodziła się z plemion drawidyjskich z południa Indii. Już chciałem skręcić w boczną uliczkę, na której miałem nadzieję znaleźć singapurski ośrodek Misji Ramakriszny, gdy zauważyłem czerwony znak ‘zakaz wejścia’. Ostrożnie rozejrzałem się, zerkając w górę i w dół głównej ulicy, czy nie widać gdzieś patrolu wojskowej policji, po czym chyłkiem skręciłem w uliczkę i chwilę później energicznie stukałem do składanej bramy budynku Misji. Mnich, który mi otworzył, musiał być zdumiony widząc młodego brytyjskiego żołnierza. Jednak już po kilku minutach gawędziliśmy całkiem swobodnie. Był starszym tęgim mężczyzną średniego wzrostu. Kantaradż powiedział mi wcześniej, że z powodu swego absolutnie niewzruszonego spokoju mnich ten znany był w Misji jako Budda Maharadż. Z pewnością było w nim coś przypominającego buddę, nie tylko w pogodnym zachowaniu, ale też w wyrazie wesołej dobrotliwości, jaka promieniowała z jego twarzy. Nawet oczy miał pełne uśmiechu.

Z wielkim zainteresowaniem wysłuchał historii o moich związkach z ośrodkami Misji w Kolombo i Kalkucie, od czasu do czasu przerywając mi pytaniem o jednego czy drugiego swamiego, którego znał osobiście, ponieważ od czasu japońskiej okupacji nie miał od nich żadnych wiadomości. Misja również nic o nim nie wiedziała. O tym, że nadal żyje, dowiedzieli się dopiero z mojego listu, który niedługo po tej wizycie napisałem do Belur Math. W pewnym momencie Budda Maharadż powiedział mi z uśmiechem, że w czasie wojny budynek zarekwirowała armia japońska. Żołnierze obozowali nawet w kaplicy. Po powrocie Brytyjczyków został wezwany na przesłuchanie, ponieważ w przeciwieństwie do Chińczyków, który zasadniczo pozostali lojalni, społeczność hinduska aktywnie współpracowała z Japończykami. Dzięki interwencji pewnego oficera z armii, który był zaznajomiony z działalnością Misji w Indiach, zwolniono go po kilku godzinach.

Od tej pory byłem regularnym gościem w aszramie. Budda Maharadż dużo mi opowiadał o ponurych dniach pod japońską okupacją. Mówił też o ‘naczelnym dowódcy’ tak zwanej Hinduskiej Armii Narodowej, który nazywał się Subhas Czandra Bose, a którego krwiożerczych tyrad

słuchałem czasami w Delhi podczas nasłuchu radiowego. Chociaż Maharadż nie przyznał się wprost do tego faktu, to najwyraźniej służył pod nim jako ktoś w rodzaju wojskowego kapelana. Oprócz służącego, trzecim i ostatnim mieszkańcem aszramu był młody tamilski nowicjusz. Goście zjawiali się rzadko. Był jednak wśród nich pewien wybitny chiński buddysta, z którym mimo dużej różnicy wieku szybko się zaprzyjaźniłem.

Tan Keng Lok był chińskim biznesmenem od wielu lat odgrywającym czołową rolę w działalności buddyjskiej w Singapurze. Przed wojną założył Międzynarodowy Związek Buddystów – organizację, której celem było nie tylko połączenie buddystów wszystkich narodowości, ale też szersze propagowanie nauk Buddy i oczyszczenie niektórych aspektów popularnych chińskich praktyk buddyjskich. W trakcie japońskiej okupacji ogromnie się nacierpiał. Jego starszy syn został aresztowany przez tajną policję i więcej o nim nie słyszano. Powiedział mi, że nie ma ani jednej chińskiej rodziny, w której przynajmniej jedna osoba nie zmarła na skutek ciężkich tortur. Inni moi chińscy przyjaciele nie tylko potwierdzili jego relację, ale też opisywali wstrząsające szczegóły różnych metod torturowania. Jedną z łagodniejszych było wpompowanie wielu litrów wody do żołądka ofiary i potem skoczenie na jej brzuch. Przesądni wierzyli, że budynek YMCA (Young Men Christian Association – Stowarzyszenie Młodzieży Chrześcijańskiej), w którym mieściła się kwatera główna tajnej policji, jest nawiedzany przez duchy tysięcy osób zamordowanych w jego murach. Pod takim reżimem niemożliwa była jakakolwiek działalność buddyjska. Jednak pewien japoński naukowiec, związany z działalnością kulturalną administracji okupanta, wydał w tamtym czasie dwie książki o buddyzmie w języku angielskim. Nie wynikało z nich jasno, czy zachowanie swoich rodaków uważał za zgodne z buddyjskimi zasadami.

Oprócz tego, że Tan Keng Lok zapraszał mnie do swego domu, gdzie dyskutowaliśmy o buddyzmie racząc się szklankami oranżady, pokazał mi również kilka chińskich świątyń. Chociaż pod wieloma względami bardzo różniły się od swoich syngaleskich odpowiedników, to tchnęły podobną atmosferą spokoju, gdyż nad wszystkimi górowała obecność tego samego złotego posągu z półprzymkniętymi oczami i łagodnym uśmiechem na wargach.

Odbyłem też z nim kilka wizyt, w czasie których mogłem złożyć swoje uszanowanie różnym wybitnym chińskim mnichom. Czcigodny Siak Kiong Hiup, mała postać w czarnych jedwabnych szatach, mieszkał samotnie (tylko w towarzystwie swych świętych ksiąg i obrazów) na cichej uliczce niedaleko jednego ze ‘Światów’. Zawsze kiedy się kłaniał, a robił to bardzo często, na jego ogolonej głowie można było dostrzec blizny, które zgodnie z tradycją chińskiej mahajany zostały mu wypalone świeczkami w trakcie ceremonii ordynowania. Oznaczały one gotowość do cierpienia na rzecz wszystkich czujących istot. Aktywny, przyjazny, skromny i uprzejmy – rzeczywiście był dobrym przykładem mnicha bodhisatwy. Tan Keng Lok powiedział mi, że wielu chińskich buddystów przychodzi do Siak Kiong Hiupa studiować święte pisma. Chociaż mnich nie mówił ani słowa po angielsku, a ja nie znałem dialektu Hokkien, zostaliśmy dobrymi przyjaciółmi i lubiłem myśleć, że nawet pod nieobecność naszego tłumacza, Tan Keng Loka, potrafilibyśmy się porozumieć.

Czcigodny Phoe Thaj, który mieszkał w małym klasztorze za miastem, mógłby być oryginalnym ‘śmiejącym się Buddą’. W przeciwieństwie do czcigodnego Siaka Kionga Hiupa, nosił żółte szaty o syngaleskich wzorach, które pozwalały mu wyeksponować jego potężny brzuch. Miał twarz najweselszą ze wszystkich, jakie w życiu widziałem. Chcąc zilustrować jakieś zawiłe nauki, które wyjaśniał Tan Keng Lokowi, w pewnym momencie żywo skoczył do wewnętrznego pokoju. Nagle w ścianie otworzyło się małe ‘biletowe’ okienko ukazując jego roześmianą twarz, którą co chwila zakrywał rogiem swojej szaty. Zniknął na chwilę, a zaraz powrócił do okienka z dużą czarną żebraczą miską. Po raz kolejny wybuchnął śmiechem i zatrzasnął okienko – rozmowa była skończona. Tan Keng Lok, oglądający to przedstawienie z żywym zainteresowaniem, powiedział mi później, że gruby mnich był bardzo zaawansowany w rozwoju duchowym i dobrze zorientowany w medytacji.

Poznawszy buddystów chińskich, bardzo pragnąłem skontaktować się z innymi buddyjskimi społecznościami. Od Buddy Maharadża albo od Tana Kenga Loka dowiedziałem się, że na przedmieściach istnieje świątynia syngaleska. Tam, w maleńkim pokoju przyjęć poznałem

czcigodnego M.M. Mahawirę – bardzo spokojnego i trochę tajemniczego człowieka, który od wielu lat zarządzał świątynią. Oprócz Walpoli Rahuli, który rozmawiał wyłącznie o polityce, i mnicha w Kandy, który chciał pojechać do Ameryki, był on pierwszym mnichem therawadyjskim znającym angielski na tyle dobrze, aby odpowiedzieć na proste pytania o doktrynę.

Życie w świątyni wydało mi się nie tyle spokojne, co po prostu ogarnięte stagnacją, ale może była to tylko z góry założona opinia osoby z Zachodu. Jedynymi jej gośćmi było dwóch lub trzech Syngalezów oraz jeden czy dwóch buddystów chińskich. W rezultacie chodziłem tam o wiele rzadziej niż do aszramu. Jednak podczas jednej z moich wizyt czcigodny Mahawira poinformował mnie z uśmiechem, że przyjechało trzech uczonych mnichów syngaleskich, którzy pozostaną u niego przez dwa lub trzy tygodnie. Takiej okazji nie mogłem przegapić. Owi mnisi stanowili sławne trio – nazywali się Soma, Kheminda i Pannasiha. Wkrótce wyszło na jaw, że byli zaproszeni do pracy w instytucie studiów buddyjskich we wschodnich Chinach. Niestety przejazd przez opanowane przez komunistów terytorium, które dzieliło ich od miejsca przeznaczenia, okazał się niemożliwy. Zdecydowali się więc zawrócić i byli teraz w drodze powrotnej na Cejlon. Mnich Soma, który stawił czoło impetowi moich pytań, był nachmurzonym zwalistym mężczyzną o mieszanych korzeniach holendersko-syngaleskich. Podobnie jak Kheminda pochodził z rodziny chrześcijańskiej i przed ordynowaniem pracował na poczcie. Jego twarz, głęboko naznaczona wewnętrznym stresem i napięciem, wyrażała ponurą determinację, jakby nadal toczyła się w nim moralna i duchowa walka. Chociaż silnie obstawał przy zasadach ‘fundamentalistycznego’ buddyzmu therawady rozpowszechnionego w południowo-wschodniej Azji, nie był obojętny na kwestie ekumeniczne. W odpowiedzi na pytanie o bardziej ‘rozwinięty’ buddyzm mahajany w Chinach, Japonii, i Tybecie, stwierdził, że jest on do przyjęcia tylko w takim stopniu, w jakim zgadza się z oryginalnymi świętymi pismami w języku palijskim przekazywanymi od pokoleń na Cejlonie. Wziąwszy pod uwagę, że dla przedstawicieli therawady rozwój oznaczał degenerację i że zazwyczaj odrzucali oni mahajanę w całości jako całkowitą zdradę buddyzmu, było to z jego strony bardzo duże ustępstwo. W kwestii życia monastycznego poglądy mnicha Somy były jeszcze mniej konwencjonalne. Opowiadając o pewnym incydencie, który przytrafił mu się w podróży (chodziło zdaje się o próbę uwiedzenia go), stwierdził, że prawdziwy mnich powinien umieć pokusę przezwyciężyć zamiast od niej uciekać, i jeśli zaszłaby taka konieczność, powinien być na tyle opanowany, aby spojrzeć na nagą kobietę nie odczuwając przy tym pożądania.

Jednak tematem, który najbardziej chciałem z nim przedyskutować, była medytacja, a nie dopuszczalność lub niedopuszczalność mahajany, czy też właściwy sposób, w jaki mnich miałby patrzeć na nagą kobietę. Wręczając mu cienką broszurkę o *anapana-sati*, czyli o świadomości procesu oddychania, którą kupiłem sobie na Cejlonie, zapytałem, czy poleca opisaną w niej metodę. Mnich Soma odpowiedział stanowczo i bez wahania, że jest to najlepsza z metod, dodając, że Budda praktykował ją tuż przed swoim Oświeceniem. W rzeczywistości, ponieważ on sam odniósł dzięki niej ogromne korzyści, przetłumaczył na język angielski kanoniczny tekst, w którym została wyłożona i objaśniona, łącznie z komentarzem. Dał mi nawet w prezencie egzemplarz tej pracy razem z dwiema czy trzema innymi książkami, które opublikował.

Tej nocy, po raz trzeci od czasu opuszczenia Anglii, usiadłem pod swoją moskitierą, aby medytować, kiedy koledzy z pokoju już zasnęli. (Jednostkę przeniesiono do zespołu budynków na innych przedmieściach i teraz spaliśmy w pokojach po pięciu lub sześciu). Tym razem sukces był natychmiastowy. Umysł najpierw stał się pogodny, potem napełnił się spokojem i czystością, a w końcu ogarnęło mnie ‘szczęście głębokie i nieziemskie w pełnym tego słowa znaczeniu’, które było tak intensywne, że musiałem przerwać praktykę. Oczywiście warunki, w jakich wtedy żyłem, nie były idealne do medytowania, dlatego zdecydowałem, że będę kontynuował praktykę w późniejszym okresie, kiedy staną się bardziej sprzyjające. Dotrzymałem tego postanowienia. Chociaż therawada w wersji, jaką praktykował mnich Soma oraz autor cienkiej broszurki, stanowiły antytezę mojej własnej akceptacji całej buddyjskiej tradycji z wszystkimi jej odnogami, odczuwam wobec nich wdzięczność za wprowadzenie mnie do praktyki, która przez długi czas była moją kotwicą w życiu duchowym.

Rozdział 14

Zbiegi okoliczności

Czy to dzięki przypadkowi, czy też dzięki tajemniczym siłom kształtującym mój los, w przeciągu miesiąca od czasu eksperymentu z medytacją spotkałem człowieka, z którym rok później rozpocząłem systematyczne praktykowanie tej metody.

Rabindra Kumar Banerdżee był wysokim, dobrze zbudowanym Bengalczykiem w kwiecie wieku. Zostaliśmy przyjaciółmi od chwili, kiedy poznaliśmy się dzięki Buddzie Maharadż. Rabindra nosił mundur khaki, podobnie jak ja, ale na jego epoletach widniały trójkolorowe insygnia Narodowego Kongresu Indii. Miał bardzo szczerą i rozmowną naturę z dużą dozą naiwnej chełpliwości, więc dość szybko zaczął opowiadać mi o sobie bez żadnych zahamowań czy powściągliwości. Jego życiową pasją była polityka. Choć szanował Gandhiego za jego siłę moralną, to nie wierzył, aby można było odzyskać niepodległość metodą niestosowania przemocy. Bohaterem był dla niego Subhas Bose, który ogłosił przez radio, że ma zamiar dotrzeć do Delhi brodząc w morzu krwi. W rzeczywistości, w okresie kiedy przyszły głównodowodzący Narodowej Armii Hinduskiej był Przewodniczącym Kongresu, Rabindra pracował dla niego jako wolontariusz. Po aresztowaniu Bose'gi i jego późniejszej dramatycznej ucieczce na terytorium państw Osi wstąpił do Królewskich Sił Powietrznych Indii, aby działać w nich jako dywersant. Kiedy go stamtąd wydalono, najwyraźniej związał się nie tylko z Kongresem, ale też z jawnie prawicowym i ortodoksyjnym ruchem nacjonalistycznym zwanym Hindu Mahasabha. W okresie, kiedy się poznaliśmy, był członkiem mobilnego oddziału medycznego wysyłanego przez Kongres do miasteczek i wsi w głębi kraju, aby nieść bezpłatną pomoc medyczną w rejonach, gdzie nadal brakowało lekarstw – miało to być wyrazem dobrej woli Hindusów wobec Malajów.

Mimo że urodził się w ortodoksyjnej rodzinie bramińskiej, był zaprzysięgłym wrogiem systemu kastowego i ani nie wierzył w jakiekolwiek formy dyskryminacji społecznej, ani ich nie praktykował. Religię gwałtownie potępiał, prawdopodobnie dlatego, że identyfikował ją wtedy w swoim umyśle z nieludzkim systemem społecznym sankcjonowanym przez tradycję, do której należał z urodzenia. Niemniej jednak, za jego antyreligijnymi wybuchami dostrzegałem silną motywację etyczną, więc nie tylko rozmawiałem z nim o religii, ale też, kiedy wyruszał na trzymiesięczną wyprawę, pożyczyłem mu książki o Wedancie, mając nadzieję, że przygotują jego umysł na ewentualne przyjęcie buddyzmu.

Podczas jego nieobecności nawiązałem inny ważny duchowy kontakt. Przy okazji jednej z moich wizyt u Tan Keng Locka zauważyłem, że u wylotu ulicy, przy której mieszkał, stoi tablica ogłoszeniowa z informacją o Singapurskiej Loży Towarzystwa Teozoficznego. Pomimo mego długu wdzięczności wobec *Izis zasłoniętej*, z upływem czasu rozwinęło się we mnie (z zapomnianych już powodów – jeżeli w ogóle były jakieś powody) silne uprzedzenie do teozofii. Poemat prozą, który skomponowałem w czasie podróży do Indii, mówił o 'złym, teozoficznym obliczu'. Teraz jednak ciekawość wzięła górę nad uprzedzeniami. Sposób, w jaki mnie powitano podczas mojej pierwszej wizyty w Loży, oraz miła i przyjazna atmosfera spotkań szybko mnie urzekły i chociaż nigdy nie wstąpiłem do Towarzystwa, aktywnie uczestniczyłem we wszystkich zajęciach otwartych dla osób z zewnątrz. Chyba najbardziej podobał mi się tam sposób, w jaki praktykowano braterstwo – pierwszy z trzech celów Towarzystwa Teozoficznego. Nigdy wcześniej nie widziałem, aby przedstawiciele tak wielu różnych ras, narodów i religii współdziałali na zasadzie idealnej równości i przyjaźni – ten widok wywarł na mnie głębokie wrażenie. Kilku członków pochodziło z Zachodu, między innymi przewodniczącym był młody kanadyjski biznesmen, a skarbnikiem angielski kupiec.

Chociaż zawarłem tam kilka nowych przyjaźni z Hindusami i Chińczykami, to najgłębsza i najbardziej osobista więź połączyła mnie z Rie – holenderską teozofką w drugim pokoleniu – i jej szwedzkim mężem Stenem. Stało się tak częściowo dlatego, że Rie – jak wielu teozofów odczuwała silniejszy pociąg do Buddy niż do jakiegokolwiek innego nauczyciela religijnego – a częściowo dlatego, że cała działalność Loży obracała się wokół tej pary. Choć nie byli już młodzi, pobrali się

stosunkowo niedawno. Bardzo do siebie pasowali zarówno pod względem mentalnym jak i fizycznym. Oboje byli wysocy, szczupli, o jasnej karnacji i oboje żyli wyłącznie dla teozofii. Ściśle przestrzegali diety wegetariańskiej i twierdzili, że nawet ich kotka nauczyła się wystrzegać mięsa i ryb, i swoim kociętom nie przynosiła myszy tylko kawałki bardzo przez nią lubianego ogórka.

Początkowo chodziłem tam tylko słuchać wykładów i pożyczać książki z biblioteki Loży. Oprócz pism Annie Besant oraz C.W. Leadbeatera, których wartość okazała się o wiele większa niż mogłem się spodziewać, będąc tak pełen uprzedzeń, przeczytałem serię dzieł na temat hinduskiej tantry napisaną przez Sir Johna Woodroffe we współpracy z hinduskimi panditami i opublikowaną pod pseudonimem 'Arthur Avalon'. Mimo tendencji do zacierania fundamentalnych różnic między hinduskim i buddyjskim systemem tantrycznym – różnic, których ja sam w owym czasie nie dostrzegałem – te drobiazgowo opracowane tomy były dla mnie pod wieloma względami rewelacją. Hinduizm najwyraźniej nie powinien być utożsamiany z porządnie rozcieńczonym wedantyzmem Misji Ramakriszny.

Podczas gdy ja odkrywałem teozofię i tantrę, Loża odkryła wykładowcę. Pojęcia nie mam, dlaczego członkowie Loży uznali, że dwudziestojednoletni żołnierz będzie dobrym mówcą. Ku mojemu zdumieniu, choć nie ich, mój pierwszy wykład okazał się sukcesem. Idee, jakie przychodziły mi do głowy, rozwijały się same jak perski dywan i układały w zawiłe wzory, które wyrażałem w barwnych słowach bez najmniejszych trudności. Czułem zdenerwowanie tylko do momentu, kiedy podniosłem się, aby przemówić. Po tej pierwszej próbie okazało się, że jest na mnie jako wykładowcę wielkie zapotrzebowanie nie tylko w Loży, ale też w Aszramie, gdzie Budda Maharadż udzielił mi pożytecznych wskazówek w kwestii publicznego przemawiania. Tan Keng Lock, który zachęcony przeze mnie reaktywował niedawno swoją organizację pod nazwą 'Unia Buddyjska', teraz załatwił mi wykłady w chińskich świątyniach pod jej auspicjami. Wśród słuchaczy Loży generalnie stosunkowo duży procent stanowili młodzi ludzie, którzy zadawali też pytania. W świątyniach, gdzie wykłady musiały być tłumaczone na dialekt Hokkien, stałem przed rzędami pobożnych starszych chińskich dam ubranych w czarne jedwabne spodnie i żakiety, siedzących na małych drewnianych stołkach. Niektóre z nich w trakcie mojego wystąpienia odmawiały modlitwy na paciorkach. Na zakończenie spotkania jedna po drugiej kuśtykając podchodziły do wykładowcy i składały uprzejmy pokłon. Spotkania Loży kończyły się herbatą i ciastkami. Natomiast w świątyniach czcigodny Siak Kiong Hup w ukłonach prowadził nas do pokoju, gdzie czekał stół zastawiony chińskimi przysmakami wegetariańskimi.

Częściowo idąc za przykładem chińskich mnichów, którzy w przeciwieństwie do syngaleskich bhikkhu powstrzymywali się od jedzenia mięsa i ryb, a częściowo na skutek moich dyskusji z Rie i Stenem zdecydowałem się przejść na wegetarianizm. Podjąłem tę decyzję bynajmniej nie pod wpływem argumentu hinduizmu – „Czystość pokarmu prowadzi do czystości umysłu". Uprzytomniłem sobie, że zabijanie zwierząt dla pożywienia nie zgadza się z buddyjskimi naukami o uniwersalnym współczuciu, a więc logicznie rzecz biorąc, jeśli ktoś twierdzi, że jest praktykującym buddystą, to powinien być wegetarianinem. Mięsa wyrzekłem się od razu, natomiast ryby porzuciłem kilka miesięcy później. Hinduscy kucharze gotujący w nowej siedzibie naszego oddziału uśmiechnęli się znacząco, kiedy odmówiłem zjedzenia swojej porcji wołowiny lub baraniny. Drwili sobie ze mnie mówiąc „On na pewno jest braminem". W kantynie moja ekstrawagancja przeszła bez komentarza. Ponieważ mięso i warzywa zazwyczaj gotowano razem, często musiałem się obywać bez ciepłego posiłku. W takich przypadkach sięgałem po twarde suchary armii amerykańskiej i ser z puszki, które stały zawsze na środku stołu nietknięte przez moich mięsożernych kolegów.

Jedno zastosowanie buddyjskiej zasady wiodło do następnej i wkrótce uprzytomniłem sobie, że jestem przeciwnikiem nie tylko jedzenia mięsa, ale też stosowania przemocy w jakiejkolwiek formie, i że nie powinienem był pozwolić, aby powołano mnie do wojska. Kiedy pod koniec spotkania w Loży pewien młody Hindus będący jej członkiem zapytał mnie, czy buddysta może być żołnierzem, szczerze przyznałem, że nie może, dodając że mam nadzieję wyplątać się wkrótce z tej nienormalnej sytuacji.

Jeśli chodzi o moralną stronę prowadzonych wówczas w Singapurze procesów sądowych o

przestępstwa wojenne, przez długi czas miałem w tej kwestii wątpliwości. Zastanawiałem się, czy wyrażały one silną determinację w dopilnowaniu, aby pewne zasady zachowania pozostały nienaruszalne nawet w czasie wojny, czy też były obłudnym upokarzaniem tych, którzy przegrali, dokonywanym pod hasłami sprawiedliwości. Jeśli uważamy, że trzeba postawić przed sądem generała Hideki Tojo, to dlaczego nie Trumana? Zakładamy, że Japończycy popełniali okrucieństwa, ale kto zrzucił bombę atomową? Popularna piosenka nawoływała Amerykanów, aby pamiętali o Pearl Harbour. Niewątpliwie podobna piosenka ostrzegała Japończyków, aby nigdy nie zapominali o Commodore Perry. Jakakolwiek próba przypisania odpowiedzialności za wojnę tylko jednemu narodowi najwyraźniej prowadziła do nieskończonego łańcucha wstecz we wzajemnych oskarżeniach i kontroskarżeniach. Poza tym, czyż Alianci nie wyznawali religii chrześcijańskiej i czy Chrystus nie uczył swoich wyznawców, aby wybaczali wrogom? W końcu zdecydowałem, że Hiroszima i Nagasaki stanowiły tak wielki ciężar na szali równowagi, że byłoby niemądrze, gdyby zwycięzcy żądali przyznania im monopolu na moralną wrażliwość.

Angielscy buddyści w Londynie również dyskutowali o etycznej stronie procesów wojennych. Clare Cameron napisała mi, że wielu z nich doświadczyło głębokiego szoku, kiedy Humphreys poleciał do Japonii, aby wziąć udział w odbywających się w Tokio procesach o przestępstwa wojenne jako asystent adwokata po stronie oskarżyciela. Ja również czułem, że zadanie jakiego się podjął, zupełnie nie pasuje do jego funkcji przewodniczącego Towarzystwa Buddyjskiego, który powinien przecież być strażnikiem głoszonych przez Towarzystwo ideałów. Ale kiedy do niego napisałem w tej sprawie, wyrażając swoje zdanie, odpowiedział szorstko „Japończycy tak nie uważają, więc nie widzę powodu, żebyś ty tak myślał".

Arnold Price był kolejnym przyjacielem z Towarzystwa Buddyjskiego, który stale do mnie pisał. Mieszkał w przyczepie kempingowej, którą nazwał 'Mahajana', zarabiał na życie wykonując różne prace stolarskie w wioskach, przez które przejeżdżał, i nadal z wielkim trudem uczył się języka chińskiego. Zapytał w liście, czy w Singapurze są dostępne jakieś teksty buddyjskie po chińsku. Tan Keng Lock oraz czcigodny Siak Kiong Hiup, z którymi się w tej sprawie skonsultowałem, ostatecznie postarali się o egzemplarze trzech ważnych kanonicznych tekstów, z których dwa okazały się wielotomowe. Zostały one szybko wysłane do 'Mahajany'. W następnym liście Arnold rozpływał się z entuzjazmem nad tekstem *Peaks and Lamas* autorstwa Marco Pallisa, pisarza, o którym nigdy nie słyszałem. „Musisz to przeczytać, jeśli tylko będziesz miał okazję," – oświadczył. I znów nastąpił jeden z tych dziwnych zbiegów okoliczności, które tak często przydarzały mi się w życiu. Kilka dni później zobaczyłem tę książkę w bibliotece publicznej w Singapurze. Buddyzm tybetański, o którym autor pisał mając na ten temat wiedzę z pierwszej ręki, wzbudził we mnie natychmiastową reakcję. Nadchodzące wydarzenia rzucały wcześniej swoje cienie. Marco Pallis nie tylko stał się później moim bliskim przyjacielem i cenionym doradcą, ale też hojnie dostarczał środków na zrealizowanie niejednego wymarzonego projektu. Tymczasem chciwie przeczytałem jego książkę. Poruszyła mnie zwłaszcza pieśń, w której Milarepa, tybetański poeta i święty, obwołuje potłuczony garnek swoim mistrzem, ponieważ nauczył go prawa o nietrwałości.

Niedługo potem nastąpił kolejny zbieg okoliczności. W książce Dwighta Goddarda *Buddhist Bible*, którą pożyczyłem z biblioteki Loży, znalazłem pełną wersję *Tibet's Great Yogi Milarepa*. Trudno byłoby znaleźć potężniejszy bodziec do prowadzenia życia duchowego niż to arcydzieło religijnej autobiografii. Kiedy ją czytałem, włosy stawały mi dęba na głowie i łzy napływały do oczu. Jeśli miałem jeszcze jakiekolwiek wątpliwości co do natury swojego powołania, zostały one teraz rozproszone i od tej pory żyłem już tylko w oczekiwaniu na dzień, kiedy będę wolny, abym mógł podążać tą ścieżką aż do jej końca – ścieżką, która jak się wydawało była rzeczywiście moja od samego początku.

Rozdział 15

Koniec początku

Banerdżee powrócił do Singapuru przepełniony oburzeniem na pozostałych członków misji medycznej, którzy zamiast bezpłatnie rozdawać lekarstwa i medykamenty chorym i potrzebującym, praktycznie sprzedali cały cenny zapas właścicielom aptek, dorabiając się w ten sposób małych fortun. Jego miłująca prawdę natura wzdrygała się na ten wyjątkowo ohydny rodzaj nieuczciwości, więc stopień jego oburzenia dobrze o nim świadczył. Widziałem też jednak, że to fatalne zachowanie lekarzy było okazją do ujawnienia bardzo mocno tkwiącej w nim tendencji do surowego potępiania innych. To z kolei stanowiło bazę dla nieświadomego egotyzmu. Należał do tego rodzaju ludzi, którzy sami byli na tyle silni, żeby oprzeć się pokusie, ale bezlitośnie potępiali słabsze dusze, nie zdając sobie sprawy, że ich surowość jest tylko trudniej rozpoznawalnym przejawem tego samego zła, na które pomstowali. Oczywiście nie powiedziałem mu o swoich wnioskach. Chociaż gotów był naprawić swoje zachowanie natychmiast, kiedy go przekonano że źle postąpił, to jednak przekonać go o tym było niezwykle trudno.

Buddyzm był oczywiście często wspominany w naszych rozmowach i wydaje mi się, że Banerdżee był nawet na jednym z moich wykładów. Choć cieszyło mnie, że odrzucał system kastowy, to jednak był zbyt głęboko oddany ideologii nacjonalistyczno-lewicowej partii politycznej All India Forward Bloc, aby żywić większą sympatię do tak pacyfistycznych nauk. Jak wielu innych Bengalczyków miał poczucie, że zbyt duży nacisk na buddyzm z jego ideą niestosowania przemocy osłabił Indie politycznie. Dlatego nasze dyskusje kończyły się przeważnie zgodą na to, że się różnimy. Jeśli jednak on był skałą, ja byłem wodą i późniejsze wydarzenia pokazały, że moje słowa nie pozostały całkiem bez wpływu.

W międzyczasie interesując się głównie polityką nacjonalistyczną, a zwłaszcza poczynaniami Subhasa Bose, którego los był wtedy przedmiotem gwałtownych kontrowersji, mój przyjaciel badał historię Hinduskiej Armii Narodowej oraz tak zwanego Tymczasowego Rządu Azad Hind – byli członkowie obu tych instytucji nadal czaili się w Singapurze. Kolekcjonował też literaturę dotyczącą walki o niepodległość. Poprzez niego poznałem kilku współpracowników Bose'go. Jednym z nich był spokojny, sympatyczny młody dyrektor szkoły nominowany na ministra edukacji i kultury. Była też tamilska dziewczyna, która w wieku szesnastu lat została sierżantem w kobiecym regimencie Hinduskiej Armii Narodowej nazywanym The Rhani of Jhansi. Kiedy się poznaliśmy, ona i jej siostra nie tylko żyły w nędzy, pozbawione środków do życia, ale też przeżywały ogromny stres spowodowany niepożądanym zainteresowaniem ze strony hordy hinduskich sipajów30, którzy uważali pozbawione opieki dziewczyny za należną sobie zdobycz. Banerdżee obiecał załatwić im pracę w Indiach i kiedy wyjeżdżał, poprosił mnie, abym nadal dostarczał im jedzenie w puszkach. Zbierana przez niego literatura składała się głównie z książek zakazanych w Indiach, takich jak przemówienia Subhasa Bose'go, które dał mi do przeczytania. Chociaż całym sercem sympatyzowałem z ideą niepodległości Indii, to jednak militaryzm w stylu ołowianych żołnierzyków głoszony przez pulchnego bengalskiego lidera w okularach nie przypadł mi do gustu. Ale wydawało się, że ta odmienność opinii tylko wzmacniała moją przyjaźń z Banerdżeem, będącą klasycznym przykładem przyciągania się przeciwieństw. Kiedy po dwóch miesiącach spędzonych w Singapurze wsiadał na statek płynący do Indii, uroczyście obiecaliśmy sobie, że spotkamy się w Kalkucie najszybciej jak będzie to możliwe po mojej demobilizacji.

Ostatnie miesiące mojego życia w wojsku były pod pewnymi względami najbardziej nieznośne ze wszystkich. W kilka tygodni po przybyciu Oddziału do Singapuru stało się oczywiste,

---

30

Hinduscy żołnierze służący w armii brytyjskiej lub innej europejskiej. [przyp. tłum.]

że nasza praca tak naprawdę skończyła się w dniu zwycięstwa nad Japonią. Dlaczego więc tkwiliśmy w Singapurze? Najpierw przypisywaliśmy ten transfer zwykłemu idiotyzmowi armii. Ale wkrótce okazało się, że byliśmy tam, aby wykonać pracę dla pewnych sił kolonialnych, które nie bez trudu starały się przywrócić swoją dominację nad terytoriami odzyskanymi od Japończyków. Powojenna Azja nie była w nastroju do łyknięcia kolejnej dawki białego imperializmu. Ernie, ja i kilku innych młodych operatorów radiowych, których nie awansowano, stanowczo uważaliśmy, że jeśli ta wojna toczyła się o niepodległość, to niby dlaczego teraz, kiedy zakończyła się zwycięstwem, mielibyśmy pomagać w tłumieniu ruchów wolnościowych w kraju, który wyzwoliwszy się od jednego prześladowcy nie miał najmniejszej ochoty patrzeć, jak zastępuje go kolejny. Poza tym, Anglia ustępowała żądaniom niepodległościowym na terenie własnego imperium. Dlaczego więc miałaby brać udział w brutalnym tłumieniu podobnych żądań na terytoriach, które do niej nie należały? Dlatego zdecydowaliśmy, że będziemy prowadzili politykę cichej odmowy współpracy. W naszych dziennikach dyżuru albo pisaliśmy „Zero informacji do raportu," albo, jeśli wydawało się to w zbyt oczywisty sposób podejrzane, zapisywaliśmy jakiś pożądany sygnał wywoławczy, a potem pozwalaliśmy, aby zakłóciły go warunki atmosferyczne. Oficerowie, którzy pilnie przeglądali nasze dzienniki z pewnością zorientowali się, że coś jest nie tak. Nie dysponowali jednak żadną metodą, aby sprawdzić rzetelność naszej pracy, zachowywali więc swoje obawy i podejrzenia dla siebie.

Chociaż przydzielone Oddziałowi zadanie budziło nasz sprzeciw, było jedyną barierą ochronną przed zalaniem nas przez falujące wokół wody głupoty i bezsensowności regularnej armii, które jednak dość często wirowały niebezpiecznie blisko. Starszy sierżant kompanii, którego przydzielono nam wkrótce po przyjeździe Oddziału do Singapuru, szybko wyrzucił nas z wygodnych kwater w willach (które stały potem puste) do namiotów. Właśnie zaczęła się pora monsunowa. Ulewne deszcze biły w zbutwiały i przeciekający brezent, więc woda lała się strumieniami do środka namiotów w setkach miejsc. Przez ponad miesiąc mieszkaliśmy w błocie, wilgoci i chłodzie. Większość z nas była przeziębiona, kilku zachorowało na grypę. Oczywiście to nie miało znaczenia dla dowództwa – musieli nam uświadomić, że jesteśmy w wojsku!

Warunki w następnym obozie, gdzie przebywaliśmy w ludzkich domostwach otoczonych pięknymi kwitnącymi drzewami, były znacznie lepsze, jednak niedługo było nam dane cieszyć się nimi. Albo właściciele zażądali zwrotu zarekwirowanej własności, albo wyżsi rangą oficerowie, mieszkający w apartamentach luksusowego budynku The Cathay lub w Hotelu Raffles, zdecydowali, że nowe kwatery są dla nas za dobre. Trzeci i ostatni obóz ulokowany był na plantacji kauczuku w środku wyspy. Tuż za bramą znajdowała się chińska wioska. Chociaż nadal mieszkaliśmy w namiotach, mniej odczuwaliśmy ich niewygodę częściowo dlatego, że skończyła się pora monsunu, a częściowo dlatego, że oficerowie też mieszkali teraz w kwaterach z brezentu.

Z początku życie było tam niemal sielankowe. Wokół nas drzewa rosły tak gęsto, że nie można było przez nie dojrzeć końca plantacji. Kiedy w namiocie robiło się zbyt gorąco i duszno, czasami wędrowałem w cieniu prostych, strzelistych drzew kauczukowych okrytych szarozielonymi liśćmi. Kiedy nie byliśmy zajęci w Pokoju Radiowym, tymczasowo ulokowanym w olbrzymim baraku Nissena o kształcie połowy walca, pomagaliśmy przy wznoszeniu prostych szkieletów budynków, które ostatecznie pomieściły naszą nową kantynę, stołówkę, pokój rekreacyjny i 'sanitariaty'.

W obozie pracowali również jeńcy wojenni. Byli wśród nich dwaj młodzi, szczupli i skromni oficerowie japońscy. Zawsze kiedy dawaliśmy im papierosy, strzelali obcasami i grzecznie się kłaniali. Obaj niezmiernie lubili zachodnią muzykę klasyczną i często, kiedy przez otwarte drzwi kantyny płynęły dźwięki utworów Bacha lub Beethovena, widać było, że dyskretnie słuchają. Była też grupa Koreańczyków, wolno poruszających się i niezbyt inteligentnych, ale prostych i dość nieszkodliwych. Byli to robotnicy rolni siłą wcieleni do japońskiej armii. Każdego popołudnia, kiedy skończyli swoje obowiązki, zbierali się wokół pompy i stali całkiem nadzy obojętnie namydlając sobie wzajemnie krzepkie pomarańczowe ciała z tęgimi kończynami.

Cieszyliśmy się nowymi udogodnieniami w obozie zaledwie przez kilka tygodni, kiedy bariera pękła i zalała nas powódź bezsensu.

Dowódca brygady, który przyjechał do obozu na inspekcję, był oburzony brakiem dyscypliny. Zbyt wielu ludzi miało wolne. Było za mało przeglądów, żadnych kar, a największym horrorem okazał się brak musztry z bronią. Namioty stały w niewłaściwym miejscu, a linki od namiotów nie były pobielone. Wiadra przeciwpożarowe nie miały namalowanych kółek. Na ziemi poniewierały się jakieś śmieci. Żołnierze byli niewłaściwie ubrani. Operatorzy radiowi chodzili po terenie leniwym spacerkiem zamiast 'przemieszczać się sprężystym wojskowym krokiem'. W ciągu dnia łóżka nie były pościelone i moskitiery nie zdjęte. I tak dalej i tak dalej. Oficer dowodzący dostał ciężką reprymendę i polecenie natychmiastowego wzmocnienia dyscypliny. Instrukcje te były balsamem na duszę starszego sierżanta kompanii. Chociaż oszczędzono nam musztry z bronią, zaczęły się codzienne przeglądy, regularne i surowsze inspekcje namiotów i częste kary. I co to kogo obchodziło, że to wszystko było zupełnie niepotrzebne? Byliśmy w wojsku!

Jednak większość z nas służyła w armii wystarczająco długo, aby wiedzieć, że jeśli tylko nie odmówi się wykonania rozkazu, to w zasadzie wszystko inne może ujść na sucho. Niektórzy zgłosili, że są chorzy. Inni napisali listy do swoich okręgowych reprezentantów Izby Gmin w Anglii, skarżąc się na warunki w Oddziale. Na tablicy ogłoszeniowej pojawiły się satyryczne wierszyki. W końcu, oprócz pewnej liczby drobnych uciążliwości, nie było żadnej zauważalnej poprawy w poziomie dyscypliny w obozie. W rzeczywistości, dostarczając autentycznego powodu do pretensji i zażaleń, w istocie spowodowano jeszcze większe osłabienie dyscypliny.

Było oczywiste nawet dla najmniej inteligentnych, że nie możemy być natychmiast repatriowani i zdemobilizowani. Byliśmy przygotowani na to, że musimy być cierpliwi i czekać na swoją kolej, ale nie byliśmy przygotowani na nękanie nas sztucznie wykreowanymi zajęciami i bezsensownymi ograniczeniami wprowadzanymi tylko po to, by sprawić satysfakcję jakiemuś krętackiemu oficerowi wysokiej rangi, który miał ochotę się porządzić. Odmówiliśmy bycia ofiarą molocha dyscypliny. Niektórzy z nas posunęli się w tym do tego stopnia, że jasno dawali do zrozumienia swoim zachowaniem, że teraz, kiedy wojna się skończyła, uważamy swój pobyt w armii za czysto nominalny. Byłem jedną z tych osób. Nie przebywałem w obozie nawet minuty dłużej niż wymagała tego konieczność. Sierżant zawsze kwaśno na mnie patrzył, kiedy wychodziłem za bramę. Kiedyś sprawdził mnie z powodu noszenia białej koszuli. Ale była to regularna bluza khaki, która po prostu straciła kolor w praniu. Miałem ją na sobie, gdy robiliśmy sobie wspólne zdjęcie oczekując rychłego rozwiązania Oddziału.

„Kim jest ten człowiek w białej koszuli?" zaryczał dowódca do sierżanta, kiedy nasze pamiątkowe zdjęcie wywołano i wydrukowano.

W Dniu Wajszakha Purnima, czyli w święto narodzin Buddy, poszedłem do oficera dowodzącego i powiedziałem, że jestem buddystą i chcę wziąć dzień wolny.

„Dzień wolny, co?" powiedział Pringy – jak go nazywaliśmy – podkręcając palcami swoje wąsy. „No cóż, nie możemy chyba wezwać półciężarówki dla jednego człowieka, prawda sierżancie? Niech pan lepiej da dzień wolny całej swojej grupie ukaranych i niech oni też jadą do miasta". Sierżant tylko rzucił gniewne spojrzenie spode łba.

Początkowo zamierzałem zdemobilizować się w Anglii, spędzić trochę czasu z rodzicami i siostrą, a potem wrócić do Indii. Jednak list od przyjaciela, który kiedyś towarzyszył mi w czasie wizyty u Bhikkhu Somy, a który pojechał do domu z podobnym zamiarem, sprawił, że zmieniłem zdanie. Napisał, że ucieczka z Anglii jest niemożliwa, ponieważ rząd wprowadził politykę zapobiegania wyjazdom mężczyzn z kraju. Dlatego postanowiłem porzucić nadzieję na zobaczenie się z rodziną i wziąć sprawy we własne ręce. Zdecydowałem, że poproszę o sześciotygodniową przepustkę na wyjazd do Indii, ponownie tłumacząc się chęcią odwiedzenia wuja Dicka, a kiedy skończy się ten okres, zamiast wrócić do Singapuru, po prostu zniknę. Technicznie będzie to oczywiście podpadało pod dezercję, ale nie miałem w tym względzie żadnych skrupułów. W rzeczywistości, jeśli nie według prawa, wojna się skończyła. Wypełniłem swoje obowiązki wobec ojczyzny i moje życie należało teraz do mnie – mogłem z nim zrobić co zechcę.

Gdyby nie osłoda, jaką dawały mi moje zajęcia w Singapurze, ten okres zawieszenia, który nastąpił po podjęciu decyzji, byłby nie do zniesienia. Niejeden raz ogarnięty czystą desperacją byłem bliski zagłębienia się w dżunglę, żeby pieszo dojść do Tajlandii. Im bardziej zbliżał się mój

dzień wyzwolenia, tym gwałtowniejsze stawało się pragnienie, aby uciec od małostkowości i bezużyteczności życia w wojsku. Wreszcie któregoś ranka, jak we śnie, oddałem do magazynu swój karabin, taśmy i całą resztę znienawidzonego ekwipunku, który nigdy mi się na nic nie przydał. Chociaż nikt inny o tym wtedy nie wiedział, miałem nigdy więcej nie ujrzeć tego sprzętu. Od dnia, kiedy Ernie i ja z trudem brnęliśmy wiejską drogą w Leatherhead, nie było w mym życiu słodszego momentu.

Rozdział 16

Skok na płytką wodę

Jedną z pierwszych rzeczy, jakie zrobiłem w Kalkucie, było skontaktowanie się z Banerdżeem. Spotkaliśmy się w Instytucie Kultury, gdzie przedstawiłem go Kantaradżowi. Po powrocie z Singapuru kupił udział w małej spółce prowadzącej detaliczny handel węglem i podróżował po całej Kalkucie i jej okolicach w poszukiwaniu zamówień. Zawsze błyskawicznie przechodził z jednej skrajności w drugą, więc teraz całkowicie wyrzekł się polityki jako groźby dla społeczeństwa, deklarując, że jedynie działalność religijna i kulturalna stanowią prawdziwe środki służące odrodzeniu Indii.

Wreszcie mieliśmy jakiś wspólny grunt. Jednak mimo że dyskutowaliśmy długo i żarliwie nad kwestią sposobu, w jaki mielibyśmy prowadzić wspólne życie, i nad rodzajem pracy, jakiej chcielibyśmy poświęcić swoją energię, to w obliczu ogromnych różnic dzielących nasze charaktery i pochodzenie, dojście do jakiegoś szybkiego rozwiązania okazało się niemożliwe. Ja chciałem pracować na rzecz buddyzmu i jeśli to możliwe zostać buddyjskim mnichem. On mimo, że całkowicie odrzucał społeczną ortodoksję, to w głębi serca nadal pozostał bengalskim braminem, a jego kategoryczna odmowa ujrzenia w buddyzmie czegoś więcej niż odłamu hinduizmu odebrała tej ocenie wszelką wartość w moich oczach.

Jednak w żadnym razie nie można go było obwiniać o zwykłą nieustępliwość w tej kwestii. Jak u wszystkich Hindusów z wyższej kasty, edukowanych w stylu angielskim, jego emocjonalne oddanie hinduizmowi było tak silne i głębokie, że należał do niego nawet wtedy, kiedy mu się sprzeciwiał, więc wyparcie się swojej religii na rzecz innej oznaczałoby wyrwanie tak mocnych korzeni, jakich nie jest w stanie sobie wyobrazić nikt urodzony w trochę młodszej i bardziej zeświecczonej tradycji. Żadnemu Hindusowi z kasty, nawet jeśli buddyzm bardzo mu się podoba, nie jest łatwo wyrzec się trzech tysięcy lat kulturalnej i duchowej tradycji, zwłaszcza jeśli ta tradycja potwierdza jego ‘świętą, wewnętrzną wyższość’ nad tłumami niedotykalnych. Nic więc dziwnego, że próbując wziąć to, co najlepsze z obu światów, twierdził wbrew wszelkim dowodom, że buddyzm i hinduizm niczym się nie różnią. Wiele lat później, w heroicznym akcie wyrzeczenia, Banerdżee odciął się i uwolnił od tych wszystkich emocjonalnych uwikłań. Teraz jednak, kiedy sprzeczaliśmy się w Instytucie, problem podjęcia następnego kroku pozostawał nierozwiązany. Więc na razie on nadal szukał klientów dla swojej firmy, a ja mieszkałem u wuja Dicka.

Pomimo trzech lat spędzonych w wojsku, przyjemności życia rodzinnego okazały się dla mnie niestrawne. W zasadzie ostatni miesiąc spędzony w towarzystwie Europejczyków zapamiętałem głównie dlatego, że zamiast spodziewanej radości wzbudził we mnie odrazę. Któregoś wieczoru w sobotnim klubie jadłem obiad z wujem Dickiem i jego przyjaciółmi. Jeden z nich opowiedział, jak angielsko-hinduska tancerka, biorąc kąpiel w wannie, została zadźgana sztyletem przez hinduskiego służącego i następnie zgwałcona. Grubiańskie żarty, jakie nastąpiły po tej historii, przyprawiły mnie o mdłości. „Zdaje się, że twojemu siostrzeńcowi nie podobają się nasze opowieści,” szyderczo zauważył narrator wypadku, zwracając się do mojego wuja.

Od szwagra Audrey, wysokiego rangą oficera policji, usłyszałem historię, która nie podobała mi się jeszcze bardziej i sprawiła, że wstydziłem się, iż jestem Anglikiem. Dotyczyła rozruchów społecznych w mieście Dacca31, które miały miejsce ponad dwadzieścia lat wcześniej. Dave opisał bardzo szczegółowo i z wyraźnie widoczną satysfakcją, jak krok po kroku agenci prowokatorzy podburzali wyznawców hinduizmu przeciwko muzułmanom i wzajemnie muzułmanów przeciwko hinduistom, aż w końcu pół miasta stanęło w ogniu i zamordowano setki ludzi. Historia była

---

31

Obecnie Dhaka, stolica Bangladeszu [przyp. tłum.]

szokująca sama w sobie, ale jeszcze bardziej przeraził mnie śmiech, jaki wzbudziła w słuchaczach. Wuj Dick, Audrey oraz jej siostra Gladys byli dobrymi i życzliwymi ludźmi. A jednak wydawało się, że historia Dave'a o tym jak policja, chcąc zapobiec utworzeniu przez dwie indyjskie społeczności wspólnego frontu przeciwko brytyjskiemu rządowi, uciekła się do taktyki, którą można opisać jedynie jako podłą, wzbudziła w nich wyłącznie rozbawienie. Czy to oznaczało, że mieli podwójną moralność – jedną dla spraw we własnym gronie, a drugą na użytek postępowania z Hindusami?

Im dłużej przebywałem u wuja Dicka, tym większy miałem mętlik w głowie od tego rodzaju etycznych dylematów. Dodatkowo trapiły mnie problemy natury filozoficznej. Jaka jest natura przyczynowości? Jak dojść do prawdziwej wiedzy i co się na nią składa? Pytania tego typu bombardowały mój mózg równie bezlitośnie jak słynna chińska tortura wodna, w której spadające krople wody uderzają o głowę ofiary doprowadzając ją w końcu do szaleństwa, kiedy nagle moją uwagę przykuł niespodziewany zwrot wydarzeń.

Kilka lat wcześniej Instytut opublikował trzytomowe dzieło zatytułowane *The Cultural Heritage of India* (*Kulturalne dziedzictwo Indii*). Nakład się wyczerpał i planowano opracować drugie, zmienione wydanie w siedmiu tomach. Pewnego dnia sekretarz Swami, który przeczuwał moje aspiracje i chciał związać mnie bliżej z Misją, powiedział mi o tym projekcie i złożył propozycję. Czy nie chciałbym zamieszkać razem z nimi i pomagać w przygotowaniu nowej edycji? Chociaż wolałbym pracować dla organizacji buddyjskiej, to jego propozycja miała swoje zalety. Kantaradż, Sanjal i kilku innych rezydentów Instytutu było moimi przyjaciółmi. Rodzaj zajęcia, do jakiego poproszono mnie o współpracę, był niezwykle sympatyczny. Poza tym, propozycja Swamiego, złożona we wdzięczny i przyjazny sposób, pozwalała mi uciec od nudy połączonej z obrzydzeniem wobec życia, jakie wiodłem u wuja Dicka i Audrey, do nieskończenie bogatszego i pełniejszego życia prawdziwych Indii. Mogła się ona okazać kulturalną trampoliną, z której wykonam skok i zanurzę się w wodach życia duchowego.

Jedyną trudnością był mój związek z Banerdżeem, który szybko rozwinął się w silne wzajemne przywiązanie. Jak w przypowieści o ślepym i kulawym uzupełnialiśmy się do tego stopnia, że żaden z nas nie był w stanie ruszyć się bez drugiego. Oprócz tego Banerdżee, który został oszukany przez partnera i czuł się równie zdegustowany biznesem co ja życiem towarzyskim Anglików w Indiach, gotów był poświęcić się teraz jakiejś działalności religijnej lub kulturalnej. A może popracowalibyśmy razem dla Instytutu? Sekretarz Swami, któremu przedłożyłem moją kontrpropozycję, początkowo odniósł się do niej niechętnie, twierdząc że z mojego przyjaciela nie będzie wiele pożytku przy czysto literackim przedsięwzięciu. Kiedy jednak gorąco przekonywałem go o wielkiej chęci Banerdżeego, aby być pożytecznym, i kiedy zrozumiał, że nie będzie możliwe posiadanie jednego z nas bez drugiego, zgodził się przyjąć takie rozwiązanie na okres próbny. Zaprosiłem ciotkę, wuja i kuzynów na pożegnalny obiad, po czym przeniosłem się do Instytutu. Od tej chwili nie miałem absolutnie żadnych związków ze społecznością Europejczyków.

Ponieważ Instytut nie miał dla nas oddzielnego pokoju, spałem razem z Banerdżeem na podłodze w salonie. Którejś nocy obudziłem się i spostrzegłem za oknem wpatrującą się we mnie nikczemną twarz z nożem w zębach. Choć widziałem ją tylko przez kilka sekund, wywarła na mnie silne wrażenie, przypominając o wszystkich tych ciemnych i wrogich siłach, które czaiły się na zewnątrz naszego małego, samowystarczalnego świata działalności religijnej i kulturalnej i tylko czekały na okazję, aby się do niego włamać. Po tym incydencie rozkładaliśmy nasze legowiska do spania na podłodze pokoju wewnętrznego, który służył mi za biuro.

Aby mnie czymś zająć, dopóki nie zacznie się praca nad *The Cultural Heritage of India*, sekretarz Swami dawał mi listy do przepisania na maszynie. Poprosił mnie też o przygotowanie rocznego raportu o pracy Instytutu. Chociaż nie były to niesympatyczne zadania, trudno mi było powstrzymać się od irytacji wobec jego stylu pracy. Często spędzaliśmy całe popołudnie nad jedną linijką tekstu, więc praca posuwała się w tak wolnym tempie, że straszliwie drażniło to moją młodzieńczą niecierpliwość.

Banerdżee, który próbował odzyskać pieniądze od swego byłego partnera, spędzał większość dnia poza domem, a wieczorami dyskutowaliśmy o religii. On często wygłaszał długie i agresywne

oracje o polityce do około tuzina uczniów mieszkających w Instytucie, podczas gdy ja czytałem Świętego Jana od Krzyża lub Mistrza Eckharta. Któregoś dnia, spełniając obietnicę złożoną w Singapurze, zabrał mnie do bengalskiej wioski 20 mil za Kalkutą, pełnej palm kokosowych i rybnych stawów, gdzie mieszkała jego owdowiała matka razem z jego wujami, braćmi, siostrami, kuzynami i różnymi innymi członkami tej wielkiej połączonej rodziny. To był pierwszy raz, kiedy zatrzymałem się w hinduskim domu. Był to również pierwszy raz, kiedy w domu Banerdżeego przyjęto europejskiego gościa. Powiedział mi, że siedem lat wcześniej jego matka nigdy by się nie zdobyła na tolerowanie mojej nieczystej obecności, ale wojna do pewnego stopnia przełamała stare, sztywne bariery społeczne, więc teraz przywitała mnie nawet przyjaźnie. Fakt, że nie wolno mi było wchodzić do kuchni, a Banerdżee desperacko żądał ode mnie, abym demonstracyjnie niósł ze sobą wodę za każdym razem, kiedy udawałem się do ubikacji (papier toaletowy uważano za obrzydliwość). Jednak pomimo tych oznak hinduskiej ortodoksji, w spokojnej atmosferze niesymetrycznego, krytego dachówkami wiejskiego domostwa z klepiskiem z krowiego łajna, dużymi drewnianymi łóżkami i połyskującymi mosiężnymi naczyniami, czułem się prawie jak w domu.

Dopiero później dowiedziałem się, że pozwolenie na mój pobyt u nich było aktem społecznej herezji, i że rodzina Banerdżeego ryzykowała bycie wykluczonym ze społeczności przez całą wieś. Sam fakt, że jadłem pod ich dachem, automatycznie zanieczyścił nie tylko budynek, ale też każdego domownika. Dopóki nie zostały odprawione przepisowe ceremonie oczyszczające, żaden inny Hindus z kasty nie mógł wejść do ich domu, ani dotknąć żadnego przedmiotu, którego wcześniej dotknął członek tej rodziny, gdyż sam uległby przez to zanieczyszczeniu. Dla ortodoksyjnego Hindusa zanieczyszczenie jest czymś równie namacalnym i zaraźliwym jak trąd. Nie wiem, w jaki sposób przebłagano wieś po moim odjeździe, ale nie ulega wątpliwości, że z powodu mojej wizyty kobiety z tej rodziny musiały przejść przez co najmniej kilka obrzędowych ablucji.

Ponieważ pisanie na maszynie i pomoc Swamiemu zajmowały mi niewiele czasu, mogłem wychodzić ile tylko chciałem. Pod koniec lutego, kiedy przebywałem w Instytucie już od prawie miesiąca, Kantaradż zabrał Banerdżeego i mnie do Belur Math na uroczystość Śiwarati, czyli ‘Noc Śiwy’ – święto religijne obchodzone głównie przez ascetów, którzy uważają boga Śiwę za swego patrona. Zgodnie ze zwyczajem swamini spędzają całą noc śpiewając i tańcząc wokół wielkiego ogniska. Na tronie przykrytym tygrysią skórą, ustawionym w niewielkiej odległości od ognia, siedziała naga wysmarowana popiołem postać z długimi splątanymi włosami. W przerwach mężczyzna podnosił się i podskakiwał naokoło ogniska, wymachując trójzębem i krzycząc „Szambhu! Szambhu!” głośno i ochryple. Kantaradż szepnął mi, że to Śiwa. W rozumieniu ludzi z Zachodu był to po prostu swami odgrywający rolę bóstwa. Ale Hindusi wierzyli, że bóstwo bierze w posiadanie ciało odtwórcy i dlatego jest on przez jedną noc czczony jako Śiwa we własnej osobie. Z pewnością ta budząca jednocześnie strach i podziw postać z trójzębem nie była ludzka. Być może miał tu miejsce przypadek zawładnięcia medium, podobnie jak w ‘wyroczniach tybetańskich’. Mikstura zrobiona z ‘bhang’, czyli konopi indyjskich, powszechnie używana w całych Indiach przez sadhu dla wywołania takiego stanu, lała się strumieniami i Śiwa niewątpliwie obficie nią nasiąknął. Mimo protestów Kantaradża, który bał się, że mógłbym się upić, grupa młodych nowicjuszy wcisnęła mi szklankę kwaśnego, szarawo-białego płynu, zapewniając ze śmiechem, że to tylko mleko. Ale napój nie wywołał we mnie żadnych niepożądanych efektów. O drugiej nad ranem poszedłem spać, opuszczając krzyczących i śpiewających wokół ogniska swamich. Następnego dnia Śiwa znów był zwykłym mnichem.

Mieliśmy też czas na wizyty w Towarzystwie Maha Bodhi. Któregoś dnia odpowiedzialny za biuro bhikkhu, który wydawał się żyć w zasadzie samotnie w budynku głównej siedziby Towarzystwa, poprosił mnie o napisanie kilku listów na maszynie. Innym razem wysłał nas z jakąś oficjalną sprawą do Budynku Pisarzy. Po niedługim czasie spędzaliśmy tyle samo czasu pracując dla Towarzystwa co dla Instytutu. Pewnego dnia Jego Świątobliwość (bhikkhu poinformował nas, że tak mamy go tytułować) zapytał nas gwałtownie i niemal prostacko, dlaczego nie dołączymy do Towarzystwa jako pełnoetatowi pracownicy. Przecież sami widzimy – stwierdził – jak bardzo brakuje im rąk do pracy, a Sekretarz Generalny, przebywający na stałe na Cejlonie, niewątpliwie z

wielkim zadowoleniem zgodzi się nas zatrudnić.

Chociaż ta propozycja nas nie zaskoczyła, Banerdżee i ja nie chcieliśmy dawać odpowiedzi Jego Świątobliwości bez konsultacji z Kantaradżem. Było kilka powodów, dla których nie byliśmy zadowoleni z życia w Instytucie. Nic nie wskazywało na rozpoczęcie prac wydawniczych. Prawdę mówiąc zaczęły się one wiele lat później. Co więcej, Banerdżee, który był niemal patologicznie wrażliwy na objawy lekceważenia, prawdziwe i urojone, doszedł do przekonania, że sekretarz Swami pogardzał nim jako osobą, która poniósłszy klęskę zarówno w świecie polityki jak i biznesu, schroniła się w Instytucie pod moją opieką, ponieważ nie miała żadnej innej alternatywy. Jego głośne i dobitne zapewnienia o tym, jak wytworna jest jego rodzina, i że gdyby tylko chciał, to odnosiłby wielkie sukcesy, w gruncie rzeczy ośmieszały go, wzbudzając dokładnie takie podejrzenia, jakie zamierzał swoimi przechwałkami zlikwidować. Moje protesty, że nikt w Instytucie nim nie pogardza, doprowadzały go tylko do furii. Twierdził, że ponieważ ja jestem przez wszystkich szanowany, nie dbam o to, czy on cieszy się szacunkiem. Jakiekolwiek były prawdziwe uczucia sekretarza Swamiego, stało się oczywiste, że o ile dla mnie było niewiele pracy w Instytucie, to dla Banerdżeego nie było żadnej, i że jego obecność jest tolerowana wyłącznie ze względu na mnie. Jednak prawdziwy powód naszej decyzji o odejściu był związany z incydentem, który miał miejsce kilka dni wcześniej.

Lokal przy placu Wellingtona zajmowany przez Instytut nie był jego własnością. Jednak pewne bengalskie małżeństwo, chcąc uczcić pamięć syna, podarowało Misji duży budynek mieszkalny przy Russa Road, który po przerobieniu wnętrz miał zostać stałą siedzibą Instytutu. W międzyczasie lokatorom tego budynku wręczono nakazy eksmisji, ale większość z nich odmówiła wyprowadzenia się, dopóki nie znajdą innego mieszkania. Za tę procedurę odpowiadał wesoły, pulchny trzydziestosiedmioletni nowicjusz o imieniu Sarodż, z zawodu prawnik.

Któregoś dnia zastaliśmy go w salonie, gorzko płaczącego. Szlochając wyjaśnił nam, że sekretarz Swami, zirytowany opóźnieniami spowodowanymi przez kwestie prawne, kazał mu wynająć bandę chuliganów, żeby wypędziła lokatorów siłą. Upadł przed nim na kolana i błagał, mówiąc, że wstąpił do Misji po to, by oczyścić się z grzechów, a nie żeby popełniać nowe. Jednak na próżno – Swami był nieugięty. Jeśli sprawiedliwe metody nie przynoszą skutku, trzeba zastosować niesprawiedliwe – lokatorzy muszą zostać z budynku usunięci. Obaj z Banerdżeem poczuliśmy się głęboko nieszczęśliwi. Uczniowie – a nikt z nich nie lubił Swamiego – potępili go z oburzeniem. Kantaradż milczał. Sarodż nadal gorzko szlochał, kiedy został ponownie wezwany na górę do pokoju Swamiego. Dwie godziny później, już z suchymi oczami, ale z wyrazem wielkiego cierpienia na twarzy, pojawił się ponownie, sięgnął po swój parasol ze stojaka i nie mówiąc ani słowa powoli wyszedł jak zwykle do swojego biura prawniczego.

Później wyszło na jaw, że sekretarz Swami dał mu porządny wykład na temat Niśkamy Karma-Jogi, czyli bezinteresownego działania prowadzącego do urzeczywistnienia Boga. Odwołując się do *Bhagawad-Gity*, do słynnego dialogu między Śri Kriszną, inkarnowanym Bogiem, i jego uczniem Ardżuną, przypomniał Sarodżowi, że litość jest słabością, którą należy przezwyciężyć. Atman, Duch, jest jeden i niezniszczalny we wszystkich ludziach – wobec tego kto tu krzywdzi innych, a kto tu jest krzywdzony? Czyż sam Śri Kriszna nie zachęcał Ardżuny do walki i zabijania? Ten, kto wykonał swój obowiązek – niezależnie od tego, na czym on polegał – z umysłem skupionym na Bogu, nie popełnił grzechu. W istocie, takie obiektywne wypełnienie obowiązku jest jedną z czterech głównych ścieżek do Zbawienia. To kazanie otworzyło mi oczy na złowrogie konsekwencje filozofii hinduizmu i odruchowo wycofałem się z Misji jak człowiek, który po zapaleniu lampy ujrzał, że o mały włos nie nadepnął w ciemności na węża.

Rozdział 17

Dzień Bezpośredniej Akcji

Na parterze budynku siedziby głównej Towarzystwa Maha Bodhi, tuż za kaplicą i salą wykładową znajdował się ciemny, obskurny pokój, który zajęliśmy razem z Banerdżeem. W pierwszą noc po przybyciu obudziło nas ostre, nieznośne swędzenie całego ciała. Po zapaleniu światła ujrzeliśmy setki tłustych, czerwonych insektów, które wypełzły ze szczelin drewnianych łóżek i kłębiły się na prześcieradłach i poduszkach. Następnej nocy przenieśliśmy się spać na płaski dach. Karaluchów w niewiarygodnie brudnej kuchni było równie dużo. Oprócz kaplicy, która choć nieużywana, utrzymywana była w jakiej takiej czystości, całe to miejsce tchnęło atmosferą brudu i zgnilizny, w pewnym sensie zarówno fizycznej, jak i moralnej. W ciemnej, dusznej jadalni postrzępiony obrus upaprany kilkumiesięcznymi plamami cuchnął obrzydliwie. Czarny, mocno owłosiony kucharz, który nosił tylko białą ubrudzoną przepaskę na biodrach, pomimo codziennych ceremonialnych ablucji jakoś zawsze wyglądał na niedomytego. Nawet w biurze księgowy o chytrych oczach wyglądał na niezdrowego i wymiętego.

Tylko Jego Świątobliwość był schludny i nieskazitelny. Zawsze gładko wygolony, z łysą głową błyszczącą od pachnącego olejku, odziany w nową, jaskrawożółtą szatę siedział przy biurku wydając rozkazy bez chwili namysłu. Ze swym śmiałym spojrzeniem i bezczelnymi manierami wyglądał jak ufarbowany na żółto kruk – w hinduskim folklorze kruk jest najbardziej zuchwałym ze wszystkich ptaków. Pierwsze pytanie, jakie zadawał każdemu wchodzącemu, brzmiało: „A więc, co mi dzisiaj przyniosłeś?" Jego szuflady pełne były pudełek z czekoladkami, wiecznych piór i innych prezentów. Jednakże, choć jego zachowanie nie przypominało sposobu bycia mnicha, to spryt i biznesowe podejście najwyraźniej pozwalało mu kierować sprawami Towarzystwa z podziwu godną skutecznością. Banerdżeego i mnie traktował wyjątkowo dobrze. W przeciwieństwie do sekretarza Swamiego z Instytutu, miał wystarczająco dużo zdrowego rozsądku, aby przydzielić nam zadania, do których najlepiej się nadawaliśmy. Ja pracowałem w biurze, pisząc na maszynie i czytając dokumenty. Banerdżee odwiedzał rządowych oficjeli. Kiedy do otwarcia ministerialnych drzwi potrzebna była biała twarz, Jego Świątobliwość mnie też tam delegował. W niedługim czasie nasze relacje ze śmiałym i skutecznym bhikkhu stały się całkiem serdeczne. Jak większość zdolnych ludzi był nadzwyczaj ambitny. „Zobaczycie, – mówił do nas – za dwa lata będę Sekretarzem Generalnym Towarzystwa".

Pewnego dnia zabrał nas do prowadzonego przez Maha Bodhi sierocińca. Instytucja ta zajmowała mały piętrowy dom niedaleko Park Circus w dzielnicy zamieszkanej głównie przez muzułmanów. Wiek około trzydziestu podopiecznych wahał się od pięciu do piętnastu lat, ale więcej było małych chłopców. Później dowiedzieliśmy się, jak ten sierociniec powstał. Podczas rozruchów hindusko muzułmańskich w poprzednim roku Jego Świątobliwość ruszył na miasto w eskorcie uzbrojonej policji i zbierał z ulicy chłopców, którym zabito rodziców. W podobnie nieustraszony sposób uratował Dr Beni Madhaba Baruę z całą rodziną, którzy zagubili się i utknęli w dzielnicy muzułmańskiej. W siedzibie głównej Towarzystwa, znajdującej się w zdominowanej przez Hindusów okolicy College Square, dał schronienie dziewięćdziesięciu muzułmanom, ratując ich przed rozwścieczonym hinduskim motłochem. Kiedyś roześmiawszy się opowiedział nam, jak uratował jednocześnie hinduistów i muzułmanów, i potem umieścił ich w różnych miejscach tego samego buddyjskiego budynku. Za te wyczyny, jak również za kompetentny choć pozbawiony sentymentów sposób, w jaki troszczył się o sieroty, nie można było go nie podziwiać.

Kilka dni później wyszło na jaw, że nasza wizyta w sierocińcu nie była przypadkowa. W swój zwykły szorstki i bezpośredni sposób powiedział nam, że mamy się przenieść z głównego budynku do sierocińca. Banerdżee miał przejąć opiekę nad chłopcami, ponieważ mieszkający z nimi na stałe bhikkhu, młody i łagodny Bihari, któremu brakowało odpowiedniej surowości, nie dawał sobie z nimi rady i chłopcy wymykali się spod kontroli. Ja miałem codziennie zjawiać się w biurze, ale na noc wracać do sierocińca.

Taki układ sprawdził się nadzwyczaj dobrze. W ciągu godziny od naszego przybycia,

Banerdżee, który był trochę despotyczny i lubił dyscyplinę, już wziął chłopaków w karby. Jedną z pierwszych rzeczy, jakie kazał im zrobić, to wysypać całą zawartość ich małych blaszanych pudełek. Ku naszemu zdziwieniu odkryliśmy, że wielu z nich posiadało sprośne obrazki z kobietami. Zostały one zniszczone. Oprócz tego, że podzielił chłopców na klasy i zaczął ich uczyć, codziennie rano robił im musztrę; poprawił też jakość wyżywienia. Niewiele czasu minęło, a w sierocińcu zapanowała wyraźnie wojskowa atmosfera. Ja w międzyczasie pisałem listy dla Jego Świątobliwości, który w tamtym okresie zaczął parać się magistracką polityką, i uczyłem się wydawać *Maha Bodhi Journal*. Wieczorami studiowałem książki o buddyzmie pożyczone z biblioteki Towarzystwa, szlifowałem swój hindi i bengalski, które praktykowałem na chłopcach, i dyskutowałem z Banerdżeem o religii. Czasami te dyskusje zmieniały się w kłótnie, ponieważ mój przyjaciel, który zaczynał odczuwać pierwsze objawy poluzowania swoich hinduskich korzeni, czasami gwałtownie reagował na moje twierdzenia.

Większość naszego wolnego czasu spędzaliśmy naturalnie z dwojgiem pozostałych dorosłych mieszkańców sierocińca. Byli to bhikkhu Bihari, zajmujący pokój obok naszego, oraz bardzo leciwa dama z Niemiec, która mieszkała w maleńkim pokoiku na parterze. Kiedy ujrzeliśmy bhikkhu po raz pierwszy, pomyśleliśmy, że jest wzorem mnicha. Mimo że miał niewiele ponad dwadzieścia lat, jego zachowanie i maniery były idealne. Niezmiennie spokojny i opanowany, chodził w powolny i dystyngowany sposób, zawsze ze skromnie spuszczonymi oczami. Niestety dość szybko odkryliśmy, że choć wydawał się przyjacielski i niewinny, w żadnym razie nie był aż tak święty, za jakiego początkowo go uznaliśmy. W istocie jedna z jego słabości tak rozjuszyła Banerdżeego, że jak tylko ją odkrył, wbrew wszelkim buddyjskim tradycjom sprawił mu porządne lanie kijem. Zamiast oburzyć się na tak despotyczne traktowanie, biedny mały mnich zrobił się cichszy i potulniejszy niż kiedykolwiek.

Niemiecka dama, Miss A. Christine Albers, mająca wtedy już ponad osiemdziesiąt lat, żyła w takim ubóstwie, że byliśmy przerażeni, kiedy je odkryliśmy. Chociaż była niemal sparaliżowana i praktycznie przykuta do łóżka, gdyż z trudem mogła dowlec się o lasce do drzwi własnego pokoju, zostawiono ją kompletnie bez jakiejkolwiek opieki czy pomocy. W uznaniu za dawne zasługi dla Towarzystwa, członkowie Zarządu Maha Bodhi pozwolili jej mieszkać w sierocińcu bez płacenia czynszu, ale nie łożyli na jej utrzymanie. Jej jedynym dochodem było dziesięć rupii miesięcznie otrzymywane od rodziny Tagore, u której kiedyś pracowała jako guwernantka. Za tę nędzną sumę kupowała sobie zieleninę i ziemniaki, które gotowała na małym przenośnym piecyku na węgiel drzewny, stojącym przy łóżku. Na domiar złego kucharz udawał, że nie słyszy jej słabego wołania o wodę, a chłopcy uważali za świetny dowcip, że mogli ją postraszyć, kiedy kuśtykała do drzwi i przerażona ich nagłymi głośnymi wrzaskami traciła równowagę i przewracała się. Banerdżee wychowany w bengalskiej tradycji szacunku dla kobiet był tak samo zszokowany losem biednej starej kobiety jak ja. Chłopcy zostali ukarani za prześladowanie, kucharz dostał rozkaz spełniania jej próśb i w niedługim czasie sytuacja poprawiła się przynosząc jej trochę komfortu. Wspierając się na silnym ramieniu Banerdżeego mogła nawet chwiejnym krokiem przejść od swojego pokoju do tylnego podwórka, gdzie lubiła posiedzieć sobie na schodku w późnym popołudniowym słońcu. Z natury serdeczna i rozmowna wkrótce opowiedziała nam swoją historię.

Jako młoda kobieta wyjechała z Niemiec do Stanów Zjednoczonych, gdzie wstąpiła do założonego niedawno Towarzystwa Teozoficznego. W 1893 roku wzięła udział w Światowym Parlamencie Religii w Chicago i po wysłuchaniu wykładu Swamiego Wiwekanandy oraz Anagariki Dharmapali postanowiła poświęcić życie pracy edukacyjnej wśród kobiet w Indiach. Od początku XX wieku mieszkała w Kalkucie. W pewnym okresie oprócz pracy w charakterze guwernantki najwyraźniej prowadziła małą prywatną szkołę. Wspomniała też o jakichś adoptowanych córkach. Nie było do końca jasne, w jaki sposób związała się z Towarzystwem Maha Bodhi, ale zawsze mówiła o Sekretarzu Generalnym Dewaprija Walisinha z wielkim uczuciem, deklarując że gdyby był w Kalkucie, nigdy nie pozwoliłby jej tak traktować. Choć wątła i słaba, nadal pisała wiersze i artykuły dla *Maha Bodhi Journal*. W gruncie rzeczy była całkiem niezłą poetką. Kiedy kilka lat później usłyszałem o jej śmierci, obiecałem sobie, że któregoś dnia opublikuję wybór z jej obfitej choć nierównej twórczości. Miała też duże zdolności parapsychiczne. Od najmłodszych lat – jak mi

powiedziała – widziała istoty duchowe i mogła z nimi rozmawiać. Czasami opowiadała o swoich doświadczeniach mistycznych. Często przebywając w czymś, co nazywała ‘Czarnym Światłem’, a które według niej znajdowało się na znacznie wyższym poziomie niż ‘Białe Światło’, wydawała się zdumiewająco szczęśliwa i zadowolona pomimo całej biedy i niedostatków, jakich doświadczała. Kiedy mówiła o sprawach duchowych, jej twarz promieniowała radością. Było oczywiste, że o wiele częściej przebywała poza ciałem niż w ciele. A najwspanialsza z tego wszystkiego była jej całkowita niezdolność do wyrażania się źle o kimkolwiek, kogo znała – nie robiła nawet najmniejszej sugestii. Sama będąc uosobieniem dobra, widziała wokół siebie tylko dobro.

Mieszkaliśmy w sierocińcu zaledwie od trzech tygodni, kiedy świat polityki, który dotychczas udawało nam się ignorować, wdarł się w nasz mały świat kulturalnej i edukacyjnej działalności w najbardziej brutalny sposób. Po dwóch wiekach brytyjskich rządów wielki subkontynent indyjski miał być znów wolny, ale ceną za wolność był podział. Już wcześniej uzgodniono, że powstaną dwa bliźniacze dominia, Indie i Pakistan. Prowincje Pundżab i Bengal również miały zostać podzielone. Jaki więc los czekał Kalkutę? Czy też będzie podzielona, czy w całości przypadnie jednemu z dwóch państw roszczących sobie do niej prawo? Liga Muzułmańska zdeterminowana, aby utrzymać miasto w obrębie Pakistanu nawet siłą, jeśli zajdzie taka potrzeba, ogłosiła 20 marca Dniem Bezpośredniej Akcji. Był to sygnał do rozpoczęcia nowych zamieszek społecznych. Chociaż słabsze niż w poprzednim roku, kiedy to chłopcy zostali osieroceni, i tak były makabryczne. Przez cały tydzień siedzieliśmy uwięzieni w sierocińcu, chronionym do pewnego stopnia przez wysokie ceglane mury. Dopiero po zapadnięciu ciemności Banerdżee i kucharz, przebrani za muzułmanów, wykradali się tylnymi drzwiami, aby kupić żywność na pobliskim bazarze. Jeden z nas zawsze dyżurował całą noc. Czasami bandy muzułmańskich nożowników wściekle dobijały się do bramy. Za którymś razem trzech czy czterech z nich wspięło się na mur i zeskoczyło na podwórko. Prawie dusząc się ze strachu słyszeliśmy w ciemności, jak szepczą między sobą na dole. Jednak z jakiegoś powodu zdecydowali, że nie będą nas atakować, i poszli sobie.

Banerdżee i ja, czując się odpowiedzialni za życie trzydziestu chłopców, Miss Albers i kucharza (bhikkhu wyjechał kilka dni wcześniej), dzień i noc żyliśmy w stanie silnego nerwowego napięcia. Jednym z największych źródeł stresu była niepewność. Chociaż dziwnie jasno zdawaliśmy sobie sprawę, że wszędzie wokół nas mordowani są ludzie, nie mieliśmy dostępu do żadnych wiarygodnych informacji o tym, jaki jest prawdziwy bieg wypadków. Sierociniec znajdował się w dzielnicy zamieszkanej głównie przez muzułmanów i były uzasadnione podstawy przypuszczać, że ci członkowie hinduskiej mniejszości, którzy nie uciekli na pierwszy sygnał o kłopotach, byli mordowani. Tyle dowiedzieliśmy się od przerażonych mieszkańców domu po drugiej stronie ulicy, z którymi co wieczór Banerdżee wymieniał sygnały z kaplicy. Wszyscy w okolicy wiedzieli, że sierociniec jest instytucją buddyjską, więc początkowo byliśmy pewni, że nie grozi nam żaden atak. Ale w miarę upływu czasu nasz niepokój wzrastał. Chrześcijanie też czuli się najpierw bezpieczni, a jednak czyż na sąsiedniej ulicy nie wymordowano w nocy śpiącej rodziny pomimo dużych krzyży narysowanych na drzwiach białą kredą?

Pewnego ranka, w tydzień po Dniu Bezpośredniej Akcji, dwa zdarzenia ujawniły niebezpieczeństwo, jakie nam nadal groziło. Banerdżee rozkazał chłopcom trzymać się z dala od okien. Ale jeden z nich nie dość, że bezmyślnie wychylił się z okna, to jeszcze splunął na ulicę w dole. Porcja flegmy spadła prosto na głowę przechodzącego muzułmanina. Piorunując chłopaka wściekłym spojrzeniem i wygrażając mu pięścią, syn proroka wrzasnął, „Nic nie szkodzi – dziś w nocy wszystkim wam poderżniemy gardła!” Banerdżee nie mógł się powstrzymać, żeby nie wymierzyć winowajcy kilku ciosów, ale zło już się stało i wszystkich nas ogarnął wielki niepokój. Chłopcy zrobili się cisi jak myszki, a niektórzy bezgłośnie płakali.

Pół godziny po tym incydencie wyjrzałem przez okno kaplicy i zobaczyłem trzech mężczyzn pukających do drzwi hinduskiego domu naprzeciwko. Z ich zachowania można by sądzić, że to przyjaciele, którzy przyszli zapytać o bezpieczeństwo mieszkańców. Powoli, ostrożnie drzwi się otworzyły i pojawił się mężczyzna w średnim wieku, ubrany w dhoti i białą koszulę. Zamienił kilka słów z przybyszami, w powietrzu błysnęło ostrze noża i zanim zdołałem sobie uświadomić, co się stało, goście zniknęli a na ulicy leżało zakrwawione martwe ciało. Tym razem byliśmy kompletnie

wytrąceni z równowagi. Nie było chwili do stracenia. Po pośpiesznych konsultacjach zdecydowaliśmy, że jako jedyna osoba, która najprawdopodobniej nie będzie zaatakowana na ulicy – nadal nosiłem zachodnie ubrania – powinienem natychmiast udać się do siedziby głównej i poprosić Jego Świątobliwość, aby skontaktował się z policją.

Nigdy nie zapomnę tego uczucia wolności i jednocześnie strachu, jakiego doświadczałem idąc opustoszałymi ulicami, na których panowała przerażająca cisza. W drzwiach domów stali chuligani cicho rozmawiając i przyglądając mi się z ciekawością, kiedy przechodziłem obok. Raz czy dwa dostrzegłem martwe ciało. Po czterdziestu minutach znalazłem się bezpieczny w budynku głównego biura. Po krótkiej rozmowie z Jego Świątobliwością zatelefonowałem na policję w Kalkucie. Jeden z zastępców komisarza, którego poprosiłem o ewakuowanie chłopców ze schroniska pod opieką uzbrojonej eskorty policyjnej, zapewnił mnie, że w mieście panuje spokój, od 24 godzin nie zgłaszano żadnych incydentów i że nic nam nie grozi. Na próżno protestowałem, że zaledwie godzinę temu na moich oczach zabito człowieka. Poinformował mnie, że policja nic nie wie o tym wypadku. Kiedy nalegałem, że moja historia jest prawdziwa, powiedział mi szorstko, żebym nie rozpowszechniał plotek. Całkiem już teraz rozdrażniony zadzwoniłem do głównego komisarza z gniewną skargą. Po 20 minutach pod drzwi podjechało pół tuzina policjantów uzbrojonych w strzelby i karabiny maszynowe. Popędziłem z nimi na ratunek. Tuż przed odjazdem usłyszałem od Jego Świątobliwości, że w żadnym wypadku mam nie przywozić Miss Albers. „Zostaw ją tam, gdzie jest – warknął – ona jest memsahib, muzułmanie jej nie zabiją".

Musieliśmy obrócić dwa razy, aby dokończyć ewakuacji. Za drugim razem przywieźliśmy Miss Albers, której oczywiście nie można było porzucić. Widząc parę srogich oczu obserwujących nas z dużego półkolistego okna w stylu Ajanta, z kaplicy na piętrze, zostawiłem Banerdżeemu zadanie wniesienia starszej pani do środka budynku, a sam pognałem przodem, by usprawiedliwić nasze skandaliczne zlekceważenie wyraźnych rozkazów Jego Świątobliwości. „Zabierz ją stąd! – krzyknął – Nie chcę jej tutaj!" Ale Miss Albers już została usadowiona w biurze, a ze względu na obecność Banerdżeego, trudno było Jego Świątobliwości fizycznie wyrzucić niewinną starszą osobę, więc jedyne, co mu pozostało, to gryźć wargi w milczącej furii. Służącym oczywiście zakazano jej pomagać. Ponownie ignorując rozkazy, mój przyjaciel i ja wyszykowaliśmy dla niej małą, ciemną izdebkę obok jadalni.

Po tygodniu rozruchy osłabły i zapanował spokój podszyty lekkim napięciem. Jednak niewytłumaczalna nienawiść Jego Świątobliwości do Miss Albers nie zmalała ani odrobinę. Kiedykolwiek, słysząc głos znanej sobie osoby, przykuśtykała do biura na pogawędkę, otrzymywała szorstki rozkaz wyjścia. Tylko raz czy dwa biedna kobieta zaprotestowała – „Och Czcigodny, dlaczego jesteś dla mnie taki okrutny?" – pytała z wyrzutem w głosie, roniąc pojedynczą łzę. Ale oprócz tych słów wypowiedzianych żałosnym i smutnym tonem, nikomu się nie skarżyła.

Obecność trzydziestu chłopców w budynku zakłóciła do pewnego stopnia rutynę pracy w głównej siedzibie. Banerdżee spędzał większość czasu starając się powstrzymać ich od psocenia. Ja podjąłem na nowo swoje zajęcia w biurze. Z powodu popierania sprawy Miss Albers, której chronienie uważaliśmy za swój obowiązek, nasze relacje z Jego Świątobliwością stały się dość napięte. Dlatego nie było nam przykro, kiedy pewnego dnia wpadła do Towarzystwa elegancka francuska dama w średnim wieku, białych rękawiczkach, pelerynie i kapeluszu z szerokim rondem, żądając naszej pomocy przy wystawie fotografii kambodżańskiej sztuki buddyjskiej, którą właśnie urządzała w Royal Asiatic Society of Bengal (Królewskim Towarzystwie Azjatyckim w Bengalu).

Suzanne Karpelles, z wydatnym nosem i ogromnymi, inteligentnymi, czarnymi oczami, była ucieleśnieniem łaskawego władcy. Sprawiała wrażenie, jakby nigdy nie przyszło jej do głowy, że jej życzenia mogłyby zostać zignorowane. Chociaż traktowała swoich dwóch 'chłopców' z wielką kurtuazją i uprzejmością, ewidentnie nie należała do osób, które pozwalają się lekceważyć i obaj, podziwiając ją, zarazem trochę się jej baliśmy. Pomagając przypinać fotografie i pisać tabliczki z objaśnieniami, naturalnie rozmawialiśmy o żałosnym położeniu Miss Albers. Madame Karpelles wyraziła życzenie odwiedzenia jej. Kiedy oznajmiliśmy Miss Albers tę, jak nam się wydawało, radosną nowinę, że będzie miała gościa, starsza pani zareagowała z nieoczekiwaną gwałtownością.

„Nie mogę się z nią spotkać! Nie mogę się z nią spotkać! – wykrzyknęła dziko machając rękami – Dlaczego ją przyprowadziliście? Ona jest zawsze wystrojona po czubek głowy a ja nie mam nic przyzwoitego, żeby na siebie włożyć.” Niestety była to prawda! W naszej gorliwej chęci, aby sprawić jej przyjemność, przeoczyliśmy fakt, że cała garderoba Miss Albers składała się z trzech antycznych trykotowych sukienek i jednej pary znoszonych bawełnianych rękawiczek, prujących się w szwach.

Banerdżee jeszcze oprowadzał gości po wystawie, kiedy Jego Świątobliwość został poproszony o wyznaczenie przedstawiciela Towarzystwa, który pojechałby z wykładem o buddyzmie na Dharma Parishad – Ogólnoindyjską Konferencję o Religiach, która miała się odbyć w Ahmedabadzie w kwietniu tego roku. Ponieważ wygłaszałem już wcześniej wykłady w sali Towarzystwa, zdecydował że mnie tam pośle. Zanim wyjechałem, odbyliśmy z Banerdżeem kilka poważnych rozmów. Przyziemna i mało duchowa atmosfera w siedzibie głównej Towarzystwa, gdzie nieustannie mieliśmy poczucie, że za kulisami dzieje się coś nieprzyjemnego, bardzo nas przygnębiała i budziła niesmak. Co więcej, Jego Świątobliwość nie dotrzymał obietnicy zarekomendowania nas Sekretarzowi Generalnemu, aby dał nam oficjalnie zatrudnienie na pełen etat, więc nasza sytuacja w Towarzystwie była niejasna i niepewna. Dlatego uzgodniliśmy, że podczas pobytu w Ahmedabadzie powinienem nawiązać kontakt z innymi buddystami, którzy przyjadą na Parishad, i spróbować załatwić nam przyjęcie do organizacji bardziej sprzyjającej naszemu duchowemu rozwojowi.

„Postaraj się jak najlepiej dla nas obu!” krzyknął Banerdżee, kiedy pociąg wiozący mnie na pierwszym etapie mojej 1500 milowej podróży, buchając parą wolno ruszał ze stacji.

Rozdział 18

Ogólnoindyjska Konferencja o Religiach

Dharma Pariszad było jednym z tych pierwszych inter-religijnych zgromadzeń, które w ciągu dekady po odzyskaniu niepodległości stały się ważnym elementem życia kulturalnego w Indiach.

Pod olbrzymim *pandalem*, czyli konstrukcją z bambusowych pali przykrytą białym materiałem, każdego dnia od dziesiątej rano do czwartej po południu, siedziało po turecku od dwóch do trzech tysięcy ludzi, słuchając najwyraźniej nieskończonego szeregu wykładów. Na podeście, wyposażonym w materace i poduszki zamiast krzeseł, tłoczyło się około czterech czy pięciu tuzinów zaproszonych przedstawicieli różnych religii i sekt oraz organizatorzy Konferencji. Ponieważ większość przemówień była wygłaszana w języku gudżarati, z którego nie rozumiałem ani słowa, znaczną część pierwszej sesji spędziłem na rozglądaniu się wokół siebie.

Wydawało się, że praktycznie wszyscy delegaci byli Hindusami. Chrześcijaństwo reprezentował tylko jeden angielski misjonarz, który wyraźnie nie czuł się wygodnie w tej pozycji, a którego różowa twarz i rudoblond włosy osobliwie rzucały się w oczy. Przedstawicielem islamu był brodaty imam w czarnym płaszczu. Niedaleko mikrofonu siedziało dwóch lub trzech dżinijskich ascetów – ich białe ubrania i maski z gazy zakrywające usta oraz nos nadawały im dziwaczny wygląd chirurgów. Był też zoroastrianin z Bombaju w specyficznie pozwijanym nakryciu głowy o kształcie ‘krowiej racicy’ połyskującym od złotych nitek. Nigdzie nie mogłem dostrzec znajomej żółtej szaty. Wyglądało na to, że buddyzm – tylko ze statystycznego punktu widzenia jedna z największych religii na świecie – był tu bardzo nieadekwatnie reprezentowany przez dwudziestojednoletniego byłego żołnierza z Towarzystwa Maha Bodhi. Kiedy zastanawiałem się nad możliwym wyjaśnieniem tak małej liczby przedstawicieli wszystkich innych religii poza hinduizmem, zostałem gwałtownie przywrócony do świadomości obrad przez dźwięk mego nazwiska, które nagle zahuczało w głośnikach. Nadeszła moja kolej włączenia się w ciąg wykładów. Kiedy podniosłem się na nogi, ostrzegawczy głos powiedział – „Tylko dziesięć minut!” A inny bardzo stanowczo zasyczał mi do ucha – „Powiedz że buddyzm i hinduizm to jedno i to samo!”

Chociaż następnego dnia zapisałem najważniejsze punkty mojego przemówienia, żeby je potem opublikować, to teraz prawie mi już wywietrzały z pamięci. Ale mówiłem przez dwadzieścia minut, a nie dziesięć, i nie powiedziałem, że buddyzm i hinduizm niczym się nie różnią. Chociaż byłem przygotowany, żeby na tego typu zgromadzeniu podkreślić punkty zgodne, a nie różnice, to jednak nie pozwoliłem sobie – nawet w imię domniemanego interesu przyjaznych stosunków między religiami – na powtórzenie twierdzenia, które uważałem za fałszywe. Hinduizm jeszcze musiał się nauczyć, że tolerancja jest akceptacją różnic w przekonaniach religijnych, a nie dokonywanym na siłę upodobnianiem jednej tradycji do drugiej. Wszędzie w Indiach, przez ostatnie dwadzieścia lat, ludzie którzy nic nie wiedzieli o buddyzmie, którzy nigdy w życiu nie otworzyli buddyjskiego tekstu, mówili mi bardzo poważnym tonem – „Buddyzm jest tym samym co hinduizm”. Może i jest, ale niedoinformowane upieranie się przy tym punkcie zdradza albo cechę patologiczną, albo czystą intelektualną nieuczciwość.

Pomimo krnąbrności mówcy przemówienie zostało dobrze przyjęte i kiedy usiadłem, zażywni organizatorzy z Gudżaratu energicznie poklepali mnie po plecach i wyszeptali słowa gratulacji. Resztę dnia, a w gruncie rzeczy resztę tygodnia, zajęły przemówienia w gudżarati i hindi, większość na temat hinduizmu, wszystkie trwały ponad godzinę. Znów zacząłem się rozglądać.

Przedstawiciele hinduizmu byli rzeczywiście pstrokatym tłumem. Niektórzy nosili ubrania śnieżnobiałe, inni czerwone, brązowe lub pomarańczowe. Dominującym kolorem był jasny różowo-łososiowy charakterystyczny dla ortodoksyjnych ascetów Wedanty. Większość mnichów miała zgolone głowy, ale kilku zapuściło sobie włosy i brody o imponującej długości. Wyznawcy Śiwy byli poowijani niezliczonymi sznurami olbrzymich brązowych korali *rudrakszy* i wysmarowani popiołem. Czciciele Wiśnu nosili tylko pojedynczy sznur malutkich białych koralików świętej bazylii, ale ich czoła ozdabiało wiele różnych czerwonych, białych i żółtych znaków o charakterze

religijnym. Niektórzy wyglądali brutalnie i wojowniczo, inni zdradzali cechy uderzającego wyrafinowania i intelektualizmu. Tuż przede mną siedziały trzy pulchne odziane w jedwabie postacie z taką ilością bransoletek na rękach i ozdobnych łańcuszków na nogach, że początkowo wziąłem je za kobiety. Byli to jednak członkowie sekty Wallabha – od jej męskich wyznawców wymaga się, aby gorliwie naśladowali Radhę, kochankę i główną czcicielkę Śri Kriszny, nie tylko jej wewnętrzny pełen oddania stosunek do inkarnowanego Pana, ale też cechy zewnętrzne, tzn. ubiór i zachowanie. Jedna z odmian tej sekty posuwa się aż do praktykowania kastracji.

Wśród tak wielu przedstawicieli rywalizujących sekt, siedzących na podwyższeniu, naturalnie toczyła się zacięta rywalizacja o pierwszeństwo. Za powszechną zgodą przyznano je w końcu Jego Świątobliwości Śankaraciarji z Puri, przełożonemu jednego z czterech głównych mathów (klasztorów) założonych przez wielkiego niedualistycznego filozofa Adi Śankarę, jako że tradycja, do której należał Jego Świątobliwość była bezsprzecznie najbardziej starożytna. Dlatego dygnitarz ten siedział z boku podestu, na tronie na specjalnym dodatkowym podium przykrytym skórą tygrysa. Był to niski, pulchny mężczyzna w wieku około siedemdziesięciu lat, który siedział nieruchomo przez cały czas trwania obrad. Miałem wrażenie, że jego łososiowo-różowa szata składa się z jednego kawałka materiału okręconego nie tylko wokół ciała, ale też udrapowanego na głowie. Na czole i ramionach namalowane były popiołem trzy poziome linie. Na jego szyi wisiały masywne sznury korali rudrakszy i wspaniały kryształowy różaniec. Kolejne korale rudrakszy owinięte były wokół głowy, prawdopodobnie miały przytrzymywać szatę na swoim miejscu. W lewej ręce trzymał srebrną laskę owiniętą skręconym paskiem łososiowego materiału. Przed nim na małym stoliku stała para srebrnych sandałów, srebrny fallus boga Śiwy i reszta insygniów. Kiedykolwiek wchodził na *pandal* lub z niego schodził, poprzedzał go mistrz ceremonii, który wykrzykiwał – *Dziagatguru Śri Śankaraciarja-dzi Ki Dziai!* – „Zwycięstwo dla nauczyciela świata, Jego Świątobliwości Śankaraciarji!" Na co tłum posłusznie odpowiadał „*Dziaj*! Zwycięstwo!"

Jednakże w trakcie jednej z sesji godność Jego Świątobliwości została w przykry sposób narażona na szwank. Jednym z mówców był niski, korpulentny mnich o dość nieprzyjemnej fizjonomii. Chociaż nic nie rozumiałem z jego przemowy, ponieważ była wygłoszona w gudżarati, wyczuwałem niezadowolenie tłumu. Najpierw były gniewne pomruki, potem okrzyki. Później powiedziano mi, że niedaleko *pandali* otyły mnich wybudował niedawno świątynię Gity. Umieścił w niej wizerunek *Bhagawad Gity* w formie bogini z czterema ramionami. Oddawanie czci temu wizerunkowi, co oczywiście oznaczało pieniężne datki na rzecz świątyni, było według niego równoważne z przeczytaniem, zrozumieniem i praktykowaniem wszystkich nauk świętej księgi, którą symbolizowała bogini. Nie wszyscy zgadzali się na takie upraszczanie religii, istniała więc silna opozycja skierowana przeciwko nowej świątyni. Jej założyciel najwyraźniej wykorzystywał Pariszad, aby zaatakować swoich krytyków. Wyrażał się tak niepowściągliwie, że część tłumu rozwścieczona ruszyła w stronę podwyższenia i próbowała go stamtąd ściągnąć. Jego uczniowie skoczyli mu na pomoc. Przewrócono mikrofon i w jednej chwili na podeście rozgorzała bitwa. Nieduży Śankaraciarja zeskoczył ze swego tronu ze zdumiewającą zwinnością, a mistrz ceremonii pośpiesznie zgarnął regalia w brudną szmatę. Nie biorący udziału w bójce delegaci zerwali się na równe nogi. Lecz burda skończyła się równie szybko, jak się zaczęła. Jego Świątobliwość wspiął się z powrotem na tron i znów położono przed nim insygnia. Delegaci wrócili na swoje miejsca, a powód całego zamieszania dokończył przemówienie już bardziej ugodowym tonem.

Jednak najlepiej przyjęte przemówienie wygłosiła osoba zupełnie innego typu. Był to stary niewidomy asceta podprowadzony do mikrofonu przez młodego ucznia. Jak większość przedstawicieli ortodoksyjnego hinduizmu mówił siedząc ze skrzyżowanymi nogami. Pomimo ślepoty przemawiał w tak imponujący sposób, a jego zaniedbana, niezbyt atrakcyjna postać emanowała taką siłą, że na widowni zapadła cisza. Słuchacze usłyszeli szczerą wypowiedź i jak większość Hindusów – choć czasami bywali zmyleni emocjonalnymi i intelektualnymi pozorami religii – potrafili rozpoznać głos autentycznego doświadczenia duchowego. Kiedy skończył mówić, niewidomy asceta podążając za swym uczniem opuścił *pandal* zupełnie obojętny na gromkie brawa.

Kilku delegatów, ze mną włącznie, zostało zakwaterowanych w salach lekcyjnych miejscowej szkoły średniej, nieczynnej wówczas z powodu letnich wakacji. Zgodnie z obyczajem panującym w

części społeczeństwa indyjskiego, które nie uległo wpływom kultury zachodniej, lunch podawano o dziewiątej rano, abyśmy mogli uczestniczyć w obradach przez cały dzień bez przerwy aż do kolacji. Dostosowałem się do tego bez problemu, jak również do indyjskiego jedzenia, do którego byłem już przyzwyczajony. Natomiast kłopotliwy był dla mnie brak łazienki. Pozostali delegaci jeden po drugim przykucali pod kranem z zimną wodą znajdującym się na dziedzińcu, zmieniając później mokre ubranie na suche bez żadnej ujmy dla przyzwoitości. Jednak zarówno moja angielska niechęć do kąpania się publicznie, jak i odmienny rodzaj ubrania uniemożliwiały mi pójście w ich ślady. Hindusi owijali po prostu suchy sarong wokół pasa, przykrywając nim mokry i potem pozwalali mokremu zsunąć się na ziemię, ale nie dało się zastosować tej procedury do dwóch par spodni. Z pomocą przyszedł mi współlokator z pokoju, wesoły, pokaźnej tuszy mnich w średnim wieku, który mając już do czynienia z Europejczykami, rozumiał ich trudności. Ofiarował mi swoją zapasową sztukę białego materiału, ale owijałem się nim tak niezdarnie i wstydliwie, że wzbudziło to zdumione komentarze innych delegatów – „On nie umie się kąpać". Uświadomiłem sobie, że jeśli nie zrezygnuję z zachodniego stroju, pełna adaptacja do hinduskiego sposobu życia będzie niemożliwa.

Ten sam pogodny mnich pożyczył mi mosiężny garnek do wody, ponieważ gdyby mnie zobaczono idącego w kierunku ubikacji bez naczynia z wodą, pewnie byłbym skazany na ostracyzm przez bardziej ortodoksyjnych Hindusów. Próbował też zostać moim guru. W pierwszy wieczór naszej znajomości objaśnił mi nową metodę medytacji, którą sam odkrył. Pozwoliłem, choć niechętnie, aby uciskał kciukami moje oczy aż do pojawienia się nieznośnego bólu.

„Co widzisz," zapytał.

„Mnóstwo kolorowych światełek," odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

„Tak, to jest Światło Jaźni! – wykrzyknął triumfująco – Musisz na nie medytować".

W klasie naprzeciwko naszej obozował Śankaraciarja. Chociaż z początku obawiałem się podejść do tak dostojnej osoby, w końcu zebrałem dość odwagi, aby zapytać mojego współlokatora, czy jego zdaniem udałoby się załatwić mi audiencję. Uznał, że to możliwe i faktycznie sam porozmawiał w tej sprawie z mistrzem ceremonii. Tego samego dnia późnym wieczorem zostałem zaprowadzony przed oblicze Jego Świątobliwości.

W migotliwym świetle jednej oliwnej lampki niewielka znajoma postać wyglądała o wiele bardziej imponująco niż w jaskrawym świetle na zatłoczonym *pandalu*. Wytężając wzrok dostrzegłem w półmroku tygrysią skórę, kryształowy różaniec i srebrną laskę sprawowanego urzędu. Najwyraźniej tak wielka osobistość musiała się zawsze pokazywać w pełnym rynsztunku.

Wskazano mi siedzenie tuż przed tronem na podwyższeniu. Wystarczyło zaledwie kilka minut rozmowy, aby odkryć, że pomimo wszystkich pozorów ortodoksji Jego Świątobliwość był miłą, bezpretensjonalną osobą, i można go było polubić jak zwykłego człowieka, niezależnie od całego szacunku, jaki mu się należał z racji sprawowania tak wysokiego religijnego urzędu. Powiedział mi, że większość życia spędził pracując jako dyplomowany księgowy w Madrasie, a mnichem został dopiero po przejściu na emeryturę. Pod koniec trwającej pół godziny audiencji dał mi swoją wizytówkę i zaprosił do korespondowania. W przeciągu następnych kilku lat nie tylko wymieniliśmy szereg listów, ale też spotkaliśmy się ponownie w dość niezwykłych okolicznościach.

Rozdział 19

Dwa spotkania i ślub

Dharma Pariszad prawie się kończyło, kiedy jeden z organizatorów poinformował mnie, że przyjechał jeszcze jeden buddyjski delegat, który będzie przewodniczył obradom w tym dniu.

Gdy po raz pierwszy znaleźliśmy się razem na podwyższeniu, nowoprzybyły i ja zmierzyliśmy się wzajemnie wzrokiem z pewnym powątpiewaniem. Nie wiedziałem, co on myśli o mnie, ale moje pierwsze wrażenia były trochę mieszane. Mimo swego wieku i pokaźnej tuszy Pandit-dżi, jak z szacunkiem mówili o nim organizatorzy, był silny i ruchliwy. Czoło miał szlachetne i intelektualne, ale tym cechom zaprzeczał przebiegły wzrok i anemiczne, zdradzające zamiłowanie do dogadzania sobie usta. Choć zachowywał się życzliwie, mimo że nadzwyczaj protekcjonalnie, maniery miał wielkopańskie. Z jego uczonego przemówienia, wygłoszonego nieskazitelnym angielskim z bardzo dobrym akcentem, wywnioskowałem, że chociaż reprezentował buddyzm, był hinduistą. Ta podwójna przynależność była dla mnie zagadkowa, gdyż wtedy jeszcze nie wiedziałem, że przeciętny Hindus sądzi, że lepiej rozumie każdą inną religię niż jej zdeklarowani wyznawcy i dlatego uważa się za lepiej kwalifikowanego do jej reprezentowania.

Ponieważ byliśmy jedynymi delegatami buddyjskimi, pomimo moich wątpliwości Pandit-dżi i ja nieuchronnie zawarliśmy znajomość. Kiedy Pariszad dobiegł końca i przeniosłem się ze szkoły do biura organizatorów, on i jego towarzysz, młody dobrze umięśniony, ospały Bengalczyk o imieniu Sudhir, zabierali mnie na wycieczki. Odwiedziliśmy razem świątynię sekty Swamiego Narajany, mającego w Gudżaracie licznych wyznawców. Z przeciwległego brzegu rzeki patrzyliśmy na niskie pokryte czerwoną dachówką budynki Aszramu Sabarmati, z którego Mahatma Gandhi przez wiele lat kierował walką o niepodległość. Pewnego razu Pandit-dżi zaprosił mnie na lunch do zbudowanej ze sztucznego marmuru willi ahmedabaskiego milionera, właściciela młyna, u którego mieszkał razem ze Sudhirem. Chociaż posiłek podano na modłę hinduską, okazało się, że synowie i córki wiedli w tym domu życie w bardzo zachodnim stylu. Starszego uczonego, który dawniej był ich prywatnym nauczycielem, zapytano o opinię w sprawie jakiegoś niedawnego rozwodu. Jego uprzejma i ustępliwa odpowiedź ujawniła, że cokolwiek myślał naprawdę, nie chciał nikogo urazić.

Mimo siwych włosów Pandit-dżi miał w sobie kolosalną energię. Któregoś dnia poinformował mnie, że z okazji pięćdziesiątej pierwszej rocznicy urodzin Anandamaji Ma zorganizował ceremonię w miejskim ratuszu. Nigdy wcześniej nie słyszałem tego imienia. Na moje zapytanie odpowiedział uroczystym tonem, że jest to wielka święta jogini, która ma tysiące uczniów w całych północnych Indiach. Odznaczała się wieloma osobliwymi cechami, a jedna z nich polegała na tym, że mimo błagań swych licznych czcicieli nigdy nie przebywała w jednym miejscu dłużej niż kilka tygodni. Jej świta musiała być gotowa do wyjazdu w każdej chwili, ponieważ czasami zdarzało się, że pod wpływem nagłego impulsu po prostu wychodziła z aszramu lub dharmasali, gdzie akurat mieszkali, bez żadnego uprzedzenia. W istocie wszelkie jej decyzje były całkowicie nieprzewidywalne. Nikt nigdy nie wiedział, co Pełna Błogości Matka zrobi w następnej chwili. Z wielkiego samozadowolenia, jakie dostrzegłem na twarzy Pandita-dżi, gdy relacjonował mi te fakty, wywnioskowałem, że podobnie jak większość Hindusów, uważał tego typu nieobliczalność za oznakę wielkich duchowych osiągnięć. Natomiast mnie się wydawało bardziej prawdopodobne, że Anandamaji miała silne aktorskie wyczucie dramatyzmu.

Jednak ponieważ interesowała mnie każda osoba z reputacją świętości, zapytałem gdzie się teraz znajdowała. Pandit-dżi podał nazwę jakiegoś miasta dodając, że przebywa tam już od kilku tygodni, więc prawdopodobnie niedługo znów gdzieś wyruszy, ale gdzie, tego nikt nie wie. Może przyjedzie do Ahmedabadu, w którym już kiedyś raz była, a może pojedzie do Dehra Dun. Jest nawet możliwe, że wróci do Benares, gdzie nad brzegami świętej rzeki Ganges budowano właśnie aszram jej imienia. On sam, jak zwierzył mi się Pandit-dżi, bardzo pragnie znów ją zobaczyć przy najbliższej sposobności. Jak tylko dotarłaby do Dehra Dun, miejsca które najprawdopodobniej odwiedzi jako następne, on i Sudhir mają zamiar pośpieszyć do jej stóp. Czy zechciałbym im

towarzyszyć? Anandamaji odnosi się do buddyzmu z wielką sympatią i w rzeczywistości zaaprobowała jego projekt reaktywowania organizacji propagującej Dharmę w Indiach, który zainicjował wiele lat temu. Z pewnością będę mile powitany i może pod przewodnictwem Anandamaji on, Sudhir i ja moglibyśmy razem pracować nad odrodzeniem buddyzmu w Indiach.

Kiedy Pandit-dżi rozwinął swój plan, trudno było mu się oprzeć. Porywające perspektywy otwierały się jedna za drugą, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. W jego wyobraźni możliwe stawało się czymś rzeczywistym, a niemożliwe wydawało się być rozsądnym przewidywaniem. Nawet później, gdy stało się jasne, że żaden z jego wielkich planów nie wyszedł poza etap zbierania funduszy, musiałem się bardzo pilnować, by nie dać się ponieść elokwencji starszego człowieka.

W dniu, kiedy omawialiśmy obchody urodzin Anandamaji, zostałem całkowicie przekonany. W mojej głowie ciągle brzmiały pożegnalne słowa Banerdżeego i od chwili przybycia do Ahmedabadu poszukiwałem kontaktu z buddyjskimi organizacjami. Propozycja Pandita-dżi wreszcie otworzyła drzwi. Jednak tak długo, jak czekaliśmy na wieści o przybyciu Anandamaji do Dehra Dun, nasze plany były tylko orientacyjne. W międzyczasie w ratuszu odbyło się spotkanie z okazji jej urodzin. Pod wpływem mojej sugestii, kilka dni później Pandit-dżi zorganizował też w ratuszu obchody Wajszakha Purnima. Znamienne, że to uroczyste potrójne buddyjskie święto nigdy wcześniej nie było celebrowane w Ahmedabadzie.

Pod koniec spotkania z okazji Wajszakha, na którym obaj z Panditem-dżi wygłosiliśmy przemówienia, podszedł do mnie przystojny młodzieniec o złocistej skórze, mniej więcej w moim wieku, którego tak poruszyła idea Anglika buddysty, że bardzo nalegał, abym złożył wizytę w jego domu. Próżne były moje sprzeciwy. Nie dał mi nawet czasu na poinformowanie Pandita-dżi, gdzie wychodzę, chwycił mnie za rękę i nim się zorientowałem, co się dzieje, śpieszyliśmy wąskimi zatłoczonymi uliczkami otoczonego murem starego miasta. Po drodze mój świeżo upieczony znajomy powiedział, że jest studentem akademii medycznej w Bombaju.

Kilkanaście minut później znalazłem się po raz drugi we wnętrzu hinduskiego domu. Ojciec Aszoki, prawnik, najwyraźniej uznał za rzecz najbardziej naturalną na świecie, że syn przyprowadza przyjaciela do domu na nocleg (mój władczy młodzieniec już zdążył o tym zadecydować) i po wymianie kilku przyjaznych uprzejmości zostawił nas samych.

Aszoka był tak niezwykle gościnny, że od razu poczułem się swobodnie. Zorganizował mi gorącą kąpiel w łazience pełnej wypolerowanych na błysk mosiężnych naczyń najróżniejszych kształtów i rozmiarów, pożyczył mi koszulę i lungi, a moje ubrania zabrał, aby je wyprano i wyprasowano. Nim usiedliśmy do kolacji, byłem członkiem rodziny. W przypominającej klatkę kuchni, siedzący w kucki przed ceglanym, oblepionym krowimi plackami piecem bramiński kucharz przerzucał cienkie jak papier ciapati prosto z ognia na nasze okrągłe mosiężne talerze. Aszoka urządził nam spanie na dachu. Kiedy wspinaliśmy się na ostatnie piętro zbudowanego wokół kwadratowej studni domu, mającego wewnętrzne werandy na wszystkich czterech stronach każdego piętra, zauważyłem, że w rogu każdego półpiętra znajduje się wbudowany w ścianę pisuar z białej porcelany. Mimo eksponowanej pozycji tych udogodnień widziałem, że Aszoka i reszta rodziny używają ich bez najmniejszego skrępowania. Na dachu ujrzałem wspaniałą księżycową noc. Zanim zasnąłem, leżeliśmy rozmawiając jeszcze przez kilka godzin. W środku nocy obudziłem się i zobaczyłem olśniewającą złocistą twarz pochyloną tuż nad moją, ale czy był to księżyc czy Aszoka, trudno mi powiedzieć.

Wizyta ta, którą powtórzyłem pod wpływem nalegań Aszoki, pomogła mi przetrwać czas oczekiwania, aż kapryśna Anandamaji zdecyduje, co ma robić dalej. Nie czułem się jednak ani samotny, ani znudzony. Prawie każdego dnia ktoś mnie odwiedzał i oprócz wycieczek z Panditem-dżi zapraszany byłem do domów innych poznanych przeze mnie przyjaciół. Jednym z nich był ciemnoskóry drobny handlarz węglem, u którego zwykle jadłem lunch i który zawsze chętnie dostarczał mi wszystkiego, czego potrzebowałem. Innym był prawnik z literackimi ambicjami, który już przy pierwszym spotkaniu sprezentował mi pół tuzina napisanych przez siebie i opatrzonych autografami cienkich książeczek wydanych na własny koszt. Zgodnie z hinduskim zwyczajem w kwestii książek o religijnej treści, w każdej z nich zamieszczono w widocznym

miejscu fotografię autora. Po powrocie do mojej kwatery przejrzałem te dary z zainteresowaniem. Trudno powiedzieć, co było w nich dziwaczniejsze – styl czy temat. Pierwszy był w najwyższym możliwym stopniu żarliwie napuszony i pompatyczny. A jeśli chodzi o drugi, apostrofy autora do bóstwa, zainspirowane śmiercią jego młodej żony, były dziwacznie pomieszane z lamentami nad utratą małżeńskiego szczęścia.

Dostałem też raz zaproszenie od bardzo młodego narzeczonego na hinduski ślub. Kiedy procesja, na czele której szła wynajęta orkiestra dęta, dotarła do domu panny młodej, gdzie miała odbyć się cała ceremonia, pomiędzy przedstawicielami obu rodzin wywiązała się zażarta dyskusja. Jak mnie poinformowano, tematem kłótni była liczba przyjaciół pana młodego, jaka miała być wpuszczona na ucztę weselną. Pan młody upierał się przy dwudziestu, a jego przyszły teść, który oczywiście płacił za jedzenie, twierdził, że może nakarmić najwyżej dwunastu. Na europejskim przyjęciu goście czuliby się zażenowani lub nawet obrażeni, słysząc prowadzoną publicznie i naładowaną emocjami dyskusję, czy ich nakarmić czy nie. Ale w Gudżaracie, a może i w całych Indiach, tego rodzaju dysputy są częścią tradycyjnych weselnych obrządków.

Nie pamiętam już, czy na podłodze w jadalni usiadło nas w końcu dwunastu czy dwudziestu. Bardzo się bałem, żeby nie urazić wrażliwych religijno-społecznych uczuć Hindusów i mój umysł zajmowały świeżo usłyszane od pana młodego wskazówki na temat hinduskiej etykiety. Przede wszystkim, jak powiedział, nie wolno mi pod żadnym pozorem dotknąć talerza lewą ręką. Gdybym to zrobił, nawet przypadkowo, pozostali goście uznaliby to za śmiertelną obrazę i mogliby nawet wstać i opuścić dom. Rezultat tego przyjacielskiego upomnienia był taki, że przez cały czas trwania uczty byłem straszliwie świadomy swojej lewej ręki, która zrobiła się jakoś nienaturalnie wielka, ciężka i pomimo moich wysiłków, aby trzymać ją za plecami, najwyraźniej rozwinęła własną wolę, która co jakiś czas popychała ją w stronę talerza.

Nagłe przybycie wiadomości, że Anandamaji znajduje się w Dehra Dun, wprawiło Pandita-dżi, Sudhira i mnie w takie podniecenie, jakiego nigdy byśmy nie doznali, gdyby jej przybycie odbyło się zgodnie z ogłoszonym wcześniej harmonogramem. Podróżując przez Nowe Delhi, w niecałe dwa dni przejechaliśmy około tysiąca kilometrów z Ahmedabadu do Dehra Dun i wysiedliśmy z autobusu na przedmieściach Kiszengundżu, leżącego dokładnie w połowie drogi między miastem Dehra Dun i stacją kolejową na wzgórzu. Po przeciwnej stronie drogi ujrzałem otwartą bramę z wysokim półkolistym łukiem, na którym widniał napis „Szri, Szri, Szri Ma Anandamaji Aszram”.

Rozdział 20

Anandamaji, Pełna Błogości Matka

Moje pierwsze wrażenie związane z Pełną Błogości Matką było chyba najkorzystniejsze. Wchodząc do małego pokoju spotkań w Aszramie, gdzie około piętnastu lub dwudziestu osób siedziało w kręgu na podłodze, ujrzałem w środku tej grupy ubraną na biało postać o prawdziwie królewskim majestacie i od razu wiedziałem, że jest to Anandamaji. Być może z powodu sposobu, w jaki jej włosy upięto w kok, a może z powodu naturalnej godności sposobu bycia, opanowania i uśmiechu delikatnie błąkającego się wokół ust, mimo że była kobietą, od razu uderzyło mnie, że wyglądem dziwnie przypominała Buddę. Jednocześnie poczułem atmosferę głębokiego spokoju, czystości i równowagi, jakiej nigdy wcześniej nie doświadczyłem, która nie tylko przepełniała pokój, ale wydawała się płynąć od niej jak delikatny świeży powiew wiatru. Kiedy Pandit-dżi, Sudhir i ja zajęliśmy swoje miejsca, kilka głów odwróciło się w naszą stronę, lecz nasze przyjście nie zakłóciło ciszy i spokoju tego miejsca bardziej ani dłużej niż trzy małe kamyki wrzucone do stawu marszczą jego nieruchomą powierzchnię. Było to chyba dla mnie korzystne, gdyż dało mi czas, by dogłębniej wchłonąć w siebie całą scenę, co w innych okolicznościach pewnie nie byłoby możliwe.

Długobrody mnich siedzący naprzeciwko Anandamaji czytał na głos jakąś książkę, która sprawiała wrażenie świętego tekstu. Od czasu do czasu Pełna Błogości Matka wtrącała kilka słów komentarza. Jej głos, dobiegający jakby z wielkiej odległości, był tak cichy, że usadowieni półkoliście słuchacze pochylali się do przodu z wyrazem ogromnej koncentracji i pragnienia, by nie uronić ani jednego słowa. Sporadycznie Anandamaji kończyła swoje komentarze delikatnym śmiechem, którego efekt wydawał się rodzić w słuchaczach rozchodzące się fale głębokiego zadowolenia. Ponieważ zarówno lekturę tekstu jak i objaśnienia do niego wygłaszano w języku bengalskim, którego nie rozumiałem, wkrótce przestałem uważać. Po kilku minutach zauważyłem, że jakaś kobieta w białym sari stale się odwraca i przygląda mi się z łagodną ciekawością. Z powodu jasnej cery uznałem, że pochodzi z Bengalu albo z Kaszmiru, ale prawdopodobnie to drugie.

O dwunastej w południe, dokładnie pół godziny po naszym przybyciu, długobrody mnich zamknął książkę. Odśpiewano jakąś religijną pieśń i zakończono spotkanie. Wszyscy lekko odrętwiali podnieśli się na nogi. Pandit-dżi podprowadził mnie do Anandamaji, która jako jedyna pozostała w pozycji siedzącej. W odpowiedzi na moje pozdrowienie, które wyraziłem gestem złożonych dłoni, skłoniła głowę z łaskawym uśmiechem. Zauważyłem, że jej twarz, która z oddali wydawała się piękna, miała głębokie bruzdy, zwłaszcza wokół oczu, a nos i broda były nieprzyjemnie kwadratowe. Pomimo tych skaz w rysach, wyraz twarzy Matki, a w gruncie rzeczy cała jej powierzchowność, odznaczały się niewysłowionym wdziękiem. Kiedy Pandit-dżi z największym szacunkiem zamienił z nią kilka słów, a ona w odpowiedzi na niektóre jego sugestie wyraziła po królewsku zgodę, wyszliśmy poszukać miejsca, gdzie moglibyśmy zjeść lunch.

Znaleźliśmy je pół mili dalej na tej samej ulicy, w domu szwagra Pandita-dżi, który się nas bynajmniej nie spodziewał. Łysy Bengalczyk w europejskim stroju na zachodnią modłę był, jak się później dowiedziałem, synem dr Gjanendranatha Czakrawartiego, sławnego wicekanclerza Uniwersytetu Lucknow, i jeszcze sławniejszej Jaszody Ma, której imię było mi już znane jako guru angielskiego waisznawy Ronalda Nixona, lepiej znanego jako Szri Kriszna Prem. Pomimo uprzejmej serdeczności, z jaką nas powitał, jego stosunek do Pandita-dżi był wyraźną mieszanką wahania i powściągliwości, nie zdziwiłem się więc, kiedy po wyrażeniu żalu z powodu małych rozmiarów domu i braku miejsca na zakwaterowanie gości, które to wyjaśnienie zostało zaakceptowane, Pandit-dżi, Sudhir i ja opuściliśmy dom z pełnymi żołądkami, aby szukać noclegu gdzie indziej. Widziałem go później jeszcze tylko raz lub dwa, gdyż on sam nigdy nie chodził do Aszramu Anandamaji, a Pandit-dżi prawie go nie odwiedzał. Niemniej jednak, w trakcie naszego pobytu w Kiszengundżu dużo dowiedziałem się od niego o jego rodzicach – oboje mieli reputację wielkich joginów, a w rzeczywistości jego ojciec był nauczycielem duchowym jego matki. Z mojej korespondencji ze Szri Kriszną Premem wiedziałem już, że Jaszoda Ma była wajsznawą w

bengalskiej szkole Szri Czajtanji, do której w pewnym sensie należała też Anandamaji.

Było wczesne popołudnie, kiedy wracaliśmy do Aszramu, a drobny pył po obu stronach drogi jaśniał w palącym słońcu tak intensywną bielą, że aż bolały nas oczy. Mimo że osłonięta parasolem, twarz Pandita-dżi świeciła się od potu kapiącego wielkimi kroplami ze słomianego koloru końcówek jego gęstych białych wąsów, a sieć drobniutkich fioletowych żyłek była wyraźnie widoczna na szkarłatnym nosie, policzkach i czole. Jednak jego energia nie zmalała i choć oddech stawał się lekko świszczący z wysiłku, nalegał by zatrzymywać się przy każdej bramie, po czym dumnie wkraczał na dróżkę prowadzącą do każdego domu, jaki mijaliśmy, pytając czy mają pokoje do wynajęcia. Nie wiem, co dozorcy lub pewne zaskoczone europejskie małżeństwo, któremu Pandit-dżi niegrzecznie przerwał popołudniową sjestę dobijaniem się i waleniem w drzwi, myśleli sobie widząc dziwnie różnorodne trio na progu swego domu, ale Pandit-dżi miał czelność, by wielkopańskim i protekcjonalnym tonem żądać od służących informacji, kim są właściciele, czy przebywają w domu, i czy miejsce jest do wynajęcia lub na sprzedaż, zupełnie jakby przyszedł z gotówką w kieszeni i zamiarem kupienia budynku.

Kiedy w ten sposób odwiedziliśmy na próżno prawie tuzin domów, dozorca pewnego zaniedbanego, najwyraźniej opuszczonego domostwa o pobielanych ścianach powiedział, że jeśli znajdziemy sobie namiot, pozwoli nam go rozbić w dużym ogrodzie mango znajdującym się po drugiej stronie drogi, pomiędzy Aszramem Anandamaji i domem szwagra. To pozwolenie otrzymaliśmy tylko dzięki temu, że Pandit-dżi dowiedziawszy się od sąsiada, jak nazywa się właściciel i że gdzieś wyjechał, przedstawił się stróżowi jako stary przyjaciel rodziny. Po tym udanym fortelu zdobycie namiotu w żadnym razie nie przekraczało możliwości starego przebiegłego erudyty i nim niebo na zachodzie poczerwieniało, słońce zaszło i powietrze się ochłodziło, nasz brezentowy dom stał pomiędzy drzewami mango. Ostatnie złote promienie dziennego światła z trudem przebijały się przez gęstwinę zieleni. W czasie gdy Sudhir zbierał patyki i rozniecał dymiące ognisko, zezowaty służący Pandita-dżi przyniósł wodę z kanału. Sam Pandit-dżi, teraz w doskonałym humorze, elokwentnie rozwodził się nad korzyściami życia pośród natury i zaspokajania głodu owocami i orzechami, jak to czynili starożytni mędrcy. Rozprawiając na ten temat, jednocześnie zajęty był otwieraniem puszek z dżemem, masłem, herbatnikami, kawałkami ananasa i kurczakiem, które kupił na bazarze.

Spotkania o charakterze religijnym odbywały się w Aszramie Szri Szri Szri Ma Anandamaji dwa razy dziennie, a ponieważ przybyliśmy do Kiszengundżu wyłącznie w celu spotkania Pełnej Błogości Matki, oczywiście chodziliśmy na nie regularnie. Odbywały się one niezmiennie w pokoju, gdzie ujrzałem ją po raz pierwszy. Była to prostokątna sala, która zajmowała większą część parteru i mogła pomieścić prawie sto osób. Poranne sesje, trwające od dziesiątej do dwunastej były dla mnie mniej interesujące. Przychodziło na nie najwyżej dwunastu do piętnastu uczniów i wyznawców, a choć zaczynały się i kończyły religijnymi pieśniami, większość czasu, tak jak w dniu naszego przybycia, zajmowało czytanie bengalskiej religijnej książki przez tego samego długobrodego ascetę, opatrzone od czasu do czasu cichymi komentarzami Anandamaji. Zauważyłem wkrótce, że jakiś chudy młodzieniec z długimi czarnymi włosami, bardzo długą szyją i mocno wystającą grdyką skrzętnie zapisywał każde jej słowo. Kiedy moja uwaga słabła i przenosiłem wzrok z nieregularnego półkola siedzących na podłodze słuchaczy na cztery białe ściany pokoju, zauważyłem też, że większość wiszących na nich naturalnej wielkości, oprawionych w ramy fotografii przedstawiała Anandamaji. Na niektórych miała wyraz nadnaturalnego dostojeństwa, ale na innych malował się rodzaj zuchwalstwa, czy wręcz kokieterii, co wydało mi się mocno niewłaściwe. Na jeszcze innych jej potargane włosy opadały na śmiejącą się twarz dzikiej kobiety. Najwyraźniej Matka, lub po bengalsku Ma, jak nazywali ją zawsze jej czciciele, była istotą o wielu nastrojach. Dwa lub trzy obrazy, na których jej nie było, przedstawiały pulchnego młodego Krisznę o ciemnoniebieskiej karnacji i z pawim piórem zatkniętym w gęstych falujących włosach, oraz Szri Czajtanię w stanie ekstazy.

Moją wędrującą uwagę często przywoływały dopiero lekkie uderzenia w mały ręczny bębenek, wykonywane przez młodzieńca o długiej szyi, które poprzedzały końcową pieśń. Następnie rozdawano prasad, czyli uświęcony pokarm. Na samym początku spotkania kładziono go na tacy

przed Anandamaji. Ponieważ nie mógł być uważany za prasad, dopóki Anandamaji nie wzięła udziału w jego spożywaniu, jej osobista asystentka, niechlujna młoda bengalska kobieta, podnosiła dwa lub trzy kawałki słodyczy do jej ust – gdyż jak poinformował mnie z wielką powagą Pandit-dżi wkrótce po naszym przyjeździe do Kiszengundżu, już od wielu lat Anandamaji nie jadła ani nie myła się własnymi rękami. Zazwyczaj słodycze te, ledwo dotknąwszy jej ust, spadały na ziemię, skąd były rozchwytywane przez co bardziej oddanych wyznawców.

Zachodni poeci przyzwyczaili nas do idei, że każda z czterech pór roku ma swój dominujący nastrój. Indyjskie kanony estetyczne przypisują konkretny nastrój każdej porze dnia i nocy, tak więc ragi, czyli wątki melodyczne w indyjskiej muzyce, które są sklasyfikowane zgodnie z podobnym schematem, mogą być grane tylko o określonej godzinie odpowiadającej dominującemu nastrojowi. Być może z tego powodu, albo ze względu na większą liczbę uczniów, lub duszną atmosferę zatłoczonego pokoju, a może z powodu dobiegającego z ogrodu upojnego zapachu kwiatów otwierających się dopiero wieczorem, te popołudniowe sesje trwające od czwartej do ósmej lub dziewiątej były nie tylko bardziej dla mnie interesujące od porannych, ale też miały zupełnie inny charakter.

Dominującym nastrojem programu porannego był spokój, a wieczornego podniecenie. Nie było czytania i objaśniania świętych tekstów, tylko cały czas poświęcano hinduskim, bengalskim i sanskryckim pieśniom religijnym. Śpiewano je przy akompaniamencie fisharmonii (będącej obecnie, ku oburzeniu purystów, podstawą hinduskich zespołów amatorskich), kilku połączonych małych ręcznych bębenków i kilku par malutkich talerzy, których dźwięk powodował mrowienie nerwów. Większość pieśni – nazywanych bhadźanami – była poświęcona temu samemu tematowi co fotografie na ścianach: Anandamaji. Tylko nieliczne głosiły chwałę Ramy, Kriszny i innych bóstw. Było oczywiste, że Matka jeszcze za swego życia stała się przedmiotem małego kultu – zjawisko, które w żadnym razie nie jest w Indiach nietypowe.

Choć opisałem je jako pieśni religijne, praktycznie wszystkie bhadźany, które każdego wieczoru wyznawcy z zapałem wyśpiewywali na całe gardło, w zasadzie były niczym więcej jak ciągiem w kółko powtarzanych imion i epitetów, śpiewanych najpierw przez solistę, a potem chórem przez wszystkich zebranych, za każdym razem trochę szybciej i ze stopniowo narastającym entuzjazmem, przez co najmniej 15 lub 20 minut bez przerwy, a czasem nawet ponad godzinę, w zależności od stopnia żarliwości, jaki solista potrafił wzbudzić w kongregacji, a kongregacja w soliście.

Jedna z bhadźan adresowana do Anandamaji składała się z pojedynczego słowa ‘Ma’ powtarzanego tuzin razy:

Ma, Ma-a, Maaa; Ma, Ma-a, Maaa;
Ma, Ma-a, Maaa; Ma, Ma-a, MAAA!

Był to ulubiony tekst uczniów ‘wewnętrznego kręgu’. Ten sam młodzieniec z długą szyją, który jednocześnie wypełniał swoje obowiązki przy fisharmonii, śpiewał go z namiętną zapalczywością, odrzucając głowę do tyłu, gwałtownie podrygując i kołysząc ciałem, z oczami albo mocno zaciśniętymi, albo utkwionymi błagalnie w Anandamaji, a jego grdyka energicznie przesuwała się w górę i w dół. Dla mnie osobiście widok dorosłych kobiet i mężczyzn śpiewających *Ma, Ma-a, Maaa*, jak stado kociąt rozpaczliwie przywołujących matkę, było wulgarną karykaturą religijnego oddania, nie byłem więc zdumiony, kiedy dowiedziałem się później, że kilku z młodszych mężczyzn należących do świty Anandamaji straciło w dzieciństwie matkę.

Ponieważ czytałem wcześniej książki o bengalskim wisznuizmie (lub wajsznawizmie), a poza tym odwiedziłem słynną Gaudija Math, główną siedzibę tego ruchu w Kalkucie, dość szybko stało się dla mnie jasne, jaki jest cel i na czym polega technika sesji bhadźan. Zgodnie z doktrynami tej szkoły, najwyższą postawą, jaką mogą przyjąć wyznawcy wobec Kriszny – będącego dla nich najważniejszą boską inkarnacją – jest taki stosunek, który porzucona kochanka ma wobec swego ukochanego. To podejście w najwyższym stopniu obrazuje Radha, pasterka z Brindabanu, której niedozwolona miłość do młodzieńczego Kriszny jest centralnym tematem ogromnej teologicznej i religijnej literatury bengalskiego wisznuizmu, oraz bardziej historyczna postać Szri Czaitanji, lub

Gourangi, szesnastowiecznego bengalskiego założyciela, czy też raczej inspiratora ruchu, któremu przypisuje się wprowadzenie zwyczaju publicznego śpiewania świętych imion przez dużą grupę wyznawców. Podobnie jak w niektórych chrześcijańskich ruchach odrodzeniowych na Zachodzie, objawy takie jak łzy, gęsia skórka i omdlenia traktowane są jako dowód, że osiągnięto stopień emocjonalnej egzaltacji konieczny dla zamanifestowania się łaski bożej w formie wizji, doświadczenia dotykowego lub słuchowego ze strony obiektu uwielbienia, w tym przypadku Kriszny. Ponieważ muzyka jest najpotężniejszym środkiem pobudzającym emocje, a w Indiach od wieków dobrze wiedzą, że różne tematy melodyczne, rytmy i instrumenty muzyczne mogą wywołać specjalne efekty psychologiczne, było rzeczą naturalną, że dla tego typu wyznawców, którzy gromadzili się wokół Anandamaji, śpiewanie bhadźan jest głównym duchowym ćwiczeniem i podstawowym środkiem zbliżenia się do elementu boskości.

Być może z powodu faktu, że według standardów wisznuizmu bengalskiego kongregacja była mała, a wieczorne sesje bhadźan krótkie, narastający ferwor religijny i podniecenie wyznawców zawsze były trochę za niskie, aby niekontrolowane emocje sięgnęły szczytu, na którym odrzuca się wszelkie zahamowania i wchodzi w stan całkowitego zapomnienia, do którego to stanu uczestnicy nieświadomie dążyli. Mimo to, atmosfera w pokoju była często tak naładowana, że wydawało się, iż podniesienie jej o zaledwie jeden stopień wystarczyłoby, żeby wszyscy zgromadzeni zwalili się z nóg.

Działo się tak zwłaszcza wtedy, kiedy śpiewała Anandamaji, co nie zdarzało się często i wymagało wielu błagań. To nie znaczy, że jej styl śpiewania był w jakimkolwiek stopniu emocjonalny. Głos miała wysoki, czysty, niezbyt silny i wydawało się, że nie tylko wydobywa go z głębi swej istoty, ale też, że dochodzi jakby z dużej odległości, podnosząc się i opadając bardzo powoli, czasem trochę szybciej, kiedy na zmianę ze zgromadzonymi śpiewała powtarzając słowa *Sita-Ram, Sita-Ram*. W jej uśmiechu nie było ani śladu jakiegokolwiek podniecenia, co stanowiło niezwykle uderzający kontrast z konwulsyjnymi drgawkami i wyrazem wielkiej udręki malującej się na twarzach jej uczniów.

Jednak pewnego niedzielnego wieczoru, kiedy zgromadzenie było trochę większe i bardziej wrażliwe, a może i pogoda była trochę cieplejsza niż zwykle – zręcznie prowadzona sekwencja tematów melodycznych, stopniowo narastające tempo, nieustanne klaskanie i kołysanie ciał w tym samym rytmie co wściekłe walenie w bębenki, a przede wszystkim bardzo wysokie dźwięczące tony talerzy, pod koniec tak szybkie, że zamieniły się w jeden nieprzerwany dźwięk wywołujący delirium, wszystko to niemal doprowadziło emocje wyznawców do pożądanego punktu uwolnienia. Ułamek stopnia wyżej i puściłyby wszelkie zahamowania.

Nagle, choć bez pośpiechu, Anandamaji wstała. Sama myśl, że za chwilę zacznie tańczyć, przyśpieszyła długo oczekiwany i pożądany szczyt. Krzycząc, szlochając, zaślepieni łzami wyznawcy skoczyli na równe nogi i zaczęli dziko wirować wokół pokoju. Większość z nich podskakiwała jak szaleńcy, wymachując rękami w powietrzu i przeraźliwie piszcząc. Chociaż bhadźany przyjemnie stymulowały moje uczucia – wiele z nich podobało mi się i słuchałem ich z przyjemnością – teraz siedziałem osłupiały, nie tylko nieporuszony otaczającą mnie histerią, ale też z poczuciem całkowitego wyobcowania wobec typu religii, jaką reprezentowała. Jakiś korpulentny sikh w błękitnym turbanie, z dostojną białą brodą, całkowicie porwany swoimi emocjami zataczał się po pokoju, wydając z siebie raz za razem przeraźliwe wrzaski, wreszcie przewrócił się i zaczął turlać po podłodze gryząc dywan, a z jego ust wydobywała się piana. W końcu przestał i leżał na środku pokoju dygocząc i szlochając.

Anandamaji, która przez cały ten czas stała nieruchomo z lekko uniesionymi rękami, teraz spokojnie usiadła z powrotem na swoim miejscu. Stopniowo podniecenie zmalało, ucichły ostatnie jęki i szlochy. Drżąc na całym ciele, wyczerpani wyznawcy opadli na podłogę i zaczęli ocierać pot z czół. Po kilku minutach fisharmonia zaczęła grać preludium do końcowej bhadźany, uczestnikom wróciły zmysły i ceremonia dobiegła końca w znacznie spokojniejszej atmosferze.

Trudno sobie wyobrazić, żeby w tym żarliwie religijnym otoczeniu pojawiła się tak niepasująca do niego osoba jak racjonalista Jawaharlal Nehru. A jednak niedługo potem namówiono go do złożenia wizyty w Aszramie. Wymyślił to Pandit-dżi, który twierdził, że był kiedyś prywatnym

nauczycielem Nehru. Anandamaji wyraziła zgodę. Starszy pan nalegał, aby przewlekłe negocjacje, które poprzedziły wizytę, utrzymywano w największej tajemnicy, więc oprócz samej Pełnej Błogości Matki nikt inny w Aszramie nie wiedział o tej sprawie aż do ostatniej chwili. Ta okoliczność spowodowała wiele gniewnych reakcji wśród młodszych członków 'wewnętrznego kręgu', którzy uważali się za osoby uprawnione do udziału we wszystkich naradach.

Nehru przebywał w tym czasie na wakacjach w Mussoorie, w domu należącym do jednej z jego sióstr, i za kilka dni miał powrócić do Nowego Delhi na rozmowy z wicekrólem, Lordem Mountbattenem, dotyczące zbliżającego się przekazania władzy Narodowemu Kongresowi Indii przez rząd Jej Królewskiej Wysokości. Plan Pandita-dżi przewidywał, że Nehru w drodze do Dehra Dun zatrzyma się w Aszramie na półgodzinną rozmowę z Anandamaji. Z powodu tajności całej sprawy nie wysłano żadnego pisemnego zaproszenia, tylko Pandit-dżi sam wykonał szereg rozmów telefonicznych do Mussoorie z budki telefonicznej na bazarze. Po początkowych nieudanych próbach połączenia się, wstępnych potyczkach z sekretarkami, niezdecydowanych odpowiedziach asystentów, wreszcie udało mu się porozmawiać osobiście z przywódcą narodu, któremu przekazał zaproszenie z największym taktem i dyplomacją, na jaką było go stać. Zaproszenie zostało przyjęte i Pandit-dżi wyłonił się z budki, w której stał przez ponad godzinę, z twarzą jaśniejącą od triumfu i zadowolenia.

Dlatego, o jedenastej rano któregoś dnia w pierwszej połowie czerwca pod bramę Aszramu podjechała mała kawalkada samochodów. Pandit-dżi, który w oczekiwaniu na gościa czaił się tam prawie od godziny, natychmiast podjął rolę mistrza ceremonii i przedstawił mnie Nehru. W milczeniu wymieniliśmy pozdrowienia złożonymi dłońmi. Pandit-dżi, który w swym obszernym bengalskim szalu udrapowanym jak toga pod jednym ramieniem i przerzuconym przez drugie ramię, wyglądał jak rzymski senator witający cesarza na swych włościach, wprowadził swego byłego ucznia do sali, gdzie Anandamaji czekała, by go przyjąć. Za Nehru szła jego córka Indira, szczupła młoda kobieta w szkarłatnym sari i butach na bardzo wysokich obcasach, a za nią budzący respekt Sardar Wallabhbhai Patel oraz członkowie personelu.

Chociaż długoszyi młodzieniec i pozostałe osoby należące do wewnętrznej grupy nie były wtajemniczone w sekret niemal aż do ostatniej chwili, teraz z pewnością nie mieli zamiaru pozwolić komukolwiek na wykluczenie ich z reszty ceremonii. Z tego powodu Nehru musiał przesiedzieć półgodzinny bhadźan. Ponieważ posadzono mnie po jego lewej stronie, miałem świetną okazję, aby go dyskretnie poobserwować. Siedział z łokciami opartymi na kolanach, pochylonym grzbietem i zgarbionymi ramionami, ze wzrokiem utkwionym w podłodze. Na jego bladej twarzy widać było ogromne znużenie, napięcie i niepokój. Ani razu przez te pół godziny nie dał poznać nawet drgnięciem powieki, że zwrócił choćby najmniejszą uwagę na bhadźan. W rzeczywistości sprawiał wrażenie totalnie wyobcowanego z otoczenia. Patel, który znajdował się prawie dokładnie naprzeciwko mnie, siedział całkowicie wyprostowany i równie nieruchomy jak Nehru, wpatrując się w przestrzeń z wyrazem tak monumentalnej powagi na twarzy, że prawie bliskiej przygnębieniu.

Jak tylko skończył się bhadźan, Nehru odbył krótką prywatną rozmowę z Anandamaji w jej pokoju, po czym kawalkada samochodów wyruszyła w dalszą drogę.

Pandit-dżi, który jako jeden z nielicznych członków Aszramu był obecny przy prywatnej rozmowie, powiedział mi, że Nehru zapytał Anandamaji, jak osiągnąć spokój umysłu, i że jej odpowiedź brzmiała „Odpoczywaj wewnątrz". Wizyta w gruncie rzeczy nie była udana. Nehru nie dał żadnego sygnału, że Anandamaji wywarła na nim wrażenie w takim stopniu, na jaki liczył Pandit-dżi. Ale w żadnym razie nie zniechęciło to starego optymisty, który po wygłoszeniu paru generalnych uwag na temat nadzwyczajnej subtelności, z jaką działają wpływy duchowe, i o tym, że najpotężniej oddziaływują wtedy, kiedy są najmniej wyczuwalne, wkrótce radośnie perorował w sposób, z którego dało się wywnioskować, że jego mózg opracowuje wielkie plany, w których on i Anandamaji będą szarymi eminencjami, kierującymi Kongresem.

Nawet jeśli wizyta Nehru nie spełniła wielkich oczekiwań Pandita-dżi, z pewnością od razu zwiększyła jego prestiż w Aszramie. Dało mu to okazję do ujawnienia swoich planów w kwestii buddyjskiej, czy raczej 'buddystycznej' organizacji pod patronatem Anandamaji. Dharma Widżaja

Wahini, czyli ‘Armia Podboju Sprawiedliwością’, jak miała się nazywać w języku Asioki, najwyraźniej była już założona przez Pandita-dżi wcześniej, a teraz miała być wskrzeszona dzięki naszym wspólnym wysiłkom.

Mimo, że miałem chwile wątpliwości – ponieważ choć przyjąłem zapewnienia Pandita-dżi o osobistej sympatii Anandamaji do buddyzmu, nie mogłem nie zauważyć obojętności jej wyznawców – z entuzjazmem zająłem się pracą nad przerabianiem programu Wahini. Pociągało to za sobą rozwlekłe dyskusje z Panditem-dżi, mocno przekonanym, że korzenie buddyzmu tkwią w Upaniszadach. Omawialiśmy też kwestie bardziej praktyczne, takie jak rekrutacja pracowników. Dało mi to okazję, by zasugerować nazwisko Banerdżeego, o którym już niejednokrotnie mówiłem i z którym regularnie korespondowałem od czasu wyjazdu z Kalkuty, ale zarzucałem wędkę tak ostrożnie, że ryba nie zauważyła przynęty.

Jednak dzień czy dwa później otrzymałem desperacki list od mojego przyjaciela, który pisał, że nie ma już żadnych pieniędzy i że jest traktowany przez Jego Świątobliwość w nieznośnie upokarzający sposób. Swoje błaganie o pomoc zakończył zdaniem „Prawdziwego przyjaciela poznaje się w biedzie”. Czując, że nie ma już czasu na subtelne aluzje, otwarcie zaproponowałem Panditowi-dżi, żeby zaprosić Banerdżeego do Kiszengundżu, aby z nami współpracował. Chociaż początkowo się sprzeciwiał, to w końcu jednak wyraził zgodę. Nie posiadając się z radości, popędziłem na pocztę i telegraficznie wysłałem mojemu przyjacielowi sto rupii na podróż.

Rozdział 21

Troje niedotykalnych

Istnieją ludzie tak destrukcyjnie szczerzy, że ich pojawienie się w jakiejkolwiek małej egocentrycznej grupie, od dawna przyzwyczajonej oceniać się tylko według własnego punktu widzenia, wywołuje efekt zdarcia zasłony. Banerdżee był takim typem. Dlatego można było oczekiwać, że jego przybycie do Kiszengundżu w tydzień później spowoduje serię incydentów, które – choć Anandamaji wydawały się tylko zabawne – poważnie zakłóciły samozadowolenie jej wyznawców. Pierwszy wypadek oczywiście nie wydarzył się natychmiast. Po swoich ostatnich nieprzyjemnych doświadczeniach w Kalkucie z Jego Świątobliwością, który mścił się na nim za moją dezercję, Banerdżee był na początku zwyczajnie zadowolony, mogąc cieszyć się przyjazną, a nawet biesiadną atmosferą w gaju mango. Co więcej, Pandit-dżi dobrze wiedział, jak wywrzeć wrażenie na młodych ludziach, więc niewiele czasu upłynęło, żeby Banerdżee, który oczarowany słuchał wywodów starego przebiegłego erudyty na temat buddyzmu i Wedanty, entuzjastycznie stwierdził, że przypomina on mieszkających w lasach mędrców z dawnych czasów. Z Sudhirem, spędzającym większość czasu na spaniu nago w pełnym słońcu, wkrótce był na poufałej stopie. W Indiach z reguły przyjaźnie dojrzewają bardzo szybko. Gorliwa chęć Banerdżeego, aby zadowolić, pragnienie Pandita-dżi, aby zaimponować, i życzenie Sudhira, aby mu nie przeszkadzać w drzemce, same w sobie wystarczyły do zagwarantowania przyjaznych stosunków. Ponadto wszyscy troje byli Bengalczykami i chociaż Banerdżee odmówił przyznania się do tego faktu, to pozostali jeszcze przed jego przyjazdem wywnioskowali z nazwiska, że jest braminem tak jak oni.

Jedzenie i wszystko, co związane z jego przygotowaniem i konsumpcją, zajmuje tak niezwykle ważne miejsce w życiu ortodoksyjnego Hindusa, że było nieuniknione, iż pierwszy konflikt Banerdżeego z mieszkańcami Aszramu będzie miał związek z lunchem.

Na zaproszenie Anandamaji, Pandit-dżi, Sudhir i ja zawsze zostawaliśmy w Aszramie po porannej sesji, aby zjeść posiłek. Miejsca było tam niewiele, więc nie zdziwiłem się, kiedy poproszono mnie, abym usiadł na północnej werandzie głównego budynku, podczas gdy Pandit-dżi i Sudhir zajęli miejsca w długim rzędzie uczniów na werandzie przy kuchni, będącej oddzielnym budynkiem dokładnie naprzeciwko głównego. Po kilku minutach kobieta, która w dniu mojego przyjazdu odwracała się w sali, przyglądając mi się z ciekawością, pojawiła się z dwoma talerzami z liści palmowych – jeden z nich położyła przede mną, a drugi trochę dalej. Sprawdziwszy, że dostałem ryż, zupę z soczewicy i warzywa w sosie curry, zajęła miejsce obok mnie. Ponieważ była z natury rozmowna, wkrótce dowiedziałem się, że nie pochodzi z Kaszmiru, tylko z Austrii, nazywa się Blanka Schlaum i jest dyrektorką szkoły dla dziewcząt w Benares, a ponieważ jest wielką wyznawczynią Anandamaji, spędza teraz w Aszramie swoje letnie wakacje. Kiedy skończyliśmy posiłek, przyniosła mi wodę do umycia rąk, zabrała nasze talerze, pomazała róg werandy, gdzie przed chwilą jedliśmy, krowim łajnem i potem dokładnie zmyła go wodą. Ponieważ zawsze troszczyła się o mnie i oprócz dziewczyny, która nas obsługiwała, była jedynym mieszkańcem Aszramu, który się do mnie odzywał, wkrótce zostaliśmy przyjaciółmi.

Pierwszego dnia, kiedy Banerdżeego również zaproszono, aby pozostał na lunch, pojawiło się pytanie, gdzie ma usiąść. Z jakiegoś powodu Pandit-dżi dziwnie nalegał, aby dołączył do niego i Sudhira na werandzie kuchennej, ale Banerdżee nie chciał się ze mną rozstawać. Ponieważ rozmawiali po bengalsku, nie rozumiałem ich kłótni, pomyślałem tylko, że obaj są nieracjonalnie podnieceni. W końcu mój przyjaciel chyba dopiął swego i na północnej werandzie położono trzeci talerz z liścia.

Dopiero kiedy znaleźliśmy się znów w gaju mango, i kiedy Pandit-dżi i Banerdżee, którzy przez całą drogę powrotną gwałtownie się kłócili, jednocześnie próbowali przedstawić mi swoje racje, odkryłem, że sprawa jest o wiele poważniejsza niż podejrzewałem. Chociaż trzymano mnie w niewiedzy na ten temat, to w Aszramie bardzo surowo przestrzegano zasad segregacji kastowej, zwłaszcza pomiędzy braminami i nie-braminami. Członkowie wszystkich kast faktycznie mogli siedzieć razem w sali medytacyjnej i razem intonować święte imiona, ale członkom niższej kasty

nie wolno było jeść razem z członkami wyższej kasty. Teraz znaczenie dwóch werand stało się oczywiste. Blankę i mnie traktowano jak niedotykalnych. Sama wyrzucała nasze talerze po posiłku, ponieważ nikt inny by ich nie dotknął. Krowie łajno miało za zadanie oczyścić werandę skalaną przez fakt, że na niej jedliśmy.

Banerdżee był wściekły, że Pandit-dżi pozwolił, aby traktowano mnie w tak obraźliwy sposób. Stary człowiek, chociaż zgadzał się z poglądem, że podziały kastowe są absurdalne, był zirytowany, że Banerdżee zamiast spokojnie dostosować się do okoliczności, otwarcie zlekceważył zasady obowiązujące w Aszramie, stawiając przez to samego Pandita-dżi w niezręcznej sytuacji i być może narażając szanse Wahini na uzyskanie patronatu Anandamaji.

W końcu znużony zaciekłością Banerdżeego Pandit-dżi przeszedł na łagodniejszy ton i opowiedział długą historię o tym, jak on sam ponad pół wieku wcześniej powrócił do domu ze swej pierwszej wycieczki do Ameryki i został zmuszony do mieszkania przez tydzień w oborze i do odprawienia licznych obrzędów pokutnych i oczyszczających, zanim został ponownie przyjęty do rodzinnej wspólnoty. Czyż sam fakt, że tego rodzaju kar już się nie narzuca tym, którzy ośmielili się przekroczyć *kala pani*, czyli ‘czarną wodę’, nie świadczy o tym, że podziały kastowe tracą na znaczeniu – zapytał, zręcznie wracając do swojej tezy. W rzeczywistości dzień, kiedy ostatecznie znikną, jest już tak czy inaczej blisko, więc czyż nie powinniśmy starać się przyspieszyć ten proces poprzez taktowne i współczujące traktowanie tych, którzy nadal trzymają się starych społeczno-religijnych tabu, zamiast opóźniać go prowokując gniewne reakcje? Takie argumenty nie pozostały bez wpływu na mojego przyjaciela, który od chwili, gdy Pandit-dżi przyjął bardziej ugodową postawę, zaczął żałować swych pośpiesznych działań i ostrych słów. Dlatego wylewnie przeprosił za swoje grubiaństwo, potem Pandit-dżi wygłosił małe kazanie na temat konieczności kompromisu i zanim wyruszyliśmy do Aszramu na wieczorną sesję, w mangowym gaju znów zapanował pokój, przynajmniej na razie. Jednak żaden argument nie był w stanie zmienić determinacji Banerdżeego, żeby jadać w moim i Blanki towarzystwie. Mimo dezaprobaty Pandita-dżi oraz wzbudzenia niebywałego skandalu wśród mieszkańców Aszramu, którzy dobrze wiedzieli, że jest braminem, choć on sam uparcie temu zaprzeczał, nadal był trzecią osobą na północnej werandzie, na której pod ich adresem opowiadał żenujące dowcipy o ‘trojgu niedotykalnych’.

Ponieważ Anandamaji była w oczywisty sposób królową pszczół w aszramowym ulu, trudno nam było powstrzymać się od spekulacji na temat jej prywatnego stosunku do systemu kastowego. Pandit-dżi zapewniał nas, że jest ona w stanie ciągłego kontaktu z Absolutem, gdzie wszystkie ziemskie podziały zostały przezwyciężone, więc z całą pewnością nie można uznać jej za osobę, która naprawdę wierzy w ten system. O ile mu wiadomo, reguły Aszramu ustaliła Guruprija, główna uczennica Anandamaji i menedżerka, kobieta pochodząca z najbardziej ortodoksyjnego odłamu o najwęższych horyzontach, która właśnie wtedy znajdowała się w drodze do Kiszengundżu z Benares. Poza tym, jak argumentował, nawet jeśli bramińscy uczniowie Anandamaji bardzo się mylą, byłoby z jej strony czymś niewłaściwym ranić ich uczucia kwestionując ich uprzedzenia kastowe, ponieważ jeśli opuściliby ją bardzo tym urażeni, ich duchowy rozwój mógłby ulec opóźnieniu.

„A co z uczuciami nie-braminów? – zażądał odpowiedzi Banerdżee – Czy oni nie mają prawa do rozwoju duchowego? Obecnie nie przychodzą do Aszramu, ponieważ nie będą tolerować sytuacji, kiedy traktuje się ich gorzej jak psy!” Bilans wydawał się zbyt mocno przechylać na korzyść braminów, żeby argumenty Pandita-dżi brzmiały przekonująco, i mimo że stary oportunista zaczął mówić tonem sugerującym, że zbyt długo testujemy jego cierpliwość, to postanowiliśmy przy najbliższej okazji przedstawić całą sprawę samej Anandamaji.

Nastąpiło to dość szybko. Usłyszawszy od uczniów, że Banerdżee naprawdę jest braminem, Pełna Błogości Matka zapytała go, czy zgodnie z ortodoksyjnym obyczajem nosi swoją świętą nić i recytuje trzy razy dziennie Mantrę Gajatri. Było to, jak się później dowiedzieliśmy, standardowe pytanie, ponieważ stanowczo opowiadała się za tym, aby wszyscy bramini surowo przestrzegali tych praktyk. Jako że rozmowa odbywała się po bengalsku, nie mogłem ocenić, jak mocna była odpowiedź Banerdżeego, ale przekazał mi później jej sens, a z oburzenia, jakie pojawiło się na twarzach niektórych uczniów mogłem nawet odgadnąć jej treść.

Krótko przyznając, że pochodził z rodziny bramińskiej, w najbardziej lekceważący sposób wypowiedział się o ‘tym sznurze’, jak nazwał świętą nić, twierdząc, że wyrzucił ją dawno temu i nie ma najmniejszego zamiaru kiedykolwiek ponownie jej zakładać. Poza tym jest buddystą, przyjął Trzy Schronienia i Pięć Wskazań w trakcie ostatniego Dnia Wajszakha Purnima, a buddyści nie uznają systemu kastowego. A jeśli chodzi o Mantrę Gajatri (w dawnych czasach, jeśli usłyszeli ją członkowie niższych kast, byli za to karani w makabryczny sposób) to nauczył jej kilku zamiataczy i kazał im ją recytować. Gdyby Anandamaji była prawdziwą Mata-dżi, prawdziwą ‘Świętą Matką’ – oświadczył wojowniczo – nie byłaby taka zainteresowana dowiadywaniem się, kto jest, a kto nie jest braminem, tylko traktowałaby wszystkich jednakowo jak swoich uczniów, jak swoje dzieci.

Nie pamiętam już, czy to wtedy właśnie nastąpiło owo słynne wydarzenie, kiedy gwałtownie zadeklarował, że dla niego ona nie jest Mata-dżi tylko stara kalkucka Kali Ma (czyli pochodząca z niższej klasy kobieta-medium przepowiadająca przyszłość) i że widział setki takich jak ona stojących w rynsztoku i czekających na klientów. W każdym razie powiedział wystarczająco dużo, aby rozwścieczyć członków Aszramu, którzy przerywali końcową część jego tyrady gniewnymi okrzykami protestu. Pandit-dżi wyglądał na wyjątkowo zakłopotanego.

Jednak Anandamaji, która słuchała tego z najwyższą obojętnością, po jego ostatnich oburzających słowach tylko się roześmiała w swój najbardziej urzekający sposób. Nigdy nie wytłumaczyła jasno, jaki naprawdę był jej stosunek do systemu kastowego, i chociaż Banerdżee wracał do tematu w następnych rozmowach, nie udało mu się nakłonić jej do przyznania, że aprobuje lub nie aprobuje przestrzeganych w Aszramie ograniczeń. Za każdym razem potrafiła zręcznie wybrnąć, przyćmiewając swoje filozoficzne krętactwa wdziękiem osobistym o tak nadzwyczajnej jakości, że nasze niezadowolenie z powodu braku jednoznacznej odpowiedzi na główne pytanie zawsze się w końcu subtelnie rozpuściło w zachwycie, którego nie sposób było nie poczuć przebywając w jej fascynującej obecności.

Bez wątpienia dokładnie taka była jej intencja. Dosyć szybko po moim przyjeździe do Kiszengundżu zauważyłem, że w stosunku do swoich uczniów, zarówno kobiet jak i mężczyzn, młodych czy starych, wydaje się prowadzić coś w rodzaju duchowego flirtu. Tego typu procedury były całkowicie zgodne z ideałami bengalskiego wisznuizmu. Kriszna przywabiał pasterki z Brindabanu przy pomocy swojego fletu, a nie filozofii; oczarowywał je nie swoją mądrością, tylko urodą; a one osiągały wyzwolenie (według świętych tekstów wisznuizmu) nie dzięki zrozumieniu, tylko dzięki miłości. Atmosfera otaczająca Anandamaji była tak naładowana, była ona obiektem podziwu i uwagi tak wielu oczu, że jedno jej słowo, spojrzenie lub gest potrafiło zrodzić silne reperkusje i stać się przedmiotem ożywionych dyskusji trwających całymi dniami lub tygodniami. Wyznawcy, którym figlarnie rzuciła kwiat, prawie mdleli z wrażenia. Jakikolwiek szczególny wzgląd okazany jednemu uczniowi, rodził u innych paroksyzmy zazdrości. Mówiono nam, że nie tak dawno jeden z uczniów, który czuł się zaniedbywany, z wielkiego zmartwienia dosłownie napadł na Anandamaji i zrzucił ją ze schodów.

Nawet Banerdżee nie był przygotowany na to, że będzie musiał zadać sobie aż tyle trudu, by uzyskać odpowiedź na nasze pytanie! Nasze wątpliwości były co jakiś czas uciszane jej zniewalającym zachowaniem, ale nie byliśmy usatysfakcjonowani do końca, więc nie pozostało nam nic innego, jak wywnioskować, jaki jest stosunek Anandamaji do kast, z jej zachowań oraz z zachowań tych, którzy działali z jej upoważnienia, można więc było logicznie przypuszczać, że wykonywali jej polecenia.

Wkrótce odkryliśmy, że sami bramini, po odseparowaniu ich od nie-braminów, podzieleni byli jeszcze na trzy grupy, z których każda jadła oddzielnie. Nie pamiętam, jaka była zasada tego dodatkowego podziału, ale Anandamaji jadła wyłącznie w obecności braminów i braminek pierwszej klasy – jedna z nich, zwykle była to niechlujna asystentka lub Guruprija, musiała ją karmić.

Po lunchu Pełna Błogości Matka często siadywała na frontowej werandzie Aszramu, gdzie było najchłodniej. Jeśli poprosiła o szklankę wody, nie-bramini musieli wyjść na kilka minut, a w tym czasie wlewano jej wodę do ust. Atmosfera miejsca, w którym przestrzegano tego typu restrykcji, potrafiła się tak silnie udzielić nawet osobom, które nie wierzyły w te ograniczenia, że kiedy

pewnego razu pozwolono mi zostać – może dlatego, że nie siedziałem zbyt blisko Anandamaji, a może dlatego, że moja nieczysta obecność pozostała niezauważona – to w rzeczywistości poczułem się bardzo dumny.

Blanka, która obowiązkowo wychodziła przy takich okazjach, stanowczo utrzymywała, że Anandamaji osobiście nie miała nic przeciwko temu, żeby wypić coś dotkniętego przez nie-bramina, i na dowód zaręczała, że kiedyś sama podała jej wodę. Jednak mieszkańcy Aszramu uznali tę opowieść za apokryficzną, a w każdym razie, nawet jeśli takie zdarzenie naprawdę miało miejsce, było tak wielkim odstępstwem od obowiązujących w Aszramie reguł, że nie miało żadnego znaczenia.

Jako jedyna europejska rezydentka w Aszramie, biedna Blanka faktycznie była główną ofiarą złośliwości ortodoksów. Kilku bramińskich młodzieńców, członków wewnętrznego kręgu, czerpało złośliwą przyjemność z okrutnego upokarzania jej przy każdej możliwej okazji. Choć była od nich dwa razy starsza, jej oddanie dla Anandamaji zwykle pozwalało jej znosić te obelgi z pokorą, ale od czasu do czasu wybuchała.

Kiedyś, gdy jeden z jej prześladowców, młody, wysoki i pulchny Bengalczyk z podpuchniętą, wiecznie niezadowoloną twarzą napełniał wiadro przy kuchennej pompie, Blanka czekając żeby napełnić swoje naczynie, przypadkiem postawiła je na szczycie cementowego słupka kilka cali ponad otworem pompy.

„Teraz będę musiał wylać całą wodę," krzyknął z gniewem, od razu zamieniając swoje słowa w czyn.

„Ale przecież bierzesz wodę tylko do kąpieli!" jęknęła Blanka, kiedy woda rozlała się wokół jej gołych kostek.

Z wściekłością mamrocząc coś pod nosem po bengalsku, młodziak hałaśliwie postawił wiadro pod pompą.

„Pozwól mi najpierw napełnić mój kubełek," błagała boleśnie dotknięta kobieta. Ale rzucając jej jadowite spojrzenie chłopak powiedział, żeby sobie poszła, zanim narobi więcej kłopotu.

Ponieważ napompowanie całego wiadra wody trwało pół godziny, dużo czasu by minęło zanim Blanka mogłaby napełnić swój kubełek, a jej się śpieszyło. Po piętnastu minutach, kiedy wiadro było dopiero w połowie pełne, nie mogła już tego dłużej wytrzymać. Z silnym niemieckim przekleństwem gwałtownie popchnęła swego dręczyciela, przechyliła wiadro na jedną stronę i zanim ten zdołał ochłonąć ze zdumienia, napełniła swoje naczynie i odmaszerowała.

Byłem świadkiem tego incydentu, gdyż siedziałem wtedy w ogrodzie przed Aszramem. O innym zdarzeniu, które miało miejsce z tyłu przy latrynie, opowiedziała mi sama Blanka.

Matka tego właśnie chłopaka, która zapomniała zabrać ze sobą do ubikacji zwyczajowe naczynie z wodą, zawołała do kobiet na zewnątrz, żeby jej przyniosły kubełek. Blanka usłużnie to zrobiła. Ale kiedy kobieta usłyszała jej głos, nie chciała otworzyć drzwi ubikacji, aby wziąć wodę i zawołała jakąś inną kobietę, żeby ta przyniosła jej kubeł zamiast Blanki. Blanka skomentowała ponuro, że jej dotknięcie uczyniło wodę tak nieczystą, że nie nadawała się nawet do umycia tyłka bramina.

Banerdżee miał taki a nie inny charakter, było więc mało prawdopodobne, że będzie znosił ograniczenia w Aszramie równie potulnie, jak zwykle robiła to Blanka. Poza tym istniała ogromna różnica w ich statusie. Jeden z wersetów w *Ramacharita Manas of Tulsidas*, biblii wszystkich osób posługujących się językiem hindi w północno-zachodnich Indiach, twierdzi, że szudrą, czyli członkiem czwartej lub niższej kasty, należy pogardzać nawet jeśli posiada on wszystkie możliwe zalety; natomiast braminowi należy się cześć i uwielbienie, nawet jeśli popełnił wszystkie grzechy świata. Blanka nie była nawet szudrą. Była mleczhą, czymś gorszym niż niedotykalny o najniższym statusie. Nie miało znaczenia, jak bardzo mogła być pobożna i duchowo rozwinięta, liczyło się tylko to, że swoim dotknięciem zanieczyszczała wodę i ugotowane pożywienie. Z kolei Banerdżee, niezależnie od tego jak gorzko się uskarżał, czy gwałtownie buntował przeciwko wszystkim tabu ortodoksyjnych Hindusów, w oczach Anandamaji i reszty mieszkańców Aszramu pozostawał braminem i mimo jego protestów nadal traktowano go jak bramina. Ponieważ we współczesnych (to znaczy post-średniowiecznych) Indiach jest praktycznie niemożliwe, żeby mężczyzna bramin

wyparł się swojej kasty, dlatego jakakolwiek próba reformy społecznej, która oznaczałaby całkowitą abolicję systemu kastowego, ze strony indywidualnych braminów o dobrych intencjach, lub ze strony jakiegokolwiek Hindusa należącego do kasty, nie miałaby żadnego znaczenia oprócz czysto teoretycznego. Dlatego Banerdżee mógł bezkarnie wykrzykiwać bluźnierstwa, za które Blanka byłaby wyrzucona z Aszramu. Mógł pozostawać w dość przyjaznych stosunkach z groźną Gurupriją – ascetką w średnim wieku, z grzywą rozczochranych siwych włosów i wyrazem twarzy podobnym do buldoga – wobec której czasami zachowywał się w tak zuchwale poufały sposób, że jej ponure rysy łagodniały niemalże do uśmiechu. W rzeczywistości był generalnie tolerowany i traktowany niemal z pobłażliwością, jak dziecko, które mimo całej samowoli pozostaje członkiem rodziny.

Resztki jedzenia, lub jedzenie, które w jakikolwiek sposób dotknęło warg, nazywane jest dżutha i żaden ortodoksyjny Hindus nie zgodzi się dotknąć dżuthy osoby z niższej kasty. Pożywienie, które zostało w rytualny sposób ofiarowane wizerunkowi bóstwa, świętemu, nauczycielowi lub bardzo szanowanej starszej osobie, nazywane jest prasad. Wśród mieszkańców Aszramu panowała głęboka rywalizacja o prasad Anandamaji, więc codziennie po lunchu niechlujna asystentka, która na parę minut stawała się bardzo ważną osobą, była oblegana przez natarczywych wyznawców, jak tylko wyłoniła się z kuchni z resztkami posiłku Pełnej Błogości Matki. Czasami prasadu nie było, ponieważ Anadamaji, która gdyby tylko pozwoliła nakładać sobie większe porcje, mogłaby codziennie zapewnić prasad wszystkim mieszkańcom Aszramu, najwyraźniej świetnie znała sztukę zwiększania popytu poprzez ograniczanie podaży. Otrzymanie kąska pożywienia bezpośrednio z jej talerza na jej osobiste polecenie było niezwykłą oznaką szczególnych względów, wzbudzającą ogromną radość u obdarowanego i równie ogromną zazdrość u wszystkich pozostałych. Pewnego dnia, kiedy nasza ‘trójka niedotykalnych’ jadła lunch na północnej werandzie, przyniesiono nam prasad, a posłaniec z najgłębszym szacunkiem oznajmił, że Anandamaji osobiście kazała go przysłać i najwyraźniej oczekiwał, że będziemy wstrząśnięci tak niebywałą łaską. Ale rezydenci w Aszramie jeszcze nie poznali do końca siły przekonań Banerdżeego.

„Nie mam zamiaru dotykać dżuthy tej kobiety – oznajmił szorstko, zakrywając swój talerz dłonią – skąd mam wiedzieć, czy ona nie jest chora na coś paskudnego?”

Incydenty tego typu zdarzały się dość często. Jeden z najzabawniejszych miał miejsce nie w Aszramie tylko w Dehra Dun, w domu jednego z wyznawców. Wszyscy mieszkańcy Aszramu, jak również wszystkie osoby z sąsiedztwa, które były w jakikolwiek sposób związane z Anandamaji, interesowały się nią lub mogły być nią potencjalnie zainteresowane, zostały zaproszone na ucztę. O ile dobrze pamiętam, sama Anandamaji albo w ogóle się nie pojawiła, albo przyszła, lecz nic nie jadła. Banerdżeego i mnie posadzono obok siebie, a Pandita-dżi i Sudhira gdzie indziej. Zgodnie z panującym w Indiach zwyczajem, goście siedzieli na podłodze w długich rzędach, mężczyźni oddzielnie, kobiety i dzieci oddzielnie. Przed każdym leżał talerz z liścia. Miejsce z drugiej strony Banerdżeego, ostatnie w naszym rzędzie, było puste.

Właśnie podano potrawę i mieliśmy zacząć jeść, kiedy jakiś spóźniony starszy mężczyzna, noszący świętą nić, usiadł na pustym miejscu. Słysząc, że Banerdżee i ja rozmawiamy po angielsku, przechylił się i zmierzył mnie podejrzliwym wzrokiem. Mój widok najwyraźniej wzbudził w nim niepokój, bo zaczął się niepewnie wiercić. W końcu nachylił się do Banerdżeego i spytał cichym głosem „Z jakiej jesteś kasty?”. Mój przyjaciel spojrzał znad talerza z łobuzerskim wyrazem twarzy.

„Z jakiej jestem kasty – powtórzył głośno i radośnie – Jestem niedotykalny”.

Starszy pan zerwał się z miejsca, jakby ujrzał kobrę. Niebawem zobaczyliśmy go kilka rzędów dalej jak wzburzony rozmawiał z grupą mieszkańców Aszramu wskazując na Banerdżeego. Jego rozmówcy pokręcili głowami. Oczywiście próbowali mu wyjaśnić, że Banerdżee jest braminem. Kilka minut później spóźniony gość, nie mogąc znaleźć innego wolnego miejsca, powrócił i ostrożnie usiadł.

„Dlaczego nie powiedziałeś mi, że jesteś braminem?”, zapytał.

„Nie jestem braminem, jestem niedotykalny – ponownie oświadczył Banerdżee radośniej niż kiedykolwiek – Przecież chyba wiem, z jakiej jestem kasty”. Stary dżentelmen był tak ewidentnie

rozdarty między strachem przed możliwym zanieczyszczeniem i strachem przed utratą obiadu, że żaden z nas nie mógł powstrzymać się od śmiechu. W końcu mierząc Banerdżeego przeciągłym ponurym wzrokiem, przesunął swoją matę do siedzenia na końcu rzędu w taki sposób, że nie leżała równo w rzędzie z matami, na których siedzieliśmy my dwaj, więc technicznie rzecz biorąc nie siedział „razem" z nami, i dopiero wtedy pomału zabrał się za swój posiłek, który najwyraźniej nie sprawiał mu jednak wielkiej przyjemności.

Tego typu incydenty zdarzały się prawie codziennie, więc w niedługim czasie Banerdżee i ja doszliśmy do wniosku, że zarówno Anandamaji, jak i jej najbliżsi uczniowie nie tylko tolerują, ale wręcz aktywnie zachęcają do przestrzegania sytemu kastowego we wszystkich jego sztywnych przejawach. Nasze wnioski zostały później potwierdzone przez przypadkowe odkrycie, że obie kobiety, Anandamaji i Guruprija, nosiły świętą nić. Ponieważ zwyczaj dawania kobietom z kasty braminów tej oznaki przynależności kastowej zaniknął ponad tysiąc lat temu, fakt jego reaktywowania wskazywał na ortodoksję najwyższego stopnia. Poza tym Guruprija nosiła szafranowe szaty ascety, a przecież zgodnie z najlepszą hinduską tradycją (z którą zetknęliśmy się później w południowych Indiach) asceci, wszystko jedno czy mężczyźni czy kobiety, są bezkastowi i święta nić jest jednym z przedmiotów przeznaczonych do spalenia w czasie inicjacji.

W dzisiejszych czasach często się zdarza, że święci i asceci, zwłaszcza w północnych Indiach, zachowują swoją nić oraz przynależność do kasty i zwyczajowo skrupulatnie przestrzegają restrykcyjnych zasad systemu kastowego. Członkostwo w niektórych zakonach wedanty jest wręcz zarezerwowane tylko dla braminów. Pewnego razu, kiedy pół tuzina mnichów należących do Misji Ramakriszny, której członkowie znani są z tego, że jadają nawet z Europejczykami, zostało zaproszonych na lunch w Aszramie, zauważyliśmy, że starannie odseparowano ich od bardziej ortodoksyjnych, noszących nici ascetów.

Kiedy udało nam się dojść do ostatecznego wniosku, jaki jest stosunek Anandamaji do systemu kastowego, pozostała nam próba generalnej oceny jej prawdziwej natury. W naelektryzowanej atmosferze Aszramu, naładowanej intensywnym, graniczącym z histerią oddaniem, było niemożliwe, aby nie wyrobić sobie opinii na ten fascynujący temat, nawet jeśli sprowadzała się ona tylko do odmowy zaakceptowania cudzego zdania. Guruprija, młodzieniec z długą szyją, rycerz od wiadra i cała reszta 'wewnętrznego kręgu' twierdzili, że Anandamaji jest Bogiem Wszechmogącym w ludzkiej postaci i że wielbienie 'Ma' (dla którego utworzono później termin ma-izm) jest przyszłą religią światową. Czy głosili to oszałamiające twierdzenie w imieniu Anandamaji, dlatego że należeli do 'wewnętrznego kręgu', czy też należeli do kręgu dlatego, że tak głosili – trudno było stwierdzić. Ale czasami miałem wrażenie, że duchowy rozwój mieszkańca Aszramu jest oceniany proporcjonalnie do stopnia ekstrawagancji jego (lub jej) opinii na temat 'prawdziwej natury' Pełnej Błogości Matki. To wzajemne pochlebianie sobie guru i uczniów jest w istocie tak powszechne we współczesnym hinduizmie, że trudno jest nie zastanawiać się, ile z całej historii tej religii dałoby się zredukować do zbioru procesów dialogowych – jak nazwał je orientalista Max Muller – odbywających się w obrębie relatywnie statycznego porządku społecznego. Niektórzy członkowie 'wewnętrznego kręgu' twierdzili, że do tej pory były tylko dwie pełne inkarnacje Boga: Kriszna i Czaitanja, a teraz Anandamaji była trzecią. Buddzie, będącym dla nich postacią o bardzo niewielkim znaczeniu, niechętnie przyznali status częściowej inkarnacji.

Sama Anandamaji zachowywała ogromną wstrzemięźliwość w kwestii swojej 'prawdziwej natury', chociaż nigdy nie odżegnywała się od twierdzeń wygłaszanych na jej temat przez członków Aszramu. Ale dowiedzieliśmy się, że raz kiedyś w odpowiedzi na uparte pytania Hari Baby, chudego siwobrodego ascety mającego wielu własnych uczniów, którego często widywaliśmy w Aszramie, oznajmiła, że jest 'Purną Brahmą Narajaną' – absolutną bezosobową Rzeczywistością 'nie-dualistycznej' Wedanty oraz inkarnowanym osobowym Bogiem wajsznawów. Mówiono też, jakoby niejednokrotnie twierdziła, iż jej obecna egzystencja nie jest rezultatem jej działań w poprzednich żywotach, że od chwili urodzenia nieprzerwanie raduje się pełnym urzeczywistnieniem Prawdy, i że wszelkie sadhany, których zaznała, i duchowe ćwiczenia, które odbyła, przydarzały jej się spontanicznie.

Rozdział 22

Medytacje w gaju mango

Chociaż Banerdżee i ja nie byliśmy skłonni uznać Anandamaji za inkarnację Boga, nie widzieliśmy powodu, aby kwestionować fakt, że żyła ona w stanie świadomości, który w tym samym stopniu wykraczał poza stan codziennego czuwania, co zwykłe czuwanie wykracza poza stan snu, ani też że posiadała ona nadzwyczajne moce psychiczne. W siedmiu tomach wspomnień, które Guruprija napisała w języku bengalskim, i których fragmenty Banerdżee czasami tłumaczył mi na żywo, przytoczone były setki anegdot o braku potrzeby jedzenia, lewitacji, telepatii, jasnowidzeniu, proroctwach i innych nadnaturalnych zjawiskach, których pełno można znaleźć nie tylko w biografiach świętych i mistyków ze wszystkich religii, ale nawet okazjonalnie w mniej oświeconym życiu zwykłych kobiet i mężczyzn na całym świecie.

Kilka relacji opisywało zjawiska, których świadkiem była nie tylko Guruprija, ale też jeden lub więcej członków Aszramu. Jednak w okresie, kiedy my poznaliśmy Anandamaji, takie zdarzenia były już rzadkością i wyznawcy, którzy od dawna byli jej uczniami, faktycznie twierdzili, że chociaż nadal odznaczała się pewnymi dziwactwami, to jej obecne zachowanie było o wiele bardziej normalne niż kilka lat wstecz. My sami byliśmy świadkami tylko jednego incydentu, który dałoby się uznać za niezwykły.

Pod koniec popołudnia Anandamaji wraz z całą podążającą za nią świtą, której nie powstydziłaby się królowa, zwykle szła na spacer kilkaset metrów w górę drogi aż do połaci otwartego terenu po prawej stronie, na którym przez fioletową mgiełkę można było dostrzec najpierw malutkie białe klocki parterowych domków usadowionych wysoko na zboczu wzgórza, a później w miarę jak zapadał zmierzch, pomarańczowe punkciki światła zapalające się po kolei w każdym budynku. Niechlujna dziewczyna zawsze targała ze sobą duże wiadro pełne wody (nikomu innemu nie wolno było go dotknąć), ponieważ jedną z drobniejszych ekstrawagancji Anandamaji było załatwianie pewnych czynności, zwykle zarezerwowanych dla bardziej ustronnego miejsca, na świeżym powietrzu wśród krzaków. Następnie siadała na niskim wale ciesząc się chłodnym powiewem wiatru od strony gór. Kiedy rozmawiała, często rozpuszczała swoje długie włosy, a następnie wdzięcznym, kokieteryjnym ruchem rąk (wygląda na to, że do tego celu potrafiła ich używać, nawet jeśli dłonie okazywały się bezużyteczne przy jedzeniu i myciu) skręcała je w kok, potem znów pozwalała im opaść na oczy i ponownie zgarniała je do góry, cały czas obdarzając jednego lub dwoje ulubionych uczniów urzekającymi uśmiechami i rzucając im figlarne spojrzenia. Niekiedy pozwalała, aby czesały ją przepełnione zachwytem uczennice, które usuwały każdy siwy włos, jaki udało im się dojrzeć. Wyczeski były oczywiście nabożnie przechowywane jak największe skarby.

Pewnego popołudnia, kiedy wyruszaliśmy z Aszramu na spacer, Anandamaji wydała polecenie, aby zabrano wielką tacę owoców, które ofiarowano jej kilka minut wcześniej. Było to tak niezwykłe, że kilku członków Aszramu podejrzewając ukryte znaczenie instrukcji, zapytało, do czego potrzebne były te owoce, ale ona jak zwykle, kiedy nie miała ochoty odpowiadać na pytania, tylko się roześmiała.

Kilkaset metrów dalej przy drodze stał budynek lokalnej Misji Ramakriszny. Dokładnie w tym samym momencie, kiedy idąca na czele orszaku Anandamaji zrównała się z bramą Misji, wyszło z niej czterech czy pięciu swamich. Widząc ją, cofnęli się z wyrazem największego zakłopotania na twarzach. Ich zmieszanie stało się jeszcze większe, kiedy Anandamaji, zrzuciwszy pantofle z nóg, wzięła tacę z owocami i z największym szacunkiem wręczyła ją najstarszemu rangą swamiemu. Dowiedzieliśmy się później, że owi mnisi, zazdrośni o większą popularność jej Aszramu, rozpowszechniali o niej najgorsze skandaliczne plotki. Najwyraźniej postanowiła dać im nauczkę. Spotkanie przy bramie mogło być oczywiście zwykłym zbiegiem okoliczności, ale nigdy wcześniej nie widzieliśmy, żeby swamini wychodzili o tej właśnie porze, i nigdy wcześniej nie zabierano na spacer tacy z owocami.

Według buddyjskiej tradycji czwarta dhjana, czyli stan bardzo głębokiej koncentracji

świadomości, jest ‘podstawą’ do rozwoju wszelkich nadnaturalnych mocy psychicznych, tak więc można przypuszczać, że osoba u której regularnie manifestują się takie moce, jest bardzo zaawansowana w medytacji (*śamatha-bhawana*). Dlatego też, mimo naszego niezadowolenia ze stosunku Anandamaji do systemu kastowego, po długiej i żarliwej dyskusji zdecydowaliśmy z Banerdżeem, że zapytamy ją o radę i poprosimy o aprobatę dla naszej decyzji podjęcia regularnej praktyki *anapana-sati*, czyli uważności oddechu. Trudno mi teraz stwierdzić, czy rozróżnienie między wysokimi, choć nadal ziemskimi stanami nadświadomości, które można osiągnąć wytrwale wykonując odpowiednie ćwiczenia duchowe, z jednej strony, a transcendentalną zdolnością do Mądrości (*pradźnia*), w jej wyraźnie buddyjskim sensie przebudzenia do prawdziwej absolutnej natury rzeczywistości, które jako jedyne umożliwia osiągnięcie Wolności i Oświecenia, z drugiej strony, było wtedy dla nas tak jasne, jak stało się później. Ale było ono wówczas dla mnie przynajmniej na tyle zrozumiałe, by dojść do wniosku opartego nie tylko na społecznej ortodoksji Anandamaji sugerującej brak Współczucia, czyli ‘emocjonalnego’ ekwiwalentu Mądrości, ale też na banalności jej stwierdzeń w dużej liczbie przetłumaczonych na angielski, jak również w oparciu o jej generalne poglądy oraz, choć w mniejszym stopniu, całą atmosferę Aszramu, że chociaż była wielką joginką, to ani nie była ‘oświecona’ w buddyjskim sensie, ani nawet nie znajdowała się na Ścieżce do Oświecenia – co najwyżej o tyle, o ile *śamatha*, choć niezdolna do zrodzenia *pradźni*, może jednak stanowić podstawę do jej ewentualnego rozwoju. Dlatego nie mieliśmy zamiaru uznawać jej za naszą guru, czy osobistą nauczycielkę duchową. Jak wszyscy Hindusi, członkowie Aszramu byli nieświadomi różnicy między nadświadomością i stanem transcendentalnym, a ponieważ ich bigoteria uniemożliwiała zwierzenie się im z naszych poglądów, to uważali nasz stosunek do Pełnej Błogości Matki za wysoce niezadowalający, zwłaszcza że tylko jej się kłanialiśmy i pozdrawialiśmy ją złożonymi dłońmi, zamiast padać plackiem do jej stóp, jak to oni zawsze czynili.

Podjąwszy decyzję, że poradzimy się Anandamaji w kwestii medytacji, poprosiliśmy ją o udzielenie nam prywatnej audiencji, która odbyła się tego samego wieczoru między jedenastą i dwunastą w nocy. Mieszkańcy Aszramu ostrzegli nas, że Matka bardzo rzadko zgadza się na prywatne rozmowy, a jeśli się zgodzi, to trwają one tylko kilka minut, więc fakt że dwie czarne owce zostały wyróżnione tak wielkim zaszczytem i tak szybko po przybyciu do Aszramu, spotkał się z wieloma gniewnymi pomrukami i palącą zazdrością. „Jestem wyznawcą Ma od tylu lat – gorzko skarżył się jakiś uczeń – a ona nigdy nie zgodziła się udzielić mi prywatnej audiencji”. Ze zdumieniem odkryliśmy, że nawet młodzieniec z długą szyją był bardzo niezadowolony z powodu zaszczytu, jaki nas spotkał.

Byliśmy jednak zbyt podnieceni, by zwracać uwagę na ich reakcje. Banerdżee, który nie miał jeszcze żadnych doświadczeń z medytacją, był tak samo chętny do praktykowania uważności oddechu jak ja, ponieważ opowiedziałem mu o swoim singapurskim eksperymencie z tą metodą. Anandamaji najwyraźniej nie słyszała wcześniej o *anapana-sati*, kiedy jednak szczegółowo objaśniłem jej – przy pomocy Banerdżeego w roli tłumacza – kolejne etapy praktyki, pokiwała głową z aprobatą.

Większość rozmowy poświęciła ogólnym wskazówkom, które jak później odkryliśmy, były wszystkim powszechnie znane. Ale jedna z nich mówiąca o tym, jak można na niższym etapie praktyki odzyskać skupienie umysłu na jednym punkcie, które utraciło się na wyższym etapie, okazała się bardzo pożyteczna przez cały czas mojego późniejszego praktykowania tej metody. Na zakończenie rozmowy Banerdżee poprosił ją o nadanie mu duchowego imienia. Ja byłem już znany jako Dharmaprija, czyli „Miłośnik Dharmy”, które to imię przyjąłem w Kalkucie. Dlatego Anandamaji dała Banerdżeemu imię Satjaprija, czyli ‘Miłośnik Prawdy’.

Obaj czuliśmy się dziwnie poruszeni i uszczęśliwieni tą rozmową, która nie tylko ostatecznie usankcjonowała naszą decyzję o wkroczeniu na ścieżkę medytacji, ale też przypieczętowała ją jako nieodwołalną. Dlatego wycofaliśmy się z pokoju Anandamaji z ukłonami głębszymi niż zwykle i w milczeniu wracaliśmy pod ogromnym rozgwieżdżonym niebem do uśpionego gaju mango, gdzie rankiem mieliśmy rozpocząć naszą praktykę.

Przez następne trzy lub cztery tygodnie, w rzeczywistości aż do dnia naszego wyjazdu z

Kiszengundżu, Satjaprija (jak teraz trzeba nazywać mojego przyjaciela) i ja medytowaliśmy dwa razy dziennie, o świcie i o zmierzchu, na jednej z małych polanek w pasie dżungli rosnącej między mangowym gajem i kanałem.

Pierwsze doświadczenia medytacyjne, podobnie jak pierwsza miłość, pozostają w pamięci z dziewiczą świeżością zbyt delikatną i zbyt zachwycającą, aby ująć ją w słowa. Za każdym razem medytowaliśmy przez godzinę, siedząc ze skrzyżowanymi nogami, prostymi plecami, cofniętą brodą i lekko zamkniętymi dłońmi opierającymi się na kolanach, z kciukami skierowanymi do góry. Nasze medytacyjne siedziska, składające się ze złożonego koca przykrytego czystym ręcznikiem, były oddalone od siebie o około sześć metrów. Jeśli jeden z nas skończył kilka minut wcześniej, jak to się zwykle działo, prostował nogi i spokojnie czekał aż ten drugi się poruszy. Za radą Anandamaji prowadziliśmy dzienniczki duchowe, gdzie od razu po każdej sesji medytacyjnej zapisywaliśmy, jaki udało nam się uzyskać stopień koncentracji, jakie pojawiały się mentalne zakłócenia, oraz każde niezwykłe doświadczenie, które mogło się nam przydarzyć.

O dziesiątej rano, po śniadaniu zjedzonym w namiocie w towarzystwie Pandita-dżi i Sudhira (sami zawsze spaliśmy na świeżym powietrzu) zbiegaliśmy w dół do kanału, żeby się wykąpać. Lodowata, wartka woda płynąca między jego wąskimi kamiennym brzegami z takim hukiem, że ledwo się wzajemnie słyszeliśmy, mocno kontrastowała z intensywnym żarem wczesnego przedpołudniowego słońca. Niedługo po przyjeździe Satjapriji zacząłem nosić hinduskie ubrania, białą koszulę i sarong, więc namydlenie się na otwartej przestrzeni nie było już takim problemem jak w Ahmedabadzie. Byłem jednak trochę zakłopotany czując na sobie wzrok przechodzącego pastucha kóz i ciekawskie spojrzenia wiejskich chłopców kąpiących się nago w dole strumienia. Teraz problemem było pranie. Ponieważ Satjaprija uważał, że moje ręce są za słabe do tak ciężkiej pracy, zwykle to on najpierw mydlił ubrania, a potem trzepał je (moje i swoje) na wielkim płaskim kamieniu, zamachując się każdą sztuką w powietrzu i waląc nią o kamień gwałtownym ruchem krzepkiego ramienia. Potem szliśmy do Aszramu. Jako że pora naszej medytacji pokrywała się z wieczorną sesją bhadżan, przestaliśmy na nią chodzić. Spokojnie czekaliśmy wśród mangowych drzew na powrót Pandita-dżi i Sudhira.

Nie pamiętam już, jakie doświadczenia medytacyjne miał Satjaprija, choć zawsze pokazywaliśmy sobie swoje notatki. Moje miały przeważnie formę wizji. Kiedyś ujrzałem Dziewicę Maryję całą na biało i niebiesko, tak jak namalował ją Murillo. Innym razem pojawiła się postać Anandamaji. Potem ponownie doświadczyłem wizji Buddy, a kiedy się w niego wpatrywałem, jego nos nagle ogromnie się wydłużył i głowa zmieniła w głowę słonia. Kiedy zapytałem Anandamaji o znaczenie tego dziwnego obrazu, wyjaśniła, że Budda dał mi znak *siddhi*, czyli sukcesu, ponieważ Hindusi uważają, że Ganeśa, bóstwo z głową słonia, usuwa wszelkie przeszkody, zarówno ziemskie jak i duchowe, w związku z czym przynosi sukces wszystkim poczynaniom. Wkrótce zacząłem widzieć piękne krajobrazy, potem białe ptaki lecące po olśniewająco błękitnym niebie, a w końcu kalejdoskop geometrycznych wzorów, które wydawały się być ułożone z klejnotów. Wszystkie te wizje odznaczały się niezwykłą czystością, jak piękne klejnoty, i cudownością kolorów, zupełnie jakby ktoś dał mi wgląd w wyższy i piękniejszy świat.

Ponieważ spędzaliśmy teraz w Aszramie znacznie mniej czasu, Satjaprija miał mniej okazji do konfliktów z jego mieszkańcami. Po naszej prywatnej audiencji u Anandamaji miał miejsce jeszcze tylko jeden incydent.

Którejś niedzieli urządzono tam ucztę, chyba z okazji urodzin Hari Baby, więc po zakończeniu porannego programu praktycznie wszystkich członków kongregacji poproszono o pozostanie na lunch. Ponieważ gości karmiono etapami, naturalnie spodziewaliśmy się, że będziemy obsłużeni później. Ale minęła godzina, potem druga i choć prawie wszyscy skończyli już jeść, mieszkańcy Aszramu albo ignorowali pytania Satjapriji, kiedy będziemy obsłużeni, albo szorstko odpowiadali, że musimy poczekać. W końcu z twarzą pociemniałą od wściekłości powiedział do mnie „Chodź, idziemy stąd. Te gnojki próbują zrobić z nas głupców". Na próżno protestowałem mówiąc, że są po prostu zajęci i na pewno podadzą nam jedzenie za kilka minut. Wiedząc równie dobrze jak ja, że nas po prostu sprytnie obrażają, gniewnie wymaszerował przez bramę, a ja nie mając wyboru poszedłem za nim.

Pół godziny po naszym powrocie do gaju mango, z pośpiechem przybiegł do nas mocno wzburzony rycerz od wiadra. Powiedział, że Anandamaji nas wzywa i mamy natychmiast wrócić do Aszramu. Lunch jest gotowy. Satjaprija, czując że przewaga jest teraz po naszej stronie, gładko odparł, że właśnie zjedliśmy kilka owoców mango i nasze żołądki są pełne. Dodał, że ponieważ praktykujemy medytację, nie możemy się przejadać.

Jednak kiedy młodzieniec błagał i tłumaczył się wystarczająco długo, żeby uśmierzyć ból naszej zranionej dumy, w końcu ustąpiliśmy i wróciliśmy z nim do aszramu.

Anandamaji wypatrywała nas z balkonu swojego pokoju i kiedy dość zawstydzeni weszliśmy przez bramę, pozdrowiła nas czułym i niezwykle słodkim uśmiechem. Na piętrze, gdzie wcześniej nie wolno nam było wejść, przeprosiła ze złożonymi dłońmi za zachowanie mieszkańców Aszramu, błagała o wybaczenie i tak zręcznie zmieniła ich winę w swoją (bo ostatecznie była to jej wina), że poczuliśmy się zmuszeni poprosić ją o wybaczenie nam tego grubiaństwa, jakim było nasze nagłe wyjście. Potem kazała przynieść owoce i słodycze, które osobiście nam wręczyła. Poczuliśmy, że na całym świecie nie ma osoby bardziej czarującej od Anandamaji. Kiedy nasz lunch był wreszcie gotowy, stała i patrzyła jak jemy, każąc uczniom biegać w tę i z powrotem między kuchnią i północną werandą po świeże dokładki smakołyków, które poleciła im specjalnie dla nas ugotować. Jak się później dowiedzieliśmy, natychmiast po naszym wyjściu zapytała, czy dostaliśmy lunch, i kiedy odkryła, jak nas potraktowano, dała mieszkańcom Aszramu dodatkowe zadania do wykonania za karę za ich zachowanie.

Ten incydent prawdopodobnie poprawiłby nasz status w Aszramie, ale Anandamaji, która od jakiegoś czasu zdradzała objawy zniecierpliwienia, przebywała w Kiszengundżu już sześć tygodni. Dzień lub dwa później Guruprija i kilka zaufanych osób dostały nagłe polecenie pakowania manatków i za chwilę już jej nie było.

Rozdział 23

Boskie oko

Aszram w Radżpurze stał na pagórku pomiędzy drzewami na tyłach starożytnej świątyni z pobielanymi ścianami, na której powiewał pomarańczowy proporzec, pokazujący, że poświęcono ją bogowi Śiwie. U stóp pagórka zaczynała się ścieżka wiodąca w dół do wiejskiej drogi, a za wioską na drugim końcu tejże drogi krzyżował się z nią pod kątem prostym obrośnięty wierzbami kanał biegnący daleko przez pola, jak okiem sięgnąć. Na ich skrzyżowaniu stał mały most. Rozciągający się dokoła krajobraz był stosunkowo płaski i odludny.

Aszram składał się z trzech budynków. Pokryta płaskim dachem sala, gdzie śpiewano bhadźany, stała naprzeciwko zdezelowanego domu z pokojami gościnnymi znajdującego się na tym samym poziomie. Pomiędzy nimi rozciągał się mały, pokryty liśćmi dziedziniec. Na obu krańcach przylegającej do sali bhadźan werandy umieszczone były drzwi prowadzące do maleńkich pokoi o powierzchni nie większej jak dwa metry kwadratowe. Satjaprija zajmował jeden z nich, ja drugi. Pandit-dżi i Sudhir zajmowali wspólnie frontowy pokój po lewej stronie domu dla gości, dokładnie naprzeciwko mojego miniaturowego apartamentu. Oba budynki były z tej strony połączone ścianą parapetową z przebitym pośrodku wejściem, za którym zaczynały się kręte schody prowadzące w dół do bramy Aszramu. Po drugiej stronie sali bhadźan, tuż obok niej, ale na wyższym poziomie wznosił się nowy jednopiętrowy budynek, oślepiająco biały w słońcu, który został specjalnie zbudowany jako rezydencja dla Anandamaji.

Dowiedziałem się, że dwadzieścia lat wcześniej, kiedy różne nadnaturalne zjawiska wydarzały się prawie codziennie, a ona sama była stosunkowo nieznana, Anandamaji spędziła kilka miesięcy w Radżpurze razem ze swoim mężem, który był jej pierwszym (i według niej największym) wyznawcą, w bardzo nędznych warunkach, wręcz w ubóstwie. Od tamtej pory nie zbliżała się do tego Aszramu (choć któryś z jej uczniów, uważających to miejsce za święte, zawsze tam przebywał). Nowy dom postawiono najwyraźniej w tym celu, aby nakłonić ją do przyjechania tu po raz drugi, a potem uczynić to miejsca regularnym punktem jej podróży. Pandit-dżi zajęty jak zawsze snuciem wielkich planów napomknął o szeptankach wśród uczniów, że Aszram Radżpur mógłby zostać stałą siedzibą główną Pełnej Błogości Matki, ponieważ jednym z ich najgorętszych pragnień było życzenie, aby Anandamaji przestała spędzać tydzień tu, a miesiąc tam, jak jej kaprys podpowiedział, osiadła na stałe w jednym miejscu, najchętniej w Benares, i pozwoliła im zorganizować wokół siebie nowy ruch religijny.

Nie pamiętam teraz, czy kiedy przyjechaliśmy z Kiszengundżu, to zastaliśmy już Anandamaji w jej nowej kwaterze, czy też przyjechała tam dopiero parę dni później. Tak czy inaczej, daleka od chęci pozostania w Aszramie na stałe, przebywała w nim zaledwie kilka dni. Moje jedyne wspomnienie dotyczące Pełnej Błogości Matki w Radżpurze to widok, jak idzie po schodach do swojego pokoju na pierwszym piętrze nowego budynku, a potem stoi kilka minut na frontowym balkonie patrząc w dół na dziedziniec i przyglądając się Satjapriji i mnie.

Wspomnienia o jej uczniach i wyznawcach, którzy na pewno jej towarzyszyli, są jeszcze bardziej mgliste. Może dlatego, że było ich mniej niż w Kiszengundżu, a może dlatego, że wszyscy wyjechali mniej więcej w tym samym czasie co Anandamaji. Albo też przykre uczucia, jakie wzbudził pewien incydent, który wydarzył się dzień lub dwa po naszym przyjeździe, sprawił, że unikali naszego towarzystwa.

Podobnie jak w Kiszengundżu punktem wyjścia całego problemu było jedzenie, chociaż w tym przypadku ich uprzedzenie było trochę innego, mimo że pokrewnego rodzaju. Pandit-dżi, Sudhir, Satjaprija i ja dostaliśmy w przydziale kuchnię zbudowaną z oblepionej gliną wikliny, składającą się z jednego małego wąskiego pokoju, która stała po drugiej stronie muru okalającego Aszram, więc technicznie rzecz biorąc leżała poza terenem Aszramu. Tutaj gotował dla nas zezowaty bramin Pandita-dżi i tutaj jedliśmy. Najkrótsza droga z dziedzińca przed salą bhadźan do naszej kuchni wiodła przez drugi dziedziniec, znajdujący się na szczycie pagórka, gdzie stała maleńka świątynia Śiwy, pojedyncza izba z wielkim zrobionym z czarnego kamienia fallusem w środku. Panditowi-dżi

przekazano informację, że o ile nikt się nie sprzeciwia, aby Satjaprija korzystał z tego skrótu, to ja w żadnym wypadku nie mogę splamić świętości miejsca przechodząc przez dziedziniec świątyni.

Nie spierałem się o ten zakaz. Chociaż w ogóle nie aprobowałem tak małostkowej nietolerancji, to jednak byłem buddystą, a nie hinduistą i pozwolenie na wejście do świątyni hinduistycznej nie było dla mnie kwestią mojego prawa do tego, a jedynie ich uprzejmości. Ale Satjaprija zareagował z typową u niego gwałtownością. Odbyła się wściekła kłótnia pomiędzy nim i członkami Aszramu, w której jednym z ich argumentów było twierdzenie (całkowicie bezpodstawne, jak odkryliśmy później), że mieszkańcy wioski mogliby mnie nawet ukamienować, gdyby dowiedzieli się, że postawiłem stopę na dziedzińcu świątyni. Próby uśmierzenia jego gniewu przez podkreślanie, że zakaz nie dotyczy *jego* osoby, wywołały efekt całkowicie przeciwny do zamierzonego. „Jeśli mój przyjaciel nie może wejść do waszej brudnej świątyni, ja też nie chcę do niej wchodzić! – krzyczał – Pójdę i będę medytował w latrynie. Jest moim zdaniem o wiele czystszym i świętszym miejscem, bo przynajmniej każdemu wolno **tam** wejść."

Ten wybuch rozwścieczył członków Aszramu bardziej niż wszystko, co kiedykolwiek powiedział i zrobił w Kiszengundżu. Wydaje mi się też, że został łagodnie skarcony przez Anandamaji za brak umiaru. Po tym wszystkim Pandit-dżi i Sudhir nadal chodzili skrótem, ale my z Satjapriją musieliśmy wyjść przez bramę Aszramu i obejść cały teren wzdłuż muru, by dojść na drugą stronę pagórka, gdzie stała kuchnia.

Po odjeździe Anandamaji i zniknięciu jej hałaśliwych i awanturujących się uczniów, którzy już zaczynali między sobą kłótnie o to, kto po jej śmierci będzie właścicielem Aszramu Radżpur i innych instytucji założonych pod imieniem Matki, zapanował spokój tym bardziej zachwycający, że kontrastował z poprzedzającym go napięciem.

Codziennie wstawaliśmy z Satjapriją o czwartej rano i po szybkim umyciu się siadaliśmy do medytacji w sali bhadźan, w której też spaliśmy. W ciągu dnia Satjaprija studiował bengalskie tłumaczenie Upaniszad i *Bhagawad Gity*, podczas gdy ja czytałem kilka książek o hinduizmie, należących do poprzedniego lokatora mojego maleńkiego pokoju, mówiącego po angielsku ascety. Oprócz tego pisałem wiersze, artykuły i listy. Jeden z listów wysłałem do Generalnego Sekretarza Towarzystwa Maha Bodhi, Dewapriji Walisinhy, protestując w najostrzejszych słowach przeciwko sposobowi, w jaki Jego Świątobliwość traktował pannę Albers i nalegając, aby sekretarz coś w tej sprawie zrobił. Wiele lat później dowiedziałem się, że moja interwencja odniosła pewien skutek, i że po powrocie Walisinhy do Kalkuty ta nikomu nie wadząca stara kobieta miała zapewnione stosunkowo komfortowe warunki pobytu aż do swojej śmierci. Oprócz studiów i pracy literackiej, co zajmowało nam większą część dnia, często dyskutowaliśmy z Panditem-dżi, który mimo wszystkich swoich przebiegłych i krętych sztuczek był tak wykształcony i inteligentny, a w dodatku tak uprzejmy i wielkoduszny, że mój przyjaciel i ja w prywatnych rozmowach często żałowaliśmy, że nie poświęcał swoich talentów bardziej wartościowym zajęciom.

Chociaż nie pojechał w ślad za Anandamaji, zaproponował, aby to wkrótce uczynić, gdyż krążyły plotki, że z Nowego Delhi pojedzie ona w rejony górzyste aż do Kasauli, lub nawet do Solonu – Pandit-dżi twierdził, że w obu tych miejscach jest świetnie ustosunkowany i miał nadzieję, że w jednym z nich moglibyśmy założyć pod patronatem Anandamaji towarzystwo edukacji buddyjskiej. Byłem więc zajęty pisaniem szczegółowego programu dla tego przedsięwzięcia.

Czasami szliśmy z Satjapriją na spacer do wioski, gdzie mój przyjaciel, gadatliwy i towarzyski jak większość Bengalczyków, wkrótce zaprzyjaźnił się z bengalskim naczelnikiem poczty i jego rodziną, od której dowiedział się, że opinie we wsi na temat wyznawców Anandamaji były podzielone i wcale nie jednoznacznie pozytywne. Odbywaliśmy też spacery wiejskimi drogami, na których widoczne były głębokie koleiny wyżłobione przez drewniane koła ciągniętych przez woły wozów, a po obu ich stronach rosły żywopłoty przypominające mi te, które widziałem w Sussex jako mało chłopiec.

Raz czy dwa przekroczyliśmy drewniany most i potem szliśmy dwie mile wzdłuż przeciwległego brzegu kanału aż do miejsca, gdzie wody sławnego mineralnego źródła spływały po zielonej od siarki skalnej ścianie. W miejscu gdzie dwie lub trzy strugi wody łączyły się tworząc kaskadę, kąpali się półnadzy mężczyźni ubrani tylko w przepaskę na lędźwiach. Po ponad

godzinnym spacerze na otwartej przestrzeni i w palącym słońcu obaj byliśmy porządnie spoceni, więc Satjaprija zrzucił ubranie i wskoczył pod najbliższą kaskadę, ale ja nadal pełen angielskiej wstydliwości nie poszedłem za jego przykładem. Poza tym zauważyłem cztery czy pięć kobiet, które dyskretnie i w milczeniu nabierały wodę do dużych glinianych dzbanów, dlatego zadowoliłem się umyciem twarzy i rąk w jednej z płytkich porośniętych rzeżuchą sadzawek otaczających dojście do źródła.

Innego popołudnia, nie przechodząc przez most, poszliśmy półtora kilometra wzdłuż kanału w przeciwnym kierunku. W połowie drogi minęliśmy jakąś zaniedbaną wioskę, której mieszkańcy, sądząc z ich wyjątkowo ciemnej karnacji i niedbałego wyglądu przypuszczalnie należeli do jednej z niższych kast lub plemion. Cała męska populacja, zarówno dorośli mężczyźni jak i chłopcy, łowiła ryby w wodach kanału przy pomocy wędek i linek w angielskim stylu. Choć złapało się na nie tylko kilka małych rybek, wzbudziły wielkie podniecenie.

Co wieczór o szóstej medytowaliśmy na tylnej werandzie pokoju Anandamaji – Matka osobiście obdarzyła nas tym przywilejem. Na środku pokoju, przez który musieliśmy przejść, stało duże białe łóżko. Znajdowała się tam oparta o grubą kolumnę błyszcząca, naturalnej wielkości fotografia Anandamaji, z zawieszoną na niej girlandą dużych czerwonych kwiatów. Tutaj, każdego ranka i wieczora, jedyny stały mieszkaniec Aszramu – cichy starszy człowiek – modlił się do Matki odprawiając zwyczajowe hinduskie rytuały. Kiedy przechodziliśmy przez pokój wieczorem, pełno w nim było kadzidlanego dymu i nadal płonących lampek. Chociaż Anandamaji mieszkała tam tylko przez kilka dni, pomieszczenie przesycone było atmosferą tak niezwykłego spokoju, że wchodząc do niego instynktownie ściszaliśmy głos i poruszaliśmy się wolniej.

Kiedy po godzinnej medytacji otwierałem oczy, świat wokół mnie był chłodniejszy i ciemniejszy. Kilka centymetrów powyżej betonowego parapetu balkonu popielato-szary krajobraz zmienił się w ledwo dostrzegalną wypukłość na tle szerokiego pasa błyszczącego szaro-błękitnego nieba. Między tym pasem i znajdującym się w zenicie pasem granatowo-czarnym, iskrzącym od niezliczonych gwiazd, kłębiły się różowe chmury. Dobiegający z drzew świergot wskazywał, że ptaki powróciły już do swoich gniazd.

Chyba jeszcze bardziej zachwycające były godziny po kolacji, kiedy skąpani w księżycowym świetle siedzieliśmy w milczeniu na dachu sali bhadźan lub słuchaliśmy na dziedzińcu dobiegających z oddali głosów grupy wieśniaków, którzy wylewali żale swych serc w płaczliwych religijnych pieśniach.

Sielankowe dni wkrótce dobiegły końca. Po dziesięciu lub dwunastu dniach Pandit-dżi, Sudhir i Satjaprija wyjechali do Nowego Delhi i zostałem w Aszramie sam. Drugiej nocy po ich odjeździe przeżyłem bardzo niezwykłe doświadczenie. Jak już wspomniałem, codziennie rano medytowaliśmy z Satjapriją w sali bhadźan, gdzie na noc rozkładaliśmy swoje posłania na chłodnej marmurowej podłodze i spaliśmy każdy przykryty swoją moskitierą. Satjaprija zawsze otwierał oczy pierwszy, siadał i budził mnie lekkim szturchańcem.

W noc, o której mówię, poczułem szturchnięcie jak zwykle, ale nadal pogrążony w półśnie nie zareagowałem od razu. W końcu, żałując, że nie mogę sobie dalej pospać bez przeszkód, tylko muszę wstać i medytować, uniosłem się na jednym łokciu, podniosłem siatkę przeciwkomarową i zobaczyłem, że mój przyjaciel już siedzi z zamkniętymi oczami najwyraźniej głęboko pogrążony w medytacji. Ten widok sam w sobie mnie nie zdumiał, chociaż zwykle zaczynaliśmy siedzieć jednocześnie, ale do mojego ospałego mózgu stopniowo docierał pewien fakt, który spowodował lekką konsternację, a nawet mnie zaniepokoił – mój przyjaciel siedział nagi do pasa na plecionym łóżku, którego **na pewno tam nie było poprzedniego wieczoru.**

Kiedy gapiłem się, próbując rozgryźć, skąd wzięło się łóżko i dlaczego on siedzi na nim, a nie na podłodze, nagle przypomniałem sobie z przerażającą jasnością, że Satjaprija wyjechał dwa dni temu do Nowego Delhi. W ułamku sekundy byłem bardziej przytomny niż kiedykolwiek w życiu. Jednak on nadal siedział i medytował zaledwie metr ode mnie. Przez kilka minut wpatrywałem się w niego z największą uwagą, przecierając oczy, ale ciągle tam był. Wreszcie przekonany, że nie jest to halucynacja – gdyż tkwił przede mną równie niezaprzeczalnie, jak zawsze – zdecydowałem, że go dotknę i zobaczę, co się stanie. Pomału, bardzo pomału wyciągnąłem rękę zamierzając dotknąć

jego ramienia. W chwili, gdy czubek mojego palca już miał zetknąć się z jego skórą, on zniknął i razem z nim łóżko. Zostałem sam, pogrążony w tak głębokich ciemnościach – wszystkie drewniane okiennice w sali były zamknięte – że nie widziałem nawet własnej dłoni. Znalazłem po omacku stojący przy posłaniu zegar, przysunąłem do oczu tarczę z fosforyzującymi wskazówkami i zobaczyłem, że jest druga w nocy.

Kilka dni później dostałem od Satjapriji list z informacją, że wraz z Panditem-dżi i Sudhirem dotarli do Nowego Delhi. Anandamaji, która nigdy nie zatrzymywała się w prywatnym domu, mieszkała w namiocie [ustawionym] w ogrodzie jakiegoś dżinijskiego multimilionera. W noc po ich przyjeździe, czyli w drugą noc po wyjeździe z Radżpuru, bardzo długo z nią rozmawiał, skończyli dopiero po północy, więc poszedł spać dopiero o pierwszej. Przez prawie godzinę przewracał się na łóżku z boku na bok nie mogąc zasnąć z powodu parnego powietrza, usiadł więc i zaczął medytować. W trakcie medytacji pomyślał o Radżpurze i spróbował zwizualizować mnie, kiedy śpię. Czy coś czułem? Kiedy znów się spotkaliśmy, zapytałem go, czy spał w Nowym Delhi na plecionym łóżku i czy usiadł na nim do tej medytacji. Na oba pytania odpowiedział twierdząco.

Nie wszystkie moje doświadczenia w opustoszałym Aszramie były aż tak niezwykłe. Pandit-dżi zabrał ze sobą zezowatego bramina, więc po raz pierwszy w życiu sam musiałem sobie gotować posiłki. Pomimo mojej ignorancji nie było to wcale takie trudne. Satjaprija załatwił z naczelnikiem poczty, że jego syn, chłopak w wieku piętnastu lat, będzie mi przynosił ryż, soczewicę i ziemniaki z wiejskiego sklepu (cebula była w Aszramie zakazana), a Pandit-dżi zostawił mi nie tylko puszkę tapioki i torbę suszonych śliwek, ale największą możliwą pomoc, czyli oryginalny kocher.

Dlatego codziennie o jedenastej rano płukałem ryż i soczewicę, obierałem małe żółte ziemniaki, mieszałem garść tapioki z kilkoma suszonymi śliwkami i wkładałem wszystko do oddzielnych pojemników, dolewając odpowiednią ilość wody. Następnie z pomocą syna naczelnika poczty rozpalałem ogień w piecyku na węgiel drzewny, dmuchałem na węgle aż rozżarzyły się do czerwoności, potem przypominający szufladę piecyk wsuwałem pod cztero-pojemnikowy kocher, zamykałem wszystko razem specjalnymi klamrami i po zmyciu pyłu węglowego z palców wracałem do swoich książek i artykułów. O wpół do pierwszej lunch był gotowy. Ryż i soczewica gotowały się tą metodą idealnie, a tapioka i śliwki osłodzone łyżką cukru stanowiły całkiem znośny deser. Jednak z powodu braku oleju i przypraw, zawsze używanych w Indiach do smażenia warzyw, niesmaczne zalatujące mydłem kawałki strąków z trudem mogły być nazywane curry. Śniadania i kolacje składały się z chleba, masła i herbaty.

Ponieważ w ogóle nie wychodziłem z Aszramu i nikt nie przychodził tu w gości, dwa tygodnie które upłynęły, zanim powrócił Satjaprija, były tak rzadko zakłócane przez zewnętrzny świat, że mój tryb życia spokojnie mógłby zyskać aprobatę najsurowszego pustelnika. Jedyną osobą, z którą rozmawiałem, był syn naczelnika poczty. Jak większość Hindusów z bardzo niewielkim wykształceniem wierzył on, że wszystkie cuda współczesnej nauki zostały przewidziane przez starożytnych hinduskich świętych i mędrców oraz opisane w hinduskich świętych księgach. Fakt, że w *Ramajanie* była mowa o latających maszynach, dowodził, że samoloty istniały w Indiach tysiące lat przed ich wynalezieniem na Zachodzie. Magiczne dyski, którymi rzucano w *Mahabharacie*, zdolne do powodowania ogromnych zniszczeń, były oczywiście bombami atomowymi. Chłopak był przekonany, że wszystkie hinduskie zwyczaje, obrzędy i przesądy miały naukową podstawę. Jego zdaniem całą współczesną wiedzę naukową można znaleźć w Wedach, co oczywiście nie tylko dowodzi prawdy hinduizmu, ale też jego wyższości nad wszystkimi pozostałymi religiami. Na próżno zwracałem uwagę, że archeolodzy nigdy nie odkryli szczątków choćby jednej latającej maszyny na żadnym stanowisku archeologicznym, i że pogrążanie się w fantazjach na temat latania jest czymś zupełnie innym od naukowej wiedzy o mechanice lotu. Jego wiara dawała mu tak wielką emocjonalną satysfakcję, że żaden argument nie był w stanie jej zakłócić.

Chociaż osoby lepiej wykształcone potrafiły prezentować swoje poglądy z większą subtelnością, wyrafinowaniem i w o wiele bardziej wyszukany sposób niż leżało to w granicach możliwości syna wiejskiego naczelnika poczty, zadziwiająco duża liczba Hindusów, jak się później dowiedziałem, utrzymywała mniej lub bardziej zapalczywie, że święci i mędrcy starożytnych Indii poznali za pomocą jogi wszystkie prawdy znane współczesnej nauce, i że wszystko w hinduizmie

opiera się na naukowych podstawach. Twórcami, a przynajmniej popularyzatorami tej pochlebnej tezy byli teozofowie. Pani Besant oświadczyła w bardzo osobliwym wykładzie, że znalazła naukową podstawę, i skutkiem tego moralne usprawiedliwienie, dla praktykowania zasady niedotykalności – próba, która zyskała natychmiastowe uznanie jej ortodoksyjnych słuchaczy z południowych Indii.

Mimo że nie wychodziłem poza teren Aszramu, nie byłem aż takim pustelnikiem, żeby nigdy nawet nie wyjrzeć poza mur. W rzeczywistości jedno z najżywszych i najbardziej wzruszających wspomnień, jakie mi zostało z całego pobytu w Radżpurze, związane jest ze stadem czarnych, białych i brązowych kóz, które zawsze obserwowałem o piątej po południu. Pod poziomymi promieniami słońca, które choć teraz znajdowało się dość nisko na czystym błękitnym niebie, nadal było nieznośnie jasne, kozy wychodziły z zarośli porastających kamienisty teren, gdzie przez cały letni dzień skubały trawę, beczały, bodły rogami i brykały pod okiem czujnych młodziutkich pasterzy i ich psów. Ich wymiona były teraz pełne i kozy, każda z brykającym wokół niej jednym lub dwoma koziołkami, zaganiane były do pomieszczeń, gdzie je dojono, skąd ich żałosne dochodzące z oddali beczenie brzmiało niemal jak ludzki płacz.

Rozdział 24

Krok naprzód

Kasauli było tak zimne i tak pełne mokrej białej mgły, która nadpływała znad szczytów świerkowych drzew, tworząc niejako wielkie płachty, że przypomniało mi się Ghoom. Satjaprija wrócił po mnie do Radżpuru i razem odbyliśmy podróż do wzgórz Pendżabu. Chociaż stopniowa zmiana scenerii na pewno wzbudziła wówczas moje żywe zainteresowanie, jedyne wspomnienie, jakie mi zostało z tej podróży, to moment kiedy wysiadaliśmy z rozklekotanego autobusu w połowie drogi między Kalką, gdzie znajdowała się stacja kolejowa, i Kasauli, po czym gwałtownie zwymiotowałem z powodu nagłej zmiany wysokości. Pandit-dżi i Sudhir, którzy przybyli tam kilka dni wcześniej, czekali na nas na przystanku autobusowym.

Kiedy nasza czwórka szła ulicami tej małej górskiej miejscowości, nie mogłem się powstrzymać od komentarza, że widać tam niezwykle dużo schludnych i najwyraźniej bogatych Sikhów, rosłych, brodatych mężczyzn w turbanach, odzianych w znakomicie skrojone angielskie garnitury, oraz pulchnych kobiet i dziewcząt noszących satynowe luźne spodnie, długie do kolan tuniki i muślinowe szarfy, które przykrywały z przodu obfite piersi, ale ich dwa końce przerzucone przez ramiona powiewały z tyłu. Wielu z nich miało wielkie nowe samochody z błyszczącą chromowaną karoserią, a większość, zarówno kobiety jak i mężczyźni, aż błyszczała od drogiej biżuterii. Pandit-dżi wyjaśnił mi, że są to biznesmeni milionerzy z Zachodniego Pendżabu, którzy w obliczu zbliżającej się niepodległości i nieuchronnego podziału prowincji między Indie i Pakistan, w poszukiwaniu bezpiecznego miejsca uciekli do Kasauli, położonej we Wschodnim Pendżabie. Powszechna nienawiść na tle etnicznym była już tak rozpalona, że niektórzy obawiając się o życie pośpiesznie wrzucili do samochodów tyle cennych rzeczy, ile zdołali, i odjechali zostawiając domy i meble na pastwę rozjuszonego motłochu.

Być może z powodu napływu majętnych uchodźców, a może z jakiegoś innego, w Kasauli brakowało miejsc noclegowych. Na szczęście znaleźliśmy z Satjapriją schronienie w domu z pokojami gościnnymi u Lalli Pjarelala, bogatego pendżabskiego biznesmena, któremu przedstawił nas Pandit-dżi. Dom tego dżentelmena stał na skraju urwiska na drugim końcu bazaru, którego wąskimi brukowanymi uliczkami tak stromymi, że były niemal schodami, musieliśmy wspiąć się, aby odwiedzić Pandita-dżi w położonej wyżej willowej dzielnicy miasta. 15 metrów poniżej domu znajdowała się wąska skalna półka, na której stał dom dla gości. Dojście do niego wiodło obrośniętą chwastami ścieżką, która prowadząc w dół od głównej ulicy bazaru biegła tuż obok frontowej bramy Lalli Pjarelala, a potem stromo opadała i robiąc pętlę dochodziła do skalnej półki.

W obrębie pętli, na wysokości w połowie między domem biznesmena i domem dla gości stała duża betonowa platforma, która choć pokryta dachem, ogrodzona była tylko grubą drucianą siatką. W tej konstrukcji, przeznaczonej na imprezy towarzyskie i religijne odbywające się przy ładnej pogodzie, przez pięć dni mieszkała Anandamaji przed swoim wyjazdem do Solonu, stolicy małego górzystego stanu o tej samej nazwie, którego władcą był jeden z jej wyznawców. Mimo perskich dywanów, którymi bogaty biznesmen wyłożył podłogi i zakrył drucianą siatkę, uczniowie Anandamaji dygotali tam z zimna. Jednak sama Matka, jak nam powiedziano, okazywała nadzwyczajną obojętność wobec ekstremalnego zimna. Absolutnie nas to nie zdziwiło. W Kiszengundżu świadkowie opowiadali nam, jak pewien zadzierzysty wyznawca sprowokował ją kiedyś, aby pokazała, czym się różni od zwykłej osoby. Kazała przynieść szufelkę palących się węgli, położyła sobie jeden na otwartej dłoni i bez najmniejszej zmiany wyrazu na swojej roześmianej twarzy pozwoliła, by palił się jej w ręku przez kilka minut. „Czy potrafisz to zrobić?" – żartobliwie zapytała przerażonego ucznia. Po zbadaniu okazało się, że jej dłoń była poważnie poparzona.

Pomimo zmiany klimatu i atmosfery, sposób w jaki spędzaliśmy dnie z Satjapriją nie uległ większej zmianie w stosunku do rutyny ustalonej w Radżpurze. Medytacja, studiowanie i (w moim przypadku) praca literacka nadal zajmowały większość naszego czasu. Dzięki uprzejmości naszego gospodarza oszczędzono nam konieczności przygotowywania sobie posiłków i własnymi rękami

robiliśmy co najwyżej herbatę. Dwa razy dziennie, punktualnie co do minuty, przynoszono nam z domu dwie tace – na każdej znajdował się stos bardzo gorących ciapati obficie posmarowanych klarowanym masłem ghee, pół tuzina miseczek napełnionych zupą z soczewicy i różnymi rodzajami curry, miedziany kubek z gorącym mlekiem oraz owoce i cukierki. Pożywienie było tak obfite, że przyzwyczajony wcześniej do bardziej spartańskiej diety, dostałem wkrótce biegunki. Satjaprija, który przechwalał się, że kiedyś w studenckich czasach dla zakładu połknął czterdzieści cukierków na raz, pozostał całkowicie zdrowy.

Przynajmniej raz dziennie Lalla Pjarelal schodził do nas zapytać, czy jest nam tu wygodnie i czy czegoś nie potrzebujemy. Choć wszyscy Hindusi są z natury tak bardzo gościnni, że byłoby obrazą porównywać pod tym względem mieszkańców różnych prowincji, to gościnność w Pendżabie wyróżnia się nawet na tle indyjskich standardów. W przypadku naszego obecnego gospodarza jego skromny wręcz wstydliwy sposób bycia nadał jego uprzejmościom dodatkowy wdzięk, którego nigdy by nie osiągnął samą tylko hojnością. Ponadto był człowiekiem autentycznie religijnym i kiedy w czasie jednej z jego wizyt przyznaliśmy mu się do naszych duchowych aspiracji, spotkały się one z głębokim zrozumieniem i sympatią.

Jedyną rzeczą, której Lalla Pjarelal nie mógł nam zapewnić, było ciepło. Mając za plecami mokrą ścianę ze skały, poniżej nas falujące morze białej wilgotnej mgły, a w dodatku kwaterę zbudowaną wyłącznie z kamienia, betonu i blachy falistej, nic dziwnego że mimo całego stosu koców, jakie nam ofiarował, dygotaliśmy w nocy i marzliśmy w dzień, zgrabiałe ręce mieliśmy tak sztywne, że z trudem prostowaliśmy palce, a stopy były zimne jak kawałki lodu.

Może z powodu zimna, a może z powodu naturalnych postępów nasze medytacje zaczęły się odznaczać specyficznym odrętwieniem. Często całą godzinę siedzieliśmy w jakimś tępym, na wpół świadomym mrocznym stanie, z którego budziliśmy się dopiero, kiedy głowy opadały nam nagle na piersi. Później dowiedzieliśmy się, że tego typu doświadczenie, znane jako joga-nidra albo jogiczny sen, jest bardzo powszechne. Początkujących ostrzega się, aby nie mylili go ze stanem nadświadomości zwanym samadhi. W istocie koresponduje on ze światem subtelnej materii, lub planem astralnym, i w miarę praktykowania można dostrzec poruszające się w nim, jakby w głębokiej ciemnej wodzie, cienie.

Jedynym sposobem, aby się ogrzać, był energiczny spacer do miasta, ale czasami deszcz i mżawka (a bywało że grad) spiskowały, aby uniemożliwić nam nawet to krótkie wytchnienie od zimna. Pandita-dżi widywaliśmy rzadko. Nasze związki z nim w gruncie rzeczy się rozluźniły. Choć nadal kipiał od planów i robił, co tylko mógł, aby wyłudzić z kieszeń Lalli Pjarelali i innych miejskich magnatów biznesu fundusze na swoją szkołę z internatem imienia Anandamaji (teraz nie było już mowy o buddyzmie), to im jaśniej widzieliśmy, jak szybko odchodzi od naszych poprzednich celów, tym słabszy był nasz entuzjazm. Poza tym zawarliśmy nowe przyjaźnie i choć ciągle żywiliśmy coś w rodzaju ciepłego uczucia do tego wiekowego hohsztaplera, który ze swej strony nadal traktował nas z wielką uprzejmością, to teraz kiedy zaczynaliśmy dostrzegać prawdziwą naturę jego działalności, woleliśmy czasem towarzystwo nowych przyjaciół niż jego.

Naszą najcenniejszą nową znajomością był dr Gurukipal Singh, pobożny Sikh, pracujący nad opanowaniem malarii w Centralnym Laboratorium Badawczym, którego posiadanie stanowiło jedyny powód sławy miasta. Mój związek z nim był głębszy niż Satjapriji i odbywaliśmy długie rozmowy na temat sikkhizmu, w których mój przyjaciel nie brał udziału.

Kiedyś zabrał nas do odludnego miejsca na przedmieściach i pokazał maleńką pustelnię usadowioną samotnie na skalnej grani. Tutaj, przestrzegając ślubu całkowitego milczenia, mieszkał od wielu lat wielki asceta, którego dr Singh uważał za swego guru. Dzikie opuszczone miejsce, które ujrzeliśmy pewnego późnego popołudnia poprzez zasłonę gęstej mgły i drobnego deszczu było bezgłośne tą intensywną ciszą o niesamowitej dziwnej wibracji, jaką czuje się w miejscach położonych z dala od ludzkich siedzib i używanych przez wiele lat do kremacji. Kiedy tam staliśmy myśląc o mieszkańcu pustelni, o którym słyszeliśmy wiele niezwykłych opowieści, uświadomiłem sobie, że między starym pustelnikiem i mną istnieje więź głębokiej sympatii, utajone zrozumienie, i że wewnątrz mnie są trzepoczące skrzydła, które pragną unieść mnie do tego samego nieskończonego nieba, do którego on się wzniósł, gardząc wszystkimi ziemskimi więzami.

Chociaż wyraźnie pamiętam tylko Gurukipala Singha, z pewnością mieliśmy też innych przyjaciół, (którzy po tak wielu latach zlali się w jeden anonimowy kolektyw) ponieważ w Dniu Niepodległości, 15 sierpnia 1947 roku, zostałem poproszony o wygłoszenie przemówienia na publicznym wiecu, odbywającym się w Kasauli podobnie jak w każdym innym miejscu, mieście, miasteczku i wsi, jak długi i szeroki był nowo narodzony subkontynent. Fakt, że nawet w tak odległym miejscu wszyscy uważali za naturalne i słuszne, aby poprosić Anglika o zabranie głosu przy tak wspaniałej okazji, dowodził nie tylko tego, jak niewiele goryczy było w sercu Matki Indii teraz, kiedy osiągnęła niepodległość, ale też z jaką szlachetnością ducha prowadzono tę walkę.

O dziesiątej rano liczba ludzi zgromadzonych na miejskim placu sięgnęła dwóch tysięcy. Choć niebo było od wczesnego rana zachmurzone, przybierający na sile wiatr w końcu przegnał chmury, więc kiedy wstałem, aby przemówić, znalazłem się w samym środku zalanego słońcem tłumu ubranego w olśniewająco białe koszule i kolorowe turbany. Na tyłach tego tłumu stała w zachowujących się z rezerwą, ale niewątpliwie radosnych grupkach dobrze ponad setka Anglików – mężczyzn, kobiet i dzieci. Kiedy trójkolorowa indyjska flaga zatrzepotała na maszcie przed trybuną i rosnące podniecenie tłumu eksplodowało w głośnych wiwatach, radość widoczna na wszystkich twarzach była dowodem, że nikt z obecnych nie czuł się przegranym w tej walce o niepodległość.

Trzy dni później Satjaprija i ja świętowaliśmy nasz osobisty ‘dzień niepodległości’. Już w Kiszengundżu zauważyliśmy, że chociaż wyznawcy Anadamaji generalnie traktowali Pandita-dżi z całym szacunkiem należnym jego wiekowi i wykształceniu, wydawało się, że nie mają do niego absolutnie żadnego zaufania w kwestiach organizacyjnych i finansowych. W rzeczy samej, w przeddzień naszego wyjazdu jeden z wyznawców, emerytowany urzędnik państwowy, poprosił nas na stronę i cicho ostrzegł, że ten stary człowiek od dawna jest notorycznie nieuczciwy i żebyśmy w żadnym wypadku nie angażowali się w jakiekolwiek jego plany. Oznajmił, że Pandit-dżi używa nas po prostu jako przynęty w swoich najnowszych matactwach.

Nie chcieliśmy wierzyć, że humanista mógłby być oszustem i kłamcą, więc odrzuciliśmy wtedy owo ostrzeżenie, traktując je jako efekt uprzedzeń, a może nawet wrogości do buddyzmu, ale zarówno w Radżpurze, jak i w Kasauli, Pandit-dżi nie raz dawał nam powody, by je sobie przypomnieć. Szereg drobnych incydentów ujawnił jego totalny brak zasad. Chociaż nie był skąpy wydając pieniądze, najwyraźniej nie miał żadnych skrupułów w kwestii sposobów ich zdobywania. Jak sam przyznawał, nie posiadał ani regularnego dochodu, ani stałego miejsca zamieszkania (jego żona żyła w nędzy w Kalkucie), więc z rosnącym przerażeniem uświadamialiśmy sobie, że ten człowiek spędzał czas na przemieszczaniu się z miejsca na miejsce, wszędzie zbierając fundusze pod dowolnym wiarygodnym pretekstem, lecz nigdy nie wydawał tych pieniędzy na cele, na które owe darowizny były przeznaczone. Tylko dzięki dobrej naturze, a może dzięki lenistwu swoich ofiar nie został do tej pory postawiony przed sądem. Po przedyskutowaniu całej sprawy z Lallą Pjarelalem, który kilka lat wcześniej padł ofiarą oszustwa Pandita-dżi, poczuliśmy, że porzucając Towarzystwo Maha Bodi wpadliśmy z deszczu pod rynnę.

Był tylko jeden sposób, aby się z tego wyplątać. Uznaliśmy, że religijne stowarzyszenia, organizacje i grupy nie były żadną pomocą w rozwoju duchowym, a jedynie przeszkodą. Nawet jeśli ideały przyświecające ich założeniu były niezwykle wzniosłe, formalne instytucje znajdując się w rekach egoistycznych ludzkich stworzeń miały naturalną tendencję do zwyrodnienia stając się instrumentami zdobywania pieniędzy, pozycji, władzy i sławy. Postanowiliśmy więc nie próbować już dłużej z nimi współpracować, tylko naśladując Buddę, za jednym zamachem zerwać nasz związek z tym nie dającym się naprawić światem, wyrzec się życia świeckiego i ruszyć w drogę rozpoczynając życie bezdomnych wędrowców w poszukiwaniu Prawdy. Przez kilka ostatnich miesięcy jedynie siedzieliśmy w niepewności na brzegu rozległego oceanu życia duchowego, ale teraz, odrzucając wszelkie obawy, odważnie do niego wskoczymy.

Podjąwszy tę decyzję, nie traciliśmy czasu i jak najszybciej wprowadziliśmy ją w życie. Za pomocą garści gerua-mati, czerwonawo-brązowej ziemi od niepamiętnych czasów używanej przez indyjskich ascetów, ufarbowaliśmy nasze koszule i sarongi na tradycyjny szafranowy kolor noszony przez tych, którzy wyrzekli się świata. Walizki i zegarki zostały sprzedane, spodnie, marynarki i buty rozdane, a dokumenty tożsamości zniszczone. Oprócz szat, które mieliśmy od tej pory nosić,

zatrzymaliśmy tylko po jednym kocu oraz swoje książki i notatniki. Ponieważ przez ostatnie trzy miesiące zapuszczaliśmy włosy i brody, sprzęt do golenia nie był nam potrzebny.

W wigilię wyjazdu poszliśmy pożegnać się z Panditem-dżi. Chociaż nie był całkiem nieświadomy naszych intencji, to emocje, które zniekształciły jego sędziwe oblicze w chwili gdy nasza zdrada stała się rzeczywistością, były okropnym widowiskiem. Zniknęła maska wytworności, a w jej miejsce pojawiło się zdumienie, wściekłość, oburzenie, zawiedziona chciwość, sfrustrowane cwaniactwo, zdziwione poczucie winy i rozpacz – konfliktowa mieszanka uczuć. Jeszcze gorsze były jego desperackie próby zapanowania nad sobą. Usiłował się uśmiechać, być uprzejmym, zlekceważyć nasze postanowienie jako chłopięcy kaprys, ale maska stale spadała mu z twarzy, raz za razem ukazując oblicze potwora.

Ostatecznie, optymistyczny i jak zawsze niestrudzony w wymyślaniu nowych opcji, zaczął robić nam wyrzuty za naszą przekorę, a nawet niewdzięczność, bo jak możemy myśleć o opuszczeniu go w momencie, gdy jego plany już mają wydać owoce, gdy za chwilę zostanie podarowany ogromny budynek na żeńską szkołę imienia Anandamaji, gdy Lalla Pjarelal i inni zamożni kupcy właśnie postanowili przekazać mu duże sumy pieniędzy do dyspozycji. Gdybyśmy go opuścili, narazilibyśmy szanse całego przedsięwzięcia. Błagał, abyśmy mając na względzie jego uczucia, jeśli już nie z innych powodów, przynajmniej opóźnili swój wyjazd o kilka tygodni, lub choćby o kilka dni. Jednak, mimo że wbrew samym sobie poczuliśmy się wzruszeni jego błaganiami, zbyt dobrze go teraz znaliśmy, aby jeszcze raz zaufać jego uroczystym zapewnieniom, więc pozostaliśmy nieugięci w swoim postanowieniu. W końcu ze łzami w oczach pozwolił nam odejść.

Następnego ranka z radością założyliśmy szafranowe szaty i trochę onieśmieleni swoim rzucającym się w oczy wyglądem przeszliśmy przez bazar udając się do domu dr Gurukipala Singha. Lalla Pjarelal i inni przyjaciele, chociaż odnosili się do naszych aspiracji z sympatią, w ogóle nie cieszyli się z tej decyzji, która ich zdaniem była lekkomyślna. Jedynie dr Singh zaaprobował ją całym sercem. Dlatego zgodziliśmy się zjeść z nim śniadanie przed opuszczeniem Kasauli. Nie licząc jednego z jego synów, rosłego młodzieńca, który towarzyszył nam przez kawałek drogi, nasz przezacny sikhijski przyjaciel, którego głębokie wzruszenie, kiedy życzył nam powodzenia w naszych poszukiwaniach, dodało nam jednocześnie otuchy i pokory, był ostatnią osobą, z którą rozmawialiśmy, zanim ruszyliśmy pieszo w szesnastokilometrową trasę wiodącą na niziny.

Buddyści tybetańscy wierzą, że pojawienie się tęczy jest jednym z najbardziej pomyślnych znaków, więc biografie ich świętych i joginów pełne są wzmianek o tym zjawisku. Czy nasze ‘wyrzeczenie się świata’ poczynione 18 sierpnia 1947 roku można uważać za pomyślne wydarzenie – tego nie potrafię stwierdzić, ale z pewnością zostało uświetnione nie jedną tęczą, tylko dziesiątkami.

Kiedy opuszczaliśmy Kasauli, padał deszcz, jednak w miarę jak schodziliśmy coraz niżej, wyszliśmy z otaczających nas chmur i znaleźliśmy się w jasnym słońcu. Zobaczyliśmy wtedy na drodze przed sobą, w odstępach kilku tuzinów metrów, piękne łuki nie pojedynczych, ale podwójnych i potrójnych tęczy. Za każdym zakrętem drogi czekały na nas nowe tęcze. Przechodziliśmy przez nie jak przez różnokolorowe arkady jakiegoś niebiańskiego pałacu. Na tle jasnego słońca, kropli deszczu mieniących się jak klejnoty i wzgórz pokrytych świeżą zielenią o najżywszych odcieniach, to bogactwo delikatnych siedmiokolorowych łuków zdawało się zwiastować inny świat.

Rozdział 25

Kwestia tożsamości

Po południu drugiego dnia naszej wolności dotarliśmy z Satjapriją do Nowego Delhi, gdzie wsiedliśmy w pierwszy pociąg jadący do Madrasu. Naszym planem było studiowanie buddyzmu na Cejlonie. Przez cały czas podróży (1600 km) przedział trzeciej klasy, do którego wepchnęliśmy się z trudem i nie bez walki, był tak przeładowany pasażerami i ich bagażami, że każdej nocy, kiedy chcieliśmy spać, musieliśmy wdrapać się na półkę bagażową tak wąskich rozmiarów, że nawet jednemu z nas trudno byłoby tam wygodnie leżeć. Do tego dochodziło rażące światło lamp sufitowych, duszenie się z braku powietrza, trzaskanie drzwiami, krzyki kulisów, wrzaski pasażerów i gwizdanie konduktorów na każdej stacji, nie mówiąc już o dręczącym dyskomforcie naszych pozycji – w tych warunkach możliwa była tylko przerywana drzemka, więc kiedy rankiem czwartego dnia dotarliśmy do Madrasu, poczuliśmy przeogromną ulgę.

Prosto ze stacji udaliśmy się do świątyni Ramakriszna Math w dzielnicy Mylapore, gdzie swamini, choć nie byli całkiem nieświadomi moich inklinacji, zdumieli się jednak widząc, jak młody Anglik, który zaledwie osiem miesięcy wcześniej odwiedził ich w białym tropikalnym garniturze, teraz zjawił się ponownie w szafranowych szatach indyjskiego sadhu. Czy widok tej nagłej transformacji sprawił im przyjemność, czy nie, tego nie wiem, gdyż byli zbyt delikatni, aby dać to po sobie poznać. Ale przyjęli nas uprzejmie, oprowadzili po bibliotece i przyłączonym do świątyni Math ambulatorium, którego Satjaprija nie widział, po czym zostawili nas w domku gościnnym, żebyśmy odespali trudy podróży, dając do zrozumienia, że możemy pozostać ich gośćmi przez kilka dni.

Dzięki temu mieliśmy czas zwiedzić siedzibę główną Towarzystwa Teozoficznego w Adjarze, znajdującą się zaledwie o półtora kilometra od Math, gdzie z lesistego brzegu oglądaliśmy zachód słońca nad ujściem rzeki. Potem poszliśmy na słynną plażę w Mylapore – płaski ponad trzykilometrowy pas twardego piachu, po którym do późna w nocy spacerowaliśmy w tę i z powrotem razem z jednym z młodszych swamich, dyskutując o kwestiach religii i filozofii, a w przerwach słuchając szumu przybrzeżnych fal, których białe spienione grzbiety, oświetlone światłem księżyca, zalewały plażę.

Odbywaliśmy też rozmowy ze Swamim pełniącym funkcję Prezydenta, wyjątkowo powściągliwym i małomównym Bengalczykiem, oraz z młodym niezwykle bystrym intelektualistą, redaktorem *Wedanta Kesari*, pochodzącym z byłego królestwa Trawancore, z którym od dawna korespondowałem, regularnie pisząc artykuły do jego czasopisma. Podczas gdy Swami Prezydent ani wyraźnie nie pochwalał, ani nie ganił kroku, który uczyniliśmy z Satjapriją, najwyraźniej trochę się o nas obawiał, jednak czy powodem jego obaw była nasza młodość i niedoświadczenie, czy fakt, że wybieraliśmy się do Cejlonu studiować buddyzm zamiast pozostać w Indiach i studiować Wedantę, trudno było stwierdzić na pewno. Redaktor Nitjabodhananda, bardziej szczery i komunikatywny, nie tylko aprobował nasz pomysł, ale też zadał mi szereg pytań dotyczących filozofii buddyjskiej. Jak większość Hindusów był skonsternowany doktryną o *anatmanie*, mówiącą, że nie ma w człowieku żadnej stałej, niezmiennej ‘duszy’ niezależnej od efemerycznych stanów i procesów psychicznych, dlatego usiłowałem mu ją wyjaśnić. Artykuł, który w rezultacie naszej dyskusji napisałem na jego prośbę do czasopisma, wzbudził trwającą kilka lat polemikę z pewnym ortodoksyjnym wyznawcą Wedanty.

Chociaż współpasażerowie w pociągu czasami ciekawie się nam przyglądali, a jeden czy dwóch posunęło się nawet do zadawania Satjapriji natarczywych pytań dotyczących naszej kasty i narodowości, to dopiero w Madrasie uświadomiliśmy sobie, jak wielka zmiana zaszła w naszym statusie, oraz jakie obowiązki za sobą pociągnęła.

Incydent, który bardziej od innych przyśpieszył, a przynajmniej uwydatnił to zrozumienie, był wtedy dla nas źródłem wielkiego zakłopotania. Pewnego popołudnia, kiedy czytaliśmy przy dużym okrągłym stole w holu Math, weszło dwóch gości. Sądząc, że chcieli oddać cześć wizerunkowi Szri Ramakriszny w sali medytacyjnej na piętrze (ludzie często tam chodzili w tym celu)

kontynuowaliśmy lekturę. Ale zamiast iść w kierunku klatki schodowej, dwaj mężczyźni zwrócili się w naszą stronę i zanim zdołaliśmy ich powstrzymać padli nam plackiem do nóg. Z pewnością nie uczynili tego z powodu naszej osobistej świętości, gdyż w żadnym razie nie mogli wiedzieć, kim jesteśmy, co robimy i skąd przyjechaliśmy. Ich pełen pokłon był formalnym wyrazem szacunku tradycyjnie okazywanego osobie ubranej w szafranową szatę.

Wiele lat później, kiedy miałem już sporo do czynienia z szatami we wszystkich możliwych kolorach i słyszałem jak niewiele warci członkowie buddyjskiego zakonu monastycznego notorycznie usprawiedliwiali swoje roszczenie, aby świeckie osoby traktowały ich z największym możliwym szacunkiem, na tej podstawie, że „hołd oddaje się szacie, a nie jej nosicielowi", zastanawiałem się, do jakiego punktu można kontynuować tę sprzeczność między powierzchownością i rzeczywistością bez poważnego osłabienia całej struktury buddyzmu. Niewątpliwie szacunek do swojej szaty jest obowiązkiem mnicha, ale powinien go wyrażać poprzez dążenie do tego, aby stać się ucieleśnieniem symbolizowanych przez nią ideałów, a nie przez żądanie od osób świeckich, aby okazywały szacunek jego szatom padając przed nim na twarz. Jeśli chodzi o mnie i Satjapriję, nasze pierwsze doświadczenie z ludźmi, którzy głęboko się nam kłaniali tylko z powodu naszego stroju, było dla nas nie tylko demonstracją niewzruszonej siły indyjskich tradycji religijnych, ale też bardzo stosownym przypomnieniem o naszych obowiązkach.

Pod koniec naszej monotonnej podróży z Madrasu na południe, na kraniec półwyspu do Dhanaskutu i stamtąd morzem do Kolombo, spotkaliśmy się z nieoczekiwaną przeciwnością. Nie pozwolono nam wjechać do Cejlonu. W przesadnym zapale wyrzeczenia się świata zniszczyliśmy wszystkie swoje dokumenty i teraz nie było żadnego sposobu, aby ustalić naszą tożsamość. Ponadto, doszedłszy do wniosku, że nacjonalizm jest jedną z najgorszych rzeczy we współczesnym świecie, i że zostając bezdomnymi wędrowcami wyrzekamy się nie tylko wszystkich domowych więzów i społecznych obowiązków, ale też jakiejkolwiek narodowej lojalności, obaj z Satjapriją przysięgliśmy sobie, iż nigdy nie przyznamy się, że należymy do konkretnego narodu.

Uprzejmemu, lecz zaskoczonemu sinhaleskiemu oficerowi imigracyjnemu, który wszedł na pokład sprawdzić dokumenty pasażerów, oświadczyliśmy, że jesteśmy sadhu i przyjechaliśmy na Cejlon, aby studiować buddyzm i jeśli będzie to możliwe ordynować się na mnichów. Kiedy spytał nas o narodowość, odpowiedzieliśmy, że wyrzekliśmy się tego świata i w związku z tym nie mamy żadnej. Odpowiedź ta, niewątpliwie bardzo filozoficzna, z urzędowego punktu widzenia była oczywiście całkowicie nie do przyjęcia. Po krótkim przesłuchaniu, w trakcie którego podparliśmy nasze stanowisko cytatami z buddyjskich tekstów, oficer poinformował nas, że będziemy musieli powrócić do Indii najbliższym statkiem. Ponieważ odpływał dopiero wczesnym rankiem następnego dnia, poprosiliśmy o pozwolenie na zwiedzenie Kolombo, jednak dostaliśmy odpowiedź odmowną.

Chociaż ostatecznie stwierdziliśmy później, że podtrzymywanie przyjętego przez nas stanowiska w tak bezkompromisowy sposób jest niepraktyczne, to nadal uważam je za logiczne i słuszne, i choć ze względu na wymogi współczesnego państwa musiałem pójść na pewne kompromisy, to nawet teraz nie mam poczucia, że winien jestem wyłączną lojalność tylko jednemu narodowi lub rasie. Bhikszu – członek buddyjskiego zakonu monastycznego – jest, czy też powinien być, obywatelem świata i jego jedyną lojalnością jest wierność Buddzie, Dharmie i Sandze. Będąc zwolennikiem takiego poglądu, w późniejszych latach często bywałem zasmucony krzykliwym nacjonalizmem niektórych buddyjskich mnichów, którzy ewidentnie najpierw czuli się Cejlończykami lub Birmańczykami i dopiero dużo później mnichami.

Następnego popołudnia znaleźliśmy się z powrotem w obozie w Mandapam, gdzie dwa dni wcześniej, przed wejściem na statek, zostaliśmy poddani szczepieniom. Obóz składał się z kilku namiotów i kilkunastu chat rozsianych na luźnym żółtym piachu bez trawy pośród drzew margosa. Siedząc w cieniu rzucanym przez gęste zielone i pierzaste listowie jednego z tych pięknych drzew, którego gałązki służą rano mieszkańcom południowych Indii jako szczoteczki do zębów, dokonaliśmy z Satjapriją rewizji naszej sytuacji.

Niepowodzenie planu, by studiować buddyzm na Cejlonie nadmiernie nas nie przeraziło. W gruncie rzeczy, w nastroju duchowego uniesienia, które nas nie opuszczało przez całą drogę z

Kasauli, czuliśmy że taki obrót sprawy może okazać się opatrznościowy – uczucie to zostało potwierdzone przez chłodny osąd w późniejszych latach. Ale teraz, kiedy droga do Cejlonu była zamknięta, gdzie powinniśmy się udać? Nie pamiętam już, czyj to był pomysł, ale w końcu zdecydowaliśmy pojechać pociągiem z powrotem do Maduraju, stamtąd na przylądek Komoryn, najbardziej na południe wysunięty punkt całego półwyspu, i z tego przylądka pójść pieszo aż do Himalajów – była to odległość ponad trzech tysięcy kilometrów. Gdziekolwiek zatrzymamy się na noc, będziemy tam medytować jak zwykle, ponieważ obaj byliśmy przekonani, że bez regularnej medytacji duchowe życie jest bez znaczenia. Oprócz przetestowania naszej wytrzymałości i siły podjętych wyrzeczeń, dodatkową zaletą tego przedsięwzięcia będą nieustanne okazje do bliskiego kontaktu z mieszkańcami Indii.

Rozdział 26

Szramana kontra brahmana

Maduraj jest jednym z ważnych centrów pielgrzymkowych w południowych Indiach. Po opuszczeniu stacji wędrowaliśmy z Satjapriją ulicami miasta, kiedy zaczepił nas postawny tamilski bramin o stosunkowo jasnej skórze, ubrany w nieskazitelnie biały sarong i z prawie nagim tułowiem, za wyjątkiem małego, starannie złożonego ręczniczka przewieszonego przez prawe ramię i nowej grubej świętej nici. Przednią połowę czaszki miał ogoloną, a pozostałe z tyłu włosy ułożone w długi błyszczący kok. Zwracając się do nas znakomitym angielskim, ze złożonymi dłońmi zaprosił nas najgrzeczniej jak można, abyśmy zjedli z nim lunch w jego domu. W południowych Indiach niektórzy ortodoksyjni bramini uważają, że grzechem jest zjedzenie posiłku bez nakarmienia najpierw jakiegoś gościa. Ci bardziej skrupulatni, jeśli nikt się sam przypadkiem nie zjawi, stają w drzwiach wypatrując przechodniów lub nawet, jak w przypadku naszego gospodarza, wychodzą z domu i spacerując po głównych i bocznych ulicach szukają jakiegoś stosownego gościa, najchętniej sadhu lub religijnego żebraka dowolnego rodzaju.

Tak więc pół godziny później znaleźliśmy się w jego domu, siedząc na podłodze w chłodnym, ciemnym pokoju i zajadając ryż oraz curry, podczas gdy nasz gospodarz, zgodnie ze starożytnym indyjskim obyczajem, siedział w kucki przed nami odpędzając muchy wachlarzem z liścia palmowego. Mimo naszych protestów odmówił rozpoczęcia swojego posiłku, dopóki my nie skończyliśmy swojego. Kiedy nasze oczy przyzwyczaiły się do mroku, dostrzegliśmy, że pokój, gdzie siedzimy, jest nieskazitelnie czysty i całkowicie pusty. Podłoga wyłożona czarnymi płytami była tak wyszorowana, że nie protestowalibyśmy, gdyby lunch podano bezpośrednio na niej zamiast na zwyczajowym kawałku liścia plantanowego.

Dopiero kiedy wszystkie trzy liście zostały zabrane i podłoga zmyta przez bezimienną kobietę, która wyłoniła się w tym celu z kuchni i w milczeniu wycofała po wykonaniu swego zadania, nasz gospodarz w niezwykle przyjacielski sposób zapytał, kim jesteśmy i dokąd się udajemy. Usłyszał tę samą odpowiedź, którą daliśmy sinhaleskiemu oficerowi imigracyjnemu, dodając jedynie, że wybieramy się na przylądek Komoryn z zamiarem pieszej wędrówki stamtąd aż do Himalajów. Jego ciekawość nie została zaspokojona, gdyż najwyraźniej zastanawiał się, czy jestem Europejczykiem, czy Hindusem z północnych Indii o wyjątkowo jasnej karnacji, więc niby od niechcenia pytał nas o różne rzeczy, które miały mu dać wskazówki co do naszej narodowości. Mimo naszej jawnej niechęci do zdradzenia tego najważniejszego sekretu, jego pytania stopniowo stawały się coraz bardziej jednoznaczne, aż w pewnej chwili nie dało się dłużej wykręcać od tej kwestii. Dlatego otwarcie powiedzieliśmy mu, że niestosownie jest pytać sadhu o jego purwaszram, czyli ‘poprzedni etap życia’. Natychmiast zgodził się z tym bezceremonialnym stwierdzeniem i porzucił temat. Nasza małomówność nie dotyczyła jednak spraw mniej osobistych, wymieniliśmy więc poglądy na różne tematy i wkrótce odkryliśmy, że gospodarz, choć ograniczony typowymi dla swej kasty uprzedzeniami, był religijny, inteligentny i miał dużą wiedzę. Ponieważ nalegał, abyśmy przed wyjazdem z Maduraju koniecznie obejrzeli słynną świątynię, obiecując towarzyszyć nam w jej zwiedzaniu następnego ranka, ostatecznie przyjęliśmy zaproszenie, by zatrzymać się w jego domu przez dwa lub trzy dni.

Trudno być w Maduraju i nie usłyszeć prędzej czy później imienia Tirumala Najaka. Ten siedemnastowieczny monarcha, największy i najsłynniejszy ze swej dynastii, nie tylko zbudował obecną świątynię dla Minakszi, bogini o ‘rybich oczach’, i jej małżonka, ‘Pięknego jak Księżyc’ Somasundary, ale postawił też pałac dla siebie i wykopał zbiornik do kąpieli dla ludu. Nawet w południowych Indiach, gdzie tradycyjnie faworyzuje się gigantyczną architekturę wielkością podobną do egipskiej, budowle te znane są nie tylko z piękna, ale też z kolosalnych rozmiarów. Przewodniki niewątpliwie podają, jaka jest wysokość gopuramów, czyli wież pełniących funkcję bram, przez które przechodziliśmy z dziedzińca na dziedziniec w drodze do wewnętrznych terenów świątyni, ale zamiast faktów i liczb, jedyne co pozostało w moim umyśle, to niejasne wspomnienie poranka spędzonego na eksplorowaniu monstrualnego świata architektury i rzeźby o tak ciężkich

kształtach i tak masywnej wybujałości, że poczułem się jednocześnie przytłoczony rozmiarami i znużony obfitością. Cenniejsze były dla mnie chwile, kiedy po przejściu wąskimi, pozornie wykutymi w skale przejściami, którymi prowadził nas nasz gospodarz, wyłoniliśmy się z ciemności i znaleźliśmy w blasku świateł w środku najgłębiej położonego sanktuarium świątyni. Dwa posągi były tak obwieszone klejnotami i girlandami kwiatów, do których dodaliśmy nasze własne (jeden z kapłanów ofiarował je w naszym imieniu), że widzieliśmy niewiele więcej ponad dwie pary namalowanych jaskrawych oczu bóstw. Kwiaty i porozbijane orzechy kokosa walały się po podłodze. Atmosfera miejsca była dziwnie ciężka, jakby wibrowała od obecności jakiejś nadnaturalnej siły.

Chociaż mniejszy (w tym sensie, że zajmował mniejszą powierzchnię), pałac Tirumala Najaka z powodu swej pozbawionej ornamentów surowości stylu był nawet okazalszy. Wydaje się, że znawcy uważają go za jeden z najpiękniejszych przykładów hinduskiej architektury świeckiej w całych Indiach. Dla mnie prostota olbrzymich białych kolumn i wysokie sklepienia w kształcie podków stanowiły równie uderzający kontrast wobec orgii ornamentów w świątyni jak posąg młodego greckiego boga wyrzeźbiony przez Praksytelesa wobec grupy nagich flamandzkich bachantek na obrazie Rubensa.

Jeszcze prostszy i niemniej piękny w swoim rodzaju był staw w kształcie kwadratu o boku długości 400 metrów, na środku którego znajdowała się zielona od drzew wyspa, gdzie król szukając schronienia przed żarem zbudował dla siebie, swoich królowych i konkubin jednopiętrowy pawilon z białego kamienia.

Po powrocie z wyspy, gdzie spędziliśmy pół godziny na dachu pawilonu rozkoszując się chłodnym powiewem wiatru, ujrzeliśmy nadchodzącą od strony świątyni skłębioną masę ludzi, w środku której, jak królowa pszczół pomiędzy rojem robotnic, przesuwał się mały palankin zawierający, jak nam powiedziano, hojnie obwieszone klejnotami podobizny dwóch głównych bóstw. Najwyraźniej było to jedno z tych ważniejszych świąt, tak popularnych w południowych Indiach, kiedy wizerunki bóstw są przez wyznawców wynoszone na spacer na świeżym powietrzu. Zgromadzenie wydawało się liczyć co najmniej dziesięć tysięcy ludzi, a ponieważ przechodzili dość blisko stawu, wkrótce ogarnął nas trochę mniej stłoczony skraj procesji. Tłum był jednak tak olbrzymi, a podekscytowani wyznawcy w samym jego środku tak ściśnięci, że nie mogliśmy podejść do palankinu bliżej niż na sto metrów. Rezygnując z przepychania się, staliśmy z boku obserwując straganiarzy, którzy rozstawili swoje stoiska w środku tłumu. Ponieważ z braku miejsca palankin przestał się przesuwać, ludzie kłębili się teraz dokoła niego jak olbrzymie koło obracające się wokół swej piasty. Na skraju stawu, również nie wolnym od tłumu, jakiś człowiek sprzedawał wielkie białe lalki z czerwonymi włosami i czarnymi oczami. Powiedziano nam, że symbolizują one Sitalę, straszliwą boginię ospy, i że co roku z okazji tego festiwalu lokalni mieszkańcy kupowali nową figurkę bogini, aby się do niej modlić w domu, czy raczej błagać o zmiłowanie.

Zanim wyjechaliśmy z Maduraju, nasza wstępna znajomość niektórych odmian religijności przyjętych w hinduizmie rozpowszechnionym w południowych Indiach wzbogaciła się o wiedzę na temat pewnych aspektów południowoindyjskiej psychologii religijnej. Nasz gospodarz był niewątpliwie bardzo zacną osobą, ale już po kilku pierwszych rozmowach uświadomiliśmy sobie, że był ofiarą dziwnego rodzaju kompleksu niższości, który jak mi się obecnie wydaje, jest charakterystyczny dla określonego typu Hindusów. Kiedy rozwodził się nad tym, jak rygorystycznie wykonuje swoje obowiązki religijne, jak skrupulatnie czci domowych bogów, jak regularnie się modli, medytuje i studiuje święte teksty, jak jest hojny dla biednych i jaką czystością odznacza się jego zachowanie, mieliśmy wrażenie, że te dość naiwne rewelacje wskazują tylko na szczerość i prostotę serca. Dlatego przy każdym nowym wyznaniu o dobroci i pobożności, kiwaliśmy głowami na znak, że zgadzamy się z jego opinią. Nawet kiedy zachęcony naszą aprobatą zadeklarował, że w gruncie rzeczy żyje jak sadhu, i że jego dom jest w zasadzie aszramem, nie zaprzeczyliśmy. Dopiero wtedy pozwolił sobie na wyrażenie słowami tego, co cały czas tkwiło gdzieś w tle jego umysłu.

„W takim razie, jaka jest różnica między mną i wami? – zapytał – Jak możecie uważać się za lepszych ode mnie?”

Jak tylko nasz gospodarz wyrzekł te słowa, wywiązała się między nim i Satjapriją, który uznał te pytania za osobiste wyzwanie, długa i momentami niemal zjadliwa dyskusja, która oczywiście nic nie rozstrzygnęła. Moje poglądy na ten temat pozostały niezmienione do dziś. Fakt, że wewnętrzna wartość człowieka nie zależy od jego profesji, i że w każdej religii znajdują się świeckie jednostki, które są o wiele lepszymi ludźmi niż niektórzy kapłani i mnisi, którym z racji ich urzędu świeccy zobowiązani są składać formalne wyrazy szacunku, wydaje mi się prawdą tak oczywistą, że wręcz nie zasługującą na zaszczyt jawnej deklaracji.

Tym, o co Satjaprija i nasz gospodarz naprawdę się spierali, chociaż żaden z nich sobie tego nie uświadamiał, była kwestia, czy wyrzeczenie się świata jest niezbędne do wyższego rozwoju duchowego. Ich rozbieżne podejście reprezentowało współczesną kontynuację wzajemnego wielowiekowego antagonizmu pomiędzy *brahmaną* i *szramaną* – czyli polaryzacji życia duchowego między bliźniaczymi ideałami spełnienia w świecie i wyrzeczenia się świata, pomiędzy zasadami immanencji i transcendencji. Świadectwa tego antagonizmu można znaleźć w tekstach palijskich therawady, a został on ostatecznie rozwiązany dopiero przez mahajanę w jej ideale nieskończenie mądrego i bezgranicznie współczującego bodhisatwy. Mimo że od czasów Szankary, wielkiego nie-dualistycznego filozofa i reformatora, hinduizm przyswoił sobie niektóre elementy pochodzące z buddyjskiego monastycyzmu, to wielu południowoindyjskich braminów, zwłaszcza tych, którzy kurczowo trzymają się starożytnych tradycji swojej kasty, ma skłonności do wyznawania poglądu, że istnienie świętych mężów i ascetów, nawet jeśli to Hindusi, jest zagrożeniem dla ich supremacji.

Być może dlatego właśnie, próbując ‘zawładnąć’ monastycyzmem, sformułowali w czasach średniowiecznych doktrynę, że wyrzeczenie się świata (które w ich wizji idealnego społeczeństwa było czwartym ‘etapem życia’) jest dostępne i możliwe tylko dla braminów, którzy spędzili po dwadzieścia pięć lat w każdym z trzech poprzednich ‘etapów życia’. Kszatrijowie, czyli członkowie kasty wojowników, mogli osiągnąć tylko trzeci etap – odosobnienie w lesie; wajszijowie, czyli kupcy i handlarze, tylko drugi etap, to znaczy życie rodzinne; podczas gdy szudrowie, czyli poddani, stanowiący najniższą kastę, mieli prawo tylko do drugiego etapu, ale z wyłączeniem pierwszego, to znaczy studiowania świętych pism, które było dozwolone tylko dla członków trzech najwyższych kast. Chociaż ten schemat nie zawsze mógł być ściśle przestrzegany, nawet pod panowaniem najbardziej ortodoksyjnych władców hinduskich, niemniej jednak był podstawą energicznej próby, aby zarezerwować wyrzeczenie się świata tylko dla członków kasty braminów, i przez to uczynić z ascety po prostu pewien rodzaj bramina. W trakcie naszych wędrówek niejeden raz spotkaliśmy z Satjapriją braminów, którzy okazywali szacunek wyłącznie ascetom-braminom.

Nasz gospodarz oczywiście nie posunął się aż tak daleko. Mimo ujawnienia radykalnej różnicy opinii, nadal traktował nas ze szczodrą gościnnością i kiedy nadszedł czas, byśmy wyruszyli w następny etap naszej podróży, jego pożegnanie było równie uprzejme jak pierwsze przywitanie, a wiele razy od niego cieplejsze.

Między Madurajem i przylądkiem Komoryn leży miasto Tirunelweli, siedziba okręgu o tej samej nazwie. Tutaj po raz pierwszy doświadczyliśmy obyczajów w południowych Indiach związanych z higieną. Wstaliśmy przed świtem, ponieważ chcieliśmy złapać pierwszy autobus, i z okrągłymi garnkami na wodę w rękach (zwanymi lota) zakradliśmy się na brzeg rzeki, kiedy jeszcze było ciemno, jako że w domach hinduskich, jak już zdążyliśmy odkryć w Maduraju, nie było ubikacji. Człowiek, który nas tam przenocował, usłużnie wskazał drogę.

Nadal siedzieliśmy w kucki na piachu, kiedy wstał świt i szeroka rzeka, do tej pory niewidoczna, błysnęła szarą smugą. Wstając na nogi, zobaczyliśmy po obu jej stronach na całej długości tysiące mężczyzn, kobiet i dzieci przykucniętych na piasku niemal łokieć przy łokciu, wszyscy z mosiężnymi garnkami lota przy boku. Większość z nich jednocześnie czyściła sobie zęby przy pomocy gałązek margosy. Na samym skraju rzeki niektórzy, zakasawszy ubranie, obmywali sobie wodą pośladki, podczas gdy inni weszli trochę dalej i stojąc w wodzie do pasa albo skrobali sobie języki, hałaśliwie odchrząkując, albo odmawiali poranne modlitwy z twarzami skierowanymi w stronę słońca, które przed chwilą wzeszło. Nie wiem, czy w muzyce lub poezji południowych Indii istnieje *aubade* (specjalny wiersz lub melodia przeznaczona dla pory świtu) odpowiadające

nastrojowi tej bardzo charakterystycznej sceny, ale powróciwszy do miasta odkryliśmy, że tamilska nazwa dla tego zanieczyszczonego odcinka rzeki brzmiała ‘Złota rzeka’.

Rozdział 27

Świątynia bogini dziewicy

Przylądek Komoryn zaprezentował nam spektakl całkowicie odmienny od Tirunelweli. Kiedy wysiedliśmy z autobusu, który zatrzymał się na nadmorskim wale niecałe sto metrów od brzegu morza, przetarliśmy oczy ze zdumienia. U naszych stóp leżał olbrzymi obszar wody o fiołkowym kolorze. Ponad nim rozciągała się nieskończona przestrzeń czystego bezchmurnego nieba we wszystkich odcieniach szafiru, począwszy od najbledszego jasnego błękitu na linii horyzontu aż do głębokiego indygo w zenicie. Na zachodzie zawieszona między niebem a wodą widoczna była czerwona kula zachodzącego słońca, a na wschodzie złocisto-biały dysk wschodzącego księżyca w pełni. Ich odbicia w wodach zlewających się mórz tworzyły dwie olśniewające smugi łączące się w jeden wspólny przepyszny blask. Łagodne srebro i intensywne złoto świętowały małżeński węzeł na fiołkowej wodzie. Obserwowaliśmy ten niezwykły widok przez prawie godzinę. Morze i niebo stopniowo zlały się w jedną ciemność, rozjaśnioną na górze milionem iskrzących gwiazd, a na dole niezliczonymi fragmentarycznymi odblaskami srebrnego księżyca, który w miarę jak wznosił się coraz wyżej, rzucał na białym piasku długie czarne cienie naszych sylwetek.

Nie licząc świątyni, miejsce, z którego zdecydowaliśmy się wyruszyć w pieszą wędrówkę do Himalajów, było niewiele większe od wioski, więc praktycznie wszyscy mieszkańcy zauważyli, jak wysiadamy z autobusu. Dlatego, kiedy wracaliśmy z plaży, zostaliśmy przechwyceni przez pięć lub sześć osób, które po zwykłych w tej sytuacji pytaniach, zaprowadziły nas do znajdującej się w pobliżu małej biblioteki z czytelnią. Tam podano nam kawę w malutkich miedzianych kubkach, a potem przyniesiono na kolację różne tamilskie smakołyki serwowane na liściach plantanowych. Urządzono nam też posłania na podłodze, abyśmy mieli gdzie spać w nocy. Nasi nowi przyjaciele – na zaproszenie których pozostaliśmy w bibliotece przez cztery lub pięć dni – byli tak mili, że z prawdziwym żalem stwierdzam, iż nie jestem w stanie przypomnieć sobie żadnego z nich indywidualnie. Może dlatego, że południe Indii było dla mnie nowością i wyjątkowa czerń ich karnacji, z o wiele ciemniejszym odcieniem skóry niż u mieszkańców północnych Indii, sprawiła, że dla mnie wszyscy wyglądali jednakowo.

Świątynia Kanja Kumari, Bogini Dziewicy, jest miejscem, które nie rości sobie żadnych pretensji architektonicznych. Kiedy eskortowani przez naszych nowych przyjaciół poszliśmy tam z Satjapriją następnego ranka, trasą wiodącą przez łachę srebrnego miękkiego piasku, znaleźliśmy się pod masywną ścianą pomalowaną w naprzemienne pionowe białe i czerwone pasy. W porównaniu z tymi w Maduraju gopuramy były prymitywne i elementarne. Przy wejściu, jak nakazuje obyczaj w południowych Indiach, zdjęliśmy koszule, ponieważ pojawienie się przed bóstwem z przykrytą górną częścią tułowia jest uważane za objaw lekceważenia. Pamiętając swoje doświadczenia w Dakszineszwarze i Raipurze, zapytałem po drodze, przez Satjapriję, czy świątynia jest otwarta dla każdego. Nasi przyjaciele przyznali, że faktycznie są restrykcje i do świętego miejsca nie wolno wchodzić Hindusom z niższych kast, chrześcijanom, muzułmanom i Europejczykom. Dodali jednak pośpiesznie, że nas to nie dotyczy, ponieważ jesteśmy sadhu, którzy są ponad wszelkimi rozróżnieniami kastowymi i narodowościowymi.

Po przejściu przez bramę sprawiającą wrażenie bocznego wejścia wyciętego w murze najpierw znaleźliśmy się w szeregu ponurych korytarzy, a potem idąc po omacku kamiennymi schodami w dół, doszliśmy do ciemnego tunelu oświetlonego pochodniami umieszczonymi w regularnych odstępach wzdłuż ścian. Atmosfera tego miejsca sprawiła, że poczułem się, jakbym był w labiryncie lub katakumbach, a kiedy idąc dalej zeszliśmy jeszcze niżej, zdawało mi się, że zstąpiłem do samych trzewi ziemi. Jednocześnie byłem pod silnym wpływem niewiarygodnej starożytności tego miejsca, odnosząc wrażenie, że podróżuję nie tylko w głąb przestrzeni, ale też wstecz w czasie, cofając się o tysiące lub nawet setki tysięcy lat do prawieków, gdy u zarania być może epoki kamienia ludzie po raz pierwszy czcili w tym miejscu Matkę Dziewicę.

Wrażenia te spotęgowały się, kiedy wyłoniliśmy się z tunelu wkraczając do kwadratowej izby, która w czerwonym blasku ściennych pochodni wydawała mi się wydrążona w skale. Jednak

wkrótce, kiedy moje oczy przyzwyczaiły się do mroku, zauważyłem, że dach opiera się na prymitywnych filarach. Zorientowałem się, że nie jesteśmy aż tak głęboko pod ziemią, jak to sobie wyobrażałem; być może izba … Ale nim refleksja zniweczyła moje początkowe wrażenia, rozległy się dźwięki walenia w tarabany i zawodzenia oboju tak potężne, że ich huk w tej zamkniętej przestrzeni był ogłuszający. Około piętnastu do dwudziestu osób, o czarnych błyszczących od olejku ciałach, stało w wyczekującej pozycji przed małymi drzwiami po przeciwnej stronie pomieszczenia. Większość czekała ze złożonymi dłońmi, niektórzy poruszali wargami, jakby się modlili. Ten niesamowity, dziki, a przy tym dziwnie błagalny łomot bębnów i oboju trwał przez piętnaście minut, po czym nagle nastąpiła straszna cisza, w której usłyszeliśmy że poruszający wargami wyznawcy modlili się bardzo głośno. Małe drzwi otworzyły się raptownie. Wszyscy rzucili się na podłogę przepełnieni czcią. Za drzwiami stała w jaskrawym świetle czarna kamienna bogini, a kapłan znajdujący się na lewo od ołtarza machał przed jej obliczem obrzędową lampką z pięcioma płomieniami.

Później powiedziano nam, że pośrodku czoła bogini tkwił olbrzymi diament o tak wielkiej jasności, że kiedy w burzliwe noce otwierano wychodzące na południe wewnętrzne i zewnętrzne bramy świątyni, posąg służył płynącym daleko na morzu statkom jako latarnia morska. My jednak nie spostrzegliśmy tego diamentu, może dlatego, że klejnot stanowił część nakrycia głowy nakładanego tylko przy specjalnych okazjach, może dlatego, że skradziono go wieki temu, a może po prostu z powodu słabości naszej wiary.

Obejrzenie świątyni wyczerpało atrakcje przylądka Komoryn stworzone przez człowieka, ale uroki przyrody, morza i nieba, były niewyczerpane. Większość czasu spędzaliśmy na plaży kąpiąc się lub wspinając na skały oddzielające od siebie piaszczyste zatoczki, lub po prostu siedząc blisko wody, patrząc jak zalewa plażę i słuchając huku przewalających się wielkich nadbrzeżnych fal. Czasem morze było wzburzone, czasem gładkie, ale niezależnie od tego czy wzburzone czy gładkie, zawsze niebezpiecznie kotłowało się wokół grupy skał sterczących w morzu w odległości około 100 metrów od brzegu. Ostatnią z nich nazywano skałą Wiwekanandy – mówi się, że sławny apostoł Wedanty podpłynął kiedyś do tej skały i spędził na niej cały dzień.

Jak tylko Satjaprija usłyszał o tym wyczynie, zapłonął w nim duch współzawodnictwa. Pomimo moich sprzeciwów, skoczył w fale i wkrótce szybko płynął w stronę skał. Pięć minut później, ku mojej wielkiej uldze, dostrzegłem czarną głowę wystającą ze spienionej wody kłębiącej się u podstawy skały i parę brązowych ramion starających się uchwycić czegoś na jej pionowym zboczu. Wciągnięcie się na szczyt skały, jak mi później powiedział, okazało się o wiele trudniejsze i bardziej wyczerpujące niż dopłynięcie do niej. W końcu jednak udało mu się tego dokonać i kiedy stał w najwyższym punkcie machając do mnie ręką, usłyszałem słabe ‘halo’ ponad rykiem rozbijających się fal. Nie chciało mu się spędzać na skale całego dnia, tak jak słynnemu poprzednikowi, posiedział tam tylko tyle czasu, żeby odpocząć i przypłynął z powrotem.

W trakcie jednej z naszych wypraw wzdłuż plaży odkryliśmy grupkę mężczyzn, którzy prymitywnymi metodami, będącymi w użyciu prawdopodobnie od tysięcy lat, ekstrahowali sól z morskiej wody. Wielkie płótna luźno zawieszano ze wszystkich stron na ponad metrowych słupkach w taki sposób, że w środku tworzyło się zagłębienie. Do tego zagłębienia wlewano wiadra morskiej wody, która przesączając się przez płachtę zostawiała na jej dnie szary osad. Ten mało obiecujący produkt był następnie oczyszczany równie prymitywnymi metodami i usypywany w rzędy połyskujących kopców soli, konkurujących swą białością z piaskiem.

Jeśli nie było nas na plaży, siedzieliśmy w bibliotece, która stała się naszym domem i gdzie przynoszono nam posiłki. Któregoś ranka, nad kawą i bananami, nasi przyjaciele poinformowali nas, że czują się szczęściarzami, ponieważ mają tu na przylądku Komoryn dżiwanmuktę. Według Adwaity Wedanty dżiwanmukta to osoba, która osiągnąwszy absolutną jedność z pozbawionym cech Brahmanem, uzyskała w tym życiu całkowitą wolność od wszelkich złudzeń oraz namiętności odpowiedzialnych za ponowne narodziny. Usłyszawszy to, obaj z Satjapriją nalegaliśmy, aby natychmiast pójść i zobaczyć wyzwolonego.

Po drodze przyjaciele powiedzieli nam wszystko, co o nim wiedzieli. Przebywał na przylądku Komoryn od kilku lat, jednak nikt nic nie wiedział o jego przeszłości. Nikt nigdy nie widział, żeby

coś jadł i pił, ale palił papierosy i mieszkał pod drzewem. Był całkowicie obojętny na zimno i gorąco, więc latem i zimą miał na sobie tylko langot, czyli specjalną opaskę okrywającą genitalia. Nie odzywał się z wyjątkiem żądania papierosów. Sądząc ze sposobu, w jaki nam go opisywano, wyglądało na to, że święty mąż cieszył się tam wielkim szacunkiem, tak więc czuliśmy z Satjapriją rosnące podniecenie. Niestety czekało nas rozczarowanie. Dżiwanmukta siedział pod swoim drzewem paląc papierosa. Jego ciało i włosy pokrywała warstwa kurzu, trudno więc było ocenić, ile miał lat – mógł mieć pięćdziesiąt, ale równie dobrze trzydzieści pięć lub sześćdziesiąt. Rysy były prostackie, wyraz twarzy tępy i zezwierzęcony. Nie zwrócił na nas najmniejszej uwagi. Przyglądaliśmy mu się przez kilka minut jak zwierzęciu w zoo, po czym wróciliśmy do biblioteki. Prawdopodobnie był hatha joginem, który za pomocą odpowiednich ćwiczeń mentalno-fizycznych rozwinął w sobie zdolność do życia bez przyjmowania pożywienia, ale poprzestał na tym osiągnięciu, uznając je za cel końcowy, i zastygł na zwierzęcym poziomie

Bardziej interesująca od tego na wpół żywego trupa była fotografia wisząca w bibliotece nad drzwiami. Obaj z Satjapriją często na nią patrzyliśmy. Postać w turbanie, z przypasanym mieczem, ubrana w czarny sięgający kolan płaszcz oraz białe bryczesy najwyraźniej wyglądała na mężczyznę przyzwyczajonego do rządzenia. Jednak przebiegłe oczy z ciemnymi obwódkami nadawały jego nalanej twarzy, chociaż śmiałej i inteligentnej, lekko złowieszczy, prawie okrutny wyraz, który nie budził zaufania mimo szlachetnego czoła i pełnych warg. Któregoś dnia zapytaliśmy przyjaciół, kim jest człowiek na zdjęciu. Nasza ignorancja spotkała się z okrzykami zdumienia. Czyż nie rozpoznaliśmy Sir C.P. Ramaswamiego Ijera, twórcy współczesnego Trawancore, Diwana [tzn. Premiera] przez dwanaście lat, zbawcy hinduizmu, błyskotliwego intelektualisty w dziedzinie prawa, śmiałego administratora, głębokiego filozofa, mówcy o niezrównanej elokwencji? Przez kilka minut w bibliotece rozbrzmiewały pochwały na cześć wielkiego męża. Były jednak pomieszane z lamentami. Zaledwie dzień przed naszym przyjazdem, jak nam powiedziano, ktoś próbował zamordować ‘Sir C.P.’ (tak go wszyscy nazywali) i chociaż uszedł z zamachu jedynie z raną od noża na policzku, wydarzenie to tak go wytrąciło z równowagi, że świadomy faktu, iż ma w królestwie więcej wrogów niż przyjaciół zrzekł się wszystkich pełnionych urzędów i odleciał gdzieś samolotem.

W trakcie naszego półtorarocznego pobytu w Trawancore, poznaliśmy wielu ludzi, którzy choć przyznawali, że Sir C.P. odznacza się wieloma zdolnościami, to opisywali jego postać w ciemniejszych barwach niż nasi przyjaciele z przylądka Komoryn, którzy wszyscy byli Tamilami, a większość, tak jak ich bohater, tamilskimi braminami. Zwłaszcza chrześcijanie widzieli w nim wyjątkowo czarny charakter, ponieważ nie tylko zatamował falę nawróceń za sprawą słynnej Temple Entry Proclamation32 oraz Misji Hinduskiej, ale też – co uważali za wyjątkowo niewybaczalne przestępstwo – kazał pozamykać ich największe banki. Z tych sprzecznych relacji wyłoniła się ostatecznie postać, jakiej można się było spodziewać ujrzawszy fotografię w bibliotece. Sir C.P. był bez wątpienia śmiałym, znakomitym, skutecznym, pozbawionym wszelkich skrupułów niemoralnym autokratą, którego całkowicie zdeprawowało posiadanie władzy absolutnej. Gdziekolwiek udaliśmy się w Trawancore, opinia na jego temat nie była ani trochę lepsza i niewiele było szkód, za które nie on był odpowiedzialny.

Zanim wyruszyliśmy z przylądka Komoryn w dalszą drogę, Satjaprija postarał się dla nas o parę dwumetrowych kijów bambusowych. Dopóki podróżowaliśmy pociągiem i autobusem, dwa tobołki, z którymi wyjechaliśmy z Kasauli, wydawały nam się nie tylko małe i lekkie, ale też stanowiące absolutne minimum bagażu. Jednak mając w perspektywie setki mil pieszej wędrówki, zaczęliśmy sobie uświadamiać, że mimo wyrzeczenia się świata nadal mamy dużo niepotrzebnych rzeczy. Ponieważ największym ciężarem w naszym bagażu były książki, podarowaliśmy kilka

---

32

Proklamacja znosząca zakaz wstępu do świątyń hindusom z niższych kast. [przyp. tłum.]

tomów bibliotece. Pomysł Satjapriji polegał na tym, że kiedy zmęczą nam się ręce, będziemy mogli zawiesić tobołki na kiju opartym o ramię. Kije miały nam też służyć do podpierania się w marszu oraz jako narzędzie obrony przed wiejskimi kundlami, dzikimi zwierzętami oraz rabusiami.

Tak więc pięć dni po przyjeździe pożegnaliśmy się z naszymi uprzejmymi przyjaciółmi, którzy zgromadzili się w bibliotece, aby nas odprowadzić, zarzuciliśmy na ramiona nasze kije z tobołkami i z lekkim sercem dziarsko pomaszerowaliśmy drogą do Triwandrum – odległej o 80 km stolicy Trawancore.

Rozdział 28

Droga do Triwandrum

Satjaprija obliczył, że jeśli będziemy podróżowali bez pośpiechu, dzieląc drogę na łatwe etapy i dając sobie czas na odwiedzanie na trasie miejsc o religijnym znaczeniu, dotarcie do Himalajów może nam zająć dwa lata. Ta perspektywa w najmniejszym stopniu nas nie zniechęciła. Patrząc na drogę przed nami ze świadomością, że nasze życie wędrownych ascetów wreszcie zaczęło się na dobre, w gruncie rzeczy obaj byliśmy w nastroju ogromnego podniecenia. Skończył się czas falstartów i opóźnień. Mieliśmy teraz konkretny cel, którego osiągnięcie było tylko kwestią czasu. Ta wiedza dodała nowego znaczenia naszej egzystencji, skupiając wszystkie nasze energie tylko w jednym kierunku, i niejako dodając skrzydeł naszym stopom.

Przez pierwszą godzinę marsz był całkiem przyjemny. Jednak w miarę jak słońce wznosiło się coraz wyżej, zrobiło nam się bardzo gorąco i poczuliśmy się zmęczeni. Nasze tobołki, rano tak małe i na oko lekkie, ciążyły jak ołów i po raz pierwszy w życiu żałowałem, że nie posiadam mniej książek. Kiedy zaczęła mnie boleć ręka, przerzuciłem bagaż przez ramię, a gdy ciężki bambus zaczął obcierać mi obojczyk, brałem coraz cięższy tobół raz do prawej ręki, raz do lewej. Gdy po każdej zmianie ramię i obojczyk zaczynały boleć mnie coraz szybciej, wkrótce przerzucałem tobołek co kilka minut. W międzyczasie na stopach zrobiły mi się pęcherze i zacząłem utykać. Satjaprija, chociaż silniejszy i z większą krzepą, też odczuwał trudy podróży. W tym kiepskim stanie wkroczyliśmy do pierwszej wioski, gdzie zamierzaliśmy pozwolić sobie na krótki odpoczynek, ale kiedy wlekliśmy się znużeni wzdłuż pojedynczego szeregu nędznych chat, ich mieszkańcy – po stroju poznaliśmy, że to muzułmanie – krzyczeli pod naszym adresem i drwili z nas z tak jawną wrogością, że nie zatrzymaliśmy się. Późną nocą chwiejnym krokiem weszliśmy do miasta Nagarkoil.

W sali miejskiej Nagarkoilu, tak jak w bibliotece na przylądku Komoryn, obudziliśmy się i zobaczyliśmy ciemno-obwiedzione oczy Sir C.P, którego zdjęcie również i tu zajmowało honorowe miejsce. Jego fizjonomia witała nas codziennie rano przez cały tydzień, ponieważ w Nagarkoilu poznaliśmy wielu przyjaciół, a niektórzy z nich nie tylko zaprosili nas do swoich domów, ale zorganizowali też w tej samej sali serię moich wykładów na temat indyjskiej filozofii i religii. Miasto musiało być jednak mniej interesujące od przylądka Komoryn, ponieważ jakiekolwiek wrażenia z niego wyniosłem, wyblakły one już dawno temu, tak samo jak płowieją freski w zrujnowanej świątyni od wieków wystawionej na działanie żywiołów, skutkiem czego pozostaje z nich zaledwie połowa zamyślonej twarzy, fragment podniesionej ręki i plama ciemniejszego tła. Moje najżywsze wspomnienie dotyczy wizyty w ‘ambulatorium’ (tak nazywa się gabinet lekarski w Indiach), gdzie praktykujący tam lekarz, który słuchał moich wykładów, zajął się pęcherzami na mojej stopie.

Nagarkoil, chociaż położony w Trawancore, gdzie dominował język malajalam, był miastem, w którym posługiwano się językiem tamilskim, i dość szybko zorientowaliśmy się, że w całym królestwie panowało silne uczucie wrogości między tymi dwiema grupami. Tamilowie, pochodzący z Madrasu, traktowani byli przez malajalamską większość jak intruzi i obcy. Widoczny był również antagonizm między braminami i nie-braminami. Jak większość miast w południowych Indiach Nagarkoil miał swoją bramińską ulicę i moje drugie najżywsze wspomnienie dotyczy spaceru, na który zabrano nas, abyśmy obejrzeli tę socjologiczną osobliwość.

Niezaprzeczalnie była to najschludniejsza i najczystsza ulica w mieście, jak również najbardziej malownicza. Ściany frontowe maleńkich domków pomalowane były w pionowe biało-czerwone pasy, tak jak świątynie (bramini są uważani za ‘bogów na ziemi’), a szeroka pomazana krowim łajnem przestrzeń przed każdymi drzwiami pokryta była zdumiewająco różnorodnymi wzorami geometrycznymi o bardzo subtelnym pięknie, wykonanymi białą pastą ze sproszkowanego ryżu. Powiedziano nam, że jeszcze do niedawna prawo zakazywało nie-braminom chodzenia tą ulicą, ale chociaż sankcje prawne zostały już zlikwidowane, siła religijnej tradycji była tak wielka, że z małymi wyjątkami nie-bramini nadal skrupulatnie przestrzegali tego absurdalnego zakazu.

W mieście Suchindram, w połowie drogi między Nagarkoilem i Triwandrum, spędziliśmy zaledwie jeden, może dwa dni. Znacznie mniejsze, starsze i spokojniejsze od Nagarkoilu było to miejsce dziwnie pozbawione życia. Kąpiąc się w głębokiej, zielonej wodzie na dnie starożytnego kamiennego zbiornika, którego rozpadające się ściany były porośnięte kępkami trawy i małymi krzaczkami, czuliśmy się samotni w bezgłośnym świecie. Większość popołudnia spędziliśmy zwiedzając przyległą świątynię – piękny stary budynek, gdzie na swego rodzaju krużganku, z którego można było wejść do kilku małych kaplic, odkryliśmy kamienne płyty z inskrypcjami w starożytnych językach. Pod kolumnami stały naturalnej wielkości posągi kobiet z dłońmi uniesionymi przed wydatnymi piersiami w taki sposób, że tworzyły pojemniczki na oliwę, w której nocą umieszczano zapalone knoty. Odkryliśmy też kilka rzędów kolumn tak gładko wypolerowanych, że mieliśmy wrażenie, iż dotykamy ludzkiej skóry. Lekko uderzone w różnych miejscach emitowały odmienne muzyczne dźwięki.

Powiedziano nam, że w czasach starożytnych tańcząca dewadasi przechodziła od bram świątyni przez hol między kolumnami aż do drzwi sanktuarium. Ponieważ na kolumnach można było grać jak na muzycznych instrumentach, akompaniament odgrywany był po kolei na każdej parze kolumn w miarę jak tancerka przesuwała się między nimi, wydawało się więc, że idąc do przodu niesie muzykę ze sobą. Muzyka i taniec były oczywiście przeznaczone dla rozrywki bóstwa mieszkającego w świątyni. Co to było za bóstwo, już zapomniałem, prawdopodobnie bogini, ale pamiętam informację podaną przez tego samego informatora, że była sławna w całych południowych Indiach z olbrzymiego apetytu. Codziennie gotowano dla niej czterdzieści maundów (czyli ponad półtorej tony) ryżu, który składano w rytualnej ofierze.

Zarówno przeczytana przeze mnie literatura Misji Ramakriszny, jak i moi przyjaciele swamini, z którymi dyskutowałem na ten temat, podkreślali, że żaden Hindus nie oddaje czci wizerunkom, i że wizerunki są jedynie symbolami Absolutu. Obaj, w ślad za opinią Swamiego Wiwekanandy, wyjaśniali pogrążonemu w ignorancji młodemu człowiekowi z Zachodu, że szacunek, jaki żywi Hindus dla wizerunku, jest analogiczny do szacunku, jaki syn ma dla portretu ojca i że tylko najwięksi ignoranci mylą symbol z rzeczą przezeń symbolizowaną. Nawet jeśli to racjonalistyczne wyjaśnienie wystarcza w przypadku kultu obrazu spotykanego w niektórych szkołach buddyjskich, to jest całkowitym zniekształceniem hinduskich wierzeń i rytuałów. Kiedy w hinduskiej świątyni poświęci się jakiś wizerunek, jest on od tego momentu niezmiennie traktowany jak żyjąca istota. Świątynia staje się jej domem a codzienne rytualne praktyki polegają po prostu na składaniu w darze wszystkiego, co jest potrzebne do życia. Podobnie jak król, bóstwo musi być obudzone rano muzyką. Trzeba je wykąpać, ubrać, przyozdobić girlandami kwiatów i klejnotami. Trzeba mu dostarczyć rozrywki w postaci śpiewu i tańca, zabrać od czasu do czasu na przechadzkę (jak w Maduraju) oraz na uroczyste wizyty do innych bóstw. A przede wszystkim musi być nakarmione. Gdziekolwiek umieści się wizerunek bóstwa, bramińscy kapłani odprawiają ceremonię prana-pratiszta, czyli ‘obdarzania życiem’, a następnie informują osoby odpowiedzialne za utrzymanie i fundusze świątyni, ile potrzeba gotowanego jedzenia, aby podtrzymać życie, którym bóstwo zostało właśnie obdarzone. Im bardziej jest ono dżagrat, czyli ‘obudzone’, tym więcej pożywienia musi dostawać. Świątynie na południu Indii otrzymywały w darze od starożytnych indyjskich królów olbrzymie posiadłości, których dochody i płody rolne miały na celu zaspokojenie nieumiarkowanych apetytów bóstw. Co się działo z tą olbrzymią ilością ofiarowanego jedzenia, odkryliśmy dopiero w Triwandrum.

W międzyczasie kontynuowaliśmy podróż. Zaprowadziła nas ona do wzgórza znanego jako Silver Mountain (Srebrna Góra), poświęconego starożytnemu tamilskiemu bogowi wojny o imieniu Murugam, gdzie spędziliśmy dwa dni z hinduskim ascetą, oraz do Padmanabhapuram, starożytnej siedziby władców Trawancore. Obecnie pozostało z niej niewiele więcej niż stary pałac, będący wspaniałą, całkowicie drewnianą konstrukcją. Przez kilka godzin chodziliśmy po pięknie wyrzeźbionych izbach. W jednej z nich stała kanapa z czarnego marmuru do używania w gorące dni, w innej dwa wysokie srebrne lustra tak zmatowiałe, że pokazywały tylko fragmenty naszych odbić. Najbardziej interesująca z tego wszystkiego była długa niska galeryjka na pierwszym piętrze z ‘oknami na słonie’, przez które monarcha wchodził na grzbiet słonia stojącego niżej na

dziedzińcu. Odwiedzaliśmy też inne miejsca, ale trochę jak we śnie. Wreszcie zdrożeni i z bolącymi nogami dotarliśmy do stolicy.

Rozdział 29

Co się stało z darami

Choć nie można go nazwać uderzająco pięknym, Triwandrum ze swymi drzewami, ogrodami i otwartymi przestrzeniami z pewnością jest jednym z najatrakcyjniejszych miast Indii. Ale w chwili, gdy tam przybyliśmy, nie w głowie nam były jego uroki. Przede wszystkim myśleliśmy o zakwaterowaniu. Znaleźliśmy je w końcu na odległym przedmieściu pod gościnnym dachem lokalnego oddziału Misji Ramakriszny. Nie wiem, co sobie o nas pomyśleli dwaj rezydujący tam swamini, kiedy ujrzeli nas po raz pierwszy, ale powitali nas bardzo grzecznie i przydzielili kwaterę w nieukończonym jeszcze budynku z jaskrawoczerwonych cegieł laterytowych. Po kąpieli i posiłku zaczęliśmy rozmawiać. Kiedy nasi gospodarze dowiedzieli się, że dobrze nas znają ich bracia w Belur Math oraz innych ośrodkach, i że przeczytałem całą literaturę Misji, ich grzeczność ustąpiła miejsca serdeczności i konwersacja, do tej pory ograniczająca się do tematów ogólnych, przybrała poważniejszy, bardziej osobisty ton. Choć w żadnym razie nie święci, obaj byli ludźmi religijnymi, wykształconymi i kulturalnymi, z silną wiarą w regenerującą moc starożytnych indyjskich ideałów duchowych. W rzeczywistości, jednego z nich już znałem z nazwiska jako autora biografii Sarady Dewi, żony Szri Ramakriszny – był jej uczniem. Tak więc wkrótce nasza relacja stała się bardzo przyjacielska. Oprócz tego, że obaj stanowili kopalnię informacji o historii, religii, kulturze, polityce i społecznościach Trawancoru (to wszystko było ściśle ze sobą powiązane), doradzili nam, jakie miejsca warto odwiedzić w Triwandrum.

Dlatego przez kilka następnych dni, każdego popołudnia po wczesnym lunchu, szliśmy do najbliższego przystanku i wsiadaliśmy do czerwonego autobusu jadącego do centrum miasta. Kiedy konduktor wręczył nam resztę, zobaczyliśmy że zawierała kilka małych, nieznanych nam monet. Trawancore miało swoją własną walutę, która była w obiegu wyłącznie w tym królestwie i nie można jej było wymienić w innych stanach Indii. Kiedy chcieliśmy wysłać listy na przylądek Komoryn i do Nagerkoilu, odkryliśmy, że mają tu też własny system pocztowy zwany Trawancore Anchal i wydali serię znaczków pocztowych z podobizną głowy Maharadży. Panowało tam naprawdę silne poczucie czegoś w rodzaju niepodległości wobec świeżo powstałej Unii Indyjskiej (Sir C.P. uczynił wszystko, co mógł, aby nie dopuścić do przyłączenia się do niej) i w czasie naszego przeciągającego się pobytu w tym królestwie nigdy nie słyszeliśmy, aby którykolwiek z jego mieszkańców mówił o sobie inaczej niż Trawancorczyk.

Atrakcje Triwandrum wkrótce się wyczerpały. Po odwiedzeniu miniaturowego zoo i galerii sztuki – gdzie mała, ale reprezentatywna kolekcja zebrana przez dr Jamesa Cousinsa wskrzesiła na kilka chwil całą moją miłość do sztuki – niewiele mieliśmy do robienia oprócz spacerów szerokimi alejami pod drzewami o nazwie ‘leśny płomień’ lub odpoczynku na ławkach w publicznych ogrodach. Wizyta w bibliotece publicznej była o tyle interesująca, że ujrzeliśmy tam znak czasów – na dziedzińcu, obok piedestału leżał potłuczony, naturalnej wielkości marmurowy posąg Sir C.P. Pewnego popołudnia, kiedy po obejrzeniu po raz drugi lwów i hipopotamów zajadaliśmy słodkie bułeczki, Satjaprija nagle zaproponował, żebyśmy złożyli wizytę Maharadży oraz nowemu Diwanowi. Po krótkim przedyskutowaniu tej kwestii udaliśmy się do rezydencji Diwana, znajdującej się niedaleko ogrodów, gdzie wyznaczono nam spotkanie na następny dzień o dziesiątej rano.

Decydując się na ten krok, nie kierowaliśmy się samym szacunkiem do formalnej etykiety, a jeszcze mnie pragnieniem spotkania możnych tego świata. Nasza motywacja była ściśle praktyczna i spowodowana bezpośrednio wymogami życia, któremu tak niedawno się poświęciliśmy. Naszym głównym pragnieniem była medytacja. Jednak doświadczenie ostatnich trzech tygodni dowiodło zarówno naszym umysłom, jak i ciałom, że regularnej praktyki medytacyjnej nie da się połączyć z codzienną wędrówką na dystansie szesnastu do dwudziestu kilometrów. Ze względu na zmęczenie oraz z paru jeszcze innych powodów, od czasu opuszczenia przylądka Komoryn ani razu nie usiedliśmy do medytacji, jak to robiliśmy w Kiszengundżu, Raipurze i Kasauli. Przed tym fiaskiem w ogóle nie podejrzewaliśmy (a nasze dalsze doświadczenia całkowicie to potwierdziły), że z

wyjątkiem osób bardzo wysoko rozwiniętych, dla wszystkich innych życie poświęcone medytacji i życie polegające na wyczerpującym wysiłku fizycznym, czy nawet tylko skierowane na działalność zewnętrzną, wzajemnie się wykluczają. Dlatego po przedyskutowaniu naszych problemów ze swaminami, którzy wysłuchali nas ze zrozumieniem i współczuciem, postanowiliśmy przerwać, jeśli nie porzucić, nasz plan pieszej wędrówki do Himalajów i zamiast tego znaleźć w samym Trawancore jakiś cichy kącik, gdzie moglibyśmy w spokoju kontynuować praktykę *anapana-sati*. Te właśnie idee, kotłujące się w mózgu Satjapriji, zaowocowały nagle jego propozycją, abyśmy odwiedzili władcę królestwa i jego premiera.

Nazajutrz rano, po kilku minutach czekania w holu pośród donic z palmami, wprowadzono nas do biura Diwana. Niezbyt wysoki, tęgi, siwowłosy mężczyzna podniósł się zza biurka, aby nas przywitać. Kiedy wszyscy usiedliśmy, wywiązała się przyjemna konwersacja. Diwan, który był Hindusem, ale nie braminem, wydawał się nie tylko zainteresowany religią, ale też bardzo dobrze poinformowany o różnych kultach kwitnących w Trawancore. To od niego po raz pierwszy usłyszeliśmy o Ajjappanie, bogu, o którym wielu sądzi, że w rzeczywistości był Buddą. Oczywiście wielce nas to zainteresowało i obiecaliśmy sobie, że poświęcimy czas na zbadanie tematu. Ponieważ głównym celem naszej wizyty było zabezpieczenie naszej medytacji przed możliwymi przerwami, zapytaliśmy następnie, czy byłyby jakieś obiekcje w kwestii spędzenia przez nas kilku miesięcy w Trawancore. Nie będzie absolutnie żadnego sprzeciwu – powiedział nam Diwan – możemy zostać, jak długo chcemy. A jeśli chodzi o spotkanie z Maharadżą – o co także zapytaliśmy – trzeba je umówić poprzez jego prywatnego sekretarza.

Tego urzędnika, małego mężczyznę w wieku około 60 lat, wyglądającego jak pół-gnom i pół-ptak, poznaliśmy w jego biurze w pałacu. Ponieważ rozpoczął swoje urzędowanie za czasów reżimu Sir C.P., był oczywiście tamilskim braminem. Jego wesoły, niemal swawolny sposób bycia, bardzo kontrastujący z dystyngowaną grzecznością Diwana, sprawił że wkrótce gawędziliśmy jak starzy przyjaciele. Opowiedzieliśmy mu naszą historię od czasu wyjazdu z Kasauli i choć nie wiem, jak doszło do tego, że w rozmowie pojawiło się nazwisko Pandita-dżi, okazało się, że urzędnik go zna. Pięć lub sześć lat wcześniej stary erudyta pojawił się w Triwandrum z opracowanymi planami hinduskiej organizacji religijnej i kulturalnej, wyłudził na nią fundusze od Sir C.P., a potem zniknął. Przez kilka następnych lat słyszeliśmy tę historię tak często i w tak wielu miejscach, że w końcu uznaliśmy, iż mądrzej będzie nigdy więcej nie wspominać nazwiska Pandita-dżi. Potem rozmowa zeszła na Ajjappanę. Kiedy powtórzyliśmy zdanie Diwana, że to popularne bóstwo było w rzeczywistości Buddą, prywatny sekretarz natychmiast uniósł swoje małe podobne do szponów ręce w geście protestu. Oczywiście że nie – stwierdził, kręcąc dużą, łysą głową – Ajjappan był tamilskim bogiem, strażnikiem pól.

Wkrótce z żarliwością kanarka zaczął wyśpiewywać pochwały pod adresem Maharadży. Wyglądało na to, że młody władca jest najlepszy spośród książąt, przystojny, inteligentny i z tak silnymi skłonnościami do duchowości, że chociaż miał trzydzieści pięć lat, nie tylko nadal był kawalerem, ale też żył w celibacie, Usłyszawszy ten pean, zapragnęliśmy z Satjapriją poznać Maharadżę jeszcze bardziej niż przedtem, mając nadzieję, że jego sympatia do spraw duchowych mogłaby przyczynić się do sukcesu naszego nowego planu. Ale kiedy zapytaliśmy o możliwość audiencji, mały sekretarz zdecydowanie pokręcił głową. Z powodu ostatnich wydarzeń politycznych w królestwie Jego Wysokość uważa za niewskazane spotykanie się z kimkolwiek z zewnątrz przez następne dwa lub trzy tygodnie. Musieliśmy wyglądać na bardzo rozczarowanych, ponieważ natychmiast dodał, że jeśli chcemy, można załatwić, żebyśmy zobaczyli przez chwilę Maharadżę w Świątyni Padmanabhaswami, do której udawał się ze swoją świtą codziennie rano, aby oddać cześć bóstwu opiekuńczemu rodziny panującej. Nie pozostało nam nic innego, jak zadowolić się tym przyzwoleniem.

Następnego dnia o 9:30 rano zajęliśmy swoje miejsca po jednej stronie pełnego filarów holu, przez który Maharadża musiał przejść idąc do wewnętrznego sanktuarium świątyni. Razem z nami stał na dyżurze urzędnik z Wydziału Funduszy Eklezjastycznych, do którego prywatny sekretarz dał nam list polecający. Kiedy czekaliśmy, wyjaśnił nam, że Padmanabhaswami był formą Wisznu, któremu założyciel dynastii podarował kiedyś wszystkie swoje dominia. Dlatego władcy

Trawancore teoretycznie byli tylko przedstawicielami boga, będącego prawnie władcą królestwa.

Opowiedział nam też historię o Sir C.P., która, jak stwierdził, bardzo dobrze go charakteryzowała. W świątyni wybuchł pożar i obawiano się, że zniszczy wizerunki bóstw. Dwóch młodych angielskich oficerów policyjnych, będących w służbie królestwa, zgłosiło się na ochotnika, że je uratują, ale kapłani sprzeciwili się, ponieważ ich zdaniem byłaby to profanacja wizerunków i zanieczyszczenie całej świątyni. Sir C.P., który był takim samym braminem jak kapłani, uciszył ich protesty mówiąc „Najpierw uratujmy wizerunki. Potem możecie odprawić ceremonie oczyszczające." Wynagrodził też sowicie dwóch ochotników za ich odwagę.

Punktualnie o dziesiątej, wśród wielkiego salutowania ze strony inspektorów policji i niskich ukłonów dostojników, w świątyni pojawił się Maharadża i poprzedzony korowodem dygnitarzy (jeden z nich niósł obrzędową packę na muchy) szybkimi krokami przeszedł przez hol w kierunku sanktuarium. O jasnej karnacji, średniego wzrostu, dobrze zbudowany, miał na sobie tylko obszerne białe dhoti, a dłonie splótł na nagiej piersi jak do modlitwy. Kiedy mała procesja przesuwała się do przodu, zerkał na boki, jakby kogoś szukał, wydawało się, że nas rozpoznał i bez zatrzymywania się skłonił się głęboko w naszym kierunku. Prawdopodobnie jego sekretarz powiedział mu, że tam będziemy. W następnej chwili znalazł się w środku sanktuarium – przez drzwi zobaczyliśmy, że najpierw okrążył bóstwo trzy razy, a potem zaintonował hymn przed ołtarzem, podczas gdy kapłani odprawili rytuał. Nie był braminem, nie miał więc prawa wykonać go osobiście.

Później, po wyjściu Maharadży, które też obserwowaliśmy, dowiedzieliśmy się, co się dzieje z pożywieniem ofiarowywanym w świątyniach na południu Indii. Nasz przyjaciel z Wydziału Funduszy Eklezjastycznych, który ustanowił się naszym przewodnikiem, poprowadził nas przez dziedzińce i kolumnady do wielkiego holu z filarami, gdzie na kamiennej podłodze siedziało w rzędach nie mniej jak tysiąc braminów – nastolatków, dorosłych i niedołężnych starców – wszyscy ze świętymi nićmi, do połowy zgolonymi głowami i z włosami albo spiętymi w koński ogon, albo upiętymi w kok. Przed każdym leżał liść plantanowy. Kiedy na nich patrzyliśmy, między szeregami zaczęli biegać w tę i z powrotem służący z miedzianymi wiadrami, zatrzymując się na chwilę przed każdym mężczyzną lub chłopcem i kładąc na liściu hojną porcję ryżu, soczewicy bądź curry. Zauważyliśmy, że wiadra napełniane były z tuzina gigantycznych kotłów stojących obok siebie w jednym rogu. Poszliśmy z Satjapriją, żeby im się przyjrzeć – większość z nich miała przynajmniej dwa metry średnicy. Ich zawartość była najlepszej jakości, takiej na jaką indyjskie rodziny z klasy średniej mogą sobie pozwolić tylko z okazji wesela. Jak zauważył nasz przewodnik, Bogu można ofiarować tylko to, co najlepsze. Sądząc po głośnym mlaskaniu i cmokaniu, z jakim tysiąc braminów zajadało swój codzienny darmowy posiłek, na pewno szczerze i gorąco zgodziliby się z tym stwierdzeniem.

W sytuacji, gdy hinduizm był tak jawnie, społecznie i ekonomicznie, zorganizowany na korzyść braminów, było naturalne, że część z tych, którzy nie chcieli widzieć w nich 'bogów na ziemi', odrzucała również religię, która przyznawała im tak wysoki status. Niemal połowę populacji królestwa stanowili chrześcijanie. Nairowie, chociaż nominalnie nadal Hindusi, generalnie byli silnie nastawieni przeciwko braminom. Wśród ezhawów, dużej i ważnej społeczności niedotykalnych, szerzył się zdecydowany ruch w stronę buddyzmu. Wydobyliśmy te fakty od naszego pierwszego przyjaciela z kasty ezhawów, siwowłosego mężczyzny w średnim wieku, który, kiedy szliśmy przez miasto kilka dni później, zaczepił nas na ulicy i zapytał czy jesteśmy bhikkhu. Odpowiedzieliśmy, że nie, ale że jesteśmy buddystami, a w gruncie rzeczy anagarikami, czyli bezdomnymi wędrowcami, i że mamy nadzieję, że po kilku latach prowadzenia takiego życia zakwalifikujemy się do ordynacji na bhikkhu. Zachwycony odpowiedzią, od razu zaprosił nas do swojego domu, stojącego w gaju poza miastem, wśród niewiarygodnie wysokich palm kokosowych.

Choć nasz gospodarz twierdził, że jest buddystą, wydawało nam się, że nie ma absolutnie żadnej wiedzy o naukach Buddy. Jednak nie ulegało wątpliwości, że żywi do buddyzmu wielką namiętność. Dwadzieścia lat wcześniej – jak nam powiedział – kiedy tłumaczenie *The Light of Asia* w języku malajalam wzbudziło zainteresowanie wielu ezhawów, założył buddyjską organizację i sprowadził bhikkhu z Cejlonu, aby ten nauczał Dharmy. Niestety bhikkhu nie żywił wielkiego

entuzjazmu do swych pastoralnych obowiązków i bardziej troszczył się o swój komfort materialny. W końcu jego żądania zrobiły się tak wygórowane, że trzeba go było odesłać z powrotem na Cejlon. Dwadzieścia lat temu! Przez dwadzieścia lat, gdyby był to odpowiedni bhikkhu, można było w Triwandrum rozwinąć organizację, która rozpowszechniłaby wpływy buddyzmu w całym królestwie. Zamiast tego organizacja naszego przyjaciela upadła, on sam stracił zaufanie do sanghi i niewykorzystana okazja straciła szanse na sukces. Później, w różnych częściach kraju słyszałem tyle różnych wariacji tego typu historii, iż w końcu doszedłem do wniosku, że jeśli chodzi o sprawę buddyzmu w Indiach, to mnisi z południowej Azji często przynosili jej więcej szkody niż pożytku,.

Po niepowodzeniu w kwestii spotkania się z Maharadżą i nieudanej próbie zainteresowania naszego współwyznawcy założeniem nowej buddyjskiej organizacji, uświadomiliśmy sobie, że nie możemy dłużej korzystać z gościnności Aszramu Ramakriszny, gdzie przebywaliśmy już od dziesięciu dni. Za radą swaminów, którzy z uprzejmym zainteresowaniem śledzili wszystkie nasze posunięcia, postanowiliśmy pojechać na północ do Kalady, miejsca urodzenia Szankary, gdzie Misja miała kolejną filię. Swamini przypuszczali, że odpowiedzialny za ową filię swami, który pracował tam sam, mógłby przyjąć propozycję współpracy i pozwolić nam zostać w swoim aszramie.

Dni, które nastąpiły po naszym wyjeździe z Triwandrum, pozostały w mojej pamięci jako coś w rodzaju dziwnego snu. Najżywsze wspomnienie dotyczy środkowej części podróży, kiedy płynęliśmy łodzią 80 km przez słynne trawancorskie ‘backwaters’ z Quilon do Alleppej. Na zielonych wyspach i pasach plaży po obu stronach kanałów rosły jeden za drugim gaje z palmami kokosowymi. Co kilkaset metrów przepływaliśmy przez wioski rybackie, składające się z ubłoconych chat zbudowanych z liści palmowych. Czasami widzieliśmy rybaków, dobrze zbudowanych czarnych mężczyzn, prawie nagich z wyjątkiem zwyczajowego langoti, którzy stojąc na dziobach małych łódek zarzucali do wody precyzyjnie uplecione sieci. W co drugiej lub trzeciej wiosce znajdował się duży budynek o pobielanych ścianach i z jasnoczerwonym dachem, który choć nie wyglądał źle wśród palm kokosowych, to jednak instynktownie czuliśmy, że nie wywodzi się z tej kultury. Dopiero kiedy w jednym z nich rozległ się dźwięk dzwonu, zorientowaliśmy się, że były to kościoły. Rybacka ludność z kasty niedotykalnych została schrystianizowana. Od czasu do czasu dryfowała obok nas splątana masa arbuzów, tak gęsta, że wydawała się nam pływającą zieloną wyspą. Pewnego razu, pod wieczór, dojrzeliśmy za gajem palmowym na zachodnim brzegu oświetlone zachodzącym słońcem wody Morza Arabskiego.

Pamiętam też jak przez mgłę pojedyncze, fragmentaryczne sceny… Rzekę, w której rosły różowe lotosy… Dom, gdzie spędziliśmy dwa dni i gdzie dostaliśmy na śniadanie rodzaj bułki zrobionej z mielonego ryżu oraz wyschłego kokosa, ugotowanej na parze w bambusie i jedzonej z bananami… Ciche, małe miasteczka ze starego świata, gdzie wydawało się, że wszyscy mówią po angielsku… I wreszcie po krótkim okresie, z którego nic nie pamiętam, znaleźliśmy się przed małym szarym budynkiem, wahając się czy do niego wejść. Z boku znajdowała się przykryta dziwacznym dachem świątynia, gdzie (ponieważ był to czas wieczornych ceremonii) słychać było mnóstwo pobrzękiwania dzwonkami, a jasnoskórzy bramińscy chłopcy o inteligentnym wyglądzie, z małymi warkoczykami i świętymi nićmi wymachiwali lampami – był to Aszram Kalady.

Kierujący Aszramem Swami Agamananda był wysokim starszym mężczyzną o zaokrąglonych ramionach, mocno przygarbionym w sposób typowy dla naukowca. Choć miał małe blisko siebie osadzone oczy i trochę za duże usta, jego twarz o bardzo jasnej karnacji, z okrągłymi niemal rumianymi policzkami miała wyraz ogromnej wesołości. Swamini z Triwandrum słusznie się domyślili, że potrzebował pomocy, więc powitał nas, jeśli nie z otwartymi ramionami, to z pewnością bardzo serdecznie. Pomoc jednak była potrzebna nie w Kalady, lecz w Muwattupuzha, miasteczku odległym o 50 km, gdzie Misja posiadała aszram, w którym od dawna nikt nie mieszkał. Kiedy nam powiedział, że jeśli chcemy, możemy tam pójść i zostać, z wdzięcznością przyjęliśmy jego propozycję.

Dwa dni później, zwiedziwszy świątynię Sarady, bogini uczenia się, która stoi podobno dokładnie w tym miejscu, gdzie urodził się Szankara, wyruszyliśmy do Muwattupuzhy z lżejszymi sercami i z dwiema lub trzema książkami pod pachą, pożyczonymi z dobrze zaopatrzonej biblioteki

swamiego. Swami nie powiedział nam, że w aszramie nikt nie mieszka dlatego, że budynek jest nawiedzony.

Rozdział 30

Miasto Trzech Rzek

Muwattupuzha znaczy ‘miasto trzech rzek’. Kilka minut po dotarciu do przedmieść przeszliśmy przez rozklekotany most i zatrzymaliśmy przed długą, chaotyczną strukturą zbudowaną z drewna i blachy falistej. Należała ona do Ramaswamiego Ijera, największego biznesmena w mieście, do którego Swami Agamananda dał nam list polecający. Poznaliśmy go w jego biurze – źle oświetlonym pokoju przesyconym ostrym, niemal przyprawiającym o mdłości zapachem olejku z trawy cytrynowej, gdzie pięciu lub sześciu urzędników pracowało pośród staroświeckich maszyn do pisania i zakurzonych półek zapełnionych podniszczonymi kartotekami z oślimi uszami. Blaszanki z naftą stały jedna na drugiej pod drewnianą ścianką działową po lewej stronie. Ramaswami Ijer, który zajmował biurko na wprost drzwi, był z wyglądu, ubrania i fryzury typowym tamilskim braminem – tylko zawód miał nietypowy. Choć wyraz twarzy, z jakim nas powitał, był uprzejmy i układny, niemal zadowolony z siebie, zauważyłem, że wszystkie jego ruchy zdradzają silne zdenerwowanie. Kiedy skończyliśmy wyjaśniać okoliczności, jakie przywiodły nas do Muwattupuzhy, i cel z powodu którego chcieliśmy zamieszkać w aszramie, nie tylko wyraził swoja aprobatę, ale też obiecał przychylność i wsparcie. Następnie zaofiarował lekkie przekąski, a potem polecił jednemu ze swoich ludzi iść z nami i pokazać drogę.

Droga, która w rzeczywistości była szerokim pasem udeptanej ziemi, wiodła wzdłuż jednej z rzek, której wody widzieliśmy czasem przelotnie u stóp szeregu nierównych stopni prowadzących do jej brzegów pomiędzy wysokimi błotnistymi ścianami domów po lewej stronie. Od czasu do czasu mijaliśmy porządne drewniane domy stojące z dala od drogi na obszernym ogrodzonym terenie. Przy drodze rosło mnóstwo drzew bochenkowych – ich olbrzymie, grudkowate, zielone owoce, czasem tak duże jak małe poduszki, zwisały wiązkami niemal w zasięgu ręki na krzepkich pniach i rozrośniętych gałęziach. U zbiegu trzech rzek droga skręcała w prawo i przechodziła przez chłodny, ocieniony teren dzielnicy bramińskiej. Na wprost niej, po drugiej stronie kolejnej rzeki stał Aszram. Ponieważ o tej porze roku nie dało się sforsować rzeki w bród, musieliśmy iść okrężną drogą i przejść przez drugi most w Muwattupuzha znajdujący się dalej w dole rzeki. Byliśmy teraz spory kawałek za miastem. Droga, która zrobiła się szersza i bardziej zakurzona (przejeżdżały tędy autobusy i wozy ciągnięte przez woły), biegła między gajami kokosowymi i zielonymi polami ryżowymi, a gdzieniegdzie widać było skromny dom lub rząd chat pokrytych słomianą strzechą. Po jej obu stronach był głęboki rów.

Kiedy szliśmy przez miasto, na nasz widok ludzie zatrzymywali się jak wryci i gapili się z nieukrywana ciekawością, a bandy wrzeszczących nagich dzieciaków biegły za nami po kilkadziesiąt metrów. W pewnej chwili zdarzyło się coś jeszcze dziwniejszego. Dwie czarne postacie – trudno powiedzieć kobiety czy mężczyźni – które zbliżały się do nas z naprzeciwka, nagle rzuciły się do rowu i tkwiły tam skulone zakrywając rękami głowy, dopóki nie przeszliśmy. Byli to pariasi, którzy, ponieważ nie było dla nich miejsca w sztywnym hinduskim systemie społecznym, traktowani byli przez członków wyższych kast nie tylko jako niedotykalni, ale również jako ‘niewidzialni’. Nawet sam ich widok z daleka powodował zanieczyszczenie. Rozpoznali w nas sadhu, którzy prawie zawsze byli z wyższej kasty, więc chcąc uniknąć grzechu zanieczyszczenia nas swoim widokiem, szybko wskoczyli do rowu i starali się tam ukryć najlepiej, jak mogli.

Kilka minut później ujrzeliśmy Aszram. Stał pośród drzew na zboczu niewielkiego laterytowego wzgórza, którego żywa czerwień zachwycająco kontrastowała z rozciągającymi się u jego stóp niebiesko-zielonymi i żółto-zielonymi polami ryżowymi. Skręciliśmy w lewo. Ostry czerwony żwir ranił miękkie podeszwy naszych gołych stóp, kiedy z trudem posuwaliśmy się kamienistą ścieżką obok pola ryżowego na zakręcie, potem wzdłuż parceli z wysypiskiem śmieci, a w końcu pod długim rozpadającym się laterytowym murem okalającym teren Aszramu. Mur stał trochę wyżej po prawej stronie i wystawały znad niego gałęzie jednego lub dwóch drzew nerkowca, zwisając nad ścieżką biegnącą poniżej. Zamiast bramy, w murze była tylko wyrwa zastawiona dwoma grubymi kijami bambusowymi umocowanymi po obu stronach w prymitywnych

wydrążeniach tak, aby można je było podnieść. Zdejmując górny kij i przekraczając dolny znaleźliśmy się na niżej położonym krańcu długiego prostokątnego terenu o powierzchni niewiele większej od akra, który poczynając od wejścia wznosił się stromo pod górę. W połowie teren podzielony był na dwie prawie równe części przez olbrzymi stopień o wysokości niemal dwóch metrów, pośrodku którego wycięto normalnego rozmiaru schody łączące górny i dolny taras. Gleba na niższym tarasie wydawała się zbyt skalista do upraw, więc oprócz drzew mango i nerkowca rosły tu tylko barwinki z jasnoróżowymi kwiatach i ciemnymi lśniącymi liśćmi pomiędzy niechlujnymi stosami czerwonego laterytowego gruzu. Kiedy weszliśmy po schodach na wyższy poziom, zobaczyliśmy wielkie ciemne krzaki pąsowego hibiskusa i ciemnoczerwone chińskie róże, jak również inne gatunki kwitnących krzewów. Za nimi wysoko na betonowym cokole przykucnął Aszram.

Podczas gdy człowiek Ramaswamiego poszedł szukać dozorcy, mieszkającego w małym budynku kuchennym trochę niżej po lewej stronie, Satjaprija i ja obeszliśmy miejsce, które odtąd miało nam dawać nie tylko samo schronienie, ale też odosobnienie i spokój, które, jak przekonaliśmy się w trakcie naszej wędrówki, były niezbędnymi warunkami do praktykowania medytacji.

Był to mały budynek z dwuspadowym dachem, którego większą część zajmowała sala medytacyjna długa na prawie dziesięć metrów i szeroka na siedem. Obszerna weranda bez ścian biegła wzdłuż frontowej ściany budynku. Druga weranda, otoczona ścianą parapetową znajdowała się wzdłuż prawego boku i kończyła gankiem, również ze ścianami, o powierzchni niecałych dwóch metrów kwadratowych. Zarówno podłoga bocznej werandy jak i podłoga ganku były klepiskiem.

Rozsuwane okratowane drzwi na końcu sali prowadziły do małej świątyni, gdzie na drugim stopniu niskiego trzypoziomowego ołtarza z betonu stały obok siebie fotografie Swami Wiwekanandy, Szri Ramakriszny i Świętej Matki. Lewą stronę budynku zajmowały dwa małe pokoje oddzielone werandą, która z jednej strony miała drzwi do sali medytacyjnej, a z drugiej kilka schodków prowadzących w dół na obrośnięty drzewami dziedziniec, pośrodku którego stała studnia otoczona okrągłym laterytowym murem. Chociaż Aszram nie miał więcej niż dwadzieścia pięć lat, był tak zniszczony, że wyglądał jak starożytny. W wielu miejscach cementowa elewacja skruszyła się odsłaniając czerwony porowaty lateryt pod spodem. Na dachu brakowało dachówek i patrząc do góry, (sufitu nie było) pomiędzy poprzecznymi belkami i krokwiami widzieliśmy przez dziury błękitne niebo. W oknach zamiast szyb były grube drewniane kraty i ciężkie okiennice. Oprócz dwóch niezgrabnych drewnianych ław i pustej biblioteczki w pierwszym z małych pokoi nie było tam żadnych mebli. Ale po trzech miesiącach błąkaniny obaj z Satjapriją byliśmy bardzo zadowoleni – wady miejsca wydawały nam się jego zaletami i postawiliśmy nasze tobołki z westchnieniem ulgi (bambusowe kije zostały porzucone w Triwandrum) próbując przyzwyczaić się do myśli, że od tej pory będziemy mogli iść spać wieczorem bez zastanawiania się, dokąd pójdziemy nazajutrz.

W ciągu kilku dni ustaliła się rutyna, która dała nam poczucie, że mieszkaliśmy w Aszramie od zawsze. O piątej rano, kiedy jeszcze było ciemno, budziły nas dźwięki oboju i bębnów dochodzące ze świątyń w dzielnicy bramińskiej znajdującej się jakieś 400 metrów dalej po drugiej stronie rzeki. Były to te same hałaśliwe instrumenty, które ogłuszyły nas w Świątyni Dziewicy na przylądku Komoryn, jednak słyszane z daleka w poprzedzającej świt ciszy pełniły rolę wybornego budzika. Ponieważ były dwie świątynie, słyszeliśmy je dwa razy. Kiedy po pięciu minutach przerwy rozbrzmiewały po raz drugi, podnosiliśmy się z twardych tekowych ław, na których spaliśmy bez materacy i poduszek, i myliśmy się w wodzie przyniesionej ze studni poprzedniego wieczoru. Potem medytowaliśmy w sali przez godzinę. Wyjąwszy dni, kiedy nasza medytacja trwała dłużej niż zwykle, nadal było ciemno, kiedy z lotami (naczyniami do mycia) w ręku i świeżymi szatami na ramieniu schodziliśmy na dół do rzeki, aby się wykąpać.

Dla mnie była to najmniej sympatyczna część dnia. Woda była zimna i brudna, i dopóki się nie przyzwyczaiłem, odgłosy chrząkania i plucia wydawane przez ludzi kąpiących się na drugim brzegu rzeki bardzo mi przeszkadzały. Satjaprija, który był bardzo dobrym pływakiem, zanurzał się i wynurzał z wody jak foka. Ja zwykle siedziałem na prymitywnym molu, zrobionym z pół tuzina

wielkich kłód drzewa tekowego, sięgającym z brzegu w głąb rzeki i polewałem się wodą nabieraną do loty. W naszym pierwszym tygodniu w Aszramie kłody były prawie zanurzone w wodzie, ale w okresie gorącej pogody poziom wody stopniowo się obniżał i w końcu molo znalazło się prawie metr nad jej powierzchnią. Ostatecznie zacząłem się kąpać kilkadziesiąt metrów dalej, niemal naprzeciwko schodów prowadzących ze świątyni do rzeki, gdzie któregoś dnia z wielkim obrzydzeniem ujrzałem żółte grudki ludzkich odchodów przepływające metr obok moich kolan.

Powróciwszy do Aszramu, wieszaliśmy mokre ubrania, aby wyschły, potem przed wejściem do sali medytacyjnej myliśmy stopy wodą przyniesioną z rzeki w lotach i zaczynaliśmy przygotowania do porannej pudży, czyli rytualnej adoracji. W tamtym czasie nie przyszło mi do głowy pytanie, do jakiego stopnia buddysta może okazywać cześć nie-buddyjskim nauczycielom religijnym. Ponieważ nie byłem członkiem sanghi i nie obracałem się wśród buddystów, nie musiałem zastanawiać się nad opcją, że okazywany im w ten sposób szacunek mógłby zostać źle zinterpretowany jako autentyczne czczenie konkretnego nauczyciela lub oznaka aprobaty dla wszystkich jego nauk. O ile takie pytanie w mojej głowie po prostu się nie pojawiło, o tyle w głowie Satjapriji **nie mogło** się pojawić. Jako zwolennikowi poglądu, że buddyzm i hinduizm są w swej istocie jednym i tym samym, było mu w zasadzie obojętne, czy wielbił Buddę, czy Ramakrisznę. Ta różnica zdań z początku wydawała się nieistotna, ponieważ obaj zgadzaliśmy się w kwestii, że jeśli korzystamy z gościnności Aszramu, jest słuszne i naturalne, abyśmy wzięli na siebie obowiązek utrzymania świątyni w jak najlepszym porządku.

Tak więc codziennie rano, kiedy Satjaprija zmywał betonową podłogę i ołtarz, ja zrywałem do koszyka hibiskus, chińską różę, jaśmin i inne kwiaty. Nie pogardzałem nawet skromnym barwinkiem, choć później moi ortodoksyjni hinduscy przyjaciele ostrzegli mnie, że dzikie kwiaty oraz ‘angielskie’ kwiaty (łącznie z różami!) były nieczyste i nie mogły być ofiarowywane Najwyższemu. Układanie kwiatów na ołtarzu zwykle zajmowało mi ponad pół godziny. Zaczęto uważać to za dowód wielkiego oddania, ale prawda jest taka, że inspirujące mnie uczucia miały naturę estetyczną – jeśli w ogóle możliwe jest oddzielenie elementów estetycznych od religijnych. Kiedy fotografie zostały namaszczone na czołach pastą sandałową, a dwa lub trzy kadzidełka oraz wysoka miedziana lampa zapalone, atmosfera schludnego, ozdobionego kwiatami ołtarza była tak czysta i spokojna, że na nowo utwierdziłem się we wszystkim, co zawsze myślałem o ważności tego typu środków pomocniczych we wspomaganiu religijnego oddania.

Nasze posługi nie były oczywiście pudżą w sensie ortodoksyjno hinduistycznym i chyba byłem zadowolony, że tak nie było. Układanie kwiatów całkowicie mi wystarczało. Później, kiedy Satjaprija konsekwentnie wprowadzając w życie swoje unitariańskie poglądy, otrzymał pocztą z Kalkuty sanskrycko-bengalski podręcznik skomplikowanego rytuału wielbienia Szri Ramakriszny jako inkarnacji Boga i zaczął odprawiać pudżę stosownie do zawartych tam wskazówek, mój stosunek do tej idei stał się równie chłodny jak do idei , że Anandamaji była ‘Purna Brahma Narajana’. Byłem gotów szanować oboje nauczycieli za ich określone cechy moralne, ale jako buddysta nie mogłem czcić ich jako inkarnacji bóstwa, w którego istnienie nie wierzyłem. Choć moja i Satjapriji niezgoda w tej kwestii była bardziej odczuwana niż wyrażana na głos, to jednak symptomatyczna dla różnicy poglądów, która w ciągu następnego roku niejeden raz groziła ostrym konfliktem. Tymczasem siedziałem z przyjacielem i kontynuowałem przystrajanie ołtarza, podczas gdy on śpiewał mantry, rozrzucał kwiaty, pryskał wodą i wymachiwał różnego rodzaju lampkami – jednak ponieważ jego czynności nabrały znaczenia, którego ja nie odczuwałem, moja radość z tej ceremonii została popsuta.

Po pudży, około ósmej rano, śpieszyliśmy do kuchni na śniadanie – co wprowadza temat jedzenia. Przez pierwsze trzy tygodnie jedliśmy wyłącznie suszoną tapiokę33. Osoby, dla których

---

33

Tapioką nazywa się obecnie tylko mączkę otrzymywaną z manioku. Opis autora wskazuje na suszone korzenie manioku. [przyp. tłum.]

to słowo oznacza słodki deser (tak jak dla mnie w dzieciństwie) pewnie z ciekawością dowiedzą się, co ono wtedy dla nas oznaczało. Rano następnego dnia po naszym przybyciu, Raman Nair – dozorca który postanowił być naszym kucharzem – postawił przed każdym z nas na betonowej podłodze emaliowane naczynie ze stosem czegoś, co wyglądało jak trociny. Smakowało też jak trociny. Kiedy zapytaliśmy, co to jest, tylko zabulgotał jak małpa mocno gestykulując, ponieważ rozumu miał niewiele więcej od półgłówka. Chociaż kiedy poznaliśmy go lepiej, powiedziałem do Satjapriji, że na swoim poziomie inteligencji Raman był bardzo przebiegły. W końcu w tym bełkocie malajalamu wyłapaliśmy słowo tapioka. Najpierw nam się wydawało, że źle go usłyszeliśmy, ale kiedy powtórzyliśmy to słowo wskazując na trociny nasz kucharz energicznie pokiwał białą głową i oczy zaświeciły mu się z radości. Tak, to była tapioka. Potem odkryliśmy, że przez kilka miesięcy w roku ten bulwiasty korzeń był podstawową żywnością biednych. Kiedy zebrano plon manioku pod koniec pory deszczowej, większą jego część krojono na małe kawałki i suszono – wyprodukowane w ten sposób 'trociny' pozwalały rolnikom przeżyć okres zimnej pogody. Ziemia należąca do Aszramu, choć pozornie nie nadawała się do uprawy, nie była aż tak zła dla odpornego manioku. Pełne worki 'trocin' trzymano nad okopconymi krokwiami w kuchni. Były one oczywiście gotowane przed jedzeniem, ale nie zmieniało to specjalnie ich konsystencji, podobnie jak dodanie odrobiny soli nie polepszało ich smaku. Abyśmy nie uznali diety za monotonną, Raman Nair podawał je czasami na sucho, a czasami pływające w wodzie, w której się uprzednio gotowały.

Większość czasu przed południem, po tapiokowym śniadaniu, jak również po południu, po tapiokowym lunchu, spędzaliśmy na studiowaniu. Oprócz książek, które przywieźliśmy z Kasauli, miałem *Yogę-Vasishthę* oraz pierwszy tom encyklopedycznej *Tattvasangrahy*, czyli 'Kompendium zasad' (arcydzieła buddyjskiej dialektyki napisanego przez Szantarakszitę w Indiach w VIII wieku), które pożyczyłem z Kalady. Były też zwykłe książki, do których przepisywałem (od samego początku mojego pobytu w Indiach) fragmenty z czytanych przeze mnie pozycji. Stanowiły one obfity materiał do rozważań, nabrałem więc nawyku chodzenia w tę i z powrotem po długiej werandzie (która stała się dla mnie rodzajem klasztornej arkady) rozmyślając nad najróżniejszymi sprawami nadal dla mnie niejasnymi. Na końcu jednej z tych książek, która nadal jest w moim posiadaniu, zapisałem dziesięć wierszy datowanych na różne dni listopada 1947 roku. Wszystkie wyrażają silne duchowe aspiracje. W tym samym czasie zacząłem pisać artykuł o naszych ostatnich doświadczeniach zatytułowany „Z Himalajów na przylądek Komoryn".

Podczas gdy ja byłem zajęty w ten sposób, Satjaprija zajmował się udoskonalaniem swojego angielskiego. Za moją sugestią zaczął pisać dziennik. Potrafił płynnie mówić w tym języku, choć niezbyt poprawnie, ale słabości jego gramatyki i ograniczone słownictwo bardzo wychodziły na jaw, kiedy próbował pisać o religii i filozofii, w której to dziedzinie miał wielkie ambicje, aby się wyróżnić. Niestety wpadł w tę samą pułapkę, z której dawno temu usiłował mnie wyciągnąć mój nauczyciel angielskiego, z jak najlepszymi intencjami. Cokolwiek mój przyjaciel napisał, wręczał mi ze słowami „Proszę cię, dodaj temu trochę pompy. No wiesz, wstaw mnóstwo patetycznych słów". Mówił to jak najbardziej serio. 'Patetyczny' było dla niego słowem pochwalnym, wyrażającym najwyższą doskonałość stylistyczną. Za ten błąd estetyczny, czy raczej perwersję stylistyczną, odpowiadał niebezpieczny wpływ prozy w starym stylu tworzonej w jego ojczystym języku. Język bengalski, jak większość pozostałych współczesnych języków Indii, od dawna walczył ze zmorą sanskrytu. Jeszcze do niedawna za najlepszy styl uważano taki, w którym nigdy nie użyto dwusylabowego słowa bengalskiego, jeśli tylko można je było zastąpić dziesięciosylabowym słowem pochodzenia sanskryckiego. Wśród hinduskich 'purystów' patetyczny styl kwitnie nawet współcześnie i ich fanatyczne dawanie pierwszeństwa dziwacznym złożeniom wyrazowym wywodzącym się z sanskrytu w gruncie rzeczy spowodowało (od czasu uzyskania niepodległości) rosnącą wrogość do oficjalnego języka Indii ze strony milionów ludzi w tym kraju mówiących językami innymi niż hindi. Satjaprija – nieświadoma ofiara tych wpływów – tak naprawdę prosił mnie o latynizację swojego stylu, żebym jego wyrazy jednosylabowe zastąpił

moimi wielosylabowymi. Chciał pisać jak Samuel Johnson34. Kiedy wyjaśniałem, że jest to styl przestarzały i teraz najbardziej ceni się prostotę i bezpośredniość, oskarżył mnie, że nie chcę mu pomagać. Przez długi czas ten temat był dla nas kością niezgody. Jak wielu początkujących, nie mógł zrozumieć, że jeśli będzie pisał prawidłowo i miał coś do powiedzenia, automatycznie rozwinie w sobie styl współbrzmiący z jego osobowością. Dlatego na razie musiałem mu jednocześnie poprawiać błędy gramatyczne i podpowiadać bardzo długie słowa.

Pomijając te drobne niezgody, druga część dnia mijała równie spokojnie jak pierwsza. Wieczorem po umyciu się ponownie medytowaliśmy przez godzinę i zapisywaliśmy swoje postępy w sposób zasugerowany przez Anandamaji. O ósmej schodziliśmy do kuchni i w świetle olejnej lampy zjadaliśmy nasz trzeci posiłek z ‘trocin’. Później jeszcze czytałem przez pół godziny lub spacerowałem po werandzie, zanim wyciągnęliśmy się na naszych ławach, mających mniej niż 50 cm szerokości, by niedługo potem zasnąć.

34 Wielki angielski pisarz żyjący w XVIII wieku. [przyp. tłum.]

Rozdział 31

„Z której kasty jesteś?”

Mieliśmy jeszcze pół worka ‘trocin’, kiedy Swami Agamananda przysłał emisariusza, żeby sprawdził, jak sobie radzimy. Swami Dharmananda, który odwiedził Aszram w Kalady akurat wtedy, kiedy tam przebywaliśmy, był niskim, ciemnym, tęgawym mężczyzną w wieku około 40 lat, odzianym w ufarbowaną na szafranowy kolor koszulę sięgającą mu prawie do kostek. Z kierunku w jakim poprowadził rozmowę, szybko stało się oczywiste, że motywacja jego wizyty była znacznie mniej altruistyczna niż przypuszczaliśmy, i że nie tyle interesowało go nasze samopoczucie, co raczej nasza tożsamość. Kilka miesięcy później odkryliśmy, że miał reputację agenta tajnej policji. To jednak niekoniecznie wyjaśniało jego ciekawość.

W Indiach, zwłaszcza południowych, ludzie rzadko czują się swobodnie z obcym, dopóki nie dowiedzą się, jaka jest jego kasta, język, dochód, stan małżeński i historia rodziny. Jeśli te informacje nie wypływają w rozmowie natychmiast, nie rezygnują z tematu – jak zrobiliby ludzie w większości innych krajów – tylko naciskają tak energicznie i agresywnie, jakby chcieli zasugerować, że mają prawo to wiedzieć. Prawdziwa przyczyna tego niezwykłego zachowania leży w systemie kastowym. Społeczeństwo hinduskie składa się z około dwóch tysięcy kast. Każdy Hindus z urodzenia należy do jednej z nich – Hindus bezkastowy to sprzeczność sama w sobie. Relacje między kastami są regulowane w społeczno-religijnych podręcznikach znanych jako Dharma Szastry. Dopóki Hindus nie wie, z jakiej kasty pochodzi nieznajomy, nie jest pewny, czy może z nim jeść i pić, a nawet, czy wolno mu go dotknąć. Dyskomfort zrodzony tym stanem niepewności jest tak bolesny, że ortodoksyjni Hindusi, zwłaszcza bramini, wzniosą się na wyżyny niegrzeczności, żeby wydobyć ten istotny sekret z nierozmownej osoby. Chociaż w ostatnich latach sztywność systemu kastowego trochę uległa rozluźnieniu, zwłaszcza w miastach i miasteczkach, a praktykowanie zasady nietykalności stało się karalnym przestępstwem, duże wścibstwo dotyczące tematów osobistych, pierwotnie spowodowane wymogami systemu kastowego, nadal jest obecne w charakterach ludzi przekonanych, że są wolni od uprzedzeń kastowych.

Stwierdziliśmy, że Malabar (to znaczy Trawancore i przyległe mu obszary, gdzie mówi się językiem malajalam) jest pod tym względem nawet gorszy od Tamil Nadu. Kiedy oznajmialiśmy tamilskiemu braminowi, że sadhu nie ma kasty ani narodowości, zazwyczaj temat można było uznać za zamknięty. Ale nie wśród Malajalów. Nalegali na kontynuowanie kwestii do upadłego. Chociaż Swami Dharmananda był pod tym względem mniej natarczywy niż wielu innych, których mieliśmy nieszczęście spotkać, to niewątpliwie pomysłowością nadrabiał brak porywczości. Ale po kilku dniach bezskutecznego rozbijania się o mur naszej stanowczości najwyraźniej zdecydował, że bezpośrednie metody nie są skuteczne i odtąd pozwolił, aby rozmowy skierowały się na normalne tory.

Kiedy przestał odgrywać inkwizytora, okazało się, że jego towarzystwo jest całkiem sympatyczne. Nie był może świętym, ale odznaczał się bystrością, rozsądkiem, dużą wiedzą i miał mnóstwo informacji o Trawancore, które pragnęliśmy usłyszeć. Ponieważ sami byliśmy wstrzemięźliwi w kwestii swojej kasty i narodowości, nie wypadało nam dopytywać się o jego przodków. Jednak z jego nieukrywanej wrogości do braminów, jak również z ciemnej karnacji wywnioskowaliśmy, że jest członkiem społeczności nairów. Poza tym, w zamiarze zachęcenia nas do większej komunikatywności wyznał nam, że kiedyś należał do Misji Ramakriszny. Wydawało się też, że ma jakieś związki z Misją Maha Bodhi w Kalikucie, w rejonie znanym wówczas jako Brytyjski Północny Malabar. Teraz, jak nam powiedział, spędza większość czasu podróżując po całym królestwie i wygłaszając wykłady. Malajalowie wykazywali niepohamowaną namiętność do uczęszczania na wykłady. Trawancore było w rzeczywistości jedynym rejonem w Indiach, gdzie ludzie byli tak uzależnieni od tej formy rozrywki, że nie tylko zwracali wykładowcy koszt podróży, ale jeszcze płacili mu za przemowę. Swami Dharmananda wyjaśnił, że podobnie jak wielu innych sadhu zarabiał w ten sposób kilkaset rupii miesięcznie. Nie był głęboko zainteresowany religią, więc wolał mówić o polityce lub kwestiach społecznych, takich jak abolicja systemu kastowego, ale

nie miał nic przeciwko temu, żeby opowiadać o religii, jako że nadal był to najbardziej popularny i lukratywny temat. Przed swoim powrotem do Kalady prorokował, że wkrótce będziemy zalani zaproszeniami do przemawiania na spotkaniach.

Po tej przepowiedni nie zdziwiliśmy się, kiedy kilka dni później zorganizowano w Muwattupuzha publiczne spotkanie, na którym mieliśmy zabrać głos. Swami Agamananda, którego najwyraźniej powiadomiono o naszej determinacji, aby pozostać w Aszramie mimo 'trocin', przyjechał na jeden dzień, by przewodniczyć zebraniu. Miłość Malajalów do słuchania wykładów była tak wielka i ciekawość wzbudzona naszym przybyciem tak silna, że praktycznie cała piśmienna populacja miasta pojawiła się, aby usłyszeć – i zobaczyć – dwóch młodych ascetów. Chociaż Swami Agamananda świadom był naszych uczuć w tej kwestii, to jednak przedstawił Satjapriję jako Bengalczyka, a mnie jako Amerykanina. Było to dla niego wstępem do energicznego ataku na misjonarzy chrześcijańskich – jego zaprzysięgłych wrogów – których wyśmiewał za próby nawracania Hindusów na chrześcijaństwo, podczas gdy wykształceni ludzie z Zachodu dobrowolnie przyjmowali hinduizm (według niego buddyzm był jednocześnie kastą i sektą w obrębie hinduizmu). Następnie Satjaprija i ja przemawialiśmy po około pół godziny każdy. Swami Agamananda zakończył spotkanie wygłoszeniem apelu do mieszkańców Muwattupuzhy o wsparcie dla Aszramu i współpracę z jego obecnymi kierownikami. Po powrocie do Aszramu założono komitet, którego przewodniczącym został Swami Agamananda, sekretarzem Anagarika Satjaprija, asystentem sekretarza Anagarika Dharmaprija, a skarbnikiem pan Ramaswami Ijer, który z około tuzinem innych dżentelmenów towarzyszył nam w powrotnej drodze pieszo do Aszramu. Ramaswami obiecał dziesięć rupii miesięcznie, a pozostali zadeklarowali po jednej rupii od osoby. Stworzono listę subskrybentów, obecnych i potencjalnych, po czym dostaliśmy z Satjapriją instrukcje, aby na początku każdego miesiąca chodzić od domu do domu i zbierać owe subskrypcje.

Dlatego począwszy od pierwszego grudnia nasza codzienna rutyna uległa istotnej modyfikacji. Codziennie rano po śniadaniu przechodziliśmy przez most do Muwattupuzhy i robiliśmy rundę po tylu domach, ile to było możliwe, wracając do Aszramu około południa. Na początku zakładaliśmy, że będziemy w stanie zebrać subskrypcje od wszystkich członków Aszramu – jak ich tytułowano – w ciągu dwóch lub trzech dni. Jednak w miarę jak nasza lista się wydłużała, a miasto najwyraźniej rozrastało, praca przeciągnęła się na pierwszy, potem drugi, a w końcu nawet na trzeci tydzień miesiąca. Członkowie nie zawsze przebywali w domu, kiedy ich odwiedzaliśmy, a nawet jeśli byli, to czasem prosili nas o przyjście później, ponieważ akurat nie mieli przy sobie pieniędzy. Co więcej, z większością subskrybentów zapisanych na liście, która w szczytowym okresie naszej działalności liczyła prawie sto osób, wkrótce byliśmy zaprzyjaźnieni, a w kilku przypadkach była to nawet bardzo zażyła znajomość. Stało się tak dzięki nadzwyczajnej towarzyskości Satjapriji. W rezultacie nabraliśmy nawyku odwiedzania niektórych domów częściej i przebywania w nich znacznie dłużej niż wymagało tego nasze zadanie. Niewątpliwie przynosiło to nam o wiele większe korzyści niż spędzanie całego czasu w Aszramie. Oprócz tego, że mieliśmy więcej ruchu fizycznego, to całkiem dobrze poznaliśmy Muwattupuzhę i jej mieszkańców oraz dużo dowiedzieliśmy się o manierach i obyczajach, jak też wierzeniach i praktykach różnych kast i społeczności królestwa Trawancore.

Podobnie jak Triwandrum, Muwattupuzha miała więcej otwartych przestrzeni niż domów i więcej drzew niż ludzi. Trzy rzeki, którym miejscowość zawdzięczała swoją nazwę, tworzyły coś w rodzaju litery T dzielącej miasto na trzy nierówne obszary połączone dwoma mostami. Pierwszy z nich przekraczał rzekę tworzącą lewe ramię T około półtora kilometra przed zbiegiem rzek, a drugi przechodził przez rzekę będącą pionową kreską w T mniej więcej w tej samej odległości od ich połączenia się. Zdecydowanie większa część miasta leżała pod lewym ramieniem T pomiędzy mostami. Pośrodku tego obszaru, w równej odległości od obu mostów znajdowało się małe stożkowate wzgórze. Po wyjściu z Aszramu i przejściu przez most skręcaliśmy w prawo w stronę miasta. Wkrótce droga rozwidlała się. Do następnego mostu można było dojść obchodząc wzgórze z prawej strony przez dzielnicę bramińską, lub obchodząc je z lewej i mijając po drodze kościół rzymsko-katolicki, szpital rządowy, budynek poczty Anczal, kościół anglikański, sklep z grogiem, sąd oraz rząd sklepów w zachodnim stylu, którego długość powiększyła się w ciągu roku

dwukrotnie. Zwykle szliśmy do miasta jedną trasą a wracaliśmy drugą. Czasami po przejściu przez pierwszy most i skręceniu w prawo przepychaliśmy się przez zatłoczoną dzielnicę bazarową aż do piaszczystych brzegów miejsca, gdzie rzeki łączyły się, i wracaliśmy na brzeg, na którym stał Aszram, łódką przewoźnika, w dni targowe tak przepełnioną, że bliską zatonięcia. W porze deszczowej zlewisko rzek miało prawie półtora kilometra szerokości, ale latem rzeki kurczyły się w brzegach tak bardzo i stawały tak płytkie, że podciągając szaty powyżej kolan, mogliśmy bez większych trudności przejść przez wodę z jednego brzegu na drugi.

Kilka rzędów sklepów i domów zbudowanych w zachodnim stylu, to znaczy stykających się bocznymi ścianami, stało tylko w centrum miasta (nie w jego geograficznym środku), na obu krańcach pierwszego mostu oraz na bazarze. Praktycznie wszystkie inne domy, łącznie z tymi rozsianymi na zboczach wzgórza, jak również budynki rządowe oraz użyteczności publicznej były kwadratowe i stały na środku obszernych działek. Na każdej z tych działek rosły smukłe, białe palmy kokosowe wysokie na 15 do 20 metrów, delikatnie kołyszące koronami ozdobionymi masą opadających zielonych pióropuszy. Trudno było stwierdzić, gdzie kończy się miasto, a gdzie zaczyna wieś. Kiedy dochodziliśmy do przedmieść, pomiędzy niskimi murkami okalającymi parcele zaczynały pojawiać się pólka ryżowe, ale nawet w sercu miasta, gdzie domy były największe, a działki najmniejsze, od czasu do czasu okazywało się, że skrót z jednego domu do drugiego prowadzi przez małe pólko ze zbożem lub świeżo zaoraną ziemią.

Najbardziej charakterystyczne były gęsto otoczone drzewami, pokryte dachówką rezydencje z czerwonego laterytu zbudowane w tradycyjnym malabarskim stylu. Niektóre starsze domostwa, być może w bardziej rdzennym i czystym stylu, wykonane były wyłącznie z drewna tekowego, teraz już poczerniałego ze starości. Kilka miało strzechę zamiast dachówek, w żadnym nie było okiennych szyb, a do ich postawienia nie użyto ani jednego gwoździa, śrubki lub zawiasu. Małe, niskie okna zakrywano grubymi drewnianymi kratami. Masywne składane drzwi, zrobione z teczyny grubej na 10 cm, obracały się na drewnianych kołkach zatkniętych w gniazdach we framudze drzwi i zamykane były od środka na ciężką, tekową zasuwę. Podłogi wykładano czarnym kamieniem. Zakurzony stół i jedno lub dwa krzesła, najwyraźniej nieużywane przez nikogo z wyjątkiem gości, były zazwyczaj jedynym ustępstwem na rzecz nowoczesności. Na ścianach, pomiędzy jaskrawymi litografami z błękitnym Wisznu siedzącym okrakiem na ptaku-wierzchowcu Garudzie i obejmującym ramionami swoje dwie pulchne, swojskie małżonki oraz obrazami wielu innych rozmaitych hinduskich bogów i bogiń wisiały wielkie oprawione portrety różnych członków brytyjskiej rodziny królewskiej począwszy od królowej Wiktorii aż po króla Jerzego VI. Wnętrza tych starych domów, chociaż ciemne, były zachwycająco chłodne, więc po długim spacerze w gorącym, jaskrawym słońcu obaj z Satjapriją z przyjemnością siadaliśmy na zakurzonych krzesłach, aby odpocząć. Kiedy nasze oczy przyzwyczajały się do mroku, gospodarz, którym przeważnie był nair, znikał w jeszcze ciemniejszych tylnych pomieszczeniach domu, żeby przynieść nam tradycyjne zimne napoje.

Przez pierwsze dwa lub trzy miesiące, kiedy obchodziliśmy miasto, często nagabywano nas na ulicach dopytując się o naszą kastę i narodowość. Choć było to mocno irytujące, żaden z nas nie mógł powstrzymać się od śmiechu z powodu zabawnego, a nawet komicznego sposobu, w jaki czasem zadawano pytania. Całkowicie obcy człowiek, który mijał nas na drodze, stawał i przyglądając się nam podejrzliwym wzrokiem bez słowa wyjaśnienia głuchym, grobowym tonem pytał: „Jakiej … jesteście … narodowości?”. Nasza ulubiona odpowiedź brzmiała, że jesteśmy sadhu, więc żadnej. Jeśli pytającemu brakowało bezczelności lub znajomości angielskiego, w milczeniu i niespiesznie taksował nas wzrokiem z góry na dół przez kilka minut i pomału ruszał dalej, nadal spoglądając podejrzliwie. Kiedy pytano: „Z której kasty jesteście?” odpowiadaliśmy (to znaczy Satjaprija odpowiadał), że jesteśmy buddystami, więc nie wierzymy w system kastowy. Prawie zawsze prowadziło to do kłótni. Każdy jest z jakiejś kasty – słyszeliśmy. A wśród ortodoksów nasza małomówność w tej ważnej kwestii świadczyła przeciwko nam, ponieważ wiedzieli z doświadczenia, że z im niższej kasty ktoś pochodzi, tym niechętniej to ujawnia. Próby wyjaśnienia, że istnieją jeszcze inne kraje poza Indiami i religie inne niż hinduizm, w których nie ma kast, spotykały się ze strony półanalfabetów z niedowierzającym milczeniem. Bardziej uparte

typy, zdenerwowane naszą powściągliwością, zaczynały zadawać tak subtelne pytania naprowadzające jak: „Gdzie się urodziłeś?” oraz „Jaki jest twój język ojczysty?” Na to drugie Satjaprija odpowiadał, że mówi trzynastoma językami, co w pewnym sensie było prawdą. Ja, będąc mniej utalentowanym lingwistą, milczałem. Niektórzy rozmówcy próbowali zaczynać dyskusję – „Dlaczego sadhu nie miałby wyjawić swojej narodowości? – pytali wojowniczo – Może przecież być uniwersalny w sercu.”

Jeśli akurat nam się spieszyło, to generalnie zostawialiśmy takich ludzi na środku drogi w pół zdania. Gdyby zadawali te pytania z większym umiarkowaniem, może i uleglibyśmy pokusie złamania postanowienia, które uczyniliśmy wyjeżdżając z Kasauli. Jednak fakt, że nic na nasz temat nie interesowało ich bardziej i nic nie martwiło tak głęboko jak kwestia naszej kasty, tylko zwiększał naszą determinację, aby pouczyć ich, że tego typu rozróżnienia mają niewielkie znaczenie – dlatego mocno trwaliśmy przy zasadach, które przyjęliśmy. W końcu, kiedy wszyscy w mieście już wiedzieli, jaki jest nasz stosunek do tej kwestii, prześladowania ustały. Później, jeśli ktoś stanął i gapił się na nas podejrzliwie, wiedzieliśmy, że to jakiś obcy przyjezdny. Kiedy Satjaprija był w jowialnym humorze, czasami pierwszy wypowiadał to słynne pytanie, bardzo udanie naśladując ton, jakim było zwykle zadawane. Potem, krztusząc się od powstrzymywanej wesołości, uciekaliśmy zostawiając niedoszłego indagatora, który patrzył za nami z rozdziawionymi ustami i z wyrazem oszołomienia na twarzy.

Mimo że odnieśliśmy sukces stosując te niefrasobliwe metody wobec zwykłych członków społeczności, nadszedł taki dzień, kiedy wydawało się, że powściągliwość w kwestii naszego pochodzenia wpędzi nas w poważne kłopoty z władzą. Otrzymaliśmy wezwanie na policję. W przeciwieństwie do mieszkańców Muwattupuzhy, którzy jednakowo interesowali się mną i Satjapriją, przede wszystkim indagując o kastę, komendanta policji najwyraźniej obchodziłem tylko ja i moja narodowość. Wyjaśnił, że wszyscy obcokrajowcy mają teraz obowiązek zarejestrowania się na policji, a ponieważ podejrzewano, że należę do tej kategorii osób, zostałem wezwany na przesłuchanie – czy byłbym tak uprzejmy i podał im swoją narodowość. Gdybym odpowiedział, że jestem Anglikiem, wszystko byłoby w porządku, ponieważ nakaz rejestracji nie dotyczył obywateli Zjednoczonego Królestwa i innych krajów należących do Wspólnoty Commonwealthu, których nie klasyfikowano jako obcokrajowców. Ta oficjalna podejrzliwość została w rzeczywistości spowodowana tylko i wyłącznie przez nieszczęsną informację Swamiego Agamanandy, że jestem Amerykaninem. Jednak ponieważ obaj z Satjapriją obstawaliśmy przez ostatnie trzy czy cztery miesiące, że jako sadhu nie mamy ani kasty ani narodowości, zdecydowanie opierając się wszelkim próbom wyciągnięcia z nas tej cennej informacji, czuliśmy, że nie możemy się teraz z tego wycofać. Być może w naszym podejściu było też ziarno uporu. Na szczęście komendant potraktował nasz przypadek pobłażliwie, stwierdzając jedynie po kilku dodatkowych pytaniach, że będzie musiał wysłać raport do komendy głównej, że osoba, która mieszka w tej okolicy i jest podejrzana o bycie obcokrajowcem, odmówiła zadeklarowania swojej narodowości.

Kilka tygodni później przyszło drugie wezwanie. Po przybyciu na posterunek dowiedzieliśmy się, że komendanta przeniesiono gdzie indziej. Jego następca, wysoki, przystojny, młody nair mniej więcej w moim wieku był synem jednego z członków Aszramu, nauczycielem w lokalnej szkole średniej, i jeszcze zanim dostał mianowanie, poznaliśmy go w domu jego ojca. Oczywiście to znacznie ułatwiło sprawę. Zadał mi te same pytania, co jego poprzednik, ja dałem te same odpowiedzi, a potem wpisaliśmy go na listę członków Aszramu i odebraliśmy pierwszy datek. Po tym spotkaniu posterunek policji znalazł się na trasie naszego comiesięcznego obchodu. Podczas którejś z wizyt młody komendant pokazał nam areszt, gdzie za kratami ujrzeliśmy pół tuzina desperacko wyglądających postaci oskarżonych o kradzieże i morderstwa, oczekujących na rozprawę sądową. Przez kilka następnych dni spekulowaliśmy, czy powinniśmy potraktować ten gest jako aluzję, ale że nie poszło w ślad za nim żadne oficjalne zainteresowanie naszymi osobami, w końcu odrzuciliśmy podejrzenie jako nieuzasadnione. Wyglądało na to, że władzę łatwiej było zadowolić niż niektórych naszych znajomych.

Rozdział 32

Trzech prawników

W niedługim czasie po przyjeździe do Muwattupuzhy odkryliśmy, że z wyjątkiem niedotykalnych i niewidzialnych prawie każdy mieszkaniec miasta posiadał przynajmniej pół akra ziemi. Dlatego spory o granice pomiędzy właścicielami sąsiadujących działek były nadzwyczaj powszechne. Człowiek nie mógł wyjechać nawet na weekend, bo po powrocie znajdywał swój płot przesunięty o pół metra na korzyść któregoś z sąsiadów. Tego typu incydenty prowadziły do niekończących się sporów sadowych. W rzeczywistości pozywanie do sądu było najpopularniejszą lokalną rozrywką – i najbardziej rujnującą. Większość członków Aszramu brała udział – albo jako powód, albo jako pozwany – w dwóch lub trzech procesach miesięcznie. W tak korzystnych warunkach interesy prawników kwitły. Jednym z najbardziej typowych widoków w mieście był wakil, czyli radca prawny, w spłowiałym czarnym płaszczu i fabrycznie robionym białym turbanie, udający się dostojnym krokiem do sądu o 9:45 rano. Za nim ciągnął się sznur nadskakujących mu klientów, a każdy z nich miał twarz człowieka, którego zdaniem Sędziego Jeffreysa35 należałoby powiesić. Grupki postaci o niemniej łajdackim wyglądzie zbierały się przed drzwiami do różnych sal sądowych. Kiedy zapytaliśmy, kim są ci ludzie i czego chcą, padła cyniczna odpowiedź: „Świadkowie do wynajęcia. Przysięgną wszystko, co zechcesz, za osiem annów". Później dowiedzieliśmy się, że wśród wakilów istniało milczące porozumienie co do ograniczania liczby fałszywych świadków powoływanych w trakcie jednego przesłuchania, ponieważ czuli że więcej niż ośmiu lub dziewięciu po jednej stronie mogłoby udaremnić prawidłowe działanie wymiaru sprawiedliwości.

Liczba odbywających się procesów sądowych była tak wielka i popyt na prawników tak ogromny, że zawody prawnicze stanowiły nienaturalnie duży procent wśród lepiej wykształconych przedstawicieli klasy średniej. Nie pamiętam już, ilu wakilów i adwokatów znajdowało się na liście członków Aszramu, ale z pewnością nie było przypadkiem, że choć przyjaźniliśmy się z ludźmi praktycznie ze wszystkich branży, profesji i zawodów, to większość naszych znajomych reprezentowała zawody prawnicze, a spośród trzech naszych najbliższych przyjaciół w Muwattupuzha dwóch było wakilami, a jeden adwokatem. Fakt, że tych dwóch było nairami, a trzeci braminem, też nie był zbiegiem okoliczności, gdyż w Indiach obie te społeczności należały do najbardziej wpływowych i najlepiej wykształconych.

Kumaran Nair miał dom u szczytu stromych schodów laterytowych na lewym zboczu wzgórza, a Kesawa Pillai mieszkał nad brzegiem rzeki, w połowie drogi między biurem Ramaswamiego i dzielnicą braminów. Na pewno poznaliśmy ich jednocześnie, ponieważ ich przyjaźń z czasów dzieciństwa nigdy nie osłabła i przetrwała aż do wieku średniego – byli po prostu nierozłączni. Nie potrafię myśleć o nich oddzielnie, tak jak nie potrafię oddzielić w myślach Tweedledeego od Tweedleduma. Co nie oznacza, że jako ludzie byli do siebie podobni – wprost przeciwnie, bardzo się różnili i fizycznie, i mentalnie. Kumaran Nair był wysoki, szczupły, przebiegły, podejrzliwy i cyniczny; natomiast Kesawa Pillai – niski, krępy, ufny, uczuciowy i wesoły. Ten pierwszy miał głęboką bruzdę między brwiami i nawet jeśli się ożywiał, co zwykle następowało w trakcie dyskusji, to nigdy nie tracił całkowicie swego na wpół zmartwionego i na wpół zrzędliwego wyrazu twarzy. Ten drugi, nawet kiedy był poważny, nigdy nie potrafił stłumić błąkającego się wokół kącików ust uśmiechu na dłużej niż minutę lub dwie. Jeden był z natury szybki i poruszał się trochę jak ptak; drugi był powolny jak żółw. W kwestii religii, o ile Kumaran Nair wyznawał to, co

---

35

Baron George Jeffreys był angielskim sędzią żyjącym w XVII wieku, słynnym z okrucieństwa, korupcji i karania przez powieszenie. [przyp. tłum.]

Hindusi nazywają dżinizmem, czyli miał intelektualne podejście do Rzeczywistości, to Kesawa Pillai był zdecydowanie bhaktą – jego oddanie miało charakter emocjonalny.

We dwóch zmonopolizowali dwie trzecie całej praktyki prawniczej w Muwattupuzha, co oznacza że często reprezentowali na sali sądowej przeciwne strony. Kiedy miało to miejsce, jeden drugiego nie oszczędzał w walce na argumenty. Powiedziano nam, że Kumaran Nair celował w ataku, a Kesawa Pillai w obronie. Przyjaciele byli godnymi siebie przeciwnikami – obaj wygrali i przegrali tę samą liczbę spraw, dzieląc w ten sposób między siebie sądowniczą koronę miasta. Wydawało się, że ich potyczki na sali sądowej, jak najdalsze od spowodowania wzajemnej urazy, nie tylko wzmacniały ich przyjaźń, ale jeszcze dodawały jej werwy. Być może nie da się kochać drugiego człowieka nie znając jego siły, a trudno jest poznać tę siłę, nigdy się z nim nie mocując. Poza salą sądową nigdy nie dyskutowali o prowadzonych sprawach. Kiedy jeden z nich wygrał sprawę, to czasami wskazywał później na te słabości swoich argumentów, które przyjaciel przeoczył.

Jakie gniazdo, taki ptak – więc domy obu wakilów odzwierciedlały ich charaktery, choć Kumarana Naira może trochę mniej. Miał nowy dom, ale kiedy go poznaliśmy, prace budowlane jeszcze trwały. Jak praktycznie wszystkie nowe domy klasy średniej zbudowany był z bloków czerwonego laterytu pokrytych warstwą cementowego tynku. W pokoju bawialnym, gdzie nas zwykle przyjmował, stał mały stół i trzy lub cztery krzesła. Kiedykolwiek do niego wpadliśmy, witał nas wesoło i natychmiast zaczynał mówić. W trakcie dyskusji do pokoju wchodzili niekiedy jego syn Radhakrisznan, student koledżu, oraz bratanek Menon, który prowadził sklep z radiami – stali potem z założonymi ramionami słuchając, o czym była mowa. W Malabarze młody mężczyzna nie powinien siadać w obecności starszych od siebie, gdyż byłoby to oznaką złych manier. Czasami, kiedy stali już ponad godzinę, Kumaran Nair mówił im zirytowanym głosem, żeby usiedli. „Popatrzcie tylko na tych młodych łobuzów – wykrzykiwał do mnie i do Satjapriji – są bardziej staromodni ode mnie!" Ale młodzi ludzie tylko się uśmiechali, spuszczając oczy jak zwykle i nadal stali. Kiedy poczuli się zmęczeni, opierali się o ścianę i zginając jedną nogę podpierali się podeszwą bosej stopy o zimny cementowy tynk. Od młodych ludzi oczekiwano skromności i Radhakrisznan z Menonem bardzo dobrze te wymagania spełniali, ale to nie oznaczało, że byli nieśmiali. Pomijając narzuconą przez konwencję etykietę, ich obcowanie z Kumaranem Nairem było w gruncie rzeczy dość swobodne. Najpierw dla przyzwoitości trochę milczeli, a potem dołączali do dyskusji i żaden z nich nie wahał się mieć odmiennego zdania niż ktoś od nich starszy. W gruncie rzeczy Kumaran Nair kłócił się i dyskutował z Menonem w bardzo zażyły sposób i wymiana argumentów między nimi bywała bardzo gorąca.

Jak większość Hindusów, zwłaszcza wykształconych w angielskim stylu i z podejściem intelektualnym, Kumaran Nair uwielbiał dyskutować na tematy filozoficzne, takie jak natura rzeczywistości. Jednak jak wielu podobnych mu religijnych teoretyków nigdy nie określał jasno swego zdania i jego wywody nie prowadziły do żadnych wniosków, co sprawiało, że jego wkład w dyskusję był tylko luźnym strumieniem idei, co prawda błyskotliwych, ale równie nieistotnych jak błyszczące w słońcu, stale nowe smugi piany na rzece. Teizm i panteizm, mistycyzm i hedonizm, nieuchronna wedantyjska historia o wężu i sznurze oraz przypowieści z Nowego Testamentu, totalna pochwała hinduizmu, która mogła być ironiczna, i równie totalne potępienie, które swoją przesadą zdawało się celowo zaprzeczać samemu sobie – wszystko to było razem wymieszane i poplątane, tworząc zadziwiający galimatias. W trakcie jednej rozmowy potrafił dwadzieścia razy zmienić zdanie w jakiejś sprawie. Kiedy odpowiadając mu na coś, przyjmowaliśmy założoną przez niego hipotezę, przerywał nam, aby zakwestionować dokładnie tę hipotezę. Co kilka minut drapał się w głowę i nagle zaczynał mówić na zupełnie inny temat. Nasze dyskusje filozoficzne w istocie były kręceniem się w kółko, aż do uczucia zupełnego skołowania. Satjaprija nadal był hinduistą w stopniu wystarczającym, żeby czerpać przyjemność z tych hałaśliwych debat, ale dla mnie takie bezsensowne argumentowanie wkrótce stało się niesmaczne.

O wiele bardziej interesujące były spotkania, kiedy Kumaran Nair opowiadał o lokalnych manierach i obyczajach. Był zagorzałym przeciwnikiem systemu kastowego, to znaczy zaciekle go krytykował. Chociaż ja w tamtym czasie ciągle tego nie wiedziałem, to współczesny Hindus – bez

najmniejszego poczucia niekonsekwencji – z łatwością praktykuje na co dzień rzecz, którą jednocześnie krytykuje. Któregoś dnia powiedział nam z wielką dokładnością, na jaką odległość członkom różnych niższych kast wolno zbliżyć się do domu naira. Niedotykalni w ogóle nie mogli wejść na teren posesji, a ezhawowie, lub kasta zbieraczy soku palmowego mogli wejść, lecz musieli stać co najmniej dziesięć metrów od drzwi.

Choć stosunek naszego przyjaciela do kast był dwuznaczny, to jego nienawiść do braminów – którzy traktowali nairów prawie z taką samą pogardą, z jaką nairowie odnosili się do ezhawów – bez wątpienia była szczera. To chyba on przetłumaczył nam malajalamskie przysłowie mówiące: „Jeśli spotkasz bramina i kobrę, najpierw zabij bramina". Opowiedział też o słynnej świątyni Wisznu, niedaleko Muwattupuzhy, gdzie każdego roku, w określony dzień odbywał się rytuał nakarmienia stu braminów. Według legendy wymyślonej przez 'tych łajdaków z nicią', jak zawsze nazywał członków kasty kapłańskiej, jeden spośród ucztujących braminów zawsze był bogiem Wisznu w przebraniu i pochodzący od niego prasad gwarantował uleczenie z trądu. Kiedy bramini skończyli jeść, liście-talerze z resztkami posiłku stu braminów wyrzucano na wysypisko śmieci, gdzie w tym dniu zbierali się trędowaci z całego królestwa i zaczynali walczyć o te liście jak psy, mając nadzieję, że dostanie im się skrawek cennego prasadu. Czasami nawet nairowie – powiedział nam z obrzydzeniem – upadali tak nisko, że w ten poniżający sposób zjadali resztki po 'łajdakach z nicią'.

Kiedy nie rozprawiał o naturze rzeczywistości, ani nie potępiał braminów, Kumaran Nair zwykle gorzko uskarżał się na swój zawód. W ustach osoby mówiącej językiem malajalam, słowa 'prawnik' i 'kłamca' są homonimami. Zarówno Kumaran Nair jak i Kesawa Pillai wykorzystywali tę zbieżność, zapewniając nas, że zmuszeni są opowiadać w sądzie wyłącznie totalne kłamstwa. Ten pierwszy często deklarował całkowite obrzydzenie do tak nieuczciwego fachu i od czasu do czasu ogłaszał swój zamiar natychmiastowego wycofania się z praktyki. Początkowo podziwialiśmy go za wzniosłość ducha, ale w końcu spostrzegliśmy, że był ze swojego zawodu całkiem zadowolony i perorował przeciwko niemu podobnie, jak żonaty mężczyzna złorzeczy na instytucję małżeństwa.

Kesawa Pillai mieszkał w znacznie bardziej staromodnym otoczeniu niż jego przyjaciel. Dom miał stary i zbudowany na małej działce, której brama składała się z dwóch lub trzech przesuwnych bambusów. Wnętrze frontowego pokoju, gdzie zawsze siedzieliśmy i rozmawialiśmy, było ciemne i przykurzone, z dominującą ponurą czarną stolarką. Na ścianach wisiały stare, podarte kalendarze i stosy brudnych papierów zatkniętych na gwoździach. W przeciwieństwie do Kumarana Naira, który w domu nosił angielską koszulę i jedwabny sarong, Kesawa Pillai zawsze nas przyjmował ubrany tylko w mały kawałek materiału owinięty wokół pasa. Twarz miał zwykle pokrytą siwym, kilkudniowym zarostem. Na czarnej tasiemce wokół szyi zawieszona była mała kwadratowa filakteria ze złota. On również zawsze witał nas bardzo przyjaźnie, stojąc z pochyloną głową, złożonymi rękami i uśmiechem czającym się w kącikach ust, dopóki z Satjapriją nie usiedliśmy. Wyjąwszy raz czy dwa, kiedy był poważnie chory, jego nastrój był niezmiennie radosny i zarazem spokojny.

Chociaż był o wiele mniej rozmowny od swojego przyjaciela, lubiliśmy z nim rozmawiać – jego zwięzłe, ale bystre obserwacje często kryły w sobie dużo informacji. Nasze wizyty nie przerywały mu jednak codziennej pracy. Co jakiś czas podchodził spokojnie do swojego pracownika, który nieustannie coś gryzmolił w kąciku na prawo od wejścia, i cicho dawał mu kilka krótkich instrukcji. Co pół godziny przygotowywał sobie świeżą porcję betelu – jak większość Malajalów był uzależniony od jego żucia. Mieliśmy wrażenie, że szczęki wielu ludzi, których znaliśmy, nigdy nie odpoczywały od tego ćwiczenia. W trakcie rozmowy pół tuzina bardzo małych, zupełnie nagich dzieci ze śmiechem wbiegało do pokoju i z niego wybiegało. Część z nich to było jego potomstwo, część jego córki. Niejeden raz nasz stary przyjaciel, który miał około pięćdziesięciu sześciu lat, mówił nam ze smutnym uśmiechem, że aby zapewnić swym najmłodszym dzieciom równie dobrą edukację jak ich starszym braciom i siostrom, będzie musiał nadal pracować w wieku siedemdziesięciu kilku lat.

Mimo wielkiej różnicy charakterów Kumaran Nair i Kesawa Pillai mieli jedną główną wspólną cechę – obaj od wielu lat ostro pili. Jak tylko się o tym dowiedzieliśmy, robiliśmy z Satjapriją, co w

naszej mocy, aby namówić ich do porzucenia nałogu, który żadnemu z nich nie służył. Kesawa Pillai, który z nich dwóch faktycznie pił więcej, cierpiał na różnorodne gastryczne i inne dolegliwości na skutek zatrucia alkoholem. W stosunku do Kumara Naira nasze perswazje były stratą czasu. Przyznał, że picie to zgubny nawyk, po czym zagłębił się w pseudofilozoficzne uogólnienia, które całkiem odebrały sens temu wyznaniu. Dlatego skoncentrowaliśmy się na Kesawie Pillai, którego lekarz już kilkakrotnie ostrzegał, że jeśli nie porzuci swoich regularnych wieczornych libacji, one go zabiją. Ale chociaż on również przyznał, że picie to wielkie zło i często żałował, że nie rzucił nawyku, który może mieć dla niego fatalne skutki, to dla mężczyzny w średnim wieku nie było prostą sprawą zerwać za jednym zamachem łańcuchy, które więziły go praktycznie całe życie. W końcu jednak po kilku miesiącach argumentów, wymówek i namawiania zerwał z tym nałogiem. Niestety zanim zdobył się na odwagę, żeby to zrobić, nawet tak drastyczne remedium nie mogło już zneutralizować skutków trucizn, które teraz szybko doprowadzały do ruiny cały jego organizm.

Ponieważ obaj nasi przyjaciele pili tylko wieczorem po kolacji, a my odwiedzaliśmy ich tylko rano, nigdy nie widzieliśmy, żeby żaden z nich wyglądał gorzej z powodu pijaństwa. Chociaż gdybyśmy mieli więcej doświadczenia, to pewnie by nas zastanowiło, dlaczego jednemu fatalnie trzęsą się ręce, kiedy zapala papierosa, i dlaczego drugi ma takie przekrwione oczy.

Jednak pewnego wieczoru, między siódmą i ósmą, niczego nie podejrzewając poszliśmy odwiedzić Kumarana Naira w związku z jakąś pilną sprawą dotyczącą Aszramu. Znaleźliśmy go w kuchni – obok niego stała drewniana baryłka. Ku naszemu zdumieniu przywitał nas bełkotliwie (nie miał założonej sztucznej szczęki) i w głupawy sposób, czkając, zaczął przepraszać, że jest pijany i mówić, jak bardzo czuje się zawstydzony i skruszony, że zastaliśmy go w takim stanie. To powiedziawszy, zapewnił nas bardzo elokwentnie i wielokrotnie uroczyście oświadczył, że **nie** jest pijany, i że popełnilibyśmy wielki błąd i byli wobec niego wielce niesprawiedliwi, gdybyśmy pomyśleli, że jest. Po czym zaczął się kłócić z Menonem zwracając się do niego nie w języku malajalam, jak to zwykle robił, ale po angielsku, a na koniec uronił kilka łez.

Po kilku minutach najwyraźniej trochę mu się w głowie przejaśniło, bo rozpoczął jedną ze swoich zwykłych filozoficznych oracji, w trakcie której zadeklarował bardzo szczegółowo i przytoczył mnóstwo argumentów, że hinduizm jest religią uniwersalną, według której wszystkie ścieżki prowadzą do Boga, i jeśli on dokonał wyboru, że znajdzie Boga na drodze pijaństwa, to dlaczego nie miałby tego zrobić? Obaj z Satjapriją byliśmy zdumieni nie tyle nowatorstwem tej tezy, bo już przyzwyczailiśmy się do słuchania tego typu pomysłów z jego strony, co świetnością języka. Kumaran Nair normalnie mówił po angielsku bardzo dobrze, ale tego wieczoru jego przemowa była niemal poezją. Menon powiedział nam później, że kiedy wuj jest pijany, używa wyłącznie języka angielskiego, nawet kiedy mówi do tych członków rodziny, którzy znają tylko malajalam, i że bardzo często wypowiada się równie pięknie. Od tej pory zawsze kiedy widzieliśmy się Kumaranem Nairem rano, żartobliwie pytaliśmy go, jak dobrze mówił po angielsku poprzedniego wieczoru.

Adwokat Wenkateszwara Ijer, trzeci z naszej trójki najbliższych przyjaciół, był tamilskim braminem, który nie pił niczego mocniejszego od kawy. Przynajmniej raz w tygodniu odwiedzaliśmy go w jego domu w dzielnicy bramińskiej, przechodząc ponad przesuwnymi bambusami i wspinając się po kilkunastu bardzo stromych schodkach prowadzących do jego zawsze otwartych drzwi. Po drodze przechodziliśmy obok małego zielonego drzewka kakaowego, jedynego jakie w życiu widziałem, na którym pewnego miesiąca dojrzałem, ku mojemu wielkiemu zachwytowi, wiszące wśród gałęzi ośmiocentymetrowe strąki wyglądające jak fioletowe chińskie latarnie.

Przekraczając podwyższony drewniany próg drzwi, niezmiennie zastawaliśmy Wenkateszwarę Ijera siedzącego ze skrzyżowanymi nogami na podeście z czarnego kamienia o szerokości prawie dwóch metrów i wysokości około 30 cm, który zajmował tylną połowę pokoju. Za wyjątkiem chłodnych poranków, kiedy to zakładał koszulę, ubrany był tak samo jak Kesawa Pillai, a na jego lewym ramieniu, wyraźnie widoczna na tle brązowej skóry, wisiała bramińska nić. Zawsze siedział z książką w ręku i porcją betelu w ustach. Czasami widzieliśmy, że czytał Burkego lub Macaulaya,

czasami filozoficzne dzieło w sanskrycie, a czasami najtańszy rodzaj kryminału – wszystkie książki były dla niego warte przeczytania. Niezależnie od tego, co to była za książka, odkładał ją na bok, kiedy wchodziliśmy, spoglądał na nas ponad stalowymi oprawkami okularów, które zawsze nosił mocno zsunięte na czubek nosa, przesuwał betel w ustach na drugą stronę, i bez podnoszenia się ze swego miejsca oraz bez składania rąk w geście pozdrowienia wołał do nas na powitanie swym zwykłym chropawym, cierpkim głosem. Początkowo byliśmy lekko speszeni tym bezceremonialnym przyjęciem, tak różnym od sposobu, w jaki witali nas inni, ale wkrótce przyzwyczailiśmy się do jego stylu. Kiedy już usiedliśmy na skraju kamiennego podestu na jego przeciwległych końcach, gdzie rozkładano dla nas trzcinowe maty, i oparliśmy się o drewnianą boazerię, wtedy zaczynała się rozmowa. Czasami pierwszym tematem była książka, którą stary bramin akurat czytał, czasami bieżące sprawy Aszramu, a innym razem jakieś wydarzenie natury społeczno-religijnej, które nas zainteresowało, gdyż byliśmy jego świadkami, lub nam o nim opowiedziano. Bez względu na punkt wyjścia szybko wychodziła na jaw ogromna różnica zdań. Większość starć odbywała się między Wenkateszwarą Ijerem i Satjapriją i większość z nich, w taki lub inny sposób, związana była z wszechobecnym tematem kast.

W trakcie jednej z naszych pierwszych wizyt, całkiem przypadkowo wspomnieliśmy, jak wielką niesprawiedliwością jest fakt, że niedotykalni nie mogą nawet przejść drogą prowadzącą obok świątyń Sziwy i Ganesi, które przecież stoją kilkaset metrów dalej. Ku naszemu zdumieniu, Wenkateszwara Ijer nie tylko jawnie i otwarcie nie zgodził się z tym, ale zdecydowanie poparł tradycyjny zakaz, utrzymując, że niedotykalni są niedotykalni i tak właśnie powinni być traktowani.

Tego było dla Satjapriji za wiele i natychmiast skoczył do walki. Zacięta batalia, jaka się wywiązała, była pierwszą z wielu podobnych, jakie odbyły się w ciągu następnych piętnastu miesięcy. O ile Satjaprija wyróżniał się swadą, elokwencją i stopniem oburzenia, to Wenkateszwara Ijer przewyższał go dialektyczną bystrością i nieugiętością poglądów. W miarę jak dyskusja stawała się coraz gorętsza, ja stopniowo się z niej wycofałem. W każdym razie i zgadzałem się, i nie zgadzałem z obydwoma. Satjaprija wierzył, że system kastowy był zły i nie był naprawdę częścią hinduizmu, tylko jego późniejszą deprawacją. Wenkateszwara Ijer wierzył, że system kastowy był dobry, że był wzniosłą i od Boga daną instytucją, i że stanowi pierwotną esencję hinduizmu. Ja wierzyłem, że system kastowy był zły, i że zarówno praktycznie, jak i teoretycznie, był częścią hinduizmu, co jest jedną z przyczyn, dla których jestem buddystą, a nie hinduistą. We mnie jednak temat kast nie wzbudzał aż tak wielkich emocji jak w moich dwóch przyjaciołach. Ich dyskusje stawały się czasami tak gwałtowne, że trwałe zerwanie znajomości wydawało się nieuniknione. Na szczęście obaj zawsze zdołali się w porę pohamować i mimo że nadal bywaliśmy zszokowani niektórymi co bardziej oburzającymi przejawami rażącej ortodoksji ze strony Wenkateszwary Ijera, to pozostaliśmy z nim w dobrych stosunkach. W każdym razie jego szczerość i otwartość były miłą odmianą wobec dwuznacznych krętactw przeciętnego Hindusa i w końcu niemal go polubiliśmy za bezkompromisowość. Ze swej strony stary reakcjonista nie miał nic przeciwko temu, żeby być kowadłem, w które waliliśmy młotami naszego młodzieńczego idealizmu, a w końcu przyjął postawę niemal ojcowskiej pobłażliwości wobec naszego zawziętego uporu. Raz kiedyś wyluzował tak dalece, że poczęstował nas kawą. Wbrew samym sobie poczuliśmy się bardzo zaszczyceni. Ale kiedy jego żona przyniosła kawę, zobaczyliśmy, że podała ją w srebrnych kubeczkach. Ponieważ srebro jest metalem czystym, nie mogło ulec zanieczyszczeniu bez względu na to, kto z niego pił.

Chociaż nasze dyskusje z Wenkateszwarą Ijerem były stymulujące zarówno dla Satjapriji, jak i dla mnie, to jednak bywało, że zakłócały naszą osobistą relację. Zawsze kiedy stary bramin robił się bardziej wojowniczy niż zwykle, Satjaprija wyłaził ze skóry, aby zapewnić mnie, że jest on tylko staroświeckim ekscentrykiem i przedstawicielem rasy, która już prawie wymarła. Dlatego w żadnym razie nie powinienem traktować jego poglądów jako hinduistycznych. Ostrzegał mnie, że gdybym tak zrobił, byłoby to ogromną niesprawiedliwością wobec tej wspaniałej religii. Mimo jego wymówek pozostałem nieprzekonany. Dla mnie jedyną różnicą, jaką widziałem między Wenkateszwarą Ijerem i innymi ortodoksyjnymi Hindusami, była jego szczerość. Nie wstydził się tego, w co wszyscy wierzyli i co praktykowali, i nie bał się tego obwieszczać całemu światu.

Zbyt dobrze wiedziałem, że prawdziwą troską Satjapriji jest zminimalizowanie różnic między

buddyzmem i hinduizmem. Buddyzmu nie da się pogodzić z kastowością, więc jeśli hinduizm dałoby się zrównać z systemem kastowym, mój przyjaciel zostałby postawiony w sytuacji, w której musiałby wybrać pierwszą religię i wyrzec się tej drugiej, a na tak drastyczną zmianę nie był jeszcze gotowy.

Że hinduizm rzeczywiście można zrównać z systemem kastowym wyszło na jaw w jednej z naszych najdłuższych i najbardziej interesujących dyskusji, przez którą Wenkateszwara Ijer nie pojawił się w sądzie tego ranka, a my spóźniliśmy się na lunch.

Satjaprija odwołał się mimochodem do definicji hinduisty podanej przez Hindu Mahasabhę[36], która mówi, że hinduistą jest ten, kto uważa Indie za Świętą Ziemię, lub jest wyznawcą religii, której założyciel urodził się w Indiach. Było to oczywiście o wiele za szerokie pojęcie, więc Wenkateszwara Ijer natychmiast zaprotestował argumentując, że gdyby przyjąć taką definicję, to należałoby zaliczyć do hinduistów nie tylko buddystów, dżninów i sikkhów – co już jest wystarczająco złe – ale nawet nieczystych ludzi zza morza. Ponieważ Satjapriji nie udało się zadowolić go definicją Mahasabhy, ja spróbowałem bardziej tradycyjnej i zasugerowałem, że hinduistą jest ten, dla kogo autorytetem są Wedy. Ku naszemu zdumieniu to określenie zostało odrzucone równie bezapelacyjnie jak pierwsze. Wiara w autorytet Wed – grzmiał stary człowiek – nie czyni nikogo hinduistą. Jakie podał uzasadnienie dla tego stwierdzenia, już nie pamiętam, ale na pewno nie wynikało ono z braku szacunku dla Wed. Faktycznie jego dom był jedynym w południowych Indiach, gdzie znaleźliśmy egzemplarz Wed, a on sam często lamentował, że obecnie społeczność braminów generalnie zaniedbuje studia nad Wedami. „A co z *Ramajaną* i *Mahabharatą*?" spytał Satjaprija. Były to powszechnie znane teksty. Czyż ten, kto w nie wierzy, nie jest hinduistą? Nie, nie jest. „W takim razie *Bhagawad Gita*?" Czytało ją jeszcze więcej ludzi niż te dwie wielkie epopeje. Ale *Gita*, pomimo całej swej popularności, wcale nie wypadła w oczach bramina lepiej niż Wedy. W tym momencie byliśmy z Satjapriją już ewidentnie skołowani. „No dobrze, – stwierdziliśmy w końcu – Ty nam powiedz. Kto to jest hinduista?" „Hinduistą – z największym spokojem odpowiedział nasz przyjaciel – jest ten, kto przestrzega systemu kastowego, łącznie z niedotykalnością".

Nie wszystkie nasze dyskusje toczyły się wokół tematu kast, czy nawet samej religii. Rozmawialiśmy też o polityce, prawie, literaturze angielskiej, klasyce tamilskiej, miejscowych manierach, obyczajach i tradycjach. Pewnego dnia Wenkateszwara Ijer opowiedział nam dziwną historię o bramińskiej kobiecie, która doświadczyła różnych nieszczęść z tego powodu, że w poprzednim życiu, gdy należała do rodziny z niskiej kasty, w ataku złości uderzyła kota i zabiła go. Z wielkim zainteresowaniem zapytaliśmy, jakim sposobem dowiedziano się, że jej nieszczęścia były konsekwencją tego konkretnego czynu. „Z pomocą astrologii, oczywiście," odpowiedział Wenkateszwara Ijer, jak gdyby stwierdzał rzecz najzupełniej oczywistą. Musieliśmy wyglądać na zdziwionych, ponieważ zaczął nam tłumaczyć, że w tamilskim kraju była rozpowszechniona znana gałąź astrologii zajmująca się wyłącznie tropieniem zależności pomiędzy obecnymi niepowodzeniami i grzechami popełnionymi w poprzednich żywotach. Kiedy już zidentyfikowano przewinienie, można było odprawić odpowiednią pokutę i nieszczęśnik uwalniał się od konsekwencji złych uczynków z przeszłości. W tym konkretnym przypadku bramińskiej kobiecie poradzono, aby codziennie karmiła określoną liczbę kotów oraz wykonywała rytualne modły do Szri Kriszny. Ponieważ znów wyglądaliśmy na zdziwionych, Wenkateszwara Ijer dodał, że koty podobno wyjątkowo lubiły Szri Krisznę, i że w południowych Indiach faktycznie czasami malowano tego boga z kotem stojącym mu na ramieniu.

Innym razem nasz przyjaciel zawołał do syna, aby przyniósł mu klucz, po czym pokazał nam swoją mieszczącą się w przybudówce bibliotekę. Były w niej wszystkie najważniejsze dzieła angielskiej klasyki, wiele z nich fantastycznie oprawionych. Wskazując na jeden szczególnie imponujący komplet, syn wykrzyknął „Te książki pożyczyłem od kogoś jedenaście lat temu!". Trudno nam było nie zastanawiać się, ile z tych książek Wenkateszwara Ijer zdobył w ten sam sposób, ale on nie podał ani słowa wyjaśnienia, tylko rozpromieniony patrzył na swego

---

36 Hindu Mahasabha – ortodoksyjny, hinduski ruch nacjonalistyczny [przyp. tłum.]

pierworodnego z ojcowską dumą i satysfakcją. Zdaje się, że Sundaram Ijer – jak go nazywano – nie dawał zbyt wielu powodów do dumy. W przeciwieństwie do ojca był mały, chorowity i całkowicie pozbawiony charakteru. Mieszkał teraz w domu rodzinnym, ponieważ nie udało mu się skończyć studiów. Co jeszcze dziwniejsze, nie był szczególnie dobrym braminem i plotki w Muwattupuzha głosiły, że nie stronił od szklaneczki grogu. Może mimo wszystko Satjaprija miał rację, że Wenkateszwara Ijer należał do wymierającej rasy.

Chociaż odbyliśmy z Wenkateszwarą Ijerem wiele dyskusji i wypowiadał się on z wielką swadą przy każdej okazji, jedno z jego powiedzeń szczególnie utkwiło mi w pamięci. „Uregulowane życie daje siłę". Z codziennymi rytualnymi kąpielami, ciągłym powtarzaniem mantr, głodówkami i ograniczeniami dietetycznymi, okresowymi rytuałami religijnymi, a przede wszystkim z wszelkiego rodzaju społecznymi zakazami – życie ortodoksyjnego bramina z pewnością było uregulowane. I jak nasz przyjaciel demonstrował własnym przykładem, taka regularność była obfitym źródłem siły fizycznej i mentalnej – ale do czego tę siłę wykorzystywano, to już zupełnie inna kwestia. Kiedy patrzę wstecz na moje dni w Muwattupuzha, postać starego, bigoteryjnego, tamilskiego bramina z oczami w czerwonych obwódkach i ustami jak stalowa pułapka, majaczy mi przed oczami jak monumentalna rzeźba z brązu autorstwa Jacoba Epsteina, z surowymi, szorstkimi rysami, ale nie pozbawiona swoistego piękna.

Rozdział 33

Inni przyjaciele

Kumaran Nair, Kesawa Pillai i Wenkateszwara Ijer byli w Mieście Trzech Rzek naszymi najbliższymi przyjaciółmi, ale był też szereg innych osób, z którymi mieliśmy niemal równie przyjazne relacje i których widywaliśmy prawie tak samo często. Oczywiście dominowali wśród nich nairowie, ponieważ tak czy inaczej stanowili największą społeczność w mieście. W gruncie rzeczy mieliśmy nie tylko wielu przyjaciół nairów, ale wielu z nich miało dokładnie to samo imię i nazwisko. Znaliśmy trzech lub czterech nazywających się Raman Nair i przynajmniej pięciu lub sześciu o nazwisku Kriszna Pillai.

Głównym przyjacielem spośród Kriszna Pillaiów był naczelnik Poczty Anczal, czyli oficer odpowiedzialny za istniejący w Muwattupuzha oddział wewnętrznego systemu pocztowego Trawancore. Był on dla nas ważny jako żarliwy wyznawca boga Ajjappana i odbyliśmy z nim wiele dyskusji na ten temat. Według Kriszny Pillaia, Ajjappan faktycznie był formą Buddy. Choć wiedzieliśmy, że ta hipoteza w żadnym razie nie cieszy się powszechnym uznaniem, trudno było zaprzeczyć, że między kultem Ajjappana i buddyzmem istniało szereg interesujących paraleli. Podobieństwa te wydawały się zbyt duże, aby mogły być tylko zbiegiem okoliczności. Wyznawcy Ajjappana recytowali *Ajjappan saranam*, ‘Schronienie w Ajjappanie’ czyli „Przyjmuję schronienie w Ajjappanie” w prawie taki sam sposób, w jaki buddyści recytowali *Buddham saranam gaććami* „Idę po schronienie do Buddy”. W przeciwieństwie do innych hinduskich bogów, może za wyjątkiem Karttikeji i Ganeśi, Ajjappan był bóstwem ściśle przestrzegającym celibatu. Co więcej, w trakcie corocznej pielgrzymki do Sabarimalai, miejscowości w centralnym Trawancorze, gdzie Ajjappan miał swoją główną świątynię, wyznawcy tego boga nie tylko przestrzegali kodeksu etycznego znacząco podobnego do Pięciu Wskazań buddyzmu, ale co jeszcze bardziej nadzwyczajne, pielgrzymując **nie** przestrzegali żadnych zasad systemu kastowego. Ten ostatni fakt był tym bardziej znaczący, że pielgrzymi pochodzili z wszystkich kast i społeczności, łącznie – jak nas zapewniono – z kilkorgiem muzułmanów i chrześcijan.

Obraz Ajjappana, który Kriszna Pillai sprezentował Aszramowi, i który powiesiliśmy w świątyni, przedstawiał białego młodzieńca z dwoma ramionami i uśmiechniętą twarzą, który przykucał na piętach, a kolana miał owinięte czymś wyglądającym na opaskę do medytacji. Przystrojony był jedwabiami i klejnotami jak książę, a po obu jego bokach widniały różne dzikie zwierzęta. Jak dla mnie, ten dość standardowy obrazek niespecjalnie przypominał którekolwiek z tradycyjnych wyobrażeń Buddy, choć później, już po wyjeździe z Muwattupuzhy, przyszło mi do głowy, że Ajjappan równie dobrze mógł być jednym z wielkich bodhisatwów, takich jak Mańdziuśri lub Awalokiteśwara. Tak czy owak, znamienne było nie tylko to, że tak wielu ludzi w Trawancore wierzyło, że Ajjappan był formą Buddy, ale też fakt, że chcieli tak wierzyć. To tak, jakby poprzez znaną sobie, lecz nieortodoksyjną postać boga z Sabarimalai sięgali w rzeczywistości do Buddy i buddyzmu.

Dwie największe społeczności po nairach to ezhawowie, czyli zbieracze soku palmowego, oraz chrześcijanie. Naszym głównym przyjacielem wśród ezhawów był pan Krisznan, miejscowy nadzorca lasów, którego jurysdykcja obejmowała ponad jedną trzecią całego królestwa. W mieście był najwyższym rangą urzędnikiem z rządu centralnego, więc cieszył się z tego powodu dużym prestiżem i dzięki niemu zostaliśmy przedstawieni wielu osobom. Wysoki, szczupły, o jasnej cerze, żył prawie zupełnie w zachodnim stylu – w swych szortach khaki oraz tropikalnym hełmie przeciwsłonecznym o wiele bardziej wyglądał na angielskiego plantatora herbaty niż na urzędnika rządu indyjskiego. A jednak nie mógł zapomnieć o swoim pochodzeniu. W rzeczywistości, Trawancore będąc tym, czym było, nie pozwoliłoby mu zapomnieć. Kiedykolwiek widzieliśmy brązową postać w przepasce na biodrach, wspinającą się na palmę kokosową, wykrzykiwał z dobroduszną ironią: „Oto macie, właśnie tym jestem! Jestem zbieraczem soku palmowego!” Mając takie a nie inne oficjalne obowiązki, pan Krisznan stale musiał gdzieś jeździć po kraju i zawsze namawiał nas, żebyśmy mu towarzyszyli. Czasami, kiedy faktycznie mieliśmy ochotę na

wycieczkę, jechaliśmy z nim. Na jednej z tych wypraw widzieliśmy, jak wycina się dżunglę przy budowie drogi. Pracowało tam mnóstwo słoni usuwając zgiętymi trąbami olbrzymie pnie drzew. Czasami spędzaliśmy wieczór w rządowym bungalowie, bywało że z krewnymi pana Krisznana. Wszyscy jego krewni ubierali się i żyli całkowicie w stylu zachodnim. Ich domy były umeblowane na zachodnią modłę, łącznie z pokrowcami na meblach. Kobiety mówiły po angielsku tak samo dobrze jak mężczyźni i swobodnie włączały się do rozmów. Wszyscy pomimo ich 'niskiej kasty' mieli równie jasną skórę jak pan Krisznan.

Chrześcijanie w Muwattupuzha dzielili się na chrześcijan syryjskich, anglikanów i rzymskich katolików. Ponieważ Swami Agamananda przedstawił nas w tak szczególny sposób, nic dziwnego, że z początku traktowali nas z dużą podejrzliwością, żeby nie powiedzieć z wrogością. W końcu jednak udało nam się zdobyć zaufanie kilku z nich. Jednego czy dwóch nawet zapisaliśmy jako członków Aszramu. Jeśli chrześcijanie mogą regularnie prosić o wsparcie przedstawicieli hinduizmu, to dlaczego hinduiści i buddyści nie mogą prosić o to samo chrześcijan? Ten argument trafił do osób bardziej tolerancyjnych i śmiejąc się zapłacili.

Nasz główny chrześcijański przyjaciel był anglikańskim kierownikiem poczty. Miał około trzydziestu lat i wesołą twarz straszydła. W pracy nosił marynarkę i spodnie w stylu zachodnim, a w domu gładką białą koszulę i biały sarong. Żywo interesował się literaturą angielską, więc od czasu do czasu dyskutowałem z nim o Szekspirze i Miltonie mimo jawnej dezaprobaty Satjapriji. Inni przyjaciele chrześcijanie to miejscowy kierownik urzędu administracji i lokalny poseł do parlamentu – obaj byli chrześcijanami syryjskimi. Od tego pierwszego usłyszeliśmy kiedyś interesującą anegdotę. Zanim go przeniesiono do Muwattupuzhy, kierował urzędem gdzieś w głębi kraju. Pewnego dnia, kiedy kontrolował dokumenty księgowe w jakiejś odległej wiosce, usłyszał w oddali jakiś przedziwny dźwięk, który spróbował przed nami odtworzyć najlepiej, jak potrafił. Brzmiał jak coś w rodzaju: Hooooo-in! Hoooooo-in!, z naciskiem opadającym ostro i krótko na ostatniej sylabie. Urzędnicy zapytani przez niego o znaczenie tego hałasu, powiedzieli, że to jakiś członek kasty 'niewidzialnych' ostrzega Hindusów z wyższych kast, że zbliża się w ich kierunku.

Odkryliśmy, że częściowo z powodu systemu kastowego, a częściowo z powodu niektórych co bardziej dziwacznych objawów popularnej religijności, wszyscy nasi przyjaciele chrześcijanie odczuwali silną antypatię do hinduizmu. A kiedy poznaliśmy ich lepiej i poczuli, że mogą być z nami bardziej otwarci, to niektórzy przyznali się nawet do odczuwania strachu i nienawiści. Jakby naprawdę wyczuwali w hinduizmie coś złego, nawet diabolicznego, czego nie potrafili wytłumaczyć, ale czego się bali i jednocześnie tego nienawidzili. W tej sytuacji było tym bardziej zaskakujące, że kilku z nich odczuwało silny pociąg do buddyzmu. Warghese, poseł do parlamentu przyznał nawet, że jako student był pod silnym wpływem *The Light of Asia*. Czy nasi chrześcijańscy przyjaciele mieli jakieś rzeczywiste pojęcie na temat hinduizmu lub buddyzmu, to inna sprawa. To, czego się bali w hinduizmie, to siła jego chtonicznej irracjonalności. I odwrotnie, w buddyzmie przyciągała ich jego oczywista racjonalność, jak również obecność duchowego ideału, który na poziomie etycznym można by powierzchownie porównać do ideału chrześcijaństwa.

Chociaż liczebnie bramini stanowili mniejszość w porównaniu z nairami, ezhawami i chrześcijanami, to byli społecznością bardzo wpływową i nadal odgrywali niezwykle dużą rolę w życiu społecznym i religijnym. Dzielili się na dwie grupy – braminów tamilskich, którzy byli stosunkowo niedawnymi imigrantami z Madrasu, oraz rdzennych braminów malajalskich. Oprócz Ramaswamiego Ijera i Wenkateszwara Ijera mieliśmy w Muwattupuzha niewielu przyjaciół wśród braminów tamilskich, natomiast absolutnie żadnych wśród malajalskich – oprócz jednego znajomego. Sposób, w jaki go poznaliśmy, rzuca interesujące, choć ponure światło na zawiłe działanie systemu kastowego w Trawancore.

Jednym z członków Aszramu była nairska kobieta, daleka krewna Kumarana Naira, mieszkająca w zamożnym domu tradycyjnego typu, stojącym na dużej działce pełnej palm kokosowych. Mówiła trochę po angielsku, więc kiedy zjawialiśmy się raz w miesiącu po subskrypcję, czasami zostawaliśmy dłużej na małą pogawędkę. W domu było pięcioro czy sześcioro dzieci, ale żadnego mężczyzny. Najwyraźniej jej mąż był zawsze poza domem. Jednak

pewnego dnia ujrzeliśmy przystojnego młodego człowieka o jasnej karnacji, leniwie opartego o balustradę werandy z ramionami założonymi na piersiach. Zaczęliśmy z nim rozmawiać i okazało się, że był ojcem dzieci i przyszedł zobaczyć się z ich matką, swoją konkubiną. Był braminem nambudiri. Wyjaśnił nam, że w kaście nambudiri tylko najstarszemu synowi wolno było ożenić się z kobietą nambudiri i odziedziczyć rodową własność. Młodsi synowie mieli prawo mieszkać w rodzinnym domu na koszt rodziny, ale nie mogli się żenić. Mogli tylko utrzymywać nairskie kobiety jako swoje konkubiny i odwiedzać je w ich domach. Nadal przy tym obowiązywały ich restrykcje dotyczące kast. Ze smutnym uśmiechem powiedział nam, że nie wolno mu dotykać swoich dzieci, i że pod dachem konkubiny może co najwyżej napić się szklanki wody.

Później inni nasi przyjaciele dorzucili trochę więcej szczegółów do tego dziwnego obrazu. Generalnie bramini, zwłaszcza z kasty nambudiri, cieszyli się tak wielkim prestiżem, że krewni tych nairskich konkubin uważali tego typu skoligacenie za wielki honor dla rodziny. W istocie system ten rozciągał się nawet na rodzinę królewską panującą w Trawancore – obecny maharadża był owocem romansu między siostrą poprzedniego maharadży i malajalskim braminem. Ułatwieniem dla tych nierównych związków był fakt, że społeczność nairów zorganizowana była na zasadzie matriarchalnej (przodków ze strony matki) i własność rodowa przechodziła nie z ojca na syna, tylko z wuja ze strony matki na siostrzeńca. Jednak system nie był pozbawiony wad. Dziewczęta z kasty nambudiri traktowano z wielką surowością, żeby nie powiedzieć brutalnością. Nawet jeśli dziewczyna tylko spojrzała na obcego, była skończona. Jej przestępstwo podawano do publicznej wiadomości łącznie z informacją, że w określonym dniu o określonej godzinie zostanie wyrzucona z rodzicielskiego domu. Kiedy nadchodziła wyznaczona pora, przy tylnych drzwiach domu dziewczyny gromadzili się wyczekująco mężczyźni z różnych kast i różnych społeczności. W pewnym momencie drzwi otwierały się gwałtownie, dziewczynę wypychano na zewnątrz i z trzaskiem je znów zamykano. Zebrani mężczyźni rzucali się do walki o posiadanie kobiety. Ten, który pierwszy ją złapał, miał prawo zabrać ze sobą – od tej pory była jego własnością. Ponieważ dziewczęta te miały jasną karnację, co według indyjskich standardów automatycznie oznacza wielką urodę, były bardzo pożądane, zwłaszcza wśród muzułmanów.

Kasta nambudiri niewątpliwie była zdumiewającą społecznością. Sądząc z tego, co o nich słyszeliśmy, wyróżniali się głównie ekstremalną społeczno-religijną ortodoksyjnością oraz wielką liczbą romansów. Malajalamskie przysłowie głosiło, że bramin nambudiri codziennie odbywa trzy kąpiele rytualne i kocha się z czterema kobietami. Inną charakterystyczną dla nich cechą był brak zahamowań w kwestii nagości. Zamiast jak wszyscy zabierać ze sobą wodę do ubikacji, ruszali na jej poszukiwanie dopiero po załatwieniu się, nadal mając podkasane dhoti w sposób, który ich nieprzyzwoicie obnażał. Powiedziano nam, że w wioskach w głębi kraju powszechnym i najczęstszym widokiem każdego dnia jest grupa braminów nambudiri, którzy po kąpieli siedzą w kucki na mandapie, czyli osłoniętej dachem kamiennej platformie przed świątynią – wszyscy są głęboko pogrążeni w dyskusji i zupełnie nadzy. Pamiętając informację, że Śankaraciarja, wielki nie-dualistyczny filozof, był braminem nambudiri, zapytałem, o czym zazwyczaj dyskutowali. „O seksie – padła odpowiedź – o niczym innym, tylko o seksie". Być może to właśnie w tego typu kręgach zrodziły się dzieła takie jak *Kama Sutra*. Ale nawet wśród nambudirów stary porządek z wolna ulegał zmianie. Młodsi synowi byli coraz bardziej krnąbrni i wielu z nich w rzeczywistości zostało komunistami.

Z większością naszych przyjaciół spotykaliśmy się w ich domach. Prawie żaden z nich nigdy nie odwiedził nas w Aszramie. Jednym z nielicznych wyjątków był Kriszna Warrier. Ten stary człowiek był rzeczywiście wyjątkowy pod wieloma względami. Nie tylko był jedynym przedstawicielem społeczności warrierów w Muwattupuzha, ale też nigdy nie miał na sobie nic więcej oprócz najkrótszej możliwej przepaski na biodrach i sznura paciorków rudrakszy. Jednak brak odzieży z nawiązką nadrabiał tym, co żartobliwie określaliśmy z Satjapriją terminem 'barwy wojenne'. Czoło, ramiona i klatkę piersiową miał pomalowane w pasy obficie nałożonym białym popiołem, jak również naznaczone różowymi i żółtymi plamkami z pasty sandałowej. Ponieważ mieszkał sam i nie miał regularnego zajęcia, był naszym gościem stosunkowo często. Kiedy wychodziliśmy ze świątyni po porannej pudży, widzieliśmy, że siedział w naszym pokoju z ogoloną

głową spuszczoną na piersiach, siwym kilkudniowym zarostem i obliczem pomarszczonym od bezzębnego uśmiechu. Mimo że mówił łamanym angielskim, a my jeszcze bardziej łamanym malajalamem, to wkrótce udało nam się zaprzyjaźnić. Któregoś dnia zapytaliśmy go, jaka jest pozycja warrierów w systemie kastowym. „Wyższa niż braminów," – odpowiedział ze stłumionym chichotem. Najpierw myśleliśmy, że żartował. W ortodoksyjnym hinduizmie 'wyższy od braminów' jest sprzecznością samą w sobie – bramini z definicji byli najwyżsi rangą. Niemniej jednak nasz stary przyjaciel upierał się przy swoim stwierdzeniu.

Później, omawiając sprawę już tylko we dwóch, zastanawialiśmy się z Satjapriją, czy warrierowie mieli jakiś związek z buddyzmem. Była to społeczność bardzo nieliczna – mówiono, że jest ich tylko kilkuset w całym królestwie. Podobnie jak Kriszna Warrier, który otrzymał inicjację do tajemnic tantrycznej bogini Radżaradżeszwari, wszyscy świetnie znali sanskryt i byli dobrze wykształceni, jeśli chodzi o tradycyjną wiedzę religijną, medyczną i okultystyczną. Być może, podobnie jak wajraciarjowie w Nepalu, byli zlaicyzowanymi potomkami buddyjskich mnichów z późnego okresu tantrycznego. To by wyjaśniało twierdzenie „wyższa niż braminów" i może też definitywny związek z tantryzmem. Nie byliśmy jednak w stanie dalej badać tej kwestii i pochodzenie warrierów pozostało dla nas jedną z niewyjaśnionych tajemnic Trawancoru.

Rozdział 34

Wycieczki i inne zajęcia

Chociaż bardzo lubiliśmy spotykać się z przyjaciółmi i poznawać zwyczaje i obyczaje różnych społeczności, obaj z Satjapriją czuliśmy się najszczęśliwsi w Aszramie, który rzeczywiście stał się naszym duchowym domem. Wyjąwszy początek miesiąca, kiedy wychodziliśmy do miasta zebrać zadeklarowane datki, zgodnie z naszymi pierwotnymi zamiarami spędzaliśmy coraz więcej czasu na medytacji. Zaczęliśmy też przestrzegać zasady milczenia – po wieczornej medytacji, która teraz kończyła się dość późno, nie rozmawialiśmy ze sobą aż do zakończenia pudży następnego dnia rano.

Były też inne zmiany. Odszedł Raman Nair i za sugestią Swamiego Agamanandy jego miejsce zajął Szankara Pillai, szczupły, energiczny, emerytowany urzędnik w wieku około czterdziestu lat. Ponieważ Szankara Pillai miał większą wyobraźnię niż jego głupkowaty poprzednik, 'trociny' – te suche i te pływające w wodzie – wkrótce zostały zastąpione bardziej pożywną dietą. Na śniadanie i kolacje był kleik ryżowy jedzony łyżką zrobioną z liścia chlebowca, a na obiad ryż i czatni składające się z utartego kokosa i czerwonych papryczek chilli. Czasami mieliśmy deser, zwykle były to albo połówki lepkiego żółtego owocu chlebowca albo kilka bananów. Od czasu do czasu jako specjalny przysmak dostawaliśmy papady, czyli cienkie jak opłatki naleśniki z mąki ryżowej, które Szankara Pillai kupował gotowe na bazarze. Jednak wiązał się z tym pewien problem, ponieważ były różne papady dla różnych kast – można było kupić papady dla braminów, dla nairów, ezhawów, papady chrześcijańsko-muzułmańskie, ale nie było w Trawancore czegoś takiego jak papada dla bezkastowców. Co mieliśmy robić? W końcu zostawiliśmy to do decyzji Szankary Pillaia, co prawdopodobnie oznaczało, że jedliśmy papady nairskie.

Minęło kilka miesięcy i Aszram wyglądał znacznie schludniej, nie był już tak fatalnie zaniedbany. Okazało się, że nasz nowy menedżer jest nie tylko kucharzem, ale też rolnikiem. Jak większość Malajalów faktycznie uprawianie ziemi miał we krwi i dość szybko zaopiekował się ziemią w Aszramie. Codziennie podlewał krzewy z kwiatami na górnym tarasie, więc rozkwitały obficiej niż kiedykolwiek. Oczyścił również leżący trochę dalej nieużytek przygotowując go pod uprawę tapioki. Nie zapominał też o samym Aszramie. Na polecenie Satjapriji zlecił naprawę dachu i otynkowanie ścian w miejscach, gdzie tynki odpadły. Ostatecznie, aby potwierdzić jego menedżerski status, pozwolono mu zatrudnić do zamiatania starą kobietę z kasty niedotykalnych. Odziana tylko w bardzo krótką przepaskę na biodrach, z białymi włosami falującymi wokół ramion, codziennie rano zakradała się bezszelestnie na teren Aszramu i zamiatała opadłe liście chlebowca walające się na dziedzińcu obok naszego pokoju. Za tę usługę płaciliśmy jej dwie rupie miesięcznie.

Dla osoby z moim temperamentem warunki w naszym schronieniu na szczycie wzgórza były teraz idealne. Kiedy nie medytowałem, ani nie studiowałem, po prostu siedziałem sobie z przyjemnością na niskim murku werandy patrząc jak gumowate zielone liście plantana trzepoczą i drżą w pozornie nieruchomym powietrzu lub słuchałem jak wznosi się i opada rytmiczne jodłowanie rolnika, który w dzień i w nocy pracował przy perskim kole37 na polach ryżowych znajdujących się niecały kilometr od bramy Aszramu. Zdarzało się, że kiedy głęboko poruszyło mnie piękno scenerii lub moje własne refleksje, słowa i opisowe frazy spontanicznie wypływały z głębi duszy czasem układając się w zdania a potem w wiersz. Jednak Satjapriji ta idylliczna egzystencja nie wystarczała. Nawet łącznie z naszymi wycieczkami do miasta, z większości których ja sam chętnie bym zrezygnował, życie składające się z medytacji i nauki nie było wystarczającym ujściem dla jego kipiącej energii. Wkrótce zaczął się rozglądać, co jeszcze mógłby robić, i w końcu

---

37

Rodzaj studni w Indiach [przyp. tłum.]

zdecydował, że zorganizuje rozdawanie mleka w proszku miejscowym dzieciom, z których wiele było wyraźnie niedożywionych.

Dlatego codziennie o czwartej po południu Aszram przeżywał najazd dwudziestu do trzydziestu chłopców i dziewcząt w każdym wieku, od dwulatków do nastolatków, a każde dziecko trzymało w ręku miedziany kubek lub skorupę orzecha kokosowego. Przed ich przyjściem Szankara Pillai brał bardzo duży garnek i mieszał w nim z wodą mleczny proszek, który dostawaliśmy z lokalnego oddziału Czerwonego Krzyża. W pierwszym dniu rozdawania zauważyliśmy, że dzieci instynktownie dzieliły się na grupki stosownie do kast i choć bardzo staraliśmy się połączyć je w jedną grupę, było to prawie niemożliwe. Dzieci z kasty niedotykalnych, ciemniejsze i brudniejsze od innych oraz ubrane w gorsze łachmany (jeśli w ogóle miały na sobie jakieś ubranie) początkowo nie chciały nawet podejść do ganka bocznej werandy, gdzie rozdawaliśmy mleko, i tylko uparcie zbijały się w grupkę u stóp frontowych schodów. Dopiero po kilku tygodniach perswazji podeszły do werandy, ale na to wtargnięcie pozostałe dzieci zareagowały automatycznym odsunięciem się od nich. Inny problem polegał na tym, że wiele dzieci dostało od rodziców polecenie, żeby nie wypijały mleka na miejscu w Aszramie, tylko przyniosły je do domu dla rodziny do kawy. Dlatego obaj z Satjapriją musieliśmy pilnować, żeby wszystkie od razu wypiły mleko do ostatniej kropli. Wymagało to z naszej strony mnóstwa udawanych bardzo poważnych gróźb, co wywoływało u dzieci mnóstwo śmiechu. Mimo że tak wcześnie narażone na uprzedzenia kastowe, generalnie dzieci były żywe i przyjacielskie, choć z początku trochę nieśmiałe, i z zadowoleniem widzieliśmy, że przychodzi ich coraz więcej, a one same z każdym tygodniem wyglądają coraz zdrowiej i lepiej.

Zachęcony sukcesem przy rozdawaniu mleka, Satjaprija zainicjował w niedzielne poranki sesje bhadźan, na których śpiewał religijne pieśni przy akompaniamencie pary małych talerzy, a zebrani dołączali chórem w przepisany sposób. Na zakończenie tych sesji rozdawano prasad, czyli uświęcone jedzenie. Ponieważ ja nie byłem muzykalny, a poza tym nieszczególnie wzruszały mnie pieśni pochwalne na cześć Ramy lub Kriszny, nie brałem udziału w tych ceremoniach. Początkowo bhadźan organizowany był z intencją zapewnienia członkom Aszramu czegoś w rodzaju ekwiwalentu porannej niedzielnej ceremonii religijnej, jednak dorośli wkrótce przestali przychodzić. Zostały tylko dzieci, które zjawiały się głównie ze względu na prasad, więc w końcu zrobiło się z tego wydarzenie wyłącznie dla juniorów, podobnie jak rozdawanie mleka. Satjaprija w ogóle się tym nie przejął. Otoczony tłumem klaszczących i radośnie śpiewających chórem dzieci, w większym stopniu mógł sobie pozwolić, niż w obecności bardziej krytycznych dorosłych, na wywrzaskiwanie hymnów w tak żarliwy sposób i tak mocno fałszując, jak tylko mu się podobało. Dorośli zjawiali się jedynie po solidniejszą strawę duchową, dlatego od czasu do czasu organizowaliśmy w Aszramie publiczne spotkania i wykłady.

Jednym z najbardziej udanych był wykład, który odbył się w pierwsze Boże Narodzenie po naszym przyjeździe, kiedy mówiłem o buddyzmie i chrześcijaństwie. Zjawiło się ponad sto osób, w tym nasz przyjaciel kierownik poczty i jeden czy dwóch innych chrześcijan. W Trawancore było to oczywiście niesłychane, żeby chrześcijanin wszedł do hinduistycznej świątyni, i powiedziano nam, że to był pierwszy raz, kiedy nie-hinduista postawił stopę na terenie Aszramu. Celowo wybrałem tak prowokacyjny temat i oczywiście ryba złapała się na przynętę. Pod koniec wykładu podsumowałem elementy świadczące o wpływie buddyzmu na wczesne chrześcijaństwo. Ponieważ bardzo dobrze wiedziałem, że taki wpływ był owszem możliwy, ale nie było na niego żadnych bezpośrednich dowodów, starannie uporządkowałem wszystkie istotne fakty i wyłuszczyłem mój punkt widzenia tak mocno, jak tylko potrafiłem. Ponieważ chrześcijaństwo w Trawancore było wiarą o wybitnie wojowniczym charakterze, chciałem zaprezentować jeśli nie pełnowymiarowy ‘kontratak ze Wschodu’, to przynajmniej małą dywersyjną potyczkę. Oczywiście kiedy dobitnie nakreślałem moje poglądy, a to odwołując się do misji wysyłanych przez Asiokę na Zachód w trzecim wieku przed naszą erą, a to do Esseńczyków, a to do analogii między buddyjskimi i chrześcijańskimi przypowieściami, widziałem konsternację malującą się na wesołej zazwyczaj twarzy dobrego kierownika poczty, stojącego na końcu sali. Później mieliśmy na ten temat kilka dyskusji i chociaż nigdy nie skłoniłem go do uznania nawet tego, że wpływ buddyzmu na chrześcijaństwo był kiedykolwiek możliwy, to przynajmniej miał ochotę o tym rozmawiać, a to

była moim zdaniem najważniejsza rzecz. Nasi przyjaciele hinduiści byli rzecz jasna ogromnie zadowoleni z wykładu. Przyjęli wszystkie argumenty bez żadnych pytań i uznali mój punkt widzenia za udowodniony, choć oczywiście nie był. Nie żałowałem im jednak tej satysfakcji, ponieważ hinduizm od tak dawna był w Trawancore na pozycjach obronnych, że czułem, iż raz na jakiś czas należy im się mały zastrzyk wzmacniający morale i trochę radości z tego powodu.

Czasami uczestniczyliśmy w spotkaniach odbywających się w mieście. Pięć tygodni po moim wykładzie o buddyzmie i chrześcijaństwie, w Nowym Delhi miało miejsce wydarzenie, które przejęło zgrozą cały kraj, a praktycznie rzecz biorąc cały świat, i wzbudzając w Muwattupuzha reakcje nie mniej głębokie niż wszędzie indziej, sprawiło, że zaangażowaliśmy się w największe publiczne spotkanie, jakie miało miejsce w mieście podczas naszego tam pobytu. 31 stycznia 1948 roku zamordowano Mahatmę Gandhiego. Kiedy przejeżdżaliśmy z Satjapriją przez Delhi zaledwie sześć miesięcy wcześniej, zastanawialiśmy się, czy nie pójść i go nie zobaczyć. Teraz ku mojemu wielkiemu żalowi straciliśmy taką okazję na zawsze. Najpierw ludzie byli po prostu ogłuszeni tą wiadomością. Potem zaczęto obawiać się rozruchów społecznych na wielką skalę między muzułmanami i hinduistami – na początku powszechnie zakładano, że Mahatmę na pewno zamordował muzułmanin. Kiedy wiadomo już było, że zabójca nazywa się Nathuram Godse i jest braminem, ludzie przyjęli to z ulgą. „Dzięki Bogu, że to Hindus", mówili. Publiczny żal był ogromny. Gazety drukowano w wielkich czarnych obwódkach i przynajmniej raz obaj je przeczytaliśmy.

Tydzień później poproszono mnie, żebym poprowadził spotkanie kondolencyjne zorganizowane, aby miasto mogło wyrazić swój smutek i żałobę. Odbyło się ono wieczorem na terenie miejscowej szkoły średniej. Zanim się zaczęło, zrobiło się już ciemno i na ciemnogranatowym niebie ponad czarnymi wierzchołkami palm kokosowych pojawiły się gwiazdy. Jedynym źródłem światła była mała oliwna lampka stojąca przede mną na stoliku, a jej miękki złoty blask odbijał się na twarzach ludzi w pierwszych dwóch, może trzech rzędach gęstego tłumu siedzącego u moich stóp. Reszta zgromadzonych pogrążona była w ciemności. Ku mojemu zdziwieniu, na końcu zgromadzenia dostrzegłem czerwone punkciki tuzina lub więcej zapalonych papierosów, natomiast od ludzi stojących z tyłu za mną – a była wśród nich większość czołowych obywateli miasta – doszedł mnie silny zapach alkoholu. Jak się później dowiedziałem, kilka osób przyszło prosto ze sklepu z grogiem. W moim wstępnym przemówieniu ostro przywołałem winowajców do porządku, po czym czerwone punkciki gwałtownie znikły, a dwie lub trzy osoby za moim krzesłem cicho usunęły się w cień. Mahatma Gandhi nie żyje zaledwie od tygodnia – stwierdziłem – a wygląda na to, że ludzie już zaczęli zapominać, czego nauczał.

Nieporównanie mniej ważne, chociaż niezwykle interesujące dla wszystkich odłamów społeczności chrześcijańskiej, było przyjęcie ogrodowe zorganizowane w lokalnym kościele anglikańskim na cześć wizytującego biskupa anglikańskiego. Na tę imprezę zostaliśmy z Satjapriją zaproszeni dzięki uprzejmości kierownika poczty. Ponieważ biskup był z urodzenia Hindusem, miałem nadzieję, że będziemy mogli z nim podyskutować. Zaiste w naiwności swej wyobrażałem sobie nawet, że z zadowoleniem przyjmie okazję spotkania z przedstawicielami innej wiary. Jednak rozmowa z dwoma ascetami w szafranowych szatach, z których jeden ewidentnie był Europejczykiem, była ostatnią rzeczą, jakiej pragnął biskup. Kiedy nas przedstawiono, zimno uścisnął nam dłonie i odwrócił się bez słowa. Kilkanaście minut później jawnie zaznaczył swoje stanowisko. Odpowiadając na przemówienie powitalne, nazwał Trawancore 'tą chrześcijańską ziemią', jakby wyznawcy hinduizmu w tym królestwie, których przecież było dwa razy więcej niż chrześcijan, po prostu nie istnieli. Niektórzy z obecnych Hindusów – był wśród nich Kumaran Nair – niezmiernie się oburzyli na taki afront, ale jak zwykle tylko poburczeli między sobą i nic nie zrobili.

Obaj z Satjapriją byliśmy świadomi naszej potrzeby odosobnienia, więc staraliśmy się w miarę możliwości nie zwracać na siebie uwagi zewnętrznego świata. Niemniej jednak, mimo przedsięwziętych środków ostrożności wieści o naszym pobycie w Muwattupuzha rozniosły się po sąsiednich okolicach i wkrótce zalały nas zaproszenia od spragnionych wykładów Malajalów z całego królestwa. Były one zredagowane w niezmiernie pochlebnych słowach i początkowo zwykle

zaadresowane tylko do mnie, jako że byłem ciekawszą atrakcją. Wkrótce jednak organizatorzy zrozumieli, że nie mogą mieć tylko jednego z tych dwóch dziwnych ascetów bez kasty i narodowości i szybko nauczyli się uwzględniać w swych planach również Satjapriję.

Jedno z najbardziej niezwykłych spotkań miało miejsce dość daleko od Muwattupuzhy. Trwało tam coś w rodzaju festynu, na którym zebrały się tysiące ludzi. Ku naszemu wielkiemu zdziwieniu mieliśmy przemawiać dopiero o północy, ale najwyraźniej była to normalna praktyka. W międzyczasie tłum zabawiał się oglądaniem wyczynów pięciu lub sześciu tańczących słoni z pozłacanymi kłami, wymyślnie pomalowanych i osiodłanych w wyszukany sposób. Przy akompaniamencie ogłuszającego dźwięku bębnów i obojów wielkie bestie podniosły się wolno i majestatycznie, stanęły na tylnych nogach i zaczęły się kołysać z boku na bok zgodnie z rytmem muzyki. Kiedy podniosły się do swej maksymalnej wysokości, półnagie postacie przycupnięte na ich ogromnych głowach rozpoczęły dzikie taneczne akrobacje, wymachując jednocześnie jak semafory czymś, co wyglądało na olbrzymie wachlarze w kształcie chorągwi. Cała ta scena otoczona całkowitą ciemnością i oświetlona tylko czerwonymi płomieniami pochodni była w sumie imponującym widowiskiem. Czułem, że nasze wykłady będą na tym tle rozczarowaniem.

Jeśli chodzi o mój wykład, moje obawy były usprawiedliwione, choć nie z powodu słoni. Satjaprija, który zabrał głos jako pierwszy, zakończył swój wykład informując słuchaczy, że ja będę przemawiał następny i powiem dokładnie to samo, co on przed chwilą, więc oba wykłady będą absolutnie identyczne. Jedyną różnicą – jak zapewnił – będzie to, że ja omówię temat trochę innymi słowami. Oprócz tego, że utrudnił mi zadanie, to naiwne oświadczenie sprawiło, że się ośmieszył i poczułem się zażenowany widząc szydercze uśmieszki, jakie pojawiły się na twarzach bardziej wyrobionych słuchaczy. Swami Dharmananda, który siedział razem z nami na podwyższeniu, ponieważ jego też zaproszono z wykładem, nie mógł powstrzymać się od chichotu. Jednak przemawiałem tak, jakby nic się nie stało, i zrobiłem, co mogłem, aby uratować sytuację. Satjaprija z pewnością nie miał zamiaru obniżyć rangi mojego wykładu. Wiedząc, że nie zgadzamy się w pewnych kwestiach, obawiał się tylko, żeby różnice w naszych poglądach nie zbyły zbyt oczywiste dla publiczności – uważał, że powinniśmy stwarzać wrażenie jednomyślności.

Innym razem odwiedziliśmy Warkalę i Thackalaj – dwa główne ośrodki ruchu założonego przez Guru Narajanę na początku wieku. Jak już wiedzieliśmy z broszury otrzymanej od jednego z przyjaciół, Narajana Guru był hinduskim nauczycielem religijnym i reformatorem społecznym o ogromnej prawości i uczciwości, który mimo wielkiego upośledzenia jakim był fakt, że urodził się ezhawem, zanim zmarł stał się bardzo wpływową postacią i zyskał wielki szacunek nie tylko w Trawancore, ale też na dużym obszarze całych południowych Indii. W Warkali, głównej siedzibie ruchu w aspekcie świeckim, wzięliśmy udział w spotkaniu, które odbyło się na obszernym wewnętrznym dziedzińcu czegoś w rodzaju aszramu. Ale niewiele się tam wydarzyło. W gruncie rzeczy, wyczuwaliśmy w powietrzu niewypowiedziane różnice, a nawet milczące kontrowersje. Było trochę tak, jakby przeciwstawne siły wzajemnie się znosiły uniemożliwiając jakiekolwiek działanie. Panowała w tym miejscu dziwnie bezwładna, martwa atmosfera. Udało nam się jednak zamienić kilka słów z Nataradżem Guru, najbardziej znanym uczniem Narajany Guru, mężczyzną w kwiecie wieku, który z siwymi lokami do ramion i w powiewających szatach z jasnożółtego jedwabiu wyglądał w połowie na mnicha, a w połowie na osobę świecką.

W Thackalaj, głównej siedzibie ruchu w aspekcie religijnym, nie było żadnych zebrań i spędziliśmy tam trochę czasu w ciszy i spokoju. Któregoś popołudnia w ośmiokątnym budynku z czerwonego laterytu, który jaskrawo rzucał się w oczy na tle soczystej zieleni otaczającego krajobrazu, spotkaliśmy ośmiu lub dziewięciu członków zakonu monastycznego założonego przez Narajanę Guru i odbyliśmy z nimi długą dyskusję na temat buddyzmu. W przeciwieństwie do Guru Nataradży wszyscy mieli zgolone głowy i nosili szafranowe szaty ortodoksyjnych ascetów hinduskich. Jednak wydawało się, że coś tu jest nie tak, a przynajmniej nie całkiem w porządku. Jakby oni sami nie do końca czuli się mnichami i tylko odgrywali takie role. Może było tak dlatego, że jako ezhawowie wiedzieli, że poza ich własnym środowiskiem zewnętrzny świat nie uznaje ich za mnichów. Pokazano nam też dwie świątynie, jedną poświęconą bogini Saraswati, a drugą bogowi Sziwie. Usłyszeliśmy, że ruch nie uznawał bóstw hinduskich, ale Narajana Guru pozwolił

czcić Saraswati, patronkę uczenia się, jako symbol czystego Piękna, oraz Sziwę, patrona ascetów, jako symbol Wyrzeczenia. W przeciwieństwie do bardziej ortodoksyjnych świętych miejsc hinduizmu, te dwie świątynie były nieskazitelnie czyste, dobrze oświetlone i kolorowe.

Mimo że Satjaprija oprócz medytacji i studiów zajmował się codziennie rozdawaniem mleka i co tydzień prowadził sesje bhadźan, i mimo naszych okazjonalnych wycieczek, mój przyjaciel nadal miał w sobie mnóstwo energii, dla której musiał znaleźć jakieś satysfakcjonujące ujście. W końcu po okresie wielkiego marudzenia, irytacji i wielu dyskusji z naszymi przyjaciółmi, zwłaszcza tymi, którzy byli w komitecie Aszramu, zdecydował, że dobrze byłoby, gdybyśmy zebrali fundusze na zakup kilkunastu ręcznych krosen i otworzyli przy Aszramie mały zakład produkcyjny. Dzieci biednych rodziców mogłyby się tu nauczyć tkania, wyplatania koszyków i innych umiejętności przydatnych w gospodarstwie wiejskim i w ten sposób zarabiać na życie. Początkowo zaproponował, żeby umieścić tę mini fabryczkę na bocznej werandzie i ganku, jednak były one za małe, aby pomieścić więcej niż pięć lub sześć krosen, więc w końcu zdecydowaliśmy, że to niedobry pomysł. Poza tym nieustanny stukot krosen zupełnie zniszczyłby spokojną atmosferę Aszramu, a obaj bardzo pragnęliśmy tego uniknąć.

Na szczęście, mając przypadkiem dostęp do dokumentów z tytułami własności Aszramu, odkryliśmy, że po drugiej stronie ścieżki biegnącej przed frontową bramą, znajdowało się około pół akra nieuprawianej i nieogrodzonej ziemi, która należała do Aszramu. Chociaż nikt nie wiedział o tej parceli i oczywiście była całkowicie zarośnięta, z pomocą Kumarana Naira i innych przyjaciół prawników nie było trudności z ustaleniem, że Aszram ma prawo własności do tej działki. Dlaczego nie mielibyśmy stworzyć tutaj małego zakładu należącego do Aszramu? A oprócz zakładu dlaczego nie mogłaby powstać niezależna Szkoła Przemysłowa? Dlaczego nie mielibyśmy postawić tu specjalnego budynku do tego celu? Oczami wyobraźni Satjaprija już widział imponujący gmach z tuzinami nauczycieli i setkami uczniów z całego kraju. Ludzie przyjeżdżaliby tu z całych Indii, aby obejrzeć i podziwiać tę budowlę.

W ciągu kilku dni ziemię oczyszczono, wyrównano i przygotowano plany techniczne. Zaczęły też napływać pieniądze. Ponieważ Szkoła Przemysłowa miała być instytucją całkowicie oddzielną od Aszramu, z własnym komitetem, a jej funkcja była czysto społeczna i edukacyjna, nie wahaliśmy się prosić o darowizny na jej budowę nawet tych ludzi, którzy w ogóle nie interesowali się religijną działalnością Aszramu. Projekt spotkał się z ciepłym przyjęciem ze wszystkich stron. Satjaprija był zachwycony. Od rana do nocy zajmował się kosztorysami budowlanymi, specyfikacjami krosen, rachunkami oraz dyskusjami i konsultacjami wszelkiego możliwego rodzaju. Jego niespożyta energia wreszcie znalazła sobie stosowne ujście.

Przygotowania szły pełną parą, kiedy znów okazało się, że szczęście nam sprzyja. Oprócz odkrycia, że mamy ziemię pod Szkołę Przemysłową, zorientowaliśmy się, że mamy również materiały budowlane. Wzgórze, na szczycie którego stał Aszram, pod cienką warstwą powierzchniowej gleby było porządną skałą laterytową. Wkrótce, na niższej części terenu, kulis38 wyrąbywał siekierą półmetrowe płyty – miękki porowaty kamień wyglądał zupełnie jak świeżo ukrojony czerwony ser Gruyere.

Tym kulisem był niedotykalny, syn lub wnuk starej kobiety, która zamiatała nasz dziedziniec, ojciec dwójki lub trójki małych śniadych dzieciaczków, które przychodziły po południu po mleko. Cała rodzina, składająca się z siedmiu czy ośmiu osób, mieszkała na malutkiej polance w dżungli w pół drogi między Aszramem i rzeką – obaj z Satjapriją często mijaliśmy ich schodząc w dół do rzeki na poranną kąpiel. Oblepiona czarnym błotem nędzna rudera, w której mieszkali, wyglądała bardziej jak nora dzikich zwierząt niż ludzka siedziba. Zagłodzone kundle, u których widać było tylko żebra i oczy, plątały się wokół z podkulonymi ogonami, a czarna świnia z czerwonymi oczkami ryła w otaczającym wszystko błocie poszukując resztek jedzenia. Nie było tam absolutnie żadnych udogodnień. Sami niedotykalni byli chudzi, czarni i chowali się przed nami – z brudnymi ciałami i śmierdzącymi włosami byli początkowo ogromnie zawstydzeni, że odkryliśmy ich haniebną, nieczystą obecność.

---

38 Oryg. ‘coolie’ – niewykwalifikowany robotnik w Indiach, wykonujący najgorzej płatne prace. [przyp. tłum.]

Jednak nasz młody rębacz laterytu uderzająco różnił się od reszty rodziny. Miał niewiele ponad dwadzieścia lat, bardzo proporcjonalne ciało o miedzianym, prawie złotawym odcieniu, a jego niezwykle piękna twarz wyrażała anielską niewinność. Nie mogłem się powstrzymać od rozważań, czy romanse nambudirów nie rozciągały się przypadkiem nawet na chaty niedotykalnych. Przyzwyczajony do słyszenia wyłącznie rozkazów lub obelg był wobec nas wyjątkowo nieśmiały i wciągnięcie go w rozmowę okazało się niemożliwe. Jedyną reakcją, jaką uzyskaliśmy, był sympatyczny, choć głupkowaty uśmiech. Poza tym często bywał pijany i patrzył na nas bezrozumnie oczami nabiegłymi krwią. Mimo to, w końcu dowiedzieliśmy się, jak miał na imię. Panglin – powiedział – ocierając czoło ramieniem z widocznym zażenowaniem.

W żaden sposób nie mogliśmy ustalić, co oznacza Panglin. Z pewnością nie było to słowo sanskryckie, a brzmieniem nawet nie przypominało języka malajalam. Wreszcie oświecił nas Kumaran Nair. Panglin i Tanglin były nazwami dzikich ptaków. W Trawancore, tak jak w innych rejonach Indii, niedotykalnym nie wolno było używać zwykłych imion nadawanych Hindusom. Zwracano się do nich imionami ptaków, dzikich zwierząt lub takimi określeniami jak Brudny, Brzydki, Głupi, Złodziej lub Łajdak. Dlatego, jeśli niedotykalnego pytano o imię, musiał odpowiedzieć na przykład: „Mam na imię Głupi," albo „Nazywam się Brzydki". Powód, dla którego nie wolno im było używać hinduskich imion własnych, był taki, że zazwyczaj zawierały one w sobie nazwę bóstwa lub bogini, a imiona bogów i bogiń były zbyt święte, aby zanieczyszczać je powiązaniami z niedotykalnymi. Jeszcze raz z całą siłą przypomniałem sobie słynny okrzyk Swamiego Wiwekanandy, kiedy podróżował przez tę część kraju pół wieku wcześniej. Malabar był domem wariatów! Ale jeśli ortodoksyjny hinduizm był szalony w swym traktowaniu niedotykalnych, wydawało się, że tutaj, tak samo jak wszędzie w Indiach, była w tym szaleństwie okrutna metoda.

Kiedy dowiedzieliśmy się, co oznacza Panglin, Satjaprija szybko 'przechrzcił' młodego kamieniarza. Powiedział mu, że od tej pory będzie się nazywał Rama. Ale Rama tylko spojrzał na niego znad swojej roboty z pijackim uśmiechem i chociaż Satjapriji udało się potem doprowadzić do tego, żeby reagował na to imię, było oczywiste, że ta zmiana niewiele dla niego znaczy.

Ponieważ Swami Agamananda był przewodniczącym komitetu Aszramu, naturalnie musieliśmy konsultować z nim wszystkie sprawy związane z nowym projektem. Wymagało to kilku wypraw do Kalady. Podczas jednej z tych wizyt, przyjechaliśmy późno w nocy i przestraszeni zobaczyliśmy, że cały Aszram otoczony jest strażą składającą się z około sześćdziesięciu uzbrojonych w karabiny policjantów. Po ustaleniu naszej tożsamości musieliśmy skradać się wzdłuż brzegu rzeki, żeby wejść do Aszramu tylnymi drzwiami. Okazało się, że Swami Agamananda był w trakcie jednej ze swych okresowych awantur z miejscowymi rzymskimi katolikami i najwyraźniej tym razem krew się w nich zagotowała. Nie tylko zaatakował Dziewicę Maryję w swoim czasopiśmie, twierdząc, że wcale nie była taką osobą, za jaką ją uważano (Chrystus był według niego nieślubnym synem rzymskiego żołnierza), ale jeszcze miał czelność zająć, z pomocą rządu królestwa, działkę ziemi, na której katolicy chcieli zbudować nowy kościół. Podburzony przez księży rozwścieczony tłum postanowił zlinczować Swamiego Agamanandę i spalić Aszram do gołej ziemi. Obaj z Satjapriją byliśmy jak najdalsi od aprobowania obelg Swamiego Agamanandy wobec Dziewicy Maryi, ale wiedzieliśmy, że w ten sposób mścił się tylko za to, że wszystkie odłamy chrześcijan (z wyjątkiem syryjskich) od dawna zwyczajowo atakowały moralność Szri Kriszny i innych hinduistycznych bogów. Więc naszym zdaniem z tego powodu nie miały prawa się uskarżać, jeśli Swami uważał, że co dobre dla gęsi, dobre i dla gąsiora. W Aszramie znaleźliśmy go w pogodnym nastroju i bez objawów skruchy. W gruncie rzeczy, ponieważ zdobył przewagę nad wrogami, był bardzo wesoły. Rzymscy katolicy to interesujący ludek – stwierdził mrugając do nas okiem – zawsze o coś ruszają do boju. Nic nie szkodzi, nauczą się, nauczą się…

Rozdział 35

Ścieżka do wewnątrz

Pora deszczowa nadeszła i odeszła, nasz kamieniarz o anielskiej twarzy wykuł około dwóch tysięcy bloczków czerwonego laterytu, kiedy Satjaprija nagle odwołał cały projekt Szkoły Przemysłowej. Przez kilka miesięcy w zasadzie nie myślał o niczym innym. Zostawił mi obowiązek rozdawania darmowego mleka dzieciom i często spędzał cały dzień w mieście, wracając dopiero o szóstej wieczorem na wieczorną medytację. Teraz fala się odwróciła i w końcu nastąpiła silna reakcja zwrotna. Był zmęczony pracą społeczną i zmęczony koniecznością spotykania się z ludźmi. Nie chciał już mieć nic więcej do czynienia z projektami technicznymi i kosztorysami budowlanymi. Jedyne, czego chciał, to medytować. Szkoły przemysłowe same w sobie są wspaniałe, ale budowanie ich w ogóle nie należy do obowiązków osoby, która wyrzekła się świata i poświęciła życiu duchowemu. Jego obowiązkiem, w rzeczywistości jego jedynym obowiązkiem, jest urzeczywistnienie Prawdy.

Działając zgodnie ze świeżo osiągniętym zrozumieniem, Satjaprija błyskawicznie nakreślił ambitny program medytacji, ćwiczeń hatha-jogi i studiowania świętych pism, który zajmował mu cały dzień od wczesnego ranka do późnego wieczora. Była to faktycznie jedna z jego najwspanialszych cech, że nic nie robił na pół gwizdka. Wszystko było dla niego albo czarne, albo białe, dlatego mógł się poświęcić wszystkiemu, w co akurat entuzjastycznie wierzył, bez wahania, bez zastrzeżeń i bez odpowiednich kwalifikacji. Wątpliwości były zdrajcami, obawy kłamstwami. Zlikwidował komitet Szkoły Przemysłowej, zakończył codzienne rozdawanie mleka, odwołał cotygodniowe sesje bhadźan, po czym pogrążył się całym sercem w pełnowymiarowej praktyce duchowej z takim samym zapałem, z jakim wcześniej zajmował się pracą społeczną. Goście zostali zniechęceni do odwiedzin i wkrótce w Aszramie zapanowała cisza rzadko kiedy przerywana odgłosem kroków jakichś intruzów.

Choć zaskoczyła mnie tak gwałtowna i całkowita zmiana frontu ze strony Satjapriji, początkowo nie zmieniła jakoś szczególnie mojej własnej rutyny. Nauka, medytacja i praca literacka to były moje jedyne prawdziwe zainteresowania i pilnie je kontynuowałem od samego przyjazdu do Muwattupuzhy. Przez te trzy czy cztery miesiące, kiedy mój przyjaciel zajęty był planami Szkoły Przemysłowej, jego ciągła nieobecność w Aszramie w gruncie rzeczy dała mi dodatkowy czas na rozmyślania i dzięki temu szereg rzeczy stało się dla mnie jasnych. Minęło sześć lat od chwili, kiedy po raz pierwszy przeczytałem *Diamentową Sutrę* oraz *Sutrę Wei Langa* i uświadomiłem sobie, że jestem buddystą. Od tamtej pory wiele czytałem nie tylko o buddyzmie, ale też o hinduizmie i innych duchowych tradycjach. Miałem również okazję spotkać osobiście zarówno buddystów jak i hinduistów. Z wielkim żalem musiałem przyznać, że przez cały ten czas miałem więcej szczęścia w kontaktach z wyznawcami hinduizmu niż buddyzmu. Wśród poznanych przeze mnie mnichów buddyjskich nie było ani jednego, który mógłby się równać ze Joga Swamim z Dżaffny lub z Anandamaji. Może Bhikkhu Somę dałoby się porównać ze Swamim Pawitranandą, ale generalnie mnisi therawadyjscy, których spotkałem, sprawiali wrażenie mniej aktywnych, mniej wykształconych i mniej ożywionych duchowo niż ich odpowiedniki w Misji Ramakriszny. Ale mimo tych wszystkich rozczarowań czułem się buddystą bardziej niż kiedykolwiek. Naprawdę byłem tak mocno przekonany o prawdzie buddyzmu, że nawet gdybym nigdy nie spotkał żadnego buddysty, którego mógłbym szanować, albo gdybym był jedynym buddystą na świecie, to i tak byłoby całkowicie niemożliwe, żebym poszedł jakąkolwiek inną ścieżką. Moja obecna izolacja w samym środku całkowicie hinduistycznego środowiska przyczyniała się tylko do wzmocnienia mojej świadomości buddyzmu. Stykanie się z kolejnymi przejawami przykrego i dzielącego społeczeństwo systemu kastowego przypominało mi o współczującej buddyjskiej trosce o dobro wszystkich czujących istot, a nabożne odniesienia do Boga lub Najwyższego Ja przywodziły na myśl buddyjskie odrzucenie istnienia jakiejś Najwyższej Istoty i trwałej nieśmiertelnej duszy.

Częściowo na skutek tego konfliktu z hinduizmem, a częściowo z powodu własnego naturalnego rozwoju, moja wiara w buddyzm przeszła w tym okresie znaczącą przemianę.

Początkowo była jakby instynktownym przyciąganiem, czymś w rodzaju duchowego zakochania się, a teraz nabrała cech rozumowego przekonania, które obejmowało zarówno zrozumienie jak i emocje, zarówno jasność jak i namiętność. Kiedy byłem w Kalkucie, bardzo mnie wciągnęły prace D.T. Suzukiego, zwłaszcza *Zarys buddyzmu mahajany* i *Eseje o buddyzmie zen*. Obie pozycje dostarczyły mi dalszych kuszących wglądów w magiczny świat mahajany. Teraz opierając się głównie na tłumaczeniu Bhikkhu Silaćary pierwszych pięćdziesięciu wykładów z *Madźdźhima-Nikaji*, czyli zbioru średniej długości wykładów Buddy, oraz na książce o buddyzmie napisanej przez panią Rhys Davids i wydanej w serii Home University Library (Biblioteka domowego uniwersytetu), zacząłem badać chłodniejsze i jaśniejsze rejony ducha. Trzy nauki Buddy szczególnie przyciągnęły moją uwagę – doktryna o uwarunkowanym pochodzeniu (czyli uwarunkowanym współpowstawaniu), cztery szlachetne prawdy oraz trzy cechy uwarunkowanej egzystencji. Chociaż wszystkie trzy doktryny były mi już wcześniej dobrze znane, to poświęcałem im bardzo mało systematycznej uwagi. Teraz zajmowały mój umysł cały czas praktycznie usuwając z niego wszystkie inne myśli. Oprócz rozważania ich w ciągu dnia, medytowałem też nad nimi w nocy. Czy też raczej, kiedy medytowałem, czasami spontanicznie pojawiały się przebłyski wglądu w transcendentalne prawdy wyrażone terminami pojęciowymi.

Takie mniej więcej tematy łącznie z podstawami tego, co z braku lepszego słowa nazywamy buddyjską myślą, pojawiają się w artykułach, które napisałem w tamtym okresie. Kilka z nich, w taki lub inny sposób, zajmuje się doktryną *anatta*, w której Budda prezentuje swoje zrozumienie faktu, że ‘dusza’ (*atta*) nie jest bytem, tylko procesem, tak więc jeśli czyjaś definicja rzeczywistości obejmuje ideę trwałości, to dusza jest z konieczności nierzeczywista. Jeden z tych artykułów zatytułowany *The Goal of Life’s Endeavour* (Cel życiowych dążeń) spowodował bardzo nieprzyjemny konflikt z Satjapriją. Napisałem ten artykuł specjalnie jako upominek z okazji srebrnego jubileuszu i został opublikowany w miejscowym wydawnictwie, którego właścicielem był członek Aszramu. Kiedy Satjaprija go przeczytał, zwróciłem mu uwagę, że struktura artykułu odpowiada strukturze czterech szlachetnych prawd. Zamiast – jak oczekiwałem – ucieszyć się moją pomysłowością prawie oszalał z wściekłości. Krzyczał, że próbuję propagować buddyzm stosując podstępne metody, i że próbuję osłabić hinduizm. On mnie zdemaskuje, doniesie o tym władzom i dopilnuje, żebym wylądował w więzieniu. Minęła godzina, zanim się uspokoił. W końcu przyznał, że chociaż popełniłem karygodny błąd, to on nie powinien się tak strasznie denerwować i oświadczył, że ponieważ jego wina zrównoważyła moją, wybaczy mi to, co mu zrobiłem, mimo że z moją zwykłą bezkompromisowością odmówiłem przyznania, że nie mam racji.

Mimo że cisza i spokój Aszramu były od czasu do czasu zakłócane tego rodzaju wybuchami, których potem przeważnie gorzko żałował, Satjaprija trzymał się wiernie programu, jaki sobie wyznaczył, i wkrótce z nawiązką nadrobił stracony czas. Znał już hatha-jogę, tradycyjny indyjski system ćwiczeń fizycznych, ponieważ praktykował ją w młodości. Teraz z odnowionym entuzjazmem nie tylko odświeżył sobie to, co już wiedział, ale napisał do Bombaju z prośbą o przysłanie mu serii obszernych współczesnych opracowań naukowych na ten temat oraz tłumaczeń klasycznych tekstów sanskryckich. Ja również przeczytałem niektóre z tych tomów, łącznie z dobrze znaną *Hathajoga-pradipiką* oraz *Gheranda-samhitą*. Pod nadzorem Satjapriji zacząłem też wykonywać różne ćwiczenia i mimo że nie wykazałem szczególnych uzdolnień do tego przedmiotu, to w końcu udało mi się opanować osiem czy dziewięć podstawowych asan, czyli pozycji. Chociaż wiedziałem, że we współczesnych Indiach hatha-joga jest często traktowana jako cel sam w sobie, a nie środek do celu, jest oczywiste, że zdrowie fizyczne i energia odgrywają na tyle ważną rolę w życiu duchowym, że nie ma powodu, aby nie wykorzystać tej starożytnej dyscypliny w sposób, w jaki oryginalnie ją zamierzono.

Któregoś dnia, prawdopodobnie w związku z jakimiś nowymi ćwiczeniami, o jakich czytał Satjaprija, pojawiła się kwestia głodówek. Po dogłębnym przedyskutowaniu sprawy i zapoznaniu się ze środkami ostrożności, jakie należało podjąć, zdecydowaliśmy się na eksperyment – najpierw głodówka dwudniowa, a potem post trwający cały tydzień. Wiedzieliśmy, że post był starodawną praktyką duchową. Starożytni mędrcy czasami nie jedli całymi miesiącami. Nawet w tych zdegenerowanych współczesnych czasach Mahatma Gandhi kilkakrotnie głodował po kilka tygodni

(co prawda z powodów politycznych a nie duchowych), ale i wśród zwykłych ludzi poszczenie w rocznicę śmierci ojca lub matki, bądź w czasie określonych faz księżyca nadal było powszechnie praktykowane. Głodowanie pomaga zniszczyć pragnienia, nie tylko pragnienie jedzenia, ale też generalnie pożądanie rzeczy materialnych. Pomaga uświadomić sobie siłę swojego przywiązania. Sprzyja spokojowi i ciszy w umyśle. Poza tym jest dobre dla zdrowia, gdyż usuwa toksyny z ciała i oczyszcza cały organizm.

Wszystkie te informacje dźwięczały nam w głowie, kiedy zaczynaliśmy swój eksperyment. Dwudniowa głodówka poszła całkiem gładko. Odczekaliśmy tydzień i powiedzieliśmy Szankarowi Pillai, że przez następne siedem dni będzie gotował tylko dla siebie. Zanim faktycznie zaczęliśmy, pomysł niejedzenia przez cały tydzień wydawał nam się lekko samobójczy. Mieliśmy poczucie, że pozbawiając się jedzenia przez tak długi czas, celowo zajrzymy śmierci w oczy. Ale niepotrzebnie się martwiliśmy. Trzeciego dnia, kiedy żołądek wyczerpał już swój limit skurczów, poczuliśmy się straszliwie głodni i wizje wystawnych dań tańczyły nam przed oczami. Od czasu do czasu pojawiała się lekka gorączka i zawroty głowy – jak dowiedziałem się później, ich powodem nie była słabość ciała, tylko wyrzut toksyn. Był to jedyny dyskomfort, jakiego doświadczyliśmy. Pod koniec tygodnia, zwłaszcza wtedy, czuliśmy lekkość, prawie jakbyśmy nic nie ważyli i jakbyśmy w ogóle nie należeli do tego świata. Umysł, kiedy już ucichły początkowe reakcje mentalne, stał się spokojny i jasny. Nie było pragnienia, żeby coś zrobić, ani pragnienia, żeby nic nie robić. Przechadzaliśmy się po dziedzińcu lub siedzieliśmy w swoim pokoju milczący, świadomi i zadowoleni.

W trakcie tych i następnych głodówek konsumowaliśmy tylko wodę, ewentualnie z kilkoma kroplami soku z limonki. Herbaty tak czy inaczej nie piliśmy. Od czasu przybycia do Muwattupuzhy zrezygnowaliśmy zarówno z herbaty jak i kawy. Czy to w domach przyjaciół, czy w Aszramie piliśmy albo wodę, albo jeden z tradycyjnych malajalskich napojów gaszących pragnienie. Była wśród nich serwatka doprawiana solą, świeżym imbirem, zielonymi chilli i jakimś lokalnym ziołem. Była mieszanka melasy i wody oraz jeerum-vellum, popularny napój przyrządzany z jakichś nasion i wypijany gorący po posiłkach. Częściowo dla zasady, a częściowo z powodów ekonomicznych prowadziliśmy życie nadzwyczaj proste. Przez długi czas obywaliśmy się bez mydła, ponieważ na wsi w południowych Indiach jest ono uważane za luksus, więc było niestosowne u osób, które wyrzekły się świata. Szczoteczki i pastę do zębów zastąpiliśmy tańszymi i niemniej skutecznymi gałązkami margosy i zwiniętym liściem mango. Jeśli chodzi o ubrania, nadal nosiliśmy ufarbowane geruą koszule i sarongi, w których wyjechaliśmy z Kasauli ponad rok temu, a ponieważ zgodnie z indyjskim zwyczajem praliśmy je prawie codziennie, w niektórych miejscach były już mocno poprzecierane.

Od dnia, kiedy Satjaprija odwołał projekt Szkoły Przemysłowej, ani on, ani ja nie opuściliśmy terenu Aszramu. W istocie, żeby zaoszczędzić czas, przestaliśmy codziennie schodzić do rzeki na poranną kąpiel. Zamiast tego kąpaliśmy się stojąc w kamiennej cysternie obok studni. Gruba studzienna lina przesuwała się nam między palcami, aż usłyszeliśmy słaby plusk, kiedy wiadro uderzało o powierzchnię wody około dwudziestu metrów niżej. Potem kiedy nagłe pociągnięcie liny sygnalizowało, że wiadro jest już pełne, zaczynało się długie powolne wyciąganie go na powierzchnię. Nawet w najgorętszą pogodę woda była lodowato zimna, więc ja szybko kończyłem mycie wybierając czerpakiem wodę do polania się z jednego, najwyżej dwóch wiader. Satjaprija oblewał się czterema lub pięcioma.

Pewnego ranka miałem wybitnie nieprzyjemne doświadczenie. Kiedy podnosiłem ręcznik z brzegu cysterny, nagle coś mnie ukąsiło w nadgarstek. To był skorpion. W ciągu paru chwil jad rozprzestrzenił się w górę na całe lewe ramię, które gwałtownie obrzmiało i spuchło. Ból był nie do zniesienia. Słysząc moje krzyki, Satjaprija i Szankara Pillai pędem przybiegli mi na pomoc i zaczęli energicznie wmasowywać w moje ramię popiół – tradycyjne miejscowe lekarstwo. Na szczęście skorpion nie był w pełni dorosły, inaczej ukąszenie mogło okazać się śmiertelne. W każdym razie ramię było spuchnięte i bolesne przez cały tydzień, a w dodatku gorączkowałem.

Przy tylu zajęciach – medytacja i hatha joga, jak również studiowanie i praca literacka, nie mówiąc już o głodówkach – prawie nie zauważaliśmy, jak mijały tygodnie. Któregoś dnia

zorientowaliśmy się, że upłynął już ponad miesiąc od czasu, gdy ostatni raz odwiedzaliśmy członków Aszramu, więc jest dużo nieodebranych zaległych darowizn. Co mieliśmy robić? Jeśli nie podjęlibyśmy szybkiego działania, niektóre subskrypcje mogłyby przepaść, a wtedy ucierpiałyby finanse Aszramu. Dawniej Satjaprija natychmiast skoczyłby na równe nogi, złapał księgę rachunków i w mgnieniu oka byłby za bramą w drodze do miasta. Teraz jednak kategorycznie odmówił wyjścia. Oznajmił, że wszyscy ludzie zajmujący się doczesnymi sprawami są hipokrytami, ponieważ mimo uroczystych zapewnień (od których robi mu się niedobrze) o swojej pobożności i oddaniu są wredni i zakłamani w najwyższym możliwym stopniu oraz zdeprawowani i zniewoleni wszystkimi słabościami, jakie tylko można sobie wyobrazić. A co najgorsze, dzień i noc nurzają się w bagnie zmysłowości, więc on absolutnie nie chce mieć z nimi nic do czynienia. Na przyszłość będę musiał sam do nich chodzić i zbierać comiesięczne datki. Ludzie mnie lubią, oświadczył – co zabrzmiało dość dwuznacznie w tych okolicznościach – a jego nie lubią za uczciwość i szczerość, więc będą zadowoleni, kiedy ujrzą mnie samego. Druga część tego stwierdzenia była niestety aż nadto prawdziwa. Na niektórych ludziach Satjaprija faktycznie wywierał zdecydowanie niekorzystne wrażenie przez swoje ostre wypowiedzi, apodyktyczny sposób bycia, jak również chorobliwą tendencję do błyskawicznego obrażania się. Inni dostrzegali fundamentalną dobroć jego serca, więc byli w stanie patrzeć przez palce na mniej sympatyczne przejawy tak silnej niezależności ducha. Poza tym w hinduizmie od dawna istniała tradycja mędrców o gwałtownym usposobieniu, którzy mimo to cieszyli się ogromnym szacunkiem, więc ludziom nie było trudno przyrównać go do jakiegoś porywczego wedyjskiego pierwowzoru.

Początkowo członkowie Aszramu i inni przyjaciele, których odwiedziłem, oczywiście pomyśleli, że jeśli nie ma przy mnie Satjapriji, to bez większych kłopotów wyciągną ze mnie cenny sekret o mojej kaście i narodowości. Ku ich rozczarowaniu okazałem się jednak niemniej krnąbrny od przyjaciela. Nawet mieli ze mną trudniej, ponieważ zamiast reagować na co bardziej impertynenckie pytania pełnym gniewu zniecierpliwieniem, jak to czasem robił Satjaprija, stopowałem ich żartem, jednym z ich własnych ulubionych filozoficznych uogólnień lub łagodnym uśmiechem. Ale pomimo tej bezkompromisowości, fakt, że przychodziłem teraz do nich sam, bez Satjapriji, sprawił, że moje relacje z wieloma członkami Aszramu stały się bardziej przyjazne. Poprzednio to Satjaprija przeważnie mówił, a ja albo milczałem, albo z rzadka dorzucałem jakąś uwagę do dyskusji. W związku z tym zyskałem całkowicie niezasłużoną reputację osoby małomównej lub wręcz nietowarzyskiej. Oczywiście w oczach niektórych naszych przyjaciół małomówność była oznaką duchowości. Inni wierzyli, że odzywam się tak rzadko nie z wyboru, ale z konieczności, ponieważ mój angielski nie jest tak dobry jak mojego przyjaciela.

Prawda w tej kwestii była taka, że wiedziałem z gorzkiego, wielokrotnego doświadczenia, że będę miał nieprzyjemności, jeśli Satjaprija dojdzie do wniosku, że chcę wywrzeć na ludziach wrażenie, iż ja wiem coś, czego on nie wie, zwłaszcza w kwestii filozofii lub religii; albo jeśli ktoś najmniejszym gestem da sygnał, że zwraca na mnie większą uwagę niż na niego lub bardziej ceni moją opinię. Pewnego razu Kumaran Nair, myśląc, że chcę się odezwać, przerwał Satjapriji słowami: „Cicho bądź, Swami-dżi ma zamiar coś powiedzieć". Konsekwencje tego nieszczęsnego incydentu trwały wiele dni. W końcu nauczyłem się, że mogę uniknąć kłopotów i utrzymać spokój między nami tylko wtedy, jeśli będę się jak najmniej odzywał i pilnował, żeby w każdej rozmowie lub dyskusji Satjaprija odgrywał pierwsze skrzypce. Gdybym był chrześcijaninem, takie usuwanie się w cień niewątpliwie uznano by za lekcję pokory. Ja byłem buddystą, więc potraktowałem to jako ćwiczenie uważności.

Nie tylko musiałem bardzo uważać na to, co mówię, jeśli już cokolwiek powiedziałem, ale także obserwować wpływ moich słów na innych ludzi, a zwłaszcza na Satjapriję. Chociaż tego typu trening bez wątpienia był dla mnie dobry, to podtrzymywanie go tak długo i z takich powodów okazało się ogromnym wysiłkiem. Tak naprawdę uświadomiłem sobie, jak wielki był to wysiłek, dopiero kiedy zacząłem samodzielnie zbierać darowizny dla Aszramu i znów mogłem z ludźmi swobodnie porozmawiać. Członkowie Aszramu ze swej strony oczywiście zauważyli zmianę i nie tylko gorliwie zasypywali mnie pytaniami, ale też prosili o rady w różnych osobistych sprawach. Ostatnią rzeczą, jakiej chciałem, było sprawianie wrażenia, że Satjaprija mnie wcześniej

powstrzymywał, ale moi rozmówcy wyraźnie czuli, że teraz, kiedy jestem sam, zniknęła jakaś bariera, więc kiedy już jasno przedstawiłem swoje stanowisko w palącej kwestii kasty i narodowości, mogliśmy odbyć szereg poważnych i wartościowych dyskusji.

Jednak sam Satjaprija w żadnym razie nie był zadowolony z takiego rozwoju wypadków. Kiedy wychodziłem z Aszramu, ostrzegał mnie, żebym nie marnował czasu na rozmowy z ludźmi, zwłaszcza z chrześcijanami, a po moim powrocie zawsze brał mnie w krzyżowy ogień pytań, z kim się widziałem i o czym była mowa. Czasami naprawdę tak się zachowywał, jakby mi nie ufał i myślał, że jeśli on nie zachowa odpowiedniej ostrożności, to ja wdam się w jakiś spisek z chrześcijanami przeciwko niemu.

Rozdział 36

„Kriszna przyszedł!”

Któregoś dnia, kiedy zbierałem w mieście darowizny, podczas mojej nieobecności w Aszramie miało miejsce pewne wydarzenie, które chociaż nie było bezprecedensowe w moim osobistym doświadczeniu, to jednak na tyle niezwykłe, że długo potem mieliśmy o czym myśleć. Kiedy wróciłem do Aszramu tuż przed pierwszą, zobaczyłem, że Satjaprija i Szankara Pillai czekają na mnie u szczytu schodów prowadzących do frontowej werandy. Obaj starali się ukryć, a nawet stłumić swoje podniecenie. Nim zdążyłem otworzyć usta, Satjaprija wykrzyknął: „Szankara Pillai, powiedz Swamiemu-dżi to, co ja ci powiedziałem pół godziny temu!” Na wpół rozbawiony, na wpół zażenowany Szankara Pillai zrelacjonował, jak to trzydzieści minut wcześniej Satjaprija, który właśnie medytował, zawołał do niego, żeby podał lunch na cztery osoby, a nie jak zwykle na trzy, ponieważ właśnie usłyszał, jak idę drogą pod murem i rozmawiam z jednym z członków Aszramu, którego poznał po głosie. Jednak ku ich zdziwieniu żaden z nas się nie pojawił, a kiedy Szankara Pillai bojąc się, że ryż wystygnie, poszedł do bramy sprawdzić, co się z nami stało, nikogo tam nie zobaczył. Podejrzewając, co się mogło wydarzyć, Satjaprija powtórzył Szankarowi Pillai słowo w słowo całą usłyszaną przez siebie rozmowę między mną i moim towarzyszem, nieudolnym nairskim prawnikiem, którego syna inwalidę czasami odwiedzałem. Ku mojemu zdumieniu, a wielkiemu rozradowaniu Satjapriji, okazało się, że rozmowa była identyczna z tą, którą odbyłem z tym właśnie przyjacielem w jego domu na skraju dzielnicy bramińskiej dokładnie pół godziny wcześniej. Spacer powrotny do Aszramu zajął mi prawie pół godziny, szedłem sam i po drodze z nikim nie rozmawiałem. Było oczywiste, że to przypadek jasnosłyszenia. Prawdopodobnie w trakcie medytacji Satjaprija gdzieś tam ‘w tyle głowy’ myślał o mnie i rzeczywiście ‘usłyszał’ jak rozmawiam z przyjacielem o prawie kilometr dalej.

Kiedy opadło początkowe podniecenie, poczuliśmy, że wywarło to nas silne wrażenie, trochę nas przestraszyło, a może nawet lekko nami wstrząsnęło. Kategorycznie przykazaliśmy Szankarze Pillai milczeć o całej sprawie i z odnowionym wigorem skwapliwie powróciliśmy do naszych medytacji. Chociaż byliśmy świadomi faktu, że zdolności paranormalne, takie jak jasnowidzenie i jasnosłyszenie, są w najlepszym razie produktem ubocznym na duchowej ścieżce i same w sobie nie oznaczają prawdziwego duchowego postępu, to jednak wiedza z własnego doświadczenia, że takie moce rzeczywiście istnieją, i że ich opisy w buddyjskich tekstach nie są całkowicie mityczne, przynajmniej dodała nam otuchy. Co więcej, jeśli można wierzyć starożytnym relacjom o mocach parapsychicznych – a teraz wiedzieliśmy, że częściowo można – o wiele łatwiej będzie nam zaakceptować ich świadectwa o istnieniu jeszcze wyższych, czysto transcendentalnych stanów.

Nie było to oczywiście moje pierwsze zetknięcie ze zjawiskami paranormalnymi, ani też pierwszy raz, kiedy doświadczyłem ich w związku z Satjapriją. Czyż nie ‘widziałem’ go w Raipurze, kiedy faktycznie był setki kilometrów dalej w Nowym Delhi? Nawet w samym Aszramie też nie po raz pierwszy wydarzyło się coś niezwykłego. Ten Aszram był naprawdę dziwnym miejscem o dziwnej atmosferze. Kilka miesięcy po przyjeździe nabraliśmy nawyku spania w sali medytacyjnej. Zaczęło się lato i nasz mały pokój zrobił się gorący i duszny. W trakcie drugiej czy trzeciej nocy spędzanej na sali, około drugiej nad ranem obudził nas odgłos kroków na bocznej werandzie, znajdującej się po dłuższej stronie budynku. Słyszeliśmy kroki w tę i z powrotem, raz dochodziły z jednego końca werandy, a raz z drugiego, jakby ktoś używał tego miejsca jako spacerowych krużganków. Jeszcze dziwniejszy był fakt, że nie był to odgłos bosych stóp, tylko dużych, ciężkich, podkutych ćwiekami wojskowych butów, jakich nikt nigdy nie nosił w Muwattupuzha, a dźwięk był tak głośny, że absolutnie nie było co do niego żadnych wątpliwości. Jednak w chwili, gdy otworzyliśmy drzwi i wyjrzeliśmy na werandę, zapadła cisza. Nikogo nie zobaczyliśmy. Potem słyszeliśmy takie same kroki każdej nocy albo zawsze, kiedy budziliśmy się o drugiej nad ranem. Trwały przez pół godziny i ustawały. Przyjaciele, którym dyskretnie wspomnieliśmy o tej sprawie, powiedzieli, że Aszram jest powszechnie uważany za miejsce nawiedzane przez duchy, i że miejscowi ludzie boją się przechodzić obok niego w nocy. Powiadają,

że w starożytnych czasach w tym miejscu stała świątynia ciemnych mocy, i że składano w niej krwawe ofiary, nawet ofiary z ludzi.

Jakiś czas potem stało się coś jeszcze dziwniejszego, ale tylko raz i przydarzyło się tylko mnie. Pewnego razu o dziesiątej wieczorem, kiedy skończyłem medytację i otworzyłem oczy, zobaczyłem, że otacza mnie siedem, może osiem wysokich, czarnych postaci. Siedziałem ze skrzyżowanymi nogami z tyłu sali w lewym rogu, a te postacie stały wokół mnie jakby w półkolu światła. Miały około dwóch metrów wysokości, były nagie i niejako rurkowatego kształtu, równomiernie szerokie na nie więcej jak 30 cm. Co było jeszcze bardziej niezwykłe, każda postać miała parę olbrzymich jak spodki białych oczu, którymi patrzyły w dół prosto na mnie. Ich wygląd oraz postawa, a oczy w szczególności, wyrażały nieopisaną żałobę, nieskończoną beznadziejność i smutek, jakiego nigdy w życiu nie widziałem i nawet sobie nie wyobrażałem, że może istnieć. Jak długo tak patrzyliśmy na siebie, nie wiem – może było to pięć minut, a może pół godziny. W końcu, kiedy działanie medytacji zaczęło mijać, zacząłem odczuwać lekki niepokój. Podniosłem się na nogi, przeszedłem przez te postacie i wyszedłem na zewnątrz, na małą werandę między naszym pokojem a magazynkiem od strony dziedzińca Aszramu. Panowała całkowita ciemność. Satjaprija nadal medytował w świątyni za okratowanymi drzwiami. Wiedziałem, że Szankara Pillai był czymś zajęty w kuchni. Postałem na werandzie kilka minut, wróciłem do sali, usiadłem w swoim kącie i spojrzałem… Nic tam nie było. Później doszedłem do wniosku, że postacie, które widziałem, musiały być pretami, czyli głodnymi duchami – jest to kategoria istot, które według tradycyjnej buddyjskiej kosmologii zamieszkują jedną z pięciu lub sześciu sfer egzystencji uwarunkowanej; pozostałe sfery zamieszkane są odpowiednio przez bogów, tytanów, zwierzęta, udręczone istoty oraz ludzi. Chociaż wtedy tego nie wiedziałem, powinienem był odezwać się do pretów, zapytać, o co im chodzi i czy mógłbym coś dla nich zrobić.

Z perspektywy czasu wydaje się dziwne, że nie czułem strachu wobec moich widmowych gości. Niemniej dziwny był fakt, że przy innej okazji, kiedy stanąłem w obliczu czegoś o naturze zdecydowanie bardziej duchowej, naprawdę się bałem. Może zjawisk psychicznych nie trzeba się obawiać, natomiast duchowych tak.

Incydent, o którym mowa, miał miejsce w świątyni. Jak zwykle po zamieceniu pomieszczenia do czysta, zajęty byłem przystrajaniem ołtarza świeżymi kwiatami, szykując go do porannej pudży. Wzdłuż krawędzi każdego z trzech betonowych stopni ułożyłem wspaniałe szkarłatne kwiecie hibiskusa, zużywając od czterdziestu do pięćdziesięciu kwiatów o kształcie trąbek. Na powierzchni stopni, jak również na podłodze wokół podstawy ołtarza rozrzuciłem małe, ciemne, łamliwe liście świętego drzewa bel pomieszane z białym kwieciem jaśminu. Kwiaty hibiskusa umieściłem też na wierzchu oprawionych fotografii Szri Ramakriszny, Świętej Matki oraz Swamiego Wiwekanandy (które przy szczególnych okazjach ozdabiane były girlandami), a ich czoła namaściłem świeżą białą pastą z drzewa sandałowego tak, jakby byli żywymi ludźmi. Nie było tam wazonów – codziennie rano musiałem składać w darze świeże kwiaty i nic nie mogło zostać z poprzedniego dnia. Kiedy się tym wszystkim zajmowałem, nagle w powietrzu pojawiła się postać Szri Ramakriszny zawieszona nad ołtarzem około półtora metra nad ziemią,. Chociaż był znacznie większy niż normalnie, siedział w zwykłej pozycji ze skrzyżowanymi nogami i wyglądał dokładnie tak jak na fotografii. Pozostał tam przez jakiś czas, na pewno co najmniej przez kilka minut, patrząc wprost przed siebie, jakby był nieświadomy mojego istnienia.

Oprócz tego, że widziałem postać Szri Ramakriszny, doświadczyłem też nieopisanie silnego uczucia jego rzeczywistej obecności, jakby Thakur (jak nazywali go jego uczniowie) był tam w pokoju i jakbym znajdował się bardzo blisko wyjątkowej potęgi duchowej. Właśnie to poczucie jego obecności i bliskości sprawiło, że się przestraszyłem. Dosłownie poczułem, jak włos jeży mi się na głowie, a dreszcze przebiegają w górę i w dół po kręgosłupie. Było to doświadczenie, które wytrąciło mnie z równowagi i zupełnie nie wiedziałem, jak je wyjaśnić. Oddanie, które czułem dla Szri Rmakriszny w Kolombo, już dawno wyparowało i z pewnością nigdy nie medytowałem na jego osobie, ani nie wzywałem jego imienia. Czy zjawa mogła być rodzajem formy myślowej stworzonej przez moc regularnego rytuału obrzędowego wykonywanego przez Satjapriję i jego poprzedników w Aszramie? Czy może rytuał tylko przywołał duchową obecność, która była tam

cały czas i tylko czekała na sposobną okazję, aby się zamanifestować? Czy było możliwe, żeby po śmierci swego ciała fizycznego Ramakriszna nadal egzystował w gloryfikowanej duchowej formie, która w określonych okolicznościach mogła stać się widzialna dla jego wyznawców? Czy tego typu zjawisko mogło być wyjaśnieniem zmartwychwstania Chrystusa?

Pytania niemal tego samego rodzaju wzbudził jeszcze jeden incydent, który podobnie jak przypadek jasnosłyszenia dotyczył Satjapriji, Szankary Pillai i mnie. Zaangażowany był też czwarty mieszkaniec Aszramu, nowy przybysz. Ponieważ obaj z Satjapriją byliśmy cały czas zajęci studiami i medytacją, opieka nad Aszramem, łącznie z należącą do niego ziemią, spadła na barki Szankary Pillai. Pracował bardzo chętnie, ale mając na głowie sianie tapioki w dolnej części terenu i nadzorowanie zbioru i obierania orzechów nerkowca na górnym terenie, było naturalne, że poczuł potrzebę posiadania pomocnika. Równie naturalne było, że ostatecznie wybrał na to stanowisko biednego osieroconego chłopca, któremu niedawno zmarł ojciec, a jego matka nie była w stanie go utrzymać. Jak relacjonował Szankara Pillai, małemu, biednemu dziecku naprawdę groziła śmierć głodowa i nawet jeśli on nie potrzebowałby nikogo do pomocy, byłoby naszym świętym obowiązkiem zaopiekować się sierotą. A jeszcze bardziej naturalne było, że chłopiec, o którym mowa, był osobistym siostrzeńcem Szankary Pillai, choć o tym dowiedzieliśmy się dopiero później.

Obaj z Satjapriją polubiliśmy chłopca od pierwszej chwili, kiedy zobaczyliśmy, jak nasz wierny menedżer prowadzi go ścieżką trzymając za rękę. Wyraz twarzy miał niezwykle przyjacielski i inteligentny, a kiedy zadaliśmy mu kilka pytań, odpowiedział bez wahania, uroczo się uśmiechając. Oznajmił, że nazywa się Kriszna i ma osiem lat. Z wielkimi ciemnymi oczami, śniadą cerą i czerwoną opaską wokół lędźwi stanowiącą całe jego ubranie rzeczywiście wyglądał jak mały Kriszna. Jedyne, czego brakowało do kompletnego obrazu bóstwa, to pawiego pióra we włosach. Wkrótce okazał się bardzo użyteczny i nie mogliśmy powstrzymać uśmiechu widząc małą ciemną figurkę w szkarłatnej przepasce kłusującą w ślad za Szankarą Pillai po całym Aszramie.

Pewnego wieczoru przed medytacją, Satjaprija gwałtownie oznajmił, że Kriszna jest zbyt wspaniałym chłopcem, aby pozwolić mu wieść zwykłe ziemskie życie, i że ma zamiar zrobić go swoim uczniem. Inicjacja odbędzie się natychmiast i od tej pory chłopiec będzie z nami siedział podczas medytacji. Zawołał chłopca, powiedział mu o swoich planach i że ma zamiar dać mu mantrę. Oczy Kriszny rozbłysły radością. Satjaprija zabrał go do sali i powiedział mu, żeby recytował dobrze znaną Hari Mantrę, w której imię Ramy i imię Kriszny przeplata się z imieniem Hari, czyli Wisznu, który jest drugim członkiem w hinduistycznej Trójcy – tradycyjnie wierzy się, że Rama i Kriszna są jego ziemskimi ‘inkarnacjami’. Satjaprija nauczył się tej mantry jako chłopiec i często słyszeliśmy, jak śpiewano ją w aszramie Anandamaji w Kiszengundżu w trakcie wieczornych sesji bhadżan. Po inicjacji Satjaprija powiedział Krisznie, żeby usiadł w sali i powtarzał sobie mantrę w myśli, podczas gdy my będziemy medytować. Jeśli będzie to prawidłowo robił – oznajmił chłopcu – ukaże mu się Kriszna.

Zanim zaczęliśmy tego wieczoru, zrobiła się siódma. Skończyliśmy medytację około dziesiątej i podnieśliśmy się ze swoich miejsc. Ku naszemu zdumieniu Kriszna nadal siedział w górnej części sali, w prawym rogu, dokładnie tam, gdzie go zostawiliśmy. Siedział na gołej podłodze ze skrzyżowanymi nogami, z dłońmi złożonymi na podołku i wpatrywał się nieruchomo w punkt przed sobą. Satjaprija zawołał go, ale chłopiec się nie poruszył, więc zeszliśmy do kuchni bez niego. O jedenastej nadal tam siedział. Teraz Satjaprija zaczął się już trochę martwić. Mantra podobno była bardzo potężna. A może okazała się za mocna dla chłopca. A może on wpadł w jakiś trans. A może już nie odzyska normalnej świadomości i będzie tak siedział w nieskończoność… W tym momencie dołączył do nas Szankara Pillai, który przyniósł do sali lampę na olej kokosowy, a któremu przy kolacji powiedzieliśmy o całej sprawie. Przyciągnęliśmy swoje maty i całą trójką usiedliśmy przy Krisznie czekając na rozwój wypadków. Chłopiec uśmiechał się delikatnie, a oddech miał głęboki i regularny. Satjaprija zawołał go głośniej niż przedtem, ale on nadal wpatrywał się przed siebie szeroko otwartymi oczami i nie dał żadnego sygnału, że cokolwiek usłyszał.

O północy Satjaprija zdecydował, że coś musimy zrobić. Słyszał kiedyś, że osobę, która wpadła w trans, można przywrócić do zwykłej świadomości powtarzając jej do ucha tę samą mantrę, którą powtarzała, zanim wpadła w trans, jeśli oczywiście wiadomo było, co to za mantra. Stosownie do

tej teorii, Satjaprija, Szankara Pillai i ja zaczęliśmy recytować Hari Mantrę. Najpierw śpiewaliśmy ją delikatnie, ale ponieważ nie przynosiło to żadnego efektu, zaczęliśmy powtarzać ją coraz głośniej, aż w końcu ryczeliśmy ją do uszu Kriszny ile sił w płucach. Była to dziwaczna scena – wokół Aszramu ciemność i cisza, a w środku dźwięk Hari Mantry, blask kokosowej lampy na gołych ścianach, nieprzytomna figurka małego chłopca i zaniepokojone twarze trojga dorosłych. O pierwszej nadal krzyczeliśmy – ochrypłe dźwięki z trudem dałoby się nazwać chantingiem. Od czasu do czasu w wielkiej desperacji Satjaprija uderzał Krisznę po twarzy lub potrząsał jego ciałem, ale żaden z tych drastycznych środków nie odniósł najmniejszego skutku. Jednak chłopiec zwiotczał, więc Satjaprija siedząc w siadzie skrzyżnym na podłodze trzymał go na kolanach, a jego głowę położył sobie na zgiętym ramieniu. Nagle w pamięci błysnęła mi scena, którą widziałem wiele lat wcześniej na Małpim Wzgórzu w londyńskim zoo. Był to obraz samicy pawiana siedzącej i przyciskającej do piersi martwego noworodka, która odmawiała oddania go, choć nie żył już od wielu dni, i nie pozwalała nikomu się do siebie zbliżyć. Ale mały Kriszna jeszcze żył, a ochrypłe desperackie dźwięki naszych okrzyków nadal rozlegały się w powietrzu. Jeśli ktokolwiek przechodził tej nocy obok Aszramu, na pewno pomyślał, że miejsce faktycznie jest nawiedzone, i że to udręczone duchy zawodzą i jęczą swoje żale czterem wiatrom nieba. Satjaprija darł się najmocniej z nas wszystkich. Teraz był już prawie nieprzytomny ze strachu i wywrzaskiwał mantry tak głośno, jakby życie Kriszny – oraz jego własne – zależało od natężenia jego głosu.

O drugiej nad ranem chłopiec nagle wziął bardzo głęboki oddech i westchnął. Podwoiliśmy nasze wysiłki. Niedługo potem Kriszna wziął następny głęboki oddech i jeszcze jeden. Jego trans dobiegał końca i wracała mu normalna świadomość. Szankara Pillai, który martwił się o wiele mniej ode mnie i od Satjapriji, odezwał się do dziecka wesołym, pełnym otuchy tonem. Wreszcie chłopiec zamrugał oczami i spojrzał na nas z wyrazem radosnego rozpoznania. Wyglądał tak, jakby się właśnie obudził z głębokiego, pokrzepiającego snu i z przyjemnością ujrzał znajome twarze wokół łóżka. Szankara Pillai ponownie się do niego odezwał i tym razem chłopiec odpowiedział od razu swym zwykłym jasnym i wyraźnym tonem. Widząc, że najwyraźniej nic złego mu się nie stało w efekcie tego doświadczenia, Satjaprija natychmiast zaczął zdawać pytania. Co się stało? Czy coś widział? Kriszna dość nieśmiało wyznał, że ujrzał swego boskiego imiennika i że bawili się razem. Czy podobała mu się ta zabawa? O tak, nawet bardzo. Uśmiech, jaki towarzyszył temu stwierdzeniu, powiedział więcej niż słowa. „A w jakiej formie ukazał ci się Szri Kriszna?" – zapytał w końcu Satjaprija. „Był małym chłopcem – padła odpowiedź – tak jak ja".

Tego było już za dużo dla zszarganych nerwów mojego przyjaciela. I tak na wpół zwariował z powodu ulgi po napięciach tej nocy, a teraz skoczył na równe nogi i zaczął dziko wirować wokół sali, podskakując raz na jednej nodze, raz na drugiej i wykrzykując donośnym, ochrypłym od histerii głosem: „Kriszna przyszedł! Kriszna przyszedł!" Chyba mu się wydawało, że ponieważ chłopiec ujrzał Szri Krisznę, oznacza to, że Kriszna całkiem dosłownie odwiedził Aszram. Szankara Pillai i ja popatrzyliśmy na siebie zdumieni. Satjaprija zachowywał się tak, jakby całkiem stracił rozum – podskakiwał i tańczył po całej sali krzycząc i szlochając. Był to widok groteskowy i trochę niepokojący. Nieodparcie przypomniała mi się scena, której byłem kiedyś świadkiem w aszramie Anandamaji, kiedy jej wyznawcy tarzali się po podłodze z pianą na ustach, przeraźliwie wrzeszcząc. Satjaprija poruszał się tak gwałtownie, że po kilku minutach spadł z niego sarong, ale on tego nie zauważył i dalej tańczył nago dokoła sali z rękami uniesionymi nad głową i powiewającymi czarnymi włosami. Żółte światło lampy lśniło na jego krzepkim, brązowym ciele, teraz już błyszczącym od potu, i rzucało na ściany oraz krokwie pod dachem ogromny czarny cień, którego ruchy były nawet bardziej fantastyczne niż jego własne. Po pół godzinie emocje się wyczerpały, Satjaprija z trudem łapiąc oddech upadł na podłogę i jak tylko doszedł do siebie, wszyscy poszliśmy spać.

Przez kilka następnych dni dramatyczne konsekwencje inicjacji Kriszny stanowiły główny temat rozmów w Aszramie. Szankara Pillai był skłonny potraktować całą sprawę lekko, mówiąc, że takie doświadczenia są dość powszechne i nie bardziej znaczące od żywego, malowniczego snu. My z Satjapriją nie byliśmy tego tacy pewni. Według książek na temat bengalskiego wajsznawizmu, które przeczytałem w trakcie mojej pierwszej wizyty w Kalkucie, kiedy jeszcze

byłem w wojsku, subtelne formy Szri Kriszny i jego małżonki Radhy wiecznie igrały w niebiańskim Brindabanie. Natomiast według tradycji mahajany Budda wiecznie głosił Dharmę w swoim „Subtelnym Ciele" na duchowej „Górze Sępa". Czy to oznaczało, że istniał świat boskich archetypów leżący pod, lub nad, lub przenikający sferę egzystencji materialnej, i czy w swym doświadczeniu chłopiec przelotnie wejrzał w ten świat poprzez soczewki zabarwione hinduskim wychowaniem? Poza tym, czy jego doświadczenie było po prostu skutkiem dziecięcej wiary w słowa Satjapriji, czy też mniej lub bardziej spontanicznym objawem wrodzonych zdolności duchowych? Czy byłoby mądrze pozwolić mu nadal powtarzać Hari Mantrę? Przynajmniej na to ostatnie pytanie dostaliśmy odpowiedź. Zanim zdołaliśmy zdecydować, co zrobić, mama Kriszny, której wcześniej nie widzieliśmy, pojawiła się któregoś dnia rano na schodach Aszramu i oświadczyła, że zabiera chłopca do domu. Nigdy się nie dowiedzieliśmy, co jej powiedział Szankara Pillai, ale było oczywiste, że nie chce, aby jej syn był uczniem Satjapriji, ani żeby został mnichem. Kriszna na pożegnanie pochylił się nam do stóp, dotknął ich i opuścił Aszram równie radośnie, jak do niego przyszedł. Po raz ostatni zobaczyliśmy jego uśmiech i mignięcie czerwonej przepaski biodrowej, kiedy zanurkował między bambusami w bramie i zniknął.

Satjaprija, Szankara Pillai i ja znów zostaliśmy sami i nasze życie znów płynęło jak dawniej. Wiele pytań, które pojawiły się w efekcie ostatniego wydarzenia w Aszramie, wkrótce sporo straciło na znaczeniu, jednak przynajmniej dla mnie jedno z nich pozostało równie pilne jak zawsze. Powiedziałbym nawet, że z upływem dni jego znaczenie w gruncie rzeczy rosło, a nie malało. To pytanie dotyczyło Satjapriji. Od czasu pamiętnej nocy, kiedy Kriszna doznał wizji – czy wszystko jedno jak nazwiemy jego doświadczenie – nie mogłem zapomnieć obrazu mojego przyjaciela dziko wirującego dokoła sali w stanie kompletnej histerii. Cały czas zastanawiałem się, czy jego równowaga psychiczna – i tak wątpliwa nawet w normalnych okolicznościach – nie została poważnie nadwyrężona przez długotrwały forsowny wysiłek związany z naszym ascetycznym sposobem życia oraz przez jeszcze bardziej rygorystyczną dyscyplinę, którą ostatnio sam sobie narzucił. Naprawdę zdarzały się chwile, kiedy miałem poważne wątpliwości co do jego zdrowia psychicznego. Mimo niewątpliwych osiągnięć w medytacji, od czasu kiedy porzucił projekt Szkoły Przemysłowej jego wrodzona nieracjonalność i popędliwość nieustannie się pogarszały, a skłonność do okresowych wybuchów szaleńczej furii była coraz wyraźniejsza. Raz czy dwa jego brak samokontroli autentycznie doprowadził do fizycznej przemocy. Któregoś wieczoru po kolacji, siedząc w półmroku na werandzie, rozmawialiśmy o jakiejś sprawie i okazało się, że się nie zgadzamy. Wiedząc jak drażliwy jest Satjaprija i jak zniecierpliwiony, kiedy mu się zaprzecza, natychmiast dostrzegłem niebezpieczeństwo i przestałem upierać się przy swoim zdaniu, niestety było już za późno. Mimo wszystkich moich wysiłków, aby go uspokoić, przyjaciel uparcie rozdmuchiwał różnice tak bardzo, jak tylko się dało, doprowadzając się do jednego ze swych zwykłych ataków wściekłości. Wyglądało na to, że po prostu chce być wściekły. Jednak tym razem, kiedy na chwilę przerwał swoją tyradę, nagle bardzo silnie uderzył mnie pięścią w twarz. Jak tylko wymierzył cios, cały jego gniew opadł. Zanim Szankara Pillai, słysząc mój krzyk, przybiegł na werandę, Satjaprija już przykładał swój mały naramienny ręczniczek do mojego krwawiącego policzka i kołysał mnie w ramionach ogarnięty potężnymi wyrzutami sumienia. Chociaż powiedział Szankarze Pillai, że w ciemności przypadkowo uderzyłem głową o filar, i choć potwierdziłem tę wersję najlepiej jak umiałem, nasz menedżer nie dał się oszukać. Nie tylko dobrze znał krewkość Satjapriji, ale też słyszał jego podniesiony, rozgniewany głos przez kilka minut, zanim zdarzył się rzekomy wypadek. Na skutek uderzenia miałem podbite oko przez tydzień, a lewa część głowy została praktycznie pozbawiona czucia na wiele lat.

Innym razem to Szankara Pillai był ofiarą, czy też niewiele brakowało, aby stał się ofiarą braku samokontroli Satjapriji. Pewnego wieczoru mój przyjaciel niespodziewanie zaczął kontrolować aszramowe rachunki, skrupulatnie sprawdzając koszt każdej kiści bananów oraz każdej uncji oleju do smażenia, i odkrył, że stan gotówki nie zgadza się o równowartość prawie całego szylinga. Po dłuższym śledztwie roztrzęsiony Szankara Pillai wyznał, że przez ostatnie dwa miesiące sprzeniewierzył część pieniędzy systematycznie biorąc sobie drobne sumy z gotówki, jaką otrzymywał na zakup prowiantu na bazarze. Dalsza indagacja ujawniła, że przyczyną kradzieży

było skryte uzależnienie od papierosów bidi39. Zszokowany i przepełniony oburzeniem Satjaprija ostro zganił winowajcę i pomimo jego łez i błagań stopniowo wpędzał się w coraz większe rozdrażnienie. W końcu chwyciwszy ciężki kij, zamierzał złapać menedżera za kark i dać mu porządne lanie, ale Szankara Pillai był szybszy. Z przeraźliwym wrzaskiem rzucił się do kuchennych drzwi i wypadł w ciemność. Satjaprija, teraz już rozjuszony do granic, popędził za nim. Szankara Pillai przeskoczył przez mur Aszramu, Satjaprija poszedł w jego ślady. Ponieważ noc była ciemna i bezksiężycowa, minęło kilka minut, zanim jeden i drugi odzyskał orientację położenia i słyszałem, jak ich ciała miotają się wśród krzewów lantany. Wreszcie Szankara Pillai odnalazł ścieżkę. Kierując się odgłosem jego kroków, Satjaprija też ją znalazł i wkrótce dźwięk dwóch par biegnących stóp, jak również przekleństwa ścigającego i błagalne prośby ściganego ucichły w oddali. Pół godziny później Satjaprija wrócił, gdyż jego potencjalna ofiara jednak mu zwiała. Przez dwa dni musieliśmy się obywać bez menedżera. Potem, dzięki wstawiennictwu jednego z członków Aszramu, u którego znalazł schronienie, Szankara Pillai powrócił, upokorzył się przed Satjapriją padając mu do stóp, przeprosił, okazał skruchę i obiecał poprawę, więc ten wreszcie mu wielkodusznie wybaczył, choć nie bez surowych ostrzeżeń, co się stanie, jeśli kiedykolwiek ponownie popełni to przestępstwo.

Moim zdaniem brak równowagi umysłowej u Satjapriji, jak również jego rosnąca niezdolność do panowania nad sobą mogły być związane z konkretnymi ćwiczeniami, których nauczył się z książek o hatha jodze. Nie były to zwykłe ćwiczenia fizyczne, ale rodzaj pranajamy, czyli kontroli oddechu. Jak bardzo dobrze wiedziałem z własnego doświadczenia, i jak wielokrotnie podkreślano we wszystkich książkach, które przeczytałem na ten temat, ćwiczenia polegające na kontrolowaniu oddechu, w odróżnieniu od zwykłej jego obserwacji, miały potężny wpływ na system nerwowy i dlatego mogły okazać się wysoce niebezpieczne. Powinno się je praktykować wyłącznie pod osobistą opieką w pełni wykwalifikowanego nauczyciela. Zgodnie z popularnym przekonaniem praktykowanie pranajamy bez nadzoru specjalisty powodowało rozgrzanie mózgu. Powiedziałem to wszystko Satjapriji, jak tylko odkryłem, co robił, ale on ze zwykłą pewnością siebie zlekceważył moje błagania o ostrożność i kontynuował ćwiczenia jak do tej pory. Jego pragnienie duchowych postępów było w istocie tak żarliwe, że posunął się do wykonywania tych ćwiczeń kontroli oddechu w ich wyjątkowo ekstremalnej formie. Wydłużył też okresy milczenia i zaczął głodować całymi tygodniami. Jednak te drastyczne środki oprócz tego, że doprowadziły jego organizm do wyniszczenia i skrajnej słabości fizycznej, nie przyniosły najmniejszego efektu. Okresowe szalone wybuchy gniewu trwały nadal i ku naszemu obopólnemu zmartwieniu różnice pomiędzy nami stawały się coraz ostrzejsze.

W tym okresie przebywaliśmy w Aszramie już ponad rok. Po raz drugi od naszego przybycia w powietrzu rozległ się dźwięk ‘Ajappan Saranam!’, kiedy przez miasto przechodziły grupy wyznawców, które rozpoczęły swoją długą i uciążliwą pielgrzymkę do Sabarimalai. Kriszna Pillai, naczelnik Anczal, oraz inni nasi przyjaciele wielbiący to bóstwo usilnie namawiali nas, żebyśmy tym razem zdecydowali się im towarzyszyć i sami zobaczyli wspaniałą, górską, zbudowaną z drzewa świątynię będącą najświętszym miejscem tego kultu. Obiecując, że będą się nami opiekować w drodze i zapewnią wszelką możliwą pomoc, z poczciwą i życzliwą natarczywością zawiesili nam na szyjach różańce z drzewa bazylowego, które były tradycyjnymi insygniami osób, które ślubowały odbyć pielgrzymkę. Ale chociaż nosiliśmy te naszyjniki, często rozmawialiśmy o wyruszeniu i w pewnym sensie chcieliśmy pójść, to w Aszramie panowała taka sytuacja, że nie wiedząc, co mamy uczynić, przez kilka tygodni nie byliśmy w stanie podjąć decyzji. W końcu nasi przyjaciele nie mogli już dłużej czekać i musieli ruszyć bez nas. Zanim wrócili, sytuacja się zmieniła i obaj z Satjapriją zaczęliśmy dostrzegać drogę wyjścia z naszych kłopotów. Miały miejsce

---

39

Beede (bidi) – chałupniczo produkowane papierosy dla biedoty. [przyp. tłum.]

wydarzenia, które sprawiły, że nie tylko przeszliśmy do następnego etapu podróży na naszej wewnętrznej ścieżce, ale ich skutkiem była wyprawa znacznie dalej niż do Sabarimalai. A w rzeczywistości, ich ostateczny rezultat był taki, że opuściliśmy Trawancore na dobre.

Rozdział 37

Ramdas, sługa Boży

Wśród dwóch czy trzech książek, które jako jedyne zastaliśmy w bibliotece, kiedy przybyliśmy do Aszramu, znajdował się cieniutki tomik zatytułowany *Mother Krisznabai*. Opisywał świętą hinduską kobietę, która najwyraźniej żyła całkiem niedawno. Jednak książeczka, choć bardzo dobrze napisana, nie wywarła na mnie w owym czasie większego wrażenia, więc przeczytawszy ją raz w całości, nie poświęciłem jej ani jednej więcej myśli. Ale jakiś czas później, kiedy Satjaprija zajęty był projektem Szkoły Przemysłowej, ja podjąłem się równoległego zadania odbudowania biblioteki. W związku z tym napisałem do szeregu sławnych indyjskich autorów z prośbą o podarowanie nam egzemplarzy swoich dzieł. Odzew był pozytywny i wkrótce biblioteka Aszramu wzbogaciła się o kilkadziesiąt pozycji. Pewnego dnia, kiedy wyczerpały mi się bardziej znane nazwiska, przypomniałem sobie o małej książeczce o Matce Krisznabai. Autorem był Swami Ramdas z Anandaszramu w mieście Kanhangad, który najwyraźniej napisał też inne książki. Nie zwlekając wysłałem do niego tę samą prośbę. Błyskawicznie, niemal zwrotną pocztą, przyszła paczka z czterema czy pięcioma książkami oraz z najnowszym numerem miesięcznika *Wizja*, czasopisma założonego przez Swamiego Ramdasa i wydawanego przez Anandaszram.

Jedna z książek nosiła tytuł *In Quest of God* (W poszukiwaniu Boga). Swami Ramdas opisywał w niej swoją młodość, a zwłaszcza doświadczenia duchowe, od chwili, kiedy opuścił rodzinny dom, aż do czasu swojego urzeczywistnienia Prawdy. Chociaż jego wyrzeczenie się spraw ziemskich było totalne i choć w trakcie swoich poszukiwań musiał znosić straszliwe trudności, w jego relacji nie było nic, co sugerowałoby świadomą surowość, czy nawet poczucie wysiłku. W miarę jak narracja radośnie biegła tanecznym krokiem i jeden bardzo zabawny epizod gonił następny, postać, która wyłaniała się ze stron książki, bardziej przypominała swawolne, uczuciowe dziecko niż sędziwego mędrca lub nieczułego ascetę. Obaj z Satjapriją przeczytaliśmy tę książkę kilka razy i byliśmy nią głęboko poruszeni. Przeczytaliśmy też inne książki z paczki, jak również zaniedbywaną do tej pory *Mother Krisznabai*. Okazało się, że ta święta hinduska kobieta była uczennicą Ramdasa i jego zdaniem również urzeczywistniła Prawdę. To, że guru pisał o swoim uczniu, było oczywiście bardzo niezwykłe, ale wyglądało na to, że Ramdas nie był zwyczajnym guru, a Krisznabai w żadnym razie nie była zwyczajną uczennicą.

Chociaż historia Swamiego Randasa głęboko poruszyła i mnie, i Satjapriję, to możliwość osobistego spotkania z nim nigdy nie przyszła nam do głowy. Ponieważ na mój list odpowiedział menedżer Aszramu i było oczywiste, że opisywane wydarzenia miały miejsce wiele lat wcześniej, nie było nawet pewne, czy Swami jeszcze żyje. Dlatego czytaliśmy *The Quest of God* podobnie jak czytalibyśmy *Tibet's Great Yogi Milarepa* lub *The Life of Szri Ramakriszna*. Chociaż książka podnosiła na duchu i inspirowała, to wszystko zdarzyło się dawno temu i cudowne wydarzenia w niej opisane miały miejsce na planie, który nie pokrywał się czasowo z naszym życiem. Jednakże kilka miesięcy później, kiedy Satjaprija omal nie doprowadził się do ruiny swoimi surowymi praktykami, usłyszeliśmy, ze ktoś z Muwattupuzhy pojechał zobaczyć wielkiego świętego, żyjącego niedaleko Mangalore i wrócił jako odmieniony człowiek. Kesawa Pillai też o tym słyszał. Tym świętym był Swami Ramdas, który chociaż był już w podeszłym wieku40, nadal jak najbardziej żył i wyznawcy zjeżdżali się do jego Anandaszramu z całych Indii, a zwłaszcza z Bombaju i północnego zachodu.

Nowina poraziła nas jak prąd elektryczny. Mieszkaliśmy w tym samym świecie, w którym żył ktoś, kto urzeczywistnił Prawdę. Mogliśmy go zobaczyć i z nim porozmawiać. Może mógłby nam

---

40

W 1948 roku Swami Ramdas miał 64 lata [przyp. tłum]

pomóc w naszym rozwoju duchowym, a w szczególności w rozwiązaniu problemów narosłych między mną i Satjapriją. Nie mieliśmy czasu do stracenia. Kanhangad znajdował się tylko o siedemset może osiemset kilometrów stąd, jadąc w górę wybrzeża. Z łatwością moglibyśmy tam pojechać, spędzić kilka dni ze Swamim Ramdasem i powrócić do Muwattupuzhy w ciągu tygodnia. Kesawa Pillai, któremu powiedzieliśmy o tym w zaufaniu, ciepło zaaprobował plan i nawet oświadczył, że ma zamiar nam towarzyszyć. Był bardzo świadomy tego, jak krótka jest ludzka egzystencja, więc idea darszanu, czyli 'ujrzenia' wielkiego świętego była ogromnie atrakcyjna dla jego religijnej natury.

Anandaszram, czyli 'Siedziba Szczęścia', był miejscem skromnym i bezpretensjonalnym. Położony u stóp wzgórza, około trzy kilometry za miastem, składał się głównie z małej sali bhadźan oraz kilku pawilonów mieszkalnych i innych budynków rozrzuconych między drzewami. Nasze pierwsze spotkanie ze Swamim Ramdasem odbyło się w sali bhadźan. Z ogoloną głową, w prostym stroju składającym się z sarongu i białej, bawełnianej koszuli wydawał się znacznie starszy i bardziej korpulentny niż na frontyspisie swojej książki. W binoklach bez oprawek na nosie i w bamboszach na nogach, radośnie uśmiechając się do nas ze swojego fotela, był uosobieniem dobrotliwego dziadka. Jedyne, co było w nim niezwykłe, to uszy z wyjątkowo długimi płatkami, które nieodparcie przypominały mi tradycyjne wizerunki Buddy. Chociaż uczucie szacunku, z jakim do niego podeszliśmy, było pomieszane z lękiem, żeby nie powiedzieć z przerażeniem, to dziecięca prostota jego sposobu bycia i promieniejący dobry humor sprawiły, że bardzo szybko cała nasza trójka poczuła się całkiem swobodnie. W ciągu paru godzin zostaliśmy zakwaterowani w jednym z pawilonów, wzięliśmy udział w pierwszej sesji bhadźan i zaczęliśmy zwracać się do Ramdasa 'Papa', tak jak wszyscy.

W ciągu kilku następnych dni, pozytywne wrażenia, jakie wywarła na nas lektura *In Quest of God* oraz sposób, w jaki przyjęto nas w Aszramie, nie tylko się potwierdziły, ale i stukrotnie zwiększyły. Większość z piętnastu czy dwudziestu wyznawców, którzy przebywali wtedy w Aszramie, to byli zwyczajni ludzie, ale atmosfera autentycznej życzliwości i oddania, która przenikała to miejsce, wykraczała daleko poza wszystko, czego do tej pory doświadczyłem. Chociaż tak jak Anandamaji, zarówno Ramdas, jak i Krisznabai, byli z urodzenia braminami, na terenie Aszramu nie praktykowano absolutnie żadnej dyskryminacji z powodu pochodzenia kastowego. Takie praktyki były w istocie niedozwolone. „Ramdas walczy z kastami" – powiedział nam pewnego dnia Papa, kiedy zadaliśmy takie pytanie. Chociaż wygłosił to stwierdzenie nie tracąc nic ze swej zwykłej łagodności, nie mieliśmy żadnych wątpliwości, że mówi bardzo poważnie. Faktycznie, im dłużej obserwowaliśmy życie w Anandaszramie, tym bardziej było dla nas uderzające, że przynajmniej tutaj nie istniał kompromis między ideałami duchowymi a przyziemnymi wymogami. Swami Nitjaswarupananda nie wahał się wezwać chuliganów, aby siłą wypędzić mieszkańców z budynku, który chciał zająć Instytut Kultury Misji Ramakriszny. Ramdas natomiast oddał niedawno parę akrów aszramowej ziemi kilku bezrolnym rodzinom robotniczym. „Nie potrzebujemy aż tyle terenu" – powiedziała mu Matka Krisznabai, a on się z tym zgodził.

Wkrótce nasze zaufanie do Ramdasa było całkowite. Dlatego któregoś dnia rano po sesji bhadźan podeszliśmy do niego i poprosiliśmy o prywatną rozmowę. Spełnił naszą prośbę natychmiast. Zatrzymując się tylko na chwilę, aby dać instrukcje kilku robotnikom, Ramdas zaprowadził nas do ustronnego pokoju w jednym z sąsiednich pawilonów, żeby nikt nam przeszkadzał, i zaczęło się spotkanie, po którym wiele się spodziewaliśmy.

Ustanawiając się rzecznikiem nas obu, Satjaprija szczerze i dokładnie opowiedział naszą wspólną historię od chwili poznania się w Singapurze aż do decyzji o odwiedzeniu Anandaszramu i spotkaniu z Ramdasem. Nie opuścił niczego ważnego. Nasze rozczarowanie Towarzystwem Maha Bodhi; kontakt z Anandamaji i jej uczniami przestrzegającymi reguł systemu kastowego; okoliczności, które doprowadziły do tego, że opuściliśmy Kasauli jako wędrowni asceci; nieudana próba wjazdu na Cejlon; kłopotliwe pytania o tożsamość; porażka planu pieszej wędrówki z przylądka Komoryn do Himalajów i wreszcie nasza decyzja o zatrzymaniu się w Muwattupuzha ze względu na medytację – to wszystko znalazło się w jego opowieści. Jeśli Satjaprija przypadkiem coś opuścił, ingerowałem i uzupełniałem jego wspomnienia swoimi.

W trakcie tej relacji Ramdas słuchał uważnie, nie mówiąc ani słowa. Ale kiedy Satjaprija doszedł do swoich wybuchów gniewu i surowych wyrzeczeń, jakie praktykował, a zwłaszcza bardzo długich głodówek, na twarzy Ramdasa pojawił się wyraz najgłębszej troski. Kręcąc głową, jakby nie mógł uwierzyć własnym uszom, ze współczuciem i smutkiem zakrzyknął coś o naszej głupocie i ryzykanctwie. Kiedy Satjaprija wreszcie skończył, Papa pośpieszył, aby wskazać wszystkie nasze błędy. Wyrzeczenia, które zagrażają zdrowiu, są czystym szaleństwem – oświadczył empatycznie. W żadnym wypadku nie powinniśmy popełnić tego błędu, jakim jest przekonanie, że mogą one ułatwić proces rozwoju duchowego. Jedyna potrzebna do tego rzecz to płynąca z głębi serca miłość i poświęcenie się duchowemu ideałowi. Z tego wypłynie cała reszta. O zdrowie i siłę należy dbać wszelkimi rozsądnymi środkami. Bez nich praktyka duchowa jest bardzo trudna lub nawet niemożliwa.

W tym momencie, jakby dla podkreślenia tej ostatniej uwagi, weszła Matka Krisznabai z tacką lekarstw. W jednej chwili przechodząc od powagi do komizmu, Ramdas zaczął żartobliwie lamentować nad tym, jak to sam totalnie zaniedbywał zdrowie w okresie opisanym w *In Quest of God*. W żadnym wypadku – ostrzegał nas grożąc palcem – nie powinniśmy iść za jego przykładem. Jeśli to zrobimy, będziemy tego żałować. On z pewnością bardzo tego żałuje. Na starość nie tylko cierpi na wszelkiego rodzaju dolegliwości i bóle, ale jeszcze musi regularnie brać leki dawkowane przez Matkę Krisznabai, która znęca się nad nim bezlitośnie. Mówiąc to spojrzał łobuzerskim wzrokiem na Krisznabai, jakby rzeczywiście był niegrzecznym dzieckiem zmuszanym przez surową matkę do połykania niesmacznych lekarstw. Krisznabai z największym spokojem lekko się tylko uśmiechnęła, nic nie mówiąc.

Kiedy drzwi się za nią zamknęły, Ramdas przeszedł do tematu pranajamy. Praktykowanie jej bez nauczyciela, jak to zrobił Satjaprija, było szczytem głupoty. Nic dziwnego, że rozwinął w sobie tak nieposkromiony temperament! Ma szczęście, że całkiem nie zwariował. Na nasze pytanie, czy tradycyjne ostrzeżenia należy traktować dosłownie i czy faktycznie można postradać zmysły na skutek praktykowania pranajamy, Ramdas odpowiedział zdecydowanie twierdząco. Przypadki osób, które traciły równowagę umysłową na skutek wymuszonych metod kontrolowania oddechu, wcale nie były rzadkie – stwierdził – zwłaszcza w południowych Indiach. Wyznawców, którzy się w ten sposób kompletnie pogubili, często przyprowadzano do niego na leczenie. Czasami udało mu się im pomóc, czasami się nie udało. Dlatego z czystej ostrożności, odsuwając na bok wszelkie zastrzeżenia teoretyczne, stanowczo nie pochwalał pranajamy i robił wszystko, co w jego mocy, aby zniechęcić uczniów do tej praktyki. Nieustanne powtarzanie imienia Boga przynosi o wiele więcej pożytku znacznej większości osób.

Chociaż Ramdas mocno nas zganił w kwestii wyrzeczeń i choć język, jakiego użył, nie pozostawiał wątpliwości, że zachowywaliśmy się bardzo niemądrze, to jego reakcja na naszą wspólną historię była jak najdalsza od całkowitej dezaprobaty. Ciepło chwaląc nasze pragnienie wyrzeczeń, zapewnił nas w dobitnych słowach, że decyzja o porzuceniu świata i prowadzeniu życia duchowego była słuszna, i że powinniśmy starać się wytrwać na obranej drodze aż do osiągnięcia Oświecenia. Jego błogosławieństwa zawsze będą z nami. Czuliśmy się szczęśliwi i pokrzepieni na duchu jego słowami, ale nawet gdyby nas tylko złajał i wytknął błędy, w żadnym razie nie mielibyśmy nic przeciwko temu. Wszystko jedno czy chwalił, czy potępiał, każde wypowiedziane przez niego słowo nie tylko emanowało serdecznością zdradzającą najgłębsze zainteresowanie i troskę, ale zdawało się też wypływać z niezmierzonych głębin miłości i współczucia.

Kiedy rozmowa się skończyła po tym, jak Ramdas obszernie wypowiedział się o potrzebie braterskiej miłości między nami dwoma, poczuliśmy, że jesteśmy w innym świecie. Wszystkie nasze trudności zniknęły. W gruncie rzeczy od chwili, kiedy Satjaprija zaczął opowiadać historię naszego życia i wspólnych doświadczeń, zdawało się, że wyznajemy w ten sposób wszystkie swoje słabości i wady, i że nasza spowiedź jest przyjmowana przez Ramdasa tak, jak ocean przyjmuje do swej czystej głębi zanieczyszczone wody rzeki, i że uczyniwszy takie wyznanie byliśmy teraz wolni od przeszłości i mogliśmy zacząć wszystko od nowa. Dzięki Ramdasowi nie tylko mogliśmy rzeczywiście zacząć od nowa, ale też wystartować z wyższego poziomu niż poprzednio. Z uczuciem głębokiej wdzięczności pokłoniliśmy mu się do stóp. Kiedy to uczyniliśmy, wyciągnął

swój zegarek i wykrzyknął z udawanym przerażeniem, że jeśli szybko nie wróci do swego pokoju, to oberwie mu się od Matki Krisznabai za to, że musiała czekać na niego z lunchem.

Pozostały czas naszego pobytu minął aż za szybko. Kiedy nie rozmawialiśmy z Ramdasem w sali bhadźan lub u szczytu schodów do Aszramu, zwiedzaliśmy najbliższe okolice we wszystkich kierunkach. Kilka razy weszliśmy na wzgórze za Aszramem i z jego owianego wiatrami szczytu ujrzeliśmy w oddali długie niebieskie pasmo Morza Arabskiego. Mieliśmy tylko jeden powód do zmartwienia i był nim Kesawa Pillai. Nasze pierwsze spotkanie z Ramdasem głęboko wstrząsnęło naszym starym przyjacielem. Rzucił się na ziemię jak długi do stóp Ramdasa i pozostał tam nie ruszając się z miejsca przez kilka minut, całym jego ciałem wstrząsał szloch, a z oczu ciurkiem płynęły łzy. Kilka dni później w nocy poważnie zachorował. Razem z Satjapriją robiliśmy co można, aby ulżyć mu w cierpieniach, ale jego ciemna zwykle twarz poszarzała jak popiół i oddychał z takim trudem, że w końcu wezwaliśmy aszramowego lekarza. W tych okolicznościach nie było mowy o przedłużeniu naszego pobytu, nawet gdybyśmy tego chcieli. Ale ani Satjaprija, ani ja nie mieliśmy poczucia, że czegoś jesteśmy przez to pozbawieni. Tydzień w Anandaszramie nie tylko z nawiązką spełnił nasze nadzieje, ale dano nam też jasno do zrozumienia, że możemy tam powrócić, kiedy tylko chcemy.

Jako pożegnalny prezent otrzymaliśmy od Ramdasa mantrę. Było to tak niespodziewane, że totalnie nas zaskoczyło. Choć od dłuższego czasu czuliśmy, że pełne oddania powtarzanie mantry mogłoby nam pomóc i choć Satjaprija raz napomknął o tym Ramdasowi, to nie poprosiliśmy formalnie o inicjację. Pomimo mojego zaufania do Ramdasa miałem w gruncie rzeczy poważne wątpliwości, jeśli chodzi o celowość takiego kroku w naszym przypadku. Będąc buddystą, chciałem dostać mantrę buddyjską, a wiedziałem, że Ramdas głęboko wierzył w skuteczność mantry Rama. Była to mantra przekazana mu w trakcie inicjacji przez ojca, którego uważał za swojego guru, i którą sam nieustannie powtarzał. Umieszczano ją na okładce każdego numeru *Wizji*, regularnie śpiewano na porannych i wieczornych sesjach bhadźan i niezmiennie służyła do inicjacji wszystkich uczniów. Nikt nigdy nie słyszał, aby Ramdas kiedykolwiek inicjował kogoś przy użyciu innej mantry.

Jednak niepotrzebnie się martwiłem. Kiedy pewnego ranka, niedługo przed naszym wyjazdem, weszliśmy do sali bhadźan, zastaliśmy Ramdasa czytającego *The Light of Asia*. Jak tylko nas zobaczył, zerwał się z krzesła i unosząc prawą rękę jakby w inicjacyjnym geście wykrzyknął: „Waszą mantrą jest *om mani padme hum*!" Z tej mantry, mantry wielkiego bodhisatwy Awalokiteśwary będącego ucieleśnieniem Współczucia, byłem bardzo zadowolony. W rzeczywistości, chociaż wtedy o tym nie wiedziałem, była ona punktem wyjścia do całej sieci symbolicznych związków, które stopniowo zaczęły zajmować centralne miejsce w moim duchowym życiu.

Po powrocie do Muwattupuzhy zaczęliśmy uświadamiać sobie skalę zmiany, która w nas zaszła. Chociaż nurt naszej egzystencji nie płynął aż tak gładko jak rzeka, w której znów zaczęliśmy się rano kąpać, to większość starych napięć znikła, a ponieważ kontakt z Ramdasem ponownie uaktywnił wszystko to, co pozytywne w naszym związku, Aszram był teraz dla nas obydwu szczęśliwszym i spokojniejszym miejscem. Medytacje i rytuały uwielbienia odbywały się jak poprzednio, ale Satjaprija złagodził swoje wyrzeczenia i całkowicie zaprzestał praktykowania pranajamy. Jeśli chodzi o naszą świeżo otrzymaną mantrę, nie tylko regularnie ją sobie powtarzaliśmy, ale też śpiewaliśmy razem na głos do melodii, którą wymyślił Satjaprija.

Korzystając z łagodnej pogody chodziliśmy też na długie spacery po drugiej stronie Aszramu, gdzie do tej pory się nie wybieraliśmy, wędrując wiejskimi drogami wzdłuż których były rowy pełne zeschłych liści, i gdzie późnym popołudniem promienie słońca przeświecały między konarami olbrzymich drzew chlebowca oświetlając zakurzoną ścieżkę i rzucając ciepłe złote światło do ciemnych wnętrz przydrożnych chat. Częściej niż przedtem chodziliśmy też do miasta, gdzie czasem odnawialiśmy znajomości ze starymi, od dawna nie widzianymi przyjaciółmi. Wkrótce jednak poczucie, że nasze dni w Muwattupuzha są policzone, skrystalizowało się w ostateczną decyzję o wyjeździe. Dłuższy pobyt w Anandaszramie wyraźnie miał być następnym etapem naszej duchowej podróży. Poza tym, spędziliśmy na południu Indii wystarczająco dużo

czasu i nadeszła pora, aby kontynuować od dawna opóźnioną podróż na północ, w kierunku Himalajów, a może nawet zacząć myśleć o formalnej ordynacji na buddyjskich mnichów.

Ponieważ doświadczyliśmy w Muwattupuzha tak wiele życzliwości, było nie do pomyślenia, żebyśmy wyjechali bez poinformowania o tym członków Aszramu i wszystkich naszych przyjaciół oraz bez wyjaśnienia powodów naszej decyzji. Odwiedzaliśmy ich jednego po drugim, aż obeszliśmy wszystkie domy. Chociaż było im przykro, że wyjeżdżamy, wszyscy rozumieli, że jako wędrowni asceci nie mogliśmy się przywiązywać do żadnego konkretnego miejsca, oraz że – jak stwierdzili niektórzy z nich – i tak mieli szczęście, że mogli tak długo cieszyć się korzyściami płynącymi z naszej obecności w Aszramie. Z naszej strony, znaleźliśmy schronienie, kiedy go potrzebowaliśmy, i okazję do ugruntowania swojej medytacji – za to byliśmy głęboko wdzięczni.

W przeddzień wyjazdu formalnie zrzekliśmy się odpowiedzialności za Aszram i Satjaprija przekazał komitetowi szczegółowy wykaz dochodów i wydatków za cały okres piastowania naszych stanowisk. Aszram był teraz w dobrym stanie, powiedział im, a do ich dyspozycji pozostało ponad tysiąc rupii w gotówce oraz dwa tysiące laterytowych bloczków. Od nich zależała teraz kontynuacja pracy, którą my rozpoczęliśmy. Nasi przyjaciele, którzy z tej okazji stawili się tłumnie, podziękowali nam za wszystko, co uczyniliśmy, powiesili nam na szyjach girlandy nagietków i na końcu wręczyli kopertę zawierającą 360 rupii, które zebrali między sobą na nasze wydatki związane z podróżą.

Następnego dnia rano, mając na sobie nowe szaty szafranowego koloru i czując się nago z powodu swoich świeżo ogolonych głów, wsiedliśmy do zdezelowanego autobusu przed biurem Ramaswamiego i wkrótce straciliśmy z oczu Miasto Trzech Rzek, które znikło za gęstymi kłębami żółtego kurzu.

Rozdział 38

W „Siedzibie Szczęścia”

Pierwsze co uczyniliśmy po przybyciu do Anandaszramu, to wręczyliśmy Ramdasowi wszystkie nasze pieniądze i poprosiliśmy go, aby pozwolił nam zostać tak długo, aż się nie skończą, albo dopóki on nie zdecyduje, że powinniśmy ruszyć w dalszą drogę. Potem ustaliliśmy nasz prywatny rozkład dnia. Teraz, kiedy przebywaliśmy w miejscu, gdzie oddziaływała na nas promienna aura dwóch osób, które urzeczywistniły Prawdę, warunki do rozwoju duchowego były jeszcze bardziej sprzyjające niż w Muwattupuzha i chcieliśmy maksymalnie wykorzystać tę okazję. Satjaprija miał ochotę zafundować nam całkowite odosobnienie i zupełny brak kontaktu z pozostałymi mieszkańcami Aszramu, ale Ramdas się na to nie zgodził. Przydzielono nam za to jeden z dalej położonych pawilonów mieszkalnych i pozwolono, aby posiłki były przynoszone do pokoju, nie jedliśmy więc we wspólnej jadalni jak podczas naszego pierwszego pobytu.

Wstawaliśmy codziennie przed świtem i pierwsze godziny dnia poświęcaliśmy medytacji. Po śniadaniu szliśmy na spacer. Cel spaceru był podwójny – oprócz ruchu fizycznego dawał nam okazję nauczenia się na pamięć wersów *Dhammapady*. Raźnie krocząc drogą owiewani bryzami północnego Malabaru wypowiadaliśmy na głos nieśmiertelne słowa, których nie słyszano w tym rejonie od tysiąca lat. Początkowo mieliśmy zamiar nauczyć się na pamięć całości – Satjaprija obliczył, że przy dwudziestu sześciu rozdziałach z łatwością zapamiętamy jeden rozdział dziennie, więc będziemy mieli opanowaną całą *Dhammapadę* w ciągu miesiąca. Jednak ponieważ żaden z nas nie znał języka palijskiego, musieliśmy powtarzać wersety jak papugi, mając tylko ogólne pojęcie o ich znaczeniu. Postępy były więc znacznie wolniejsze niż się spodziewaliśmy. Satjaprija radził sobie lepiej ode mnie, ale ja uważałem, że jeśli wbiłem sobie do głowy jeden werset dziennie, był to całkiem dobry wynik.

Kiedy wracaliśmy do Aszramu, wszyscy byli gotowi do przedpołudniowej sesji bhadźan. Z Ramdasem siedzącym w fotelu i uczniami, którzy rozsiadali się półkolem u jego stóp, było to przytulne, swojskie spotkanie, prawie jak rodzinne modlitwy. Młody człowiek o bardzo ładnym głosie, który miał przezwisko ‘aszramowy słowik’, śpiewał dwie lub trzy religijne pieśni, łącznie ze wstępem do długiego, napisanego po angielsku poematu Ramdasa, potem wyznawcy recytowali chórem mantrę Ramy, a na końcu wszystkim, zarówno młodym jak i starym rozdawano słodycze, które Ramdas swoim dotknięciem zmienił w prasad. Po sesji nadal siedział w fotelu i każdy, kto chciał z nim porozmawiać, mógł to uczynić. Ponieważ zawsze przynajmniej dwie lub trzy osoby zostawały w tym celu, a jedno pytanie nieodmiennie prowadziło do następnego, zwykle wywiązywała się generalna dyskusja. Realizując konkretną prośbę lub pragnąc zilustrować jakiś pogląd Ramdas często opowiadał anegdoty ze swoich doświadczeń z przeszłości. Wiele z nich znaliśmy już z lektury książki *In Quest of God* i jej kontynuacji *In the Vision of God*. Były one oczywiście zabawne w czytaniu, ale nieskończenie bardziej zabawne, kiedy usłyszane z ust Ramdasa. Był tak wspaniałym gawędziarzem, z tak ogromnym poczuciem humoru i talentem do naśladowania, że kiedy opowiadał jakąś starą ulubioną historyjkę, nawet najpoważniejszy uczeń nie mógł powstrzymać się od uśmiechu, a inni, bardziej podatni na rozśmieszanie po prostu ryczeli lub nawet bezsilnie tarzali się po podłodze z uciechy. Anegdoty wywołujące największą wesołość często były najbardziej wymowne. Jedna z nich dotyczyła przypadku, kiedy obudziwszy się pewnego ranka w swojej górskiej jaskini po latach najszczerszego oddania, zorientował się, że jego ego zniknęło. „Ramdas szukał dosłownie wszędzie – deklarował wśród mnóstwa śmiechu, dostosowując swoje gesty do słów z nieopisanie komicznym efektem – ale nigdzie nie mógł tego typa znaleźć i do dzisiaj nie może go znaleźć!”.

Z Ramdasem, który bez przerwy raczył swoich uczniów tego typu anegdotami, Anandaszram, ‘Siedziba Szczęścia’ rzeczywiście nosił stosowną nazwę. Jeśli metodą Anandamaji był duchowy flirt, to u Ramdasa była to transcendentalna komedia. A jednocześnie nigdy nie było wątpliwości co do jego powagi w kwestiach fundamentalnych. Bardzo zadowolony, że pomaga ludziom śmiać się na ich drodze do Boga, wykazywał stanowczość, a nawet surowość jeśli chodziło o przestrzeganie

zasad i był zdecydowanym wrogiem wszelkich słabości i kompromisów. Któregoś dnia jakiś uczeń zapytał, dlaczego tak się dzieje, że tak dużo ludzi zaczyna duchowe życie, a tak mało robi prawdziwe postępy. Odpowiedź Ramdasa była jednoznaczna. Nie udało im się zrobić żadnych postępów z dwóch powodów – odpowiedział. Po pierwsze, ponieważ nie mieli wyraźnego obrazu celu, który chcieli osiągnąć. Po drugie, ponieważ nie mieli wyraźnego obrazu, jak ten cel osiągnąć. Było to ostrzeżenie dla wszystkich beztroskich kandydatów z aspiracjami duchowymi i choć zdawaliśmy sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakim byłoby pozwolenie sobie na zdryfowanie z kursu, obaj z Satjapriją potraktowaliśmy je bardzo poważnie.

Minęło kilka dni i niektórzy uczniowie po sesji bhadźan zaczęli z nami rozmawiać i zapraszać do swoich pokoi na filiżankę kawy. Satjaprija najpierw skłonny był odrzucać te przyjazne gesty. Chociaż lepiej już nad sobą panował niż dawniej, nadal od razu sobie wyobrażał, że ludzie patrzą na niego z góry i chcą zdemaskować jego brak wiedzy albo go w jakiś inny sposób upokorzyć. Jednak w atmosferze Anandaszramu tego typu wątpliwości i podejrzenia nie mogły trwać długo, więc wkrótce nie tylko przyjmowaliśmy te zaproszenia, ale zaczęliśmy się z niektórymi uczniami zaprzyjaźniać. Większość z nich stanowiły starsze osoby na emeryturze, a kilku przyjechało z rodzinami. Prawie wszyscy pochodzili z Indii północno-zachodnich. Jeden był nawet władcą księstwa Porbandar w Gudżaracie, gdzie urodził się Mahatma Gandhi. Ze swym wojskowym wąsem, wyprostowaną sylwetką i w ciemnym zachodnim garniturze dziwnie wyróżniał się w Aszramie, ale nikt nie miał wątpliwości co do głębi jego oddania Ramdasowi. Powściągliwy w sposobie bycia, wręcz niepewny siebie, odzywał się bardzo rzadko i miałem wrażenie, że z natury jest po prostu nieśmiały. Naszym głównym przyjacielem był emerytowany dyrektor koledżu z prowincji Sindh, który chciał porzucić świat i zostać mnichem, ale Ramdas mu to wyperswadował. Szczupły, siwowłosy, w okularach, był bardzo łagodny z natury i niezwykle uczuciowy. Kiedy mówił, często przyjmował postawę ekstatycznego oddania, klękając na jedno kolano, składając dłonie w uścisku i żarliwie patrząc do góry. Taka pozycja, w której czasami trwał kilkanaście minut, wydawała nam się początkowo bardzo sztuczna i udawana, żeby nie powiedzieć teatralna, ale w końcu zorientowaliśmy się, że w jego przypadku była nie tylko autentyczna, ale też nasz dobry przyjaciel w ten naturalny dla siebie sposób wyrażał swoje uczucia.

Jedną z najbardziej interesujących postaci w Aszramie był szczupły, czarnoskóry młodzieniec w wieku trzynastu lub czternastu lat znany jako Chłopiec Jogi. Ponieważ mówił tylko po tamilsku, nie mogliśmy z nim porozmawiać, ale uśmiechał się do nas szeroko i życzliwie, kiedykolwiek go spotkaliśmy. Któregoś dnia Ramdas opowiedział nam jego historię. Ojciec chłopca chciał zostać mnichem, ale rodzina zmusiła go do ożenku, więc wszystkie swoje duchowe ambicje przeniósł na syna. Nie tylko nauczył go medytować, zanim dziecko skończyło cztery lata, ale zrobił też dla niego na końcu ogrodu coś w rodzaju podziemnej groty. Chłopiec mieszkał w tej grocie i większość czasu spędzał na praktykowaniu pranajamy i podobnych ćwiczeń. Z upływem lat rozniosła się po okolicy wieść, że w podziemnej grocie żyje genialne uduchowione dziecko i młodziutki asceta stał się sławny w rejonach, gdzie posługiwano się językiem tamilskim, jako Bala Jogi, czyli Chłopiec Jogi. Nim skończył osiem lat u wejścia do groty wyrósł aszram z szeregiem jego wyznawców. Chłopiec Jogi stał się guru – ambicje ojca zostały spełnione. W końcu jednak pogwałcona natura zaczęła się mścić. Chłopiec zwariował, przeżył załamanie nerwowe głównie z powodu długiego praktykowania pranajamy i po dwóch czy trzech latach ostrej choroby umysłowej został niedawno przyprowadzony do Ramdasa na leczenie. Od czasu przybycia do Aszramu jego stan znacznie się poprawił, powiedział nam Ramdas, ale jeszcze długo potrwa, zanim całkiem powróci do normalności.

Niemniej interesujący od Chłopca Jogi był starszy asceta, który mieszkał u stóp wzgórza w grocie powstałej w szczelinie skały. Chociaż przychodził do Aszramu tylko sporadycznie i niewiele rozmawiał z ludźmi, zawsze pozdrawiał Satjapriję i mnie w przyjacielski, prawie konspiratorski sposób, jak gdyby istniało między nami jakieś sekretne porozumienie. Oprócz kusej szafranowej opaski na lędźwiach, jego podstawowym odzieniem była wielka liczba naszyjników z korali rudrakszy, które miał zawieszone na szyi oraz owinięte wokół ramion i talii. Razem z nim w jaskini żyła wielka kobra, która nie tylko pożywiała się mlekiem, jakie przynoszono mu z Aszramu, ale też

w nocy zwijała się w kłębek za jego plecami na prymitywnej kamiennej leżance, stanowiącej jedyne umeblowanie groty.

Zaledwie kilka metrów od sali bhadźan stał budynek mieszczący aszramową bibliotekę. Nasz przyjaciel Sindh, na którego wszyscy mówili Dada-dżi albo Dziadek, był w niej bibliotekarzem. Co dwa, trzy dni spędzaliśmy tam z Satjapriją pół godziny grzebiąc po półkach i szukając czegoś do zabrania ze sobą do naszej kwatery. Chociaż większość książek dotyczyła religii i mistycyzmu, była to kolekcja niezwykle różnorodna, ponieważ składała się z darów od bardzo różnych osób z bardzo różnych czasów. Z przyjemnością znalazłem tam i jeszcze raz przeczytałem swoje dawne ulubione pozycje, na przykład Zhuangzi oraz Laozi. Nowe odkrycia obejmowały *The Religion of No-Religion* Frederica Spiegelberga, z którego główną tezą głęboko się zgadzałem. Spiegelberg, profesor na Uniwersytecie Stanford w Kalifornii, odwiedził kiedyś Anandaszram, a Ramdas wyrażał się o nim z dużym uznaniem. Oprócz czytania kontynuowałem stary zwyczaj robienia wypisów z moich lektur. Krótko przed naszym wyjazdem z Muwattupuzhy Satjaprija zamówił dla nas obydwu w lokalnej drukarni specjalnie oprawione notatniki. Poprosiliśmy Ramdasa, żeby napisał nam w nich dedykacje. Wykorzystując grę słów opartą na naszych imionach – Dharmaprija i Satjaprija – i jednocześnie udzielając nam głębokiej duchowej lekcji, w moim zeszycie napisał: „Kochaj Dharmę, gdyż Dharma jest Prawdą," a w zeszycie Satjapriji: „Kochaj Prawdę, gdyż Prawda jest Dharmą".

W pobłogosławionym w ten sposób notatniku nie tylko wpisywałem fragmenty moich dawnych i obecnych lektur, ale nawet przepisałem całą jedną książkę. Było to tłumaczenie Suzukiego dzieła Aszwaghoszy *Awakening of Faith in the Mahajana*. Mimo że już to wcześniej czytałem, zwięzłość stylu i głębia nauk teraz wywarła na mnie wrażenie większe niż kiedykolwiek, przepisałem więc całość nie tylko z powodów praktycznych, żeby zawsze mieć tekst przy sobie, ale też jako akt zbierania zasług. Zarówno buddyści jak i hinduiści od dawna traktowali uważne przepisywanie świętych tekstów za praktykę religijną samą w sobie. W biurze Aszramu widziałem szereg notatników całkowicie zapisanych tekstem mantry Ramy. Był to drugi raz w życiu, kiedy zadałem sobie trud skopiowania podziwianego przeze mnie dzieła. Pierwszy raz zrobiłem to mając trzynaście lub czternaście lat, kiedy przepisałem z dzieła Swinburnea pt. *William Blake: A Critical Essay* cały tekst *The Marriage of Heaven and Hell*, a w każdym razie tyle, ile zamieścił w swej książce Swinburne. W obecnym przypadku nie tylko była to kwestia zrobienia dla siebie kopii niedostępnej w żaden inny sposób, ale też wyrycia w swojej świadomości każdego jej słowa.

Wśród książek, które pożyczyłem z biblioteki, był zbiór artykułów i listów pisanych przez Ramdasa. W niektórych z nich niezwykle starannie i dociekliwie omawiał uświęcone wiekami tematy hinduskiej myśli filozoficznej. Jego zrozumienie było w istocie tak przenikliwe, a naświetlenie tematu tak jasne i zdecydowane, że nie mogłem powstrzymać się od refleksji, że chociaż Ramdas zwykle przemawia językiem religijnego oddania, to w głębi serca nie tyle jest miłującym Boga bhaktą, co dżninem, znawcą Absolutu. Jednak z pewnymi jego twierdzeniami nie mogłem się zgodzić. Jedno z nich, które szczególnie mnie zaniepokoiło, głosiło, że człowiek oświecony, który wykroczył poza kategorie moralności, może działać w sposób 'moralny' lub 'niemoralny'. Może nawet odebrać czyjeś życie. Kiedy poruszyłem tę kwestię w rozmowie z Ramdasem, nie tylko potwierdził, że faktycznie tak uważa, ale odpierając wszystkie moje zarzuty, rozwinął temat ze zwykłą dla siebie klarownością i promiennym nastrojem. Ostatecznie upierał się, że w przypadku człowieka oświeconego odebranie życia nie byłoby zaprzeczeniem współczucia tylko jego wyrażeniem, i podsumował swoje stanowisko energiczną i bezkompromisową deklaracją „Miłość może zabić!"

Teraz miałem poważny dylemat – ani nie byłem w stanie zaakceptować opinii Ramdasa, ani nie mogłem stwierdzić, że się myli. Według palijskich tekstów therawady Budda kategorycznie twierdził, że Arahant, będący wyzwoloną duszą, jest niezdolny do świadomego odebrania życia. Wydawało mi się to nie tylko zasadniczo prawdziwe, ale też słuszne w praktyce. Gdyby ktokolwiek inny poza Ramdasem powiedział mi, że miłość może zabijać, natychmiast doszedłbym do wniosku, że ta osoba nie tylko jest bardzo daleka od Oświecenia, ale też że znajduje się pod wpływem ogromnych iluzji, oraz że jej tak zwana miłość jest tylko formą przywiązania. Jednak w przypadku

Ramdasa taki wniosek był praktycznie niemożliwy. Twierdzenie, że miłość może zabijać wygłosiła osoba, która sama była niewątpliwym ucieleśnieniem miłości. Jeśli wyzwolona dusza jest niezdolna do celowego odebrania życia, ale jednocześnie jeśli miłość może zabijać, jedyny wniosek, jaki się nasuwa, to taki, że miłość i Oświecenie wzajemnie się wykluczają. A jednak, jak dobrze wiedziałem, według tekstów mahajany Współczucie współistnieje z Mądrością i oba razem tworzą idealne Oświecenie, czyli stan buddy. Co więcej, niektóre fragmenty pism mahajany sugerowały, czy może zdawały się sugerować, że bodhisatwa, żywe ucieleśnienie dążenia do idealnego Oświecenia, powodowany współczuciem dla żyjących istot mógł unieważnić zasady moralności, nawet łącznie z tą, która zakazywała odbierania życia. Czy w takim razie Ramdas był bodhisatwą? Czy teksty palijskie myliły się, a rację miał Ramdas i teksty mahajany? Czy Budda therawady zaprzeczał Buddzie mahajany? Borykając się z tymi i wieloma innymi podobnymi pytaniami, tylko coraz bardziej się pogrążałem w odmętach pierwotnego dylematu. W rzeczywistości problem ten męczył mnie jeszcze przez wiele lat.

Od czasu do czasu w rozmowach z nami Ramdas opowiadał o różnych świętych i mędrcach, których poznał w trakcie swych wczesnych wędrówek. Świętym, którego czcił najbardziej, był Ramana Mahariszi. To u niego szukał błogosławieństwa na początku swoich duchowych poszukiwań. Do Szri Aurobindo, którego nie poznał osobiście, również żywił głęboki szacunek. Ponieważ Ramana Mahariszi mieszkał w Tiruwannamalai, Szri Aurobindo w Pondicherry, a sam Ramdas w Kanhangadzie, miał zwyczaj mówić nich trojgu ‘Trimurti Południa’. Trimurti, czyli trójca, oznacza oczywiście trzy główne bóstwa panteonu hinduistycznego, którymi są: Brahma Stwórca, Wisznu Utrzymujący i Sziwa Niszczyciel. Ramdas twierdził, że Ramana Mahariszi to Wisznu – mocny i nieporuszony jak centralna oś kosmosu, zawsze pozostawał w jednym miejscu i wszystko podtrzymywał. Szri Aurobindo był Sziwą – Wielkim Joginem wiecznie pogrążonym w kontemplacji. A on sam był Brahmą – naturalnie aktywnym jak dziecko, które nic nie robi, tylko się bawi.

Pewnego dnia, kiedy przebywaliśmy w Aszramie od około sześciu tygodni, Ramdas oświadczył nam, że poznaliśmy już jednego członka Trimurti, więc nadeszła pora, abyśmy zaczęli myśleć o poznaniu dwóch pozostałych. Ustaliliśmy przeto datę naszego wyjazdu. Chociaż przykro nam było odjeżdżać, wiedzieliśmy, że Ramdas nikomu nie pozwalał osiąść w Aszramie na dłuższy czas. Krótsze okazjonalne odwiedziny, kiedy podczas całej wizyty gość czuł się podbudowany i zainspirowany, miały jego zdaniem znacznie większą wartość niż dłuższy pobyt, w trakcie którego stopniowo wraca się do bardziej ziemskich przyzwyczajeń i postaw. W naszym przypadku odnieśliśmy ogromną korzyść z kontaktu z Ramdasem i Krisznabai. Otrzymawszy od nich tak wiele, oczywiście mieliśmy teraz obowiązek skutecznie zastosować to w życiu, jakiemu się poświęciliśmy. Ponieważ nie mieliśmy pieniędzy, postanowiliśmy pieszo przejść całą drogę do Tiruwannamalai – była to odległość około sześciuset kilometrów. Jednak, kiedy poszliśmy po raz ostatni złożyć nasze uszanowanie Ramdasowi, wręczył nam dwa bilety kolejowe trzeciej klasy i stanowczo oświadczył, że mamy jechać pociągiem.

Rozdział 39

Wizja w grocie

W przeciwieństwie do soczystej zieleni wybrzeża malabarskiego, tamilski kraj był surowy i pozbawiony tej cechy. Kiedy pociąg niósł nas z zachodu na wschód przez rozległy płaskowyż Dekanu i co jakiś czas przejeżdżaliśmy przez rzadkie skupiska chat w jednym spalonym słońcem miasteczku za drugim, wydawało się, że ziemia była tam całkowicie ogołocona z roślinności i im mniej zostawało drzew i krzaków, tym bardziej stawały się karłowate i zwiędnięte. Wraz z krajobrazem ludzie również się zmieniali – byli chudsi, ciemniejsi, a ich rysy twarzy mniej przyjemne dla oka. Kiedy dotarliśmy do Tiruwannamalai, znaleźliśmy się w innym świecie. Idąc do Aszramu kroczyliśmy raczej po piachu niż po glebie, a po obu stronach drogi zamiast ludzkich siedzib widzieliśmy olbrzymie głazy, które wystawione od tysięcy lat na działanie słońca, deszczu i wiatru zrobiły się idealnie gładkie i wypolerowane niemal do białości. Między skałami, jak również na zerodowanych wiatrem pagórkach oraz na płaskich terenach maleńkie świątynie o pobielanych ścianach wyrastały jak z gęsto posianych ziaren. Rosły też cierniste krzewy, a żywopłoty z kaktusów na wpół zakrywały gliniane chaty porośnięte zwiędłymi pnączami. Za nimi nierówna szachownica brązowo-szarych pól ryżowych, obrośniętych na brzegach palmami areka, ciągnęła się aż po horyzont, na którym majaczyły ledwo widoczne za mgiełką niskie wzgórza, które z tej odległości wydawały się błękitne. W tym prehistorycznym świecie kwitły jedynie wielkie rzucające cień drzewa, które, sądząc po świeżości i obfitości listowia, gdzieś pod nieurodzajną skałą znalazły sobie tylko znane źródła pożywienia.

Aszram, który przez ostatnie pięćdziesiąt lat wyrósł wokół Ramany Marharisziego, nie tylko był większy od Aszramu, który powstał wokół Ramdasa, ale też funkcjonował na zupełnie innych zasadach. Zauważyliśmy to, jak tylko zajęliśmy swoje miejsca przy lunchu. Przez środek jadalni biegła kończąca się tuż przy tylnej ścianie przegroda, która podzieliła większą część sali na dwa sektory. Jeden sektor był zarezerwowany dla braminów, drugi dla nie-braminów. Mimo naszych szafranowych szat i faktu, że asceci znajdowali się poza podziałami kastowymi nawet według ortodoksyjnej tradycji hinduskiej, zostaliśmy z Satjapriją wysłani do części dla nie-braminów, gdzie zajęliśmy miejsca na wąskim pasku maty biegnącej wzdłuż całej długości sali. Biegając wśród ciasno stłoczonych szeregów, bosonodzy pomocnicy szybko nakładali na liściaste talerze porcje ryżu i curry oraz trochę zupy cebulowej z dodatkiem chili i maślankę. Zauważyłem, że talerze nie były dużymi prostokątami ze świeżo ściętych liści plantana, zielonych i gumowatych, tak jak w Malabarze, tylko składały się z małych, zwiędłych liści spiętych cierniami w dyski niewiele większe od serwetki. Na sygnał z końca sali wszyscy zaczęli jeść i wkrótce jedyne, co było słychać, to głośne dźwięki siorbania, cmoktania i mlaskania, jakie wydają z siebie zadowoleni Hindusi racząc się dobrym posiłkiem. Czy to tylko moja wyobraźnia, czy też hałasy dochodzące zza przepierzenia, za którym jedli bramini, były nawet donośniejsze od tych po naszej stronie? Podnosząc wzrok znad talerza, za lasem pochylonych głów i rytmicznie unoszących się prawych ramion dojrzałem ciemną dostojną postać w czymś, co wyglądało jak para białych slipów, siedzącą na końcu sali pod kątem prostym w stosunku do rzędów jedzących. Krótko przycięte białe włosy nadawały mu czujny, prawie wojskowy wygląd. Wydawało się, że jego oczy zauważają wszystko. Był to Mahariszi. Z miejsca, gdzie siedział, widział obie części sali i mógł obserwować zarówno braminów, jak i nie-braminów. Zarówno bramini, jak i nie-bramini mogli widzieć jego, a co jeszcze ważniejsze, bramini ani nie mogli widzieć nie-braminów, ani nie mogli być przez nich widziani.

Po spędzeniu kilku dni w Aszramie, gdzie spaliśmy w podobnym do baraku dormitorium z kilkoma tuzinami innych gości płci męskiej, oraz paru dni z przyjaciółmi w jednym z bungalowów tuż za bramą Aszramu zaczęliśmy z Satjapriją szukać jakiegoś spokojniejszego i bardziej wygodnego miejsca do zamieszkania – na tyle blisko, żebyśmy mogli regularnie widywać Marharisziego, i na tyle daleko, żeby na pewno nikt nam nie przeszkadzał. Nie musieliśmy daleko szukać. Za Aszramem wznosiły się bliźniacze wierzchołki Arunaciali, świętego w całym tamilskim kraju Wzgórza Światła. Sama jego nazwa w dziwny, magiczny sposób przyciągnęła do tego miejsca

siedemnastoletniego Ramana ponad pięćdziesiąt lat wcześniej. Niezliczone wieki temu w okresie zwanym Satja Juga, Erze Prawdy, był to wielki słup światła, którego szczytu i podstawy nie mogli dostrzec nawet bogowie. Z upływem czasu na skutek stopniowego upadku wszechświata wzgórze też się zmieniało. W Treta Juga stało się stosem rubinów, w Dewapara Juga stosem złota, a w Kali Juga, Erze Ciemności było stosem kamieni. Ale nawet jako stos kamieni Arunaciala miała swoje uroki. Na porośniętych drzewami zboczach, gdzie swobodnie włóczyły się stada małp, były urwiste skalne półki z mnóstwem malutkich świątyń, a gdziekolwiek w skale znajdowały się naturalne zagłębienia i szczeliny, pogłębiano je i tworzono groty. Większość grot była zajęta, ale kilka nadal pustych, więc zainstalowaliśmy się w jednej z nich. Zanim to uczyniliśmy, poprosiliśmy Mahariszi o akceptację. Udało nam się podejść do niego, kiedy szedł do łazienki, czego w zasadzie nie wolno nam było robić, i padliśmy na piach do jego stóp prosząc o błogosławieństwo dla kroku, który zamierzaliśmy zrobić. Opierając się ciężko na lasce, z ciałem przygiętym z powodu bólu, wątły staruszek z wielką powagą słuchał, co mieliśmy do powiedzenia. Następnie w dwóch, trzech krótkich zdaniach i z wyrazem wielkiej dobroci na twarzy nie tylko zapewnił nas, że robimy właściwą rzecz i mamy jego błogosławieństwo, ale też zachęcił nas, byśmy nie ustawali w wysiłkach urzeczywistnienia Prawdy.

Wybrana przez nas grota, znana jako Wirupaksza Guha, usytuowana na południowo-wschodnim zboczu wzgórza z widokiem na obszerne dziedzińce i wzniosłe gopuramy Świątyni Tiruwannamalai, znajdowała się na końcu krótkiej piaszczystej dróżki, która odchodziła od głównej ścieżki wiodącej w górę zbocza. Za grotą, gdzie wzdłuż ciemnej szczeliny wolno sączyła się woda, rósł gąszcz splątanych różowych oleandrów, wysokich na ponad dwa metry, które stanowiły przyjemny kontrast na tle oświetlonej słońcem szarej skały. Wewnątrz groty, wystarczająco obszernej, by dać schronienie czterem lub pięciu osobom, było zadziwiająco ciepło i sucho. W gruncie rzeczy, mimo dobrego przewiewu, ciepło było niemal uciążliwe. Większość przestrzeni zajmowała podwyższona kamienna struktura, na której spaliśmy w nocy. Był to grobowiec świętego – od jego imienia grota wzięła swą nazwę – który mieszkał w grocie około pięciuset lub sześciuset lat wcześniej i w niej został pochowany. Miejsce związane też było z wczesnym okresem w życiu Mahariszi. Dwa lata po swoim przybyciu do Tiruwannamalai porzucił sanktuaria i świątynie, w których do tej pory przebywał, i zaczął mieszkać na wzgórzu. Wirupaksza Guha była pierwszą grotą, do której się schronił i w niej przebywał najdłużej. Czy to z powodu obecności zmarłego świętego, czy też związku z żyjącym świętym – a może po prostu dlatego, że była to grota – w miejscu tym panowała wyjątkowo intensywna atmosfera. Według powszechnego wierzenia można w niej było wyraźnie usłyszeć mantrę *om*. Ani Satjaprija, ani ja nigdy nie słyszeliśmy tam ani tej mantry, ani żadnej innej, ale nie dało się zaprzeczyć, że czasami wibracje w grocie były tak intensywne, iż wydawało nam się, że słyszymy dźwięk w rodzaju buczenia lub szumu. Słyszeliśmy też inne dźwięki. Przez kilka pierwszych dni musieliśmy dzielić grotę z młodym Tamilem, tak chudym, czarnym i o tak wielkich spodkowatych oczach, że wyglądał prawie jak jeden z tych głodnych duchów, które widziałem w Muwattupuzha. Ponieważ nie znaliśmy języka tamilskiego, a on nie mówił ani w hindi, ani po angielsku, nie mogliśmy ze sobą porozmawiać, ale w nocy nie brakowało nam komunikacji, przynajmniej z jego strony. Pożywienie, które gotował sobie przed wejściem do groty, składało się głównie z czerwonych chilli, skutkiem czego chronicznie cierpiał na wzdęcia. W nocy i mnie, i Satjapriję budziły od czasu do czasu eksplozje jak strzały z pistoletu, które w zamkniętej przestrzeni toczyły się i rozbrzmiewały wokół nas całymi minutami.

Pod względem sposobu życia, a nawet wyglądu, prawie nie różniliśmy się teraz od wszystkich pozostałych pustelników i ascetów mieszkających na świętym wzgórzu. Tak jak oni wstawaliśmy przed świtem, jak oni medytowaliśmy, dopóki wczesne poranne słońce nie błysnęło czyste i jasne nad przygruntową białą mgłą, i tak jak oni po odbyciu obowiązkowej kąpieli schodziliśmy do Tiruwannamalai po jałmużnę. Większość sadhu rzeczywiście żebrała chodząc od drzwi do drzwi, ale w naszym przypadku przyjaciele, z którymi mieszkaliśmy w bungalowie, umówili się z właścicielem jednego z domów w bramińskiej dzielnicy miasta, że będzie nam przygotowywał nasz jeden codzienny posiłek. Gospodarz domu, tamilski bramin w starszym wieku, karmił nas hojnie, tylko najwyraźniej nie był w stanie zrozumieć, że nie-tamilskie gardła, żołądki i jelita nie są w

stanie poradzić sobie z taką samą ilością czerwonych papryczek chilli, do jakiej on był przyzwyczajony. Dlatego każdy posiłek był strasznym cierpieniem. Piliśmy wodę wielkimi haustami prawie po każdym kęsie, łzy płynęły nam z oczu, z nosa ciekło, w gardle czuliśmy żywy ogień, a nasz gospodarz z jak najlepszymi intencjami, przekonany, że bardzo nam smakuje, stał obok z miedzianym garnkiem i chochelką, gorąco zachęcając do wzięcia dokładki.

W drodze powrotnej do groty zwykle szliśmy na skróty przez Świątynię Tiruwannamalai, obchodząc drugi z trzech masywnych murów otaczających teren wewnętrzny. Obowiązywały tam bardzo ścisłe reguły, kto może wejść do świątyni. Niedotykalni w ogóle nie mieli prawa wstępu, a w rzeczywistości nie wolno im było nawet zbyt blisko przechodzić obok najbardziej zewnętrznego muru. Osoby, które nie były niedotykalnymi, ale mimo to pochodziły z niższych kast mogły wejść, lecz tylko na porośniętą trawą przestrzeń między drugim i trzecim murem – tamtędy właśnie wiodła nasza droga na skróty. Hindusi z wyższych kast mogli przechodzić przez bramy wszystkich trzech murów, kiedy chcieli, jednak tylko bramini cieszyli się wyłącznym przywilejem dostępu do miejsca najświętszego ze świętych. Wiedząc, że jako mleczcza zaliczałem się do rangi jeszcze niższej od niedotykalnych, i że tak naprawdę nie byłem upoważniony do wejścia nawet tam, gdzie chodziłem na skróty, nie miałem zamiaru próbować dostać się głębiej. To Hindusi decydowali, co robią na terenie swoich miejsc modlitw i kogo tam wpuszczają, a nie ja.

Jednak pewnego dnia, mimo mojej niechęci, Satjaprija uparł się, żebyśmy zwiedzili cały świątynny kompleks. Ze zdziwieniem stwierdziliśmy, że tereny wewnętrzne (w obrębie trzeciego muru) były o wiele większe niż mogliśmy sobie wyobrażać. Wszędzie stały kapliczki i lingamy Sziwy, kamienne baldachimy opierały się o las wąskich kolumn, a jednak rozmiary tego miejsca były tak duże, że nie miało się wrażenia ciasnoty. Bramy w kształcie wież, przez które dopiero co przeszliśmy, zdawały się tak odległe, że aż trudno było uwierzyć, iż są częścią tego samego budynku. Wierni niosący tacki z ofiarami przychodzili i odchodzili. Czarni, prawie nadzy asceci siedzieli w kucki na stopniach świątyń lub leżeli bez ruchu w cieniu drzew. Łagodne, białe święte byki z garbami stały pośród swych kamiennych braci przeżuwając porzucone girlandy z nagietków. Nikt nie zwrócił na nas najmniejszej uwagi i chyba nawet nikt na nas nie patrzył. W końcu przedarłszy się przez labirynt dziedzińców i korytarzy, dotarliśmy do kamiennej barierki, o którą oparliśmy się, patrząc na szereg drzwi wiodących do czarnej wnęki w najgłębszej części świątyni.

Ponieważ nadal trwała zima i według indyjskich standardów nie było zbyt gorąco, większość czasu przebywaliśmy na zewnątrz groty. Kiedy już doszliśmy do siebie po bezpośrednich skutkach naszego posiłku w mieście, zwykle spędzaliśmy resztę dnia, dopóki nie zapadła noc, w ocienionym miejscu niedaleko wejścia do groty. W otoczeniu pierwotnej prostoty Arunaciali wydawało się, że książki trochę nie pasują do tego miejsca i chociaż pożyczyliśmy kilka tomów z biblioteki Aszramu, zaglądaliśmy do nich bardzo rzadko, raczej żeby się zainspirować, a nie po informacje. Może za wyjątkiem *Song of Dattatreja* jedyną pozycją, która w tamtym okresie faktycznie wywarła na mnie wrażenie, była książka Evans-Wentza *Tibetan Yoga and Secret Doctrines*. Jej egzemplarz podarował Aszramowi jakiś uczeń z Zachodu i Mahariszi bardzo dobrze ją znał. Większość czasu po prostu patrzyliśmy na rozpościerający się przed nami krajobraz lub wolno spacerowaliśmy w górę i w dół piaszczystymi ścieżkami. Z tej odległości Świątynia Tiruwannamalai była zaledwie małym prostokątem, na który spoglądaliśmy tak, jak bogowie z Góry Idy musieli patrzeć na mury Troi – nawet największe jej świątynie skurczyły się do znikomych kształtów, a ludzkie postacie wyglądały jak rój mrówek. Kiedy nadeszła noc i bramy w kształcie wież zniknęły w zapadającym mroku, w powietrzu płynął dźwięk konch wzywających na wieczorny obrzęd, docierając do naszych uszu osłabiony odległością – przewlekła zawodząca nuta nagle załamywała się wybuchając gwałtownym hałasem. Jakby w odpowiedzi zaczynało się walenie w bębny i gongi, a ich rytmy stawały się coraz bardziej natarczywe. Następnie, kiedy dźwięk stopniowo zmienił się w crescendo i ceremonia osiągnęła punkt kulminacyjny, nagle w samym środku prostokąta, gdzie cienie były najgłębsze, rozbłyskiwały światła. W ich blasku przez moment widzieliśmy zgromadzony wokół drzwi do głównej świątyni gęsty tłum ludzi wyciągających ręce do światła i przepychających się, aby wejść do środka. Kiedy tak patrzyliśmy, a wrzaski i krzyki wzbijały się chaotycznie w nocnym powietrzu, poprzez dzielącą nas przestrzeń częściowo docierała do nas atmosfera wrzawy i

podniecenia religijnego obrzędu. Ale wkrótce wszystko się kończyło. Świątynia znów pogrążała się w ciszy i ciemności, a my z Satjapriją zostawaliśmy sami na zboczu wzgórza obserwując jak niebo rozjaśnia się coraz większą liczbą gwiazd, dopóki unoszące się nad ziemią wilgotne opary nie zmusiły nas do schowania się we wnętrzu suchej, ciepłej groty.

Długo przed świtem oraz w regularnych odstępach w ciągu dnia i w nocy słyszeliśmy świątynny dzwon. Być może działo się to tylko w mojej wyobraźni, ale wydawało mi się, że ja zawsze słyszę ten dzwon. Tak naprawdę słyszałem nie jeden, ale dwa dzwony, pierwszy dźwięk był trochę wyższy od drugiego, ale oba uderzenia następowały po sobie tak szybko i tak dobrze ze sobą kontrastowały i współbrzmiały, że stanowiły dla mnie pojedyncze doświadczenie i dlatego wydawało mi się, że oba pochodzą z jednego źródła. Myślałem, że ich źródłem jest jeden dzwon, czy może rodzaj podwójnego dzwonu, który mógł być uderzany albo przez dwa młoty w jednym miejscu, albo przez jeden młot w dwóch miejscach. Ten dzwon brzmiał głośniej niż jakikolwiek instrument towarzyszący wieczornym obrzędom, głośniej niż one wszystkie razem. Był tak głośny, że przenikał przez skałę równie łatwo jak przez powietrze, tak głośny, że nie miało znaczenia, czy jesteśmy wewnątrz groty, czy na zewnątrz. Kiedy znajdowaliśmy się w środku, było tak, jakby wielki dzwon nie kołysał się daleko we wnętrzu świątyni, tylko w powietrzu tuż obok groty. Czasami słyszałem go w snach. Wydawał się bić całymi godzinami, nieustanny i natarczywy, fale mosiężnego dźwięku uderzały we mnie jak nieustanny powtarzający się grzmot morskich fal, które rozbijają się o brzeg. Czasem wydawało mi się, że kołyszący się na zewnątrz dzwon uderzał o wzgórze, i że to wzgórze było dzwonem, a sam dzwon młotem uderzającym w dzwon. A czasem wzgórze nie było dzwonem tylko kowadłem, a dzwon młotem donośnie uderzającym raz po raz w kowadło. Punktem uderzenia, punktem, gdzie spotykało się wzgórze z dzwonem, była grota, byłem ja. Między wzgórzem i dzwonem, między kowadłem i młotem, byłem przekształcany, byłem w coś przekuwany, ale nie wiedziałem w co. Ulegałem zmianie …

Co dwa, trzy dni obaj z Satjapriją szliśmy do Aszramu, znajdując drogę w rozległej sieci dróżek otaczających niższe zbocza Arunaciali. W słońcu wczesnego poranka był to przyjemny spacer. Przechodziliśmy obok małych świątyń i pustelni, niektóre z nich były świeżo pobielone, inne tak ruderowate, że przypominały stos kamieni, mijaliśmy zarośla skarłowaciałych krzaków i kępy szaro-zielonych kaktusów z żółtymi kwiatami. W pewnym momencie droga prowadziła przez małą zaciszną dolinkę położoną między głównym wzgórzem od strony północnej i dwoma lub trzema małymi pagórkami od strony południowej. W tym miejscu zawsze ogarniało mnie intensywne uczucie ciszy i głębokiego niezmąconego spokoju, którego nie doświadczałem nawet w Aszramie, nawet kiedy siedziałem u stóp Mahariszi ego. Tak jakby dawniej mieszkał tam ktoś jeszcze większy od niego i jakby cała dolinka nadal była wypełniona jego niewidzialną obecnością.

Niemniej jednak darszan w Aszramie był prawdziwie niezapomnianym przeżyciem. Zanim przyszliśmy, Mahariszi już siedział na swoim zwykłym miejscu na leżance stojącej w końcu sali, gdzie albo spoczywał półleżąc oparty o poduszkę, albo – choć znacznie rzadziej – siedział ze skrzyżowanymi nogami. Czasami, kiedy zjawialiśmy się wcześniej, słyszeliśmy recytacje Wed, od których zaczynał się poranny darszan, wykonywane przez grupę tamilskich braminów. Szorstkie i mało muzyczne dźwięki chantingu oraz surowe, niezbyt sympatyczne twarze braminów od razu przywodziły mi na myśl Wenkateszwarę Ijera. Po zakończeniu chantingu, kiedy bramini rządkiem wyszli z sali, niewiele się działo. Mahariszi siedział na swojej kanapie, od czasu do czasu ktoś do niego podchodził z pytaniem lub prośbą, otrzymywał krótką odpowiedź, niekiedy wyrażoną tylko spojrzeniem lub gestem, i wracał na swoje miejsce. To wszystko. Przez resztę czasu sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt osób siedzących w sali albo po prostu patrzyło na Mahariszi ego (to właśnie dosłownie znaczy darszan), albo zamykało oczy i medytowało. Rozmawianie w żadnym razie nie było zabronione, więc czasami nowoprzybyli wymieniali ciche pozdrowienia z obecnymi już przyjaciółmi, jednak przez większość czasu uczniowie siedzieli cicho i nieruchomo godzina za godziną i w sali panowała ogromna cisza. Wystarczyło posiedzieć w tej ciszy kilkanaście minut, aby uświadomić sobie, że nie jest ona tylko brakiem dźwięków, ale pozytywnym duchowym oddziaływaniem, a nawet duchową mocą. Miało się wrażenie, że w sali wieje lekki wietrzyk lub że przepływa przez nią strumień, strumień czystości, a ten wietrzyk bądź strumień zdawał się

emanować z milczącego pochylonego mężczyzny na leżance, który nie robił nic szczególnego – czytał przyniesione mu listy lub od czasu do czasu spoglądał na któregoś z członków kongregacji bystrym lecz życzliwym wzrokiem. Siedząc w sali z Satjapriją czułem na sobie przepływ tego strumienia, czułem jak płynął przez moje ciało i umysł, przez myśli i emocje tak długo, aż ciało, umysł, myśli i emocje całkowicie znikły i nie pozostało nic oprócz cudownego, wspaniałego spokoju.

Ponieważ jedynym celem naszych wycieczek do Aszramu był darszan, robiliśmy co w naszej mocy, aby unikać spędzania czasu na kontaktach czysto towarzyskich. Dlatego, w miarę możliwości staraliśmy się nie zauważać nowych przybyszy, którzy ciągle się pojawiali, i wielu z nich z wielką chęcią dowiedziałoby się o nas czegoś więcej. Ale jednego nowego gościa nie mogliśmy zignorować. Był to Szankaraciarja z Puri we własnej osobie, ten sam sympatyczny człowiek, którego spotkałem dwa lata wcześniej w Ahmedabadzie, i z którym potem korespondowałem. Któregoś dnia rano, wchodząc do sali ujrzeliśmy, że nie tylko zgromadzenie jest trochę większe niż zwykle, ale że jest w niej też sam mały Szankaraciarja w swoim paradnym stroju ze wszystkimi insygniami, siedzący na końcu sali na tym samym poziomie co Mahariszi. Jego udrapowany tygrysią skórą tron ustawiono u stóp leżanki Mahariszi i siedział na nim niewzruszony, mocno dzierżąc w prawej dłoni srebrne berło swego urzędu. Była to żywa konfrontacja starożytnego i współczesnego reprezentanta Adwaity Wedanty. Wszyscy w Aszramie zdawali sobie sprawę, że jest to wydarzenie historyczne. Szankaraciarjowie z Puri raczej nie mieli zwyczaju udawania się do innych dostojników z zamiarem okazania im szacunku, nawet w obrębie własnej szkoły, więc ta wizyta była naprawdę zaszczytem.

Kiedy złożyliśmy mu wyrazy uszanowania w namiocie, w którym zakwaterowano go ze względu na ortodoksów, okazało się, że jest równie otwarty i liberalny jak przy naszym pierwszym spotkaniu. Niby dlaczego nie miałby złożyć wizyty Maharisziemu – zapytał – nawet jeśli był Szankaraciarją z Puri? Wiele o nim słyszał i chciał go zobaczyć. Inne jego poglądy odzwierciedlały tę samą łagodną nieortodoksyjność. Oświadczył, że podtrzymuje zewnętrzne oznaki swojego urzędu i przestrzega wszystkich ortodoksyjnych społeczno-religijnych tabu, ponieważ tego oczekuje od niego większość jego zwolenników. Jednak on sam nie przywiązuje do nich wielkiej wagi. Od czasu naszego ostatniego spotkania dowiedziałem się, że istniał jeszcze jeden, inny Szankaraciarja z Puri, i że ten jego pretendujący do urzędu konkurent fizycznie posiadał Math, czyli monastyczną główną siedzibę jego tradycji w Puri, w Orissie. Czy w rzeczywistości istniało dwóch Szankaraciarjów z Puri – zapytałem – i jak to się stało, że się rozdzielili? Mały Szankaraciarja roześmiał się i zwyczajnie odpowiedział „Insygnia są w moim posiadaniu". Faktycznie były – jak sami widzieliśmy – i jego stwierdzenie najwyraźniej zakończyło sprawę.

Chociaż obaj z Satjapriją staraliśmy się pozostać wolni od wszelkich kontaktów towarzyskich, z pewnością interesowaliśmy się wszystkimi zajęciami duchowymi, jakie mogły się odbywać w sferze bezpośredniego wpływu Maharisziego. Pewnego dnia odwiedziliśmy małą kolonię ascetów, która wyrosła na zachód od Aszramu. Zarówno chaty jak i pustelnie zbudowane były w najmniejszej możliwej skali (wyglądały jak domki dla lalek) i z najprostszych materiałów. Srebrno-szare ściany z gliny uwieńczono strzechami palmowymi w spłowiałym szarobrązowym kolorze, a podwórka z brązowego krowiego łajna otoczone były płotami z wiklinowej plecionki, w których każdy patyk widoczny był pod cienką warstwą gliny, tak jak żebra i żyły są widoczne pod skórą. Mimo że miejsce było idealnie czyste i schludne, nie było w nim widać ani śladu żywego ducha. Maleńkie budyneczki równie dobrze mogły być dziełem mrówek lub pszczół albo jakiejś nieśmiałej rasy pigmejów o delikatnych dłoniach, którzy zwietrzywszy nadchodzących ludzi w milczeniu zapadli się pod ziemię.

Na jednym z malutkich podwórek o średnicy nie większej niż trzy metry stało drzewo papai, którego prosty smukły pień był u szczytu tak gęsto obwieszony owocami jak Diana z Efezu piersiami. Satjaprija otworzył niską furtkę z plecionki lekkim pchnięciem. Potem przeszedł przez podwórko i cicho otworzył lekkie drewniane drzwi. W środku był jeden mały, całkowicie pozbawiony sprzętów pokój, a w nim prawie naprzeciwko nas medytował najpiękniejszy młody człowiek, jakiego w życiu widziałem. Szczupły, o jasnej skórze siedział z zamkniętymi oczami,

piękny nie tylko z powodu idealnych proporcji ciała, które było prawie nagie za wyjątkiem małego kawałka materiału, ale nawet bardziej z powodu błogiego uśmiechu, którym promieniała jego twarz. Był całkowicie nieświadomy naszej obecności. Staliśmy tam kilka minut niezdolni oderwać od niego oczu, w końcu zamknęliśmy za sobą drzwi jeszcze delikatniej niż je otworzyliśmy i wolno wróciliśmy do Aszramu.

Mimo że w ciągu kilku poprzednich miesięcy często zmienialiśmy miejsce zamieszkania, nie zaniedbywaliśmy z Satjapriją naszej praktyki medytacyjnej. Gdziekolwiek przydarzyło się nam przebywać zawsze siadaliśmy rano i wieczorem do medytacji. W czasie pobytu w Anandaszramie doprowadziło to w moim przypadku do interesujących skutków ubocznych. Pewnego popołudnia zorientowałem się, że mam gorączkę. Chociaż była alarmująco wysoka – tak wysoka, że kiedy Satjaprija dotknął mnie dłonią, od razu chciał wzywać lekarza – w najmniejszym stopniu nie czułem się chory. W rzeczywistości czułem wielką błogość, wręcz ekstazę, a gorąco rozlewało się po całym ciele roztapiającym wszystko doznaniem nieskończonego ciepła, komfortu i bezpieczeństwa. Wysoka temperatura utrzymywała się dwa dni. Kiedy powiedzieliśmy o tym Ramdasowi, zwrócił uwagę, że tapasja – starożytne sanskryckie słowo na praktykę duchową – dosłownie oznacza wytwarzanie ciepła i stwierdził, że to doświadczenie oznacza spalenie wszystkich zanieczyszczeń. Teraz, kiedy przebywaliśmy w Wirupaksza Guha i poświęcaliśmy większość czasu na medytację, mogliśmy się spodziewać jeszcze bardziej niezwykłych doświadczeń i nie było zdumiewające, że niektóre z nich zdawały się wskazywać przyszły bieg wypadków.

Pewnej nocy znalazłem się niejako poza ciałem i w obecności Amitabhy, Buddy Nieograniczonego Światła, który jest władcą zachodniej części uniwersum. Budda był w kolorze głębokiej, soczystej, lśniącej czerwieni, takiej jak rubiny, a jednocześnie miękkiej i rozjarzonej jak światło zachodzącego słońca. Jego lewa ręka spoczywała na kolanie, a prawa uniesiona trzymała łodygę pojedynczego czerwonego kwiatu lotosu w pełnym rozkwicie. Siedział w swej zwykłej pozycji ze skrzyżowanymi nogami na olbrzymim czerwonym lotosie unoszącym się na powierzchni morza. Po lewej stronie, tuż pod uniesionym prawym ramieniem Buddy znajdowała się czerwona półkula zachodzącego słońca, którego odbicie migotało złotym światłem na wodzie. Nie wiem, jak długo trwało to doświadczenie, ponieważ zdawało mi się, że jestem poza czasem, podobnie jak poza ciałem, ale widziałem Buddę tak wyraźnie jak zawsze widywałem wszystko inne w zwykłych życiowych okolicznościach, a w gruncie rzeczy obraz był nawet o wiele wyraźniejszy i żywszy. Głęboka żywa czerwień samego Amitabhy, jak również obu kwiatów lotosu i zachodzącego słońca wywarła na mnie szczególnie głębokie wrażenie. Był to kolor cudowniejszy i bardziej pociągający od jakiejkolwiek innej ziemskiej czerwieni – był jak czerwone światło, ale tak miękkie, a jednocześnie tak żywe, że absolutnie z niczym nieporównywalne. W ciągu kilku następnych dni ułożyłem szereg strof opisujących tę wizję, niestety wbrew swojemu zwyczajowi nie zapisałem ich od razu, więc stopniowo ulotniły się z mojej pamięci. Jednak samo doświadczenie nigdy nie zbladło. Prawie ćwierć wieku później postać czerwonego Buddy jest w moich wspomnieniach równie wyraźna jak była następnego ranka w Wirupaksza Guha.

Z nadejściem lata atmosfera jaskini nie tylko straciła świeżość, ale zrobiła się bardzo duszna. Dlatego zdecydowaliśmy z Satjaprtiją, że przeniesiemy się do małej kwadratowej, kamiennej świątyni stojącej niżej, u samego podnóża góry. Miała o wiele lepszą wentylację niż grota i było w niej całkiem chłodno. Składała się z pojedynczej izby o boku długości około dwóch metrów, podzielonej na dwie części. Jedna część była zajęta przez niski kamienny podest rozciągający się od ściany do ściany, na którym w nocy jeden z nas spał, a w drugiej części znajdowała się linga z wypolerowanego czarnego kamienia, wysoka na około 20-25 cm, wsunięta w joni o kształcie kowadła umieszczonym we wgłębieniu na środku podłogi. Chociaż przenieśliśmy się o naprawdę niewielką odległość, nasza przeprowadzka z wyższego na niższe zbocze Arunaciali miała swoje następstwa. Wizja w grocie przekonała mnie, że nasze dwuletnie terminowanie w życiu duchowym dobiegło końca i musimy teraz powrócić do północnych Indii, aby poprosić o formalną ordynację w jednym z istniejących tam ośrodków buddyjskich. Moje pragnienie ordynacji na mnicha stało się naprawdę tak intensywne, że trudne do zniesienia. Fantazjując na jawie, widziałem się jako mnich

w Sarnath, gdzie Budda wygłosił pierwszą mowę, i myślałem, że gdyby tylko pozwolono mi tam mieszkać i codziennie rano zamiatać świątynne schody, byłby to dla mnie szczyt szczęścia. Prawda była chyba taka, że obracając się tak długo w środowisku hinduistycznym, byłem niejako chory z tęsknoty za buddyzmem – nie tylko chciałem go doświadczać w sobie, w swoim życiu, ale też widzieć go w jakiejś dotykalnej formie wokół siebie. Nasza przeprowadzka z groty do świątyni zdawała się być pierwszym krokiem w tym kierunku.

Jednak zanim mogliśmy wyjechać z Tiruwannamalai, Arunaciala szykowała nam jeszcze kilka doświadczeń. Czarna kamienna izdebka, którą dzieliliśmy ze świętą lingą, była nie tylko chłodniejsza od groty, ale też łatwiej dostępna dla gości, więc w ciągu pozostałych nam jeszcze dziesięciu czy dwunastu dni staliśmy się z Satjapriją obiektem zainteresowania kilku bardziej ekscentrycznych członków lokalnej społeczności ascetów. Najbardziej natrętnym gościem, który w końcu zaglądał do nas kilka razy dziennie, była chuda, ciemna, energiczna kobieta z bujnymi ciemnoszarymi włosami, która mieszkała w małej świątyni poświęconej bogini Durdze, stojącej przy drodze do Tiruwannamalai. Nazywaliśmy ją Matką Tehsildaha, ponieważ swoim łamanym angielskim ciągle usiłowała wzbudzić w nas podziw dla faktu, że miała syna, a ten syn nie tylko był bardzo dobrym chłopcem, ale też znakomicie sobie radził w życiu i teraz został tehsildahem, ważnym urzędnikiem państwowym gdzieś w Andhrze. Jej mowa i gestykulacja były notorycznie dzikie, niemal szalone. Zawsze kiedy do nas wpadała, przynosiła nam różne smakołyki, które dla nas gotowała i koniecznie chciała nas własnoręcznie karmić. Któregoś razu przyozdobiła nas jak święte wizerunki, namaściła nam czoła pastą sandałową, zatknęła kwiaty za ubranie w talii, a na końcu złożyła hojny pocałunek w same usta.

Innym regularnym gościem był sędziwy ubrany na żółto asceta, któremu daliśmy przydomek Swami Ek So Aat, czyli Swami 108. Sto osiem jest w Indiach liczbą świętą, a przynajmniej przynoszącą pomyślność. Jest 108 Upaniszad, 108 miejsc pielgrzymkowych, 108 korali w różańcu, a nawet (jak odkryliśmy, kiedy zaproszono nas na ucztę weselną w Muwattupuzha) 108 rodzajów czatni. Przed imieniem każdej nadzwyczajnie świętej i dobrej osobistości należało postawić ‘Szri’ sto osiem razy, choć zwykle zamiast faktycznie je wypisywać, co zajęłoby mnóstwo miejsca, można było napisać liczbę 108. Stary asceta, o którym mówię, a który roztaczał wokół siebie wiarygodną aurę zawodowego oszusta, poinformował nas na wczesnym etapie znajomości, że jest uprawniony do bycia tytułowanym w ten sposób, więc kiedy po naszym odjeździe będziemy do niego pisać (wydawało mu się oczywiste, że mamy obowiązek to zrobić) powinniśmy koniecznie zaadresować list do Swami Szri 108 Blank. Dlatego przezwaliśmy go Swami Ek So Aat. Oznajmił nam, że wśród jego uczniów znajdowała się duża liczba księżniczek i wszystkie księżniczki urzeczywistniły Prawdę. A w jaki sposób to zrobiły? Po prostu były mu oddane. Zawsze kiedy przebywał u nich w pałacach w północno-zachodnich Indiach, osobiście mu usługiwały – oświadczył. Ich oddanie było tak wielkie, że żadna usługa, której potrzebował, nie była dla nich zbyt skromna lub upokarzająca. Nawet prały mu kaupin. Kaupin był wąskim paskiem materiału, który indyjscy asceci tradycyjnie owijali sobie wokół lędźwi, i stary kaupin powieszony po praniu do wyschnięcia nie był szczególnie atrakcyjnym widokiem. Ponieważ wokół Arunaciali nie było żadnych księżniczek, Swami Ek So Aat na razie musiał sam prać swój kaupin, ale zaręczał, że każda kobieta, która będzie mu go codziennie prała przez dwa, najdalej trzy lata, z pewnością urzeczywistni Prawdę.

Chociaż początkowo słuchaliśmy tych przechwałek w milczeniu, kiedy Swami powtórzył je po raz trzeci czy czwarty, Satjaprija nie wytrzymał i zapytał o dalsze szczegóły oddania księżniczek, co skłoniło staruszka do opowiadania takich absurdów, że w końcu nie mogliśmy się powstrzymać i obaj wybuchnęliśmy śmiechem. Matka Tehsildaha była bardziej bezpośrednia. Kiedy usłyszała od Swamiego, że najwyższy czas, aby zaczęła myśleć o urzeczywistnieniu Prawdy, stanowczo zadeklarowała, że woli wcale jej nie urzeczywistnić niż osiągnąć takimi metodami. Na co Swami Ek So Aat odparł, że brakuje jej oddania, a wtedy ona zemściła się nazywając go starym oszustem. W głośnej kłótni, jaka się następnie wywiązała, Matka Tehsildaha zwyciężyła z wielką łatwością, w każdym razie werbalnie, i stary człowiek musiał ustąpić z pola walki. Ale nie wycofał się z utarczki bez pożegnalnego strzału. Gniewnie wykrzyknął, że dwie lub trzy młode i piękne księżniczki, które

bardzo chcą prać jego kaupin, są w tym momencie w drodze do Arunaciali. Kiedy przybędą, zobaczy z jakim oddaniem mu służą. Matka Tehsildaha potrząsnęła swoimi szarymi lokami – O tak, stwierdziła z pogardliwym śmiechem, na pewno to zobaczy. Dziwna sprawa, ale kilka dni później zauważyliśmy, że Swami Ek So Aat faktycznie otoczony był wianuszkiem uczennic, jednak czy były księżniczkami i czy prały mu jego kaupin, tego nigdy się nie dowiedzieliśmy.

Nasz trzeci i ostatni regularny gość był chyba bardziej autentycznym reprezentantem społeczności ascetów. Z ogoloną głową, mając za całe odzienie tylko małą, białą przepaskę na biodrach, każdego ranka mijał nasze drzwi robiąc swój codzienny obchód świętej góry i wkrótce nabrał zwyczaju zatrzymywania się na pogawędkę. Chociaż nie mógł mieć więcej jak trzydzieści pięć lat, był bardzo chudy i ekstremalnie wynędzniały, jak stary człowiek. Wkrótce okazało się, że prawie w ogóle nie przyjmował pożywienia – po prostu nie był zainteresowany jedzeniem, ale nie z powodu nadmiernych praktyk ascetycznych, jak początkowo przypuszczaliśmy, tylko z przyczyn całkowicie odmiennej natury. Jak wielu innych ascetów w Indiach, nasz przyjaciel był nałogowym palaczem gandzi, czyli indyjskich konopi. Gandzia pozwalała ujrzeć Boga (*gandzia* se Śiw-dżi ka darszan milta hai), oznajmił po prostu w odpowiedzi na nasze pytanie.

Pewnego dnia, kiedy byliśmy na spacerze, przypadkiem ujrzeliśmy go siedzącego blisko drogi w cieniu drzewa tamaryndowca. Zaprosił nas, abyśmy do niego dołączyli. Razem z nim było trzech czy czterech innych ascetów w zróżnicowanym wieku, wszyscy odziani w szmaty o różnych odcieniach szafranu. Chociaż mniej wynędzniali niż nasz przyjaciel, odznaczali się tępym, zezwierzęconym wyglądem i patrzyli na nas, jeśli w ogóle patrzyli, szklistym wzrokiem. Nie było żadnych dowodów na to, że widzieli Boga, oprócz faktu, że palili gandzię. Posiedzieliśmy z nimi kilka minut, a wtedy jeden z nich zaproponował trochę ziela najpierw Satjapriji a potem mnie. Obaj odmówiliśmy, stwierdzając, że nie palimy. Przez moment na ich twarzach błysnęło zdziwienie. Któryś z nich zauważył, że jeśli nie palimy gandzi, to nie jesteśmy prawdziwymi sadhu, po czym znów popadł w apatię.

Może miał rację. Może mimo wszystko nie byliśmy prawdziwymi sadhu. W każdym razie szykowaliśmy się do wyjazdu z Tiruwannamalai i nie mieliśmy czasu na dalsze zgłębianie tej kwestii.

Rozdział 40

Jednooki guru

W ciągu piętnastu miesięcy, jakie spędziliśmy z Satjapriją w Muwattupuzha, naszymi najbliższymi przyjaciółmi było trzech prawników. W Bangalore, gdzie przebywaliśmy znacznie krócej, było to dwóch inżynierów kolejowych. Podobnie jak Kumaran Nair i Kesawa Pillai, znali się od dzieciństwa, pracowali razem całe dorosłe życie i choć byli w jednakowym stopniu religijni i stanowili parę najbliższych przyjaciół, mieli całkowicie odmienne charaktery. Narajan był cichy i powściągliwy, żeby nie rzec zamknięty w sobie, i najwyraźniej było mu bardzo trudno porozumiewać się z ludźmi. Chociaż od wielu lat był żonaty i miał czworo czy pięcioro dzieci, niełatwo przychodziło mu rozmawiać nawet z własną żoną. Tak naprawdę to nigdy z nią nie rozmawiał. Jeśli miał jej coś do powiedzenia, mówił to swojej matce, która przekazywała wiadomość żonie. Jego matka oczywiście z nimi mieszkała i to ona rządziła gospodarstwem. Radżgopal wprost przeciwnie – był żywym, wesołym ekstrawertykiem i nie miał absolutnie żadnych problemów w kontaktach z ludźmi. Był w jak najlepszych stosunkach z żoną i gromadką nastoletnich córek, które w gruncie rzeczy traktowały go bardziej jak ulubionego starszego brata niż męża lub ojca.

Nasze pierwsze dni w Bangalore spędziliśmy z Narajanem w przestronnym domu w stylu kolonialnym, najwyraźniej pochodzącym z czasów największej świetności i pomyślności brytyjskiego panowania. Naszego nowego przyjaciela poznaliśmy w Tiruwannamalai, gdzie po zrobieniu inspekcji tamtejszego odcinka torów kolejowych skorzystał z okazji, aby oddać cześć Maharisziemu. Zaprosił nas, byśmy towarzyszyli mu w drodze powrotnej do Bangalore. Początkowo planowaliśmy pojechać do Pondicherry na wschodnim wybrzeżu, żeby zobaczyć Szri Aurobindo, ale dowiedziawszy się, że darszan odbywa się w jego Aszramie tylko cztery razy w roku, zrezygnowaliśmy z tego pomysłu. Kiedy poznaliśmy Narajana, nadal byliśmy niezdecydowani, co mamy robić, więc jego zaproszenie wydało się nam opatrznościowe, zwłaszcza że Bangalore położone około 300 km od Tiruwannamalai leżało na trasie naszej drogi powrotnej do północnych Indii. Dlatego skwapliwie przyjęliśmy zaproszenie i w ciągu paru godzin siedzieliśmy w wygodnym specjalnym wagonie kolejowym dla inżynierów wiozącym nas do Bangalore, do Środkowego Kraju i być może do ordynowania.

Mimo obecności rodziny i służących dom Narajana był bardzo cichy. Oprócz Radżgopala, którego poznaliśmy wkrótce po przybyciu, nie przychodzili tam żadni inni goście, więc mogliśmy z Satjapriją kontynuować nasze medytacje niemal jak zawsze. Wieczorem nasz gospodarz puszczał nam płyty Subbalakszmi, Słowika Południa, ze swej bardzo bogatej kolekcji jej nagrań. Ani Satjaprija, ani ja nigdy wcześniej nie słyszeliśmy tej sławnej piosenkarki i mieliśmy duże wątpliwości co do tego, czy przystoi nam słuchać czegoś tak przyziemnego jak popularna muzyka filmowa. Jednak Narajan był namiętnym wielbicielem talentu śpiewaczki, więc nie chcąc psuć mu radości naszymi obiekcjami w końcu nic nie powiedzieliśmy. Subbalakszmi rzeczywiście miała przepiękny głos i nawet jeśli żywiliśmy jakieś zastrzeżenia co do muzyki filmowej, to musieliśmy przyznać, że pieśni religijne śpiewała w sposób nadzwyczaj poruszający.

Kiedy Narajan musiał znów wyjechać w służbową podróż, umówił się z Radżgopalem, że przeniesiemy się do niego. Zmiana była tak ogromna, że prawie dostaliśmy szoku. Było tak, jakby przerzucono nas z cichej, stojącej wody ocienionego drzewami stawu na środek bystrej rzeki, gdzie kolorowo pomalowane łodzie pędziły w górę i dół nurtu w jaskrawym słońcu, gdzie wiosła z rozmachem uderzały o wodę, żagle furkotały, a ludzie krzyczeli do siebie, wesoło pozdrawiając się z rzeźbionych i pozłacanych dziobów statków. Choć mniejszy i nie tak przestronny jak Narajana, dom Radżgopala, usytuowany na tyłach dworca kolejowego, był miejscem nieustannej aktywności. Oprócz samego Radżgopala, jego żony i córek – bardzo radosnych i pełnych energii – przez dom przewijał się ciągły strumień wesołych i rozmownych gości, z których wszyscy interesowali się religią i od wszystkich oczekiwano, że zostaną na kolacji.

Największy ruch panował wieczorem. W saloniku, gdzie nocowaliśmy z Satjapriją, pomału

gromadziło się piętnaście do dwudziestu osób, mężczyźni w stroju zachodnim albo tradycyjnym białym, kobiety bez wyjątku w kolorowych jedwabnych sari ozdobionych na brzegach ciężkim srebrnym lub złotym brokatem. Po ogólnej dyskusji na tematy religijne, słuchaniu muzyki i wielu religijnych pieśniach, Radżgopal odprawiał ceremonię arati, czyli obrzędowego machania lampkami przed oprawionymi litografami znajdującymi się w najdalszym końcu pokoju, a potem rozdawano słodycze. Czasami gorszył bardziej ortodoksyjnych gości odprawiając arati nie w sarongu, jak nakazywała tradycja, tylko w codziennych spodniach i koszuli. Wiele religijnych pieśni było hymnem na cześć boga Sziwy. Jedna z nich sławiła lingę Sziwy. Obaj z Satjapriją ledwo wierzyliśmy własnym uszom, kiedy po raz pierwszy usłyszeliśmy głęboki sopran najstarszej córki Radżgopala wychwalający rozmiar, wspaniałość i wszechmoc boskiego fallusa, ale z wyrazu skupienia na jej twarzy było oczywiste, że jest zupełnie nieświadoma rzeczywistego znaczenia słów. W jej mniemaniu i w mniemaniu słuchaczy po prostu śpiewała pochwały na cześć Sziwy.

Niewiele dni minęło pod gościnnym dachem Radżgopala, kiedy odkryliśmy, że cała rodzina i wielu ich przyjaciół jest głęboko zaangażowana w spirytyzm. Seanse z planszą Ouija odbywały się prawie codziennie. Ich duchem przewodnikiem – jak nam powiedział Radżgopal – był Swami Wiwekananda, z którym byli w stałym kontakcie i konsultowali z nim każdy aspekt swojego życia. Zgodnie ze swoja ziemską reputacją Swami był nadzwyczaj popędliwy – nie tylko nieustannie im urągał i ich łajał, ale też często wybuchał gniewem. Zwyczajowo kazał również całej rodzinie brać kąpiel oczyszczającą, czasami zmuszając do robienia jej siedem lub osiem razy dziennie. Jedyny syn Radżgopala, bystry i bezczelny szesnastoletni uczeń okazał się naturalnym medium i czasami polegano bardziej na nim niż na tablicy Ouija jako narzędziu porozumiewania się z niewidzialnymi istotami.

Jak tylko Satjaprija usłyszał o tablicy Ouija, zaczął palić się z niecierpliwości, żeby jej użyć. Przywołamy ducha Buddy – wykrzyknął podniecony – i skonsultujemy z nim naszą przyszłość! Na tak świętokradczą propozycję kategorycznie się nie zgodziłem. Mimo że spirytyzm wzbudzał moją ciekawość, to w gruncie rzeczy nie chciałem mieć z nim nic wspólnego. Nie o to chodziło, że nie dowierzałem zjawisku z powodów dogmatycznych, tylko że cała otaczająca je atmosfera wydawała mi się niezdrowa. W końcu po usilnych błaganiach Satjapriji niechętnie zgodziłem się na eksperymentalny seans. Wzięło w nim udział czworo uczestników. Siedząc wokół stołu, na którym spoczywała tablica Ouija, bardzo lekko dotknęliśmy wskaźnika czubkami palców. Radżgopal przywołał ducha legendarnego bohatera Ramy, powszechnie uważanego za siódmą inkarnację boga Wisznu, i zadał mu pytanie. Prawie natychmiast, po krótkim wstępnym drgnięciu, wskaźnik poruszył się w łożyskach kulkowych i szybko przesuwając się od jednej litery alfabetu do następnej pokazał odpowiedź. Radżgopal zadał kolejne pytanie i potem jeszcze jedno, otrzymując dalsze odpowiedzi w ten sam sposób. Choć wszystkie dało się zaakceptować, żadna z nich nie była jakoś szczególnie znacząca. Znaczący był fakt, że wskazówka zdawała się posiadać własną wolę, że uruchamiała ją siła o wiele mocniejsza od tego bardzo delikatnego nacisku, jaki wywieraliśmy na nią czubkami swoich palców. Ta moc była rzeczywiście tak silna, że nie mogło być mowy o jakimś podświadomym impulsie z naszej strony, który miałby wprawiać wskazówkę w ruch. Wydawało się raczej, że to nasze palce są przeciągane w tę i z powrotem wbrew naszej woli.

Satjaprija był pod wielkim wrażeniem. Drżąc z tłumionego podniecenia poprosił Radżgopala, żeby przywołał ducha Mahatmy Gandhiego i kiedy nawiązano komunikację, zadał przygotowane wcześniej pytanie: „Teraz kiedy naród pozostał bez przywódcy, kto zajmie twoje miejsce?" Jak miliony innych Hindusów, mój przyjaciel chciał wiedzieć, kto po Gandhim odziedziczy status przywódcy narodu – czy będzie to Jawaharlal Nehru, Radżendra Prasad, Wallabhbhai Patel, Abul Kalam Azad, czy może jeszcze ktoś inny na razie zupełnie nieznany. Szybko przesuwając się od jednej litery alfabetu do następnej, wskazówka podała odpowiedź całkowicie nieoczekiwaną przez nikogo z nas: „Cały naród". Cały naród zajmie miejsce Mahatmy Gandhiego, cały naród odziedziczy narodowe przywództwo! Było to faktycznie tak niespodziewane i tak odległe od naszych przypuszczeń, że w pierwszym szoku zdumienia naprawdę można było mieć poczucie, że jesteśmy w kontakcie z bezcielesną inteligencją istniejącą niezależnie od naszych umysłów. Dziko podniecony Satjaprija gotów był poświęcić życie spirytyzmowi. Seanse z tablicą Ouija będą

musiały odbywać się codziennie, oświadczył. Z pomocą Mahatmy Gandhiego, Swami Wiwekanandy i innych duchów przewodników będzie możliwe rozwiązanie społecznych i ekonomicznych problemów Indii, a nawet całego świata. Co więcej, będziemy mogli otrzymywać regularne rady nie tylko w kwestii praktyki medytacyjnej, ale też na temat każdego innego aspektu duchowego życia.

Stopniowo i pomału udało mi się go uspokoić. Uważałem, że zainteresowanie wzbudzone przez spirytyzm mogło być wyjątkowo niebezpieczne i prywatnie postanowiłem, że cokolwiek zrobi Radżgopal i jego przyjaciele, ani Satjaprija, ani ja nie powinniśmy więcej brać udziału w eksperymentach z tablicą Ouija. Byłem nawet skłonny przyznać, że faktycznie mieliśmy dzięki tej wędrującej wskazówce kontakt z siłą psychiczną niezależną od naszej świadomej woli. Jednak z tego, co widziałem, nie było absolutnie żadnego dowodu na to, że ta siła, ten byt, z którym mieliśmy do czynienia, można by zidentyfikować jako bezcielesną osobowość Ramy, Mahatmy Gandhiego lub Swamiego Wiwekanandy. Nie było też żadnej gwarancji, że ten byt miał prawdziwie duchową lub dobroczynną naturę, ani nawet że był bardziej rozwinięty duchowo od nas samych. W takim przypadku nie ma mowy o tym, żebyśmy mu się całkowicie poddali lub realizowali bez zastrzeżeń jakiekolwiek wydane przez niego instrukcje. Takie argumenty w połączeniu z moją kategoryczną odmową dalszego uczestnictwa w następnych seansach z tablicą Ouija wkrótce przyniosły pożądany efekt. Entuzjazm Satjapriji opadł i mój przyjaciel poczuł się bardzo zawstydzony. Na szczęście jeszcze zanim udało mi się przekonać go, że nasze zaangażowanie w spirytyzm jest bardzo niepożądane, wydarzył się pierwszy incydent z całego łańcucha zdarzeń, które miały dla nas znacznie większą wartość pod względem duchowym, niż dowolna liczba seansów z tablicą Ouija. W istocie stanowiły one najbardziej interesującą i wartościową część naszego pobytu w Bangalore i były ważnym etapem naszej pielgrzymki.

W pierwszą lub drugą niedzielę naszego pobytu w domu Radżgopala przyszło rano czworo lub pięcioro młodych ludzi, żeby się z nami zobaczyć. Nie było w tym nic niezwykłego. Niezwykły natomiast był sposób, w jaki okazali nam swój szacunek. Zamiast zwykłego pozdrowienia ze złożonymi dłońmi lub mniej lub bardziej niedbałego dotknięcia stóp, każdy z nich po kolei wykonał bardzo wyszukany pełen pokłon z ciałem wyciągniętym na podłodze, który trwał kilka minut i był zupełnie inny od wszystkiego, co do tej pory widzieliśmy. Ręce podnosili nad głowę i ponownie opuszczali, kładli się na podłodze w pozycji orła, głowę przekręcali z jednej strony na drugą, wyciągali i cofali ramiona jedno za drugim szerokimi, zamaszystymi ruchami i całe ćwiczenie wykonywali powoli i z wielką koncentracją. A co jeszcze dziwniejsze, wszyscy ci młodzi ludzie nosili zachodnie ubrania i byli ‘wykształceni’, to znaczy umieli czytać, pisać i mówić po angielsku.

Kiedy pokłony dobiegły końca, zaczęliśmy z nimi rozmawiać zadając standardowe w Indiach pytania i okazało się, że byli to uczniowie ascety znanego powszechnie jako Jalahankar Swami. Jalahankar – jak nam powiedziano – było nazwą małego miasteczka około 50 km od Bangalore, gdzie Swami miał swój aszram i gdzie zwykle przebywał. Usłyszawszy, że mieszkamy u Radżgopala kazał im tu przyjść i okazać nam szacunek. Młodzi mężczyźni mieszkali w Bangalore, gdzie jak się nam zdawało wszyscy mieli dobre prace. Kiedy zapytaliśmy ich o znaczenie niezwykle wyszukanych pokłonów, wyjaśnili, że według swamiego z Jalahankaru większość ludzi, nawet tych religijnych, jest pełna egotyzmu. Z powodu tego egotyzmu generalnie okazywali szacunek ascetom lub świętym w luźny, pośpieszny i niedbały sposób. Jako że celem tego zwyczaju jest pomóc w poskromieniu egotyzmu, okazywanie szacunku w ten sposób nie ma absolutnie żadnej wartości. A w istocie, sprawiając na ludziach wrażenie, że jesteśmy religijni lub pokorni, mogło nawet ten egotyzm zwiększyć. Dlatego swami na użytek swoich uczniów wymyślił długi i wyszukany pokłon, którego świadkiem byliśmy przed chwilą, i nalegał, aby jego uczniowie, zawsze kiedy spotkają sadhu, okazywali mu szacunek wykonując ten pokłon kilka razy. Czasami – dodali z uśmiechem – wysyłał ich nawet do odwiedzających miasto sadhu, aby specjalnie dać im okazję do dodatkowej praktyki pokłonów i oczywiście do dalszych doświadczeń w poskramianiu egotyzmu.

Zachwyceni tym wyjaśnieniem obaj z Satjapriją zasypaliśmy młodych ludzi dodatkowymi pytaniami. Jalahankar Swami wydawał się oryginalniejszy w swoich metodach niż rzesza przeciętnych hinduskich guru i chcieliśmy się dowiedzieć o nim jak najwięcej. Ze swej strony

młodzi ludzie byli szczęśliwi, że mogą nam powiedzieć wszystko, co wiedzą, więc w trakcie tej i następnych wizyt usłyszeliśmy od nich szereg anegdot, które rzuciły dalsze światło na metody i charakter ich nadzwyczajnego mistrza. Między innymi narzucał im bardzo surową dyscyplinę, tak surową, że uczniowie czuli przed nim respekt ocierający się o prawdziwą grozę. Jednemu młodemu człowiekowi, który przyszedł zobaczyć się z nim w pewien niedzielny poranek, kazał zdjąć wszystkie ubrania, usiąść przed nim całkiem nago i medytować. Już samo to było niezwykłe, ale był to dopiero początek. Usadowił się przed guru – powiedział nam – i już miał zamknąć oczy, kiedy ujrzał, że po podłodze pełznie olbrzymia kobra prosto w jego kierunku. Przerażony chciał zerwać się na równe nogi, ale Swami z groźnym spojrzeniem wykrzyknął: „Nie ruszaj się! Ja się nią zajmę! Medytuj dalej!" Jego strach przed guru był ogromny – wyznał nam – o wiele większy niż strach przed kobrą, więc siedział dalej niezdolny do najmniejszego ruchu, a kobra nie tylko zbliżyła się, ale wpełzła na niego zwijając się w kłębek na jego kolanach. „Medytuj!" ponownie krzyknął swami. Chłopak zamknął oczy i nagle stracił świadomość otoczenia, jego ego rozpuściło się i znalazł się w takim stanie samadhi, czy nadświadomości, jakiego nigdy wcześniej nie doświadczył. Kiedy 'oprzytomniał', nadal siedział w pokoju tylko ze swamim, kobra zniknęła i okazało się, że minęło kilka godzin. Oczywiście wśród uczniów wzbudziło to mnóstwo dyskusji co do prawdziwego charakteru wydarzenia. Niektórzy uważali, że kobra była prawdziwa i albo pojawiła się przypadkiem, albo została wezwana przez swamiego. Według innych nie było żadnej prawdziwej kobry i jedyne, co uczeń zobaczył, to iluzję wyczarowaną w magiczny sposób przez mistrza, żeby przetestować jego wiarę i siłę koncentracji. Narrator całego wydarzenia wyznał, że nie jest w stanie stwierdzić, które z tych wyjaśnień jest prawdziwe, a oczywiście nikt nie ośmielił się zapytać swamiego.

Jeszcze bardziej nadzwyczajna okazała się anegdota opowiedziana przez jedną z uczennic. Była to ciemna, tęgawa, starsza kobieta, która mówiła wyłącznie po tamilsku i była analfabetką. Według swamiego osiągnęła najbardziej zaawansowany poziom spośród wszystkich jego uczniów i młodzi mężczyźni byli od niej mniej rozwinięci duchowo. Najwyraźniej miała wyjątkowe doświadczenie w medytacji i wielką moc mentalnej koncentracji. Któregoś dnia swami zapytał ją: „Jak ci idzie z samadhi?". Kiedy odpowiedziała, że chyba całkiem nieźle, swami na to: „W porządku, w takim razie sprawdzimy!" Kazał jej położyć dłoń wierzchem do góry na drewnianej desce, bezzwłocznie chwycił młotek i dwoma lub trzema dobrze wymierzonymi uderzeniami przybił jej dłoń dużym żelaznym gwoździem do deski. Widząc, że ani się nie wzdrygnęła, ani nie krzyknęła, zawołał: „Wygląda na to, że jest w porządku!" i wyciągnął gwoździa. W tym przypadku nie było powodu wątpić, czy gwóźdź był prawdziwy, czy iluzoryczny, ponieważ kobieta nadal miała na ręce małą bliznę w miejscu przebicia. Kiedy zapytaliśmy ją z Satjapriją, czy doświadczyła wtedy jakiegoś bólu, lakonicznie odpowiedziała: „Niewiele."

Wszystko, co usłyszeliśmy od uczniów o swamim z Jalahankaru, tylko podnieciło naszą ciekawość, zamiast ją zaspokoić, więc między ich wizytami zwracaliśmy się po dalsze informacje do Radżgopala, który wiele razy spotkał swamiego osobiście. W przeciwieństwie do większości ascetów – stwierdził nasz przyjaciel – mistrza bardziej interesowała jakość a nie ilość uczniów, dlatego miał zwyczaj traktowania nowych przybyszów w dość oburzający sposób, żeby całkowicie zniechęcić ich do dalszych wizyt. Wysocy rangą rządowi oficjele, którzy w większości aszramów przyjmowani byli z honorami należnymi półbogom, tutaj wcale nie byli traktowani lepiej od innych. Jeśli okazali choćby cień zarozumiałości lub protekcjonalności, zaczynał ich obrażać, jak tylko pojawili się w drzwiach. „Czego tu chcesz? – wykrzykiwał grubiańsko – Myślisz, że robisz nam zaszczyt przychodząc tutaj, co? Myślisz, że jesteś wielkim człowiekiem! Nie chcemy tu twojej wielkości. Możesz się stąd wynosić – i to szybko!" Tylko jeśli gość przeżył kanonadę obelg, wolno mu było wejść i proszono go, żeby usiadł. Jednak sposób bycia swamiego był tak srogi, a epitety tak gwałtowne, że większość odwiedzających go dygnitarzy po prostu się odwracała na pięcie i uciekała. Czasami goście, którzy znali jego reputację i chcieli uniknąć szorstkiego traktowania, celowo przyjmowali postawę głębokiej pokory. Jednak w radzeniu sobie z ludźmi stosującymi tego typu taktykę swami był niezrównany. Zrywał się ze swego miejsca, witał ich z największym możliwym szacunkiem, mówiąc jak bardzo czuje się zaszczycony ich wizytą, i jakie to

błogosławieństwo dla jego aszramu przyjmować w swych murach takie ucieleśnienie świętości. Jak tylko posadzono ich na honorowym miejscu i wciśnięto im herbatę, betel lub jakiś zimny napój, błagał ich ze złożonymi dłońmi, aby on i jego uczniowie mogli skorzystać z ich nadzwyczajnej mądrości. Kiedy goście protestowali, że nie są tego godni – co oczywiście nieodmiennie robili – swami tylko podwajał swoje wysiłki w demonstrowaniu szacunku, aż w końcu przybysze załamywali się udręczeni zażenowaniem i zaczynali błagać o litość.

Jedną z praktyk swamiego – powiedział Radżgopal – było czyszczenie butów innym ludziom. W tym celu trzymał przy sobie porządny zapas różnego rodzaju past do butów, jak również szczotek i miotełek do kurzu. W dni, kiedy w aszramie było więcej osób, i dzięki temu przed drzwiami leżała pstrokata kolekcja obuwia, czasami zabierał do swojego pokoju wszystkie buty, sandały i klapki, jakie znalazły się w zasięgu jego wzroku, i spędzał kilka godzin nie tylko na zeskrobywaniu brudu, ale też na starannym szczotkowaniu i polerowaniu ich, dopóki wytarta skóra nie błyszczała jak szkło. Zgodnie z ideami ortodoksyjnego hinduizmu jest absolutnie nie do pomyślenia, żeby osoba o wyższym statusie społeczno-religijnym choćby dotknęła butów kogoś o niższym statusie, a co dopiero je czyściła, więc osoby nieprzyzwyczajone do zachowań swamiego reagowały mieszanymi uczuciami horroru, zdumienia i oburzenia. Sam swami pozostawał niewzruszony.

„Przychodzicie tu, żeby oczyścić swoje dusze, prawda? – zapytywał, nie przerywając czyszczenia – Nie wydajecie się więc mieć nic przeciwko temu, że zajmuję się *tym*. Jeśli mogę oczyszczać wasze dusze, to dlaczego nie miałbym oczyścić wam również butów? Wasze dusze są o wiele brudniejsze!”

Podobny tok rozumowania zdawał się kryć za kolejnym zwyczajem swamiego. Oprócz sprzętu do czyszczenia butów trzymał w swoim pokoju mundur miejskiego śmieciarza, na który składały się niebieskie bawełniane szorty, niebieska koszula i niebieska czapeczka Gandhiego. Raz lub dwa razy w tygodniu odkładał na bok swoje szafranowe szaty, wdziewał strój śmieciarza i chwytając sztywną trzcinową miotłę używaną do tych celów wychodził i spędzał dzień na zamiataniu wszystkich okolicznych latryn.

Chociaż łatwo było dostrzec metodę w całym tym szaleństwie, to postać, jaka wyłaniała się z anegdot Radżgopala i uczniów, mimo że dość efektowna i silna, wydawała się w najwyższym stopniu dziwaczna i ekscentryczna. Ale Jalahankar Swami, choć już i tak dziwaczny i ekscentryczny, odznaczał się jeszcze jedną cechą, bardziej niezwykłą niż wszystko, o czym do tej pory słyszeliśmy. Miał co najmniej sześćset lat! Kiedy Radżgopal wreszcie nam o tym powiedział, zrobił to z tak nietypowym brakiem pewności siebie, jak gdyby oczekiwał od nas nie zwykłego zdumienia, ale niedowierzania lub nawet śmiechu. Niepotrzebnie się martwił. Rzeczywiście nas to zdumiało, ale mimo że nie akceptujemy bez zastrzeżeń wszystkiego, co nam się mówi, ani mój przyjaciel, ani ja nie chcieliśmy popaść w przeciwną skrajność odrzucając twierdzenie Radżgopala jako nieprawdziwe tylko dlatego, że stało w sprzeczności z aktualnie obowiązującymi ideami o tym, co jest możliwe, a co jest niemożliwe. Na całym świecie istniały tradycje mędrców, którzy żyli setki lat, i jeśli taka długowieczność była czasami możliwa do osiągnięcia w przeszłości, to wydawało się rozsądne przypuszczać, że od czasu do czasu mogła być też możliwa w teraźniejszości. Czyż nie spotkałem Yoga Swamiego z Dżaffny? Prawda, miał on tylko 150 lat, ale jeśli człowiek mógł żyć 150 lat, to dlaczego nie 600? Dlaczego nie w nieskończoność?

Zadowolony że jego historia nie została wyśmiana jako plotka starych kumoszek, Radżgopal powiedział nam więcej. Informacje o swamim – oznajmił – znajdują się w lokalnych rejestrach nieprzerwanie od sześciuset lat i fakt jego długowieczności jest dobrze znany i powszechnie akceptowany. Wiedząc jak mało można polegać nawet na dowodach tego typu, nie mogłem powstrzymać się od myśli, czy wszystkie zapisy, o których wspomniał Radżgopal, rzeczywiście wyraźnie dotyczyły jednej i tej samej osoby, i czy nie było całego szeregu swamich z Jalahankaru, których legenda i folklor później połączyła w jednego. W tradycji buddyjskiej też czasami mylono Nagardżunę z metafizycznej szkoły madhjamika ze znacznie później żyjącym Nagardżuną, który był adeptem tantry. Jednak odkładając na bok zasadę, że generalnie jest to możliwe, nawet jeśli Satjaprija, czy ja, mieliśmy jakieś zastrzeżenia co do faktu długowieczności swamiego, to

informacje, które przekazał nam Radżgopal, bardziej niż kiedykolwiek rozpaliły w nas pragnienie ujrzenia go. Na skutek naszych usilnych błagań Radżgopal obiecał, że skonsultuje to z uczniami i sprawdzi, czy można będzie umówić spotkanie. Jak już dobrze wiedzieliśmy, niełatwo jest spotkać się ze swamim – ostrzegł nas – i jeśli nie chcemy być przywitani deszczem obelg, musimy postępować z dużą ostrożnością.

Kiedy czekaliśmy na wynik konsultacji Radżgopala z uczniami, odkryliśmy z Satjapriją, że przy całej swej religijności nasz wesoły i życzliwy gospodarz wcale nie uważa, żeby spłatanie nam psikusa było poniżej jego godności. Znając nasz zapał do poznawania ascetów i joginów wszelkiej maści, pewnego niedzielnego popołudnia powiedział nam, że zabiera nas z wizytą do jednego z najbardziej czczonych guru w całych południowych Indiach. „Dlaczego ja wcześniej o tym nie pomyślałem?", wykrzyknął uderzając dłonią w czoło z wesołym zniecierpliwieniem. Nic nie podejrzewając natychmiast poprosiliśmy o dalsze informacje. Radżgopal udzielił ich z wielką ochotą. Guru, o którym mowa – stwierdził kiedy jechaliśmy szerokimi zalanymi słońcem ulicami – jest obiektem wyjątkowego uwielbienia ze strony milionów ludzi mówiących językiem tamilskim i aszramy jego imienia założono nie tylko w okręgu Madras, gdzie się urodził, ale też we wszystkich sąsiadujących prowincjach. Jednak główny aszram znajdował się w Bangalore, w sercu miasta, i właśnie tam teraz zmierzaliśmy. Nie będziemy jedynymi gośćmi. W każdą niedzielę po południu wyznawcy z całego miasta i nawet z dalszych okolic zjeżdżają się, aby okazać szacunek swemu wielkiemu guru, więc miejsce jest zwykle zatłoczone. Jednak przy odrobinie szczęścia uda nam się dojrzeć mistrza, choćby przelotnie. Jego imię? Powie nam, kiedy go poznamy, ale jest pewien, że już je słyszeliśmy. Kilka minut później samochód zatrzymał się przed dużym jednopiętrowym budynkiem, który stał odsunięty od drogi o kilka metrów. Nie za bardzo wyglądał na aszram, ale faktycznie było w nim mnóstwo gości. Mówiąc, że może będziemy musieli trochę poczekać, nasz przyjaciel wysłał syna, żeby się dowiedział, czy guru jest w domu. Kiedy chłopak zniknął, próbowaliśmy z Satjapriją przeczytać biało-niebieski napis na tablicy wiszącej na całej szerokości domu. Ponieważ był po tamilsku, żadnemu z nas się to nie za bardzo udawało i nadal staraliśmy się w pocie czoła odcyfrować kanciaste, nieznane nam litery, kiedy syn Radżgopala powrócił. „Guru jest w domu – oświadczył z teatralnym gestem – i przysyła wam ten prasad wraz ze swoim błogosławieństwem!" Po rozpakowaniu zawiniętych w liść porcji, które nam wręczył, nasze nozdrza zostały mile połechtane aromatycznym, pikantnym zapachem czegoś gorącego i smacznego. „Guru Masala Dosa! – wykrzyknął Radżgopal zachwycony, że udał mu się żart – Trzy razy hurra na cześć Guru Masala Dosy, największego guru w całych południowych Indiach!" Chociaż Satjaprija zwykle nie lubił, kiedy ktoś stroił sobie z niego żarty, obaj podzieliliśmy wesołość Radżgopala i śmialiśmy się ze sposobu, w jaki nas nabrał. Oczywiście, że słyszeliśmy wcześniej imię tego guru. Masala dosa było ulubionym tamilskim przysmakiem, a 'aszram' do którego nasz przyjaciel nas zawiózł, był słynny z doskonałości swoich dos na całym południu Indii. Jeszcze zanim skończyliśmy drugą porcję prasadu, obaj z Satjapriją oświadczyliśmy Radżgopalowi, że Guru Masala Dosa w pełni zasługuje na swoją reputację, i że jesteśmy gotowi natychmiast poprosić go, żeby przyjął nas na uczniów.

Wkrótce po zawarciu znajomości z Guru Masala Dosą poznaliśmy swamiego z Jalahankary. Spotkanie nie odbyło się w jego aszramie w Jalahankarze, jak się spodziewaliśmy, ale gdzieś na prowincji w jakimś starożytnym zbudowanym z kamienia aszramie, gdzie swami przebywał tymczasowo i gdzie uczniowie wraz ze swoimi żonami spędzali z nim weekend. Kiedy w towarzystwie Radżgopala i jego rodziny dotarliśmy tam z Satjapriją w sobotę wieczorem, zastaliśmy około dwóch tuzinów ludzi spokojnie gawędzących w dużym pomieszczeniu o gołych, szarych ścianach z nieobrobionego kamienia. Od czasu do czasu ktoś zerkał wyczekująco, żeby nie powiedzieć bojaźliwie, w stronę niskich łukowatych drzwi umieszczonych pośrodku prawej ściany, które wydawały się okratowane i zamknięte od środka. Było to wejście do prywatnego pokoju swamiego, gdzie jak wszyscy przypuszczali nadal medytował. W każdym razie drzwi były zamknięte już wtedy, kiedy przybyli pierwsi goście wczesnym popołudniem i od tej pory nikt nie widział ani nie słyszał swamiego. Jednak uczniowie, którzy dobrze znali nawyki swego mistrza, nie okazując zdziwienia rozsiedli się w małych grupkach na gołej kamiennej podłodze i po prostu

czekali, aż do nich wyjdzie, kiedy będzie miał na to ochotę. Jak się okazało, musieli czekać znacznie dłużej niż się spodziewali. Minęły trzy godziny, cztery, potem pięć, a swami nie dawał znaku życia i zza drzwi nie dochodził nawet najlżejszy dźwięk. Ponieważ nie wydał wcześniej żadnych instrukcji, co mieli robić, nikt z nich nie śmiał zacząć gotowania kolacji i nikt nie ośmielił się pójść do łóżka. O północy uczniowie czuli się nie tylko zmęczeni i głodni, ale też wyraźnie zaniepokojeni. Może obrazili swamiego w jakiś sposób. Może się na nich gniewał. Może w ogóle nie wyjdzie z pokoju i będą musieli pojechać do domu nie widząc go… A może to jest jakiś test…

Punktualnie o trzeciej nad ranem rozległ się odgłos otwierania zasuwy, małe drzwi otworzyły się i swami wyłonił się ze swego więzienia. Mimo długiego okresu czuwania uczniowie byli zaskoczeni i nie bardzo wiedząc, czego mają się teraz spodziewać, z trudem podnieśli się na nogi i pozdrowili go najlepiej jak umieli. Swami wszedł do pokoju, ale po kilku krokach zatrzymał się, a jego rosła, odziana w szafranowe szaty postać zajaśniała głębokim żółtym blaskiem w świetle olejnych lamp. Zdumiony i zszokowany zobaczyłem, że ma tylko jedno oko i chociaż nie było usytuowane na środku czoła, nadawało jego rysom, już i tak dość ponurym i okropnym, tak zaskakująco nikczemny wyraz, że bardziej pasowały do notorycznego rozbójnika lub pirata z dawnych czasów niż do sławnego ascety. Jednocześnie – wszystko to zauważyłem w ułamku sekundy – na twarzy swamiego z Jalahankaru malowało się tak ogromne współczucie, jakiego nie widziałem u żadnego innego człowieka. Jeśli chodzi o jego wiek, nietrudno przyszło mi wyobrazić sobie, że miał sześćset lub więcej lat. Było w nim coś odwiecznego, jak w starożytnym wzgórzu, i choć zewnętrznie wyglądał na człowieka mającego może pięćdziesiąt pięć lat, to jednocześnie wydawało się, że te pięćdziesiąt pięć lat ma od bardzo dawna. Ledwie skończyliśmy wymieniać pozdrowienia, kiedy zaczął wydawać rozkazy. Wszystkie kobiety miały natychmiast rozpocząć gotowanie posiłku. Nadeszła pora, żeby każdy coś zjadł, a ponieważ pościliśmy od południa poprzedniego dnia, jedzenie powinno być tak obfite i zróżnicowane jak to możliwe. Tak naprawdę powinno być porządną ucztą. Mimo że godzina była późna, czy też raczej bardzo wczesna, a zapasy prowiantu dość skąpe, nikt nie odważył się sprzeciwić i żony uczniów wszystkie posłusznie pomaszerowały do kuchni, gdzie wkrótce kociołki pełne ryżu i curry buzowały na niskich, oblepionych krowimi plackami piecach.

W ciągu niecałych dwóch godzin uczta była gotowa. Jednak zanim komukolwiek pozwolono do niej usiąść, swami ogłosił, że wszyscy uczniowie muszą się rytualnie wykąpać, a raczej zostaną wykąpani. Kobiety będą kąpać mężczyzn, a on sam z pomocą starej tamilskiej kobiety osobiście wykąpie dwóch sadhu. Zanim dobrze zrozumieliśmy, co się dzieje, obaj z Satjapriją znaleźliśmy się w parującej łaźni, pozbawieni naszych szat i po kolei energicznie namydlani przez swamiego z Jalahankaru i jego główną uczennicę. Oboje byli bardzo delikatni w swojej posłudze, ale jednocześnie nadzwyczaj dokładni. Kiedy zadowoleni z efektu skończyli swoje zadanie, zaprowadzili nas do kuchni i posadzili gotowych do posiłku. Z łaźni dochodziły dźwięki głośnego chlapania pomieszane z niewyraźnym szmerem głosów. Nagle usłyszeliśmy głośny okrzyk protestu Radżgopala – protestu bardzo szybko przerwanego opryskliwymi słowami swamiego i radosnymi piskami ze strony kobiet. Później nasz przyjaciel powiedział nam, że kiedy swami powrócił z kuchni do łaźni i zobaczył, że Radżgopala namydlają dwie kobiety, chichoczące z tłumionej wesołości, zerwał z niego opaskę lędźwiową stwierdzając, że powinny wykonać swoje zadanie bardzo dokładnie. Według powszechnego w Indiach przekonania uczucie wstydu, w sensie skromności seksualnej, było jednym z ostatnich kajdan, jakie uczeń musiał zerwać na drodze do duchowego Oświecenia. To dlatego osoby, które praktykowały nagość z powodów religijnych, cieszyły się tradycyjnie ogromnym szacunkiem zarówno ze strony hinduistów jak i dżninów. W Satjapriji i moim przypadku zostawiono nam opaski na biodrach albo z szacunku dla naszego statusu ascetów, albo swami uznał, że nie byliśmy gotowi na takie wyrzeczenie, ale od Radżgopala najwyraźniej oczekiwał wyższego stopnia emancypacji. Kiedy zapytaliśmy przyjaciela, co czuł, kiedy nagle znalazł się całkowicie nagi w rękach dwóch rozchichotanych kobiet, odpowiedział, że ku własnemu zdumieniu poczuł się po prostu jak małe dziecko.

Następnego ranka (ale mogło to być dwa lub trzy dni później) mieliśmy drugie spotkanie ze swamim, tym razem w jego pokoju w aszramie Jalahankar. Ponieważ Satjaprija pozostawał dziwnie

milczący praktycznie przez cały czas trwania rozmowy, a Radżgopal, zwykle bardzo gadatliwy, przy tej okazji zadowolił się pełnieniem głównie roli tłumacza, konwersacja odbywała się prawie całkowicie między mną i swamim. Kiedy tak rozmawialiśmy we dwóch, a jego jedyne oko spoglądało poważnie lecz życzliwie raz na mnie, a raz na Radżgopala, nie mogłem się powstrzymać, żeby nie pomyśleć o wielkim buddyjskim nauczycielu Arjadewie, uczniu Nagardżuny i założycielu razem z nim szkoły madhjamaki. Podobnie jak Jalahankar Swami, Arjadewa miał tylko jedno oko i urodził się na południu Indii. Legenda mówiła, że też żył kilkaset lat, a nawet, według niektórych relacji opanował sekret długowieczności i nadal żył gdzieś na południu Indii. Czy może Jalahankar Swami był właśnie Arjadewą? Buddyzm zniknął z tego obszaru jakieś pięć może sześć wieków lat temu i jego miejsce zajął hinduizm. Jeśli wielki nauczyciel zdecydował, że pojawi się w przebraniu hinduskiego ascety, byłoby to całkowicie zgodne ze współczującym duchem mahajany, która wierzyła, że wszystko jest dla wszystkich, więc przy odrobinie szczęścia przynajmniej kilka osób można by poprowadzić w kierunku Oświecenia. Jednak sądząc po dziełach, które po sobie pozostawił, Arjadewa był pod pewnymi względami typowym hinduskim intelektualistą z wyższej kasty, a swami w ogóle nie sprawiał wrażenia intelektualisty. Wprost przeciwnie, jego wygląd zewnętrzny jak również żarliwość i prostota, z jaką opowiadał o swoich metodach, przypominały raczej wykwalifikowanego robotnika, który dobrze zna swój fach i potrafi o nim mówić w bezstronny i rzeczowy sposób bez jakichkolwiek intelektualnych pretensji. Chociaż niebieski, bawełniany mundur, łącznie z czapeczką Gandhiego, wisiał na kołku obok drzwi, a pod ścianą stały rzędy błyszczących, świeżo wypucowanych butów i sandałów w najróżniejszych rozmiarach, to trudno było wyobrazić sobie, że zwalista postać, która w tej chwili tak spokojnie ze mną rozmawiała, była przedmiotem wszystkich tych nadzwyczajnych opowieści, jakie usłyszeliśmy od uczniów.

W miarę jak nasza konwersacja swobodnie toczyła się jak fale przypływu i odpływu, i tylko Radżgopal od czasu do czasu przerywał ją, aby upewnić się, że dobrze nas zrozumiał, swami wpajał mi, że jedyną prawdziwą przeszkodą w urzeczywistnieniu Prawdy jest egotyzm. Stanowczo twierdził, że kiedy już przezwycięży się egotyzm, duchowy aspirant automatycznie osiągnie stan bezwarunkowej duchowej wolności. Była to oczywiście standardowa doktryna Wedanty, żeby nie powiedzieć doktryna buddyjska, i często ją wcześniej słyszałem, ale Jalahankar Swami głosił ją z takim przekonaniem i autorytetem, z jakim wcześniej chyba się nigdy nie spotkałem. Co więcej, w przeciwieństwie do wielu interpretatorów metafizyki Wedanty, jego podejście nie było teoretyczne tylko praktyczne. Egotyzm można przezwyciężyć tylko przez długotrwałe doświadczanie samadhi, a pod tym pojęciem rozumiał nie medytację w zwykłym tego słowa znaczeniu, ale stan nadświadomości, w którym wychodzi się poza wszelkie poczucie odrębnych indywidualnych osobowości. Kiedy trenuje swoich uczniów – powiedział – jego jedyną troską jest usunięcie ich egotyzmu poprzez wywołanie doświadczenia samadhi. Ponieważ istnieją dwie odmienne formy egotyzmu, duma i pokora, ma dwie różne metody postępowania z ludźmi. Wobec dumnych zachowuje się jeszcze dumniej od nich; wobec pokornych jeszcze pokorniej. W ten sposób obie kategorie są zmuszone uświadomić sobie, jak bardzo są w rzeczywistości egoistyczne. „Choćbyś był bardzo wysoko, ja zawsze będę wyżej od ciebie – powiedział na koniec, zwracając się do mnie bezpośrednio – Choćbyś był bardzo nisko, zawsze będę niżej od ciebie.” Idea, że pokora jest tak samo formą egoizmu jak duma, była dla mnie ważnym nowym wglądem i nigdy nie zapomniałem słów swamiego.

Wśród uczniów, którzy towarzyszyli nam zarówno do kamiennego aszramu na prowincji, jak i do aszramu w Jalahankarze, był niewysoki, ciemnoskóry mieszkaniec miasta Mysore, który mówił językiem kannada i miał na imię Kriszna. Nieodmiennie nosił marynarkę i spodnie w zachodnim stylu, dość mocno wymięte, oraz niewyprasowaną białą koszulę z kołnierzykiem i krawatem. Czasami zakładał też na głowę tropikalny hełm w kolorze khaki. Chociaż miał niewiele ponad trzydzieści lat, był już właścicielem jednej z małych flot niedostatecznie serwisowanych autobusów, które trzęsąc się i grzechocząc na setkach kilometrów zakurzonych wiejskich dróg były głównym środkiem transportu dalekobieżnego na terenie stanu. Co kilka tygodni osobiście dokonywał inspekcji jednej z głównych tras, a przejechanie niektórych z nich zajmowało kilka dni.

Niedługo po naszym drugim spotkaniu ze swamim z Jalahankaru zaproponował, że może chcielibyśmy towarzyszyć mu podczas jego następnej wycieczki, która obejmie Belur i Halewid z ich słynnymi świątyniami; Sringeri, siedzibę Szankaraciarjego o tym samym imieniu; oraz miasto Szrawanabelagola z usytuowaną na szczycie wzgórza dżinijską świątynią z kolosalnym posągiem stojącego Gomateszwary. Propozycję Kriszny, która zdawała się mieć aprobatę swamiego, a może nawet była przez niego zasugerowana, obaj z Satjapriją skwapliwie przyjęliśmy, ponieważ nadal bardzo pragnęliśmy zobaczyć więcej świętych miejsc i ewentualnie spotkać więcej świętych osób. Po paru dniach wyjechaliśmy z Bangalore, wkrótce zamknęła się za nami dżungla Mysore i znaleźliśmy się na pierwszym etapie podróży.

Rozdział 41

Kraina drzew sandałowych

Dżungla, przez którą wiodła nasza droga, i którą oglądaliśmy z przedniego siedzenia autobusu Kriszny, nie miała bujnej tropikalnej zieleni, była przeważnie sucha, brązowa i zakurzona. W gruncie rzeczy widzieliśmy raczej busz, a nie prawdziwą dżunglę. Po obu stronach drogi wyżłobionej bardzo głębokimi koleinami i pokrytej tak grubą warstwą białego pyłu, że można by rzec iż oraliśmy ją zamiast nią jechać, jak okiem sięgnąć rozpościerała się gęstwina leśnego podszycia, z którego od czasu do czasu wyrastały średniej wielkości drzewa, wiele z nich praktycznie bezlistnych. Wszystko przykrywał skąpany w słonecznym świetle kurz. Mniej więcej co 35 lub 45 km autobus stawał na przystanku, gdzie pasażerowie wsiadali i wysiadali, mnóstwo bagaży zdejmowano i ładowano, a Kriszna przynosił nam małe miedziane kubki z herbatą i dziwne mysoriańskie smakołyki zawinięte w bananowe liście. Na noc zatrzymywaliśmy się w lokalnym rządowym bungalowie lub u przyjaciół Kriszny.

Podobnie jak przy innych okazjach, kiedy załatwianie spraw związanych z podróżą było w cudzych rękach, a nie moich, i nie musiałem podejmować żadnych decyzji, siedziałem sobie odprężony na swoim miejscu i po prostu obserwowałem sceny przesuwające się przed moimi oczami. Jeśli były monotonne i niezbyt interesujące, zagłębiałem się w siebie i pochłaniały mnie wewnętrzne doświadczenia. W ten sposób nasza wycieczka, trwająca dziesięć czy dwanaście dni, stała się dla mnie rodzajem snu na jawie, z którego budziłem się tylko wtedy, gdy coś szczególnie znaczącego przyciągnęło moją uwagę. Dlatego nie potrafię jej logicznie opisać – wszystko, co z niej pozostało, to pojedyncze oderwane obrazy, których kolejności nie jestem już w stanie teraz ustalić. Ale chociaż nie pamiętam ich kolejności, to same obrazy nadal świeże i żywe wyłaniają się z niejasnej dżungli moich snów z archetypowym blaskiem.

Świątynie w Belur i Halewid zbudowane za czasów dynastii Hojsala między dwunastym i czternastym wiekiem, były zupełnie inne od tych w Madurze, na przylądku Komoryn, w Suchindram i Tiruwannamalai. Ich formy były bardziej zwarte i zaokrąglone. Nie miały fortecznych murów, przestronnych dziedzińców ani niebosiężnych bram w kształcie wież. Wszystko było na mniejszą i bardziej intymną skalę. O ile świątynie, które zdominowały płaski nagi krajobraz Tamilu wymagały systematycznego zwiedzania, to te, które wyłoniły się teraz przed nami z dżungli Mysore, można było objąć jednym rzutem oka. Jeśli tamte były majestatyczne, te były piękne. Tam bramy-wieże oraz głowice kolumn były rzeczywiście wspaniale rzeźbione, ale tutaj wszystko, wewnątrz i na zewnątrz, było pokryte rzeźbami o kształtach tak wyraźnych jak grona owoców i tak delikatnych jak koronka. Na zewnętrznych murach pasy rzeźb rozciągały się od dołu do góry, a ich horyzontalny kierunek stanowił przyjemny kontrast z pełnymi, żeby nie powiedzieć bulwiastymi zarysami budynków. Mimo wdzięku boskich i półboskich postaci tak świetnie wyrzeźbionych na środkowych i górnych panelach, moją uwagę przyciągnął przede wszystkim panel na samym dole, gdzie procesja miniaturowych słoni ciągnęła się wokół podstawy całej świątyni, która zdawała się niemal płynąć po ich grzbietach. Chociaż musiały tam być setki słoni, każdy był inny i wszystkie wyglądały zadziwiająco żywo.

Jedna ze świątyń najwyraźniej nie miała okien. Jedyne naturalne światło płynęło przez drzwi, którymi właśnie weszliśmy. Kiedy z trudem usiłowaliśmy dojrzeć nikłe zarysy otaczających nas kształtów, nagle szeroki żółty snop światła wystrzelił w górę w stronę kopuły ponad naszymi głowami. Kiedy przesuwał się wolno dokoła, naszym oczom ukazywały się jedna za drugą bogato rzeźbione sceny z mrowiem czarnych kamiennych postaci wyraźnie widocznych w blasku światła. Na końcu snop światła, przemierzywszy całą kopułę, pomału ześlizgnął się w dół po ścianie i spoczął na stojącym obok drzwi posągu kobiecej postaci z gładko wypolerowanego czarnego bazaltu. Jej kończyny odznaczały się tak leniwym pięknem, a twarz tak zmysłową słodyczą, że każdemu kto ją ujrzał, trudno było oderwać od niej wzrok. Była to Zwodnicza Mohini, ucieleśnienie kobiecej sztuki czarnoksięstwa – to w jej nieskończenie powabnej formie bóg Wisznu uwiódł samego Sziwę, sprawiając, że Sziwa porzucił ascezę i dla ratowania świata spłodził

bohatera, który miał zniszczyć demony i wskrzesić Dharmę…

Kiedy wyrwaliśmy się z objęć Mohini i pożegnaliśmy świątynie w Belur i Halewid, znów jechaliśmy przez dżunglę, miejscami gęstszą i bardziej zieloną od tej, którą do tej pory widzieliśmy, potem przez plantacje kawy, olbrzymie połacie lasu sandałowego i znów przez dżunglę. Gdzieś w tej dżungli była góra, a gdzieś na zboczu góry grota, w której mieszkało cztery czy pięć osób, wyznawców kobiety wiodącej ascetyczne życie. Ona sama nie mieszkała w grocie, tylko pod podłogą w podziemnej izdebce, z której wychodziła zaledwie na pół godziny dziennie. Kiedy przybyliśmy tam z Satjapriją i Kriszną, była pora południowa i oczekiwano że Matka Lakszmi, jak ją nazywano, wyjdzie w ciągu dziesięciu lub piętnastu minut. Czekając poprosiliśmy uczniów o dalsze informacje na jej temat. Osiem lat wcześniej ślubowała zachować całkowite milczenie przez następne dwanaście lat, co znaczyło, że pozostały jej jeszcze cztery lata. Co zrobi potem, nie wiedzieli. Może przemówi, a może znów złoży ślub milczenia. Obecnie większość czasu spędzała na medytacji. Jedynym powodem, dla którego wychodziła ze swego podziemnego schronienia, były potrzeby naturalne oraz konieczność przyjęcia odrobiny pożywienia. Ze sposobu, w jaki mówili o niej wyznawcy, jasno wynikało, że chociaż tak mało ją widywali, poczytywali sobie za wielki przywilej fakt, że mogą być tak blisko niej i służyć jej w potrzebie.

W trakcie naszej rozmowy siwa głowa Matki Lakszmi ukazała się w otworze w podłodze, a następnie z delikatną pomocą uczniów powoli pojawiła się w grocie cała jej postać. Kiedy już stanęła pewnie na nogach, wątła ubrana na biało kobieta odwróciła głowę w moim i Satjapriji kierunku i podeszła do nas z rękami wyciągniętymi w powitalnym geście, a jej twarz rozjaśnił uśmiech pełen czułości i miłości. Chociaż nic nie powiedziała, jej spokojne i pełne wdzięku gesty, a także sposób, w jaki spojrzała do góry na nasze twarze i pogłaskała nas po policzku były o wiele bardziej wyraziste niż jakiekolwiek słowa. Kiedy zjedliśmy to, czym nas poczęstowano, pokazała gestami, że mamy pojedynczo zejść pod podłogę i zobaczyć jej podziemną izdebkę. Zszedłszy po kilku nierównych kamiennych schodkach, znalazłem się przygarbiony w celi o boku nie większym niż 1,20 m i mniej więcej tej samej wysokości. Mimo że Matka Lakszmi miała drobną posturę, było niemożliwe, żeby stanęła w tym pomieszczeniu wyprostowana, ani żeby mogła się położyć z wyciągniętymi nogami. Powietrze dochodziło tam jedynie przez wejście ze schodkami, a za całe oświetlenie służyła malutka oliwna lampka stojąca na podłodze. Oprócz maty do medytacji i maleńkiego ołtarzyka z dwoma czy trzema religijnymi wizerunkami izba była całkowicie pusta. Panowała też w niej absolutna cisza. Dźwięki, które dochodziły z groty na górze, równie dobrze mogły pochodzić od ludzi znajdujących się o milion kilometrów stąd. W tej izbie było się naprawdę samemu. Zachodziłem w głowę, co takiego pozwalało Matce Lakszmi siedzieć tam przez ponad dwadzieścia trzy godziny na dobę i uśmiechać z tak nieziemską słodyczą.

Dwa lub trzy dni później znów spekulowałem na temat wewnętrznych doświadczeń, ale tym razem nie stosunkowo nieznanej ascetki, ale jednej z najbardziej czołowych postaci w duchowym środowisku ortodoksyjnego hinduizmu. Podróżując dalej przez dżunglę, dojechaliśmy do małego nadrzecznego miasteczka o nazwie Sringeri, położonego tylko o kilka kilometrów od wybrzeża. Stanowiło ono najbardziej na zachód wysunięty punkt całej naszej wycieczki. Sringeri, jak dobrze wiedziałem, było siedzibą Szankaraciarji o tym samym imieniu. Ponad tysiąc lat wcześniej pierwszy Szankaraciarja, założyciel Adwaity Wedanty, hinduskiej szkoły filozoficznej, wybudował w różnych rejonach subkontynentu szereg mathów, czyli ośrodków monastycznych, które miały na celu rozpowszechnianie jego własnej specjalnej interpretacji tradycji Upaniszad, jak również reaktywowanie ortodoksyjnego hinduizmu. Cztery z tych mathów, włącznie z ośrodkiem w Puri ,(poznaliśmy już przynajmniej jednego z ich Szankaraciarjów) z biegiem czasu zyskały powszechnie uznawaną przewagę nad innymi, a wśród tych czterech Sringeri niewątpliwie górował nad całą resztą. Nawet jeśli nie był Watykanem hinduizmu, jak czasami twierdziły przewodniki, to z pewnością był najbogatszym z mathów, z bardzo długą tradycją studiowania sanskrytu, nieskazitelną społeczno-religijną ortodoksją, duchową dominacją i politycznymi wpływami.

Ponieważ wejście do Matha było ściśle zastrzeżone tylko dla członków dwóch najwyższych kast, nie było oczywiście najmniejszej szansy, aby zakwaterowano nas na jego terenie. W gruncie rzeczy mieliśmy nawet wątpliwości, czy w ogóle uda nam się choćby zerknąć na to miejsce

wewnątrz. Pierwszy Szankaraciarja nawet teraz był czczony przez ortodoksów jako ten, który niszczył znienawidzonych buddystów i tępił ich szkodliwą wiarę, więc raczej nie spodziewaliśmy się przyjaznego powitania w siedzibie jego bezpośredniego spadkobiercy. A jednak czekała nas niespodzianka. Chociaż nie mogliśmy zatrzymać się w samym Mathu, to dzięki wpływom Kriszny znaleziono nam pokój w nowoczesnym hoteliku w zachodnim stylu utrzymywanym przez Math dla wysokich rangą urzędników państwowych, książąt, milionerów i innych tego typu osób, których nieczystej obecności nie można było co prawda tolerować na terenie samego Matha, ale które były na tyle ważne dla tej instytucji, że jej dygnitarze martwili się, aby nie obrazić takich gości zbyt bezceremonialnym traktowaniem. Hotelik znajdował się na poboczu drogi całkiem niedaleko od Matha. Patrząc na rzekę z okna naszego pokoju na drugim piętrze, widzieliśmy na jej przeciwległym brzegu stojące wśród drzew ‘płomieni lasu’ pobielane ściany budynków w Zakazanym Mieście Szankaraciarjów.

Na szczęście niedługo pozostało dla nas zakazane. W tym samym hotelu mieszkał wysoki, postawny bramin tamilski w tradycyjnym białym sarongu i z naramiennym ręczniczkiem, który nie tracąc ani chwili od razu nam się przedstawił. Najwyraźniej mieszkał tu niemal na stałe, ponieważ został czasowo przeniesiony do Sringeri jako administrator Matha z ramienia Ministerstwa Spraw Wewnętrznych w Nowym Delhi. Wyjaśnił nam, że Math miał rozległe posiadłości ziemskie w całych Indiach, które od wieków otrzymywał w darze od królów i najbogatszych kupców, a których roczne dochody liczyły się w milionach. Między innymi Math posiadał praktycznie wszystkie lasy sandałowe w Mysore. Niestety w ostatnich latach nieustannie wpływały skargi na administrowanie posiadłościami Matha i na sposób, w jaki wydawano ich dochody. Ponieważ cała sprawa w zasadzie stała się publicznym skandalem, rząd centralny został zmuszony do interwencji i właśnie jego mianowano administratorem. Przez ostatni rok, albo i dłużej, zajmował się czyszczeniem tego hinduskiego odpowiednika mitologicznej stajni Augiasza, likwidując niewydajność, złe zarządzanie i zwyczajną korupcję. Teraz zaprowadzono już trochę porządku w tym chaosie. Zbieranie dochodów powierzono osobom odpowiedzialnym, zorganizowano właściwy system księgowania, a przede wszystkim wprowadzono kontrolę wydatków, tak że teraz przynajmniej część środków Matha przeznaczano na cele zgodne z pierwotnymi intencjami ofiarodawców, zamiast na kupowanie posagów dla bramińskich dziewcząt z kasty telugu i płacenie za ceremonię upanajanam dla bramińskich chłopców telugu.

Nie bardzo rozumieliśmy, na jakiej zasadzie znalazły się w tej historii bramińskie dziewczęta i chłopcy z telugu, ale widząc że nasz nowy przyjaciel jest z natury bardzo rozmowny, poprosiliśmy z Satjapriją o dalsze informacje na ten temat. Administrator udzielił ich natychmiast. Może o tym nie wiemy – powiedział – ale mimo że pierwszy Szankaraciarja był braminem nambudiri z Malabaru, od kilkuset lat Szankaraciarjowie rządzący w Sringeri Math wybierani byli wyłącznie z jednej konkretnej podkasty braminów telugu mieszkających w krainie Andhra na wschodnim wybrzeżu. W rezultacie tego zwyczaju biuro Szankaraciarjów praktycznie stało się prywatnym apanażem dla tej społeczności, a jej członkowie uważali się za uprawnionych do sięgania do skarbca Matha tak często, jak im się podobało. Kiedy czyjaś córka wychodziła za mąż, zawsze żądano od Matha, aby wyposażył ją w posag; kiedy syn otrzymywał świętą nić, żądano od Matha, aby pokrył koszty ceremonii. Ponieważ każda bramińska rodzina miała przynajmniej pięcioro lub sześcioro dzieci, a tysiąc rupii było najmniejszą sumą, jakiej spodziewano się przy tych okazjach, odbywał się nieustanny drenaż środków finansowych Matha. W gruncie rzeczy posagi oraz ceremonie upanajanam zjadały każdego roku większą część dochodów, tak więc bardzo niewiele zostawało na inne cele. Niektóre bramińskie rodziny, pod takim czy innym pretekstem, żyły całkowicie na koszt Matha, nie wykonując absolutnie żadnej pracy. Ale teraz – oświadczył z widoczną satysfakcją – strumień kasy zaczynał wysychać. Math już dłużej nie finansował całej podkasty braminów telugu. Jego dochody poświęcano na bardziej wartościowe cele. Zbudowano szkołę sanskrytu i zachęcano do pobierania wedyjskiej edukacji.

W tym momencie obaj z Satjapriją zastanawialiśmy się, jaką rolę w aferach Matha odgrywał sam Szankaraciarja. Czy był niechętnym widzem korupcji, czy też brał w niej udział? Czy wspierał reformy administratora, czy im się sprzeciwiał? A przede wszystkim, czy był autentycznie duchową

osobą, czy tylko wyjątkowo wysokiej rangi hinduistycznym dygnitarzem duchowym? Na samo wspomnienie imienia Szankaraciarji (gdyż nasze myśli wkrótce ubraliśmy w słowa) uczucia naszego informatora przeszły od czystego triumfu do głębokiego oddania. Szankaraciarja jest świętym – wykrzyknął. Absolutnie nic nie wiedział o tym, co się wokół niego działo. Nieustannie jest pogrążony w samadhi. Niektórzy członkowie jego świty rozpowszechniają informacje o tym, że jest szalony, niektórzy nawet chcą się go pozbyć. Ale on nie jest szalony, jest całkowicie zdrowy na umyśle, a jeśli jest szalony, jest to szaleństwo oszołomienia Bogiem. Jest wyzwoloną duszą, dżiwanmuktą. W żadnym wypadku nie powinniśmy wyjeżdżać ze Sringeri bez otrzymania błogosławieństwa jego darszanu. On osobiście załatwi nam rozmowę z nim. Oczywiście to nie jest zwykła sprawa. Tylko braminom i kszatrijom wolno wchodzić do Mathu i tylko nieskazitelnie ortodoksyjni bramini mogą podejść na odległość rozmowy z Szankaraciarją lub rzeczywiście z nim porozmawiać, a chociaż my jesteśmy dziwnie małomówni w tej kwestii, on bardzo dobrze wie, że przynajmniej jeden z nas nie jest braminem, a może nawet jest czymś jeszcze bardziej nie do zaakceptowania dla ortodoksyjnego bramina. Ale nie szkodzi, on nie zadaje żadnych pytań. Jemu wystarcza, że jesteśmy sadhu, ascetami, którzy nie mają nic wspólnego z systemem kastowym. Jeśli będziemy mu towarzyszyć jutro rano do Mathu, nie tylko pokaże nam świątynie i inne interesujące rzeczy, ale zaprowadzi nas też do miejsca, z którego będziemy mieli okazję ujrzeć Szankaraciarję, kiedy będzie szedł na swoje obrzędowe ablucje, a może nawet uda nam się zamienić z nim kilka słów. Może nas kategorycznie zapewnić, że chociaż jego świta tego nie aprobuje, to sam Szankaraciarja nie ma absolutnie nic przeciwko rozmowie z kimkolwiek.

Ponieważ propozycja administratora wyprzedziła nasze życzenia, następnego ranka z wielką radością obaj z Satjapriją przeszliśmy przez pomalowany na biało most, który najwyraźniej był jedyną drogą, aby dojść do Matha z tego brzegu rzeki, na którym stał hotel. Po drodze nasz przewodnik, który nic nie stracił ze swej rozmowności, nie tylko dalej opowiadał nam o Mathu i jego mieszkańcach, ale też świadomie lub nieświadomie ujawniał więcej informacji na swój temat. Będąc mieszanką teologicznej bystrości i administracyjnej energii, a także ortodoksyjnej pobożności i ziemskiego sprytu, ewidentnie należał do tej klasy braminów, którzy w starożytnych czasach doradzali królom i zarządzali królestwami, a których najlepszym chyba przykładem w obecnym wieku był niesławny diwan z Trawancore, Sir C.P. Ramaswami Ijer. Podobnie jak inni ludzie biznesu, których wcześniej spotkaliśmy i których uroczystym zapewnieniom kiedyś wierzyliśmy, wyznał nam, że jest całkowicie zniechęcony do świata i tęskni jedynie za spokojem pustelnika lub wolnością wędrownego ascety. Gdyby tylko mógł żyć po swojemu – wykrzyknął głosem, który można by nazwać westchnieniem, gdyby nie był taki głośny – spędziłby pierwszą połowę życia studiując Rig Wedę, a drugą połowę medytując nad nią. W tej Wedzie, (a on sam pochodzi od jednego z jej zainspirowanych autorów) znajdują się wszystkie prawdy, jakie kiedykolwiek były nauczane przez wszystkie filozofie i wszystkie religie świata, i jeszcze więcej. Pewnie będziemy bardzo zdziwieni – dodał – słysząc, że nawet chełpliwe odkrycia współczesnej nauki nie są w ogóle żadnymi odkryciami, tylko zapożyczeniami z tego bezcennego dzieła, choć z powodów, które tylko oni sami znają (być może chodzi o uczucie dumy narodowej) zachodni naukowcy do tej pory nie zadbali o to, by wyznać swój dług wdzięczności wobec mędrców starożytnych Indii.

Zanim miałem czas zakwestionować to stwierdzenie, o którym wiem, że Satjaprija chętnie by się z nim zgodził, weszliśmy na teren Matha i nasz gadatliwy przyjaciel zmienił temat. W otoczeniu mnogości świątyń i innych budynków nic dziwnego, że zaczął rozwodzić się nad potęgą i splendorem Szankaraciarjów ze Sringeri Math. Kiedykolwiek wyjeżdżali z Math, co nie zdarzało się często, jechali w złotych palankinach na grzbietach słoni i towarzyszyła im liczna świta. Kiedy zjawiali się na granicy krain, które uznawały ich duchowe zwierzchnictwo, a z których teraz pozostały już tylko Trawancore, Cochin i Mysore, zaszczycony w ten sposób władca danego kraju zgodnie ze starożytnym obyczajem był zobowiązany powitać ich osobiście i ofiarować dary o wartości milionów rupii – choć jeśli nie pochodził z odpowiednio wysokiej kasty, to nie wolno mu było nawet podejść do Szankaraciarji. Sądząc po lubości, z jaką przytaczał te fakty, było oczywiste, że pomimo swojego reformatorskiego zapału, wyobraźnia naszego przyjaciela była bardzo

pobudzona tym, co wydawca *Children's Encyclopaedia* nazwałby 'Romantycznością Szankaraciarjów'. Ale było również jasne, że nie pozwolił sobie na to, by entuzjazm dla przeszłości zaślepił go na realia teraźniejszości. Czasy się zmieniły, oświadczył. Większość dawnego przepychu przeminęła a obecny Szankaraciarja nie dba nawet o to niewiele, które jeszcze pozostało. Wśród innych swoich dziwactw wytrwale odmawia noszenia insygniów zrobionych ze szczerego złota, wysadzanych olbrzymimi cennymi kamieniami i wartych miliony rupii. Odmówił nawet zakładania ich na uroczyste okazje, co spowodowało wielkie niezadowolenie członków jego świty. W gruncie rzeczy są oni naburmuszeni i nadąsani na niego jeszcze z wielu innych powodów. Ich niezadowolenie jest w istocie tak wielkie, że oprócz rozpowszechniania historii, że jest szalony, ostatnio zmusili go, wbrew jego woli, aby konsekrował na swego następcę młodego człowieka, który będzie im bardziej posłuszny.

Po jakimś czasie, kiedy już się tego wszystkiego dowiedzieliśmy i usłyszeliśmy historie różnych świątyń, po których oprowadzał nas nasz życzliwy przewodnik, upierając się, że je nam pokaże, wybiła godzina przedpołudniowej kąpieli Szankaraciarji, który udawał się teraz do rzeki, aby poddać się drugim z kolei codziennym obrzędowym ablucjom. Zostawiając nas na schodach małej świątyni nad wodą, z instrukcjami, żeby czekać tam, aż Szankaraciarja będzie obok niej przechodził, zacny administrator pospieszył, by dołączyć do małej procesji eskortującej Szankaraciarję do zasłoniętego parawanami fragmentu rzeki, gdzie z pomocą osobistych asystentów brał kąpiel ukryty przed oczami profanów. Chociaż przyszło nam czekać zaledwie kilka minut, było dość czasu, aby w naszych głowach pojawiło się wiele różnych myśli. Czy Szankaraciarja był osobą świętą, jak zdaje się wierzył administrator, czy niezrównoważoną umysłowo? Czy uda nam się z nim porozmawiać, czy też sprzeciwią się temu członkowie świty? Kiedy zadawaliśmy sobie te pytania, zza rogu pobliskiego budynku wyłoniła się drobna, ubrana na szafranowo postać przesuwając się powoli i niepewnie w kierunku rzeki. Za nim równie wolno kroczyła chaotyczna procesja asystentów i urzędników Mathu w białych dhoti i świętych opaskach. Niektórzy z nich, a był wśród nich administrator, szli bardzo blisko Szankaraciarji, jakby w gotowości, aby go podtrzymać, gdyby się zachwiał lub upadł. Jakąkolwiek mogło to mieć przyczynę, duchową czy patologiczną, było oczywiste, że wątły, starszy mężczyzna na czele procesji na pewno nie znajdował się w zwykłym stanie umysłu. Ledwie świadomy swego otoczenia szedł jak lunatyk, bądź jak osoba pod wpływem narkotyku, albo jak w transie. Kiedy był już blisko miejsca, gdzie staliśmy, obaj z Satjapriją zeszliśmy po schodach świątyni, stanęliśmy na środku ścieżki twarzą do nadchodzących i czekaliśmy. Administrator przysunął się do Szankaraciarji i szepnął mu do ucha kilka słów wyjaśnienia. Orszak stanął i znaleźliśmy się z nim twarzą w twarz. Oddaliśmy honory oficjalnej głowie tradycji Adwaity Wedanty i otrzymaliśmy jego błogosławieństwo, a potem on zadał nam jedno czy dwa pytania i wywiązała się krótka konwersacja. Choć niewątpliwie na wpół wyobcowany ze świata i choć mówił z wahaniem, które niemal przypominało strach, to jednak wszystko, co powiedział, było całkowicie racjonalne, i nie mieliśmy żadnych wątpliwości co do łagodności i dobroci jego natury. Ku naszemu lekkiemu zdziwieniu mówił po angielsku, podobnie jak my (co było oczywiste), a administrator pomagał mu tylko szeptem, kiedy mój akcent był dla niego zbyt niezrozumiały.

Kiedy pożegnaliśmy Szankaraciarję i popatrzyliśmy jak orszak odprowadza go na sam brzeg rzeki, zostaliśmy na miejscu jeszcze kilka minut, aby pożegnać się z administratorem i podziękować mu za trud, jaki sobie zadał w związku z nami. W trakcie naszej rozmowy nadeszła druga procesja z wyznaczonym następcą Szankaraciarji, czyli Szankaraciarją Juniorem, jak go nazywano, a który kroczył na jej czele z wyrazem wojskowej pychy i buty, bo tylko tak dałoby się to nazwać. Miał około dwudziestu pięciu lat, był przystojny, dobrze zbudowany i było oczywiste, że kiedy nadejdzie jego pora, nie będzie miał absolutnie nic przeciwko noszeniu insygniów.

Przeszliśmy z powrotem przez most i wróciliśmy do hotelu, a ja ciągle nie mogłem przestać myśleć o wątłej, żółto odzianej postaci i nieobecnej, łagodnej twarzy niechcianego Szankaraciarji. Zastanawiałem się nad charakterem jego doświadczeń. Wyglądał jak człowiek, który nadal nie może otrząsnąć się z okropnego szoku. Czy tym szokiem było zderzenie z nierozcieńczoną duchową Rzeczywistością, czy było to coś bardziej ziemskiego? Czy może był wrażliwą,

prawdziwie duchową osobą, która nie mając dość siły, aby przeciwstawić się przeróżnym naciskom wywieranym przez swoją świtę, po prostu załamała się pod ich ciężarem? Nadal zadawałem sobie te pytania, kiedy następnego dnia rano wyjechaliśmy ze Sringeri udając się do Szrawanabelagoli. Dopiero kilka lat później, gdy kraina drzew sandałowych już dawno przestała zajmować moje myśli, zupełnym przypadkiem dowiedziałem się, że Szankaraciarja nie żył. Utopił się biorąc kąpiel – oświadczyli urzędnicy z Mathu – a na jego miejscu osadzono Szankaraciarję Juniora.

Ostatnim obrazem, jaki wyłonił się moim oczom z dżungli Mysore, była zupełnie naga męska postać, stojąca nieruchomo z rękami opuszczonymi wzdłuż boków, z twarzą pozbawioną jakiegokolwiek wyrazu i oczami wpatrującymi się w odległą przestrzeń – Gomateśwara! Pan Świętej Matki Krowy! Dojeżdżając do Szrawanabelagoli ujrzeliśmy go z daleka, białego na tle błękitnego nieba, jak stał na szczycie niewielkiego wzgórza, a dolną część jego ciała zakrywały otaczające go budynki. Niecałą godzinę później staliśmy obok olbrzymich stóp spoglądając w górę na mocno zaokrąglone uda, wyżej na obwisłego, pomarszczonego penisa długiego na wysokość dorosłego człowieka, jeszcze wyżej na szeroki łuk piersi i mocny podbródek aż do spokojnej twarzy i oczu, które nieświadome naszej obecności nadal wpatrywały się w nieskończoną przestrzeń. Kim był Gomateśwara i jak to się stało, że tam stał, nie wiedziałem. Według tradycji dżinijskiej żył w bardzo starożytnych, wręcz prehistorycznych czasach i był uczniem jednego z legendarnych przodków Mahawiry, założyciela dżinizmu. Opuścił królestwo ojca i udał się do lasu, gdzie medytował na stojąco tak długo, aż wokół jego nóg wyrosły rośliny i oplotły je jak pnie drzew. Tutaj także kamienne pnącza owijały się wokół olbrzymich nóg posągu tak wysoko, że sięgały powyżej naszych głów, ale na tyle nisko, że docierały tylko w pół drogi do gładko złączonych kolan. Z oczami utkwionymi w nieskończoności Gomateśwara nie tylko wyrastał z Natury, ale też wykraczał poza nią.

Z górnych galerii budynków otaczających dziedziniec, na którym stała olbrzymia figura, można było popatrzeć na wielki owal twarzy z poziomu talii, ale jej wyraz był tak majestatycznie spokojny, a spojrzenie tak bezwzględnie odległe, że wcale nie dawało to poczucia, że jest się bliżej. Na niższych partiach wzgórza, po obu stronach nieregularnych wyciętych w kamieniu schodów, stało wiele bezpretensjonalnych świątyń, klasztorów i innych budynków. W jednym z nich uczony dżinijski świecki badacz pokazał nam bogatą kolekcję sanskryckich rękopisów zapisanych na palmowych liściach. Szrawanabelagola była w istocie jednym z najbardziej starożytnych i najsławniejszych ośrodków dżinizmu w Mysora, a może nawet w całych Indiach, oraz ważnym miejscem pielgrzymek. Według tradycji dżinijskiej miasto zostało założone przez dziadka cesarza Asioki, Czandraguptę Murję, o którym mówiono, że zakończył tam życie jako dżinijski asceta popełniając religijne samobójstwo w najbardziej aprobowany sposób, czyli zagładzając się na śmierć. Powiedziano nam, że co dwanaście lat wzgórze jest miejscem wielkiego święta, na które przyjeżdżają dziesiątki tysięcy wyznawców z całego kraju. W kulminacyjnym punkcie festiwalu ze specjalnie skonstruowanej platformy wylewa się na głowę posągu setki wiader słodkiego i kwaśnego mleka oraz klarowanego masła tak, aby spłynęły aż do samych stóp. Ponieważ dżninowie są społecznością bardzo zamożną, wydają na to setki tysięcy rupii.

Rozdział 42

„Tygrys, tygrys …”

Chociaż nasza wycieczka z Kriszną trwała niewiele ponad tydzień, po powrocie do Bangalore zobaczyliśmy, że w trakcie naszej nieobecności zaszły pewne zmiany. Tablica Ouija, poprzednio tak bardzo pożądana, teraz stała bezużyteczna. W istocie Radżgopal powiedział nam, że zdecydował się całkiem porzucić spirytyzm. Po naszym wyjeździe ich duch przewodnik, Swami Wiwekananda, zaczął stawiać im żądania tak nieustannie i były one tak wygórowane, że groziły zakłóceniem biegu całego ich życia. On sam nie był w stanie chodzić do pracy, jego syn nie mógł uczęszczać do szkoły, a żona w ogóle nie miała czasu na domowe obowiązki. Swami Wiwekananda chciał przejąć nad nimi całkowitą kontrolę, a na to – oznajmił z pogodną szczerością – oni nie byli jeszcze gotowi. Dlatego sesje z tablicą Ouija zostały wstrzymane, a on polegał teraz na duchowym przewodnictwie świętych mężów, z którymi miał rzeczywisty fizyczny kontakt.

Po odstawieniu w kąt tablicy Ouija bungalow Radżgopala stał się o wiele spokojniejszym miejscem i nie miałbym nic przeciwko temu, żeby spędzić resztę czasu w południowych Indiach pod jego przyjaznym i gościnnym dachem. Jednak miało być inaczej. Zanim wyruszyliśmy na północ, odbyliśmy jeszcze jedną wycieczkę, tym razem o całkowicie odmiennym charakterze. Po usłyszeniu od Kriszny pełnej relacji na temat naszej podróży Jalahankar Swami zasugerował, że dobrze by nam zrobiło, gdybyśmy spędzili trochę czasu na górze Diwjagiri nieco na północ od Bangalore, gdzie żyło kiedyś wielu starożytnych mędrców i jak powiadano kilku z nich nadal tam mieszkało. Jak tylko przekazano nam tę sugestię, Satjaprija z niecierpliwością chciał natychmiast wyjeżdżać. Zmarnowaliśmy już zbyt dużo czasu w towarzystwie świeckich ludzi – wykrzyknął – i zbyt długo słuchaliśmy ich przyziemnego gadania. Dobrze będzie, jeśli wyjedziemy na kilka tygodni. A w ogóle to my sami stanowczo za dużo ze sobą rozmawiamy, więc on ma zamiar przestrzegać całkowitego milczenia przez cały czas naszego pobytu na świętej górze. A *ja* mogę robić co mi się żywnie podoba.

Wkrótce poczyniono odpowiednie przygotowania i dzień czy dwa później jechaliśmy na północ autobusem razem z Kriszną i paroma innymi uczniami. W odległości około trzech kilometrów od podnóża góry, w samym środku rozległych pól stał podwójny szereg glinianych domów, z których jeden wyglądał na sklep. Tutaj kończyła się droga dla samochodów. Zostawiliśmy autobus zaparkowany w cieniu drzewa i ruszyliśmy gęsiego przez pola z Kriszną na czele jako przewodnikiem. Po pół godzinie pola ustąpiły drzewom i głazom i wspinaliśmy się teraz stromo pod górę. Podobnie jak Arunaciala, Diwjagiri sprawiała wrażenie olbrzymiego stosu kamieni, z tą jedynie różnicą, ze tutaj kamienie nie były szare tylko czarne. Drzewa, które zdawały się porastać całe zbocze góry, nazywały się bel i były to święte drzewa boga Sziwy. Rosły tak gęsto, że mimo iż prawie wszystkie liście już z nich opadły, chwilami trudno było dojrzeć choćby skrawek bezchmurnego błękitnego nieba. Na ziemi zanurzone w opadłych liściach leżały tysiące żółto-zielonych owoców bel o gładkiej skórce, niektóre z nich prawie tak duże jak kokosy. Wiele było tak dojrzałych, że pękły ukazując swój kleisty pomarańczowy miąższ, a ich ostry, lekarski zapach napełniał powietrze. Po dwóch czy trzech godzinach wspinaczki drzewa zaczęły się przerzedzać, słońce coraz bardziej grzało nas w twarze, a zapach opadłych owoców bel stawał się coraz bardziej nieznośny, więc z westchnieniem ulgi wyszliśmy na rodzaj skalnego tarasu znajdującego się około 600 metrów nad równiną. Po lewej stronie opierając się o zbocze stała długa nieregularna struktura zbudowana z nieobrobionych płyt skalnych. Po prawej był niski murek parapetowy. Kriszna i jego przyjaciele odpoczęli trochę, ostrzegli nas, że na górze mieszka mnóstwo lampartów, więc żebyśmy koniecznie zamykali się na noc, po czym ruszyli zboczem w dół w powrotną drogę. Zostaliśmy z Satjapriją sami.

Jak tylko ucichł odgłos kroków, mój towarzysz wziął głęboki oddech. Cóż za rozkosz! Wreszcie jesteśmy wolni od próżnego i impertynenckiego gadania głupców zajętych wyłącznie ziemskimi sprawami! Wreszcie będziemy mogli pomilczeć. Przez następne dwa lub trzy tygodnie on ma zamiar poświęcić się wyłącznie medytacji i w żadnym wypadku nie powinienem mu przeszkadzać

ani przerywać odzywaniem się do niego. Jeśli w swej głupocie spróbuję to zrobić, uczciwie mnie ostrzega, że trudno mu będzie nie stracić panowania nad sobą, i dlatego jeśli cokolwiek niepomyślnego wydarzy się z tego powodu, będzie to wyłącznie moja wina.

Kilka pierwszych dni na świętej górze spędziliśmy na ustalaniu rutyny, która zostawi nam jak najwięcej czasu na medytację. Domowe obowiązki, których nie dało się uniknąć nawet w naszym pustelniczym stanie, zostały zredukowane do absolutnego minimum. Raz dziennie, zazwyczaj o dziesiątej rano, w milczeniu przygotowywaliśmy kiczuri z zostawionego nam przez Krisznę ryżu i soczewicy, wybierając potrawę palcami z tego samego glinianego garnka, w którym się gotowała. Jeśli coś zostało, zjadaliśmy zimne resztki wieczorem. Razem z wodą z pobliskiej skalnej sadzawki, którą gasiliśmy pragnienie, było to nasze jedyne pożywienie. Raz czy dwa próbowaliśmy jeść owoce spadłe z drzewa bel, ale nawet te najdojrzalsze były tak strasznie gorzkie, że nie mogliśmy przełknąć więcej niż kilka kęsów. Oprócz gotowania i jedzenia jedyne zajęcia, jakie nam pozostały, to zbieranie patyków do ogniska, pranie szat i kąpanie się. Przez resztę czasu mogliśmy medytować.

Wieczorem trzeciego dnia nasza milcząca rutyna była już dobrze ugruntowana i wydawało się, że czekają nas dwa lub trzy tygodnie spokojnej kontemplacji, a może nawet pogłębiających się duchowych doświadczeń. Właśnie skończyliśmy sesję medytacji i jak mieliśmy teraz w zwyczaju, siedzieliśmy ze skrzyżowanymi nogami na płaskich szerokich płytach parapetowego muru. Satjaprija siedział jak na tronie na wyżej położonej płycie na samym końcu, gdzie mur stykał się z ogromnym głazem. Ja siedziałem na niższym poziomie. Sześćset metrów pod nami rozciągała się równina, na której w gasnącym świetle widzieliśmy zielono-żółto-brązową szachownicę pól. Gdzieniegdzie czarno-białe kropki przesuwały się prawie niedostrzegalnie w kierunku rzadkiego niebieskiego całunu dymu drzewnego, który spowijał wioskę. Wszystko wydawało się ciche i spokojne. Siedząc w tym miejscu można by napisać indyjską wersję pierwszych zwrotek „Elegii" Graya. Nagle nad moją głową coś się gwałtownie poruszyło i usłyszałem okrzyk Satjapriji „Dłużej tego nie wytrzymam! Oszaleję, jeśli nie zacznę mówić!"

Jednak mimo jego wezwania, ja nie miałem ochoty przerywać milczenia. Nadal byłem pod wpływem uroku wieczoru i najchętniej pozostał bym przy naszym pierwotnym ustaleniu. A co więcej, po sposobie, w jaki Satjaprija ostrzegł mnie, żebym mu nie przeszkadzał i nie przerywał, nie mogłem oprzeć się pokusie dania mu małej nauczki. Jednak szybko zorientowałem się, że byłoby niemądrze przeciągać tę nauczkę zbyt długo. Ponieważ nie zareagowałem od razu na jego okrzyk, Satjaprija niebezpiecznie zmarszczył brwi i było widać, że za chwilę wybuchnie gniewem, dlatego przerwałem milczenie i zapytałem, co się stało.

Od momentu, kiedy zaczął przestrzegać milczenia – stwierdził – nie zaznał ani chwili spokoju. Jego umysł zamienił się w prawdziwy wir myśli. Początkowo starał się jak mógł, by zatrzymać tę powódź, ale okazało się to zupełnie niemożliwe i w końcu poczuł się totalnie przygnieciony myślami. Ciśnienie było tak wielkie, że wydawało mu się, iż za chwilę albo eksploduje, albo oszaleje. Teraz, kiedy mówi już od kilku minut, strumień myśli zwolnił, ciśnienie zmalało i czuje się już znacznie lepiej.

Tak więc przez resztę tygodnia łączyliśmy medytacje z dyskusjami. Z rzadka, kiedy Satjaprija czuł się wyjątkowo niespokojny, wybierał się na spacer po zboczu góry. Z jednej z takich wycieczek, w trakcie której dotarł prawie na szczyt, wrócił blady i wstrząśnięty. Powiedział, że zobaczył hienę wychodzącą ze swego legowiska pod skałą. Na szczęście bestia go nie widziała, a ponieważ wiatr wiał w niewłaściwym kierunku, również go nie wyczuła węchem. Na przyszłość będziemy musieli uważać w nocy jeszcze bardziej niż do tej pory. Chociaż po zapadnięciu ciemności słyszeliśmy jak lamparty obwąchują nasze drzwi lub warczą na płaskim kamiennym dachu, niewiele nam groziło z ich strony, ale hiena to zupełnie co innego. Lamparty rzadko atakowały ludzi, chyba że zostały przyparte do muru, natomiast hiena jako urodzony zabójca nie miała tego typu zahamowań.

Chociaż złamanie reguły milczenia przyniosło ulgę Satjapriji, dla mnie ta zmiana była raczej niekorzystna. Dyskusje mogły doprowadzić do różnicy zdań, a różnica zdań, jak dobrze wiedziałem, była rzeczą, której Satjaprija nie potrafił tolerować ani nawet zrozumieć. Jeśli się z nim

nie zgadzałeś, byłeś jego wrogiem, próbowałeś go upokorzyć, zniszczyć, a wtedy jego gniew i furia nie znały granic. Dobrze to rozumiałem i doskonale zdawałem sobie sprawę, że niemądrze jest prowokować mojego krewkiego przyjaciela, ale z mojej strony nie zawsze było możliwe złagodzenie autentycznej różnicy zdań do tego stopnia, żeby dało się ją zaakceptować. W rzeczywistości Satjaprija był tak chorobliwie przewrażliwiony i tak skory do powzięcia urazy, że wydawało się, iż wyobraża sobie różnice tam, gdzie one w ogóle nie istniały. Było niemal tak, jakby wymyślał te różnice, żeby tylko dostarczyć sobie powodu do wybuchu gniewu.

Coś w tym stylu zdarzyło się dwa lub trzy dni po przerwaniu milczenia. Kąpaliśmy się w lodowatych wodach bardzo głębokiej sadzawki o średnicy około trzech metrów, znajdującej się pod skalnym nawisem kilka metrów dalej za świątynią, pod ścianą klifu. Powiedziałem coś, co go zdenerwowało, ponieważ zinterpretował to jako opinię odmienną od jego własnej, i mimo wszystkich moich wysiłków, aby go uspokoić, udało mu się stopniowo doprowadzić się do tak morderczej furii, jakiej nigdy wcześniej u niego nie widziałem, nawet w Muwattupuzha. Z oczami nabiegłymi krwią z wściekłości wysyczał, że ma mnie dość. Już za długo pozwala mi na dręczenie go moim niemożliwym zachowaniem. Teraz ma zamiar mnie zabić. Utopi mnie w tej sadzawce i nikt się o tym nigdy nie dowie. Wszystkim powie, że zginąłem w wypadku. Patrząc na niego wiedziałem, że mówi na serio. Pierwszy raz w życiu naprawdę stanąłem twarzą w twarz ze śmiercią. To dziwne, ale chociaż się bałem, to nie miałem najmniejszego zamiaru wycofać rzekomo obraźliwej uwagi. Wprost przeciwnie, uświadomiłem sobie, że wewnątrz mnie, gdzieś głęboko na samym dnie istnieje zaciętość, która całkowicie uniemożliwia cofnięcie lub zaparcie się opinii, co do której jestem przekonany, że jest słuszna i prawdziwa, nawet za cenę uratowania życia. Nie pamiętam już, jak to się skończyło. W pewnym momencie Satjaprija ściskał moje ramię i szykował się do przytrzymania mnie pod ciemną wodą, dopóki nie utonę.

Mając za towarzysza osobę najwyraźniej zdolną do ataków morderczej manii, ucieszyłem się, kiedy dzień lub dwa później odwiedził nas Kriszna z kilkorgiem innych uczniów. Jednak początkowo ich obecność groziła pogorszeniem sytuacji zamiast polepszeniem. Jalahankar Swami przesyła nam pozdrowienia – powiedzieli. W rzeczywistości zobowiązał ich do przekazania tych pozdrowienia w wyjątkowo specyficzny sposób, którego przyznają, że zupełnie nie rozumieją, więc są jedynie wiernymi posłannikami. Błagają, abyśmy się nie obrazili. „Temu angielskiemu świętemu – powiedział swami – macie ode mnie przekazać 2673 pełne pokłony. A jeśli chodzi o tego bengalskiego typka, który z nim jest, możecie mu też przekazać dwa lub trzy pokłony, jeśli chcecie!”

Kiedy ochłonęliśmy z początkowego szoku spowodowanego tą niezwykłą wiadomością, której znaczenie rozumieliśmy aż za dobrze, obaj z Satjapriją naradziliśmy się z Kriszną i ustaliliśmy, że w następny weekend wróci tutaj i zabierze nas z powrotem do Bangalore. Dlatego trzy dni później, spędziwszy na Diwjagiri mniej niż dwa tygodnie, schodziliśmy na równinę znów przedzierając się przez gęstwinę drzew bel. Kilkaset metrów od podnóża góry dwaj kulisi, których Kriszna wynajął do dźwigania pozostałego jeszcze ryżu i soczewicy, nagle stanęli jak wryci. Wzdłuż ścieżki na luźnej piaszczystej glebie wyraźnie biegły ślady dwóch par olbrzymich łap. Zapytaliśmy, czy to lampart. Nie – odpowiedzieli kulisi bardzo przestraszonym głosem – to tygrys. Przechodził tędy zaledwie kilka godzin wcześniej, więc lepiej się pośpieszmy.

Rozdział 43

Rozczarowanie w Sarnath

Trasa wiodąca przez dżunglę od Boriwli do grot Kanheri była nie tyle drogą, co szerokim piaszczystym gościńcem. Ponieważ wyszliśmy z miasta dopiero w południe, a była prawie najgorętsza pora roku, przeszliśmy nie więcej jak dwa lub trzy kilometry, kiedy obaj z Satjapriją poczuliśmy, że luźne łachy srebrzystego piasku zmieniły się w palący margiel, który był torturą dla naszych bosych stóp. Jednak kuśtykaliśmy dalej jak mogliśmy i po kilku następnych kilometrach z satysfakcją dostrzegliśmy w oddali nisko leżące pasmo Wzgórz Kanheri, a za zakrętem drogi nagi szary klif z nacięciami, o których wiedzieliśmy, że są Grotami Kanheri. Kilka dni wcześniej przyjechaliśmy do Bombaju i przyjaciel, u którego się zatrzymaliśmy, wyznawca Swami Ramdasa, podjął się oprowadzenia nas po różnych interesujących miejscach. Nie pamiętam, czy słyszałem wcześniej o grotach Kanheri, ale jak tylko dowiedziałem się, że są zaledwie o osiem kilometrów od Boriwli, a Boriwli jest zaledwie 55 km od Bombaju, gorąco zapragnąłem je odwiedzić. Przez dwa lata praktycznie nie miałem żadnego zewnętrznego kontaktu z buddyzmem i teraz pragnąłem go tak, jak umierający z głodu człowiek pragnie jedzenia albo jak kochanek po długim rozstaniu pragnie widoku swojej ukochanej.

Kiedy przechodziliśmy z tarasu na taras w górę i w dół klifowego zbocza, czułem że warto było czekać dwa lata, aby ujrzeć groty Kanheri. Było ich tam około stu, praktycznie wszelkich możliwych kształtów i rozmiarów, i pochodziły z pierwszych wieków naszej ery. Niektóre były tak duże, że mogły pomieścić czterysta lub pięćset osób i używano ich oczywiście jako sal zgromadzeń dla mieszkańców monastycznej wspólnoty, ale w innych było tylko miejsce dla co najwyżej dwóch osób, może pary przyjaciół lub starszego mnicha i jego ucznia. Dwie lub trzy największe i najwspanialsze jaskinie miały frontony wysokie na około dziesięć metrów z olbrzymimi filarami zakończonymi jakby w kształcie grzyba, podobnymi do egipskich zarówno pod względem swojej przysadzistości, jak też siły i prostoty. Z drugiej strony, wiele z tych najmniejszych miało portyki o niemal współczesnych wzorach. Duże czy małe, proste czy ozdobione, wszystkie jaskinie były bardzo dobrze zaopatrzone w wodę pitną. Zawiłość i skuteczność systemu dostarczania wody w istocie zaliczały się do jednego z cudów tego miejsca. Ale to, co wtedy było dla mnie najcudowniejsze i wywarło na mnie największe wrażenie, to dwie kolosalne figury stojących Buddów, wysokie na sześć lub więcej metrów, które umieszczono w ozdobnych wnękach po obu stronach przedsionka do jednej z największych jaskiń. Ich prawe ręce wisiały opuszczone wzdłuż boku, wnętrzem dłoni skierowane na zewnątrz w geście najwyższej hojności, a lewe dłonie przytrzymywały na poziomie ramienia skraje szat ozdobionych ściegiem muszelkowym. Posągi emanowały nadnaturalną siłą i masywnością, a ich ogromne proporcjonalne tułowia i kończyny były wyraźnie widoczne pod przylegającymi udrapowanymi szatami. Kiedy tak stałem pod nimi, z głową niewiele wyżej ponad poziom ich kostek, poczułem jakbym znów znalazł się pod opieką buddyzmu.

Na skutek marszu po rozpalonym piasku podeszwy naszych stóp były tak fatalnie poparzone, że przez dwa lub trzy dni nie mogliśmy chodzić. Nasz przyjaciel, chociaż był złotnikiem, miał również trochę wiedzy z dziedziny tradycyjnej medycyny, więc masował nasze stopy klarowanym masłem oraz miedzianym dyskiem, na którym wypisane były różne magiczne formuły. Zdał nam też relację ze swoich domowych kłopotów. Miał trochę ponad czterdzieści lat – powiedział – jego żona nie żyła już od kilku lat, ale nie mieli dzieci. Razem z nim mieszkał jego młodszy brat, mający około 25 lat, który pomagał mu prowadzić biznes i niedawno się ożenił. Chociaż jego żona była piękna i zachowywała się bez zarzutu i chociaż młoda para była ze sobą bardzo szczęśliwa, on sam nie mógł się dogadać z bratową. Jeśli popełniła przypadkiem jakiś błąd, strasznie go to irytowało i często był na nią tak zły, że ją bił. W gruncie rzeczy – wyznał – w okresie przed naszym przyjazdem tłukł ją codziennie. Jej mąż, z natury bardzo łagodny i potulny, z szacunku dla starszego brata nie próbował się wtrącać. Satjaprija, który zawsze uważał, że słabsza płeć powinna znajdować się pod męską opieką, surowo złajał naszego pobożnego przyjaciela za jego brutalność, lecz było oczywiste, że

mieliśmy tu do czynienia z kompleksami psychologicznymi będącymi poza zasięgiem moralnych napomnień.

Kiedy stopy się nam zagoiły, znów zaczął nas zabierać do innych interesujących miejsc. Jednym z nich była świątynia Mumba Dewi, bogini, której poświęcono Bombaj. Nazwa tego miasta jest w gruncie rzeczy przekręconym imieniem bogini. Ku naszemu zdumieniu, to najświętsze ze świętych miejsc było tak gęsto zapchane tłumem rozemocjonowanych i przepychających się biznesmenów z Gudżaratu, że w zasadzie niewiele udało nam się zobaczyć. Zauważyłem jednak, że ściany były grubo wyklejone rzędami srebrnych rupii. Kiedy przedzieraliśmy się w stronę wizerunku bogini, o którym mówiono, że był zrobiony z czystego srebra, jakiś jej wyznawca w czapeczce Gandhiego wcisnął mi do ręki banknot dwurupiowy z błaganiem: „Jesteś świętym mężem. Pomódl się proszę do bogini, żeby mi dzisiaj dobrze poszło na giełdzie!" Bombaj był oczywiście handlową i finansową stolicą Indii – tutaj znajdowała się indyjska giełda, a sama Mumba Dewi, pierwotnie patronka lokalnych rybaków, była teraz powszechnie uważana za formę Lakszmi, hinduskiej bogini bogactwa.

Mimo że z Bangalore wyruszyliśmy z Satjapriją do Bombaju, to jednak naszym prawdziwym celem było Sarnath. Tak więc po dziesięciu dniach spędzonych z naszym przyjacielem złotnikiem poczuliśmy, że czas byłoby ruszać w dalszą drogę. Była już połowa kwietnia, a więc zgodnie z indyjskim kalendarzem zaczął się miesiąc Wajszaka, a w głowach kołatała nam się nadzieja, że w Wajszaka Purnima, w dniu pełni księżyca – czyli w rocznicę oświecenia Buddy – moglibyśmy zostać wyświęceni na mnichów. Jednak w drodze do Sarnath musieliśmy odwiedzić jeszcze jedno miejsce. Nasz uprzejmy gospodarz wręczając nam bilety kolejowe trzeciej klasy, które pozwolą nam odbyć następny etap podróży, bardzo nalegał, abyśmy wysiedli na pewnej stacji kolejowej niedaleko Lucknow i spędzili kilka dni w aszramie dobrze znanego swamiego ze szkoły Wedanty. Podał nam jego imię dodając z wielkim szacunkiem w głosie, że swami był Brahma-dżnani, czyli „Tym Który Poznał Absolut".

Naturalnie wzbudził tymi słowami naszą ciekawość, więc po ponad dobie spędzonej w pociągu posłusznie wysiedliśmy na wskazanej stacji i szybko znaleźliśmy drogę do aszramu swamiego – był to mały budynek usytuowany nad brzegiem Gangesu w niewielkiej odległości od miasta. Już w kilka minut po przybyciu odkryliśmy, że niezależnie od tego, czy swami poznał Absolut, czy nie, z pewnością był wyznawcą nie-dualistycznej Wedanty, w dodatku z gatunku bardzo zjadliwych. Świat jest tylko i wyłącznie iluzją, zadeklarował. Praktyki duchowe są zupełnie niepotrzebne. Ponieważ każdy człowiek już jest z natury Brahmanem, Absolutem, nie ma absolutnie niczego, co można by urzeczywistnić.

„Czy urzeczywistniłeś Brahmana?" – zapytał Satjaprija wojowniczym tonem.

„Powiedziałem ci już, że nie ma nic, co można urzeczywistnić – warknął asceta z jawną irytacją – Ja *jestem* brahmanem. I ty też nim jesteś."

Ta odpowiedź nie zadowoliła mojego przyjaciela, więc bezzwłocznie przystąpił do ataku i przez następne dwie godziny argumenty i kontrargumenty fruwały w powietrzu w tę i z powrotem, aż w całym Aszramie huczało od konfliktu. Swami niewątpliwie był o wiele bardziej doświadczony w dialektyce i z powodzeniem utrzymywał się na swoich pozycjach odpierając ciągłe ataki, ale jeśli chodziło o siłę i tubalność wypowiedzi nie mógł się równać z Satjapriją. W miarę rozwoju debaty swami coraz wyraźniej okazywał zniecierpliwienie tym, co jasno uważał za tępotę mojego przyjaciela, aż w końcu Satjaprija, zniżając się do osobistej przymówki, agresywnie zażądał odpowiedzi na pytanie, jak to możliwe, że Brahma-dżnani dał się ponieść gniewowi.

„Nikt się nie dał ponieść gniewowi! – wrzasnął swami – Nie istnieje nic takiego jak gniew. To wszystko jest iluzją!"

Tę noc spędziliśmy w Aszramie, ale po tej nieprzyjemnej dyskusji i późniejszych szyderczych uwagach swamiego na temat naszego braku rozwoju duchowego atmosfera w tym miejscu była tak niesympatyczna, że następnego dnia opuściliśmy Aszram. Wędrując brzegiem Gangesu doszliśmy do szerokiej łachy srebrzystego piasku, na której rozsiane były wypalone stosy pogrzebowe, więc od razu rozpoznaliśmy, że to teren kremacyjny. Zdecydowaliśmy się tam zatrzymać. Krajobraz nie mógł być prostszy ani bardziej surowy. Nad nami rozciągał się olśniewający błękit nieba, na jego

środku słońce świeciło oślepiającym blaskiem, a wokół nas nic tylko biel piaszczystych brzegów, między którymi zwężona, ale nadal gigantyczna rzeka toczyła swe jadeitowo-zielone wody w stronę morza. Wydawało się że oprócz nas jedynymi żywymi istotami w zasięgu wzroku były małe skarłowaciałe drzewa rosnące kilkadziesiąt metrów od brzegu. Żadne z nich nie miało więcej jak trzy metry wysokości. Ze swymi zakrzywionymi wręcz zniekształconymi gałęziami i jasnozielonymi, pierzastymi liśćmi, rosnącymi głównie na czubkach, wyglądały jak prymitywne parasole z pogiętymi rączkami, połamanymi szprychami i podartym jedwabiem. Tu i ówdzie cztery lub pięć takich parasoli stało bliżej siebie niż pozostałe, więc ich rzadkie listowie łączyło się w rodzaj zielonego baldachimu. Pod jednym z takich baldachimów usiedliśmy z Satjapriją szukając schronienia przed żarem.

Jak tylko usiedliśmy, zorientowaliśmy się, że mimo pozorów jałowości tego miejsca, faktycznie otaczał nas świat tętniący życiem i aktywnością. Pasiaste szczury drzewne41 śmigały w górę i w dół po pniach drzew albo wyglądały zza pni gapiąc się na nas wyłupiastymi oczami i z pulsującymi piersiami. Niewidoczne cykady ukryte gdzieś w cienkiej trawie wydawały z siebie przenikliwe dźwięki. Pszczoły z głębokim brzęczeniem ciężko wlatywały i wylatywały z różowych i białych kwiatów jednego kwitnącego krzaka za drugim. Ale przede wszystkim były tam pawie. Zdawało się, że wśród drzew żyją ich setki. Co kilka chwil albo z bliska, albo z daleka, w gorącym popołudniowym powietrzu rozlegał się głośny, ostry krzyk trochę podobny do dźwięku dzwonka, a trochę do bardzo wzmocnionego miauczenia, któremu natychmiast odpowiadał następny taki sam krzyk. W rozwidleniach konarów i na niższych gałęziach drzew tkwiło mnóstwo wielkich nieporządnych gniazd, żadne z nich nie wyżej jak dwa metry od ziemi. W większości z nich, wyglądając zbyt wspaniale jak na tak skromne zajęcie, siedziały pawie koguty, a ich fantastyczne ogony-treny z pawimi oczkami zwisały znad brzegów gniazd prawie dotykając piaszczystej ziemi pod spodem. Od czasu do czasu widzieliśmy nagły jaskrawy błysk złota, błękitu i zieleni, kiedy któreś z tych majestatycznych stworzeń zrywało się do niezgrabnego poziomego lotu między drzewami, a długie pióra jego ogona ciągnęły się za nim jak olbrzymi bukiet wstążek. Żaden z ptaków nie zwrócił na nas najmniejszej uwagi.

Kiedy się ściemniło i żar dnia złagodniał, wróciliśmy na teren kremacji, gramoląc się w dół na obszar miękkiego srebrzystego piasku, który teraz był częścią brzegu, ale kiedy zaczynała się pora deszczowa, szybko stawał się dnem rzeki. Przez kilka minut chodziliśmy po ciepłych białych zaspach brnąc w nich po kostki, a potem usadowiliśmy się pośród cienistych kształtów wygasłych stosów pogrzebowych do naszej wieczornej medytacji. Kiedy kilka godzin później otworzyliśmy oczy, znaleźliśmy się w innym świecie. Na niebie księżyc w pełni świecił niemal elektrycznym blaskiem, a cały krajobraz leżał skąpany w nieziemskim srebrzystym świetle tak jasnym, że aż trudnym do zniesienia dla oczu. W oddali po naszej prawej stronie płynęła rzeka połyskując pod jasnogranatowym niebem, a dokoła nas niskie kopce popiołów i zwęglonego drewna rzucały czarne jak atrament cienie na biały piasek.

Rano powróciliśmy do Aszramu a stamtąd na stację kolejową. Chociaż idylliczne piękno miejsca głęboko nas poruszyło, pełnia księżyca przypomniała nam, że zostało już tylko dwadzieścia osiem dni, czyli jeden miesiąc księżycowy do dnia Wajszaka Purnima i chcieliśmy znaleźć się w Benares najszybciej jak to możliwe. Przed opuszczeniem terenu kremacji spędziliśmy pół godziny grzebiąc w stosach popiołów i zwęglonego drewna w poszukiwaniu kawałków materiału. Zgodnie z buddyjską tradycją najlepszą i najbardziej odpowiednią szatą dla buddyjskiego mnicha był strój całkowicie uszyty z fragmentów materiału wyciągniętych ze stosów pogrzebowych, więc w obliczu naszej nadchodzącej ordynacji obaj z Satjapriją pomyśleliśmy, że byłoby dobrym pomysłem skorzystać z okazji i zebrać potrzebne kawałki, zapewniając sobie ten bardzo pożądany rodzaj

---

41

Czyli wiewiórki, jak się je nazywa w Indiach [przyp. red.]

szaty. Niestety rozczarowaliśmy się. Udało nam się odkryć liczne fragmenty zwęglonych kości, dużych i małych, ale bardzo niewiele jeśli chodzi o materiał. Pod koniec naszych poszukiwań znaleźliśmy jedynie trzy lub cztery małe kawałeczki nie szersze niż 5 cm i wszystkie tak bardzo zwęglone na krawędziach, że zaczęliśmy się zastanawiać, jakim cudem starożytnym szlachetnym mnichom udało się kiedykolwiek pozszywać coś takiego, nawet zakładając, że zdołali uzbierać wystarczającą do tego celu liczbę kawałków.

Po przyjeździe do Benares poszliśmy prosto do miejscowego oddziału Misji Ramakriszny, gdzie mieliśmy nadzieję zatrzymać się przez kilka dni, zanim udamy się do Sarnath. Podaliśmy nasze imiona i po kilku minutach oczekiwania młody nowicjusz wprowadził nas do biura Prezydenta Misji. Ku naszemu zdumieniu, uśmiechniętą odzianą na żółto postacią, która podniosła się zza biurka, by nas powitać, był nie kto inny tylko nasz stary przyjaciel Budda Maharadż, którego ostatni raz widziałem dwa i pół roku wcześniej w Singapurze. Po powrocie do Indii pojechał na jakiś czas w Himalaje, aby odpocząć i odzyskać zdrowie, a później został wysłany do Benares, gdzie był odpowiedzialny za szpital i ambulatorium Misji.

Po paru minutach tego niespodziewanego spotkania obaj z Satjapriją gawędziliśmy z Buddą Maharadżem tak swobodnie, jakbyśmy się nigdy nie rozstawali, i nie tylko zdaliśmy starszemu i bardziej doświadczonemu przyjacielowi relację z naszych przygód, ale też zwierzyliśmy się z naszych aspiracji na przyszłość. Oświadczyliśmy, że po spędzeniu dwóch lat jako wędrowni asceci przekonaliśmy się, że jesteśmy zdolni spełnić wszystkie wymagania monastycznego życia i teraz, pragnąc formalnie poświęcić się podążaniu Ścieżką do Nirwany, chcemy w tradycyjny sposób otrzymać ordynację jako mnisi buddyjscy. W tym celu udajemy się do Sarnath, gdzie znajduje się filia Towarzystwa Maha Bodhi, i gdzie mamy nadzieję, że będzie możliwe, abyśmy zostali ordynowani na szramanerów, czyli mnichów nowicjuszy. Niewzruszony i spokojny jak zawsze Budda Maharadż przyjął nasze wyznania z tą samą wesołą dobrotliwością, jaką okazywał w Singapurze, i ani nie pochwalił, ani nie zganił naszego planu. Ale uczynił jedną sugestię. Ponieważ byliśmy w Benares – powiedział – i ponieważ Benares było nie tylko jednym z najstarszych miast w Indiach, ale też główną duchową siedzibą hinduizmu, byłoby szkoda, gdybyśmy nie odwiedzili przynajmniej kilku z jego niezliczonych świątyń i świętych miejsc. Kiedy Szri Ramakriszna przyjechał tu na pielgrzymkę, ujrzał, że całe miasto jest zrobione ze złota, a wysoko nad nim w chmurach dostrzegł boga Sziwę, władcę Benares, przyjmującego do nieba dusze wszystkich tych, którzy zmarli w tym mieście. Jeśli dopisze nam szczęście, może też będzie nam łaskawie dana szansa, by przelotnie ujrzeć wspaniałość Niebiańskiego Miasta – tego Wiecznego Benares, którego ziemskie Benares (zgodnie z ortodoksyjnym hinduskim wierzeniem) jest jedynie bladym odbiciem.

Mimo że śpieszyło nam się do Sarnath, stosownie do rady spędziliśmy z Satjapriją kilka następnych dni na zwiedzaniu. Chociaż za wyjątkiem kilku pozłacanych kopuł i wieżyczek, wąskie ulice i zatłoczone niehigieniczne domostwa starego miasta były jak dla naszych oczu bardzo dalekie od złotych i chociaż roje żebraków, świętych mężów, pielgrzymów i prostytutek zdawały się być pewne wszystkiego z wyjątkiem zbawienia, to nasze wycieczki w żadnym razie nie były nieciekawe. Oprócz obejrzenia słynnych ghatów, gdzie setki pielgrzymów obrzędowo zanurzały się w mazistych wodach Gangesu, odwiedziliśmy tak różne od siebie miejsca jak nowo wybudowany aszram Anandamaji i benareską filię Towarzystwa Teozoficznego. Aszram Anandamaji znajdował się w dużym budynku pięknie położonym nad brzegiem rzeki, ale ponieważ Anandamaji przebywała obecnie gdzie indziej, był praktycznie opustoszały, a my wędrowaliśmy z pokoju do pokoju patrząc na duże oprawione fotografie Pełnej Błogości Matki i krzykliwe oleodruki Szri Kriszny i Czajtanji. Zwiedziliśmy też Bharat Mata Mandir, czyli ‘Świątynię Matki Indii’. Był to duży i raczej niełady współczesny budynek, o którym mówiono, że zainaugurował go Mahatma Gandhi. W głównej sali na honorowym miejscu zamiast wizerunku czczono olbrzymią trójwymiarową plastyczną mapę Indii. Chociaż model nie całkiem odpowiadał rzeczywistości pod względem skali (Himalaje były na nim o wiele wyższe niż być powinny), niemniej jednak dawał całkiem przyzwoite pojęcie o głównych cechach geograficznych subkontynentu, oprócz tego, że stanowił frapujący przykład tego, co Rabindranath Tagore nazywał ‘geograficznym bałwochwalstwem’.

Jak to zwykle bywało w moim i Satjapriji przypadku, zwiedzanie obejmowało nie tylko miejsca, ale też ludzi. W trakcie wizyty w Towarzystwie Teozoficznym odkryliśmy, że sławny teozof Bhagawan Das, którego książki czytałem w Singapurze, jest mieszkańcem świętego miasta, więc od razu postanowiłem, że pójdę go odwiedzić. Czcigodny stary uczony, który miał już wtedy dobrze ponad siedemdziesiąt lat, przyjął nas na werandzie swojego przestronnego parterowego domu na przedmieściach i już po paru minutach głęboko pogrążyliśmy się w dyskusji o indyjskiej filozofii i religii. Ku naszemu zdziwieniu okazało się, że mimo wszystkich pozorów teozoficznego uniwersalizmu, w głębi serca był hinduistą prawie tak samo ortodoksyjnym jak Wenkateszwara Ijer. Wydawało się, że dla buddyzmu miał naprawdę bardzo mało sympatii, a było oczywiste, że nie miał absolutnie żadnej sympatii ani dla naszego stylu życia wędrownych ascetów, ani dla pragnienia ordynacji na buddyjskich mnichów. Jeśli chodzi o naszą determinację, aby nie utożsamiać się z żadną narodowością, była dla niego wyłącznie przejawem młodzieńczej ekstrawagancji, więc w tym sensie niezrozumiała dla ludzi mądrych. Mimo to, przy pożegnaniu dał nam w prezencie swoją książkę *The Essential Unity of All Religions* (z autografem w środku), o której wiedziałem, że jest wysoko ceniona w kręgach teozoficznych.

Po spędzeniu trzech czy czterech dni na eksplorowaniu głównych dróg i bocznych zakątków w Benares, zdecydowaliśmy z Satjapriją, że mamy dość zwiedzania. Była teraz najgorętsza pora roku w jednej z najgorętszych części Indii, a ponieważ nie mieliśmy żadnych pieniędzy (przestaliśmy się nimi posługiwać od czasu pobytu w Anandaszramie), nie tylko musieliśmy wszędzie chodzić pieszo, ale też obywać się cały dzień bez jedzenia i picia. W istocie niespecjalnie nam to przeszkadzało. Prawdziwa przyczyna naszej decyzji leżała znacznie głębiej. Mimo że w dobrej wierze kierowaliśmy się sugestią Buddy Maharadża, z każdym dniem coraz mocniej odczuwaliśmy moc przyciągania Benares, a kontakt z hinduizmem, przynajmniej w moim przypadku, zwiększał tylko tęsknotę za buddyzmem. Dlatego wcześnie rano, kiedy nadal było tylko umiarkowanie gorąco, pożegnaliśmy się z naszym nieprzeniknionym przyjacielem swamim i ruszyliśmy w ponad szesnastokilometrowy marsz do Sarnath.

Nazwa Sarnath była mi znajoma od kiedy tylko zacząłem czytać o buddyzmie, a szczególnie przez ostatnie dwa miesiące miałem wrażenie, że cały czas dźwięczy mi w uszach. Było to miejsce, gdzie zaledwie dwa miesiące po osiągnięciu Doskonałego Oświecenia Budda odnalazł pięciu ascetów, którzy byli jego towarzyszami w praktykach umartwiania się w okresie, gdy nadal szukał Prawdy, i gdzie w zacisznym odosobnieniu Parku Jeleni przekazał im podstawy odkrytej na nowo Dharmy. Po początkowym silnym oporze zaakceptowali go jako swojego nauczyciela, uświadomili sobie prawdziwość jego nauk i stali się zaczątkiem duchowej społeczności, która błyskawicznie wyrosła wokół niego w przeciągu kilku następnych miesięcy. Droga, którą teraz szliśmy, być może była dokładnie tą samą drogą, którą kroczył Budda 2500 lat temu na ostatnim etapie swej podróży z Bodh Gaja. Miał to samo błękitne niebo nad głową, widział takie same rozległe przedmieścia, takie same oblepione gliną chaty, takie same grupki nagich dzieciaków bawiących się w kurzu, takie same skrzypiące wozy zaprzężone w woły, takie same płaskie pola po obu stronach drogi, a palące słońce wysoko na niebie tak samo coraz bardziej wszystko przypiekało.

Po kilku godzinach marszu droga, która do tej pory niepewnie wiła się mnóstwem zakrętów, zaczęła biec prosto jak strzelił, jakby teraz już dokładnie wiedziała, dokąd prowadzi. Od czasu do czasu po obu jej stronach zaczęły pojawiać się drzewa. Wkrótce szliśmy z Satjapriją w przyjemnym cieniu szerokiej alei z pięknymi drzewami mango, których błyszcząca zieleń ostro kontrastowała z zakurzonymi brązowymi polami roztaczającymi się dokoła nas. Wkrótce po prawej stronie dostrzegliśmy za mangowymi drzewami walące się ściany małej stacyjki kolejowej, której budynki wyglądały niemal jak stosy gruzu. Po przeciwnej stronie drogi, na lewo od nas wznosił się ogromny stos cegieł stojący w najbardziej nieodpowiedni sposób na szczycie ośmiokątnej budowli w stylu Mogołów. Wiedziałem, że były to pozostałości po Stupie Chaukambhi, o której mówiono, że stoi dokładnie w tym miejscu, gdzie po dotarciu do Sarnath Budda spotkał pięciu ascetów. Zbliżaliśmy się do miejsca naszego przeznaczenia. Nagle ponad czubkami drzew dostrzegliśmy znajdujący się o półtora kilometra dalej różowo-szary szczyt Mulagandhakuti Wihary – nowej syngaleskiej świątyni zbudowanej około dwadzieścia lat wcześniej. Byliśmy na miejscu! Sto metrów dalej droga ostro

skręcała w prawo i jak we śnie ujrzeliśmy przed sobą podobne do parku Sarnath.

Kilka następnych dni należało do jednych z najprzyjemniejszych i najboleśniejszych w całym moim życiu. Ponieważ był to sam środek gorącej pory roku, kiedy jest niewielu pielgrzymów, praktycznie całe miejsce mieliśmy dla siebie i po zatłoczonym, hałaśliwym Benares, przestronność i spokój Sarnath, jego zielone trawniki, kwitnące drzewa i chłodne, zadbane świątynie były rzeczywiście rozkoszne. Chociaż obejrzeliśmy praktycznie wszystkie interesujące miejsca, to głównym obiektem naszej uwagi była oczywiście błyszcząca granitowa kolumna postawiona przez Cesarza Asiokę, aby zaznaczyć dokładnie to miejsce, gdzie Budda nauczał pięciu ascetów. Kolumna ta, czy raczej to, co z niej zostało, stała zadaszona i ogrodzona na środku terenu o powierzchni kilku akrów ze zrujnowanymi świątyniami, klasztorami i wotywnymi stupami, które wszystkie zostały odkryte podczas wykopalisk archeologicznych i teraz były starannie konserwowane. Sławny kapitel z czterema lwami, który wcześniej tkwił na jej szczycie, teraz przechowywano w muzeum. Jednak chociaż Sarnath było piękne, wiedziałem, że nie zawsze takie było. Inwazja muzułmańska oraz odrodzenie hinduizmu pospołu zrównały je z ziemią i przez setki lat nawet sama nazwa miejscowości była praktycznie nieznana. Pod koniec XIX wieku hodowano w tym miejscu świnie. Jednak przez kilka ostatnich dziesięcioleci zaszła tu wielka zmiana i wraz założeniem świątyń i klasztorów oraz zapewnieniem miejsc dla pielgrzymów Sarnath zostało zrekonstruowane, stając się skromnym odbiciem swej dawnej świetności. Dzięki kontaktowi z Towarzystwem Maha Bodhi w Kalkucie wiedziałem, że wszystko to odbyło się dzięki inicjatywie Anagariki Dharmapali, który założył tutaj filię Towarzystwa i zbudował Wiharę Mulagandhakuti. Sam Dharmapala zmarł prawie dwadzieścia lat wcześniej, ale jego dzieło kontynuowali mnisi syngalescy – niektórzy z nich byli jego osobistymi uczniami. Od tych właśnie mnichów mieliśmy nadzieję otrzymać ordynację.

Rzadko się chyba zdarzało w historii buddyzmu, żeby dwóch kandydatów na członków Sanghi rozczarowało się tak szybko i tak okrutnie. Chociaż pozwolono nam, aczkolwiek niechętnie, zatrzymać się w obszernym i pustym domu gościnnym, pięciu czy sześciu mnichów rezydentów od pierwszej chwili miało wobec nas stosunek wyraźnie podejrzliwy, wrogi i pełen niezrozumienia. Chociaż przymknęli oko na nasze gołe stopy i nawet jakoś usprawiedliwili nasze zainteresowanie medytacją, to jasno dali nam do zrozumienia, że całkowity brak pieniędzy jest grzechem niewybaczalnym. Kiedy wyznaliśmy, że próbujemy praktykować wskazanie, aby nie używać złota i srebra, którego przestrzeganie obowiązuje oczywiście zarówno mnichów jak i szramanerów, więc przez kilka ostatnich miesięcy nie mieliśmy do spółki więcej jak jednego anna, zareagowali tak, jakbyśmy im powiedzieli, że jesteśmy trędowaci. Od tej chwili nasz los był przypieczętowany. W oczach przedstawicieli ‘czystego buddyzmu’ byliśmy nie lepsi od żebraków i było oczywiste, że nie chcieli mieć z nami absolutnie nic wspólnego. Nawet nie chcieli poczęstować nas jedzeniem. Kiedy na dźwięk gongu pojawiliśmy się w jadalni, usłyszeliśmy jak jeden z nich gniewnie mruczy „Dlaczego oni przychodzą bez zaproszenia?” Po ogromnej gościnności, z jaką spotykaliśmy się w aszramach hinduistycznych, takie podejście było dla nas prawdziwym szokiem.

Niemniej jednak postanowiliśmy się nie zniechęcać. W przypadku tak ważnego kroku, jaki chcieliśmy teraz zrobić, trudności były nieuniknione i najlepsze, co mogliśmy uczynić, to potraktować je jako test. Zgodnie z tym postanowieniem przy pierwszej okazji zapoznaliśmy mnichów z naszą duchową historią i formalnie poprosiliśmy o ordynację. Wysłuchali naszej relacji w milczeniu a potem oświadczyli, że skonsultują się między sobą i powiadomią nas o swojej decyzji. Długo nie czekaliśmy. Wyjaśnili, że wszyscy są członkami Towarzystwa Maha Bodhi i w związku z faktem, że Towarzystwo byłoby odpowiedzialne za utrzymanie mnichów ordynowanych pod jego auspicjami, nie wolno im nikogo ordynować bez zgody Sekretarza Generalnego. A ponieważ obecnie Towarzystwo dysponuje bardzo skromnymi funduszami, są pewni, że w naszym przypadku takiej zgody nie otrzymają.

Chociaż wiedzieliśmy, jaki będzie werdykt, kiedy faktycznie nadszedł, nasz szok wcale nie był mniej bolesny. Wszystkie nasze plany legły w gruzach, wszystkie nadzieje spełzły na niczym. Gorzko rozczarowani wróciliśmy do Benares.

Rozdział 44

Kurtyna ognia

Następny tydzień był okresem oszołomienia, niepewności i dezorientacji. Przez kilka ostatnich miesięcy idea ordynowania w Sarnath tak całkowicie opanowała nasze umysły – tak bardzo o niej marzyliśmy, tyle planów od niej zależało – że prawdopodobieństwo spotkania się z odmową, z brakiem zgody na to, co już było dla nas rzeczywistością, istniało w naszej świadomości tylko jako najodleglejsza i najbardziej abstrakcyjna z możliwości. Byliśmy przygotowani na trudności, nawet na poddawanie nas próbom, ale naprawdę nigdy byśmy się nie spodziewali, że z wszystkich możliwych miejsc to właśnie w Sarnath spotkamy się z tak jawną wrogością i niezrozumieniem, i że nasza prośba o ordynację zostanie odrzucona z tak błahych powodów, które jak później odkryliśmy w zasadzie były kłamstwem. A jednak ta nieprawdopodobna, praktycznie niemożliwa i nieoczekiwana rzecz faktycznie się stała. Nasza prośba została odrzucona. Odmówiono nam ordynowania na szramanerów. Znów byliśmy tylko dwójką bezdomnych wędrowców, z tą różnicą, że tym razem nie mieliśmy przed sobą celu i nie mieliśmy dokąd pójść. Wróciwszy do Misji Ramakriszny, gdzie nawet Budda Maharadż nie potrafił całkowicie ukryć swego zdumienia naszym powrotem, poczuliśmy jakby zapadło się pod nami dno wszechświata i jak byśmy byli zawieszeni w próżni bez celu i bez kierunku.

Dla mnie sytuacja była podwójnie przykra. Oprócz własnego rozczarowania, które było wystarczająco dotkliwe, musiałem jeszcze radzić sobie z konsekwencjami rozczarowania Satjapriji, pełniąc rolę nie tylko powiernika, ale też kozła ofiarnego, na którym skupił się gwałtowny gniew i uraza, jakie w nim wybuchły, gdy tylko otrząsnął się z pierwszego szoku wywołanego odmową. Kim są ci mnisi w Sarnath – zapytywał z wściekłością – i jakie mają prawo odmówić ordynacji dwóm kandydatom, którzy jak wiadomo są od nich o wiele bardziej zaawansowani duchowo? Oni w ogóle nie są mnichami. Nie są lepsi od dozorców w żółtych szatach, którzy zarabiają na pielgrzymach i chyłkiem grabią sobie jakieś nędzne zdobycze. On wie, jacy oni są naprawdę. Rozmawiał tam z hinduskimi służącymi. W Sarnath dzieje się tak samo źle, jak działo się w Kalkucie, jeśli nie gorzej. Towarzystwo Maha Bodhi śmierdzi. Mnisi syngalescy są totalnie skorumpowani. Sam buddyzm jest skorumpowany. Cieszy się, że w porę mu się oczy otworzyły i że los uchronił go od zrobienia kroku, którego z pewnością by żałował przez resztę życia. Wcale nie czuje się rozczarowany, że ich nie ordynowano, przeciwnie, jest tym zachwycony. Czuje że ma szczęście, iż tego uniknął. Jedyne, czego żałuje, to faktu, że on Hindus był zmuszony błagać o ordynację bandę synagaleskich łobuzów, którzy otrzymali swoją religię i kulturę od Indii, i którzy przedtem nie byli lepsi od małp. A za to upokorzenie, tak bolesne dla jego szacunku do samego siebie, mnie musi podziękować. Gdyby nie mój podstępny wpływ, nie miałby nic wspólnego z buddyzmem, nie musiałby mieć do czynienia z brudem i korupcją Towarzystwa Maha Bodhi. Ale tak było zawsze. Z powodu związku ze mną wielokrotnie był upokarzany. Już za długo to wytrzymuje. W przyszłości nie zamierza mieć absolutnie nic wspólnego z buddyzmem. Niech się singalescy mnisi udławią swoją ordynacją. On jest całkiem szczęśliwy, że pozostanie tym, kim się urodził, hinduistą. Jest mnóstwo hinduistycznych mnichów, którzy z radością przyjmą go jako swego ucznia. A w najgorszym wypadku zawsze może dołączyć do Misji Ramakriszny. Może oni nie są bardzo duchowi, ale przynajmniej wykonują dużo dobrej roboty na rzecz społeczeństwa. Indie potrzebują pracowników społecznych …

Oburzał się tak i wściekał z małymi przerwami przez kilka dni, zanim jego furia stopniowo osłabła i wreszcie udało mi się go trochę uspokoić. Przekonywałem mojego przyjaciela, że nawet jeśli zachowanie mnichów w Sarnath było wyjątkowo mało buddyjskie, to naszym obowiązkiem jako aspirujących do Oświecenia jest nie poddawać się uczuciom urazy. Na ścieżce duchowej trudności i rozczarowania są nieuniknione, ale jeśli potraktujemy je jako testy szczerości naszych zamiarów, wtedy wzmocnią a nie osłabią naszą determinację w osiągnięciu celu. Jednak mimo tych nabożnych słów pod adresem Satjapriji musiałem w głębi serca przyznać, że w wielu sprawach miał rację. To prawda, że nie powinniśmy pielęgnować w sobie urazy, i że rozczarowanie, jakiego

doświadczyliśmy, musimy potraktować jako test, ale żadne duchowe wybielanie nie ukryje faktu, że mnisi w Sarnath byli bardzo zorientowani na ziemskie sprawy, nie mieli w sobie najsłabszej nawet iskry entuzjazmu do spraw duchowych, i że odrzucenie naszej prośby o ordynację spowodowane było bardzo podłymi i niegodnymi motywami. W gruncie rzeczy musiałem przyznać, że zarówno sam fakt odmowy, jak i sposób, w jaki jej dokonali, zranił mnie o wiele głębiej niż Satjapriję. Oprócz tego, że czułem się rozczarowany jako kandydat do ordynowania, byłem też upokorzony jako buddysta i oburzony jako człowiek. Jedynie moja wiara w buddyzm pozostała nienaruszona. Nawet przez moment nie rozważałem opcji szukania ordynacji w społeczności duchowej innej niż założonej przez Buddę. Im większe były przywary współczesnych uczniów, tym bardziej uwidaczniały wzniosłość ideału i tym bardziej, chociaż nie bezpośrednio, wzmacniały moje oddanie ideałowi. Dlatego tłumiąc własne rozczarowanie, starałem się najlepiej jak umiałem złagodzić oburzenie przyjaciela i przekonać go, że mnisi w Sarnath nie są jedynymi w Indiach, i że chociaż nie udało nam się otrzymać ordynacji za pierwszym razem, nie ma powodów sądzić, że nie uda nam się to przy drugiej lub trzeciej próbie. Tak czy inaczej, było niemożliwe żebyśmy zostali dłużej w Misji Ramakriszny, ponieważ nadużyliśmy już ich gościnności. A skoro gdzieś musimy pójść, równie dobrze możemy wybrać się tam, gdzie będzie możliwe ordynowanie nas na szramanerów.

Moje argumenty nie pozostały bez wpływu na Satjapriję, który już i tak ganił sam siebie za gwałtowność swojej reakcji. Ale do którego ze świętych miejsc powinniśmy się teraz udać? Gdzie byłaby możliwa nasza ordynacja? Były to pytania, na które musieliśmy znaleźć odpowiedź i to znaleźć ją natychmiast. Spędziliśmy kilka godzin pogrążeni w żarliwej lecz bezskutecznej dyskusji i już zaczynała nas ogarniać rozpacz, kiedy nagle Satjaprija przypomniał sobie, że jeden z mnichów w Sarnath, jedyny Hindus w tej społeczności, wspomniał mu nazwisko sławnego uczonego mnicha Bhikkhu Dżagdisza Kaszjapy, który od wielu lat uczył języka palijskiego i filozofii buddyjskiej na Hinduskim Uniwersytecie w Benares. Pójdziemy do niego i poprosimy o radę. On będzie nam mógł pomóc. Nawet jeśli sam nie może ordynować, to z pewnością powie nam, dokąd mamy iść i do kogo zwrócić się w tym celu.

W ciągu kilku godzin dotarliśmy pieszo na Uniwersytet i w odległym zakątku ogromnego kampusa znaleźliśmy skromny dom Bhikkhu Kaszjapy, gdzie błyskawicznie zaprowadzono nas po gołych cementowych schodach przed jego oblicze. Od razu zauważyliśmy, że jest zupełnie innym typem osobowości niż mnisi w Sarnath. Jego wielka tusza nadawała mu wyraz spokoju i niewzruszoności góry. Jednocześnie wyraz wyjątkowej inteligencji, który przebijał z wydatnych rysów ciemnobrązowej twarzy, stwarzał wrażenie żywości, a dodatkowo emanująca z niego szlachetna łagodność zdawała się zapraszać do zwierzeń i zaufania. W niecałą godzinę wprowadziliśmy go w najważniejsze elementy naszej wspólnej historii, a zwłaszcza w jej najnowszy rozdział związany z rozczarowaniem w Sarnath. Wysłuchawszy wszystkiego ze współczującym milczeniem, Bhikkhu Kaszjap zamyślił się na chwilę. Następnie z głębi jego olbrzymiej postaci wypłynęły słowa z powolnością, która nadała im specjalne znaczenie, ale mówił ewidentnie serdecznie i szczerze. Radził nam udać się do Kushinagaru – miejsca gdzie Budda odszedł w ostateczną Nirwanę. Znajdziemy tam najważniejszego w Indiach mnicha buddyjskiego ze szkoły therawady, który nazywa się U Czandramani Maha Thera. Ma on wielu uczniów i w istocie znany jest z wielkoduszności, z jaką ordynuje nowych mnichów. Zakładając, że uda nam się przekonać go o naszej szczerości, nie powinno być powodu, dla którego nie miałby nas ordynować.

Jego słowa napełniły nas na nowo nadzieją i zdecydowaliśmy się bezzwłocznie ruszyć do Kushinagaru. Ponieważ nie mieliśmy żadnych pieniędzy, musieliśmy iść pieszo, ale nasze pragnienie ordynacji było tak wielkie, że gdyby było to konieczne, dotarlibyśmy tam nawet wykonując przez całą drogę pełne pokłony, jak to czasami robili pielgrzymi tybetańscy na trasie z Lhasy do Bodh Gaja. Kiedy powiedzieliśmy naszym przyjaciołom w Misji Ramakriszny, co zamierzamy zrobić, byli przerażeni. Kushinagar znajduje się ponad 160 km od Benares – zaprotestowali – a teraz jest najgorętsza pora roku. Nigdy nie dotrzemy tam żywi. Właśnie zaczął się bardzo gorący wiatr, którego wszyscy się boją, wiejący z pustyń w zachodnich Indiach. Każdego dnia gazety donoszą o ludziach, którzy umierają z powodu upału. Może byśmy zostali w

Benares jeszcze kilka tygodni i ruszyli w drogę, jak tylko zaczną się pierwsze monsunowe deszcze, które ochłodzą powietrze? Była to rozsądna rada i w innych okolicznościach na pewno byśmy z niej skorzystali. Dopiero co szliśmy kilka godzin na Uniwersytet i z powrotem w samo południe, kiedy powietrze było gorące jak w piecu, więc wiedzieliśmy aż za dobrze, co nas czeka na prawie każdym kroku naszej podróży. Między nami i naszym celem wisiała kurtyna ognia. Jednak już podjęliśmy decyzję i nie mieliśmy czasu do stracenia. Albo przejdziemy przez tę ognistą kurtynę, albo zginiemy próbując przez nią przejść.

Następnego dnia wcześnie rano ruszyliśmy do Sarnath. Położone na północny-wschód od Benares leżało dokładnie na naszej trasie i z powodu swoich świętych powiązań było w oczywisty sposób najlepszym punktem do rozpoczęcia podróży. Nie można powiedzieć, żeby mnisi z Maha Bodhi powitali nas z radością, ale byli o wiele mniej nieprzyjaźni niż w trakcie naszej pierwszej wizyty. W gruncie rzeczy, kiedy jasno oznajmiliśmy, że jesteśmy w drodze do Kushinagaru i nie będziemy się u nich zatrzymywać, dwóch czy trzech członków tej społeczności, o trochę lepszych charakterach od reszty, zachowało się nawet serdecznie. Okazało się, że jeden z nich, ten sam hinduski mnich, który wspomniał nazwisko Bhikkhu Dżagdisza Kaszjapy, nie tylko pochodził z Deori, tego samego okręgu, gdzie leżał Kushinagar, ale był też osobistym uczniem U Czandramaniego, który ordynował go na szramanerę. Słysząc, że udajemy się do Kushinagaru w poszukiwaniu ordynacji, dał nam dwa listy polecające, jeden do samego U Czandramaniego, a drugi do jego najstarszej uczennicy. Stwierdził, że to, co Kaszjap-dżi powiedział nam o szczodrości Maha Thery w udzielaniu ordynacji, jest całkowitą prawdą i z pewnością otrzymamy to, czego chcemy. Inny mnich z Cejlonu, który jako jeden z Sekretarzy Towarzystwa Maha Bodhi odpowiadał za tę instytucję i jej działalność w Sarnath, był jeszcze życzliwszy. Wziął nas na stronę i powiedział w bardzo przyjazny wręcz uczuciowy sposób, że mocno sympatyzuje z naszymi dążeniami i życzy nam jak najlepiej. Nie powinniśmy za bardzo brać sobie do serca – dodał – że w trakcie naszej poprzedniej wizyty on i jego bracia mnisi odmówili nam ordynacji. Niezwykle trudno jest zorientować się, kto jest szczery a kto nie jest. Do Sarnath przychodzą setki ludzi prosząc o ordynację. Większość z nich to Hindusi, którzy chcą jedynie być utrzymywani. Po kilku bolesnych doświadczeniach on i pozostali bhikkhu nauczyli się zachowywać największą ostrożność.

Te przyjazne uprzejmości, łącznie z faktem, że zostaliśmy zaproszeni do refektarza na południowy posiłek, nie tylko podniosły nas na duchu, ale też sprawiły że z większym miłosierdziem popatrzyliśmy na wady mnisiej społeczności w Sarnath. Prawdą było, że żadnego z mnichów nie dałoby się opisać jako zorientowanego na duchowość, a niektórzy nawet nie wydawali się religijni. Dla nich buddyzm ewidentnie nie był ścieżką do Oświecenia, tylko zwyczajnie częścią narodowej kultury ich kraju, kultury w której się urodzili i wychowali, więc instynktownie dostosowywali się do jej zewnętrznych wymagań. A jednocześnie jasno widzieliśmy, że nie byli ludźmi z gruntu złymi i wcale nam źle nie życzyli. To, co uznaliśmy za wrogość, w rzeczywistości było jedynie odruchem obronnym. Spadliśmy na nich jak grom z jasnego nieba, więc zareagowali na nas w podobny sposób, w jaki grono duchownych z anglikańskiej katedry zareagowałoby na obdartego i bosego chrześcijanina z Afryki, który sprzedał cały majątek, rozdał pieniądze biednym i nagle zjawił się na herbatce u dziekana pytając co powinien dalej robić. Teraz kiedy mieli czas otrząsnąć się z szoku i zostali zapewnieni, że ze swoimi ekscentrycznymi życzeniami udajemy się gdzie indziej, nie mieli żadnych obiekcji, żeby życzyć nam sukcesów w naszej misji. Dlatego, mając uszy pełne ich błogosławieństw, opuściliśmy Sarnath w weselszym nastroju niż do niego przybyliśmy. Przed wyruszeniem Satjaprija ostrzegł mnie, że zdecydowanie będzie to nasza ostatnia próba. Jeśli nie uda nam się otrzymać ordynacji w Kushinagarze, on całkowicie porzuci buddyzm i zostanie mnichem hinduistycznym, a ja będę musiał pójść za jego przykładem. Przeciwko takiemu pomysłowi zbuntowałem się całą duszą. Dla mnie nie było żadnej innej opcji. Cokolwiek się wydarzy, chciałem być buddyjskim mnichem i niczym więcej. Jednak nie chcąc prowokować kłótni na samym początku podróży, zachowałem swoje myśli dla siebie.

Następne osiem dni spędziliśmy w drodze, a ściśle rzecz biorąc szliśmy torami kolejowymi. Natknęliśmy się na nie zaraz na pierwszym wale za Sarnath i zdecydowaliśmy, że ponieważ nie mamy żadnej mapy, najlepiej byłoby iść wzdłuż torów tak daleko, jak będzie to możliwe. Lśniące

srebrne szyny prowadziły od jednej nieokreślonej wioski do drugiej, od jednego ruderowatego miasteczka do drugiego, prosto przez płaski brązowy krajobraz, ponad korytami wyschniętych strumieni, przez jedno spękane pole za drugim. Za towarzystwo mieliśmy tylko druty telegraficzne, a od czasu do czasu jedyne, co dodawało koloru krajobrazowi, to długa zielona linia gaju mango. W większości wiosek i miasteczek, przez które przechodziliśmy, była jakaś świątynia lub aszram, gdzie zazwyczaj spędzaliśmy noc. Ponieważ jedyne, czego się spodziewaliśmy po drodze, to potworny żar, próbowaliśmy odbyć większą część drogi do południa. Wstawaliśmy przed świtem, kiedy gwiazdy jeszcze nie zbladły na niebie, i szybko upychaliśmy swój skromny dobytek w mały płócienny worek, który był teraz jedyną rzeczą, jaką każdy z nas niósł. Potem ostrożnie szliśmy w mroku z powrotem do torów kolejowych i kierowaliśmy się na północ. Zanim wzeszło słońce mieliśmy za sobą spory kawałek drogi. Któregoś ranka, kiedy wstaliśmy jeszcze wcześniej niż zwykle, w miękkiej ziemi obok torów dostrzegliśmy ślady wielkich tygrysich łap. Pochodziły nie więcej jak sprzed godziny i towarzyszyły nam przez kilkaset metrów. Najwyraźniej nie byliśmy jedynymi stworzeniami, które podążały wzdłuż torów.

Po dwóch lub trzech godzinach marszu zatrzymywaliśmy się na śniadanie, zwykle gdzieś nad rzeką, żeby móc się przy okazji wykąpać. Śniadanie składało się z czatua, czyli prażonej mąki jęczmiennej, której mały woreczek dostaliśmy od przyjaznego hinduskiego ascety, w którego towarzystwie spędziliśmy drugą noc naszej podróży. Zmieszana z wodą i ugnieciona na miękkie ciasto była całkiem smaczna i wystarczała nam aż do następnego posiłku. Jak tylko odpoczęliśmy i odświeżyliśmy się, ruszaliśmy w dalszą drogę. Przez cały czas słońce stopniowo przygrzewało coraz mocniej i około dziewiątej rano pot spływał nam nie tylko z twarzy ale też sączył się po całym ciele, wsiąkając w ubranie. Czasem, zwłaszcza kiedy wiał gorący wiatr, żar był tak wielki, że dla ochrony musieliśmy iść z głową owiniętą w mokry ręcznik jak w turban. Mimo że cierpieliśmy wielkie niewygody, parliśmy do przodu nie zwalniając tempa. Każdy stawiany krok wzbijał w powietrze tuman białego pyłu, który owijał nas duszącą chmurą, a potem odpływał jak dym. Dopiero kiedy słońce stało w zenicie i cienie znikały w oślepiającym południowym blasku, zaczynaliśmy szukać schronienia. O tej porze milkły nawet przenikliwe głosy cykad w wypalonej trawie, a cały krajobraz drżał i tańczył jakby za zasłoną. Ze szczelin w ziemi gorące wyziewy unosiły się jak płomienie.

Naszym ulubionym schronieniem były gaje mango, gdzie gęste listowie dawało cień, który po żarze pod gołym niebem był tak cudownie chłodny, że prawie zmysłowy. Jeśli nie było żadnego gaju w zasięgu wzroku, zwykle chroniliśmy się tak jak w nocy w świątyni lub aszramie, gdzie przeważnie jakiś przyjazny asceta lub sympatyczny wieśniak przynosił nam coś do jedzenia, a jeśli wzbudziliśmy wystarczająco dużą ciekawość lub sympatię ze strony mieszkańców, Satjaprija wdawał się z nimi w dyskusję. W jednym czy dwóch miejscach wieśniacy byli wyjątkowo gościnni i w ciągu tych paru godzin odpoczynku zapałali do nas na tyle ciepłymi uczuciami, że namówili nas na pozostanie aż do rana. A raz nawet nasz gospodarz niejako przekazał nas pod opiekę swojemu potomkowi w następnej wiosce na trasie. Okazał się on nieodrodnym synem swego ojca i ugościł nas tak samo wystawnie jak jego rodzic dzień wcześniej. Zazwyczaj jednak opuszczaliśmy nasze dzienne schronienie około piątej po południu, kiedy żar zmalał, i po powrocie do torów kolejowych kontynuowaliśmy marsz, dopóki nie zapadła noc. W ten sposób robiliśmy około 20 do 25 km dziennie. A raz nawet przeszliśmy około 45 km albo żeby nadrobić stracony czas, albo mieliśmy wtedy wyjątkowo dużo energii.

Większość świątyń i aszramów, gdzie spędzaliśmy noc lub zatrzymywaliśmy się na kilka godzin w ciągu dnia, należała albo do sekty wajsznawitów, albo szajwitów, i w większości z nich jedynym znakiem duchowej aktywności, jaki zauważyliśmy, było palenie gandzi, czyli indyjskich konopi. Przynajmniej w jednej z nich, jak się zorientowaliśmy, silnie nalegano na przestrzeganie ograniczeń związanych z systemem kastowym. Zdarzyło się to piątego dnia naszej podróży, kiedy wieczorem dotarliśmy do Mau, będącego największym miejscem, jakie widzieliśmy od czasu opuszczenia Benares. Sądząc z liczby domów i sklepów prowadzonych najwyraźniej przez uchodźców ze Wschodniego Pakistanu, miasto było w stanie energicznej choć chaotycznej ekspansji. Na przedmieściach, obok stacji kolejowej stał dość duży aszram, w którym

postanowiliśmy się zatrzymać. Przez jakiś czas nikt nie zwrócił na nas najmniejszej uwagi, a z otaczającego hałasu i zgiełku wywnioskowaliśmy, że nie był to ośrodek cichej kontemplacji dla tych, którzy wyrzekli się świata, tylko miejsce religijnego biznesu, gdzie ludzie przychodzili modlić się (i płacić) o sukces w ziemskich przedsięwzięciach. W końcu, kiedy już myśleliśmy, żeby stamtąd wyjść, podszedł do nas przełożony Aszramu. Był to stary, wysoki i chudy wajsznawicki asceta z ogoloną głową, który nosił zwyczajowy sznur malutkich korali z drzewa bazylowego. Chociaż początkowo był nieco sarkastyczny, po krótkiej rozmowie zaczął zachowywać się bardziej przyjaźnie i ofiarował nam trochę słodyczy. Sam palił gandzię. Następnie zaprowadzono nas na werandę stojącej obok świątyni Sziwy, gdzie spędziliśmy noc w towarzystwie starszego mnicha, ortodoksyjnego wyznawcy Adwajty Wedanty, który złamał sobie nogę, kiedy pewnej nocy będąc pod wpływem gandzi przewrócił się na torach kolejowych.

Następnego ranka, gdy siedzieliśmy na werandzie razem z kulawym mnichem i kilkoma innymi osobami, przyszła stara dhobini, czyli praczka, i usiadła w pobliżu nas. Ponieważ zdecydowaliśmy, że tego dnia ruszymy w drogę trochę później niż zwykle, zapytaliśmy ją, czy moglibyśmy przyjść do jej domu na południowy posiłek. Zszokowana i przerażona tym pomysłem wyjaśniła, że ponieważ należy do bardzo niskiej kasty, jest po prostu niemożliwe, żebyśmy przyjęli z jej rąk gotowane pożywienie. Jeśli chcemy, może nam w zamian dać trochę niegotowanych rzeczy. Ale my nie tego chcieliśmy i zdeterminowani, by złamać ortodoksyjne tabu, nalegaliśmy prosząc ją o ofiarowanie nam przynajmniej po jednym roti, czyli kawałku przaśnego chleba, na osobę. Jednocześnie bardzo się staraliśmy przekonać ją, że jej kasta jest tak samo dobra jak każda inna. Nasze argumenty odniosły nawet pewien skutek. Chociaż biedna stara kobieta nadal protestowała, że to jest absolutnie niemożliwe, aby święci tacy jak my przyjęli gotowane pożywienie od członków kasty dhobi, to jednak było oczywiste, że jej opór słabnie i że nie jest pewna, jak ma postąpić w tej sprawie. Niestety przez cały czas, kiedy z nią rozmawialiśmy, kaleki mnich wyrzucał z siebie stek gróźb i obelg. Ostrzegał ją, że jeśli ośmieli się zanieczyścić świętych mężów, podając im gotowane jedzenie swymi nieczystymi rękami praczki, on dopilnuje, żeby dostała porządne lanie, jak tylko goście sobie pójdą. Te ostre słowa przechyliły szalę wagi. Ocierając łzę w oku stara kobieta podniosła się i w milczeniu odeszła. Najwyraźniej nie miał znaczenia fakt, że samym świętym mężom zupełnie nie przeszkadzało, iż ulegną zanieczyszczeniu. Ale nie straciliśmy z oczu naszej prześladowanej przyjaciółki na zawsze. Jakiś czas później pojawiła się ponownie przynosząc ze sobą trochę słodyczy dla Satajapriji i dla mnie oraz garść gandzi dla kalekiego mnicha i jego towarzyszy. Bynajmniej nie udobruchany jej oddaniem ten filar ortodoksji nadal szydził i drwił z niej w najbardziej bezlitosny sposób, ale mimo to palił gandzię, którą mu przyniosła.

Szóstego dnia podróży pożegnaliśmy tory kolejowe i zaczęliśmy iść w kierunku bardziej na wschód. Po kilku kilometrach doszliśmy do wielkiej rzeki Saraja, lub Sarabhu. Jedynym środkiem przeprawienia się na drugi brzeg była łódka, na którą musieliśmy czekać godzinę. Jak się okazało, prom należał do Mahanta, czyli opata miejscowego Matha, ośrodka monastycznego ortodoksyjnego hinduizmu. Tak więc zanim łódź odpłynęła, przyszedł uczeń Mahanta, gruby mnich ubrany na biało jak świecka osoba, żeby zebrać opłaty od pasażerów, nie oszczędzając przy tym nawet tych najbiedniejszych, którzy płacili z wielkim jęczeniem i narzekaniem. Ponieważ byliśmy ascetami, gruby mnich uprzejmie zwolnił nas z uiszczenia opłaty, ale jak tylko dowiedział się, że jesteśmy buddystami, nie mógł powstrzymać się od wyrażenia swoich poglądów o wrodzonej wyższości braminów, a zwłaszcza bramińskich mnichów i świętych, do której to kategorii, sądząc po świętej nici wiszącej na jego szyi, sam należał. Naturalnie nie omieszkaliśmy wygłosić naszych poglądów na temat kast – poglądów z którymi, jak nam się zdawało, gorąco się zgadzali wszyscy ci współpasażerowie, którzy nie byli braminami lub kszatrijami. Prom był już przepełniony, więc wymusiwszy ostatniego anna od ostatniego opierającego się pasażera, uczeń Mahanta poczłapał jak kaczka z powrotem do Math, a przewoźnik zaczął długimi pchnięciami kija odpychać ciężki i mało zwrotny prom od brzegu.

Ostatnie etapy naszej podróży były najgorsze i gdyby nie nadzieja, że każdy krok przybliża nas do celu naszych pragnień, chyba byłoby nam trudno kontynuować wędrówkę. Ciągle był wczesny maj i wydawało się że ukrop, który w ognistym crescendo osiągnął swój straszliwy szczyt, będzie

trwał w nieskończoność. Nie spadła nawet kropla deszczu. Dzień po dniu gorący, suchy i pełen kurzu wiatr znad pustyni wiał coraz mocniej i piekł bardziej niż kiedykolwiek hulając nad twardą, spaloną słońcem ziemią, która o tej porze była już poprzecinana siatką niezliczonych szczelin i bruzd, czasem szerokich nawet na kilkanaście centymetrów. Podróżując w mniej gorących porach dnia i korzystając z każdego skrawka cienia, obaj z Satjapriją ponurzy i zmęczeni wlekliśmy się z trudem od świątyni do świątyni i od aszramu do aszramu, kilometr za kilometrem. W niektórych świątyniach i aszramach, gdzie przystawaliśmy, witano nas bardzo serdecznie, w innych raczej powściągliwie. Pod koniec podróży coraz częściej robiliśmy przerwy. W jednym z miejsc kąpaliśmy się w stawie pełnym lotosów. W innym, gdzie natknęliśmy się na wyjątkowo zadbany aszram, stojący w zacisznym mangowym gaju, przyjazny Nanak Panthi, czyli wyznawca Guru Nanaka, nie tylko nas przenocował, ale potraktował z wyjątkową życzliwością.

Ostatniego dnia rano mieliśmy mniej szczęścia. W istocie była to najmniej udana część całej naszej podróży. Mieliśmy zamiar zatrzymać się na godzinę lub dwie w buddyjskim domu gościnnym, który zbudowano – jak nas poinformował Nanak Panthi – niecałe dziesięć kilometrów od miejsca naszego przeznaczenia. Ale kiedy tam dotarliśmy, okazało się, że dom gościnny przerobiono na szkołę, a jej dyrektor przyjął nas bardzo nieprzyjaźnie. Nie mieliśmy wyboru i musieliśmy od razu ruszać dalej. Wkrótce dodał nam otuchy widok kopuły Stupy Maha Parinirwany majestatycznie wyłaniającej się w oddali zza kępy drzew. Zeszliśmy z drogi i poszliśmy w jej kierunku na skróty przez pola. Przypomniało mi się, z jaką radością, zaledwie dziesięć, czy dwanaście dni wcześniej, patrzyliśmy na szczyt Wihary Mulagandhakuti widocznej nad czubkami drzew w Sarnath. Czy w Kushinagarze czekało nas podobne rozczarowanie? Czy też było nam jednak przeznaczone otrzymać tutaj ordynację, której tak bardzo pragnęły nasze serca?

Rozdział 45

W świątyni Leżącego Buddy

Miejsce, do którego przybyliśmy z tak wielkimi nadziejami, i gdzie spędziliśmy następne dwa tygodnie, było jednym z najsłynniejszych i najbardziej starożytnych sanktuariów w Indiach. Razem z Lumbini, Bodh Gają i Sarnath należało w rzeczywistości do jednego z czterech głównych miejsc buddyjskich pielgrzymek, do których gorliwi wyznawcy Oświeconego przybywali z całego buddyjskiego świata, aby tam oddawać cześć, medytować i składać ofiary. Podobnie jak Sarnath, zostało splądrowane w czasach podboju muzułmańskiego, jak Sarnath leżało porzucone i opuszczone przez ponad 600 lat, i jak w Sarnath znów zaczęli w nim mieszkać ludzie po odgrzebaniu go łopatą brytyjskiego archeologa na przełomie XIX i XX wieku. Również, podobnie jak w Sarnath, oprócz dwóch stup składało się głównie z klasztoru, świątyni, domu gościnnego, szkoły i stanowiska archeologicznego. Jednak w przeciwieństwie do Sarnath leżało na uboczu i dlatego, mimo swego znaczenia, było mniejsze, trochę brzydsze i miało o wiele bardziej wiejski charakter. W gruncie rzeczy, ze ścieżkami pełnymi chwastów i kamiennymi ruinami, wśród których wszędzie rosły krzaki, sprawiało wrażenie, jakby tylko częściowo wyłoniło się z otaczającej je dżungli. Swoją atmosferą Kushinagar też różnił się od Sarnath. Chociaż w obu miejscach panował wyjątkowy spokój, w Sarnath ten spokój miał w sobie element radości, jakby z powodu przekazania ludzkości dobrej nowiny; podczas gdy tutaj był zabarwiony powagą, a nawet smutkiem, jakby z powodu poniesienia olbrzymiej straty. Kushinagar to przecież miejsce Wielkiego Odejścia i choć od tamtego dnia minęło prawie dwa i pół tysiąca lat, wibracje wzniosłego smutku spowodowanego tym wydarzeniem nadal zdawały się unosić w powietrzu.

Jak można się było spodziewać, stałych mieszkańców mnisiej społeczności w Kushinagarze było nawet mniej niż w Sarnath. W istocie składała się ona tylko z samego U Czandramaniego oraz indyjskiego mnicha, jego ucznia. Jednak oprócz nich mieszkało tam pięć lub sześć ubranych na żółto kobiet z ogolonymi głowami, które były anagarikami. Chociaż wiernie przestrzegały dziesięciu wskazań, te pobożne kobiety nie były formalnie mniszkami i tak naprawdę nigdy nie mogły zostać mniszkami, ponieważ według therawady, formy buddyzmu dominującej w południowo-wschodniej Azji, tradycja ordynowania kobiet wygasła wiele wieków temu i nie mogła być wskrzeszona. Oprócz swoich osobistych obowiązków religijnych, anagariki gotowały mnichom, zamiatały i wykonywały całą resztę służebnych obowiązków. Najstarszą z nich, wiekiem i rangą, była wątła, nieduża starsza kobieta w wieku około 65 lat, znana jako Matka Wipassana, i to do niej adresowany był jeden z naszych listów polecających. Z urodzenia nepalska braminka, od wielu lat wdowa, zainteresowała się buddyzmem dzięki kontaktowi z U Czandramanim i od kilku lat mieszkała na emeryturze w Kuszinagarze. Poza sprawowaniem macierzyńskiej opieki nad pozostałymi anagarikami, które wszystkie były od niej znacznie młodsze, poświęcała czas na studiowanie tekstów palijskich i na medytację. Uśmiech, który rozświetlał jej postarzałe rysy, nie był może aż tak promienny, ale miał tę samą osobliwą słodycz, która jaśniała na twarzy Matki Lakszmi w krainie sandałowych drzew. Od pierwszej chwili bardzo polubiła Satjapriję i mnie i ciągle coś dla nas robiła. Jak tylko przeczytała list z rekomendacją, zaczęła szykować nam posiłek, kazała zamieść pokój w domu gościnnym, pokazała, gdzie możemy wziąć kąpiel i co najważniejsze zorganizowała spotkanie z U Czandramanim.

Nasza rozmowa odbyła się następnego dnia rano w Chapter House, w ciemnym pokoju na parterze, praktycznie bez mebli, który wyraźnie służył zarówno jako pokój do pracy, jak i odpoczynku. U Czandramani usiadł ze skrzyżowanymi nogami na starym wyplatanym trzciną krześle, które było jedynym krzesłem w pokoju, a my z Satjapriją, po wykonaniu trzech tradycyjnych pokłonów na powitanie, usiedliśmy przed nim na klęczkach na kawałku zniszczonego, postrzępionego dywanu, który wyciągnęła dla nas jedna z anagarik. Jak zwykle Satjaprija mówił w swoim i moim imieniu, dlatego, kiedy oczy przyzwyczaiły mi się do mroku, mogłem nie tylko spokojnie rozejrzeć się po otoczeniu, ale też przypatrzeć się uważnie osobie, do której nas skierowano, i w której pokładaliśmy teraz wszystkie nasze nadzieje. Owinięty w

ciemnopomarańczową szatę birmańskiej Sanghi, z odkrytym nagim prawym ramieniem, U Czandramani był imponującą postacią. Chociaż miał dobrze ponad siedemdziesiąt lat i wyglądał na swój wiek, jego ciało było krzepkie i silne, a głęboko pobrużdżona twarz o mongolskich rysach, z obwisłą szyją pod brodą i niezwykle długimi płatkami uszu, wyrażała siłę i determinację charakteru. Kiedy tak siedział, słuchając z wielką powagą bardzo drobiazgowej relacji Satjapriji z naszej wspólnej historii od czasu spotkania w Singapurze aż do rozczarowania w Sarnath, wyglądał zupełnie jak posąg Lohana, tradycyjnego chińskiego wyobrażenia Arahanta. Siedział równie nieruchomo jak posąg i tylko kiedy mój przyjaciel przypadkiem trochę bardziej koncentrował się na mojej historii, spoglądał w moim kierunku. Widziałem wtedy, że jego twarz, która z początku wydawała się sroga, w rzeczywistości miała bardzo życzliwy, a nawet ojcowski wyraz.

„A więc chcecie być ordynowani, tak?" zaśmiał się, kiedy Satjaprija wreszcie skończył, bynajmniej nie okazując najmniejszego niezadowolenia z powodu tego pomysłu. „No cóż, no cóż, zobaczymy." Po czym przez następną godzinę zostaliśmy poddani przesłuchaniu, które chociaż uprzejme, było nadzwyczaj gruntowne i dociekliwe. W szczególności U Czandramani chciał wiedzieć, czy przeszliśmy prawidłową inicjację do buddyzmu przyjmując Trzy Schronienia i Pięć Wskazań od mnicha w tradycyjny obrzędowy sposób, gdyż jeśli nie miało to miejsca i nadal byliśmy upasaka, czyli świeckimi braćmi, w zasadzie niemożliwa byłaby nasza ordynacja na szramanerów, mnichów nowicjuszy, która jest kolejnym, wyższym stopniem inicjacji. Na szczęście żaden z nas nie miał trudności w udzieleniu satysfakcjonującej odpowiedzi w tej kwestii. Ja przyjąłem Schronienie i Wskazania pięć lat wcześniej od uczonego mnicha U Thittili, który pracował wtedy jako noszowy w Londynie. Satjaprija, mniej szczęśliwie, przyjął je dwa lata temu w Kalkucie od Jego Świątobliwości. Kiedy U Czandramani dowiedział się o mojej znajomości z U Thittilą, Birmańczykiem jak on sam, okazał zarówno zdziwienie, jak i zadowolenie, a nawet wydawało się, że uważa to za dobry omen. Reszta pytań dotyczyła spraw o charakterze bardziej ogólnym. Ile Wskazań przestrzegaliśmy? Jakie było nasze rozumienie Doktryny? Jakie rodzaje medytacji praktykowaliśmy i jakie mieliśmy osiągnięcia? Wreszcie rozmowa dobiegła końca. Nawet jeśli nie zdaliśmy śpiewająco, to przynajmniej nie poszło nam źle i sądząc z aprobującego potakiwania, które od czasu do czasu widzieliśmy, U Czandramani był zadowolony z naszych odpowiedzi. Powiedział nam, że zastanowi się nad naszą prośbą i za kilka dni da nam znać, czy będzie mógł wziąć na siebie odpowiedzialność za ordynowanie nas, czy nie. W międzyczasie mamy się rozgościć w swoim pokoju, anagariki zadbają o nasze posiłki, a my możemy bez pośpiechu zwiedzać święte miejsce. Jest tu wiele rzeczy wartych obejrzenia. Dobrodusznym machnięciem ręki dał sygnał, że możemy odejść. Ledwo mogąc uwierzyć, że nasza prośba nie została z miejsca odrzucona, pokłoniliśmy się trzy razy i wycofaliśmy z pokoju.

Przez kilka następnych dni stosując się do rady U Czandramaniego zwiedzaliśmy Kushinagar. Naturalnie pierwsza była Maha Parinirwana Stupa, która jak mówi tradycja, stoi w miejscu, gdzie Budda kończąc swoją ostatnią podróż położył się na kamiennej ławie w gaju damarzykowym należącym do rodu Mallów i pozwolił, aby jego Oświecona świadomość oddzieliła się od fizycznego ciała. Chociaż mniejsza od Stupy Damekh w Sarnath, była w znacznie lepszym stanie, gdyż została praktycznie odbudowana przez U Czandramaniego z pomocą funduszy zebranych przez birmańskich buddystów. Na zakończenie prac cała kopuła została pozłocona, ale ponieważ stało się to wiele lat wcześniej, jeszcze przed wojną, jedyne co pozostało teraz z tego dowodu oddania, to kilka fragmentów ze złotymi listkami błyszczącymi w porannym słońcu. Niedaleko Stupy znajdowała się Świątynia Leżącego Buddy. Miejsce to nie rościło sobie absolutnie żadnych pretensji architektonicznych. W gruncie rzeczy była to po prostu długa i wąska ceglana szopa o pobielanych ścianach, z dachem w kształcie beczki, postawiona dla ochrony świętego wizerunku, który razem ze znajdującą się obok Stupą, był w czasach rozkwitu Kushinagaru głównym obiektem kultu w tym świętym miejscu. Wizerunek, pochodzący z okresu Gupty, miał około dziewięciu metrów długości i przedstawiał Buddę w chwili Wielkiego Odejścia. Z jedną stopą położoną na drugiej i z głową leżącą na prawej dłoni, sztywny i poważny spoczywał tam w swej pozłacanej szacie, a jego ogromna twarz w godzinie śmierci fizycznej pozostawała równie spokojna i majestatyczna jak przez całe życie.

Chociaż świątynia była tak mała, że ledwo starczało miejsca, aby obejść posąg dokoła, to jak dla mnie rozmiary budynku były w sam raz. Kiedy klęczeliśmy tam w mroku i tylko dwie lub trzy zapalone świeczki migotały między nami i łagodnymi rysami olbrzymiej twarzy, cisza była tak głęboka i tak nieopisanie namaszczona, ze wydawało się, jakbyśmy naprawdę siedzieli przy łożu śmierci Mistrza. Po kilku dniach Stupa i Świątynia stały się bliźniaczymi ośrodkami naszego duchowego istnienia. Co wieczór o zachodzie słońca siadaliśmy przed Stupą, aby medytować, wstając dopiero wtedy, kiedy stała się czarnym kształtem na tle rozgwieżdżonego nieba. Każdego ranka na długo przed świtem, po wyśpiewaniu pochwalnej recytacji do nigdy nie śpiącego ucha, siadaliśmy do medytacji obok kamiennej ławy Leżącego Buddy. Przez resztę dnia studiowaliśmy, rozmawialiśmy z Matką Wipassaną i oczywiście dalej zwiedzaliśmy.

Oprócz Stupy Maha Parinirwany, Świątyni i odkopanych ruin tworzących stanowisko archeologiczne, najbardziej interesującym reliktem chwalebnej przeszłości Kushinagaru był Angar Czaitja, kopiec znajdujący się w miejscu, gdzie ziemskie szczątki Buddy zostały poddane kremacji. Chociaż była to interesująca okolica, nie obeszliśmy kopca nawet w połowie, gdy natknęliśmy się na coś jeszcze bardziej interesującego. Obok Czaitji rosło ogromne drzewo figowca i wysoko na drzewie na wpół ukryty w gęstym listowiu siedział dziwny człowiek w żółtej przepasce lędźwiowej. Jak tylko nas zauważył, wydał z siebie głośny okrzyk radości, najwyraźniej na powitanie, i ze zdumiewającą zwinnością, chichocząc i bełkocząc coś niezrozumiale zsunął się w dół po drzewie, aż stanął balansując na gałęzi zaledwie metr nad naszymi głowami. Zobaczyliśmy wtedy, że był to Chińczyk, a jego ręce, ramiona i klatka piersiowa, całe nagie, pokryte były mnóstwem ran po oparzeniach. Choć wydawało się, ze zna trochę język hindi, to miał tak ciężką wymowę, że niemożliwe było wyłapanie z tego bełkotu więcej niż kilku słów. Jednak w odpowiedzi na jego gestykulację spojrzeliśmy w górę, gdzie w końcu dostrzegliśmy między gałęziami rodzaj prymitywnej platformy niezgrabnie zmontowanej z pół tuzina desek i przypominającej gniazdo jakiegoś olbrzymiego ptaka. Tam właśnie mieszkał ten dziwny człowiek. Jak się później dowiedzieliśmy, żył na tym drzewie od szeregu lat i chociaż swobodnie poruszał się między gałęziami, to nigdy nie postawił nogi na ziemi. Okresowo przykładał sobie zapalone świeczki do różnych części ciała i przypalał je aż do mięśni. Była to oczywiście rozszerzona praktyka buddyjska z Dalekiego Wschodu polegająca na spalaniu woskowych stożków na głowie przyszłego mnicha w czasie ordynacji – miała być znakiem, że kandydat będzie chętnie cierpiał w imię Najwyższego Oświecenia. Nie była to bezprecedensowa praktyka w tradycyjnym chińskim buddyzmie i faktycznie została usankcjonowana w *Sutrze Białego Lotosu*. Cokolwiek sobie myśleli o tych dziwacznych metodach odwiedzający to miejsce buddyści, to miejscowi Hindusi żywili dla niego ogromny podziw i Czinia Baba, jak go nazywali, cieszył się wśród nich wielkim szacunkiem. Niektórzy wieśniacy nawet przynosili mu świeczki, aby je na sobie spalał, wierząc, że wszelkie ich modlitwy odmawiane w czasie, kiedy to robił, będą z pewnością wysłuchane.

Nie tak ekscentryczną postacią jak Czinia Baba, ale o większym znaczeniu dla historii współczesnego Kushinagaru był człowiek, którego już nie można było spotkać osobiście – Mahawir Swami, którego naturalnej wielkości fotografia, spłowiała i odbarwiona przez wilgoć, wisiała w przeżartej kornikami ramie na frontowej werandzie budynku, który kiedyś był główną Wiharą. Weteran hinduskiego buntu z 1857 roku osiedlił się w Kushinagarze pod koniec XIX wieku po tym, jak ordynowano go na Cejlonie. W tym czasie Kushinagar leżał całkowicie zrujnowany. Miejsce było tak wyludnione, że powszechnie wierzono, iż jest nawiedzane przez duchy i nikt nie śmiał podejść do niego bliżej. Niezrażony tym Mahawir Swami zbudował chatę z bambusa, a potem w 1902 roku założył pierwszy buddyjski klasztor we współczesnych Indiach. Niestety w czasie, kiedy byliśmy tam z Satjapriją, budynek był już mocno zniszczony i portret Mahawira Swamiego spoglądał w dół na popękane cementowe podłogi i kruszące się cegły, które szybko pokrywały się zieloną pleśnią. U Czandramani przyjechał i dołączył do Mahawira Swamiego w roku 1901, na rok przed zbudowaniem Wihary i nie tylko mieszkał tam nieprzerwanie od tego czasu, ale też kontynuował dzieło swego poprzednika, odbudowując zrujnowane świątynie Kushinagaru i ponownie czyniąc to miejsce żywym ośrodkiem buddyzmu. Pół wieku służby Dharmie! Pół wieku zdeterminowanego poświęcenia! Kiedy skończyliśmy eksplorowanie Kushinagaru i zobaczyliśmy

wszystko, co ten stary człowiek osiągnął, pomyśleliśmy sobie, że nawet gdybyśmy odwiedzili wszystkie ośrodki buddyjskie w Indiach, to chyba nigdzie nie znaleźlibyśmy osoby bardziej odpowiedniej do poproszenia o ordynację.

Jednak poprosić to jedna rzecz, a otrzymać całkiem inna. Minęło już kilka dni od czasu naszej pierwszej rozmowy i zbliżał się dzień Wajszakha Purnima, potrójnie święta rocznica Najwyższego Oświecenia Buddy. Ponadto z uwag rzucanych przez Matkę Wipassanę zrozumieliśmy, że przynajmniej jedna osoba w Kushinagarze nie jest zadowolona z pomysłu, żebyśmy otrzymali ordynację od U Czandramaniego. Wyglądało na to, że indyjski mnich sprzeciwia się temu na takiej podstawie, że gdybyśmy byli ordynowani tutaj, nabylibyśmy prawo do udziału we własności Wihary po śmierci Mata Thery! Ale niepotrzebnie się martwiliśmy. Kiedy księżyc, który wschodził co noc nad ciemną kopułą Stupy Maha Parinirwany, zbliżał się do pełni, U Czandramani wezwał nas do swego pokoju i ze zwykłą dla siebie uprzejmością powiedział, że gotów jest zgodzić się na naszą prośbę. Zostaniemy ordynowani zaraz po śniadaniu w dniu Wajszakha Purnima. Musimy jednak jasno zrozumieć, że ordynując nas na szramanerów, nie bierze na siebie żadnej odpowiedzialności za nasz przyszły trening, ani też nie będzie możliwe, żebyśmy z nim zostali w Kushinagarze. Jak sami widzieliśmy, środki, jakimi dysponuje Wihara, są bardzo ograniczone i on nie jest w stanie utrzymywać jeszcze dwóch uczniów. Ale jeśli ordynacja jest jedyną rzeczą, której chcemy – powiedział ciepło i szczerze – ordynuje nas z największą przyjemnością i jeszcze dostaniemy do kompletu jego błogosławieństwo.

Jako eks-bramin Satjaprija początkowo był zszokowany pomysłem, że będziemy ordynowani po śniadaniu, a nie przed, nadal w trakcie postu. Jednak zdecydowanie miało się to stać po śniadaniu. Buddyzm nie przywiązuje absolutnie żadnej wagi do rytualnej czystości i nieczystości – jak nam przypomniano – i pusty żołądek wcale nie jest bardziej święty od pełnego. Dlatego o dziewiątej rano, w czwartek 12 maja 1949 roku, po zjedzeniu śniadania w starej Wiharze otrzymaliśmy długo oczekiwane wezwanie do Chapter House. Tutaj U Czandramani wręczył nam nowe szaty związane w tobołek i powiedział, żebyśmy poszli wziąć kąpiel i potem założyli je na siebie. Głowy mieliśmy już ogolone poprzedniego dnia. Szaty, które teraz zastąpiły nasz nieformalny szafranowy strój, jaki nosiliśmy przez ostatnie dwa lata, miały przepisowy rozmiar, fason i kolor. Razem z resztą dozwolonych przedmiotów – pasem, sitkiem do wody, igłą i brzytwą – zostały nam wręczone przez Matkę Wipassanę i pozostałe anagariki, które poprzedniego dnia siedziały do późna w nocy pracując nad skomplikowanymi szwami, aby wszystko było gotowe na czas przed dzisiejszą ceremonią. U Czandramani osobiście wręczył nam żebracze miseczki. Po powrocie do Chapter House, kiedy byliśmy już prawidłowo ‘wyposażeni w szaty i miski’, jak mówią teksty, musieliśmy przykucnąć na piętach, z łokciami opartymi na kolanach i dłońmi złączonymi przy czołach. Była to niezwykle trudna i niewygodna pozycja, więc po kilku minutach poczułem rozdzierający ból w różnych częściach ciała. Później uświadomiłem sobie, że pozycja, do której nas zmuszono, jest tą jaką przyjmuje dziecko w łonie matki, ponieważ ordynacja reprezentuje proces ponownych duchowych narodzin, a przecież „narodzinom dziecka lub gwiazdy towarzyszy ból”.

Już sama konieczność pozostania w tej pozycji przez cały czas ceremonii była ciężką próbą, ale dla mnie przynajmniej trudności ordynacji wcale się na tym nie kończyły. Trzy Schronienia – Schronienie w Buddzie, Dharmie i Sandze – nie tylko musiały być powtórzone trzy razy każde, ale w dodatku musieliśmy je wypowiedzieć zarówno w języku palijskim jak i w sanskrycie. Chodziło o upewnienie się, że mnich nowicjusz potrafi odróżnić te dwa rodzaje wymowy, ponieważ we wczesnym okresie buddyzmu, kiedy nauki Buddy były przechowywane i przekazywane wyłącznie ustnie, najmniejsza niedbałość w kwestii fonetyki mogła z biegiem czasu spowodować poważne zniekształcenie treści nauk i w końcu doprowadzić do zatracenia ich ducha. Chociaż próbowałem z całych sił, to jednak mój urodzony w Anglii język nie był w stanie powtórzyć nieuchwytnych hinduskich dźwięków. U Czandramani ze swej strony był bardzo zdeterminowany, żeby skrupulatnie przestrzegać wszystkich wymagań tradycji, więc raz po raz intonował święte formuły, cierpliwie trenując mnie w produkowaniu spółgłosek przydechowych, unosowionych końcówek i palatalnych syczących. Po wielkich wysiłkach z mojej strony i wielkiej dawce cierpliwości z jego

strony w końcu udało mi się powtórzyć formuły Schronienia i w palijskim, i w sanskrycie w sposób, który go całkowicie zadowolił. Mogliśmy wtedy przejść do następnej części ceremonii, czyli przyjęcia Dziesięciu Wskazań szramanera. Tym razem recytacja odbywała się tylko w języku palijskim i mniej uwagi zwracano na wymowę. Obaj z Satjapriją ślubowaliśmy powstrzymywać się od robienia krzywdy żyjącym istotom, od brania tego, co nie było nam dane, od nieskromności, fałszywej mowy, przyjmowania środków odurzających, jak również od posiłków o niewłaściwych porach, od śpiewu, tańców, muzyki instrumentalnej i nieobyczajnych widowisk, od girland, perfum, smarowideł i innych doczesnych ozdób, od dużych i wysokich łóżek oraz od używania złota i srebra. Wszystkich tych wskazań już i tak przestrzegaliśmy, ale dobroduszny, prosty i sympatyczny sposób, w jaki U Chandramani wyjaśnił każdy z nich, nadał im nowe znaczenie i poczuliśmy, że prędzej umrzemy niż dopuścimy się nawet najmniejszego ich naruszenia. Bardziej formalna część całej ceremonii skończyła się, kiedy Maha Thera uroczyście zaprzysiągł nas ostatnimi słowami, jakie Budda skierował do swoich uczniów, gdy leżał na łożu śmierci w gaju damarzykowym zaledwie o kilkaset metrów stąd: „Praktykujcie wytrwale z uważnością!".

Teraz byliśmy pełnoprawnymi szramanerami! Pragnienie naszych serc spełniło się! Urodziliśmy się na nowo w wymiarze duchowym! Ceremonia ordynacji dobiegła końca! A jednak jeszcze nie całkiem się skończyła. Ponieważ narodziliśmy się na nowo, musieliśmy dostać nowe imiona. Kiedy rozprostowaliśmy swoje zdrętwiałe kończyny, U Czandramani zapytał nas, w jakim dniu tygodnia się urodziliśmy. Żaden z nas nie wiedział. No cóż, no cóż – zamruczał stary człowiek lekko zdziwiony naszą ignorancją, ale najwyraźniej nie zamierzał być zbyt surowy w drugorzędnej kwestii – będzie musiał sobie jakoś poradzić bez tej informacji. W Birmie każdy dzień tygodnia wiąże się z określonymi literami w alfabecie i imię mnicha musi zaczynać się od jednej z liter należącej do tego dnia tygodnia, w którym się urodził. Ponieważ w naszym przypadku jest niemożliwe, aby zastosował się do tej procedury, musi wybrać nam imiona na chybił trafił, zgodnie z tym, co mu najbardziej pasuje. Satjaprija będzie teraz znany jako Buddharakszita, a Dharmaprija jako Dharmarakszita. Byliśmy z tych imion bardzo zadowoleni, gdyż oddawały nas pod opiekę pierwszego i drugiego Schronienia. Jednak czy to z powodu kiepskiej pamięci w starszym wieku, czy z jakiegoś innego, U Czandramani przeoczył fakt, że miał już ucznia o imieniu Dharmarakszita. Tym uczniem był ten sam indyjski mnich, którego spotkaliśmy w Sarnath, który dał nam listy polecające i teraz nawet był w Kushinagarze, gdzie przyjechał krótko przed naszą ordynacją. Usłyszawszy, że dostałem to samo imię, co on, natychmiast popędził do Chapter House. Jeśli będzie dwóch Dharmarakszitów – zaprotestował – będzie wieczne zamieszanie. Ludzie nie będą wiedzieli który z nas jest który. Moje listy będą dostarczane do niego, a co gorsza, jego listy będą dostarczane do mnie. Żaden z nas nigdy nie będzie wiedział, na czym stoi. „No już dobrze – powiedział nasz preceptor, zbywając całą tę wrzawę i kłopot z imionami gestem dobrodusznej niecierpliwości – Niech *on* nazywa się Sangharakszita!".

W ten bezceremonialny sposób zostałem oddany pod szczególną opiekę Sanghi, czyli duchowej społeczności, a nie Dharmy, czyli nauk. Ale zanim jeszcze kwestia imion została ostatecznie rozwiązana, Matka Wipassana i pozostałe anagariki tłumnie nas otoczyły nie tylko żeby złożyć nam gratulacje, ale też w tradycyjny sposób zasalutować naszym stopom, podobnie jak my to zrobiliśmy wcześniej wobec stóp U Czandramaniego i innych mnichów. Te symboliczne akty służyły przypomnieniu nam, że nasza ordynacja ma nie tylko wymiar osobisty, ale też znaczenie społeczne. Jako szramanerzy należeliśmy do konkretnej społeczności – społeczności duchowej, wspólnoty osób, które duchowo narodziły się na nowo. Zajmowaliśmy w niej określone miejsce i nasze relacje z innymi członkami tej wspólnoty, znajdującymi się w hierarchii wyżej lub niżej od nas, były nie tylko jasno zdefiniowane, ale też regulowane surowym protokołem. Nasz związek z Matką Wipassaną miał wyjątkowo szczególny charakter. Była dla nas najważniejszą osobą w Kushinagarze tuż za naszym preceptorem. Pod nieobecność rodzonych matek, które w buddyjskim kraju odgrywałyby w tej ceremonii bardzo ważną rolę, ustanowiła się naszą Dharma Matą, Matką w Dharmie, i oprócz zorganizowania dla nas nowych szat przygotowała, jak zwyczaj każe, ceremonialny posiłek dla U Czandramaniego i wszystkich pozostałych mnichów w Kushinagarze, łącznie oczywiście z Buddharakszitą (jak teraz muszę go nazywać) i ze mną. W rzeczywistości –

jak się później dowiedzieliśmy – kiedy indyjski mnich sprzeciwił się naszej ordynacji, bardzo stanowczo i gorąco wstawiła się za nami. Dlatego gdyby nie ona, może wcale nie bylibyśmy ordynowani.

Chociaż dla nas miało to wielkie znaczenie, to dla większości ludzi, którzy przybyli do Kushinagaru na Wajszakha Purnima, nasza ordynacja tego ranka była tylko drobnym incydentem wśród innych wydarzeń tego potrójnie świętego dnia – jeśli tak naprawdę w ogóle o niej wiedzieli. Najbardziej interesowała ich procesja, która miała miejsce po południu. Na jej czele kroczyła orkiestra dęta z błyszczącymi instrumentami, a za nią rozciągała się długa linia mnichów w pomarańczowych szatach z birmańskimi parasolami, biało ubranych świeckich z czarnymi parasolami i dzieci szkolnych z książkami i chusteczkami na głowach – wszyscy wyruszyli spod Wihary idąc na przełaj przez pola do okolicznych wiosek. Niestety zanim orkiestra przeszła pół drogi, niebo się zachmurzyło, zagrzmiał piorun, strzeliła błyskawica i deszcz lunął tak ciężkimi strumieniami, że trzeba było procesję przerwać i zrezygnować z reszty programu w tym dniu. Zaczęła się pora deszczowa!

Zamierzaliśmy z Buddharakszitą opuścić Kushinagar czwartego dnia po ordynacji. Miski żebracze, które otrzymaliśmy, zrobione były z żelaza i przed pierwszym użyciem musieliśmy je polakierować dla zabezpieczenia przed rdzą. U Czandramani osobiście pokazał nam, jak to się robi. Trzeba je było pokryć warstwą pewnego rodzaju oleju, bardzo gęstego i ciemnego, a następnie wypiekać przez kilka godzin w specjalnie skonstruowanym piecu. Cały proces należało powtórzyć osiem lub dziewięć razy. Mimo to rezultat nie był satysfakcjonujący i nasze miski zamiast mieć gładką, czarną i błyszczącą powierzchnię, jaką widzieliśmy na miskach niektórych mnichów, wyglądały jak pomalowane tanim brązowym lakierem. Jednak kiedy skończyliśmy lakierowanie i byliśmy gotowi, aby znów ruszyć w dalszą podróż, Bhikkhu Dharmarakszita poprosił nas, byśmy pozostali jeszcze przez dwa dni i dołączyli do niego i reszty uczniów, którzy chcieli uczcić siedemdziesiąte trzecie urodziny U Czandramaniego. Takiej prośbie nie mogliśmy odmówić. Chociaż spowodowało to konieczność poczynienia małych zmian w naszych planach, to ucieszyliśmy się, że mamy sposobność okazania, jak bardzo doceniamy osiągnięcia naszego preceptora. Ja na tę okoliczność podjąłem się napisania wiersza. Tym razem uroczystości w ciągu dnia nie były przerwane deszczem i procesja oraz publiczne spotkanie odbyły się zgodnie z planem. Następnego dnia o trzeciej po południu, po złożeniu uszanowania U Czandramaniemu i pozostałym mnichom oraz pożegnaniu się z anagarikami, Buddharakszita i ja opuściliśmy Kushinagar. U Czandramani poprosił nas, abyśmy poszli i nauczali Dharmy wśród jego uczniów w Butwalu i Tansenie w południowym Nepalu. Zarówno on, jak i Matka Wipassana, zaopatrzyli nas w listy polecające. Po drodze mogliśmy odwiedzić Lumbini, miejsce gdzie urodził się Budda, znajdujące się tuż za granicą indyjsko-nepalską. Z Tansenu mieliśmy nadzieję dotrzeć do Pokhary w środkowym Nepalu, a stamtąd ewentualnie do Muktinath, świętej góry będącej celem pielgrzymek zarówno dla buddystów jak i wyznawców hinduizmu. Może nawet byłoby możliwe wejście w głąb Tybetu. Wyposażeni w szaty i miski, jak ptaki w skrzydła, mogliśmy teraz bez przeszkód podążać gdziekolwiek zechcemy.

Rozdział 46

„Tu narodził się Błogosławiony”

Pierwsze co zrobiliśmy po opuszczeniu Kushinagaru, to zabłądziliśmy. W gruncie rzeczy, chociaż droga nie była daleka, nasza podróż w tym dniu była pod wieloma względami trudna. Ponieważ chwilowo postanowiliśmy kierować się na zachód, słońce cały czas świeciło nam w oczy. Ponadto nie było porządnej ścieżki i wydawało nam się, że ludzie w wioskach, przez które przechodziliśmy, jakoś zawsze błędnie nas kierowali. Jeden człowiek nawet wprost odmówił pokazania nam drogi. Kiedy stanęliśmy, aby dowiedzieć się, którędy mamy iść, spojrzał na nas z niemiłą podejrzliwością i niezbyt grzecznie zapytał, kim i czym jesteśmy. Jesteśmy buddyjskimi mnichami – odparliśmy – w drodze z Kushinagaru do Lumbini. „Aha! – wykrzyknął odwracając się od nas z wrogim i szyderczym uśmiechem – Jesteście ludźmi, którzy rozczłonkowali Dharmę, podobnie jak muzułmanie podzielili Indie na Hindustan i Pakistan!” Oczywiście był braminem. W końcu, po przejściu około dwudziestu kilometrów dotarliśmy do wioski Raggergandż – na jej skraju stała pustelnia jakiegoś ascety. Miejsce co prawda bardziej przypominało klub gandzi, ale sam asceta był całkiem przyjazny i nie tylko zaofiarował nam wodę z cukrem, ale pozwolił też spać pod drzewem na dziedzińcu. W środku nocy rozszalała się burza i zmusiła nas do schronienia się na werandzie pustelni. Nie była to dla nas spokojna noc.

Naszą główną troską następnego dnia rano było znalezienie miejsca, gdzie moglibyśmy prosić o jałmużnę, aby po raz pierwszy użyć swoich żebraczych misek zgodnie z ich przeznaczeniem. Teraz, kiedy byliśmy szramanerami, postanowiliśmy zrobić to dokładnie tak, jak nakazuje tradycja. Będziemy żebrać od drzwi do drzwi, nie opuszczając ani jednego domu, dopóki nie uzbieramy wystarczającej ilości gotowanego jedzenia na nasz jeden posiłek dziennie. Nie będziemy przyjmować od ludzi zaproszeń na posiłek w domu ani nawet nie usiądziemy wewnątrz, żeby zjeść użebrane jedzenie. Po marszu trwającym od 5:30 do 10:30 mając jedynie trochę czatui na wzmocnienie, czuliśmy się porządnie głodni. Ale w pierwszym miasteczku, do którego dotarliśmy, panowała tak niegościnnie komercyjna atmosfera, że opuściła nas odwaga i mimo zmęczenia stwierdziliśmy, że nie będziemy się tam zatrzymywać. Na szczęście około półtora kilometra dalej była następna wioska. Zanim weszliśmy do niej – nazywała się Barspar – stanęliśmy przy studni i poprosiliśmy kobietę, która nabierała tam wodę, aby nalała nam trochę do naszych miedzianych naczyń zwanych lota. Grzecznie odmówiła, wyjaśniając, że należy do kasty czamar, czyli kaletników, i dla takich świętych mężów z wyższej kasty jak my kontakt z czymkolwiek, czego ona dotknęła, oznaczałby zanieczyszczenie. Obaj z Buddharakszitą ledwo wierzyliśmy własnym uszom. Kobieta przy studni mówiła dokładnie to samo, co kobieta z kasty matangi powiedziała Anandzie, kuzynowi i towarzyszowi Buddy, 2500 lat temu dokładnie w takich samych okolicznościach. Historia się powtarzała. Dając dokładnie tę samą odpowiedź, jaką dał Ananda, powiedzieliśmy kobiecie, że chcemy tylko wodę, a nie kastę. Wtedy chętnie napełniła nasze ‘loty’. Wyglądało na to, że Indie niewiele zmieniły się od czasów Buddy.

Zaspokoiwszy pragnienie, skierowaliśmy nasze kroki do jej chaty, która znajdowała się w pobliżu, na samym skraju wsi, i stanęliśmy w milczeniu przed drzwiami trzymając w dłoniach swoje miski. Po paru minutach wyszedł jakiś mężczyzna, popatrzył na nas dość mocno zakłopotany i zapytał, czego chcemy. Żebrząc pod drzwiami ortodoksyjnych buddystów, mnisi oczywiście nigdy się nie odzywają, ale tutaj nie mieliśmy wyboru, więc powiedzieliśmy mu, że przyszliśmy po jałmużnę. Słysząc to, wszedł do środka i szybko wrócił z małą ilością paddy, czyli niezmielonego ryżu. Odmówiliśmy, wyjaśniając, że możemy przyjąć tylko pożywienie gotowane. Chwilę później ofiarował nam pieniądze, ale też ich nie przyjęliśmy. Albo w chacie nie było żadnego gotowanego jedzenia, albo, co bardziej prawdopodobne, bał się je ofiarować z powodu swojej kasty. Nie chcąc przyprawiać go o jeszcze większe zakłopotanie, w milczeniu odeszliśmy.

Po wejściu do wioski stanęliśmy przed drzwiami domu należącego prawdopodobnie albo do bramina, albo do kszatrija. Na jego werandzie siedziała grupka osób, które przez jakiś czas gapiły się na nas z nieukrywanym zdumieniem i w końcu zapytały, czego chcemy, na co ponownie

odpowiedzieliśmy, że przyszliśmy po jałmużnę. Tak samo jak człowiek w chacie, najpierw chcieli nam dać trochę paddy, ale słysząc, że przyjmiemy tylko coś gotowanego, w końcu włożyli nam do misek po garści dmuchanego ryżu, który jako poddany procesowi prażenia, z technicznego punktu widzenia nie był w oczach ortodoksyjnego Hindusa pożywieniem gotowanym w takim sensie jak ryż ugotowany w wodzie. Ze zgiełku komentarzy, jaki podniósł się na werandzie, było oczywiste, że oprócz zdziwienia, jakie wzbudził w nich nieznany im krój i kolor naszych szat oraz fakt, że staliśmy dzierżąc swoje miski w milczeniu zamiast krzyczeć do nich „Dajcie nam jałmużnę!" jak zawsze robili hinduscy asceci i święci mężowie, wieśniaków jeszcze bardziej zaskoczyło nasze naleganie na przyjęcie potrawy gotowanej. Zgodnie z ich doświadczeniem święci mężowie zawsze surowo przestrzegali reguł systemu kastowego i unikali ryzyka zanieczyszczenia, przyjmując jako jałmużnę wyłącznie pokarmy niegotowane. Sądząc po naszej karnacji, ubiorze i manierach, w ich mniemaniu byliśmy ascetami z wysokiej kasty, więc totalnie ich zdumiało nasze lekceważenie standardowego kodeksu. Jeśli o nas chodzi, zrozumieliśmy wtedy, że nakazując swoim bezdomnym uczniom chodzić od drzwi do drzwi bez względu na kastę domowników oraz przyjmować wyłącznie gotowane jedzenie, Budda zainicjował społeczną rewolucję – rewolucję, która ostatecznie została zahamowana siłami bramińskiej reakcji.

Naszym następnym przystankiem był dom muzułmanina. Dowiedziawszy się, czego chcemy, ubrany w sarong właściciel poprosił nas, żebyśmy podeszli do tylnych drzwi. Jeśli hinduiści zobaczą, że daje nam jałmużnę – powiedział – grozi mu pobicie. W tym momencie zastanawialiśmy się, kto tak naprawdę rozczłonkował Indie. Oprócz tego, że sam ofiarował nam jałmużnę, sympatyczny syn Proroka towarzyszył nam przy obchodzeniu wszystkich pozostałych domów, a jego wyjaśnienia oszczędziły nam mnóstwo kłopotu. W istocie, dzięki jego wysiłkom mogliśmy dokończyć naszą żebraczą rundę w milczeniu. Niektórzy mieszkańcy domów, przed drzwiami których stanęliśmy, odnosili się do nas z sympatią, inni z sarkazmem. Pewien zamożny bramin zaprosił nas do środka, żebyśmy usiedli i poczekali, gdyż sam właśnie skończył jeść i nic już nie zostało, ale przygotuje coś specjalnie dla nas. Odrzuciliśmy tę bardzo uprzejmą propozycję, gdyż w naszych miskach było już trochę jedzenia, a nasza odmowa zrobiła na nim wielkie wrażenie. Inny bramin, który też właśnie skończył posiłek, wlał nam do misek po jednej półkwarcie mleka i po chwili zaczęły w nim pływać ryż dmuchany, ryż gotowany, warzywa curry, owoce, twaróg, pikle i wszystkie inne rzeczy, które do tej pory otrzymaliśmy. Niedługo potem mieliśmy już więcej niż było nam potrzebne, dlatego udaliśmy się do rosnącego tuż za wioską gaju mango. Pierwszy raz żebraliśmy w tradycyjny buddyjski sposób i było to wydarzenie o bezprecedensowym znaczeniu w naszym życiu, dlatego z niejakim podnieceniem usiedliśmy w głębokim, chłodnym cieniu pięknych drzew. Ale najwyraźniej było to też niezwykłe wydarzenie w życiu wioski, ponieważ w ślad za nami przyszedł do gaju tłum około stu osób, które stały teraz pośród drzew, gapiąc się na nas z tępą ciekawością owiec lub krów i wyglądało na to, że mają zamiar tak stać przez resztę dnia. Poczuliśmy się trochę speszeni pod obstrzałem tylu par oczu i pragnąc, żeby zostawili nas w spokoju, poprosiliśmy ich, żeby odeszli, dopóki nie skończymy swojego posiłku. W końcu to uczynili, ale nie bez energicznego popędzania ze strony naszego muzułmańskiego przyjaciela, a odchodząc stale oglądali się za siebie.

Jak tylko sobie poszli, ugnietliśmy rękami zawartość w miskach na jednolitą, dość kleistą masę i zaczęliśmy spożywać swój posiłek. Kiedy jedliśmy, jeszcze ktoś przybiegł z wielką tacą ze stosem ryżu, curry i zupą z soczewicy. Chociaż mieliśmy już wszystko, czego naprawdę potrzebowaliśmy, przyjęliśmy małą ilość tego daru i poprosiliśmy, aby resztę rozdano jako prasad. Według wczesnobuddyjskich pism, kiedy przyszły Budda po raz pierwszy spróbował zjeść użebraną jałmużnę prawie zwymiotował z obrzydzenia. Natomiast my, albo byliśmy wychowywani mniej delikatnie od niego, albo mieliśmy więcej szczęścia przy żebraniu, ponieważ w ogóle nie czuliśmy żadnego wstrętu i jak tylko przyzwyczailiśmy się do idei jedzenia wszystkiego, co dostaliśmy, wymieszanego razem w jednej misce, posiłek bardzo nam smakował. Resztki rozrzuciliśmy pod drzewem dla ptaków. Kiedy wieśniacy zobaczyli, że skończyliśmy, zaczęli z powrotem schodzić się do gaju, gdzie Buddharakszita zebrał ich razem, posadził na ziemi i wygłosił mowę o konieczności prowadzenia moralnego życia i wadze przestrzegania pięciu wskazań dotyczących etycznego

zachowania. Choć była to prawdopodobnie o wiele suchsza duchowa strawa niż ta, do której byli przyzwyczajeni, niemniej słuchali uważnie, a my mieliśmy satysfakcję, że odpłaciliśmy im za gościnność nauczając Dharmy w tradycyjny sposób. O trzeciej po południu ruszyliśmy w drogę do Maharadżgundż, wioski położonej o 20 km dalej.

Nasze drugie doświadczenie żebrania o jedzenie w tradycyjny sposób było zupełnie niepodobne do pierwszego. Spędziwszy noc w Maharadżgundż, gdzie spaliśmy na kamiennej platformie pod drzewem, wyruszyliśmy znów w drogę przed szóstą i wędrowaliśmy cały poranek przechodząc przez cztery czy pięć wiosek, małych i dużych, aż w końcu dotarliśmy do wsi Tehri z zamiarem zrobienia w niej żebraczej rundy. Kiedy wkroczyliśmy do wioski, ujrzeliśmy wiekowego ascetę wajsznawitę z wielkim sznurem korali na szyi, który siedział na łóżku i robił kamandulu, specjalne naczynie na wodę noszone przez ortodoksyjnych mnichów hinduizmu. Bez przerywania swojej pracy zawołał do nas dość ostrym tonem głosu pytając, czego chcemy. Kiedy wyjaśniliśmy, że przyszliśmy prosić o jałmużnę, odpowiedział niezbyt grzecznie, że nie może nam nic dać. W pierwszym domu, pod drzwiami którego stanęliśmy, też nam nic nie dano, ale we wszystkich pozostałych kobiety okazały się cudownie życzliwe i hojne. Słysząc, że chętnie przyjmiemy od nich gotowane pożywienie mimo faktu, że należały do aheer – kasty rolników mleczarzy o rzeczywiście bardzo niskim statusie – dały nam ryż, przaśny chleb, warzywne curry, zupę soczewicową i twaróg w tak obfitych ilościach, że bardzo szybko obie nasze miski były pełne.

Ponieważ w Tehri nie było gaju mangowego, musieliśmy spożyć nasz drugi użebrany posiłek w pierwszym napotkanym zacienionym miejscu, a potem wędrowaliśmy kawałek wzdłuż rzeki, aż doszliśmy do pięknego pojedynczego drzewa mango, gdzie przysiedliśmy na krótko w jego cieniu, i gdzie jakaś stara kobieta przyniosła nam wodę do picia. Następnie kontynuowaliśmy podróż idąc kilka kilometrów brzegiem rzeki aż do następnej wioski. Mimo późnego popołudnia nadal było straszliwie gorąco, więc ugasiwszy pragnienie przy pompie Urzędu Leśnictwa, z przyjemnością usiedliśmy na kilka minut na skraju zagajnika z drzewami damarzykowymi. Wkrótce potem po raz drugi od opuszczenia Kushinagaru zabłądziliśmy. Z braku jakiejkolwiek drogi zostaliśmy zmuszeni do wędrowania na przełaj przez pola z takim skutkiem, że wkrótce kręciliśmy się w kółko zupełnie nie wiedząc, w którą stronę powinniśmy pójść. Nadal błądząc w ten sposób, całkiem przypadkowo trafiliśmy na małą wioskę, gdzie stary wyznawca szajwita pozdrowił nas z największym szacunkiem i koniecznie chciał nam dać wody z cukrem do picia. Potem, razem ze swoim muzułmańskim sąsiadem nie tylko objaśnili, którą drogą powinniśmy pójść, ale jeszcze byli tak uprzejmi, że towarzyszyli nam na krótkim odcinku, aby upewnić się, że jej nie przeoczymy. Potem nie mieliśmy już żadnych trudności. Znów dostaliśmy słodkiej wody do picia, tym razem od sympatycznego sklepikarza, i wreszcie napotkaliśmy naszą starą przyjaciółkę, czyli linię kolejową. Poszliśmy wzdłuż torów na wschód około półtora kilometra i dotarliśmy do okręgu miejskiego Nautanwa.

Po przybyciu do Gościńca Lumbini, maleńkiego budynku niedaleko centrum miasta, zostaliśmy od razu bardzo ciepło przywitani przez starszego, chudego, ale bardzo energicznego i aktywnego syngaleskiego mnicha, który został tam przysłany przez Towarzystwo Maha Bodhi, aby dbać o potrzeby pielgrzymów na ich ostatnim etapie podróży do miejsca urodzin Buddy. Mimo swej bardzo wysokiej pozycji w zakonie, czcigodny K. Siriniwas Najaka Maha Thera w ogóle nie był pedantem w sprawach protokolarnych i widząc jak jesteśmy zgrzani i zmęczeni, wesoło zabrał się za rozpalanie ognia, żeby zrobić nam herbaty. No i co z tego, że my jesteśmy tylko szramanerami, a on starszym mnichem – powiedział, ignorując nasze protesty – widać przecież, że bardzo potrzebujemy napić się herbaty, a ponieważ służący poszedł na noc do domu i wróci dopiero rano, on nam ją przygotuje.

Dwa dni później, spędziwszy bardzo miło czas w towarzystwie naszego przyjacielskiego i rozmownego gospodarza, wyruszyliśmy z Nautanwy do Lumbini. Razem z nami szli Brahmaczari Munindra, buddysta z Barua w Bengalu, którego poznaliśmy w Sarnath, i jego dwóch młodych przyjaciół, Arun Czandra, Hindus, oraz U Thaung Aung, Birmańczyk – wszyscy trzej przybyli ostatniej nocy jeszcze długo po tym, jak Buddharakszita i ja skończyliśmy rozmowę z czcigodnym Siriniwasem i poszliśmy spać. Ponieważ Aung podróżował z dość dużym bagażem, trzeba było

wynająć kulisa na bazarze, który to proces spowodował małą stratę czasu i niemały kłopot. W końcu wszyscy byliśmy gotowi do drogi. Po przejściu około trzech kilometrów dotarliśmy do rzeki będącej granicą między Indiami i Nepalem. O tej porze roku było to raczej tylko dno rzeki a nie rzeka, więc nie mieliśmy żadnych trudności z przejściem w bród przez niemrawą strugę błotnistej wody, która nadal płynęła w najgłębszej części koryta. Po drugiej stronie rzeki szeroka polna droga prowadziła przez rzadką dżunglę Terai. Idąc nią minęliśmy dwie wioski – w drugiej z nich Munindra i Aung zatrzymali się, aby napić się mleka. Po drodze ujrzeliśmy czarną antylopę i małe stadko jeleni pasących się między drzewami damarzykowymi. Kulis powiedział nam, że Lumbini jest już bardzo niedaleko. Przyspieszając kroku, minęliśmy kolejne dwie wioski i wkrótce dostrzegliśmy w oddali dwa kopce ziemne zwieńczone małymi wieżami z cegły oraz malutką świątynię pomiędzy nimi.

W ciągu kilku następnych dni, które spędziliśmy w Lumbini, nasze uczucia były mieszanką radości z przebywania w miejscu, gdzie przyszły Budda po raz pierwszy ujrzał światło dzienne, oraz poczucia żalu, a nawet oburzenia spowodowanego faktem, że to święte miejsce jest tak opuszczone i zaniedbane. Wydawało się, że przypływ odrodzenia buddyzmu, który już silnie płynął w Sarnath i całkiem nieźle w Kushinagarze, jeszcze nie dotarł do Lumbini. Jedynym współczesnym budynkiem był gościniec zbudowany przez nepalski rząd na potrzeby pielgrzymów, w którym zainstalowaliśmy się wkrótce po przybyciu, i gdzie opiekunowie dostarczyli nam posiłek. Jednak osoby nie będące pielgrzymami też dla wygody zatrzymywały się w gościńcu. Może dlatego, że nie było innego miejsca na nocleg, a może dlatego, że w tym autokratycznym kraju każdy przedstawiciel władzy, nawet o najniższej randze, miał zwyczaj zachowywania się w bardzo despotyczny sposób – podróżujący urzędnicy rządowi regularnie traktowali to miejsce jako rodzaj przydrożnego zajazdu. W wieczór naszego przybycia pojawił się tam inspektor policji z dwudziestoma swoimi ludźmi, więc bardzo szybko ciszę i spokój zastąpił głośny harmider. Następnego dnia było jeszcze gorzej. Podczas gdy szef zajmował się wyciskaniem pieniędzy od lokalnych właścicieli ziemskich, którzy od czasu do czasu przyjeżdżali do miasta na słoniach, przywożąc ze sobą zwyczajowe prezenty dla urzędnika, kilku ludzi inspektora zabiło na terenie gościńca kozę i nawet nie zdejmując z niej skóry, włosów ani w ogóle niczego, piekło ją w całości nad rozpalonym ogniskiem. Chociaż Munindra, Arun Czandra i Thaung Aung nie byli wegetarianami, to po ujrzeniu tego okropnego widoku wszyscy w naszej pięcioosobowej grupce poczuliśmy, że mamy ochotę silnie zaprotestować. Jednak po namyśle postanowiliśmy tego nie robić. Inspektor policji pił od samego rana, a sądząc ze sposobu, w jaki zachowywał się wobec właścicieli ziemskich, nie był człowiekiem skłonnym do kierowania się rozsądkiem. Tak czy inaczej, trudno nam było powstrzymać się od refleksji, jak przykry jest fakt, że Pierwsze Wskazanie o powstrzymywaniu się od krzywdzenia żyjących istot jest w tak rażący sposób łamane w miejscu, gdzie urodził się Budda.

Oprócz dwóch kopców, które wznosiły się jak dwie wulkaniczne wyspy w morzu luźno leżących cegieł, i wydawało się, że kiedyś stanowiły dolną część bliźniaczych stup, jedynym starożytnym budynkiem, po którym pozostał jakiś ślad nad ziemią, była świątynia Rummindei – tak mała, że wyglądała bardziej na kaplicę niż świątynię, i tak zniszczona, że w zasadzie znajdowała się w stanie kompletnej ruiny. Podczas naszej pierwszej wizyty w tym miejscu, wkrótce po przybyciu, zastaliśmy drzwi zamknięte i dopiero wieczorem drugiego dnia pobytu w Lumbini otworzyła je nam stara hinduska kobieta, która posiadała do nich klucz i wydawało się, że jest odpowiedzialna za odprawianie elementarnych obrzędów podtrzymujących religijną tradycję tego miejsca. Wnętrze świątyni nas rozczarowało. Jedynym interesującym przedmiotem była kamienna płyta tak starta i tak grubo posmarowana cynobrowym pigmentem, że ledwo można było na niej dostrzec postać Mahamaji trzymającej się gałęzi drzewa damarzykowego, gdy stała rodząc przyszłego Nauczyciela Bogów i Ludzi. W trakcie rozmowy ze starą kobietą szybko okazało się, że nigdy nawet nie słyszała o Buddzie i buddyzmie i wydawało jej się, że świątynia poświęcona jest jakiejś hinduskiej bogini.

Łatwiej dostępna była kolumna Ašoki stała pod gołym niebem za niską żelazną poręczą. Na jej gładko wypolerowanej powierzchni starożytne bramińskie litery wycięte były głęboko i wyraźnie i nadal można było odczytać obwieszczenie: „Tu narodził się Błogosławiony”. Z jakiegoś bliżej

nieokreślonego powodu poczułem się tutaj nawet bardziej wzruszony niż przedtem w Sarnath lub Kushinagarze. Ścięta kamienna kolumna stała tak spokojnie i tak prosto pod bezchmurnym błękitnym niebem; wydawała się tak bezpretensjonalna, a jednocześnie znaczyła tak wiele. Kiedy Buddharakszita i reszta poszli dalej w kierunku kopców, pozostałem w tyle za nimi, zebrałem trochę małych białych kwiatków i z sercem przepełnionym uczuciami rozrzuciłem je u stóp kolumny ponad ogrodzeniem. Kiedy to zrobiłem, usłyszałem głos Buddharakszity: „Po co ty tam marudzisz z tymi kwiatami? – krzyknął szorstko – No chodź, nie możemy czekać na ciebie cały dzień!"

Następnego dnia rano nasza grupka rozdzieliła się. Munindra i jego dwaj młodzi przyjaciele powrócili do Nautanwy razem z kulisem; Buddharakszita i ja wyruszyliśmy przez dżunglę do Butwalu. Razem z nami szło trzech lub czterech miejscowych, którzy przez część drogi podróżowali w tym samym kierunku i wydawali się bardzo zadowoleni, że odbędą podróż w towarzystwie dwóch ascetów – prawdopodobnie z powodu przekonania, że dzikie zwierzęta nigdy nie atakują świętych mężów. W ciągu kilku godzin przeszliśmy przez dwie wioski, w drugiej z nich opuścił nas ostatni z naszych towarzyszy, a my z Buddharakszitą odświeżyliśmy się szybką kąpielą. Potem trzeba było wędrować przez gęsty las, ale chociaż kilka razy źle skręciliśmy i musieliśmy się wracać, to jakoś udało nam się odnaleźć drogę na wąskich ścieżkach przez dżunglę i po przejściu przez kolejne dwa sioła w końcu dotarliśmy do zamożnej wioski Tharu o nazwie Farsatirka Bazaar. Tutaj przeżyliśmy trzecie doświadczenie z proszeniem o jałmużnę. W pierwszym domu nie dostaliśmy nic. W drugim młoda hoża dziewczyna rozciągnięta na sznurowym łóżku stojącym tuż za drzwiami zadrwiła: „Okulary nosicie, co! Myślicie, że jesteście tacy wielcy i potężni, tak!" Potem jej głos podniósł się do wściekłego wrzasku: „Idźcie stąd! Idźcie i zacznijcie zarabiać na życie". Kątem oka zauważyłem, że twarz mojego przyjaciela zrobiła się fioletowa od furii, ale z wielkim wysiłkiem zapanował nad sobą, wypowiedział zwyczajowe błogosławieństwo i poszliśmy do następnego domu. Najwyraźniej na obszarach wiejskich w Nepalu, tak samo jak na wsiach w Indiach, okulary nadal uważane były za rodzaj biżuterii, podobnie jak wieczne pióra i zegarki na rękę. W związku z czym wieśniacy sądzili, że noszą je tylko światowi młodzi ludzie o społecznych aspiracjach, żyjący częściowo w zachodnim stylu.

Kobiety w innych domach, do których się udaliśmy, okazały się bardziej życzliwe i wkrótce nasze miski były prawie pełne. W ostatnim domu stara kobieta, która podeszła do drzwi, tak się zdumiała naszą chęcią przyjęcia gotowanego jedzenia od niej – od osoby z tak niskiej kasty – że drżąc z radości pośpieszyła w głąb domu i wróciła dokładnie z taką ilością ryżu, zupy z soczewicy i twarogu, jakiej potrzebowaliśmy. Następnie znaleźliśmy sobie zaciszne miejsce na samym końcu wsi i zjedliśmy swój posiłek w zagrodzie dla krów. Wszędzie wokół nas dały się zauważyć miłe oznaki wiejskiej zamożności. Krowy były grubsze i bardziej lśniące od wszystkich, jakie do tej pory widzieliśmy. W stodołach było pełno paszy dla zwierząt. Pod wystającymi okapami glinianych domów stały szeregi olbrzymich glinianych naczyń wypełnionych po brzegi ziarnem, a każde z nich było wyższe od człowieka i odpowiednio szerokie. Ludzie również wydawali się silniejsi i zdrowsi od wieśniaków w Indiach, chociaż jeszcze nie mieli mongolskich rysów. Kiedy jedliśmy, Buddharakszita rozwodził się nad naszym spotkaniem z młodą kobietą na sznurowym łóżku. Oświadczył, że nie posiada się z radości, że nas obraziła. Nie zamieniłby tego doświadczenia na żadne inne w świecie. Teraz, dopiero teraz, możemy się naprawdę uważać za prawdziwych mnichów. Okazaliśmy się godni tych samych obelg, jakie sypały się nie tylko na głowę samego Buddy, ale też na głowy wszystkich jego godnych szacunku uczniów przez wszystkie wieki.

Odpoczęliśmy trochę pod drzewem z dala od wsi i ponownie ruszyliśmy w drogę. Chociaż dżungla zrobiła się znacznie gęstsza, udało nam się przejść przez kolejne trzy wioski bez większego błądzenia. Od czasu opuszczenia Lumbini zmieniał się rodzaj roślinności, od subtropikalnej do umiarkowanej, i o tej porze cały krajobraz nie tylko był znacznie bardziej zielony, ale też pełen potoków i strumieni. Miękka i zielona darń, promienie słońca ukośnie padające pomiędzy gałęziami dużych liściastych drzew, miły chłodek i spokój przerywany tylko jasnymi trelami ptaków – wszystko to sprawiało wrażenie, jakbyśmy szli przez jakiś angielski las, a nie przez region Terai w Nepalu tylko o kilka kilometrów od stóp Himalajów. Przez chwilę wyobraziłem sobie, że znów

jestem małym chłopcem wędrującym między dzwonkami i paprociami na łąkach Wimbledon Common. Przez ostatnie cztery lub pięć kilometrów naszej podróży ścieżka biegła wzdłuż szerokiej rzeki obrośniętej na brzegach trzcinami i wodnymi irysami. Jak tylko wypatrzyliśmy odpowiednie miejsce, zatrzymaliśmy się, aby zanurzyć się w jej czystej, lodowatej wodzie. Wkrótce ujrzeliśmy, jak wyrastają przed nami jak szarozielona ściana pierwsze wzniesienia pogórza. U stóp tych wzgórz, wysoko na brzegu rzeki rozciągała się brzydka panorama wielu szeregów dachów z blachy falistej we wszelkich możliwych odcieniach rdzy i na każdym możliwym etapie rozkładu. Dotarliśmy do Butwalu.

Rozdział 47

Z Newarami w Nepalu

Newarowie z Nepalu należeli do tej samej grupy etnicznej co Tybetańczycy i Birmańczycy. Większość z nich żyła w Dolinie Katmandu, która aż do podboju Gurkhów w osiemnastym wieku była siedzibą jednego lub więcej niezależnych buddyjskich królestw i mimo nacisku, żeby nie powiedzieć prześladowań, ze strony państwowej religii, hinduizmu, znaczna ich liczba nadal była buddystami. Oprócz wadźraczarjów, dziedzicznych kapłanów tantrycznych, większość Newarów z 'wyższych kast' byli to albo rzemieślnicy, albo handlarze. I chociaż przeważająca część newarskiej populacji skoncentrowana była w Katmandu i jego okolicach oraz w Patanie, małe newarskie społeczności istniały w wielu częściach kraju – w gruncie rzeczy wszędzie tam, gdzie można było handlować. W poprzedniej dekadzie kilku Newarów pojechało do Cejlonu i Birmy, aby studiować teksty palijskie oraz otrzymać ordynację, i przynajmniej jeden buddyjski mnich ze szkoły therawady odwiedził Nepal. W zasadzie miało wśród nich miejsce małe odrodzenie buddyzmu. Nie było ono całkiem oderwane od politycznych aspiracji Newarów, którzy mieli poczucie, że są narodem wasali we własnej ojczyźnie. Dlatego jako grupa etniczna byli traktowani z dużą podejrzliwością przez despotyczną dynastię Rana, która około stu lat wcześniej uzurpowała sobie władzę królewską i teraz rządziła krajem z brutalną skutecznością.

Kiedy U Czandramani poprosił nas, byśmy poszli nauczać Dharmy wśród jego uczniów w Butwalu i Tansenie, doskonale wiedział, co robi. Ci uczniowie byli Newarami i obecność wśród nich dwóch mnichów obcokrajowców niewątpliwie doda im odwagi w wysiłkach, aby zachować swoją religijną i kulturalną tożsamość. A jednocześnie będzie to niezwykle cenne doświadczenie dla Buddharakszity i dla mnie. W Kushinagarze utrzymywaliśmy kontakty wyłącznie z mnichami i anagarikami. Teraz przebywając wśród nepalskich Newarów będziemy spotykać zwykłych świeckich członków duchowej społeczności i oprócz głoszenia im Dharmy zaznajomimy się z ich tradycyjnymi praktykami oraz etykietą zwyczajowo przestrzeganą między mnichami i świeckimi.

Szybko przekonaliśmy się, jak bardzo jesteśmy niedoświadczeni i ile musimy się nauczyć, nawet na najbardziej elementarnym poziomie. Jeden z zardzewiałych dachów, które widzieliśmy z daleka, należał do Wihary Padmagarbhy i właśnie do tej maleńkiej placówki buddyzmu skierowaliśmy się po przybyciu do Butwalu i tam spędziliśmy pierwszą noc. Wcześnie rano następnego dnia, zaraz po zakończeniu swoich modlitw, ze zdziwieniem zobaczyliśmy, że przyszło osiem czy dziesięć newarskich kobiet w różnym wieku, wszystkie owinięte w obszerne białe muślinowe sari i z mnóstwem maleńkich złotych kolczyków błyszczących na krawędziach ich uszu. Ponieważ bardzo słabo mówiły w języku hindi, a my nie rozumieliśmy języka newarskiego, który jest językiem monosylabicznym niespokrewnionym z żadnym z języków Indii, początkowo nie mogliśmy zrozumieć, czego chciały. W końcu jednak, po wielu śmiechach i chichotach z ich strony i krzyżowych pytaniach z naszej, okazało się, że przyszły, aby przyjąć od nas Trzy Schronienia i Pięć Wskazań w tradycyjny obrzędowy sposób. Postawiło nas to w kłopotliwym położeniu. Chociaż nauczyliśmy się w Kushinagarze formuły Pozdrowienia Trzech Klejnotów i codziennie ją recytowaliśmy, to jak dotąd jeszcze nas nie proszono, aby poprowadzić dla kogoś ceremonię przyjęcia Schronień i Wskazań. Co mieliśmy robić? Po szybkiej konsultacji zdecydowaliśmy, że najlepszym wyjściem będzie całkowita szczerość. Dlatego z pomocą jednej ze starszych kobiet, która rozumiała hindi trochę lepiej od pozostałych, Buddharakszita wyjaśnił, że dopiero niedawno byliśmy ordynowani i nie mamy żadnego doświadczenia w prowadzeniu takich ceremonii, ale jeśli im to nie przeszkadza, to on będzie czytał właściwe palijskie formuły z książki. Nie miały absolutnie nic przeciwko temu. W rzeczywistości nasza szczerość wywarła na nich głębokie wrażenie i nie posiadały się z radości, że mają okazję przyjąć Schronienie i Wskazania. Dlatego z uśmiechami zadowolenia na twarzach uklęknęły, złożyły ręce, zamknęły oczy i z wszelkimi oznakami wielkiego oddania gotowe były intonować święte słowa powtarzając je za moim przyjacielem. Buddharakszita jako bramin z urodzenia, przyzwyczajony od małego do recytacji w sanskrycie, nie miał żadnych trudności w odegraniu swojej roli w całej ceremonii, która potoczyła

się bez najmniejszych komplikacji i zakończyła w atmosferze ogólnego zadowolenia. Przez sześć tygodni, które spędziliśmy w Nepalu, któryś z nas był wzywany do poprowadzenia tego rytuału przynajmniej raz dziennie, więc szybko nabraliśmy biegłości w tym prostym, podstawowym obrzędzie i mogliśmy go wykonywać bez zaglądania do książki.

Pierwszego dnia w Butwalu kilka spośród kobiet, które przyjęły wtedy Schronienie, przyniosło nam przedpołudniowy posiłek do Wihary. Drugiego dnia na ogólną prośbę obeszliśmy z żebraczymi miskami wszystkie newarskie domy w najbliższej okolicy. Poinformowaliśmy ludzi o swoim zamiarze wyruszenia do Palpa-Tansen wcześnie rano następnego dnia, więc wszyscy chcieli wykorzystać okazję, aby ‘uzbierać zasługi’ poprzez nakarmienie nas, zanim odejdziemy. Ponieważ wiedzieli wcześniej, że przyjdziemy, nie napotkaliśmy żadnej z tych trudności w zbieraniu jałmużny, którym musieliśmy stawić czoło we wsiach, przez które przechodziliśmy po opuszczeniu Kushinagaru. W dodatku byliśmy prowadzeni od domu do domu przez małą procesję chłopców i mężczyzn, więc nasze ‘proszenie o jałmużnę’ nie było w tym przypadku rundą żebrania, tylko triumfalnym pochodem zbierania ofiar od wiernych. W każdym z dziesięciu czy dwunastu domów, do których nas zaprowadzono, biało ubrane kobiety czekały na nas w progu z ryżem, warzywami z curry, zupą z soczewicy, twarogiem, mlekiem, słodyczami i piklami w tak obfitych ilościach, że w bardzo krótkim czasie obie nasze miski były pełne po brzegi. Sądząc po radości, z jaką nas witano, i oddaniu, z jakim ofiarowywano pożywienie, dawanie jałmużny w ten sposób było dla nich doświadczeniem nowym i takim, które głęboko doceniali. Chociaż garstka mnichów newarskich, którzy odbyli trening na Cejlonie, zapoczątkowała szereg zwyczajów therawadyjskich, to jednak wyglądało na to, że do tej pory nie wprowadzili jałmużny. Po powrocie do Padmagarbha Wihary opróżniliśmy miski z ponad połowy ich zawartości i rozdzieliliśmy tę część wśród obecnych młodych ludzi jako prasad. Mimo to nadal nie byliśmy w stanie zjeść wszystkiego, co pozostało. Skutek był taki, że chude, pokryte świerzbem kundle czające się wokół Wihary przynajmniej raz w swym nędznym życiu ucieszyły się porządnym posiłkiem.

Ponieważ nadal chodziliśmy boso, nie mogliśmy nie zauważyć, jak brudne były wąskie, nieutwardzone ulice tego małego miasta. Nie było w nim żadnych urządzeń sanitarnych ani wywozu odpadów. Śmieci domowe po prostu wyrzucano przez drzwi lub okna na ulicę, gdzie całe ich stosy gniły i rozkładały się lub walczyły o nie bezpańskie psy. Boczne uliczki i alejki, a w zasadzie każdy dogodny mur, ściek lub kawałek wolnej ziemi były ewidentnie używane jako publiczne latryny. Wszędzie roiło się od bzyczących much, a w powietrzu unosił się smród. Oprócz braku urządzeń sanitarnych, zorientowaliśmy się, że brakuje też pewnych podstawowych udogodnień potrzebnych do życia – nie było ani jednego szpitala, ani szkoły. Kiedy wyszliśmy wieczorem na spacer, pokazano nam pomieszczenie w walącym się drewnianym budynku. To jest biblioteka, usłyszeliśmy. A raczej to była biblioteka, ponieważ zaledwie po trzech miesiącach funkcjonowania została zamknięta przez władze, a jej założyciel aresztowany i wsadzony do więzienia. Być może nie bez powodu rząd w Nepalu uważał, że edukacja podżegała do niezadowolenia. Dlatego nie popierał potencjalnie wywrotowych instytucji, takich jak szkoły i biblioteki.

Mimo uprzejmości, z jaką nas przyjmowano, ani mnie ani Buddharakszicie nie było przykro, że porzucamy Butwal na rzecz czystszego górskiego powietrza. Chociaż wychodziliśmy wcześnie, większość Newarów nie tylko przyszła do Wihary, żeby nas odprowadzić, ale też wszyscy poszli z nami aż do drzewa, które oznaczało granicę miasta. Przy tym drzewie zatrzymaliśmy się na kilka minut i za wyjątkiem dwóch młodych mężczyzn, którzy mieli nam towarzyszyć aż do Tansenu, pozostali pożegnali się z nami w bardzo przyjacielski i serdeczny sposób. Wspinaliśmy się nie dłużej jak godzinę i nasze płuca oraz mięśnie nóg jeszcze nie zaczęły odczuwać związanego z tym wysiłku, kiedy wydarzyło się coś, co nie tylko zakłóciło nam w tym dniu podróż, ale też zasugerowało, że trudy ostatnich kilku miesięcy nie pozostały bez wpływu na moje zdrowie. Od czwartej rano bolał mnie brzuch, ale przypisywałem ten ból biegunce. Teraz jednak zrobił się tak silny, że z trudem mogłem iść. Masaż przyniósł tylko chwilową ulgę i po następnej pół godzinie marszu ból powrócił z taką gwałtownością, że kilka razy zwymiotowałem a potem leżałem na skraju drogi niemal życząc sobie śmierci tu i teraz. Buddharakszita i naszych dwóch młodych

towarzyszy z wielkim trudem zawlekli mnie do chaty stojącej o kilkaset metrów dalej, gdzie położyłem się wyczerpany na werandzie. Przez następne dwie lub trzy godziny ból nie tylko nie ustępował nawet na moment, ale jeszcze stale się pogarszał. Na szczęście mężczyzna, który przypadkiem przechodził obok, powiedział, że sok z korzenia pewnej rośliny uleczy mnie z tej dolegliwości, a stara kobieta mieszkająca w tej chacie była tak dobra, że poszła do dżungli i znalazła tę roślinę. Sok z tego korzenia był najbardziej gorzką rzeczą, jakiej w życiu próbowałem, ale po wypiciu go ból stopniowo zmalał i zapadłem w głęboki, odświeżający sen. Kiedy obudziłem się dwie godziny później, okazało się, że całkiem zniknął. Po wzmocnieniu się tybetańską herbatą z masłem, której próbowałem po raz pierwszy, cała nasza czwórka kontynuowała podróż.

Może dlatego, że ustąpienie bólu dodało mi trochę energii, a może z powodu ożywczego wpływu górskiego powietrza, nie tylko maszerowałem równie żwawo jak pozostali, ale też zacząłem rozglądać się dokoła ze świeżym zainteresowaniem. Od czasu mojej wizyty w Dardżelingu trzy lata wcześniej nie widziałem nic wspanialszego od scenerii, przez którą teraz wędrowaliśmy. Po naszej prawej stronie, zwisając nad kamienną ścieżką opasującą zbocze góry, wznosiła się olbrzymia skała, a po jej stromej ścianie w kilku miejscach spływały strumienie wody i kaskadą przekraczały ścieżkę. Po lewej, daleko w dole pieniły się jasnozielone wody bystrej rzeki, pędzącej wzdłuż usłanego wielkimi głazami koryta z takim hukiem, że chwilami ledwo słyszeliśmy własne głosy. Po przejściu przez wykładany deskami most wiszący a następnie przez ładną dolinę znów zaczęliśmy się stopniowo piąć w górę na grzbiet następnego pasma wzgórz i szliśmy w ten sposób prawie cztery godziny. Wszędzie wokół nas warstwowo wznosiły się strome porośnięte drzewami zbocza, a w uszach nieustannie dźwięczał szum strumieni. Oprócz otyłej kobiety dźwiganej przez dwóch kulisów w specjalnym nosidle jedynymi znakami ludzkiej obecności, jakie napotkaliśmy, były widziane od czasu do czasu przydrożne rudery i małe poletka uprawne niepewnie przyklejone do zbocza góry. Im wyżej się wspinaliśmy, tym robiło się zimniej. Na ścieżce kłębiła się mgła, która w końcu zgęstniała tak bardzo, że ledwo widzieliśmy drogę przed sobą. Obaj z Buddharakszitą trzęśliśmy się z zimna w swoich cienkich bawełnianych szatach. Jednak jak tylko dotarliśmy na szczyt i weszliśmy do wioski Maszjam, mgła zaczęła się przerzedzać i zaczęliśmy dostrzegać masę przebłyskujących przez coraz cieńszą warstwę chmur czerwonych i fioletowych dalii, które stały w okiennych doniczkach po obu stronach drogi. Ponieważ Maszjam znajdował się w najwyższym punkcie naszej drogi, początkowo myśleliśmy z Buddharakszitą, żeby spędzić tam noc, lecz obecność szeregu sipajów, jak również dobrze uzbrojonej bandy zbójów, sprawiła, że zmieniliśmy zdanie. Poza tym nasi dwaj młodzi przyjaciele zapewnili nas, że Tansen jest już bardzo niedaleko i że z łatwością dotrzemy do niego jeszcze dziś wieczorem. Dlatego kiedy zjedli swoją olbrzymią jak zwykle porcję ryżu i curry, a dla nas przygotowali trochę szerbetu (mimo że przepadł nam przedpołudniowy posiłek z powodu mojego bólu brzucha, to jako szramanerowie nie mogliśmy jeść po godzinie dwunastej i musieliśmy pościć aż do następnego rana) nasza mała drużyna pośpiesznie opuściła Maszjam i po krótkim marszu zaczęliśmy schodzić do niżej położonej doliny.

Chociaż wspinaczka pod górę była i tak wystarczająco trudna, to żmudne schodzenie w dół okazało się jeszcze gorsze. Co więcej, noc zapadła szybciej niż się spodziewaliśmy, a małe elektryczne latarki naszych towarzyszy niewiele nam pomagały w prawie całkowitej ciemności, jaka nas wkrótce ogarnęła. Przez około dwie godziny szliśmy po omacku wzdłuż niebezpiecznych skalnych półek, w dół po urwistych zboczach i ryzykownych zakrętach, luźne kamienie nieustannie usuwały nam się spod stóp staczając do wąwozu, a niemal pionowa skarpa do strumienia na dnie wąwozu znajdowała się niepokojąco blisko. Kiedy wreszcie dotarliśmy do wioski Dumrai, obaj z Buddharakszitą byliśmy tak wyczerpani, że zdecydowaliśmy spędzić tam noc w newarskim domu. Nie była to jednak spokojna noc. Około dziesiątej wieczorem znów rozbolał mnie brzuch, a ponieważ miejsce pogrążone było w ciemnościach, które nie pozwalały na wyciśnięcie soku z korzenia otrzymanego od starej kobiety, mój przyjaciel dał mi kawałek tego korzenia do żucia. Był tak gorzki, że zwymiotowałem. W tej sytuacji Buddharakszita poszedł prosić o wodę do domu, który znajdował się kilkanaście metrów w dół klifu, prawie bezpośrednio pod nami, i sądząc po dźwiękach dobiegających stamtąd w zimnym nocnym powietrzu, odbywała się tam jakaś impreza.

Po powrocie stwierdził tonem najgłębszego obrzydzenia, że ów dom był pełen prostytutek, przy czym słowo ‘prostytutka’ w jego słowniku oznaczało każdą kobietę, która nie stosowała się do najsurowszych zasad hinduizmu definiujących, na czym polega niewieścia przyzwoitość. Mimo panującej ciemności jakoś udało mu się rozgnieść korzeń między dwoma kamieniami i po zmieszaniu soku z odrobiną wyżebranej wody dał mi go do wypicia. Tym razem lek nie był aż tak skuteczny i dopiero po dwóch godzinach ból zelżał na tyle, abym mógł zasnąć.

Następnego ranka jak, tylko zrobiło się jasno, opuściliśmy Dumrai i po przyjemnym spacerze przez zagospodarowane uprawami dolinki doszliśmy do najbardziej zewnętrznych bastionów następnego górskiego grzbietu i zaczęliśmy trudną wspinaczkę do Tansenu. Ponieważ od dwóch dni nic nie jedliśmy, czuliśmy się trochę słabi i konieczne były częstsze odpoczynki. A że słońce stało wysoko na niebie i mocno przygrzewało, wkrótce byliśmy zlani potem. Na szczęście osłabły moje dolegliwości w brzuchu stając się tylko lekkim tępym bólem, więc przynajmniej za to byłem wdzięczny. Około dziewiątej dotarliśmy wreszcie do Tansenu udając się prosto do Ananda Wihary, gdzie ciepło powitał nas czcigodny Szakjananda, mnich rezydent, i natychmiast podał nam herbatę, słodycze i owoce. Po nieoczekiwanych trudnościach w podróży byliśmy zadowoleni, że dotarliśmy do miejsca przeznaczenia i że mieliśmy okazję poznać jednego z uczniów-seniorów U Czandramaniego. Cieszyliśmy się też, że znaleźliśmy się w zasięgu możliwej pomocy medycznej. Okazało się, że pomoc jest w drodze. Niedługo po naszym przybyciu przypadkiem odwiedził Wiharę waidja, czyli tubylczy lekarz, i kiedy wyjaśniliśmy mu, co się ze mną działo, stwierdził, że to z braku pożywienia i poradził mi utrzymywać żołądek napełniony. Dlatego, chociaż wcale nie miałem apetytu, zjadłem co nieco i po przespaniu godziny czy dwóch poczułem się znacznie lepiej.

Po południu, kiedy obaj z Buddharakszitą porządnie odpoczęliśmy, wspięliśmy się przez labirynt wąskich brukowanych uliczek do Maha Czaitja Wihary usytuowanej w wyżej położonej części miasta, gdzie zostało ustalone, że się zatrzymamy. Podobnie jak Padmagarbha Wihara i Ananda Wihara była to w zasadzie wąska podłużna izba, a w jej dalszym końcu między dwoma szafkami stał ołtarzyk z wizerunkiem Buddy. Jednak pod jednym ważnym względem Maha Czaitja Wihara różniła się od dwóch pozostałych wihar. Na zewnątrz, na środku dziedzińca stała wysoka na ponad dwa metry czaitja, czyli stupa. Ten zwieńczony mosiężnym kwiatonem pobielany monument, od którego Wihara wzięła swą nazwę, nie miał stylu współczesnej therawady, jak można by oczekiwać, tylko był autentycznym produktem tradycyjnego buddyzmu nepalskiego. Kształceni na Cejlonie i w Birmie głosiciele odnowy religijnej usunęli z ołtarzyka w środku Wihary wizerunki różnego rodzaju buddów, nie mówiąc już o wszystkich bodhisatwach, i zostawili tylko historycznego Siakjamuniego. Ale na zewnątrz, z nisz znajdujących się na czterech bokach czajtji nadal spoglądało na cztery strony świata czterech buddów transcendentalnych: Amoghasiddhi, czyli ‘Niezawodny Sukces’, Ratnasambhawa ‘Zrodzony z Klejnotu’, Akszobhja ‘Nieporuszony’ oraz Amitabha ‘Nieograniczone Światło’ – natomiast w środku monumentu ukryty był Wajroczana ‘Rozświetlający’ Budda Środka. Pod nieobecność mnicha rezydenta opiekę nad Wiharą powierzono Anagarice Suszili, drobniutkiej kobiecie o żywym usposobieniu, ani młodej ani starej, z głową w kształcie rzepy i krótko przyciętymi włosami oraz z rzędami malutkich dziurek na krawędziach bardzo sterczących uszu. Wraz z innymi newarskimi buddystami z okolicy zgotowała nam jeszcze cieplejsze powitanie od tego, z jakim spotkaliśmy się w Ananda Wiharze. Posiedzieliśmy gawędząc przez jakąś godzinę lub dwie, a potem zabrano nas do powstałej w pobliżu biblioteki, gdzie można było wypożyczać książki.

Nadal oglądaliśmy księgozbiór liczący około dwustu tomów, kiedy powrócił ból brzucha i stopniowo narastał przez cały wieczór aż do bardzo silnego. Na szczęście znów zjawiła się pomoc medyczna. Wśród osób, które przyszły nas zobaczyć, był wykształcony w Kalkucie lekarz z Bengalu. Według niego nie cierpiałem na niedożywienie, tylko na coś znacznie bardziej poważnego, co miejscowi ludzie nazywali gunnaw – pęcherz powietrza formujący się w jelitach na skutek spożywania twardej górskiej wody, niezwykle trudny do usunięcia. Kazał zrobić dla mnie miksturę, którą miałem zacząć zażywać po ścisłej 24-godzinnej głodówce trzy razy dziennie, dopóki nie wyzdrowieję. Chociaż brałem ją dokładnie według zaleceń, minęły ponad dwa tygodnie, zanim udało się rozproszyć ten pęcherz powietrza i całkiem uwolniłem się od bólu. A co gorsza,

nim wyleczyłem się z jednej dolegliwości, rozwinęła się następna. Na prawej stopie zrobił mi się bolesny wrzód, który nie tylko utrudnił chodzenie, ale też wymagał codziennej zmiany opatrunku. Obie te przypadłości razem sprawiły, że trudno mi było wychodzić, i chociaż Buddharakszita codziennie szedł z wizytami na miasto, ja spędzałem prawie cały czas siedząc w Wiharze.

Po trzech dniach gładko weszliśmy w spokojną rutynę ortodoksyjnego mnicha therawady, a obrzędowy rytm naszych dni przerywany był tylko większymi rytmami periodycznych świąt księżycowych. Wstawaliśmy o świcie, recytowaliśmy pochwały na cześć Trzech Klejnotów i siadaliśmy do dłuższej medytacji. Jak tylko zrobiło się całkiem jasno, przychodziły co bardziej religijne newarskie kobiety i dziewczęta i jeden z nas prowadził ceremonię Schronień i Wskazań, po której zaczynaliśmy obrzęd uroczystego wielbienia Buddy. Następnie kobiety jedna za drugą podchodziły i przed każdym z nas po kolei odmierzały małą porcję niezmielonego ryżu. Łącznie z potrójnym pokłonem z ich strony i licznymi błogosławieństwami z naszej ta część ceremonii trwała prawie godzinę i często bywało, że zaczynaliśmy z Buddharakszitą jeść śniadanie bardzo późno. Co więcej, kobiety nie zawsze przychodziły wszystkie razem i w niektóre poranki musieliśmy powtarzać ceremonię Schronień i Wskazań dwa lub trzy razy. Odkryliśmy też, że w Nepalu można odprawiać swoje religijne obrzędy nie wchodząc do Wihary. Kiedy siedzieliśmy w środku, nagle w powietrzu o włos od nas przelatywała garść ryżu i drobnych monet, lądując z łoskotem na ołtarzyku. Czasami trafiała Buddę prosto w twarz. Podnosząc głowy, widzieliśmy w drzwiach krępą biało ubraną postać z małym koszykiem pod pachą spieszącą do następnego miejsca kultu. Najwyraźniej był to stary newarski zwyczaj obchodzenia wcześnie rano wszystkich świątyń, wihar i przydrożnych sanktuariów w całej okolicy, modląc się w każdej, ale zaganiana gospodyni domu nie miała na to zbyt wiele czasu.

Dwie lub trzy godziny po śniadaniu zazwyczaj spędzaliśmy studiując. O jedenastej była pora lunchu. Przez pierwsze dwa lub trzy dni był on dostarczany przez jedną czy drugą mieszkającą w sąsiedztwie newarską rodzinę, ale w społeczeństwie tak silnie kastowym jak w Nepalu wszystko, co było w najmniejszym nawet stopniu związane z jedzeniem i piciem, obowiązkowo powodowało kłopoty. Hinduscy sąsiedzi zauważyli, że newarskie kobiety nie tylko przynosiły dwóm zagranicznym mnichom w Wiharze gotowane jedzenie, ale też po posiłku zabierały z powrotem brudne naczynia do domu, żeby je umyć. Ponieważ jeden z tych mnichów ewidentnie był mleczczą, człowiekiem zza ‘czarnej wody’, powodowało to natychmiastowe zanieczyszczenie nie tylko samych kobiet, ale też wszystkich, którzy się z nimi zetknęli. Dlatego sąsiedzi zagrozili, że zgłoszą sprawę na policję. Nie były to czcze pogróżki. W Nepalu system kastowy miał moc prawną i jakiekolwiek pogwałcenie obowiązujących przepisów było karane grzywną, więzieniem lub jednym i drugim. W związku z tym ustalono, że od tej pory powinniśmy jeść lunch w klasie szkolnej Anagariki Suszili, znajdującej się o parę domów dalej. Nieustraszona mała kobieta oświadczyła, że jest zakonnicą i jeśli o nią chodzi, to restrykcje kastowe nie mają w jej przypadku zastosowania. Tak czy inaczej, czy prawo jest, czy go nie ma, żadna moc na ziemi nie powstrzyma jej od wypełnienia swoich obowiązków wobec mnichów z jej własnej religii.

Dlatego codziennie o jedenastej rano udawaliśmy się do dużego pokoju na piętrze, gdzie przy pomocy jeszcze jednej anagariki Suszila uczyła dwa lub trzy tuziny newarskich dziewcząt w różnym wieku i gdzie również sama mieszkała. Dzięki tym wizytom dość dobrze ją poznaliśmy. Niestety Buddharakszita wkrótce zaczął wyśmiewać sposób, w jaki mówiła w hindi. Robił to z hałaśliwą żartobliwością, która była oznaką jego poczucia humoru. W oczach purysty jej główną wadą był fakt, że mówiąc o tym, co robiła, często zapominała odmieniać czasowniki stosownie do płci mówiącego. Tego typu błędy nieustannie poprawiał. Poinformował ją, że mówi w hindi tak, jakby była mężczyzną, co jest wybitnie niewłaściwe. Któregoś dnia z jawną irytacją powiedziała mu, że ma dość tego całego ambarasu z końcówkami męskimi i żeńskimi. Ponieważ jest zakonnicą i jej obowiązkiem jest porzucić ziemskie konwenanse, uważa, że to nie ma znaczenia, czy mówi jak kobieta, czy jak mężczyzna. Innym razem opowiedziała nam, dlaczego została anagariką. Miała młodszego brata, którego bardzo kochała. Brat nagle zmarł a ona przez długi czas nie mogła przestać o nim myśleć. Którejś nocy, kiedy medytowała, ujrzała go w formie białego, błyszczącego szkieletu i wtedy w jednej chwili całe jej przywiązanie znikło. Uświadomiła sobie, że ziemskie

sprawy są nietrwałe i postanowiła poświęcić się życiu duchowemu.

Kiedy ceremonialnie podziękowaliśmy Suszili i jej pomocnicy za posiłek, wracaliśmy do Wihary i po krótkim odpoczynku znów zasiadaliśmy do nauki. Ponieważ popołudnie było najgorętszą porą dnia, było też najspokojniejszą i zwykle mogliśmy liczyć na to, że przynajmniej przez cztery do pięciu godzin nikt nam nie będzie przeszkadzał. Podczas gdy Buddharakszita przebijał się przez tłumaczenie hindi kanonu palijskiego, ja odnawiałem znajomość z *Some Sayings of the Buddha*. Trochę też pisałem i oprócz prowadzenia dziennika, co robiłem od opuszczenia Benares, pracowałem nad tłumaczeniem wierszem hymnu 'Hołd dla Trzech Klejnotów'42 oraz pięciu najbardziej popularnych sutr paritrana, kanonicznych tekstów recytowanych jako błogosławieństwa i dla ochrony. O piątej lub szóstej ktoś przynosił nam herbatę i ludzie zaczynali się gromadzić na wieczorne modlitwy. Odkładaliśmy z Buddharakszitą książki na bok i rozmawialiśmy z przybyszami. Z zachodniego punktu widzenia panowała tam osobliwa mieszanka atmosfery religijnej i domowej, formalnej i nieformalnej. Po obu stronach ołtarzyka Buddharakszita i ja siedzieliśmy ze skrzyżowanymi nogami na siennikach, na których medytowaliśmy, a w nocy spaliśmy. Przed nami na podłodze stały puste kubki po herbacie. Mężczyźni, kobiety i dzieci – z których praktycznie wszyscy byli Newarami – przychodzili pojedynczo lub rodzinnymi grupkami. Niektórzy zajmowali się przystrajaniem ołtarzyka dużymi czerwonymi, fioletowymi i żółtymi daliami i zapalali małe skręcone papierowe kadzidełka o cierpko słodkim zapachu. Inni siedzieli, cicho gawędząc. Wszyscy po przyjściu witali Buddharakszitę i mnie, każdemu z nas oddzielnie składając trzy razy tradycyjny pełen pokłon. Zwłaszcza dzieci miały wyjątkową uciechę starając się wykonać go poprawnie. Głowami niemowlaków lekko stukano o podłogę przed naszymi stopami, co czasami powodowało ich płacz. Kiedy wszyscy się zebrali lub wydawało nam się, że ustał już napływ gości, i kiedy wszyscy, którzy chcieli z nami porozmawiać, już to zrobili, zapalano świece i zaczynały się modlitwy. W specjalne dni, takie jak pełnia lub nów księżyca, lub w 'ósemki' połówek księżycowego miesiąca, kiedy księżyca przybywało lub ubywało, mężczyźni zbierali się w dużym gronie i kontynuowali śpiewanie religijnych pieśni do późna w nocy. Niektóre z tych pieśni odznaczały się wyjątkowym pięknem, a chociaż ich emocjonalny wydźwięk przewyższał wszystko, co kiedykolwiek słyszałem w Indiach, to zupełnie były pozbawione histerycznej nuty, która działała na mnie tak odstręczająco w aszramie Anandamaji. W rezultacie, mimo że zgodnie z najbardziej sztywną therawadyjską interpretacją wskazań mnichom nie wolno było cieszyć się muzyką, nawet religijną, nigdy nie zmęczyło mnie słuchanie opadających i wznoszących się fal wspaniałej melodii, która w nastroju spokojnego zachwytu unosiła słuchacza coraz bliżej i bliżej do błyszczącego lotosu stóp Buddy.

Pobożni Newarowie w żadnym razie nie byli jedynymi ludźmi, którzy przychodzili do Wihary. Oprócz bengalskiego lekarza i biharskiego dyrektora miejscowej szkoły średniej, którzy obaj byli częstymi gośćmi, zjawiał się też drugi lekarz w mieście, również kształcony w Kalkucie, pulchny i energiczny Nepalczyk z kasty malla, który mimo swej zachodniej edukacji i stosunkowo młodego wieku nadal nosił tradycyjny narodowy ubiór w stylu Mogołów. Jego przodkowie byli buddystami – powiedział nam – i on sam pochodzi od Mallów, o których wspominają palijskie teksty i którzy byli jednymi z najwierniejszych uczniów Buddy; to na ich terytorium zmarł Budda. W średniowieczu jego rodzina rządziła Nepalem. Oprócz tego, że posiadał gabinet lekarski w mieście, był też stałym lekarzem głównego dowódcy nepalskiej armii, którego widywał codziennie. Wydawało się, że głównodowodzący nie czuł się na tyle dobrze, żeby spotkać się z nami osobiście, ale ze słów doktora Malli zrozumieliśmy, że wiedział o naszym przybyciu i nie miał nic przeciwko temu, żebyśmy zostali w Wiharze tak długo, jak chcemy. Była to dobra wiadomość. Zwykle obcokrajowcom nie pozwalano przebywać w jednym miejscu dłużej niż trzy dni, a poza tym

---

42 Tiratanavandana [przyp. red.]

weszliśmy do tego kraju bez oficjalnego pozwolenia. Niestety dość długo trwało, zanim dobra wola głównego dowódcy dotarła do niższych poziomów administracji, więc ciągle mieliśmy w Wiharze kilku gości niezbyt mile widzianych. Byli to różni agenci policyjni w cywilu, których zauważyliśmy od samego początku naszego pobytu. Stali oparci o ścianę, a ich spojrzenia wyrażające nieukrywaną podejrzliwość dziwnie kontrastowały z pełnym szacunku zachowaniem Newarów. W gruncie rzeczy dwóch z nich zadawało sobie trud przychodzenia po kilka razy dziennie. Dopiero znacznie później, już po obaleniu reżimu dynastii Rana, dowiedziałem się, że sam główny dowódca był w owym czasie przedmiotem podejrzeń ze strony władz w Katmandu i że jego zastępca został mianowany na swoje stanowisko, żeby mieć na niego oko.

Pewnego wieczoru miał miejsce incydent, który rzucił dalsze światło na warunki życia w Nepalu. Buddharakszita przypadkiem podnosząc wzrok znad książki ujrzał mężczyznę stojącego przed drzwiami Wihary, więc w swój zwykły apodyktyczny sposób natychmiast zaprosił go do środka. Początkowo mężczyzna odmówił, ale w końcu po naleganiach ze strony mojego przyjaciela wślizgnął się do pokoju ukradkiem i niepewnie, przyciskając rękami czapkę do piersi. Był krawcem, a zgodnie z obowiązującym w Nepalu prawem osobom posiadającym zawody, które w świetle ortodoksyjnego hinduizmu uważane były za zawody ‘niższych kast’, nie wolno było wejść do jakiegokolwiek miejsca kultu religijnego ani uczestniczyć w publicznych zgromadzeniach. To oznaczało, że na przykład buddyjski złotnik lub buddyjski krawiec nie mógł wejść do wihary ani do świątyni swojej własnej religii. Czcigodny Szakjananda, który siedział wtedy z nami, powiedział nam, że kiedy kobieta buddyjska z ‘niskiej kasty’ chciała przyjąć od niego Schronienia i Wskazania, musiał przeprowadzić ceremonię na zewnątrz wihary, ponieważ nie wolno jej było wejść do środka. Później mieliśmy jeszcze kilka innych okazji, by zaobserwować działanie systemu kastowego w Nepalu. Przez jakiś tydzień grupa około dwudziestu umundurowanych policjantów obozowała na dziedzińcu Wihary. Wieczorem w dniu ich przybycia, kiedy wyjrzeliśmy z Buddharakszitą przez okno, ujrzeliśmy tuzin oddzielnych ognisk, na których gotowano posiłki. W oddziale znajdowali się ludzie z tuzina różnych kast – jak nas poinformowano – i wszystkie kasty gotowały sobie i jadły oddzielnie od pozostałych. Ale kilka dni później zobaczyliśmy tylko dwa ogniska, więc zastanawialiśmy się, co się stało z kastami tych ludzi. Jeden z Newarów wyjaśnił nam tę tajemnicę. Poprzednio policjanci gotowali ryż, a teraz piekli roti, czyli przaśny chleb. Różnice kastowe obowiązywały przy ryżu, ale nie przy roti. Niedługo potem spotkaliśmy się z jeszcze bardziej dziwacznym przejawem funkcjonowania sytemu kastowego w „Kraju Czterech Kolorów i Trzydziestu Dwóch Kast”. We wczesnych godzinach porannych znaleźliśmy na progu Wihary ogromnie zmartwionego człowieka z kasty gurung lub magaru. W powrotnej drodze z Butwalu poważnie zachorował i przez trzy dni był przykuty do łóżka w przydrożnej gospodzie. Jeden z jego towarzyszy podróży, mężczyzna ze znacznie niższej kasty, został z nim i opiekował się nim w chorobie, podczas gdy reszta grupy pojechała dalej. Ponieważ jadł pożywienie ugotowane przez tego człowieka, utracił swoją kastę i jego żona, obawiając się zanieczyszczenia, odmówiła wpuszczenia go do domu. Czy mógłby zatrzymać się w Wiharze przez kilka godzin? Jak tylko otworzą posterunek policji, pójdzie tam i powie im, co się stało, zapłaci wymaganą karę finansową i dostanie certyfikat, że odzyskał swoją kastę. Wtedy będzie mógł wrócić do domu do żony.

Opis Nepalu jako „Kraju Czterech Kolorów (*warna*) i Trzydziestu Dwóch Kast (*dżati*)” znaleźliśmy w piątej części *Laws of Nepal* (Praw Nepalu). Ta część, opublikowana kilka lat wcześniej za czasów premiera Maharadży Judha Szumszere Dżunga Bhadur Rana, zawierała prawa dotyczące religii. Ponieważ była napisana w języku nepalskim (tzn. języku gorkhali) ani mój przyjaciel, ani ja nie byliśmy w stanie jej przeczytać, ale młody człowiek, który przyniósł nam ją do obejrzenia, na żywo przetłumaczył dla nas kilka najważniejszych sekcji. Podobnie jak *Laws of Manu*, które prawdopodobnie służyły za wzór, wyliczała różne dziedziczne kasty i podkasty, definiowała ich obowiązki i regulowała, żeby nie powiedzieć ograniczała, społeczne stosunki pomiędzy nimi, zwracając szczególną uwagą na to, kto kogo może dotykać lub nie, kto się z kim może żenić, a z kim nie, oraz kto z kim może jeść, a z kim nie może. Opisano także kary za złamanie tych przepisów, niektóre z nich niezwykle okrutne. Tak samo jak w Indiach, cały system najbardziej obciążał i prześladował niższe kasty. Poza tym, że nie mogli się żenić ani jadać z

osobami z wyższych kast, co może nie było jakąś szczególną trudnością, nie mogli też wchodzić do świątyń ani uczęszczać do szkół. Jeszcze poważniejszy był zakaz otwierania sklepów lub angażowania się w jakikolwiek rodzaj biznesu, co w kraju, gdzie handel był jedynym sposobem wzbogacenia się, oznaczało, że odmówiono im wszelkich środków umożliwiających poprawę ich sytuacji ekonomicznej. Władza wszelkiego rodzaju – społeczna, polityczna, ekonomiczna, religijna i intelektualna – skoncentrowana była na szczycie piramidy, czyli tam, gdzie faktycznie chciano ją skoncentrować. W tym wszystkim nie było nic dziwnego. Hinduistyczny Nepal po prostu szedł w ślady hinduistycznych Indii. Dziwny był tylko sposób, w jaki Newarowie i inne buddyjskie grupy na siłę wcielano w ortodoksyjną hinduistyczną strukturę kastową i zmuszano pod groźbą kar finansowych, uwięzienia a nawet kary śmierci do dostosowania się do systemu, który stał w jawnej sprzeczności z doktrynami ich własnej religii. Nie wolno było w żaden sposób krytykować ustalonego porządku. Zaledwie dwa lub trzy lata wcześniej – jak nam powiedział czcigodny Szakjananda – jeden z powracających z Cejlonu mnichów został osobiście wychłostany przez ówczesnego premiera, który własnoręcznie wykonał karę za to, że mnich ośmielił się powiedzieć, iż system kastowy nie jest zgodny z naukami Buddy i nie powinno się go przestrzegać.

Niektóre prawa w Nepalu były w oczywisty sposób wprowadzone tylko po to, żeby wtłoczyć Newarów w sztywne ramy ortodoksyjnego społeczeństwa hinduistycznego, odstraszyć ich od pielęgnowania newarskiego języka i literatury, a w gruncie rzeczy, aby całkowicie wytępić buddyzm. Książki, czasopisma i gazety nie mogły być publikowane w języku newarskim bez zezwolenia rządu i zazwyczaj takiego zezwolenia odmawiano. Buddystom wolno było nawrócić się na hinduizm i nawet ich do tego zachęcano, ale mnich buddyjski, który poprowadził ceremonię przyjęcia Schronień i Wskazań dla nie-buddysty, mógł być wysłany do więzienia na sześć lat lub poddany dowolnej innej karze, jaką premier uznał za stosowną, łącznie z karą śmierci. Ponadto w Nepalu nikt nie mógł być ordynowany na mnicha buddyjskiego. Jeśli nepalski poddany otrzymał ordynację za granicą i jeśli jego rodzice zgłosili to rządowi po jego powrocie, był zmuszany do powrotu do życia świeckiego i mógł być ukarany finansowo, więzieniem lub w dowolny sposób zgodny z życzeniami premiera.

W związku z tego typu prawami, oficjalnie znajdującymi się w ustawach, należało się spodziewać, że zagraniczni mnisi, którzy moralnie wspierali Newarów i głosili Dharmę, nie będą szczególnie mile widziani przez władze. Byliśmy w Tansenie już od dwóch tygodni i przyzwyczajaliśmy się do obrzędowej rutyny naszych codziennych dni, kiedy nagle dostaliśmy wezwanie do lokalnego biura nepalskiego rządu na przesłuchanie w kwestii naszych zamiarów. Naszym pierwotnym pomysłem była pielgrzymka do Muktinath – wyjaśniliśmy – ale z powodu choroby oraz nastania pory deszczowej zostaliśmy zmuszeni do porzucenia tego planu. Jak tylko wrzód na mojej stopie wystarczająco się zagoi, powrócimy do Indii. Nasze wyjaśnienie najwyraźniej uznano za satysfakcjonujące i nie zadawano nam dalszych pytań. Niemniej jednak poinformowano nas, że musimy opuścić Tansen w ciągu dwóch lub trzech dni. Dlatego po powrocie do Wihary i przedyskutowaniu sytuacji z wyznawcami postanowiliśmy udać się do zastępcy głównego dowódcy i poprosić go o przedłużenie nam pobytu. Dżentelmen ów był braminem, oczywiście ortodoksyjnym. W istocie posiadał tytuł Purohit Guru, co oznaczało, że był jednym z głównych filarów panującej religii i posiadał ogromne wpływy. Czcigodny Szakjananda i dwóch czy trzech wyznawców towarzyszyło nam do jego domu. Po dłuższym czekaniu otrzymaliśmy wiadomość, że mamy stanąć na środku ulicy i zastępca dowódcy przemówi do nas z werandy na czwartym lub piątym piętrze. Najwyraźniej urzędnicy rządu nepalskiego przyzwyczajeni byli rozmawiać ze zwykłymi ludźmi w taki bogom podobny sposób. Wydarłem kartkę ze swego dziennika i od ręki napisałem notatkę, w której wyjaśniłem, że w tradycji buddyjskiej mnich nie może rozmawiać z osobą świecką znajdując się fizycznie na poziomie niższym od niej. Musimy rozmawiać na tym samym poziomie albo wcale. Kiedy czcigodny Szakjananda i wyznawcy dowiedzieli się, co napisałem, przerazili się strasznie. Po takiej bezczelności wszyscy wylądujemy w więzieniu – zaprotestowali i uciekli. Jednak po kilku minutach służący powrócił i zaprosił nas na górę. W pokoju na pierwszym piętrze spotkaliśmy chudego, starszego człowieka w białym dhoti i ze świętą nicią, siedzącego na materacu i

otoczonego hordą małych dzieci. Był to zastępca głównego dowódcy. Ponieważ nas nie pozdrowił, my też go nie pozdrowiliśmy, i ponieważ nie poprosił nas, żebyśmy usiedli, usiedliśmy bez zaproszenia. Może dlatego, że bał się zabójstwa lub rytualnego zanieczyszczenia, a może dlatego (co było najbardziej prawdopodobne) że postawiliśmy go w niekorzystnej sytuacji zwracając się do niego po angielsku, który rozumiał, ale niezbyt dobrze nim mówił, Purohit Guru wydawał się nadzwyczajnie zdenerwowany i skrępowany. Dlatego nasza sprawa została załatwiona bardzo szybko. Kiedy wyjaśniliśmy dlaczego jesteśmy w Tansenie, podkreśliliśmy fakt, że nie interesujemy się polityką, wyraziliśmy pragnienie powrotu do Indii najszybciej, jak to będzie możliwe, i pokazaliśmy mu moją chorą stopę, wymamrotał coś, co oznaczało, że możemy zostać w Tansenie, dopóki mój wrzód się nie zagoi i nie będę mógł dobrze chodzić. Podziękowaliśmy mu za uprzejmość i wyszliśmy.

Pomimo sukcesu odniesionego w tej rozmowie wiedzieliśmy z Buddharakszitą, że nie możemy zostać w Tansenie znacznie dłużej. W gruncie rzeczy wcale nie chcieliśmy tam zostawać. Zaczęła się pora deszczowa i chociaż jako nowicjusze nie byliśmy zobowiązani do przestrzegania zasady ‘rezydowania w porze deszczów’ ciążącej na wszystkich w pełni ordynowanych mnichach, to teraz po nauczaniu Dharmy wśród uczniów U Czandramaniego najlepiej jak potrafiliśmy, pragnęliśmy powrócić do Indii i znaleźć sobie miejsce, gdzie moglibyśmy podjąć kilkumiesięczne odosobnienie. Ostatnie dwa tygodnie naszego pobytu minęły o wiele szybciej niż pierwsze. Teraz kiedy wrzód się goił i mogłem już prawie normalnie chodzić, dzieliliśmy czas między Maha Czajtrija Wiharę w górnej części miasta i Ananda Wiharę w dolnej, a przyspieszony rytm dni obejmował kazania i ceremonie w obu miejscach. Któregoś popołudnia, po odprawieniu obrzędu w Ananda Wiharze związanego z nowiem księżyca, wyruszyliśmy z grupką wyznawców, aby wspiąć się na wzgórza leżące za Tansenem. Chociaż wspinaczka była trudna i obaj z Buddharakszitą bardzo się spociliśmy, to kiedy dotarliśmy na szczyt, stwierdziliśmy, że widok, który ukazał się naszym oczom, wart był o wiele większego wysiłku. Gigantyczne masywy górskie Himalajów strome i groźne, idealnie białe na błękitnym tle widniały w oddali jak bramy do nieba. Nad okrytymi szarawą mgiełką dolinami u ich stóp nieustannie przepływały kłaczki małych białych chmurek. Jeden z naszych towarzyszy, bardziej zorientowany od reszty, pokazał nam główne szczyty. Na zachodzie była Dhaulagiri, na wschodzie Annapurna, a między nimi prawie dokładnie na północ od Tansen wyrastał szczyt, którego nepalska nazwa znaczyła ‘Ogon Ryby’. Przez jakiś czas staliśmy bez ruchu nieświadomi niczego poza milczącym majestatem niepokalanych szczytów oraz chłodną bryzą wiejącą od ich strony w dół na nasze spocone ciała. Potem naszą uwagę przykuły rzeczy znajdujące się znacznie bliżej. Na wzgórzu po wschodniej stronie stała niewielka grupa budynków. Miały gliniane ściany, dachy pokryte strzechą i były całkowicie otoczone prymitywnym kamiennym murem. To jest ‘Szrinagar’ – wyszeptali wyznawcy – siedziba głównodowodzącego. Dla mnie wyglądało to bardziej jak fort z epoki kamienia łupanego niż dom jednego z najpotężniejszych ludzi w Nepalu. Chociaż w środku na pewno było dużo osób, nie widać tam było ani śladu życia. Jak już wiedzieliśmy, główny dowódca żył praktycznie w całkowitej izolacji. Nigdy nie wychodził i oprócz doktora Malli, który chyba funkcjonował jako rodzaj pośrednika, nikt z miasta nigdy go nie odwiedzał. Kiedy patrzyłem na tę mini osadę na szczycie wzgórza, miałem wrażenie, że jej spokój jest spokojem tych, którzy obserwują, a bezczynność jest bezruchem tych, którzy przyczaili się gotowi do ataku.

Dzień lub dwa później opuściliśmy Tansen. Kilkadziesiąt osób łącznie z czcigodnym Szakjanandą i dwiema anagarikami towarzyszyło nam w drodze do doliny aż do małego przydrożnego sklepu, gdzie zrobiono ostatnie fotografie i gdzie się ostatecznie pożegnaliśmy. Chociaż spędziliśmy w ich mieście tylko cztery tygodnie, wszyscy wydawali się głęboko poruszeni rozstaniem i kiedy podnieśli się na nogi po wykonaniu ostatnich pokłonów i wcisnęli nam do rąk małe paczuszki kandyzowanego cukru, wielu z nich płakało. Mimo że byliśmy wędrowcami, niemniej jednak przykro nam było żegnać się z ludźmi, którzy okazali nam tyle miłości i oddania. Podróż powrotna do Butwalu minęła bez przygód. No może z jedną małą przeszkodą, kiedy byliśmy w odległości półtora kilometra od celu. Mżawka, która zaczęła siąpić po drodze z Maszjamu, zmieniła się w ciężką ulewę i zmusiła nas do szukania schronienia w chacie rybaka. Ta

chata nie tyle wychodziła na rzekę, ile wręcz wisiała nad rzeką, która teraz wzburzona i znacznie szersza z powodu monsunowych deszczów huczała głośniej niż kiedykolwiek. Ale zanim zapadła noc, byliśmy już bezpieczni w Butwalu, gdzie wkrótce ci sami wyznawcy, którzy odprowadzali nas cztery tygodnie wcześniej, zajęli się zadbaniem o nasze wygody w Padmagarbha Wiharze.

Rozdział 48

Okres akademicki

Teren Hinduskiego Uniwersytetu w Benares miał kilka kilometrów kwadratowych powierzchni i poprzecinany był szerokimi zadrzewionymi alejami, po których jeździła mała armia jaskrawo pomalowanych rowerowych riksz. W pewnej odległości za drzewami i w dużych zazwyczaj odstępach od siebie stały olbrzymie uniwersyteckie gmachy z czerwonego piaskowca, wszystkie zbudowane w stylu architektury 'neo-hinduskiej'. 'Buddha Kuti', czyli skromny jednopiętrowy domek Bhikkhu Dżagdisza Kaszjapy usytuowany był w cichym zakątku tuż za murem ogrodzenia, niedaleko uniwersyteckiej poczty i kilka kilometrów dalej od splendoru czerwonych piaskowców przy głównej bramie. Wkrótce po przybyciu do Benares poszliśmy z Buddharakszitą złożyć wyrazy szacunku naszemu życzliwemu doradcy i poinformować go o sukcesie naszej misji w Kushinagarze. W mieście, niezbyt szczęśliwie, zatrzymaliśmy się w birmańskim domu dla pielgrzymów, gdzie dwóch birmańskich mnichów o chrapliwych głosach i prostackich manierach szydziło z nas, ponieważ byliśmy wegetarianami. „Nie jecie mięsa! – wykrzyknęli gniewnie – *Musicie* jeść mięso! Jeśli nie jecie mięsa, to nie jesteście buddystami! Jesteście hinduistami!" Pora deszczowa trwała już w najlepsze, a my nadal byliśmy równie dalecy od znalezienia sobie miejsca na spędzenie 'rezydentury w czasie deszczów' jak w Nepalu. Budharakszita bardzo chciał, abyśmy podjęli następną próbę wjechania na Cejlon, gdzie moglibyśmy studiować i otrzymać następny, wyższy stopień ordynacji. Częściowo dlatego, że nie miałem żadnego dowodu tożsamości, a częściowo dlatego, że nie czułem się na siłach ruszyć w dalszą wędrówkę, byłem przeciwny jego planom. Nasz dylemat rozwiązał Bhikkhu Kaszjap. Z typową dla siebie życzliwością oznajmił wprost, że jeśli chcielibyśmy skorzystać z jego propozycji, to jest miejsce dla jednego z nas w Buddha Kuti, ale tylko dla jednego, i że chętnie zapewni nie tylko zakwaterowanie i wyżywienie, ale też naukę. Oczywiście oznaczało to koniec partnerstwa między mną i Buddharakszitą, które trwało nieprzerwanie od dwóch i pół lat. Po dłuższej dyskusji mój impulsywny przyjaciel nagle ogłosił, że podjął decyzję. On jedzie na Cejlon, a ja powinienem zostać w Benares z Bhikkhu Kaszjapem. Ponieważ jestem za słaby, żeby podróżować i potrzebuję trochę opieki, z pewnością będzie to najlepsze rozwiązanie. Tak czy inaczej – dodał, nie mogąc powstrzymać się od rzucenia uwagi na odchodnym – to mnie Bhikkhu Kaszjap chce na ucznia, a nie jego. W ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin przeprowadziłem się do Buddha Kuti, a Buddharakszita był w drodze do Kalkuty.

Choć było mi przykro, że stracę mojego dobrego z natury, ale popędliwego przyjaciela, to kiedy już się na dobre rozstaliśmy, zdominowało mnie uczucie ulgi. Czasami życie z Buddharakszitą było koszmarem i dopiero teraz, kiedy znów byłem sam, uświadomiłem sobie, w jak wielkim żyłem napięciu. To prawda, że od czasu ordynacji zrobił się łatwiejszy we współżyciu. Szacunek i pokora okazywane mu przez Newarów były balsamem na jego duszę i widząc, że panuje nad sobą o wiele lepiej niż od dłuższego czasu, zacząłem mieć nadzieję, że demon, który go okresowo nawiedzał, może został egzorcyzmowany na stałe. Ta nadzieja szybko legła w gruzach. Kiedy byliśmy w Padmagarbha Wiharze, przyjechał do Butwalu młody newarski mnich świeżo po dwuletnim pobycie na Cejlonie. Nie dość, że chwalił się swoimi osiągnięciami przed pełnym podziwu kółkiem przyjaciół i krewnych, nie dość, że na ścianach Wihary powiesił syngaleskie plakaty o wszystkich wygłoszonych przez siebie wykładach, to jeszcze próbował traktować mnie i Buddharakszitę w sposób, w jaki uważał, że nowo ordynowani szramanerowie powinni być traktowani przez w pełni ordynowanego mnicha, który właśnie spędził dwa lata w twierdzy ortodoksji. Buddharakszita znosił to przez kilka dni, a potem po kłótni, która nie przysporzyła chwały ani jemu, ani jego antagoniście, eksplodował. Babka młodego mnicha starała się jak mogła ułagodzić gniew mego przyjaciela. „Nie zwracaj na niego żadnej uwagi – powiedziała w zaufaniu – to największy głupiec w rodzinie. Posłaliśmy go na Cejlon, żeby został mnichem, tylko dlatego, że był za mało inteligentny, aby się przydać w rodzinnym biznesie". Ale szkoda już się stała i demon wrócił. Jednak mimo napięć w naszym wspólnym życiu i mimo ulgi, jaką poczułem, kiedy zostałem sam, byłem jak najdalszy od

tego, żeby nie docenić wielu wartościowych cech, które Buddharakszita niewątpliwie posiadał. Gdyby nie on, pewnie nigdy bym nie spędził dwóch lat jako wędrowny asceta i może nigdy nie udałoby mi się dokonać bardzo trudnego przejścia od starego sposobu życia do nowego – i za to byłem mu głęboko wdzięczny.

Nie minął nawet tydzień, a ja czułem się w moim nowym otoczeniu jak we własnym domu i rozpocząłem okres studiów, który zajął mi niemal bez przerwy siedem miesięcy – były to najspokojniejsze i najszczęśliwsze miesiące, jakich w życiu zaznałem. Życie w Buddha Kuti było maksymalnie uproszczone i nic tam nie zakłócało spokoju. Oprócz biblioteczki zapełnionej książkami po sam sufit, mój pokój mieścił wyplatane łóżko, stół i krzesło. Pokój Bhikkhu Kaszjapa, który był tuż obok i łączył się z moim, nie zawierał nic więcej – nie było nawet kawałka dywanu na podłodze czy choćby jednego obrazka na ścianie. Jak się wkrótce zorientowałem, nie wynikało to z jakiegoś szczególnego przywiązywania wagi przez mojego preceptora do ascezy, jego po prostu nie obchodziły rzeczy materialne. Poza dwoma czy trzema studentami, którzy przychodzili raz w tygodniu, ponieważ robili kurs palijskiego w ramach licencjatu, nie było żadnych innych gości i nawet jego żonaty bratanek, który mieszkał na parterze, rzadko się pokazywał. Oprócz Bhikkhu Kaszjapy jedyną osobą, z którą miałem jakikolwiek kontakt, był służący – chudsza, ciemniejsza i mniej dziarska wersja Szankary Pillai – który wyróżniał się tym, że był nieprawowitym dzieckiem syngaleskiego mnicha.

Nasz dzień zaczynał się o świcie. Po śniadaniu składającym się z herbaty oraz tosta posmarowanego masłem ghee i posypanego cukrem, Bhikkhu Kaszjap dawał mi lekcje palijskiego, Abhidhammy i logiki. Potem wracałem do swojego pokoju i odrabiałem zadane ćwiczenia, co zajmowało mi czas aż do południa, kiedy to zwykle jedliśmy ryż i curry na lunch. Bhikkhu Kaszjap, który stosował się do indyjskiej wersji angielskiego przysłowia o zjadaniu jednego jabłka dziennie dla zdrowia, zawsze kończył posiłek żując kilka ząbków surowego czosnku. Po południu najpierw korzystałem z przyjemności krótkiej sjesty, a potem albo studiowałem samodzielnie, z rzadka prosząc nauczyciela o pomoc w razie potrzeby, albo oddawałem się pracy literackiej. O zmierzchu Bhikkhu Kaszjap brał laskę i wychodziliśmy na spacer. Za każdym razem, kiedy przechodziliśmy obok wielkich drzew margosy rosnących wzdłuż szerokich alei, którymi spacerowaliśmy, czułem uderzenie silnego prądu energii. Być może było to tylko ciepło promieniujące z nagrzanych słońcem szarych chropowatych pni, ale nie mogłem powstrzymać się od myśli, że drzewa żyły w podobny sposób jak ja – że były żyjącymi istotami, niemal osobowościami. Podczas naszego pierwszego wspólnego spaceru Bhikkhu Kaszjap wyznał, że jeszcze rok temu był tak gruby, że nie mógł chodzić. Kiedy próbował, wewnętrzne części jego ud ocierały się o siebie tak silnie, że krwawiły. Przez ostatni rok stosował kurację naturopatyczną, dzięki której udało mu się zmniejszyć swoją wagę o jedną trzecią, więc bardzo mocno wierzy w ten system medyczny. Kilka tygodni później, kiedy zachorowałem na żółtaczkę, namówił mnie, abym również skorzystał z naturopatii. Po powrocie ze spaceru do Buddha Kuti wypijałem szklankę gorącego mleka (ściśle rzecz biorąc było to wbrew regułom, ale Bhikkhu Kaszjap mocno na to nalegał) i kontynuowałem swoją naukę. O dziesiątej lub jedenastej w tradycyjny sposób składałem nauczycielowi wyrazy szacunku, prosząc o wybaczenie mi wszystkich przewinień, jakie być może popełniłem w ciągu dnia, i kładłem się spać na moim plecionym łóżku.

Wszystkie trzy przedmioty, które studiowałem pod kierunkiem Bhikkhu Kaszjapa (lub Kaszjapa-dżi, jak go powszechnie nazywano), były dla mnie zupełnie nowe i uczyłem się ich z różnym powodzeniem. Ponieważ nigdy nie zdradzałem zdolności do języków, największy kłopot sprawiał mi palijski – starożytny język Indii, w którym przechowało się therawadyjskie opracowanie nauk Buddy. Według Kaszjapy-dżi, który oprócz tego, że kształcił się w zachodnich dyscyplinach akademickich, był również panditem starego typu i nauczył się wszystkiego na pamięć w młodym wieku, gramatyka palijska była dziecinną igraszką i zachęcał mnie do niej najlepiej jak potrafił, przypominając, że w palijskim jest tylko siedemset reguł, podczas gdy sanskryt ma ich trzy tysiące. Dla mnie palijski był jak najdalszy od dziecinnej igraszki. Chociaż codziennie odrabiałem swoje ćwiczenia i wkuwałem na pamięć długie listy koniugacji i deklinacji, robiłem to z ponurą determinacją zamiast z radosną spontanicznością, którą Kaszjap-dżi zdawał się

uważać za właściwe podejście do tego przedmiotu. Czasem czułem się otępiały i znudzony. Na szczęście mój nauczyciel nie należał do tych, którzy twierdzą, że uczeń powinien najpierw gruntownie opanować gramatykę obcego języka, zanim pozwoli mu się czytać teksty napisane w tym języku, więc już po kilku tygodniach zostałem wprowadzony do Tipitaki. Niektóre z jej dzieł były napisane niedorzecznie prostym palijskim – wyjaśnił Kaszjap-dżi – i wystarczy ledwie liznąć gramatykę, żeby je zrozumieć. Zaczynając od tych prostych tekstów i stopniowo przechodząc do innych, trudniejszych, łatwo można przerobić czterdzieści pięć tomów Królewskiego Tajskiego wydania Tipitaki w dwanaście miesięcy. No przecież to nawet nie jest jeden tom tygodniowo! Mimo że nie spełniłem jego oczekiwań i chociaż moja znajomość palijskiego nigdy nie wyszła zbyt daleko poza liźnięcie potrzebne mi do przebrnięcia przez takie dzieła jak *Dhammapada* i *Udana*, to radość z możliwości studiowania nauk Buddy, które – jak wierzyło wielu buddystów – były jego własnymi słowami, z nawiązką rekompensowała mi trudy uczenia się języka, w którym zostały zakomunikowane.

Znacznie lepiej szło mi z Abhidhammą i logiką, a zwłaszcza z logiką. Chociaż jako nastolatek bardzo intensywnie czytałem dzieła filozoficzne, to z jakiegoś powodu całkowicie zaniedbałem tę starożytną, czcigodną partnerkę metafizyki, etyki, politologii, estetyki i retoryki. Dlatego z lekką obawą zabrałem się do nadrabiania zaległości, ale niepotrzebnie się martwiłem. Kiedy już przebrnąłem przez ciernisty gąszcz logiki formalnej, znalazłem się na jednym z najbardziej fascynujących i radosnych terenów intelektualnych, po jakich przyszło mi kiedykolwiek wędrować, i wśród najbardziej zachwycających towarzyszy, z jakimi miałem szczęście się w życiu spotkać. Wprawdzie Bradley był trochę posępny, ale Mill i Carveth Read okazali się niebywale radośni, a *Logika Formalna* F.C.S. Schillera, tego Radykalnego Empirysty, była tak błyskotliwym obnażeniem jałowości i niedorzeczności sposobu, w jaki tradycyjnie wykładano ten temat, że uznałem ją bez wątpienia za jedną z najzabawniejszych książek, jakie kiedykolwiek napotkałem. Czytając ją, co jakiś czas chichotałem, a nawet rżałem ze śmiechu, czego Kaszjap-dżi w swoim pokoju obok nigdy nie słyszał, kiedy uczyłem się palijskiego.

Nawet jeśli metody nauczania Kaszjapa-dżi były tradycyjne, to styl nauczania na pewno miał niekonwencjonalny. Kiedy wchodziłem do niego (drzwi łączące nasze pokoje zawsze były otwarte), przeważnie leżał wyciągnięty na swoim plecionym łóżku jak wieloryb wyrzucony na brzeg i pogrążony w głębokim śnie. Chociaż potrafił pracować dzień i noc, gdy zachodziła taka potrzeba, to z równą łatwością mógł cały dzień i całą noc spać. Jako profesor języka palijskiego i filozofii buddyjskiej miał minimalne obowiązki, dlatego większość czasu spędzał na swym plecionym łóżku, które od czasu do czasu protestowało pod jego ciężarem lekko skrzypiąc. Nie korzystał przy tym ani z materaca ani z poduszki. Kiedy zakaszlałem lub zamruczałem „Bhante!" i widziałem, że drgnęła mu jedna powieka, wygłaszałem swoje pytanie, zwykle dotyczące jakiejś zawiłości gramatyki palijskiej, Abhidhammy lub logiki, której nie byłem w stanie samodzielnie rozplątać. Nie otwierając oczu i nie poruszając się Kaszjap-dżi przystępował do wyjaśniania trudności, wydobywając słowa z głębi swej olbrzymiej postaci i obracając je na języku, zanim uwolnił je w postaci rozważnej i przemyślanej wypowiedzi. Czasami rozwodził się na dany temat tylko przez kilka minut, a czasami przez pół godziny. Cokolwiek powiedział, było jasne, precyzyjne i na temat. Jeśli zapytałem o konkretny fragment tekstu, zawsze wiedział, skąd jest ten tekst, co było przed nim, i co następowało po nim. A przez cały ten czas właściwie nie zadał sobie trudu, żeby się porządnie obudzić. Kiedy wracałem do swego pokoju, słyszałem za sobą westchnienie i chrapnięcie i zanim zdążyłem usiąść na powrót przy stole, Kaszjap-dżi znów głęboko spał.

Stosunki między nami nie zawsze wyglądały w ten sposób. Kiedy nie leżał wyciągnięty na łóżku, Kaszjap-dżi potrafił być bardzo ożywiony i zabawny z miłym dodatkiem niewyszukanego poczucia humoru typowego dla okolic, z których pochodził, w stanie Bihar. Czasami opowiadał o swoich doświadczeniach na Cejlonie, gdzie studiował na Widjalankara Piriwena (widziałem go tam na Konferencji w 1944 roku, na którą przyjechał odebrać tytuł Tripitakaczarji) i gdzie go ordynowano. Mimo że swój pobyt tam uważał za przyjemny, to nie miał zbyt wysokiego zdania o syngaleskich buddystach. Zarówno mnisi jak i świeccy wydawali mu się ograniczeni umysłowo i mało inteligentni. Formalizm był bardzo rozpowszechniony. Pewnego razu, kiedy wracał z

jałmużny, obluzowała mu się szata i żeby ją poprawić, musiał postawić swoją żebraczą miskę na trawie. „Popatrzcie tylko na tego indyjskiego mnicha! – wrzasnęła jakaś stara kobieta, która go zobaczyła – I to ma być uczony! Nie wie nawet, jak okazać szacunek swojej misce!" Zgodnie z tradycją, żebraczych misek nigdy nie należało kłaść na gołej ziemi. Innym razem wygłaszał wykład na temat znanej buddyjskiej doktryny o *anatta*, co dosłownie oznacza 'brak jaźni' lub 'brak duszy'. Aby zrozumieć znaczenie pojęcia *anatta* – oświadczył – najpierw trzeba zrozumieć znaczenie *atta*, 'jaźni' lub 'duszy'. Ponieważ, jeśli nie wie się, jaki konkretnie koncept 'jaźni' lub 'duszy' negował Budda, jak można zrozumieć, o co chodzi w jego nauce o 'braku jaźni' lub 'braku duszy'. Tego było dla syngaleskich buddystów za dużo. Na widowni rozległy się gniewne okrzyki protestu. „Nie chcemy, żebyś nam tu głosił swoje hinduistyczne filozofie! – rozdarli się mnisi – Siadaj! Siadaj!" Na próżno Kaszjap-dżi próbował wyjaśnić, że jego intencją nie była obrona znienawidzonej doktryny o *atta*. Nie pozwolono mu dokończyć wykładu. Niektóre z jego doświadczeń były bardziej zabawne. Mnisi syngalescy zawsze chcieli wiedzieć, do której należał nikaji, czyli odłamu zakonu monastycznego. W zasadzie – powiedział Kaszjap-dżi – niczym się nie różnili pod tym względem od ortodoksyjnych hinduistów wiecznie dopytujących się o kastę. Zazwyczaj odpowiadał, że należy do 'Nikaji Buddy'. Pewna grupa mnichów niezadowolona z takiej odpowiedzi zapytała go, czy przykrywał swoje prawe ramię szatą, kiedy wychodził z klasztoru, czy zostawiał je odkryte. Pytanie wynikało z faktu, że niektóre nikaje stosowały jedną praktykę, a inne tę drugą. Kiedy jest zimno – odpowiedział Kaszjap-dżi – zakrywam oba ramiona. Kiedy jest gorąco, zostawiam jedno odkryte, a kiedy jest bardzo gorąco, w ogóle nie zakładam żadnej szaty!". Któregoś dnia, kiedy mój preceptor z wdzięcznością przyznał, jak ważną rolę odegrał Cejlon w zachowaniu tekstów palijskich, wyraził też swoją dobrze przemyślaną opinię na temat syngaleskich buddystów następującymi pamiętnymi słowami: „Sangharakszita-dżi – powiedział wolno, rozważnie i z ewidentnym uczuciem – oni są jak stado małp … siedzących na skarbie … którego wartości … *nie rozumieją*".

Chociaż anegdoty Kaszjapa-dżi dużo mówiły o cejlońskich buddystach, to w jego sposobie opowiadania nie było nic, co sugerowałoby, że ostro ich krytykuje, lub że jest przekonany o swojej nieomylności. Z taką samą lubością opowiadał krytyczne historie na swój temat. Zanim został mianowany profesorem Hinduskiego Uniwersytetu w Benares, spędził trochę czasu w Penangu, gdzie znajdowała się duża i zamożna społeczność chińskich biznesmenów i gdzie rozkwitał ruch buddyjski. Zawsze kiedy odprawiał swoje religijne obrzędy we wspaniałej wybudowanej przez nich świątyni, oddawał cześć wizerunkowi Buddy, ale będąc therawadinem nie okazywał czci wizerunkom Kuan Jin i innych towarzyszących Buddzie bodhisatwów. Któregoś dnia chiński buddysta ze szkoły mahajany, u którego mieszkał, dał mu na lunch sam ryż i nic więcej. Kiedy Kaszjap-dżi, lekko zdziwiony, zapytał co się stało z różnymi rodzajami curry, usłyszał w odpowiedzi, że ryż jest najważniejszy. „Oczywiście, że ryż jest najważniejszy – zgodził się Kaszjap-dżi – ale curry też są potrzebne". „Dokładnie – odparował jego gospodarz – jest tak, jak mówisz, curry też są potrzebne. Podobnie Budda jest najważniejszy i nikt temu nie zaprzecza, ale bodhisatwowie też są potrzebni". Po tej skromnej lekcji, powiedział mój nauczyciel, zawsze uważałem, żeby bodhisatwom również okazać szacunek.

Chociaż Kaszjap-dżi zdecydowanie wolał therawadyjski 'racjonalizm zabarwiony mistycyzmem' od mahajanowego 'mistycyzmu zabarwionego racjonalizmem' i chociaż w życiu najbardziej interesowało go odrodzenie studiów palijskich w Indiach, był osobą wyjątkowo tolerancyjną oraz wolną od uprzedzeń i żywił autentyczny szacunek dla prawa (i obowiązku) jednostki do samodzielnego myślenia. Dla niego, urodzonego nauczyciela, nauczanie nie było procesem indoktrynacji, tylko dzieleniem się wiedzą i gromadzeniem intelektualnych zasobów. Zawsze był gotów odpowiadać na moje pytania, ale nigdy nie podjął najmniejszej próby, żeby wpłynąć na moje myślenie. Wprost przeciwnie, w późniejszych latach lubił twierdzić, że pod pewnymi względami nauczył się ode mnie tak samo dużo, jak ja od niego. Nie do mnie należy przeciwstawianie się preceptorowi w takiej kwestii, ale jakakolwiek mogła nastąpić między nami wymiana, musiała być bardzo nierówna – 'sto wołów na wymianę za dziewięć'. Oprócz tego, że podzielił się ze mną swoją olbrzymią wiedzą o tekstach palijskich, zwłaszcza o Abhidhammie,

Kaszjap-dżi wprowadził mnie też w niektóre mniej znane gałęzie indyjskiej tradycji religijnej. Był wśród nich dżinizm i nieortodoksyjne (tzn. nie-wedyjskie, a nawet anty-wedyjskie) post-średniowieczne szkoły mistyczne – niektóre z nich uważane były przez uczonych za równoległe z ostatnimi fazami buddyzmu tantrycznego. Oprócz lektur dotyczących moich trzech głównych przedmiotów studiowałem pod jego kierunkiem dżinijską Apabhramsę – ekwiwalent *Dhammapady* (z którą, jak zwrócił uwagę, miała wiele wspólnych wersów) – oraz enigmatyczne dzieło Kabira znane jako *Bidżak*. Dla wszystkich członków grup religii indyjskich typu *shramana*, w odróżnieniu od grup *brahmana*, Kaszjap-dżi żywił naprawdę ogromną sympatię, która w żadnym razie nie ograniczała się tylko do książek. W trakcie naszych rzadkich wypraw do Benares, kiedy towarzyszyłem mu, gdy odwiedzał uczonych mnichów dżinijskich oraz ascetów Kabira Panthi, widziałem na własne oczy, jak serdeczne były jego stosunki z nimi wszystkimi, i jak bardzo oni ze swej strony kochali go i szanowali.

Jak można się było spodziewać, przez cały czas, który z nim spędziłem, Kaszjap-dżi nigdy nie próbował ograniczyć mojej wolności, a zwłaszcza swobody czytania i pisania tego, co zechcę. Wszystkie jego książki, jak również karta do biblioteki uniwersyteckiej były do mojej dyspozycji i nigdy nie kwestionował sposobu, w jaki z nich korzystałem. Chyba nawet nigdy nie przyszło mu do głowy, żeby to kwestionować. Tak więc, kiedy nie zajmowałem się palijskim, Abhidammą i logiką, czytałem znacznie więcej niż to robiłem od kilku lat. Kiedy ogarnął mnie odpowiedni nastrój, również sam pisałem. Po okresie, kiedy mogłem czytać tylko te prace, które wpadły w moje ręce głównie dzięki przypadkowi, teraz rozkoszowałem się możliwością swobodnego wyboru na wszystkich obszarach literatury – starożytnej i współczesnej, wschodniej i zachodniej, religijnej i świeckiej. Ale chociaż ta wolność mnie zachwycała, niosła też ze sobą pewne problemy. Jaśniej niż kiedykolwiek wydobyła na wierzch konflikt moich interesów, prawdopodobnie wewnętrzny konflikt w mojej naturze, do tej pory zaciemniony okolicznościami wędrownego życia z Buddharakszitą.

Naturę tego konfliktu bardzo ładnie ilustrowały dwa listy, które otrzymałem podczas drugiej połowy mojego pobytu w Buddha Kuti. Jeden był od budzącego respekt Bhikkhu Somy, który już wcześniej surowo mnie ganił za to, że ‘włóczę się nie wiadomo gdzie i po co’, zamiast osiąść w jednym miejscu i zabrać się do poważnej pracy, a teraz przeczytawszy moje niedawne teksty opublikowane w buddyjskich czasopismach na Cejlonie, napisał, aby przywołać mnie do porządku w kwestii mojej pracy literackiej. Jeśli potrafię pisać tak wspaniałe artykuły na temat filozofii buddyjskiej, to dlaczego – zapytywał – marnuję czas na pisanie tych głupich wierszy? Dziwnym zbiegiem okoliczności drugi list – od świeckiej kobiety, singaleskiej buddystki – przyszedł tego samego dnia i wyrażał dokładnie przeciwny punkt widzenia. Jeśli potrafię pisać tak piękne wiersze o buddyzmie, to dlaczego – pytała – spędzam tyle czasu na pisaniu tych suchych, intelektualnych artykułów? Prawda w tej kwestii była taka, że zgadzałem się i jednocześnie nie zgadzałem z obydwojgiem korespondentów. To nie był konflikt między skłonnym do filozofowania mnichem i kochającą poezję laicką kobietą, tylko między Sangharakszitą Pierwszym i Sangharakszitą Drugim. Ten Pierwszy chciał cieszyć się pięknem przyrody, czytać i pisać poezje, słuchać muzyki, oglądać obrazy i rzeźby, doświadczać emocji, leżeć w łóżku i marzyć, zwiedzać miejsca i poznawać ludzi. Ten Drugi chciał urzeczywistnić Prawdę, czytać i pisać teksty filozoficzne, przestrzegać wskazań, wstawać wcześnie i medytować, umartwiać ciało, pościć i modlić się. Czasami zwyciężał Sangharakszita I, czasami Sangharakszita II, a z rzadka rządził niełatwy duumwirat. Oczywiście to, co obaj powinni zrobić, to połączyć się i zrodzić Sangharakszitę III, który połączył by w sobie piękno i prawdę, poezję i filozofię, spontaniczność i dyscyplinę, ale wydawało się to marzeniem niemożliwym do spełnienia. Przez ostatnie dwa i pół roku praktycznie niepodzielnie rządził Sangharakszita II, który wspomagany i podżegany przez bardzo potępiającego poezję Buddharakszitę naprawdę chciał całkowicie zniszczyć Sangharakszitę I, i gdyby nie interwencja Swami Ramdasa, który w samą porę stanowczo oświadczył, że pisanie poezji *nie* jest niezgodne z życiem duchowym, to pewnie Sangharakszita I zmarłby przedwczesną śmiercią w Muwattupuzha.

A jednak mimo ostrego pałowania, jakie otrzymał, nie umarł i po okresie ukradkowej egzystencji w Nepalu, teraz odżywał i przychodził do siebie w Buddha Kuti. Kaszjap-dżi

oczywiście miał do czynienia głównie z Sangharakszitą II, ale nie sprzeciwiał się obecności Sangharakszity I i nawet czasami z nim rozmawiał. Wkrótce Sangharakszita I poczuł się na tyle silny, że zażądał równouprawnienia. Jeśli Sangharakszita II poświęcił popołudnie na *The Path of Purity*, (Ścieżkę Czystości), to Sangharakszita I spędził wieczór pogrążony w poezji Matthew Arnolda, który z jakiegoś nieokreślonego powodu wywierał na niego w tym okresie potężny wpływ. Kiedy jeden pisał artykuł o buddyjskiej filozofii lub redagował drugie wydanie *Buddhism for Everybody* (Buddyzmu dla każdego) Kaszjapa-dżi, to drugi komponował wiersze. Czasami kiedy jeden zajmował się przepisywaniem wycinków z książek, które właśnie czytał, drugi leniwie spoglądał przez okno i obserwował padający deszcz. Któregoś dnia nastąpiło między nimi gwałtowne starcie. Rozgniewany wtargnięciem Sangharakszity I, który czytał więcej poezji niż kiedykolwiek i napisał bardzo długi wiersz (mimo że o buddyjskiej tematyce, to jednak wiersz), Sangharakszita II nagle spalił dwa notesy, w których jego rywal zapisał wszystkie wiersze skomponowane od wyjazdu z Anglii aż do połowy pobytu w Singapurze. Po tej katastrofie, szokującej dla obu, nauczyli się wzajemnie szanować swoje sfery wpływów. Bywało nawet że współpracowali, jak np. przy ukończeniu napisanej białym wierszem interpretacji pięciu sutr paritrany, które zaczęli w Nepalu. Zdarzały się też rzadkie chwile, kiedy wydawało się, że mimo kłótni mogliby się któregoś dnia połączyć.

Chociaż miesiące w Buddha Kuti mijały bardzo szybko, a pora deszczowa skończyła się i zima zaczęła bez spowodowania jakiejkolwiek zmiany w moim sposobie życia, nie byłem aż tak oddalony od świata, ani tak głęboko pogrążony w studiach, żeby pozostawać totalnie poza zasięgiem wpływów z zewnętrznego świata. Przede wszystkim otrzymywałem listy od Buddharakszity, który po spędzeniu krótkiego okresu z Bhikkhu Somą teraz przebywał z niemieckimi mnichami w Dodanduwa, w południowym Cejlonie. Chociaż robił duże postępy w palijskim, to jego hinduistyczne uprzedzenia były ewidentnie ostro atakowane i najwyraźniej bardzo cierpiał z powodu czegoś, co można by nazwać szokiem kulturowym.

W Indiach główne wiadomości dotyczyły zaciekłych i gorzkich kontrowersji szalejących wokół proponowanej Ustawy o hinduskim prawie cywilnym, w związku z którą po raz pierwszy usłyszałem nazwisko dr B.R. Ambedkara, lidera kasty niedotykalnych, będącego wówczas ministrem sprawiedliwości w rządzie Indii. Z powodu sprzeciwu ortodoksyjnych elementów hinduistycznych w samej partii rządzącej ostatecznie uchwalono tę Ustawę w bardzo fragmentarycznej i zmienionej formie. Na znak protestu Ambedkar zrezygnował ze swego stanowiska w rządzie. W późniejszych latach poznałem go osobiście a po jego śmierci w 1956 roku głęboko zaangażowałem się w ruch masowych nawróceń na buddyzm, który on sam zainicjował wśród swych niedotykalnych zwolenników.

W samym Benares rozeszła się nowina o przywiezieniu Świętych Szczątków Arahantów Śariputry i Maudgaljajany, dwóch ‘Wielkich Uczniów’ Buddy. Dziewięćdziesiąt lat spędziły w Muzeum Wiktorii i Alberta, a teraz na początku roku powróciły do Indii na prośbę Towarzystwa Maha Bodhi i były obwożone po różnych rejonach kraju, jak również w kilku buddyjskich krajach, gdzie wystawiano je na widok publiczny, aby wyznawcy mogli oddać im cześć. Wszędzie, gdziekolwiek się zjawiły, były przyjmowane z ogromnym entuzjazmem, jednak w Benares zostały powitane bardziej umiarkowanie. Poszliśmy i my z Kaszjapem-dżi wyrazić swój szacunek relikwiom w Pałacu Wizianagaram, gdzie urządzono im ołtarz w sali tronowej na słusznych rozmiarów srebrnym krześle. Na prawo od relikwii stało kilkunastu mnichów w żółtych szatach, wśród których wypatrzyłem wkrótce świecącą łysinę i drapieżne rysy twarzy Jego Świątobliwości z Kalkuty. Widząc mnie, gwałtownie drgnął i przygryzając wargę odwrócił się bez słowa.

Na koniec, zaledwie na kilka tygodni przed moim wyjazdem z Benares, niespodziewanie odwiedził nas czcigodny M. Sangharatana Thera, Sekretarz Towarzystwa Maha Bodhi w Sarnath. Oznajmił nam w swój zwykły gadatliwy sposób, że właśnie zbudowano mur wokół Gościńca Maha Bodhi w Bodh Gaja. Kosztowało to dwa tysiące rupii, które podarował na ten cel jeden z najbogatszych i najważniejszych Wysokich Kapłanów na całym Cejlonie. Sam Wysoki Kapłan i tuzin mnichów przebywali w tej chwili w Bodh Gaja, gdzie przez cały tydzień recytowali chantingi w specjalnym bambusowym pawilonie skonstruowanym w sali wewnątrz domu. Za dwa dni mur

będzie uroczyście poświęcony. On oczywiście będzie musiał wziąć udział w ceremonii i przyjąć mur w imieniu Towarzystwa Maha Bodhi. Czy zechciałbym mu towarzyszyć? Chociaż nie miałem specjalnie ochoty oglądać samego muru, mimo entuzjastycznych relacji na jego temat ze strony czcigodnego Sangharatany, to bardzo pragnąłem zobaczyć Bodh Gaję, miejsce Najwyższego Oświecenia Buddy. Widziałem już wcześniej w przeciągu jednego roku Sarnath, Kushinagar i Lumbini, ale jak dotąd nie odwiedziłem Bodh Gaji – najważniejszego z czterech świętych miejsc. Dlatego z pozwoleniem Kaszjapy-dżi przyjąłem zaproszenie naszego życzliwego przyjaciela, które tak ciepło wystosował.

Bodh Gaja! Bodh Gaja! Ileż osób przyjechało do ciebie w ciągu wieków! Ileż pielgrzymich stóp stąpało w kurzu twoich gajów, ileż par rąk złączyło się w milczącym uwielbieniu pod szeroko rozpostartymi konarami Drzewa Oświecenia, ileż głów z głębokim dziękczynieniem dotknęło krawędzi Diamentowego Tronu! Bodh Gaja! Bodh Gaja! Jak piękna jesteś rano, gdy słońce oświetla promieniami odnowioną fasadę twej wielkiej świątyni wznoszącej się czterema ścianami na tle bezchmurnego błękitnego nieba! Jak piękna jesteś wieczorem, kiedy w zacienionych głębinach opustoszałego świątynnego dziedzińca tysiące wotywnych lampek migocze jak odbicie gwiazd! Bodh Gaja – zawsze będę pamiętał jak byłaś piękna, gdy cię po raz pierwszy ujrzałem, kiedy moje serce było młode, a ty wzięłaś mnie sobie na własność!

Sanktuaria w Sarnath, Kushinagarze i Lumbini wszystkie zostały zniszczone w XII wieku i zarówno Mulagandhakuti Wihara, jak i Świątynia Leżącego Buddy zbudowane były w czasach współczesnych. Ponieważ odbudowali je buddyści, opieka nad nimi leżała naturalnie w buddyjskich rękach. W Bodh Gaja sytuacja wyglądała inaczej. Świątynia Maha Bodhi, czyli Świątynia Wielkiego Oświecenia, odnowiona przez generała Sir Alexandra Cunninghama w 1870 roku, była zasadniczo świątynią zbudowaną w drugim wieku na ruinach wcześniejszej struktury wzniesionej przez Asiokę. W ciągu dwóch tysiącleci poziom otaczającego ją terenu podniósł się o jakieś sześć do dziewięciu metrów, co spowodowało, że cały świątynny kompleks, łącznie z Drzewem Bodhi i Diamentowym Tronem, stał teraz w ogromnym prostokątnym zagłębieniu. Aż do początku tego roku kierownictwo świątyni było w rękach hinduskiego Mahanta, czyli opata, Bodh Gaji, który był drugim największym posiadaczem ziemskim w stanie Bihar. Jeden z jego przodków w jakiś sposób wszedł w posiadanie świątyni w XVI wieku. Jako ortodoksyjny bramin Mahant był przede wszystkim zainteresowany ofiarami składanymi przez pielgrzymów, którzy w ostatnich wiekach ciągnęli do Bodh Gaji w coraz większej liczbie. Jednak w oparciu o wydany przez rząd Dekret w tej sprawie kierownictwo świątyni przeszło w ręce komitetu, ale ponieważ struktura komitetu została ustalona tak, żeby Hindusi mieli w nim na stałe zapewnioną większość, sprawy nie miały się wcale lepiej niż za czasów Mahanta. Wizerunki buddów i bodhisatwów nadal mazano cynobrem, a w stojącym przy głównym wejściu podobnym do szopy budynku wciskano łatwowiernym Hindusom, że pięć z nich to wizerunki pięciu braci Pandawów, legendarnych herosów, których wyczyny opisywała *Mahabharata*. Dla ułatwienia oszustwa udrapowano je kawałkami brudnego materiału w taki sposób, że widać było tylko ich twarze. Czcigodny Sangharatana był wściekły. „To właśnie jest w stylu cholernych Hindusów! – wybuchł zdzierając szmaty z wizerunków i ciskając je gwałtownie na podłogę – Zawsze próbują upodobnić buddyzm do swojej brudnej religii! Zawsze próbują wycisnąć jakieś pieniądze z głupich pielgrzymów! Pielgrzymów? Ha! To przesądni idioci! Zasługują na to, żeby ich obłupić!” Chociaż byłem mocno zaskoczony tym bardzo niepodobnym do mnicha wybuchem, to całkowicie sympatyzowałem z uczuciami czcigodnego Sangharatany. Jak dobrze wiedziałem, był on osobistym uczniem Anagariki Dharmapali, a Dharmapala przez ponad trzydzieści lat bezskutecznie próbował doprowadzić do tego, żeby buddyści mieli coś do powiedzenia w kwestii zarządzania ich najświętszym sanktuarium.

W najważniejszym miejscu świątyni, w przyjemnie prostej izbie oświetlonej tylko światłem wpadającym przez drzwi, było jeszcze gorzej. Kamienna linga, czyli falliczny symbol boga Sziwy, została umieszczona na samym środku podłogi przed stołem ofiarnym, w miejscu, gdzie łatwo było potknąć się o nią w półmroku. Długonodzy bramini wspinając się jak małpy po całym ołtarzu i chodząc w tę i z powrotem przed wielkim siedzącym wizerunkiem Buddy, hałaśliwie nalegali na to, że pomodlą się w imieniu pielgrzyma – za opłatą. Nic, co mówiliśmy, nie było w stanie uciszyć ich

jazgotu i przekonać, że nie potrzebujemy ich usług. Jesteśmy mnichami buddyjskimi – protestowaliśmy – doskonale potrafimy uczcić Buddę samodzielnie. Nie zwracali na nasze słowa najmniejszej uwagi. „Jesteśmy braminami – krzyczeli chórem, zeskakując z ołtarza i chwytając nas za ramię – Jesteśmy tu kapłanami. Złożymy wszystkie ofiary. Pomodlimy się do Boga w waszym imieniu. Ile nam zapłacicie?" W tych okolicznościach niełatwo było skoncentrować się na wielkiej złoconej figurze w tle, ani poczuć, że byłem w miejscu, gdzie Budda osiągnął Najwyższe Oświecenie. Gdyby nie tybetańscy pielgrzymi, to naprawdę chyba bym tego w ogóle nie poczuł i moim najżywszym wspomnieniem z pierwszego pobytu w Bodh Gaji byłoby wymykanie się uściskom interesownych bramińskich 'kapłanów' i święcenie muru ogrodzenia.

Ale tak się stało, że Tybetańczycy przyszli mi na ratunek. Byli biedni, byli brudni i byli ubrani w łachmany. Inni pielgrzymi patrzyli na nich z góry, ale oni przeszli całą drogę z Tybetu, niektórzy niosąc małe dzieci na plecach, i teraz weszli przez bramę szurając nogami, z młynkami modlitewnymi i różańcami w dłoniach oraz z wyrazem ekstazy na uniesionych do góry twarzach. Dla nich historia nie istniała. Nic nie wiedzieli o Mahancie, nic o zarządzaniu świątynią. Nawet nie dostrzegali braminów. Kiedy okrążali świątynię, kiedy wyciągali ciała na ziemi w pokłonie przed Diamentowym Tronem, kiedy zapalali maślane lampki wokół Drzewa Bodhi, widzieli jedynie nagi fakt Najwyższego Oświecenia Buddy, i ich oczami – nawet jeśli nie własnymi – ja również go widziałem.

Rozdział 49

Kraina Wielkich Uczniów

Na równinach Biharu pojawiła się wiosna i piękno krajobrazu skąpanego w jasnym porannym słońcu pod niezmierzonym jasnobłękitnym niebem mogło wzruszyć serca i artystów, i rolników. Jak okiem sięgnąć we wszystkich kierunkach rozciągała się szachownica pól, których pylista brązowa gleba pokryła się teraz jasnymi lub ciemniejszymi odcieniami zieleni wschodzącego ryżu, pszenicy, strączkowych, ziemniaków i innych wczesnych upraw. Po obu stronach drogi stały ogromne rzucające cień figowce podobne do tego, pod którym Budda osiągnął Oświecenie, oraz drzewa tamaryndowe z sękatymi konarami i pierzastym listowiem. Trochę dalej za nimi widniały gaje mango przypominając z daleka brzegi chmur. Wzdłuż granic niektórych pól rosły palmy arekowe o smukłych pniach, a wzdłuż innych przysadziste niezgrabne palmy daktylowe z głębokimi bruzdami na pniach w miejscach, gdzie nacinano je dla zebrania soku. Bliżej wyrastały kępy urokliwych bambusów, drzew chrzanowych, których smukłe proste gałęzie obsypane były białymi kwiatkami, i jeszcze jednego gatunku drzewa, które choć pozbawione liści, pokryte było olbrzymimi szkarłatnymi kwiatami, według Kaszjapa-dżi tradycyjnie porównywanymi do kawałków surowego mięsa. Ponieważ w nocy padał deszcz, powietrze było teraz świeże, czyste i pełne słodkiego zapachu żółtawego kwiecia mango. Na południowym horyzoncie, w odległości niecałych dwudziestu kilometrów wyłaniały się z mgiełki szaro-fioletowe wzgórza Radżgiru.

Opuściliśmy Benares tydzień wcześniej, w ostatnim dniu stycznia. Kaszjap-dżi postanowił wziąć urlop. Po dwunastu latach na Hinduskim Uniwersytecie rozpaczliwie potrzebował odmiany. Był zmęczony atmosferą tego miejsca naznaczoną rygorami kastowymi, znużony nieukrywaną wrogością do studiów buddyjskich oraz faktem, że miał bardzo mało zajęć. Jak mi kiedyś wyznał, z trudem go tam tolerowano. Zdominowany przez ortodoksyjnych braminów Uniwersytet w ogóle nie chciał mieć profesora języka palijskiego i filozofii buddyjskiej. Mianowanie Kaszjapa-dżi możliwe było tylko dlatego, że nalegał na nie filantrop i multimilioner Dżugal Kiszore Birla, a na ignorowanie życzeń tego dobroczyńcy Uniwersytet nie mógł sobie pozwolić. Ale mimo że władze uniwersyteckie zostały zmuszone do zatrudnienia profesora języka palijskiego i filozofii buddyjskiej, to nie miały obowiązku zapewnienia mu studentów. W rzeczywistości robiły co tylko mogły, aby miał ich jak najmniej. Według uniwersyteckiego regulaminu nikt nie mógł zapisać się na kurs palijskiego, jeśli nie zapisał się jednocześnie na kurs sanskrytu. Innymi słowy, język palijski i filozofia buddyjska nie miały prawa być alternatywą dla sanskrytu i filozofii hinduskiej. Można było studiować sanskryt i palijski albo sam sanskryt, ale w żadnym wypadku nie wolno było uczyć się samego palijskiego. Tego typu taktyka skutecznie ograniczała liczbę studentów Kaszjapa-dżi, więc nigdy nie miał ich więcej jak trzech lub czterech, a czasami nie miał żadnego. Dla osoby tak oddanej swemu przedmiotowi jak on było to gorzkie rozczarowanie. Przyjął profesurę tylko dlatego, że miał nadzieję, iż umożliwi mu ona wkład w rozwój studiów buddyjskich i dzięki temu pośrednio w rozwój buddyzmu. Kiedy jednak z każdym rokiem było coraz bardziej oczywiste, że jego dwa przedmioty nie są mile widziane w programie Hinduskiego Uniwersytetu w Benares, doszedł do wniosku, że marnuje tu swój czas i zaczął ostatnio myśleć o rezygnacji. Jednak przed zrobieniem tak drastycznego kroku chciał oderwać się na jakiś czas od Uniwersytetu i przemyśleć sprawę. Postanowił, że obaj weźmiemy urlop. Pokaże mi kilka świętych miejsc w Biharze, a stamtąd moglibyśmy pojechać na pogórze wschodnich Himalajów do miejsca o nazwie Kalimpong.

Dlatego od tygodnia przebywaliśmy w Biharze, krainie Wielkich Uczniów. Uczniami, o których mowa, byli Śariputra i Maudgaljajana, dwóch czołowych wyznawców Buddy, którzy, podobnie jak Kaszjap-dżi, pochodzili z tej części Indii. W istocie obaj urodzili się niedaleko Nalandy i teraz właśnie byliśmy w drodze do ruin wielkiego monastycznego uniwersytetu, który później wyrósł w tym miejscu. W ciągu tych siedmiu dni spędzonych w Biharze działo się więcej niż przez siedem miesięcy w Benares, przynajmniej na poziomie zewnętrznym. W Patnie, starożytnej Pataliputrze, gdzie zaczęliśmy naszą wycieczkę, na ulicy nieustannie zaczepiali nas młodzi mężczyźni pytając, czy jesteśmy mnichami buddyjskimi, a po otrzymaniu odpowiedzi twierdzącej błagali, byśmy

założyli tam buddyjską świątynię i propagowali nauki Buddy. Zaledwie kilka miesięcy temu po całym stanie obwożono relikwie Śariputry i Maudgaljajany wszędzie witane z ogromnym, powszechnym entuzjazmem i teraz w powietrzu wisiała atmosfera pragnienia, aby odrodziła się wiara, która przyniosła tyle chwały stanowi Bihar. W Bihar Szarif, gdzie wystąpiliśmy na dwóch zebraniach, spędziliśmy noc w miejscowym koledżu, o którym mówiono, że został zbudowany – podobnie jak całe miasteczko – w miejscu, gdzie znajdował się starożytny uniwersytet monastyczny Odantapuri. Z Bihar Szarif poszliśmy do wioski Dipnagar, gdzie wieczorem zabraliśmy głos na kolejnym zebraniu, a potem postanowiliśmy pójść do Nalandy. Dla Kaszjapa-dżi był to ogromny wyczyn, ale zainteresowanie oraz entuzjazm, jakie nas otaczały na każdym etapie podróży – tak inne od wszystkiego, z czym spotykał się w Benares – działało na niego jak środek wzmacniający i czuł, że stać go na każdy wysiłek, nawet na pieszą wędrówkę.

Miał też poczucie, że znów jest mnichem. Przez ostatnie dwa dni ‘żebraliśmy o jałmużnę’ w tradycyjny sposób – rzecz której nie robił od czasu wyjazdu z Cejlonu. Podobnie jak mnisi w Sarnath, przyjął za rzecz oczywistą, że w Indiach nie jest to już dłużej możliwe. Ale w przeciwieństwie do mnichów w Sarnath miał ochotę podjąć eksperyment i samemu się przekonać, czy sukces, jaki Buddharakszita i ja odnieśliśmy z miskami żebraczymi w wioskach między Kushinagarem i Lumbini, był po prostu szczęśliwym przypadkiem, czy też nadal jest możliwe, aby buddyjski mnich w XX wieku utrzymał się w Indiach z jałmużny. Jak przynajmniej jeden z nas oczekiwał, eksperyment zakończył się całkowitym sukcesem. W obu miejscowościach – w Bihar Szafir i w Dipnagarze – każdy z nas zebrał tyle jedzenia, że starczyłoby dla pół tuzina mnichów i zarówno mieszkańcy miasteczka, jak i wieśniacy, dawali nie tylko z radością i oddaniem, ale też ze świadomością, że wspólnie (my i oni) wskrzeszamy tradycję martwą od sześciuset czy siedmiuset lat. Kaszjap-dżi był zachwycony. Rozwiązał mu się wielki problem. Nie musi już dłużej uzależniać swojego utrzymania od instytucji edukacyjnych nieprzychylnych buddyzmowi lub organizacji buddyjskich zorientowanych na świat materialny i bardziej zainteresowanych zbieraniem pieniędzy niż głoszeniem Dharmy. Jak w dawnych czasach, mnich w kwestii swego utrzymania może polegać bezpośrednio na ludziach. Oczami wyobraźni widział, jak chodzi z żebraczą miską od wioski do wioski po całym Biharze, nauczając języka palijskiego i filozofii buddyjskiej, gdziekolwiek pójdzie.

Nalanda była tylko pięć kilometrów na południe od Dipnagaru, na drodze prowadzącej do Radżgiri, więc nie zajęło nam więcej jak godzinę, żeby tam dotrzeć, tym bardziej, że radość z piękna i świeżości poranka oraz nowo odnalezione poczucie wolności dodawały nam sił. Po wypiciu herbaty z czcigodnym Fu Czun Lamą, wiekowym chińskim mnichem w maleńkim gościńcu, który wybudował tuż za stacją kolejową, poszliśmy żebrać o jałmużnę do pobliskiej wioski Kul, która według relacji chińskiego pielgrzyma z VII wieku Juana Chwanga, była miejscem narodzin Maudgaliajany. Nasza obecność naturalnie wzbudziła podniecenie wśród mieszkańców, więc kiedy skończyliśmy jeść, poproszono nas, abyśmy przemówili do małego tłumu około stu osób, które zgromadziły się w pobliżu. Po południu wyruszyliśmy do Bargaonu, dużej wioski pierwotnie należącej do starożytnego uniwersytetu monastycznego w Nalandzie. Tutaj zatrzymaliśmy się na noc w Swetambar Dżain Dharmasali, to znaczy w domu gościnnym należącym do sekty dżinijskiej ‘odzianych w biel’, w odróżnieniu od Digambar, czyli ‘odzianych w niebo’, to znaczy nagich. W pobliżu, na samym środku rozległego pola stał duży wizerunek bodhisatwy – całkiem dobrze zachowany i z długim napisem na aureoli. Został wykopany przez miejscowego farmera i postawiony pod drzewem, gdzie teraz czczono go jako rodzaj bóstwa strzegącego pól. Odwiedziliśmy też świątynię poświęconą Surji, bogu Słońca, na zewnątrz której stały dwa duże, piękne posągi z polerowanego czarnego kamienia – jeden z nich przedstawiał Buddę, drugi hinduską boginię Parwati. Chociaż Surja był powszechnie wielbiony w czasach wedyjskich, tego typu świątynie należały do rzadkości i nie przypominam sobie, żebym widział jakąś wcześniej. Tego wieczoru również braliśmy udział w publicznym spotkaniu, ale chociaż było na nim około stu osób, z jakiegoś powodu przyjęto nas mniej entuzjastycznie niż w innych miejscach.

Następnego dnia wcześnie rano w towarzystwie Kuratora Muzeum Nalandy poszliśmy obejrzeć ruiny starożytnego monastycznego uniwersytetu. Na odcinku niemal półtora kilometra w równych

odstępach stały stosy ciemnoczerwonych cegieł, które na brunatno-żółtej równinie wyglądały z daleka bardziej na architekturę w stylu meksykańskim niż hinduskim. Kiedy podeszliśmy bliżej do ogromnych murów głównych budynków klasztoru i ujrzeliśmy wielopiętrową stupę górującą nad naszymi głowami, wspaniałą nawet w tym zniszczonym stanie, w naszych umysłach odruchowo pojawił się obraz Nalanda Maha Wihary tak żywej, jak opisał ją Juan Chwang. Z łatwością mogliśmy sobie wyobrazić, jak wielki chiński pielgrzym zbliża się do wysokich wrót ówczesnej duchowej metropolii rozległego Imperium Buddyzmu! Były to czasy, kiedy dziesięć tysięcy studentów i ponad tysiąc nauczycieli zapełniało cele i krużganki tuzina ośmiopiętrowych budynków klasztornych, kiedy codziennie wygłaszano sto wykładów, kiedy trzy wielkie biblioteki przechowywały skarby mądrości nagromadzonej przez ponad tysiąc lat buddyjskiej religii i kultury, i kiedy wiekowy czcigodny Silabhadra, u którego stóp Juan Chwang siedział przez wiele lat, zarządzał studiami i kierował praktyką duchową mnichów ponad pięćdziesięciu narodowości. Teraz to miejsce było opuszczone. Osiemset lat temu Nalanda została splądrowana na skutek ikonoklastycznej furii muzułmańskiego najeźdźcy, jej mnichów wymordowano a skarby wywieziono. Przez całe sześć miesięcy palono zapisane na liściach palmowych manuskrypty z trzech bibliotek. Kiedy kroczyliśmy chłodnymi korytarzami zaglądając do zacisznych cel, obaj z Kaszjapem-dżi zastanawialiśmy się, jakie to było uczucie być mnichem w Nalandzie, i czy teraz, kiedy buddyzm powracał do Indii, będzie kiedykolwiek możliwe, aby nowa Nalanda narodziła się z popiołów starej.

Z Nalandy do Radżgiru było tylko około dwunastu kilometrów, ale Kaszjap-dżi zaczynał odczuwać skutki intensywnego wysiłku kilku ostatnich dni, więc kiedy 24 godziny później opuszczaliśmy rejon Nalandy, nie podróżowaliśmy piechotą, tylko siedzieliśmy w jednym z pięciu czy sześciu malutkich wagonów ciągniętych przez niewielką lokomotywę lokalnej linii kolejowej. Przed wyjazdem żebraliśmy o jałmużnę w wiosce Sariczak, która według niektórych uczonych była miejscem urodzenia Śariputry, potem wygłosiliśmy jeszcze dwa wykłady i w końcu przyszła pora, aby ruszać w drogę.

W Radżgirze zatrzymaliśmy się w japońskiej świątyni buddyjskiej, skromnym jednopiętrowym budynku usytuowanym prawie u stóp gór Wipula, z oknami wychodzącymi na zachód, na Weluwanę, czyli Bambusowy Gaj, gdzie często przebywał Budda. Pod nieobecność japońskich mnichów, którzy albo wyjechali do Japonii tuż przed wojną, albo zostali internowani, w buddyjskim gnieździe jak zwykle siedziała jakaś hinduska kukułka. W tym przypadku był nią długobrody asceta, który kiedyś należał do Misji Ramakriszny. Chociaż wyszedł po nas na stację i ugościł bardzo życzliwie, było jasne, że bardziej interesowała go naturopatia niż buddyzm. W sanktuarium na piętrze wizerunki na ołtarzu były pokryte pajęczynami i grubą warstwą kurzu. Zszokowani tym widokiem obaj z Kaszjapem-dżi od razu zabraliśmy się do pracy i posprzątaliśmy to miejsce, ostrożnie odsuwając na bok oblepione brudem fotografie Szri Ramakriszny i Swamiego Wiwekanandy, które uzurpowały sobie honorowe miejsce. Mimo że większość czasu poświęcał praktyce naturopatycznej, to dobry swami nie zaniedbywał całkowicie tradycji religijnych tej świątyni należącej do gałęzi sekty Niciren. Każdego wieczoru przez pół godziny walił w wielki japoński bęben, wywrzaskując jednocześnie słowa wielkiej mantry *namu mjoho renge-kjo* – ‘Cześć Sutrze Białego Lotosu!’.

Naszą pierwszą wyprawą był spacer do Bambusowego Gaju leżącego po drugiej stronie ulicy niedaleko podnóża wzgórz Ratnagiri. Nie zobaczyliśmy tam ani jednego bambusa. W gruncie rzeczy prawie w ogóle nie było tam roślinności, wszędzie leżały stosu gruzu, które sprawiały, że miejsce wyglądało na ponure i zdewastowane. Ale kilka metrów na południe od tego miejsca znajdował się obóz szkoleniowy dla gram sewaków, czyli wiejskich robotników z okręgów Patna i Gaja w stanie Bihar. W odpowiedzi na ich zaproszenie przez następne dwa tygodnie prawie codziennie robiliśmy dla nich wykłady na temat buddyzmu, kultury buddyjskiej, naturopatii, niedotykalności i różnych innych zagadnień. Inna wyprawa zaprowadziła nas do Groty Pippala, która wcale nie była grotą, tylko olbrzymią podobną do fortecy budowlą, wzniesioną w całości z ogromnych bloków prymitywnie obrobionego kamienia. Według tradycji mieszkał tu Mahakaszjapa, o którym Budda mówił, że przoduje wśród jego uczniów pod względem praktyk

ascetycznych, podczas gdy Śariputra przodował w mądrości, a Maudgaljajana w mocach psychicznych. Na tej wycieczce nie byliśmy sami. Towarzyszył nam wielebny Riri Nakajama, dygnitarz ze szkoły szin buddyzmu japońskiego, który przyjechał do Indii na konferencję pacyfistyczną, oraz czcigodny Amritananda, młody obiecujący mnich newarski wykształcony na Cejlonie. Przy innej okazji mieliśmy do towarzystwa osobliwego młodego Amerykanina, który przeszedł na wiarę wajsznawitów . Dziwnie ubrany w białe dhoti i z tiki na czubku głowy, czyli z lokiem, jaki noszą ortodoksyjni Hindusi, wyglądał bardzo ekscentrycznie i zastanawiałem się, czy przypadkiem tajemnicze drogi 'opatrzności' nie wysyłają mi ostrzeżenia w postaci tej transatlantyckiej parodii autentycznego elementu hinduskiej kultury. Co pięć, dziesięć minut zapewniał nas bardzo szczegółowo w łamanym hindi, że jest rygorystycznym wegetarianinem, a jego mottem jest: „Tylko czyste jedzenie, z czystej ręki, w czystym domu". Mówiąc 'czyste' miał na myśli wegetariańskie. Poinformował nas też, że chciałby utrzymać z nami satsangh, czyli duchową komunię, i że możemy zadawać mu pytania jakie tylko chcemy. Ale kiedykolwiek Kaszjap-dżi zapytał go o coś (ja grzecznie odmówiłem), na jego twarzy natychmiast pojawiał się wyraz ogromnego zadowolenia, wznosił wzrok do nieba i oświadczał: „*To* jest sekretem między mną i moim guru". Mniej ekstatyczny od amerykańskiego wajsznawity i bardziej otwarty na dyskusje był ksiądz opiekujący się lokalną misją rzymskokatolicką, z którym Kaszjap-dżi i ja odbyliśmy długą 'porównawczą' rozmowę o mistycyzmie, chrześcijaństwie i buddyzmie. Ponieważ mój nauczyciel nigdy w życiu nie był w żadnym chrześcijańskim miejscu kultu, spędziliśmy kilka minut w kaplicy misji. Dziwnie było widzieć czerwone światełko wskazujące obecność najświętszego sakramentu, palące się w takim miejscu. Kiedy wyszliśmy z kaplicy, ksiądz wręczył mi dwie książki Tomasza Mertona, autora, którego nazwiska nigdy wcześniej nie słyszałem. Były to *Seven Storey Mountain* (Siedmiopiętrowa góra) oraz *Seeds of Contemplation* (Posiew kontemplacji). Może znalazłbym czas, żeby je przeczytać, oznajmił.

Oczywiście, że znalazłem. Pochłonąłem obie książki jak tylko wróciliśmy do japońskiej świątyni i odkryłem, że Tomasz Merton był irlandzko-amerykańskim katolikiem, który jako młody człowiek został mnichem trapistą. *Seven Storey Mountain*, jego autobiografia, niespecjalnie mnie zachwyciła, ponieważ przesycona była atmosferą, której nie lubiłem – dusznym klimatem rzymskokatolickiej pobożności na użytek wewnętrzny. Jednak zbiór esejów *Seeds of Contemplation* spodobał mi się bardziej niż mógłbym się spodziewać. Mimo dominującej w nim frazeologii teistycznej, niektóre wglądy autora uderzająco odpowiadały mojej własnej sytuacji duchowej, a nawet moim duchowym potrzebom. Od jakiegoś czasu bardzo mocno zajmowała mnie kwestia ego i nie było to tylko teoretyczne pytanie, czym ono jest, a czym nie jest, ale praktyczny problem, jak je obejść, jak się go pozbyć, lub jak wykroczyć poza nie. Wydawało mi się, że medytacja nie wystarcza. Potrzebne mi było coś bardziej drastycznego, bardziej praktycznego, co można by praktykować w każdej godzinie dnia i co pozwalałoby nieustannie kontrolować niesforne działania egoistycznej *woli*. W *Posiewie kontemplacji* znalazłem to, czego potrzebowałem, a przynajmniej znalazłem jasną wskazówkę, gdzie to jest. Uczeń powinien całkowicie poddać swoją wolę woli swego duchowego przełożonego. W małych sprawach, tak samo jak w wielkich, nie powinien mieć żadnego własnego widzimisię, a nawet żadnych osobistych życzeń i preferencji. W tym leżał sekret. To był sposób na ujarzmienie ego, a może nawet na całkowite zniszczenie go. Chociaż ta idea była mi już oczywiście znana wcześniej, nigdy dotąd nie uderzyła mnie z taką siłą. Postanowiłem więc bezzwłocznie zastosować ją do moich relacji z Kaszjapem-dżi. W przyszłości jego życzenia będą dla mnie prawem. Nie będę miał żadnych własnych pragnień. Kiedykolwiek zapyta mnie, czy chciałbym coś zrobić – a często tak robił w dobroci swego serca – odpowiem, że nie mam żadnych preferencji w danej kwestii i że zrobimy tak, jak on sobie życzy. Przez resztę czasu, który spędziliśmy razem, wiernie stosowałem się do tego postanowienia. W rezultacie nie miałem żadnych kłopotów i doświadczyłem wielkiego spokoju umysłu. Co pomyślałby sobie ksiądz z misji, gdyby wiedział, że *Posiew kontemplacji* pomógł mi w ten sposób – trudno mi sobie wyobrazić. A jeszcze mniej wyobrażam sobie, co pomyślałby Ojciec Merton. Może nie byłby tak bardzo zdziwiony. W późniejszych latach głęboko zainteresował się duchowymi naukami Wschodu, zwłaszcza taoizmem i buddyzmem zen. Przecież zmarł w klasztorze buddyjskim w Bangkoku na

skutek wypadku spowodowanego usterką elektryczną. Czasami zastanawiam się, czy z dziwnego i tragicznego sposobu, w jaki zmarł, nie wynika jakiś morał.

Nasza najważniejsza ekspedycja – w istocie punkt kulminacyjny naszych podróży w krainie Wielkich Uczniów – zawiodła nas do miejsca, które nie tylko znajdowało się dalej i wyżej od Bambusowego Gaju i Groty Pippala, ale miało też większe znaczenie duchowe. Korzystając z nagłej zmiany pogody, która od czasu naszego przyjazdu do Radżgiru była zimna, wietrzna i deszczowa, wyruszyliśmy pewnego popołudnia do Gridhrakuty, czyli Sępiego Szczytu. Droga wiodła przez otoczoną wzgórzami dolinę, w której kiedyś stało starożytne miasto Radżagriha, stolica królestwa Magadhy. Kiedy weszliśmy przez przesmyk zwany Północną Bramą, od razu uświadomiliśmy sobie niesamowitą ciszę tego miejsca. Droga, która musiała tu istnieć już w czasach Buddy i króla Bimbisary, biegła na południe przez gęstą dżunglę olbrzymich, obsypanych białym kwieciem drzew kaktusowych z gałęziami w kształcie kandelabrów, wśród postrzępionych ciernistych krzewów i kęp smukłych żółtych bambusów. Szliśmy tak około pół godziny w gorącym słońcu, aż ujrzeliśmy ruiny Mannijar Mathu, świątyni dżinijskiej, będącej początkowo miejscem kultu węży. Wkrótce potem dotarliśmy do miejsca uwięzienia Bimbisary, gdzie wiekowy król został pozbawiony wolności przez swego syna Adżatasatru. Z budynku pozostały tylko fundamenty. Według buddyjskiej tradycji nieszczęśliwy monarcha miał zwyczaj spoglądać przez okno swej celi na wschód w kierunku Sępiego Szczytu, gdzie widział jak Budda, wyraźnie widoczny w żółtej szacie, spaceruje w tę i z powrotem. To w tych okolicznościach Budda pojawił się w swym duchowym ciele przed małżonką zdetronizowanego króla (swoją oddaną uczennicą) i aby ją pocieszyć wygłosił mowę znaną w mahajanie jako sutra ‘Medytacja o Buddzie Wiecznego Życia’.

Niedaleko za tym miejscem droga skręcała na wschód i wkrótce wspinaliśmy się po niższych zboczach wzgórz Ratnagiri. Idąc pod górę podziwialiśmy niemal cyklopową siłę i umiejętności starożytnych inżynierów, którzy wybrukowali trasę olbrzymimi płaskimi kamieniami i w regularnych odstępach zbudowali na niej wielkie schody. Małe ceglane struktury, teraz zrujnowane, zaznaczały miejsca, gdzie król Bimbisara wysiadł z rydwanu i gdzie odprawił swoją świtę przed ostatecznym wejściem na szczyt. W obu tych miejscach zatrzymaliśmy się z Kaszjapem-dżi na kilka minut, aby odpocząć, rozkoszując się chłodnymi podmuchami wiatru napływającymi od szczytu góry. Sam Sępi Szczyt był olbrzymią skałą, którą jakaś pierwotna konwulsja skorupy ziemskiej wyrzuciła na powierzchnię z taką siłą, że praktycznie stała na sztorc, co jasno uwidaczniały niemal pionowe linie jej warstw. U podnóża skały droga zwężała się w ścieżkę spiralnie wiodącą wokół szczytu ze wschodu na zachód wzdłuż szeregu grot i jaskiń i wreszcie ostatnim rzutem w górę wychodzącą na kwadratową platformę, na której stały ruiny ceglanej budowli kiedyś zamieszkanej przez Buddę. Stąd jednym rzutem oka można było ogarnąć całą dolinę. Na zachodzie leżały Złote Wzgórza, Sonagiri; na północnym-zachodzie Lśniące Wzgórza, Waibharagiri; na południu Wzgórza Obfitości i Wzgórza Klejnotów, Wajpuliagiri i Ratnagiri; a na północy Podniesione Wzgórza, Udajagiri. To tutaj Budda miał zwyczaj chronić się przed relatywnym hałasem i zgiełkiem Bambusowego Gaju. Tutaj spędzał przyjemne wiosenne dni i gwieździste noce pogrążony w bardzo głębokiej medytacji. Z tego wyniosłego wzgórza spoglądał w dół na wielopiętrowe rezydencje, ruchliwe ulice i zatłoczone targowiska wielkiego starożytnego miasta Radżagriha. A co najważniejsze, to tutaj właśnie, na tym osmaganym wiatrem wierzchołku Sępiego Szczytu – niejako na szczycie ziemskiej egzystencji – objawił swym najbardziej chłonnym uczniom transcendentalną wspaniałość *Sutry Białego Lotosu*, jego najwyższych nauk, sutry w której rozgrywa się Kosmiczne Oświecenie, wspaniałe widowisko, które uwidacznia, że wszystkie najróżniejsze ‘drogi’ Nauk Buddy łączą się w Wielką Drogę, Jedyną Drogę, Drogę Buddy, i w której sam Budda objawia się nie tylko jako postać historyczna, ale też jako wiecznie aktywna duchowa zasada – zasada Oświecenia.

Kiedy patrzyliśmy (podobnie jak musiał patrzeć Mistrz) najpierw na położoną trzysta metrów niżej dolinę – kiedyś ludne miasto, teraz nieprzebytą dżunglę – potem na otaczające ją niebieskawe wzgórza, i wreszcie dalej za wzgórzami na zielone żyzne pola, gliniane chaty we wioskach, przyjemne gaje mangowe na obszarze starożytnej Magadhy, czyli współczesnego Biharu, w moim

sercu zrodziła się modlitwa. Modliłem się, aby nie tylko na tej ziemi, w krainie Wielkich Uczniów, ale w każdym kraju ludzie mogli usłyszeć Głos Buddy rozbrzmiewający z niewidzialnych wyżyn duchowego Sępiego Szczytu. Modliłem się, aby mogli wstąpić na ścieżkę prowadzącą do swojego i cudzego Oświecenia. Wreszcie modliłem się, abym ja również pewnego dnia mógł im w jakiś sposób pomagać na tej drodze aż do jej końca. Chociaż o tym nie wiedziałem, ostatnia część mojej modlitwy miała się spełnić prędzej niż oczekiwałem.

Rozdział 50

Patrząc na Kanczendzongę

Czterysta metrów w górę rzeki wdzięczny biały łuk mostu Teesta unosił się jak we śnie łącząc dwa strome zalesione zbocza. Kilka minut później byliśmy już po jego drugiej stronie i jeep, który został po nas wysłany na stację kolejową Siliguri, piął się po górskim zboczu biorąc serię zakrętów mających 180 stopni, które co kilka minut wynosiły nas o kolejne kilkadziesiąt metrów ponad poziom rzeki. Ludzkie postacie na moście wydawały się już nie większe od mrówek, a sama rzeka leżała pomiędzy górami jak szarozielona wstążka. Za każdym kolejnym zakrętem otwierały się przed nami nowe widoki, a każdy z nich rozleglejszy i wspanialszy od poprzedniego. Za nami na zachodzie majaczyły fiołkowo-różowe i fioletowe masy wzgórz Dardżelingu, a po drugiej stronie rzeki Rungeet, na północy widoczne były góry Sikkimu – jeden zamglony górski grzbiet za drugim wznosił się aż po najdalszy horyzont. Wkrótce powietrze bardzo się oziębiło, mimo że niebo nadal miało żywy niebieski kolor, a słońce świeciło mocniej niż dotąd. Znaleźliśmy się ponad chmurami. Spoglądając w dół widzieliśmy jak ich pierzaste białe masy dryfują nad doliną wzdłuż rzeki. Wraz ze zmianą wysokości zmieniła się też roślinność. Lasy damarzykowe ustąpiły świerkom i sosnom, a bambusy rosły coraz rzadziej i były coraz mniejsze. Co kilkaset metrów eksplozje czystego szkarłatu ujawniały obecność olbrzymich poinsecji. Za oknami jeepa przesuwały się kryte strzechą chaty, sklepy, świątynie… Kiedy byliśmy już kilkanaście kilometrów za mostem Teesta i tysiąc metrów nad poziomem morza, chaty ze strzechą zaczęły ustępować angielskim parterowym domkom z dachami krytymi dachówką i zadbanymi ogródkami. Wkrótce ujrzałem przed sobą rozciągnięte wzdłuż mającego kształt siodła wzgórza miasteczko Kalimpong.

Nie potrzebowaliśmy wielu dni, aby uprzytomnić sobie z Kaszjapem-dżi, że jesteśmy w zupełnie nowym świecie. Po przyjeździe zakwaterowano nas w jednopiętrowym budynku tuż za Dziewiątą Milą i każdego dnia szliśmy główną ulicą do Dziesiątej Mili, gdzie newarski kupiec, którego Kaszjap-dżi poznał kiedyś w Kalkucie, częstował nas porannym posiłkiem. Wyglądało na to, że większość sklepów stłoczonych jeden obok drugiego po obu stronach ulicy należała do Hindusów, ale ludzie chodzący po ulicach reprezentowali około tuzina różnych narodowości. Zdecydowanie najwięcej było Nepalczyków z różnych kast i plemion, wielu w tradycyjnym stroju z czasów Mogołów, z zagiętym sztyletem wetkniętym za pas i ogromnym wiklinowym koszem na grzbiecie. Jednak Hindusi też byli bogato reprezentowani – kupcy Marwari w żółtych nakryciach głowy, brodaci sikhowie w turbanach, biharscy zamiatacze z lokiem na czubku głowy i bengalscy urzędnicy. Znajdowali się tam też krępi Bhutańczycy w długich do kolan pasiastych strojach, trochę Chińczyków – ci ze starszej generacji ubrani byli w czarne jedwabne spodnie z marynarkami – i niewielka liczba niedużych i nieśmiałych Lepczów z lasów Sikkimu. Od czasu do czasu zdarzał się nawet Europejczyk o różowej twarzy, przeważnie z dużą czarną biblią pod pachą.

Jednak najbardziej rzucali się w oczy Tybetańczycy, którzy pod względem liczebności ustępowali tylko Nepalczykom. Wysocy, o wydatnych torsach, w plisowanych okryciach do kolan, olbrzymich kapeluszach zepchniętych na tył głowy i z krótkimi mieczami dyndającymi u boku buńczucznie przechadzali się główną ulicą z takimi minami, jakby miasto należało do nich. W pewnym sensie rzeczywiście było to ich miejsce. Kalimpong zawdzięczał swą niewątpliwą zamożność temu, że był centralnym punktem handlu z Tybetem, eksportując do kraju lamów papierosy, naftę oczyszczaną, wieczne pióra i zegarki na rękę, a w zamian otrzymując stamtąd wełnę, ogony jaków i piżmo. Ponieważ nie było dróg dla pojazdów motorowych, wszystko musiało być transportowane na grzbietach mułów. Dochodząc do Dziesiątej Mili, często widywaliśmy z Kaszjapem-dżi czterdzieści lub pięćdziesiąt mocno obładowanych zwierząt wlokących się wolno drogą w wielkiej chmurze kurzu przy akompaniamencie melodyjnego brzęczenia dzwoneczków zawieszonych na szyjach zwierząt oraz wesołego pokrzykiwania i trzaskania batami ze strony rumianych poganiaczy mułów. Trudno nam było stwierdzić, czy właśnie wrócili z drogi czy ruszają w drogę, ale zarówno ludzie, jak i zwierzęta, wydawali się być w dobrej kondycji, a lider poganiaczy dumnie potrząsał swymi czerwonymi pióropuszami krocząc na czele karawany.

Ale chociaż było to niezwykle barwne miejsce dzięki nim wszystkim – Nepalczykom i Hindusom, mieszkańcom Bhutanu i Sikkimu, Europejczykom i Tybetańczykom – to nie sama ich obecność sprawiała, że Kalimpong był nowym światem. Cała atmosfera w tym miejscu była inna. Przybyliśmy z równin, gdzie życie biegnąc utartymi koleinami zbyt często ulegało stagnacji, więc wszystko, czego tutaj doświadczaliśmy, było dla nas nie tylko czystsze i świeższe, ale też żywsze i bardziej musujące. Było to jak picie zimnego szampana po ciepławej zupie. Ludzie zajmowali się całkowicie zwykłymi sprawami w całkowicie zwyczajny sposób, ale czy to z powodu wysokości, czy z innej przyczyny, w powietrzu panowała atmosfera radosnego podekscytowania, jakby odbywało się święto lub jakby wszyscy przebywali na wakacjach. Wyjąwszy jedynie oblicza misjonarzy, każdą twarz rozjaśniał uśmiech i choć byłoby lekką przesadą stwierdzić, że ludzie żyli tam z pieśnią na ustach, to wystarczyło wystawić głowę za okno, żeby usłyszeć dochodzące z oddali jasne i wyraźne dźwięki wesołej melodii najnowszej popularnej piosenki filmowej. A te kolory! Choćby tylko z ich powodu Kalimpong byłby nowym światem. Od błękitów i fioletów gór do czerwieni i żółci kwiatów we włosach nepalskich kobiet – wszystkie barwy były nadnaturalnie żywe jak na obrazach pre-rafaelitów. Czasami naprawdę błyszczały z taką intensywnością, że wszystko wydawało się stworzone z klejnotów. A cały czas, ponad wesołością i muzyką, ponad życiem i kolorami, ponad niezłomnością przyrody i bezpieczeństwem cywilizacji – ponad wszystkim – unosiły się wiecznie ośnieżone góry.

Rankiem w dniu naszego przyjazdu były zasłonięte chmurami i w ogóle ich nie widzieliśmy, ale później jaśniały każdego dnia, a często przez cały dzień. Pomiędzy błękitem dolin u ich stóp i błękitem nieba ponad ich szczytami, lśniące białe masy rozciągały się od jednego krańca horyzontu do drugiego, nie do uwierzenia majestatyczne. Ponieważ okna budynku, w którym mieszkaliśmy z Kaszjapą-dżi, wychodziły na północ, przez cały czas mieliśmy niczym nie zasłonięty widok na Kanczendzongę – drugi najwyższy szczyt w całym paśmie Himalajów i trzeci na świecie. Szczególnie piękny był wczesnym rankiem. Spoglądając za okno tuż przed świtem, widziałem jak migotał widmowym światłem w błękitnym półmroku, bardziej jak lód niż jak śnieg. Potem, kiedy słońce zaczynało wschodzić, na niebieskawym wierzchołku góry pojawiał się płomienny róż, który w ciągu paru minut przesuwał się od szczytu aż do samego dołu. Wkrótce cały masyw żarzył się intensywną różowością na tle bladego błękitu nieba. Różowy kolor zmieniał się w szkarłatny, szkarłatny w brzoskwiniowy, a brzoskwiniowy w najczystszy, najjaśniejszy złoty. Wreszcie, kiedy słońce wyłoniło się zza horyzontu, złoty ustępował srebrnemu, a srebrny zmieniał się w olśniewającą biel. W wyjątkowo piękne dni góra przystrojona była białym pióropuszem, przypominającym rodzaj białego dymu. Według znawców tematu zjawisko było spowodowane silnym wiatrem, który unosił w powietrze sypki śnieg okrywający turnie. Ale z pióropuszem czy bez i niezależnie od pory dnia nigdy nie zmęczyło mnie obserwowanie Kanczendzongi siedzącej na tronie na samym środku nieba. Chociaż wielki biały szczyt był całkowicie pochłonięty własnym istnieniem i totalnie nieświadomy mojej egzystencji, to wydawało mi się, że do mnie przemawia. Co mówił, nie wiedziałem, ale może gdybym pozostał w Kalimpongu wystarczająco długo i przyglądał mu się wystarczająco uważnie, nauczyłbym się rozumieć jego mowę.

Chociaż wtedy o tym nie wiedziałem, miałem pozostać w tym miejscu przez następne czternaście lat. Po tygodniach niezdecydowania Kaszjap-dżi wreszcie postanowił, że nie wróci do pracy na Hinduskim Uniwersytecie w Benares. Chciał spędzić trochę czasu medytując w dżungli w Biharze, gdzie jego znajomy jogin miał pustelnię. Liczył na to, że może w trakcie medytacji wyjaśni mu się, co powinien dalej robić. W międzyczasie ja miałem pozostać w Kalimpongu. „Zostań tu i pracuj na rzecz buddyzmu – powiedział do mnie wciskając się na przednie siedzenie jeepa, który miał go zabrać na stację w Siliguri – Newarowie się tobą zaopiekują". Niewiele mogłem powiedzieć. Naprawdę nie czułem się wystarczająco doświadczony, żeby samodzielnie pracować na rzecz buddyzmu, i miałem wątpliwości, czy Newarowie są tacy chętni do opieki nade mną, jak to sugerował Kaszjap-dżi, ale nie mogłem sprzeciwić się swojemu guru. Pochylając głowę na znak zgody, okazałem szacunek w tradycyjny sposób, Kaszjap-dżi dał mi swoje błogosławieństwo i jeep odjechał.

Zostałem sam patrząc na Kanczendzongę.

SPIS TREŚCI

O AUTORZE …. 4

ROZDZIAŁ 1: Olbrzymy i smoki …. 5

ROZDZIAŁ 2: Encyklopedia dla dzieci …. 12

ROZDZIAŁ 3: Nauka chodzenia …. 18

ROZDZIAŁ 4: „Oto nadchodzi Chłopięca Brygada”…. 23

ROZDZIAŁ 5: Ewakuacja …. 30

ROZDZIAŁ 6: Zasłona Izydy …. 36

ROZDZIAŁ 7: Nagła zmiana …. 44

ROZDZIAŁ 8: Buddyzm i Rada Miejska Londynu 48

ROZDZIAŁ 9: Odmieniec …. 58

ROZDZIAŁ 10: Podróż do Indii …. 68

ROZDZIAŁ 11: Ze swaminami na Cejlonie 74

ROZDZIAŁ 12: Maitreja – budda przyszłości 83

ROZDZIAŁ 13: Trzy Światy …. 88

ROZDZIAŁ 14: Zbiegi okoliczności …. 92

ROZDZIAŁ 15: Koniec początku …. 95

ROZDZIAŁ 16: Skok na płytką wodę …. 99

ROZDZIAŁ 17: Dzień Bezpośredniej Akcji …. 103

ROZDZIAŁ 18: Ogólnoindyjska Konferencja o Religiach 108

ROZDZIAŁ 19: Dwa spotkania i ślub …. 111

ROZDZIAŁ 20: Anandamaji, Pełna Błogości Matka 114

ROZDZIAŁ 21: Troje niedotykalnych …. 120

ROZDZIAŁ 22: Medytacje w gaju mango …. 126

ROZDZIAŁ 23: Boskie oko …. 130

ROZDZIAŁ 24: Krok naprzód …. 135

ROZDZIAŁ 25: Kwestia tożsamości …. 139

ROZDZIAŁ 26: Szramana kontra brahmana 142

ROZDZIAŁ 27: Świątynia bogini dziewicy 146

ROZDZIAŁ 28: Droga do Triwandrum …. 150

ROZDZIAŁ 29: Co się stało z darami …. 153

ROZDZIAŁ 30: Miasto Trzech Rzek …. 158

ROZDZIAŁ 31: „Z której kasty jesteś?” …. 163

ROZDZIAŁ 32: Trzech prawników …. 167

ROZDZIAŁ 33: Inni przyjaciele …. 174

ROZDZIAŁ 34: Wycieczki i inne zajęcia …. 178

ROZDZIAŁ 35: Ścieżka do wewnątrz …. 184

ROZDZIAŁ 36: „Kriszna przyszedł!” …. 189

ROZDZIAŁ 37: Ramdas, sługa Boży …. 195

ROZDZIAŁ 38: W „Siedzibie Szczęścia” …. 200

ROZDZIAŁ 39: Wizja w grocie …. 204

ROZDZIAŁ 40: Jednooki guru …. 212

ROZDZIAŁ 41: Kraina drzew sandałowych …. 221

ROZDZIAŁ 42: „Tygrys, tygrys …” …. 227

ROZDZIAŁ 43: Rozczarowanie w Sarnath …. 230

ROZDZIAŁ 44: Kurtyna ognia …. 236

ROZDZIAŁ 45: W świątyni Leżącego Buddy 242

ROZDZIAŁ 46: „Tu narodził się Błogosławiony” 248

ROZDZIAŁ 47: Z Newarami w Nepalu …. 254

ROZDZIAŁ 48: Okres akademicki …. 263

ROZDZIAŁ 49: Kraina Wielkich Uczniów …. 271

ROZDZIAŁ 50: Patrząc na Kanczendzongę …. 277